

# Płomienie





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

STANISŁAW BRZozowski

# *Płomienie*

# TOM PIERWSZY

Przerzucając stare roczniki rosyjskich pism rewolucyjnych, napotkałem niedawno nazwisko Michała Kaniowskiego. Nie zdążyłem sobie jeszcze uprzytomnić, że jest mi ono dobrze znane, gdy już zarysowała się przede mną cieleśnie niemal ta do żadnej innej, kiedykolwiek widzianej przeze mnie, niepodobna twarz, o lysej głowie, dziwnym wyrazie oczu, wzierających spod czerwonych, opuchłych, pozbawionych brwi i rzęs powiek. Pamiętam, że kiedy go zobaczyłem po raz pierwszy — byłem wtedy dzieckiem — wydało mi się, że tak musi wyglądać człowiek odratowany spod gruzów palącego się domu. Przypuszczam, że to brak brwi i rzęs właśnie, co wyglądało, jak gdyby były opalone, doprowadził mnie do tego odczucia — wniosku. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ten dziwny, tajemniczy pan Michał, jak nazywali go wszyscy dorośli, jakby przez wspólną umowę, znijając głos przy wypowiedaniu jego imienia, był na wpół odratowanym (ledwo, ledwo mógł się poruszać o swoich siłach) pogorzelnem. Zdaje się, że go zapytałem nawet raz o to, gdy mu podałem upuszczoną łaskę, a on zaczął ze mną jakąś rozmowę.

Widziałem, jak w bezzęsyh oczach pana Michała, które wyglądały tak dziwnie, że służba pomawiała go o dar urzekania — zamigotało coś, miał coś mówić, ale stryjenka Adela, w domu której gościliśmy, przywołała mnie. Pan Michał spojrział na nią, uśmiechnął się i zagwizdał, zdarzało mu się to dość często. Słyszałem także, jak mruczał coś i mówił sam do siebie, chodząc po ulubionej swojej uliczce ogrodowej przed altaną i opierając się ciężko na lasce. W altanie tej spędzał całe dnie w fotelu z książką w ręku. Nie czytał jednak najczęściej, tylko myślał o czymś, patrząc gdzieś przed siebie ponad książkę. Widywałem go za to piszącego.

W wspólnych rodzinnych zebraniach i wycieczkach nie brał żadnego udziału. Instynktem dziecka wyczułem we wszystkich dorosłych jakiś zabobonny, niepojęty lęk w stosunku do pana Michała.

Furman Spirydion, z którym raz wybrałem się w sekrecie przed nauczycielem na nocny połów raków, roztoczył mi kilkoma słowami perspektywę tajemniczej grozy i potęgi.

Siedzieliśmy nad wodą. Spirydion majstrował coś przy ognisku i według zwyczaju rozmawiał w pół sam z sobą, w pół ze mną. Przywykł mówić z końmi i nie był wybredny w wyborze słuchaczy. Opowiadał o stryju Walerym, o starym panu „Ochtawianie”.

— Mądry pan był. Wszystko wiedział. Jak on powiedział: „śpieszyć z sianem”, to choćby była pogoda najjaśniejsza — pewny deszcz. Na chmurach się znał. Tylko popatrzy się — już wie, co z której. A konie jak lubił! Takich koni, jak u nas, w całej guberni nie było. Jak przyjdzie jarmark albo kontrachty<sup>1</sup> kijowskie, panowie zewsząd do nas; bez pana Ochtawiana ani rusz. Nu, gdzie panu Walerkowi do niego. Pan jak pan, ale charakteru w sobie nie ma. Ni, gdzie już jemu! W tym roku, jak panowie w Polszcze bunt robili — znaczy polską wojnę, chłopakiem ja w tę porę był przy stajni. Zaczyna się po wsi gwałt. To da sio. „Pańszczyznę wrócą — mówią — albo znowu ziemię panom wezmą...” A panowie radzą, radzą... Co dzień najeżdża ktoś. A pan Ochtawian chodzi chmurny, brwi marszczy: „Nie będzie nic” — mówi. I nic. Sieje, orze, zbiera jak zawsze. Przyjechały raz oficyry z wojskiem, kozakami, popatrzali, popatrzali i pojechali — kłaniali się jeszcze. Silnego jenerała<sup>2</sup> pan w Petersburgu krewnym miał... Ano cóż... Przyjechała i krewna panowa... Pani Florianowej siostra z detyną<sup>3</sup> Olą... w żałobie. Męża jej gdzieś kozaki, a może i chłopci zabili... Błada taka, wysoka, w żałobie, nabożna pani... Uriadnik<sup>4</sup> najechał i pyta: co, jak, jakim prawem niby ona mieszka, ale pan jemu takie słowo powiedział, że pojechał jak osmalony... A po wsi zaczynają ludzie różnie mówić... Tak i tak... Panów wiązać — powiada — kazano, a najwięcej Niczypor... chłop taki był, w żołdatach<sup>5</sup> służył, strasznie chytra sztuka. Nic... co godzina, to gorzej: straszny krzyk. W karczmie siedzą... Dali do pana znać. Pani, matka ta Olesina, w krzyk: „Zabijają... zabijają...” — a pan nic. Konia siodłać każe... Podali mu konia. A nas strach wziął... pobiegł ja i Tychon — też

<sup>1</sup>kontrachty — dawniej kontraktami nazywano doroczne zjazdy handlowe danej prowincji. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>jenerał (daw.) — generał. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>detyna (ukr.) — dziecko. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>uriadnik (ros.) — niższy stopniem policjant w carskiej Rosji. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>soldat (ros.) — żołnierz, zwłaszcza niższy stopniem; w *soldatach służyć*: służyć w wojsku. [przypis edytorski]

młodzik wonczas był — osłaniać, żeby gdyby co. Ale jakby my jego osłonili! Podbiegli my do karczmy, aż mnie mrowie przeszło — pan, widzę, w sam tłum na koniu jedzie... A tam gwałt: Niczypor przewodzi, a gada, gada! Podjechał pan, z konia zsiadł, pierwszemu z brzegu potrzymać dał, a strachu w nim żadnego nie widać, ani mu ręka zdrży: jakby nie widział ani słyszał. Z konia, i w sam środek ludzi wszedł, prosto do Niczypora: a ludzie zamilkli i strach było patrzeć, a pan idzie śmiałym krokiem, podszedł do Niczypora i jak go chluśnie w twarz, a później pod brodę, a za szyję ściśnie: „Wiązać go — krzyczy — i do miasta odstawić; naród buntuje, za to my wszyscy odpowiemy. Wiązać i na podwody<sup>6</sup>, a do isprawnika<sup>7</sup> pismo dam”. I zaraz, kto z brzegu stał, wiązać się rzucił, a gdyby nie to, może by jeszcze tego wieczora pod dwór przyszli, kto z widłami, a kto z siekierą... Mądry pan był... charakter miał. Nu? gdzie panu Walerkowi!

— A pan Michał? — zapytałem.

Spirydion dziwnie ręką machnął; głową potrząsnął, wreszcie przysiadł się bliżej i zaczął szeptać:

— A o panu Michałku, chłopaczynko, pytać zakazano. I nie słyszeć o nim lepiej, i nie widzieć. Tak jakbyś go nie znał nigdy... Straszny on... On w Petersburgu samoho<sup>8</sup> imperatora<sup>9</sup> na śmierć sądził... Chował się on przed nimi, chował, ale oni wszędzie za nim: i koleje z nim rozsadzali, i pałac jego cesarski zapalili, i samego wreszcie bombą rozerwali<sup>10</sup>.

— Pan Michał... — zaszeptałem.

— I nie pytaj... Siedzi on teraz, kaleka, i o lasce chodzi, a kto jeho zna, szczo on myśli?<sup>11</sup>... I jak jeho tutki szukali. Samoho pana Oktawiana w Kyjewie w tiumie<sup>12</sup> trzymali... A co pomogło: nic. Bo oni jak na niego sąd wydali, w tajemnym narodnym<sup>13</sup> sądzie — to już jemu, petersburskiemu carowi, ani gwardia, ani armaty, ani złote lejbjegier<sup>14</sup> nie pomogły... I boją się ich oni, boją narodnych sędziów. On, niby pan Michałek, i kaleka, i chory, a isprawnik raz wraz najeżdża, a co z tego? Chto jeho dumkę<sup>15</sup> tajemną znać może? Już koły<sup>16</sup> on ani ojca siwej hołowuszki<sup>17</sup>, ani panienczki Olenki nie pożalował, a i za siebie się nie uląkł, to chto jeho zmoże. Choć ty i hosudar<sup>18</sup>, i imperator w złoconym mundurze, już ciebie jemu ani ministery, ani jenerały, ani popy i cerkiewne dzwony nie wydrą, jeżeli on już tobie na tajemnym sądzie śmierć zapisał. I nie ma na to nijakiej siły.

Ogień rzucał na twarz Spirydiona, na długie białe wąsy czerwone blaski i pochylony nade mną szeptał on:

— Prawda w nim jest i dlatego nic przeciw niemu. Już on na duszę swoją krew przyjął, a nie za siebie, i zaciął się, i zamknął w sobie, i już ty jeho nie przemożesz... I chodzi on tu, chodzi, całkiem jak jastrząb w klatce: pazury mu połamali, skrzydła poobcinali, a on chodzi, chodzi i dumkę swoją samotną myśli. Po całych nocach światło u niego i siedzi on przed kominkiem albo po pokojach chodzi; a w oczy mu popatrz, strach, taka w nich siła jest. I nie daj Boże jemu co nie w porę zrobić, oczami samymi on ciebie zabije: duszę

<sup>6</sup>podwoda — obowiązek dostarczenia przez ludność środka transportu (wozu z zaprzęgiem) na rzecz władz lub wojska (daw. także dworu); również: taki wóz wraz z woźnicą. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>isprawnik (z ros.) — urzędnik stojący czele powiatu (ujezdu) w carskiej Rosji; razem z dwoma asesorami tworzył tzw. niższy sąd ziemski. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>samoho (ukr.) — samego. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>imperator — tu: tytuł władców Rosji od czasów Piotra I. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>koleje z nim rozsadzali (...) i samego wreszcie bombą rozerwali — mowa o serii zamachów na życie cesarza Aleksandra II (1818–1881), dokonanych przez członków organizacji Narodna Wola: w grudniu 1879 dokonano nieudanej próby wysadzenia pociągu carskiego, w lutym 1880 wysadzono w powietrze część Pałacu Zimowego, 13 marca 1881 polski zamachowiec Ignacy Hryniewiecki wrzucił bombę do karety władcy, powodując śmiertelne obrażenia cara. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>kto jeho zna, szczo on myśli? (z ukr.) — kto go wie, co on myśli? [przypis edytorski]

<sup>12</sup>tiuma (ros.) — więzienie. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>narodny (z ukr., ros.: narodnyj) — ludowy. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>lejbjegier — żołnierz gwardyjskiego pułku strzelców wyborowych (jegrów) w armii Imperium Rosyjskiego (Lejb-Gwardyjski Pułk Jegrów Jego Wysokości). [przypis edytorski]

<sup>15</sup>dumka (ukr.) — myśl, pomysł; por.: dumać. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>koły (ukr.) — kiedy. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>hołowuszka (ukr.) — głoweczka, głowa. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>hosudar (z rus.) — pan; tu: cesarz; tytułem carów Rosji było *gosudar impierator*: cesarz imperator. [przypis edytorski]

ci omami, z piersi wyjmie... Isprawnik najeżdża, pyta się, patrzeć każe, aby nie wyjechał gdzie, a sam się on jego boi... w oczy popatrzeć nie chce...

Dziecinna fantazja pracowała. Baczniej jeszcze, niż dotąd, przyglądałem się panu Michałowi i zachowaniu się wobec niego wszystkich członków rodziny. Wydawało mi się ono coraz dziwniejsze. Czułem wyraźnie, że *boją* się oni wobec niego odezwać, roześmiać się. Widziałem, że nikt nie lubi go, przeciwnie, każdy ruch, każdy gest nacechowany był jakąś tajemną obawą dotknięcia się go. Doznawałem wrażenia, że boją się wszyscy istotnie jak gdyby samego spojrzenia pana Michała. I nie tylko spojrzenia. Stryjenka Adela, kiedy podawała mu szklankę herbaty albo podsuwała mu talerz, czyniła to tak jakoś dziwnie, jakby dźwigała jakieś rozpalone i piekące do żywego ciężary. Stryj Walery bladł, czerwienił się i jękał się, kiedy pan Michał zapytał go o co. Jestem przekonany, że śmierć pana Michała, która nastąpiła jakoś niedługo po naszym wyjeździe, była dla wszystkich tych ludzi prawdziwym wyzwoleniem.

Kiedyś w spiżarni, pomagając stryjence Adeli w ustawianiu konfitur, korzystając z jej rozgadania się, po wielu wahaniach się — czułem instynktownie, że każde pytanie dotyczące pana Michała wprawia stryjenkę i w ogóle starszych w zakłopotanie — zapytałem, czy to prawda, że pan Michał cesarza zabił. Stryjenka upuściła łyżkę, która potoczyła się z brzękiem...

— Bój się Boga, serce, nie mów o tym, nie mów o tym, nie pytaj się; złapią cię, badać zaczną, skórę pasami zedrą...

Odebrało mi to ochotę do dalszych pytań, ale stryjenka uspokoić się nie mogła. Kosztowało mnie dużo pracy wytłumaczenie, w jaki sposób doszedłem do tak niebezpiecznej wiadomości, gdyż nie chciałem zdradzić Spirydiona... Stryjenka kilkakrotnie jeszcze powtarzała o owym zdzieraniu skóry pasami.

— I mówić o tym grzech: pan Bóg gniewa się strasznie. Kościołów nie uznają ani, straszna rzecz, w Boga nie wierzą; zamiast Boga, mówią, ma być eter<sup>19</sup>, a człowiek jest tylko gadająca małpa.

Wiedziałem już, że stosuje się to do przyjaciół pana Michała. Nabrał on w moich oczach jeszcze bardziej fantastycznego uroku. Wydawało mi się, że jest on jednym z tych tytanów<sup>20</sup>, których tryumfujący Jowisz<sup>21</sup> — z zapalem studiowałem wtedy mitologię — strącił z niebiosów i przywalił olbrzymimi ciężarami gór... Kiedy chodził po ogrodzie podczas zbliżającej się burzy, gdy stryjenka zamykała pospiesznie okna w całym domu, aby przeciąg piorunu nie wciągnął, a stryj Walery chował do szuflady biurka srebrny zegarek i klucze — upatrywałem w tej obojętności pana Michała na zwisające ponad głową gromy jakiś związek z jego niewiarą w Boga. Sama niewiara ta przedstawiała mi się w formie buntu i uporu: grzmij tam sobie, ile ci się podoba, a ja Ciebie nie uznaję. I starałem się odnaleźć w twarzy pana Michała ślad jakiejś walki i buntowniczej zaciekleści, ale była ona taka, jak zawsze: tak samo dziwnie nieruchoma, jakby zastygła.

Raz jeden widziałem tylko uniesienie pana Michała. Podczas kolacji przyjechał ksiądz dziekan z sąsiedztwa i opowiadał o „cudownym ocaleniu” cesarza Aleksandra III<sup>22</sup> (przy wymawianiu tych wyrazów uchylał bircika<sup>23</sup> z głowy) z pociągu, który rozbił się. Mówił o tym długo i ciągle wracał; zauważyłem, że w ciągu opowiadania pan Michał raz i drugi zagwizdał, a kiedy wreszcie ksiądz wspomniał coś o tym, że prawdopodobnie był to wypadek, gdyż nie sądzi, aby i dziś byli jeszcze zbrodniarze tak zuchwali, pan Michał nagle na cały głos zwrócił się do Tychona, który kręcił się koło stołu:

— Pomóż mi wstać, głowa mnie rozboleła od trajkotania tego starego osła.

<sup>19</sup>eter — wg dawnych koncepcji kosmologicznych niedostrzegalna substancja wypełniająca wszechświat. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>tytani (mit. gr.) — dzieci Uranosa i Gai, bogowie z pokolenia poprzedzającego bogów olimpijskich; pokonani przez Zeusa i bogów olimpijskich w walce o panowanie nad światem. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>Jowisz (mit. rzym.) — najwyższe bóstwo rzymskiego panteonu, bóg nieba i burzy, odpowiednik gr. Zeusa. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>Aleksander III Romanow (1845–1894) — cesarz Rosji, król Polski (od 1881), syn Aleksandra II; wprowadził tzw. kontreformy, prowadził akcję rusyfikacyjną, wspierał nastroje antysemickie, utworzył tajną policję polityczną (Ochra); w 1888 był celem zamachu przeprowadzonego przez nieznanego sprawcę: eksplodowała bomba podłożona w pociągu wiozącym cara, jednak Aleksander III wyszedł z zamachu cało. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>biret — kwadratowa lub okrągła, sztywna czapeczka bez daszka, używana dziś jako część oficjalnego stroju duchownych, przedstawicieli sądownictwa, senatu uniwersyteckiego, profesury. [przypis edytorski]



Wszyscy oniemieli; nigdy w życiu nie widziałem tak bezgranicznie zdumionej twarzy, jak wtedy księdza dziekana; napił on się pospiesznie gorącej herbaty i musiał się strasznie oparzyć, gdyż poczerwieniał, oczy mu na wierzch wyszły; stryj Walery pochylił się i zaczął mu coś szeptać. Dziekan kręcił głową z wielkiego zdumienia; niedawno przeniesiono go w te strony i prawdopodobnie pierwszy raz słyszał historię pana Michała. Na mnie zaś cały ten wypadek zrobił niezmiernie wielkie wrażenie. Fakt, że księdza, a więc osobę wszędzie i zawsze automatycznie już wystawiającą ręce do całowania i pojawiającą się w domu zwykle tylko w uroczystych wypadkach święconego, wesela, pogrzebu, można nazwać tak całkiem po prostu starym osłem, nabrał w moich oczach znaczenia całej rewolucji. Był to nieomal że większy akt zuchwalstwa, niż nie wierzyć w Boga i nie bać się jego piorunów nawet podczas burzy. Okaleczały, schorowany pan Michał stawał się istotą wprost mitologiczną.

Wyjechaliśmy wkrótce z tych stron. Czas jakiś jeszcze wyobraźnia moja zajmowała się nieustannie osobą pana Michała. Stopniowo jednak brak absolutny związku pomiędzy tą postacią a całym składem i charakterem otaczającego mnie życia powlekał postać tę mgłą fantastyczną i oddalającą. Pan Michał stawał się czymś równie nietutejszym, wyczytanym, niepewnym, jak bohaterowie powieści Maine-Reide'a<sup>24</sup> i Aimarda<sup>25</sup>.

Wiadomość o jego śmierci była ostatnim głosem o nim z realnego świata. Potem już nie wspominał o nim nikt, nikt się nim nie interesował. Sądzę, że właśnie brak wszelkiego związku pomiędzy panem Michałem a resztą mojego życia i powstającymi w nim zainteresowaniami sprawił, że wspomnienie o nim pozostało nietknięte, jak coś obcego, wtrąconego przez przypadek do mojej pamięci. Nie wiązało się z nim nic, żadna z myśli rozbudzonych przez rzeczywiste, otaczające mnie, współczesne mi życie nie nawiązywała się do tej nieliczącej z niczym postaci. I w ten sposób przetrwała ona, zapomniana i przez to właśnie zmianom nie podległa.

Wspominać, znaczy to wiązać treść przeżytych z wypadkami i wrażeniami nowego, obecnego życia. Wspomnienia nasze rosną i zmieniają się wraz z nami. Pamięć tylko pozornie utrwała, właściwie zaś przetwarza nieustannie: wydarzenie czy osoba, stanowiące przedmiot wspomnień, są jakby rdzeniem tylko, jakby trwałą osią zmieniających się nieustannie krystalizacji. Życie odrywa od nich atomy uczuć i myśli, zastępując je przez inne. Nasza przeszłość jest zawsze tylko teraźniejszością naszą.

Wspomnienie o panu Michale było jakby kryształem, do innego świata należącym, żadne powinowactwo nie łączyło go z pozostałą treścią życia i myśli: tkwiło ono w mojej pamięci, niedostrzegane, na jej dnie, a myśli, uczucia przepływały nad nim, jak przepływają fale rzeki nad wbitym w piaszczyste łóżysko złomem granitu. Rzecz dziwna — później nawet, kiedy już poznałem w rysach bardziej ścisłych charakter działalności *Narodnej Woli*<sup>26</sup>, wiedza ta nie ożywiła wcale wspomnień o osobie pana Michała, nie zahaczyła o nie. Dopiero przypomnienie bezpośrednie wywołało pamięć o nim, pamięć całkiem konkretną, nieroztworzoną, nieprzepracowaną przez myśl zamkniętą w sobie, wyłącznie niemal cielesną. Życie duchowe osób znanych nam wytwarzamy sami z zasobów własnego swego duchowego życia. Ale pan Michał pozostawał poza obrębem moich metamorfoz. Toteż gdy przypadkowe zetknięcie odgarnęło fale ni troszczących się o niego myśli i uczuć, wynurzył się on spośród nich taki sam, jakim pogrążył go w nie przypadek pierwszego spotkania, świadomość moja i wszystkie jej zdobycze pozostała tak dalece obca temu wspomnieniu, że wysiłkiem woli tylko powiązać mogłem, i to powiązać całkiem zewnętrznie, to, co teoretycznie wiedziałem o *narodowolcach*, z tym konkretnym, przechowywanym bez zmian obrazem pana Michała. Zarysowywał się on przede mną tak samo bezwzględnie inny, nieznan, niezrozumiały i groźny, jaki ukazał się moim

Wspomnienia

Wspomnienia

<sup>24</sup>Mayne Reid, Thomas (1818–1883) — pisarz amerykański, autor kilkudziesięciu powieści przygodowych z życia Indian i osadników na Dzikim Zachodzie. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>Aimard, Gustave (1818–1883) — pisarz francuski, autor licznych książek przygodowych rozgrywających się na amerykańskim Dzikim Zachodzie i w Meksyku. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>Narodna Wola a. Narodnaja Wola (ros.: Wola Ludu a. Wolność Ludu) — tajna organizacja rewolucjonistów rosyjskich, powstała jesienią 1879 w wyniku rozłamu w organizacji Ziemia i Wola, dążąca do obalenia caratu, zaprowadzenia swobód demokratycznych, rozdania ziemi chłopom, a wielkich przedsięwzięciach robotnikom. Komitet Wykonawczy Narodnej Woli wydał wyrok śmierci na Aleksandra II, po paru nieudanych zamachach car zginął w 1881, a w wyniku licznych aresztowań i procesów organizacja została rozbita. [przypis edytorski]

dziecinny oczom: złom zastygłej lawy na kwiecistej, spokojnej łące, pośród lękliwych, oswojonych przez życie i przygarbionych przez nie ludzi — opalony przez pioruny, zwyciężony, lecz nieulekły, okaleczony, lecz nieugięty tytan. Spod opalonych powiek oczy jego wybiegały ponad nasze głowy gdzieś w kraj groźnych pobojuwisk; wsłuchiwać się zdawał nieustannie, czy nie wstrząsa podziemny głuchy grom tym zaciszem lęku i małości, na którym wsparliśmy swoje życie.

Teraz zrozumiałem już, dlaczego tak być musiało, dlaczego był on pośród nas całkowicie do innego świata należącym.

Zapragnąłem wiedzieć o nim więcej...

Tak nagle wystąpił on na tle mojej pamięci, chroniącej zjawiska nieznaczące nic i upokarzająco pozbawione treści, niby rdzawa plama, niby miecz czy szyszak<sup>27</sup> niespodzianie wśród domowego rupiecia odkryty.

Rodzina pana Michała była poniekąd i moją rodziną. To, co jednak różni jej pozostałych przy życiu członków opowiadali mi o nim, było tylko różnorodnie załamany w pojedynczych, niewspółmiernych z istotą zjawiska umysłach uczuciem przestrachu, obcości, niechęci.

— Zruszczył się — mówili jedni — utracił grunt pod nogami, dla obcej, niezrozumiałej sprawy poświęcił ojca, rodzinę. Ambitny był i zarozumiały, chciał przewodzić, gardził wszystkim swojskim... I krew przelewał, krew: zabójstwo jest zawsze zabójstwem.

— W Boga nie wierzył, siostrę swoją stryjeczną, Olesię, zgubił, z nim uciekła, „na wiarę” z nim „w komunie” żyła, sama prała, wodę nosiła, na fabryce podobno pracowała jak prosta robotnica. I zmarniała dziewczyna. A taka była piękna, taka słodka, taka wykształcona, dobra... I taka patriotka — opowiadała mi jedna z ciotek Oli, siwa jak gołąb staruszka — o wszystkim zapomniała i z nim poszła na nędzę, głód, ponieważ. I dla kogo, po co? W Tule<sup>28</sup>, podobno, pomiędzy robotnikami ją aresztowali... Ją — kaszelańską wnuczkę. Dziada Moskale na Syberii zamęczyli, a ona przecież tam poszła. A tak nienawidziła ich, tak się trzęsła i bladła, jak opowiadać jej było o Murawjowie<sup>29</sup>, o Wilnie, o cytadeli, o Suworowie<sup>30</sup>, o Pradze, Kilińskim<sup>31</sup>.

Niewiele więcej dowiedziałem się i od pana Walerego.

— Pojechał na uniwersytet. W gimnazjum uczył się dobrze, przyjeżdżał, mówił różne rzeczy, tak jak to zwyczajnie młody na wakacjach. Nikt tam na to uwagi nie zwracał tak bardzo. Stryj tylko obruszał się i marszczył, kiedy mu nazwiskami jakichś tam liberałów, czy jak tam, rosyjskich sypał. Liberal — wiedzieliśmy dobrze, jaki jest Milutin<sup>32</sup> w Polsce liberalny. Liberal, a rządzi się, choć wie przecież, że to rozbój i kradzież; ale jemu już całkiem głowę zatumanili. Mówi jeszcze stryj albo ojciec mój: „Ty jego choć wodą kolońską smaruj, on zawsze dziegiem<sup>33</sup> śmierdzi”, ale... Takiego ci nagał, że życie nie-miłe: i chłop ci zaraz jest, i wyzysk, i uciemiężenie szlacheckie. Stryj jeszcze: „Z rządem

Buntownik

<sup>27</sup>szyszak — rodzaj stożkowatego hełmu bez przyłbicy. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>Tula — miasto w Rosji środkowej, ok. 200 km od Moskwy, w XIX w. stolica guberni, ważny ośrodek metalurgii i przemysłu zbrojeniowego, słynna także z produkcji samowarów. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>Murawjew, właśc. *Murawjow, Michaił Nikołajewicz* (1796–1866) — ros. działacz państwowy; w 1863 mianowany general-gubernatorem na Litwie, z nieograniczonymi pełnomocnictwami i zadaniem stłumienia powstania styczniowego; stosował odpowiedzialność zbiorową i terror, zyskując przydomek *Wieszatiel*. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>Suworow, *Aleksandr Wasiljewicz* (1729–1800) — głównodowodzący (generalissimus) armii carskiej, wybitny wódz i teoretyk wojskowości; walczył przeciw konfederacji barskiej, wykazał się umiejętnościami taktycznymi podczas wojen rosyjsko-tureckich, walnie przyczynił się do zwycięstwa Rosji nad wojskami insurekcji kościuszkowskiej (odpowiedzialny za rzeź ludności Pragi podczas szturm na Warszawę 4 XI 1774), pozostał w Polsce jako dowódca wojsk okupacyjnych; brał również udział w walkach drugiej koalicji antyfrancuskiej z rewolucyjną Francją. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Kiliński, *Jan* (1760–1819) — szewc, dowódca cywilnej milicji w insurekcji warszawskiej w kwietniu 1794, pułkownik w powstaniu kościuszkowskim. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>Milutin, *Nikołaj Aleksiejewicz* (1818–1872) — rosyjski działacz państwowy, główny autor wielkich reform liberalnych za panowania Aleksandra II: uwłaszczenia chłopów i wprowadzenia samorządów gminnych w Imperium Rosyjskim w 1861; od 1864 sekretarz stanu do spraw Królestwa Polskiego oraz członek (faktyczny współprzewodniczący) Komitetu Urządzącego w Królestwie Polskim, w ramach którego opracował reformę uwłaszczeniową; opowiadał się za zanieśieniem odrębności Królestwa przez likwidację autonomicznych instytucji i rusyfikację administracji. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>dziegieć — gęsta, smolista substancja o charakterystycznym, przykrym zapachu, używana do celów leczniczych oraz do impregnacji materiałów, uszczelniania beczek, jako smar, klej itp., wytwarzana dawniej przez węglarzy przez wypalanie węgla drzewnego w kopcach ziemnych. [przypis edytorski]

się chłopci zwąchali, powstańców wiazali, zabijali”. Ale nic. Tak się już w tym chamstwie<sup>34</sup> rozkochał, że żadnych argumentów nie słuchał. I tak to już trwało z rok może. Już się nawet stryj nie cieszył, kiedy przyjeżdżał. Pojechał, znikł. Poszukiwano go; co kilka dni przez jakiś czas wpadali, otaczali dom, ogród: do góry nogami przewracali wszystko, tak go szukali. Stryja Oktawiana w więzieniu trzymali, myśleli — ukrywa, musi wiedzieć. Sam generał z Kijowa przyjeżdżał. „Pan jako ojciec musi wiedzieć. Pod pana wpływem”. Ale stryj tak grzecznie, jak to on umiał tylko, a spokojnie przerwał: „To ja właśnie cieszę się, że pana generała widzę, człowieka poważnego o dużym stanowisku, to pan może mi objaśnić zechce, dlaczego w szkole rządowej dzieci nasze wiarę tracą, dlaczego przesiąkają obcymi naszym narodowym tradycjom zasadami”. Generał próbował gniewem wykręcić się, ale nieswojo mu było; już potem dano stryjowi Oktawianowi pokój. Statysta<sup>35</sup> on był, po najpierwszych salonach europejskich się obracał. W Hotelu Lambertowskim<sup>36</sup> gościem był, Zygmunta Krasieńskiego osobiście znał.

I tak przeszło parę lat chyba. Aż tu nagle w jakąś noc — po cichu — zjawia się. Popłoch. Przez trzy dni wszyscy na palcach chodzili, odetchnąć głośniejszy nie śmiemy. Zamknęli się ze stryjem Oktawianem w gabinecie — zrazu cicho, półgłosem mówią, potem coraz głośniejszy. Nagle drzwi z trzaskiem się otworzyły — wypadł błady, do ogrodu wybiegł. Stryj dzwoni — wchodzi: błady jak ściana. Myśleliśmy — udar, odratowaliśmy jakoś. Przeszedł tydzień — nowina: Olesi nie ma. List zostawiła, że do Michałka idzie z nim razem „pracować”. Stryj Oktawian w parę dni osiwił. Jego opiece powierzona, jego syn. Co powiedzieć? Dla niego dalsza nawet krewna. Ciotki Emilii, mojej matki siostry, córka. Ciotka Emilia za granicą wówczas była. Myśleliśmy: zawiadamiać czy nie zawiadamiać? Może jeszcze odnajdzie się, opamięta się — wróci. Ale tu sama ciotka przyjeżdża — już wie. Do samej siebie niepodobna, trzęsie się, mówić nie może. Zamknęli się ze stryjem Oktawianem — płaczą. Kilka miesięcy tak ciotka przemęczyła się; przychodziły od Oli wiadomości, ale skąd, gdzie jest — nie wiadomo. Ciotka raz wybrała się do Kijowa. Ale jak tu szukać? Strach, aby policji na ślad nie naprowadzić. Po tygodniu wróciła przybita, zmieniona jeszcze bardziej. Jakoż wkrótce i umarła. Przeszło kilka miesięcy — znowu! Teraz Olesi szukają. Gdzie, jak, o co — nie wiadomo. W parę lat dopiero wiadomość przyszła: w więzieniu umarła. Ale gdzie, w jakim, nie pamiętam. Stryj Oktawian wtedy właśnie umierał. Męczył się, po całych nocach chodził, na głos gadał, płakał, włosy wydzierał, listy pisał do niego, do Michała, ale gdzie go szukać, gdzie posyłać. I umarł tak, i syna nie widział. Na chwilę przed śmiercią oczy otworzył, ręką zrobił ruch, jakby wołał — ja nachyliam się, a on tylko wyszeptać zdołał: „Michaś”, błogosławiąc. Majątek przed śmiercią aktem sprzedażnym, notarialnym, mnie przekazał: „Znajdzie się może, czasy się zmieniają — oddasz”. A jemu wprost zostawiać nie można było. Wyrokiem sądów wszelkich praw pozbawiony: cywilna śmierć. Zawiadomienie takie przychodziło. Przeszło parę lat, ani wieści. Nagle bęc... Jakoś o wiosnie, plucha była przekłeta, drogi rozchłapanie — nie przejedziesz, wiadomości z miasta żadnej, ani listów, ani gazet: koni szkoda. Aż tu podczas obiadu isprawnik — sztywny, urzędowy. Proszę siadać, przekąsić — nie chce. „Ważna sprawa — mówi. — Nad pańskim domem rozkazano nadzór rozciągnąć... Ja już staroście rozporządzenie dał: gdyby objawił się krewny pański Michał, wiazać, wziąć pod straż, do mnie dostawić. Szanując uczucia rodzinne, panu tej funkcji nie powierzam, choć moglibyśmy żądać. Wobec obowiązku obywatelskiego milknie głos serca”. I dopiero dowiedziałem się, o co idzie. Było to po 13 marca 1881 roku. Nogi, powiadam ci, pode mną się zatrzęsły: „Przypadłem — myślę — jego nie znajdą, mnie wezmą. Kogoś przecież wziąć muszą, samego ce-sa-rza przecież...” Mówię: „Panie pułkowniku, pan przecież mnie zna, nigdzie nie wyjeżdżam, nikt u mnie nie bywa...” „Tak to tak — powiada — ja naturalnie o panu nic, a nad domem to już starosta opiekę weźmie”. Myślę: „Źle”. Powiadam: „Czy na pomnik składek nie ma?”. Ale on tak surowo spojrział: „Nie warci wy mu pomnik stawiać, ręce jeszcze z krwi nie obeschły, a wy ze składką...” Struchlałem: „Toć nie my przecież, on — powiadam — i nas pokrzywdził, weksel za ojca podpisem sfał-

<sup>34</sup>cham (daw., pogard.) — człowiek niższego stanu, chłop; *chamstwo*: chłopstwo. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>statysta (daw.) — polityk, osoba biorąca udział w sprawach państwowych, mąż stanu, strateg (dziś: osoba niebędąca aktorem, a występująca w filmie lub sztuce teatralnej w roli podrzędnej). [przypis edytorski]

<sup>36</sup>Hotel Lambert — rezydencja w Paryżu, w XIX w. należąca do księżąt Czartoryskich, będąca głównym ośrodkiem Wielkiej Emigracji oraz emigracyjnego obozu politycznego. [przypis edytorski]



szował” — umyślnie już takem powiedział, bo przecież trzeba było dowieść, że pomiędzy nami solidarności żadnej: majątku żeby nie ruszali, bo to placówka narodowa, forpoczta. A jemu wszystko jedno: i tak zabójca, to cóż mu już tam marny weksel. Trzy miesiące żyliśmy w strasznym niepokoju; no, ale jakoś nic, wreszcie spotykam isprawnika w lecie już. „Za granicę — powiada — zbiegł, ukrył się”. Myślę: „Chwała Bogu — nie wróci. Wie przecież, co go czeka”. Chciałem mu nawet pieniędzy posłać — niechby już tam urządził się wygodnie, żył sobie. Ale to też niebezpieczna sprawa; myślę i myślę... jakby to zrobić? I tak znów parę lat przeszło. Znowu isprawnik najeżdża: „Krewny pański Michał w Petropawłowskiej Twierdzy<sup>37</sup>, w bezpiecznym miejscu, a jeżeli kto z rodziny zobaczyć się z nim chce, to się nie wzbrania...” Mówi, a sam oczami świdruje. Ja powiadam: „My go mało znamy, prawie że wcale nie, sympatii między nami nigdy nie było, to i spotkanie nieprzyjemne by być mogło, ale obowiązek chrześcijański pomóc każe, więc jeżeli pieniędzy potrzeba, to gotów jestem na ręce władzy”. Sto rubli isprawnik wziął i wciąż powtarza: „A widzieć się, jeżeli z rodziny kto chce, nie wzbrania się”. Pułapka jawna, po cóż by z taką natarczywością mówił? Powiadam więc: „W każdej rodzinie zdarzają się nieszczęścia, najlepsze wychowanie nie pomoże. Litować się nad zbrodniarzami nawet Bóg rozkazał, ale Michał Kaniowski ojca mojego, a swego stryja — był taki wypadek — ciężko obraził, siostrę moją cioteczną zgubił, więc właściwie obowiązek honoru satysfakcji by szukać u niego kazał; ale teraz on już wszelkich praw pozbawiony, więc ja to już rozumiem, że on do honorowej rozprawy nie zdolny całkiem, to odpuszczam mu już swoją urazę, pieniędzmi pomoc okazuję, ale widzieć nie chcę...” Isprawnik nawet za rękę mnie uściśnął: „Pozwól pan, że panu powinszuję takich uczuć” — powiada. A ja widzę: udało się. Były podobno podejrzenia, że ta niby sprzedaż majątku pozór tylko jest, ale od tego czasu przestano dochodzić — i kawałek ziemi w polskich rękach został. Tak to dyplomatyzować potrzeba. Nie o mnie przecież chodziło: gdyby można, zaraz byłbym Michałowi majątek oddał. Mnie cudzego nie potrzeba, ale to przecież i narodowa własność. I żalu ja do Michała żadnego nie miałem: jawna rzecz, nienormalny on był, całe życie narwany, a może i całkiem fiksat<sup>38</sup>. I sam widziałeś później: na niczym mu u nas nie zbywało, pieniędzy brał, ile chciał, i wcale sporo ich czasami brał, i dokądś posyłał. A gdyby nie moja na ten czas polityka, to byłiby go pewnie i do nas nie oddali, chociaż już za konającego mieli go i całkiem bez żadnej przytomności. No, wtenczas nie przychodziło mi nawet na myśl, że go oczy ludzkie żywym zobaczą; myślałem: „Męczyć zacząć, aby wydał, co wie, i tak zamęczą bez sądu...” Przeszedł czas; jest wiadomość: wyrokiem sądu na śmierć skazany, a w drodze łaski wyrok na katorgę wieczystą przemieniony. Koniec, myślimy, przepadł już człowiek na zawsze; Adelincia nawet uspokoiła się, w ciągłej enerwacji<sup>39</sup> żyła. Ale nie koniec to był jeszcze. Jużesmy i zapominać zaczęli o Michale, kiedy nagle przychodzi wezwanie z guberni: „Chorego umysłowo Michała Kaniowskiego na skutek prośby krewnego jego — takiego to: moje nazwisko wymienione — oddaje się pod opiekę rodziny”. Ja prośby nie podawałem, więc myślę: „Jawna sztuka policyjna”, ale w pół godziny najeżdża ekstrapocztą<sup>40</sup> jakaś pani w żałobie. Z początku nie bardzo jej dowierzałem, ale tak jej surowo z oczu patrzyło, całkiem mniszka, a o Michale z takim szacunkiem się odzywała i z takim żalem... To dawni przyjaciele Michała urządzili wszystko i prośbę moim nazwiskiem podpisali. „Tak było trzeba — powiadała ta dama — gdyby się byli chcieli przyczepić, mógł się pan wyprzeć, a udało się, to i tym lepiej”. Jakoż<sup>41</sup> pojechałem: oddali go, ani ręką, ani nogą ruszyć nie może, nie mówi prawie, bełkoce coś — trup więcej niż człowiek. Myślałem: „W drodze skończy”, ale dowiozłem jakoś. I powoli, powoli oprzytomniał, do siebie przyszedł. Przed władzami — isprawnik z początku często, później rzadziej najeżdżał — obłąkanego udawał, ale jeżeli prawdę powiedzieć, to myślę, że i w rzeczy samej niedobrze miał w głowie: sam z sobą po nocach rozmawiał na głos; posłuchasz, pomyśleć by można, że dwie lub trzy osoby mówią. Albo

<sup>37</sup> Twierdza Petropawłowska a. Pietropawłowska — twierdza w Petersburgu, najstarsza budowla w mieście, założona przez Piotra I na Wyspie Zajęczej; do 1917 odgrywała rolę więzienia politycznego. [przypis edytorski]

<sup>38</sup> fiksat (daw.) — wariat. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> enerwacja (daw.) — rozdrażnienie nerwowe; neuroza. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> ekstrapoczta (daw.) — bryczka pocztowa specjalnie wynajęta za droższą opłatę, jadąca szybciej niż zwykła. [przypis edytorski]

<sup>41</sup> jakoż (przestarz.) — spójnik akcentujący, że coś, o czym mowa wcześniej, jest prawdziwe, zaszło lub spełniło się; i rzeczywiście, i w samej rzeczy. [przypis edytorski]

jeszcze dziwny miał zwyczaj: stanie przy ścianie i puka w nią. Puka czasami dobrą godzinę. Pism i gazet sobie nasprawdzał na moje imię — rosyjskich najwięcej; tych, co u nas polskich było, nie czytał prawie, jakieś świstki nieznanego sobie wypisywał. Czytał i czytał, wypieków dostawał, kłął głośno, ze złości gazetę czasem w strzępy darł, a spytać go o co, to powie coś tak dziwnego, że zrozumieć trudno: krótko tak, urywkowo, zjadliwie. Męczył się bardzo: wyrzuty sumienia widać go gryzły — zawsze to przecież krew ludzka przelana, a i ojciec, Olesia. Z nami rozmawiać nie chciał, w starych papierach się grzebał, pisał coś. Papierzyśków po nim masa została.

Bez trudu udało mi się przekonać pana Walerego, że przechowywanie tych papierów może być dla niego w tych czasach nawet niebezpieczne.

W ten sposób doszedłem do posiadania zapisek i notat pana Michała. Pomiędzy nimi znalazłem ciągnący się poprzez wiele zeszytów rękopis, stanowiący jedną całość — do pewnego stopnia pamiętnik, to znowu jakby opowieść, wrażenia osobiste, to znowu niby wizja z pewnym wysiłkiem artystycznym odtworzona.

Na luźnej kartce znalazłem ołówkiem pisaną uwagę:

„Odcięty jestem od życia. Zetknięcie ze mną może być niebezpieczne i im żywszy człowiek, tym niebezpieczniejsze; nie wiem, co dzieje się w kraju: czuję pod piaskami krew i płomień. Ale piaski, piaski tłoczą wszystko grubą ławicą. Jeżeli dojdą kiedy te słowa...”

Tu zdanie się urywa.

I w innych rękopisach i papierach znalazłem wskazówki, że pisał pan Michał swoje wspomnienia z myślą, że one mogą być opublikowane.

Oddaję je do użytku publiczności.

Być może uda mi się z czasem uzupełnić ten przez niego samego skreślony obraz ludzi, wydarzeń, uczuć — wiadomościami o nim samym, z innych zaczerpniętymi źródeł.

## I. NA ZGLISZCZACH

I

Chciałoby się nie myśleć o niczym, przede wszystkim zaś nie przypominać. Zdawałoby się, że to nietrudno: raz na zawsze odwrócić myśl od tego, co nie wróci — oddać się wrażeniu chwili. Jest tyle rzeczy nie związanych z niczym, zwykłych. Jest tyle sposobów uczucia, widzenia, myślenia. Zdaje się, że od każdej chwili można by zacząć całkiem nowy rodzaj egzystencji. Przyjąć się takim, jakim się jest: i tyle.

W pierwszych chwilach, w pierwszych dniach wszystko sprawiało mi przyjemność. Patrzyłem głodnymi oczyma na zieleń trawy, upajałem się szumem drzew. Było mi nieskończenie dobrze: nie myślałem o niczym, przyglądałem się każdej rzeczy i cieszyłem się, że jest. Jest. Mniejsza o to, jakie znaczenie mają dla innych, żywych ludzi pewne jej właściwości. Jedne są im przyjemne, inne wstrętne i odrażające. Życie jest zawsze egoistyczne i jednostronne: ja miałem w sobie sprawiedliwość śmierci.

Gdzieś kiedyś widziałem stary cmentarz. Tak stary, że nie było już na nim ziemi innej prócz tej, jaka tworzyła się z prochów umarłych. Zieleń na tym cmentarzu była nadzwyczajnie świeża i soczysta; w powietrzu brzmiał nieustannie szmer owadów niby jakaś muzyka żyjąca. Rozlegała się wszędzie jednocześnie: w trawie, w powietrzu, brzmiał nią każdy ruch gałęzi czy listków, muskanych przez wiatr. Doznawało się tu wrażenia, że to szmerze życie samo, że to słyszy się jego puls, jego nieustanne drganie: że to dźwięczy i śpiewa samo rodzenie się i umieranie. Myślę, że gdyby cmentarz ten miał jakąś jedną, wielką, czującą duszę, czułaby ona taką nieustanną radość, że jest, jest każde źdźbło trawy, każdy owad. Tym umarłym, którzy tam z wolna stawali się trawą i rojem muszek brzęczących w powietrzu, i szmerem drzew, musiało się też niegdyś zdawać, że ważne, znaczące, dobre jest tylko to, co jest w nich, a poza nimi jest obojętność i martwota. Teraz rodziła się z nich szersza, spokojniejsza mądrość. Tylko nie myślę, żeby im trawy i krzaki szeptały do moją jakieś przypomnienia.

Było mi dobrze, dopóki nie zbudziła się pamięć.

A budziła się ona jakby ze wszystkich stron naraz, ciągle i niespodziewanie: tchnienie wiatru, musnięcie gałęzi, która nagle zlewała twarz świeżą rosą, świegot ptaków o brzasku

Szczęście

Cmentarz, Dusza, Radość,  
Natura

Wspomnienia, Melancholia

— wszystko to nagle wywlekało z duszy jakąś dawno utraconą chwilę, kiedy tak samo zieleniła się trawa, tak samo kwiliły ptaki.

I powstawała ta utracona, pogrzebana chwila, taka żywa, taka na nowo obecna, że słyszałem głosy, czułem dotknięcie rąk, i pozostawałem bardziej opuszczony.

Nie było przed wspomnieniami ratunku!

Włóczyły się po wszystkich zakątkach myślenia i czucia, jak upiory w księżycową noc w opuszczonym zamczysku.

Na wszystko, com widział, patrzeć zacząłem umarłymi oczyma. Wszystko stało się tylko przypomnieniem.

Każda rzecz szeptać zdawała się: już nie.

Cisza stała się głosem pamięci:

Leżę bez ruchu, nie widzę nic, nie myślę o niczym, naokoło ciemno i głucho, we mnie jest cicho, świat i dusza stały się jak próżna, rozwarta mogiła. Nie ma nic prócz tego czarnego czekania. I nagle przypominam sobie... Nie. To staje się samo przez się. Ta cisza staje się tamtą, dawniejszą, kiedyśmy wszyscy, porozdzielani poprzez więzienne ściany, nasłuchiwali szmerów, aby pochwycić to ostatnie, coś od nich usłyszeć mieli... ich kroki, kiedy ich prowadzono na śmierć.

I budzę się, i wiem, że nie doczekam się już nawet tych straszliwych ostatnich kroków, że to już nawet zostało utracone. I staje mi się nagle tak droga ta męka, że wydaje mi się najwyższym szczęściem czekać z sercem, które bije jak dzwon w płomieniach, to znowu zastyga w lodową tafłę, która słucha.

Wstaję, zbolalymi rękami dotykam znużonego ciała i wierzyć się nie chce, że to ja, ten sam, zmęczony, okaleczony, opalona, zwęglona głownia, tułam się tu i że to wszystko było, było...

Zewsząd napływa rój spojrzeń, uśmiechają się do mnie pogaszone oczy; przechodzą przede mną, widzę ich drogie, natchnione twarze. Widzę, zrywam się i wiem, wiem krótką, ostrą wiedzę, jaką się czuje chłód noża wbitego w serce: oni gdzieś gniją w opuszczonych, podeptanych mogiłach, a ja się włóczę po świecie, bezsilny trup, obciążony przekleństwem pamięci.

Modłę się do wszystkich rzeczy, błagając je, aby były inne.

Inne, nie te, jakimi widziałem je *wtedy*.

Przekonywam sam siebie bardzo logicznymi, niezwalczonymi sylogizmami<sup>42</sup>, że żadna chwila nie powraca, nie powtarza się nigdy, że nigdy kąpiący się nie zanurza się dwa razy w jedne i te same rzeczne fale. Ale dla mnie są one zawsze te same, ta sama trawa, to samo światło księżycy, te same promienie słońca.

Świat cały stał się wskrzesicielem upiorów.

Nie ma rzeczy, na której by nie ciążyła przeszłość. Zapach kwiatów rozbrzmiewa nagle w duszy śmiechem Perowskiej<sup>43</sup>, gałąź drzewa trąca mnie i na ramieniu czuję rękę Żelabowa<sup>44</sup>. Tę pajęczynę widziałem już kiedyś: tak samo trzepotała się i brzęczała w niej bezsilnie mucha — i nagle staje mi przed oczyma pomarszczona, brzydka twarz Klemensa<sup>45</sup>, widzę dobrotliwie chytry uśmiech w siwych oczach, rozchylają się zwiędłe wargi, ukazując nierówne, pożółkłe zęby. I nagle ściska serce najsroższy ból, zamykam oczy, skułam się w sobie i proszę, proszę jak dziecko: odejdz, odejdz. Ola. I czuję, jak kładzie mi na głowę rękę.

<sup>42</sup>sylogizm — schemat wnioskowania logicznego zbudowany z dwóch przesłanek i wniosku. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>Pierowska, *Sofia Lwowna* (1853–1881) — rosyjska rewolucjonistka, propagatorka i uczestniczka „wędrowek w lud”, skazana w tzw. procesie 193, po ucieczce działała w tajnej organizacji Ziemia i Wola, następnie w Narodnej Woli; współorganizatorka zamachów na cara Aleksandra II, w tym zakończonego powodzeniem ataku z 13 marca 1881; wraz z innymi zamachowcami aresztowana i stracona; żyła w nieformalnym związku z innym działaczem Narodnej Woli, Andriejem Żelabowem. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>Żelabow, *Andriej Iwanowicz* (1851–1881) — rewolucjonista rosyjski; początkowo przedstawiciel narodnictwa, prowadził działania propagandowe wśród robotników i studentów, później jeden z założycieli i przywódców Narodnej Woli; uczestniczył w zamachach na Aleksandra II, w tym w pierwszej fazie udanego ataku w marcu 1881; wraz z innymi zamachowcami aresztowany i stracony; żył w nieformalnym związku z inną przywódczynią Narodnej Woli, Zofią Perowską (Sofią Pierowską). [przypis edytorski]

<sup>45</sup>Klemens, popr.: *Klemenc, Dmitrij Aleksandrowicz* (1848–1914) — rosyjski działacz rewolucyjny, publicysta, etnograf; zbliżony do ruchu narodnickiego, następnie członek partii Ziemia i Wola, za działalność rewolucyjną zesłany na Syberię, gdzie zajmował się pracą naukową. [przypis edytorski]

Wspomnienia

Wspomnienia, Żaloba

Oła, Oła!

Przez długie lata doprosić się nie mogłem pamięci, aby wywołała twój utracony cień, nie mogłem przywołać ani oczu twoich, ani drogich popielatych włosów. Wtedy przecież ja byłem magnat i stać mnie było na lzy po przeszłości. Otaczała mnie orla gromadka, mieliśmy ręce jeszcze pełne piorunów i w sercach ogień i było nas wielu. Oła, dziś nie przychodz. Ten Michał, twój Michał dawniejszy, Miszuk-Niewidimka<sup>46</sup>, umarł, zginął, jego już nie ma.

I proszę, i błagam, i łzami krwawymi się modłę.

Po co mi księżyc świeci do mogiły?

I po co pada wonny róży liść?

Po co słowika śpiew umarłe budzi serce?...

Odejdź, Oła. I nie przychodz, nie przychodz... Wiem, że znikniesz. A kiedy patrzysz, to twoje oczy mówią tylko: nie ma. To jedno już tylko umieją mówić — twoje miękkie, twoje aksamitne oczy.

A one były blaskiem, poprzez które świeciły dla mnie i słońca, i gwiazdy, a teraz patrzy na mnie z nich śmierć i mogiła, pustka czarna pamięci: Nie ma! Nie ma!

Po spalonym lesie pozostałem nadwęglony, współspróchniały pień: z martwego cielska wyrósł pęk białych, zielonych listeczków. Są chore, nikłe, ale są, ale szumią: śni się umarłemu drzewu o dębach wiekowych, o sosnach pachnących, o srebrnopiennych brzozech, śnią mu się burze i wichry, orłów krzyk pod czarnymi chmurami.

Zerwijcie zieleń, ogień podłóźcie i popiół przeorcie. I niech przyjdą kruki, by zaśpiewać tę jedyną, tę ostatnią pieśń:

że zastygły już serca płonące,  
że zagasły oczy widzące,  
że męźnych mogiły już w ziemię wdeptane,  
że łąki kwieciste przez śmierć zaorane.

Że tylko śmierć patrzy pustką oczodołów:

Rosły dęby, rosły,  
w niebiosą sięgały,  
dumnymi czołami  
gromom uragały.  
Przyszła śmierć mocarka,  
w pług zaprzęgała woły,  
woły czarne, ślepe,  
w ciężki pług przeznaczeń:  
kędy<sup>47</sup> one przejdą,  
tam już step zwęglony,  
czarny, pusty, bez końca,  
tam już tylko pamięci  
męka niemilkająca.

Jestem przecież w domu, gdzie żyłem wraz z tobą, Oła! Widuję co dzień ludzi, którzy ciebie znali, z którymi ty rozmawiałaś. Otaczają mnie sprzęty i ściany, które pamiętać powinny brzmienie twojego głosu, szelest i dotknięcie twoich sukien — a to wszystko nie przypomina mi nic.

Myślę, że to moja świadomość czuwa z tej strony, przygotowana jest do napaści i rozstawiła strażę.

Wspomnienia podchodzą znieścacka: nie słyszę, nie czuję ich zbliżania się, a oto już są koło mnie, już spoczęła na oczach twoja ręka.

O, zawrzyj je.

Tak dobrze byłoby skonać.

<sup>46</sup>niewidimka (ros.) — niewidzialny. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>kędy (daw.) — gdzie. [przypis edytorski]

A kiedy będę umierał: rozewrze się pamięć jak szereg niezamieszkałych pokoiów,  
pusta, chłodna, milcząca.

Nic... nic...

Patrzą stare sprzęty i milczą...

Na dworze słońce jesienna, długa słońca.

Zamknąłem się w starej połowie domu. Znam tu każdy mebel, każdy kąt: mógłbym  
po ciemku, omackiem trafić do każdej potrzebnej mi rzeczy.

Deszcz chlupie o szyby, od czasu do czasu uderzy o nie gałąź drzewa. Stary ogród  
rozrósł się i wybujał: zagładają do mnie stare przyjaciółki — lipy, topole, brzozy płaczące. Patrzą. Kiwają żałośnie swymi bezlistnymi gałęziami. Pamiętają małego Michasia o jasnej, kędzierzawej główce i niebieskich oczach, widzą teraz nagi, poraniony czerep, cały w zmarszczkach i bliznach.

Deszcz pluszcze i płacze, a stare drzewa stukają w szyby pytając:

Co z tobą? Co z tobą? Gdzieś ty był? Gdzieś ty był?

Myśmy tu stały latem i zimą, w pogodę i słońce, patrzyłyśmy w okna, nasze gałęzie  
stukwały, stukwały — biły o szyby, kiedy tutaj umierał stary, siwy pan.

Gdzieżeś ty był, gdzieżeś ty był, samotny, dziwny człowieku?

Chyli się na ręce goły łeb, duszą łyzy, pierś rozdziera łkanie.

A deszcz pluszcze, pluszcze.

A gałęzie do okien patrzają i dziwią się:

Jak dziecko płacze, jak dziecko szlocha — stary człowiek, dziwny człowiek — Miszuk-  
-Niewidimka.

2

Ho, ho! Jaki ty pan, jaki ty pan, jaki magnat — stary, łysy Miszuk!

Magnat ty, bogacz, szczęśliwy człowiek! Swego szczęścia nie znał, o nim nie wiedział!

Przyszli dobrzy ludzie i powiedzieli, dobrzy ludzie przyszli, pocieszyli.

Dobrzy ludzie serca mają czule — oni wiedzą: ciężko żyć z ojcowskim gniewem,  
z ojcowskim gniewem, co się nie odmieni, bo przywaliła go czarna, głucha ziemia.

Dobrzy ludzie myślą: ciężko wspominać w noc, kiedy stare drzewa pukają o szyby,  
jak się rozstawało na wieki, na odwiecznie głuche nigdy-niespotkanie z tą parą rąk ojcowskich, ciepłych, miękkich, z parą oczu, co ze ściany patrzają z portretu, a siwą, jasną głową, co w samotne noce tyle czarnych, trujących przemyślała myśli.

Ty — Miszuk, wielki, możny pan. Tyś myślał, że ono się ścięło, stwardniało w kamień  
w gorzkim, nieubłaganym gniewie, to stare, to zmęczone, to, co już nie bije — serce ojcowskie.

Nieprawdaż, Miszuk, takeś myślał: — to ci ciążyło.

Bo i jakże! Przeciw woli ojca poszedł, ojca zagniewał!

Dobrzy ludzie cię, Miszuk, pocieszyli. Dobrzy ludzie, Miszuk, miękkie mają serca.

Ty się cieszą, Miszuk, cieszą się.

On płakał — słyszysz? On tu chodził, chodził; noc całe chodził, ręce łamał. Deszcz  
pluskał, gałęzie stukwały — on myślał, że to ty, że to tak, jak wtedy — w tę noc.

On biegł do drzwi otwierać i z gołą głową stał w nocy na wietrze, na deszczu i w czarną  
noc wołał: „Michaś, Michaś!”

Ho, ho! Miszuk, jaki ty bogaty! Tobie dobrzy ludzie teraz opowiedzieli, jaki ty masz  
skarb.

Skarb nie byle jaki!

Wiesz ty, ile lat trwa noc bezsenna, noc na czekaniu spędzona, kiedy się czeka na coś,  
co nie przyjdzie.

Ty to wiesz, ty to wiesz, Miszuk.

Ty i czarne noce — to jakby rodzeństwo.

A wiesz ty, ile w taką noc można łez wypłakać?

A każda łza była ciężka, bo płakało nią stare, męskie serce.

A spadała na siwe, srebrne wąsy, ciekła po nich.

Miszuk, Miszuk — tobie darowali tyle łez ojcowskich.

A każdą łzą można się otruć na wieki.

Deszcz, Melancholia

Ojciec, Noc

Ojciec, Syn, Serce, Łzy,  
Noc, Wiatr, Deszcz,  
Tęsknota

3

Stare drzewa szumią, szumią, szumią.

Deszcz o szyby bije niby lzy.

Cicho... stary zegar szepce, chrapie, stęka.

Napracował się on — nie byle co on mierzył. Mierzył noce, kiedy na wielkim łożu konał stary pan. Stary pan umierał, a wciąż nasłuchiwał:

Podejdzie do okna, zapuka. Stary słuch może zawiesić, może nie dosłyszeć.

Zrywał się, siadał na łożku i słuchał, słuchał, a zegar: cyk, cyk... — mierzył. Mierzył krótkie, szybkie, ostatnie już chwile. Stare serce cicho kołatało.

Jeszcze, jeszcze — nadejdzie, zobaczy, usłyszy — powiem mu.

Cyk... cyk... — syczał zegar.

Nie wraca, nie wraca nic, nic... Nie wraca, nie wraca nikt, nikt...

Deszcz o szyby chlupał, gałęzie stukwały; i mijały chwile: jedna za drugą — szybkie, nieubłagane.

A każda, kiedy nadchodziła, to mówiła: jeszcze — a kiedy mijała, to szeptała: już nie, już nie.

Już nie, już nie — syczał zegar.

A wreszcie przyszła chwila i szepnęła: nigdy — spadła na oczy noc, a na myśli kamień.

Stare serce jeszcze tylko zaszepotało:

Michaś, błogosła...

Oj, bogacz ty — bogacz — Miszuc-Niewidimka. Dobrzy ludzie ci podarowali skarb.

Ojciec, Tęsknota, Śmierć

4

I o czym ty tu, staruszk, w długie noce myślał? Coś zrozumiał, po czymś tak płakał? Czy płakało w tobie tylko stare, ojcowskie serce? Czy łamała się duma rodowa? Czyś ty tylko mnie tak oplakiwał, czy z przeszłością całą się żegnał? I cóż ty chciał mi powiedzieć, gdybym przyszedł? I kogóż ty wołał, kogoś czekał? Michasia Kaniowskiego, swojego Michasia, któregoś na kolana brał, gdyś mu w długie wieczory opowiadał, jak się ojcowie i praojcowie twoi rąbali z Niemcami, Szwedami, Turkami. A gdzieżbyś ty tego Michasia po świecie szukał? To wszystko pogrzebane w jednym starym, wielkim grobie. A otwierać go nie trzeba. Słyszysz, staruszk: nie trzeba. Tak samo ci powiadam, jak i wtedy. Co umarło, nie wstanie, i *dobrze*, że nie wstanie, słyszysz, *dobrze*. Bo gdyby powstały trupy, odkryłbyś jeszcze na czołach, odartych z ciała, słowo: *hańba*. I ten Michaś, co po zdracach, ciemnościach płakał, co tęsknił do nich, umarł, umarł razem z nimi. Jego Miszuc sobie z sercem wydarł i tam cisnął do wspólnej mogiły. A cóż byśmy mogli sobie powiedzieć ty i *ja* — ja, Miszuc, człowiek, co tyle miał nazwisk, że nie wie, które jest jego. I żał mi ciebie, staruszk, i twojego Michasia żał. Teraz mógłbym już was pożałować, nad wami popłakać. Do niczego innego jużem<sup>48</sup> się nie zdał?

Staję przed twoim portretem i patrzę w twoje oczy. Patrzę w twoje oczy i myślę, odgadnąć usiłuję, z jaką tyś się duszą kładł do grobu? Komuż ty błogosławieństwo swoje przekazywał? Kogo widzieć chciał: Michasia, co zbłądził, zbłąkał się, w wir wpadł, czy też mnie — Miszuka?

Mnie?

To widzisz, staruszk, teraz ja z tobą mówić mogę.

Michasia nie ma. Miszuka nie ma — obaj oni są już pogrzebani. Teraz staję przed tobą taki sam, jak ty, stary, jak ty, zmęczony, jak ty, opuszczony.

Teraz może my by się i porozumieli. Ale z tamtym, z Miszukiem, o czym byś ty gadał. I chociażby on zrozumiał twój stary ból ojcowski, i chociażby samemu w piersi serce tak jak pies szczekało, ostrym zębem rwało piersi, nie ustąpiłby ci on ani jednego słowa, ani w ostatnią twoją godzinę na pociechę twoją wiary by swojej się nie wyrzekł. O czym by wy z sobą mówić mogli? My, ludzie starzy, ludzie, co wszystko swoje potracili, pogrzebali, my już nie znamy żadnych walk, żadnych idei, o tym — niech już inni, niechaj żywi myślą. A nam wolno o smutkach swoich, opuszczeniach i sieroctwach porozmawiać.

Tylko jakaż to będzie rozmowa...

Ojciec, Syn, Historia, Grób,  
Hańba, Łzy

Starość, Smutek

<sup>48</sup>jużem się nie zdał — przykład ruchomej końcówki fleksyjnej czasownika; inaczej: już się nie zdałem, nie przydałem. [przypis edytorski]



Gdybyś ty żył, staruszk, wziąłbym ja twoje ręce i położył na swoją łysą głowę, i zrozumiałbyś, że Michasia już nie ma i Miszuka już nie ma, a jest już niepotrzebna pamięć o tym, jak kiedyś żywi ludzie żyli, jak sobie zatrutymi, ostrymi słowami serca szarpali.

I nagadaliśmy sobie tych słów trujących.

Tylko ty nie myśl, że ja tobie oddam Miszuka i że ja się go dla ciebie wyrzeknę, dlatego tylko, żeś ty synka miał Michasia o jasnej główce i żeś ty po nim w długie bezsenne noce płakał.

Ty biedny i ja biedny, a Miszuka ja tobie nie oddam.

I to bym tylko wiedzieć chciał, czy do Miszuka ty, czy do Michasia wyciągał ręce.

Ale myślę, skądżeby do Miszuka, co ty wiedzieć mógł o nim, wnuk kasztelański?

A ty myślisz może, że ja tu przyszedłem tobie słuszość przyznać, że ja do ciebie wracam, zbłąkany Michałek, przepraszać za to wszystko, co Miszuk nabroił, że ja do starych wspomnień odbywać będę pokutniczą pielgrzymkę.

A jeżeli ty tak myślisz, staruszk, to ty Miszuka nie znasz: nie znasz ty serca jego i Miszukowej *nowej*, mocnej wiary. A Miszukowa wiara jest mocna, bo ona jest, jak czarna ziemia, tak szeroka, bo ona z niej wyrosła, a tyś myślał, że Miszuk ją wyczytał z nowomodnych, złych książek.

I patrzysz ty na mnie, i uśmiechasz się po swojemu, mądrze, pańsko.

Mówisz: I cóż? — Myśli twoje uśmiechają się: — I cóż? Dużo wywalczyli? Szubieniec, katorgę, wieczne więzienie.

Siebie zgubił, Olę zgubił, a przyjaciół twoich rozszarpały już kruki i wrony albo gniją oni za więziennym murem.

I nie będę ci mówił, że mi Miszuka nie żal. I Oli mi żal, i druhów — przyjaciół: orłów i sokołów.

Tylko to ci powiem, że gdyby ode mnie zależało wszystko wrócić, to ja, kaleka, ja, na wpół trup, powiedziałbym jeszcze raz: tak trzeba. Tyle jeszcze we mnie z Miszuka pozostało.

Wziąłbym ja gazetę, zaczął ci, staruszk, czytać, co robią twoje hetmańskie, kasztelańskie wnuki — jak łaszą się, jak się korzą... A na Miszuka ty mi nic nie powiadaj.

Patrzysz na mnie ze ściany i pytasz mądrymi oczyma: dlaczego?

A ja siedzę przed tobą i myślę, że był czas, kiedy umiałbym na to pytanie odpowiedzieć — Miszuk odpowiedziałby ci: on wiedział, jak to i dlaczego wszystko to być musiało.

A czegoż ty więcej ode mnie chcesz.

Co mi pozostało? — pytasz.

Umierać, staruszk, umierać.

Buntownik

5

Śnieg poprzysypywał wszystko: wyrzeć poprzez okno, wszędzie biała, równa płachta. I nic...

Puste uliczki ogrodu, drzewa zwieszają nad nimi gałęzie. Nikt nie idzie przez ogród, nikt nie przyjdzie już do mnie, tylko śmierć. Śnieg poprzysypywał mogiły — żaden głos nie odpowiada krukowi i wronom.

Stary Tychon zapalił na kominku ogień.

Z trzaskiem pali się drzewo. Przemykam oczy i śnią się, i śnią się sny bez końca.

A wszystko to było, było. A nie wróci nigdy z tego nic.

Zamykam oczy i nie myślę. I wiem, że kiedy je otworzę, ujrzę przed sobą to samo:

Tam na stoliku leży zwitek papierów. Ta ręka, która je pisała, dawno w jakimś nieznanym śpi grobie.

Wiem, że będę szczęśliwy, jak król, jak bóg, kiedy będę czytać, gdy przemówi ona do mnie z tych wyblakłym atramentem zapisanych kartek.

Ale wiem, że głos zamilknie i zostanę sam.

Tęsknota! Tęsknota.

Niedobrze jest mieć przyjaciół w mogiłach, jak niedobrze...

Tyle słów miłości było w sercu, a ja wam ich nie wypowiedziałem nigdy, kiedyście jeszcze byli żywi.

Teraz to wszystko się budzi.

Wyciągam do was ręce, serce samo szepce coś, uśmiecha się do was, płacze.

Zima

Żaloba, Tęsknota

Ogień tylko trzeszczy na kominku.  
A za oknem cicho... śnieg i śnieg.  
Stare gałęzie pochylały się nad uliczką — a po uliczce nie przyjdzie tu już do mnie nikt.

\*

Teraz już wiem, Oleńko, co mi zostało: siądę tu sobie, będę wspominać... Chodzą po starej pamięci drogie cienie jak duchy w księżycową noc...

Złorzeczą wam i urągają, błotem obrzucają wasze mogiły, płatne pismaki znęcają się nad waszymi imionami. Stary Miszuk, ten by was bronił inaczej, a ten, co jest, nic nie może, tylko wspominać, wspominać.

Siądę tu sobie przed kominkiem i opowiem tobie, Oleńka, tobie, staruszkę, samemu sobie: co było, jak było, jak się orle serca łamały, zmagaly, jak je chłoneła noc... A twoich kartek, Oleńka, nie dam, nie oddam nikomu: z sobą je wezmę do trumny. Wiem, że umarłym jest wszystko jedno, ale umierającym potrzeba pocieszenia...

A ja taki sam jestem, taki opuszczony, taki sam...

Taki sam ze swoją pamięcią, niby z opuszczonym domem, po którym włóczą się po-grzebane, umęczone cienie...

## II. SIELSKIE-ANIELSKIE

I

Pamiętam jasny wiosenny dzień. Ziemia miękko uginała się pod kopytami koni. Szły one tuż obok siebie, tak że co chwila ocieraliśmy się o siebie nogą o nogę. Po obu stronach wąskiej dróżki były zarośnięte krzakami i powyginanymi w dziwaczne kształty drzewami jary. Na ich dnie szemrały strumienie. Woda ściekała tysiącami srebrnych jęczyczków i żyłek i napelniała powietrze jakby stłumionym swym metalicznym śpiewem. Od czasu do czasu wpadał w tę płynną muzykę przeraźliwy, ostry głos jakiegoś ptaka. Po błękitnym niebie płynęły białe obłoki. Było nam dobrze i nie chciało się mówić.

Wracając jednak do starych nawyknień, zacząłem:

— Tu dobrze byłoby urządzić zasadzkę.

Adaś spojrział na mnie jakby zdumiony. Potem zaś rzekł:

— Skąd znowu, z jaru byłoby się ciężko wydobywać.

Potem popędził konia. Od wczorajszego wieczora nie zdołaliśmy się jeszcze z nim rozmówić. Odstąpiłem mu lepszego wierzchowca i teraz ciężko mi było go dopędzić.

Z wolna i my, i konie podniecaliśmy się tą gonitwą i tak pędziliśmy po ścieżynce, chłostani przez bezlistne gałęzie. Wreszcie Adaś zatrzymał konia i skoczył na ziemię: tu wpadał do jaru z łoskotem strumień, unosząc w swym biegu olbrzymie, spróchniałe kłody drzewa.

Kiedym nadjechał, Adaś już siedział na pniaku.

Zeskoczyłem z konia.

— Ty wciąż o tym samym jeszcze myślisz? — rzekł.

Zdziwiłem się, gdyż w tej samej chwili poczułem, że spodziewałem się tego pytania. Jednocześnie poczułem także, że nie wrócimy już do dawnych rozmów.

Dramatyzująca wyobraźnia usiłowała już zaklasyfikować sytuację. Co to będzie właściwie: rozłam wewnętrzny pomiędzy dwoma przyjaciółmi, zwątpienie...

Było bowiem dla nas obu od roku wiadomą już rzeczą, że odegramy wielką rolę.

Mazzini<sup>49</sup> i Garibaldi<sup>50</sup>.

Nie mogliśmy tylko w marzeniach nawet zdecydować, komu z nas przypadnie rola wodza, a komu spiskowca.

<sup>49</sup>Mazzini, *Giuseppe* (1805–1872) — włoski rewolucjonista, prawnik i dziennikarz, założyciel i przywódca tajnej demokratycznej organizacji Młode Włochy, razem z Garibaldim walczył o wyzwolenie spod panowania austriackiego i zjednoczenie Włoch. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>Garibaldi, *Giuseppe* (1807–1882) — włoski rewolucjonista, żołnierz i polityk, przywódca walk o niepodległość i zjednoczenie Włoch, bohater narodowy Włoch. Działalność polityczną rozpoczął od wstąpienia do tajnej organizacji Młode Włochy oraz udziału w w nieudanym powstaniu sabaudzkim pod wodzą Mazziniego (1834). [przypis edytorski]

Zresztą nie mówiliśmy z sobą o tym wyraźnie.

Był to pomiędzy nami pewien rodzaj uczuciowej gry. Bez żadnych umów nie mąci-  
liśmy jeden drugiemu tonu.

Ale Adaś był zawsze bardziej skupiony w sobie i zamknięty. I nieraz już myślałem,  
jak na polu bitwy po wielkim zwycięstwie, ja, tryumfujący krwią wrogów i miłością ludu  
okryty wódz, chyłę głowę przed nim, samotnym i nieznanym mistrzem. Przed człowie-  
kiem, życie którego będzie: samotność i wieczna tajemnica...

Niedługo potem umrze on. Lub stanie się to nawet przed zwycięstwem. I wtedy ja  
poprowadzę tłumy na mogiłę, rzucę na nią swój wieniec dębowy i krwawy miecz: *ecce  
victor*<sup>51</sup>.

Ileż to razy już słyszałem naokoło siebie ryk armat, szcęk broni, świst kul i woła-  
nie tłumy. Marzyły mi się jakieś olbrzymie, bajeczne równiny, na których ścierały się  
nieprawdopodobne tłumy zbrojnych...

Mój kasztan niósł mnie już nieraz wśród pól brzęczących pochylonymi kłosami, jak  
gdyby wśród rozstępujących się przed wyzwolicielem tłumów.

Wiedziałem dobrze, że Adaś żyje w podobnym świecie. Słowa nasze poznawały się bez  
trudu, jak bliźnięta w jednej i tej samej zrodzone godzinie.

Nie widziałem Adasia pół roku.

Miał on wtedy osiemnaście lat, starszy ode mnie o kilka miesięcy.

— Dawnośmy się nie widzieli — rzekł.

Wydało mi się to jakimś uroczystym wstępem.

Czas wykopuje przepaści prędzej, niż się je dostrzeżę... Usiłowałem odgadnąć, co  
nastąpi, i szukałem tonu.

W końcu zaś powiedział mi:

— Czyś dowiedział się czego?

Byliśmy przekonani zawsze, że muszą już naokoło nas być elementy spisku, gotowa  
i potężna organizacja. Nie mogliśmy sobie wytłumaczyć inaczej tej ciszy i spokoju. Tyle  
krwi przelanej, tyle upokorzeń: i nic. Milczenie i spokój. W tym musi coś być. Jest to  
groźny spokój przed burzą. I przyglądaliśmy się bacznie spotykanym ludziom. Ten coś  
ukrywa — myśleliśmy. I nieraz już wyznaczaliśmy znajomym naszym role, o jakich się  
im nie śniło.

Księdza Kuleszę podejrzewaliśmy wręcz o najgroźniejsze zamiary.

Adaś nawet twierdził, że ma on żołnierskie ruchy.

To będzie Mackiewicz<sup>52</sup> — zdecydowaliśmy.

Byłem przykro zdumiony, raz o późnym wieczorze zaskoczywszy w całkiem niedwu-  
znacznej pozycji naszego Mackiewicza z piękną Oleną, żoną stangreta Mikołaja...

Czy może powstaniec uwodzić córki ludu...

Czas jakiś nawet układaliśmy krwawy dramat.

Co dzieje się w duszy Mikołaja. Jaki bunt, jaki głuchy gniew?

Raz jednak usłyszeliśmy, jak wołał po pijanemu:

— Jak cej ksiądz mnie nie da tutoczki zaraz karbowanica<sup>53</sup>, to ja jemu — ja drogę do  
dziekana znaju...

I w kilka chwil potem widzieliśmy, jak mający żołnierskie ruchy ksiądz bił białą ręką  
raz po razie w twarz wyższego od siebie o głowę Mikołaja.

Głowa Mikołaja chwiała się po każdym uderzeniu, a on sam chwycił się księżych  
ramion i usiłował księdza pocałować w łokieć.

Wypadek ten na jakiś czas zmienił nasz bieg myśli. Była w nim bowiem jeszcze jedna  
osoba interesująca, Olena.

Jak ona może? Gdy kocha księdza, jak może żyć z mężem?

— Kobiety wszystkie są takie — zdecydował Adaś. — Ja jestem przekonany —  
dodał — że w gruncie rzeczy one wszystkie myślą o rozpuście.

Tajemnice kobiecej duszy zajmować nas zaczęły w sposób całkiem groźny dla poli-  
tycznych planów.

<sup>51</sup>*ecce victor* (łac.) — oto zwycięzca. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*Mackiewicz, Antoni* (1826 lub 1828–1863) — ksiądz, jeden z inicjatorów i przywódców powstania styczni-  
wego na Litwie. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*karbowanec* — tu: dawna potoczna ukraińska nazwa rubla. [przypis edytorski]

Ksiądz

Kobieta, Pożądanie

— Czy wiesz — rzekł Adaś — że są kobiety, które można kupić?  
Czytałem o tym u Szekspira. Scena, w której porwana dziewczyna dowiaduje się, że wystawiona jest na sprzedaż<sup>54</sup>, robiła na mnie zawsze dziwne wrażenie.

— One to czynią wbrew własnej woli...

— Aha, wierz im tam — rzekł Adaś. — ja jestem przekonany, że Bourienka się dziwi, dlaczego ty jej nie zaczepiasz.

Bourienka była guwernantką<sup>55</sup> mojej kuzynki Oli.

Zaczerwieniłem się... Bąknąłem coś, że my nie powinniśmy myśleć o kobietach. Życie nasze musi przejść bez miłości i szczęścia.

— Tak — rzekł Adaś — ale nie można tłumić w sobie namiętności. Namiętność to siła. Zresztą nieraz w obozie powstańców obowiązki adiutantów pełnią młode, zakochane w dowódcy panny.

W rozmowach naszych temat ten zaczął powracać coraz częściej...

Raz w nocy Adaś zapytał:

— Słuchaj, co byś uczynił, gdybyś wziął do niewoli córkę wroga, jakiegoś wielkiego zbrodniarza?

Zapieкло mnie to; takie myśli przychodziły już mi nieraz.

Tych wakacyj odprowadzałem Adasia do Krasnego.

Zmienialiśmy tam konie i popasali.

Potem Adaś miał jechać dalej, ja zaś, popasłszy konie, wracać do domu.

Podczas obiadu wypiliśmy butelkę starego miodu, włożoną nam do koszałki<sup>56</sup> przez Tychona.

Adaś po obiedzie kazał podać kawę i koniak. Wniosła nam to wszystko na tacy młoda dziewczyna o smagłej twarzy i czarnych oczach. Oczy jej nie patrzyły na nas, ale kąćki ust lekko drżały jakby w powstrzymywanym uśmiechu. Ubrana była w biały kaftanik. Gdy stawiała tacę na stół, ręka jej i pierś otarły się niemal o twarz Adasia. Na twarz jego wystąpiły płomienie.

Gdy dziewczyna wyszła, Adaś zwrócił się do mnie:

— Ty wiesz — rzekł — jestem pewien, że ona jest *taka*.

Po obiedzie Adaś odjechał. Mieliśmy jeszcze zostać z godzinę.

Leżałem na brudnej kanapce w zajędnym pokoju: pałacy niepokój ogarnął mnie. Było duszno. Zasnąłem męczącym snem. Obudził mnie jakiś szmer. Otworzyłem oczy: to dziewczyna sprzątała ze stołu...

— Jak się nazywasz? — spytałem.

— Bejła — odpowiedziała i zaczerwieniła się.

Wstałem z kanapy i drżąc na myśl o własnym zuchwalstwie, położyłem swą rękę na jej plecach.

Dziewczyna stała bez ruchu. Plecy jej lekko drżały pod moją dłońią. Po chwili odwróciła się i oczy jej spojrzały na mnie jakby z drwiącą zachętą i wyzwaniem.

Nie wiedząc, co czynię, objąłem ją i zacząłem całować. Nie opierała się, nagle wyśliźnęła się z moich rąk. We drzwiach stał Spirydion, furman.

— Nie możemy jechać, paniczu, trzeba zanocować: Siwka zakulała...

Jakaś dzika radość i strach ścisnęły mi serce.

Czułem, że to zrobię.

Kupię sobie tę dziewczynę i będę ją miał.

W tej właśnie formie skryształizowała się we mnie ta myśl. Czułem rozkosz w samym przeświadczeniu, że można kupić, mieć jak rzecz to młode, tajemnicze, kobiece ciało. Do mnie będą należały jej usta, jej piersi, cała drżąca, giętka postać.

Jednocześnie czułem podłość tego wszystkiego...

Wybiegłem z pokoju.

Miasteczko było małe i błotniste.

Na rynku przechadzało się kilku Żydów. Jeden z nich, spostrzegłszy nieznajomego, przystąpił z chytrą miną.

Pożądanie, Pocałunek

Kobieta "upadła"

<sup>54</sup>u Szekspira (...) porwana dziewczyna dowiaduje się, że wystawiona jest na sprzedaż — Szekspir, *Perykles*, akt IV, scena 2. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>guwernantka — prywatna, domowa nauczycielka i wychowawczyni. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>koszałka (daw.) — wiklinowy koszyk z przykrywką, służący zwykle do noszenia jedzenia. [przypis edytorski]

— Panu dobrodziejowi czego nie potrzeba...

Zaprzeczyłem.

— Może tytoniu?

— Nie.

Zniżył głos:

— Może ładnej dziewczyny? Mam bardzo porządne dziewczęta...

— Nic mi nie potrzeba...

— Jak to może być: nic nie potrzeba? Taki młody pan? Jak to może być? Ona jest całkiem porządna dziewczyna.

Z wielkim trudem oswobodziłem się od niego.

Wybiegłem z miasta i wydostałem się na jakieś wzgórze, i usiadłem.

Cóż to jest? — myślałem. — Więc to tak jawnie i systematycznie? Kobiece ciało jest rzecz, którą się nabywa, sprzedaje? Przed chwilą mogłem sobie kupić dziewczynę, której nie widziałem na oczy. I była obowiązana mnie całować, pieścić.

Cóż się dzieje z duszami tych kobiet? Czy one mają duszę? Czy one czują, że są tylko rzeczą? A może one istotnie to lubią. Bejła przecież zaczepiała mnie sama? Cóż to jest kobieta?

Przechodziła przede mną galeria znanych mi postaci, pań z sąsiedztwa.

Czy i one są takie?

Są inne, czy dlatego tylko, że nie ułożyło się im tak życie.

Czy taka pani Henrieta może kochać swojego męża? A przecież ma dzieci. Więc on ze swoim brzuchem, ze swoim czerwonym nosem... Widziałem obraz tak potworny i wstrętny, że dławilem się z obrzydzenia. A jednocześnie było coś słodkiego w tym wpatrywaniu się wewnętrznym w bezgraniczne upokorzenie pięknej pani. Pani Henrieta była naszą piękną prowincjonalną. Na wieczorkach tańczących i przyjęciach modliłem się nieraz do jej cudownego wdzięku. Drżałem ze strachu, że zauważy ten mój dziecinny podziw. Teraz upajałem się zatrutą myślą. Twój mąż, pijanica i karciarz, może zrobić każdej chwili z tobą to, co ja zrobię dziś z Bejlą. Zrobię. Było to już we mnie postanowione. Kiedy tak jest, jak jest, trzeba wyciągnąć swoje wnioski. Czulem głęboką, mściwą wzgardę dla kobiety. I jednocześnie myślałem, czy Adaś przeżywa też sam z sobą takie duszne, piekące chwile. Co dzieje się w duszy człowieka? I co to wszystko jest?

Patrzyłem oszołomionymi oczami na brudne miasteczko. Gnieźdzą się w błocie setki ludzi. Biorą się gdzieś po brudnych kątach i piwnicach, płodzą dzieci. Więc to jest życie? A potem przychodzi chwila, gdy zamykają na wieki oczy i wtedy ciska się ich w ziemię na pożarcie robakom. I tak wszystko się kończy. I tak będzie ze mną. Zakopią mnie po prostu w ziemi, zamkną w drewnianej skrzynce. A nad moją głową będzie to samo, to samo bez końca.

Poczułem rozpacz, jakiej nie znałem nigdy przedtem. Silny, przesywający bunt przeciwko śmierci.

Słyszycie! Ja nie chcę, aby to było! Ja nie chcę, aby przyszła ta chwila, gdy będę już leżał — trup — w czarnej ziemi. Nie chcę! Nie chcę...

W kościele zaczęto dzwonić.

Roześmiałem się...

Nieśmiertelna dusza, zbawienie, sąd — cha, cha, cha.

Chciałbym pójść do kościoła krzyknąć: kłamstwo!

Kłamstwo to wszystko — obrazy, dzwony, sakramenty.

A jednocześnie obracał mi się w sercu tępy nóż.

I cóż z tego? I cóż z tego? Czy przez to nie umrzesz? Czy przez to przewycięzysz śmierć?

Nienawidziłem życia w tej chwili.

Po co urodziłem się, aby teraz żyć i czekać na tę straszną rzecz, która się stać musi?

Po co ja jestem?

Nie było mnie, a teraz jestem i męcę się, i będę się tak męczył bez końca — jak robak wbity na szpilkę. I nie ma ratunku, nie ma nadziei.

Ona jest już i czeka na mnie, śmierć.

Będę leżał na cmentarzu w ziemi.

Kondycja ludzka

Śmierć, Kondycja ludzka

Nie ucieknę od tego obrzydzenia, zawsze przyjdzie to samo: skostnienie, martwota i rozkład.

I tak jest z każdym.

W tej chwili zapomniałem o Bejle, kobietach, zapomniałem, że mamy stoczyć walkę z wrogiem, knuć spiski...

Po co? Po co? Jestem przecież sam, nędzny, drżący wobec śmierci, która mnie schłonie, rzucony na pożarcie ziemi, kłębiącym się w niej czerwom.

Taki sam jestem, taki sam.

Z poprzetrącanymi kośćmi, rozbity — dowlokłem się do mieszkania.

Było już późno. Podano mi kolację. Zażądałem wódki, wypilem dwa czy trzy kieliszki. Bejły nie było widać.

Pokój był duszny i brudny. Przez otwarte, na zanieczyszczony rynek wychodzące okna nie wpływało żadne świeże tchnienie. Jałowa nuda kładła się na piersi. Pod wpływem wódki w głowie migotały jakieś strzępy myśli.

Tutaj więc schodzi ludziom życie. To jedyne, po którym nie będzie nic. O czym myśli ten siwy Żyd, właściciel zajazdu. On tu przeżył dziesiątki lat, był młody tu i tu się zestarzał. Tu umrze. A ziemia przecież jest tak wielka. Są kraje nieznanne z innymi ludźmi i innymi widokami. I człowiek tak schodzi w grób, nic nie widząc. Co dzieje się pod czaszką ludzi, którzy tu przeżywają lata? Czy kochała kiedy ta brudna, stara Żydowica w peruce, wpatrzona z taką dziwną bezmyślnością w rozpościerającą się pod samymi oknami jej domu gnojówkę?

I inna myśl, jeszcze bardziej nieprawdopodobna.

Więc i w dniu, kiedy wleczono pomiędzy szeregi kozaków wziętego do niewoli Kościuszkę, więc i w tym dniu, gdy tam w jednym sercu krwawiła się cała ziemia — tu i w tysiącu innych punktów, w sercach tysięcy i milionowych mrowisk ludzkich — było to samo.

Człowiek! człowiek!

Ile pokoleń Murzynów zatłuczono, zaszczuto psami na plantacjach bawełny?

Co dzieje się teraz z człowiekiem?

Tysiące Eskimosów zamarza w swoich śniegowych budach, psy plantatorów tropią za Murzynami, sto tysięcy kobiet wystawione jest na sprzedaż i przechodzi z jednych rąk do drugich. Brudna pleśń myśląca? Jakiż sens ma to wszystko? I czy ma jakiś sens?

I najniespodziewaniej roztwierały się przede mną obrazy i przypuszczenia najdziwniejsze.

Mógłbym pojechać do Konstantynopola, przyjąć islam, mieć harem, kupować sobie Czerkieski, Greczynki, Turczynki. Wszystkie wpatrywałyby się we mnie przerażonymi oczami.

Mógłbym być teraz Murzynem, szczutym przez psy.

Mógłbym być pańszczyźnianym chłopem i słuchać pod oknem w wiśniowym sadzie, jak dziedzic gwałci moją żonę...

Kobieta, nagie kobiece ciało, coraz częściej przewijać się zaczęło w mych myślach.

Nie zapalając światła, położyłem się.

Muchy brzęczały nade mną.

Dotknięcie ich przejmowało mnie wstrętem. Jeszcze żyję przecież. Jeszcze jestem człowiekiem, nie kupą gnoju.

I przecież to wszystko, to wszystko, co przesuwają mi się przez głowę niby zbrodnicza bajka, to nie fantazja, nie wymysł — to prawda.

Prawdą jest to skąpane w krwi, dyszące gwałtem, zwierzęce istnienie ludzi, niewiedzących nic o sobie.

Chrystus odkupił człowieka!

Ha, ha!

Drzwi skrzyknęły.

— Pan dobrodziej już śpi — zagadnął ochrypnięty głos właściciela zajazdu.

Poruszyłem się...

Żyd zapalił zapałkę i zasłaniając ją dłonią, podszedł bliżej.

Nachylił się nade mną.

Żyd, Kondycja ludzka

Kondycja ludzka

Pożądanie, Przemoc, Seks

Żyd, Handel, Seks



— Czy pan dobrodziej nie każe, aby tu przyszła Bejła? O nią już się inni goście dominiwali. Ale ja wiem, jaśnie dziedzica z Topolówki syn; taki gość, taki gość! Mój ojciec z jaśnie panem Celestynem jeździł, kiedy on za Napolionem<sup>57</sup> szedł. Handlował, konie dostawał... Taki pan. Taki pan! — Żyd cmoknął. — I tak zginął... Co to było, jak się o tym jaśnie pani hrabina, jego mamcia, dowiedziała... Ajej! A jaki pogrzeb był! Tęgo sukna czarnego ile było w kościele... Ajej! Taki pan! A jaki siarczyty był — nu, nu! To ja każę Bejle, żeby przyszła — zakończył najniespodziewaniej.

Milczałem...

W duszy rozrastała się pajęcza pewność.

Przeszła długa chwila.

Drzwi zaskrzypiały znów.

Nie zapalałem światła.

Serce biło drapieźnie i cicho...

Zbliżały się lekkie, ciche kroki. Szła niby obłok gorącej mgły.

Wyciągnąłem rękę: spotkała włosy, opadła na nagie ramiona.

Ciało dziewczyny, gorące, nie do uwierzenia prawdziwe, spadło na mnie. Jej pierś musnęła moje ciało. Miałem ją w rękach swych twór rzeczywisty i dziwny: kobietę.

Okrutna bajka stała się ciałem i krwią.

Zajrzałem w oczy dziewczyny: było w nich jakby zdziwienie.

Ręce moje błądziły po jej ciele, usta bełkotały:

— Bejła, Bejła...

Nie wiedziałem, co czynię.

Inny człowiek, którego nie znałem, rzucał się na to młode ciało, wpijał się w nie, chwycił gorącymi wargami jej ramiona, gryzł je z jakimś skowytym. To znowu podnosił się i dźwigał w ramionach dziewczynę, patrzył w nią osłupiałym wzrokiem.

To jest ona — tajemnica myśli najskrytszych: naga kobieta — rzecz.

I zaciskały się znów kurczowo ramiona.

Na dnie duszy coś okrutnego wołało wciąż o nową rozkosz, o nowy dowód władzy nad tym dyszącym ciałem.

Z piersi dziewczyny wydobywał się cichy jęk.

Podnosiła się i siadała.

Oszalała ją ta namiętność i szal.

Ile razy musiała ona już leżeć w objęciach coraz to innych ludzi.

Zerwała się i cała naga otoczyła mi szyję ramionami. Zagadką czarnych oczu patrzyła we mnie.

Przez zaciśnięte zęby wyrzywały się niezrozumiałe słowa.

— Ty!

Pociągnęła mnie na swoje piersi.

— Mój miły, mój miły! Ja tobie taka wdzięczna, taka wdzięczna.

I jak spazm płaczu posypały się słowa.

— Tyś mnie nie bił, ty mnie nie parzył papierosem po gołym ciele i nie śmiał się, kiedy płakała. Ja się tobie podobałam, jakbym naprawdę była twoja. Tyś na mnie nie krzychał jak na zwierzę.

W oczach jej błyszczały łzy.

Zacząłem jej coś opowiadać. Mówiłem, że ludzie są nieszczęśliwi. Że ja umrę i ona umrze. Że nie wiadomo po co wyłoniła się z brudnej miazgi świata myśl. Mówiłem, że miliony kobiet znajduje się w takim położeniu.

— Mnie namawiają, żeby jechała do Rygi — mówiła mi — ale boję się. Róża jeździła do Odessy. I jak wróciła!... Śliczna dziewczyna była. A teraz co. Szkielet — taka chuda, i kaszle. A co opowiada. Pięciu, sześciu gości co noc. A w dzień, jak się trafi. A najgorsi to są marynarze. A ja się dowiedziałam, że Ryga także port. Ale pewnie trzeba będzie jechać. Tu też źle. I nic nie można zebrać. Ach, żeby pojechać do dużego miasta. I mieć tylko jednego kochanka. Ale musiałby być pan, chodzić w cienkiej, pachnącej koszuli.

<sup>57</sup>Napolion — Napoleon (Bonaparte). [przypis edytorski]

I tak siedzieliśmy przy sobie otuleni kołdrą, na wpół nadzy. Przez otwarte okno do-  
latywały dźwięki harmoniki. Ktoś pijany śpiewał ochryplym głosem. Nagle rozległ się  
krzyk.

Bejła drgnęła...

— To krzyczy Lia — rzekła. — Ją dzisiaj Jankiel do stanowego<sup>58</sup> prowadził. On, jak  
jest pijany, zawsze harapnikiem<sup>59</sup> bije. — Plecy jej drżały wstrząsane nerwowym dresz-  
czem. — On i jeszcze jeden akcyzny<sup>60</sup>. Zamkną okiennice, spuszcza rolety. Kaza się  
rozbierać i gołej tańczyć. Jeden gra na harmonii, a drugi tańczy, a nie, to albo papiero-  
sem skórę osmali, albo harapnikiem. I żeby zapłacił choć! Ale! — Wydeła pogardliwie  
usta. — Co on da, co on może dać? A akcyzny jest żonaty. I raz żona go złapała tak  
u stanowego z Rózią; ona wtedy jeszcze do Odessy nie jeździła. Wpada i łup go w pysk,  
a potem Rózię. Pazurami jej całą twarz rozdrapała, a później, tak jak była, golusienką  
z domu wypędziła na ulicę. Gorącą wodą oparzyć ją chciała... Myślę, że pojedę do Rygi.  
Tam, mówią, dom taki, gdzie same generały chodzą. I nie biją. Gospodyni nie da palcem  
tknąć.

— I po co to? — pytałem.

— Co po co?

— Życ po co. No, i cóż z tego będzie, tak czy owak, tu czy tam, zestarzejesz się,  
zniszczy cię to życie. I co?...

Nie mogła zrozumieć.

— Czasami dorobi się która, a czasami oficer się zakocha, do domu weźmie. A zresz-  
tą co? Jak ja teraz mogę inaczej. I tak przynajmniej nie gotuję, nie piorę, nie biegam  
z kosztami po mieście. Gdybym ja jeszcze suknię miała. Do Rygi trzeba suknię: ot, taką  
z dekolte — pokazała — jedwabna suknia i rękawiczki, i buciki.

Zarzuciła mi ręce na szyję i siadła mi na kolanach.

— Ja ciebie pieścić, całować będę i wszystko, co chcesz, możesz ze mną robić, wszyst-  
ko, co chcesz. Ale daj mi pieniędzy, daj mi dużo pieniędzy. Dziesięć rubli dasz? Co dasz?  
Sięgnąłem do szuflady.

Pieniądzy nigdy mi nie skąpiono. Zgarnąłem, co miałem. Było tego pewnie ze trzy-  
dzieści rubli.

Bejła nie liczyła; poczuła w ręku, że jest dużo: więcej niż dziesięć rubli.

Z gardła jej wydarł się dziki, ptasi krzyk.

Zerwała się z moich kolan i naga tańczyć zaczęła przede mną jakiś dziwny, namiętny,  
szalony taniec.

Kręciło mi się w głowie.

Kiedym się obudził, Bejła spała. Leżała na wznak z rękami złożonymi pod głową.  
Wydawała mi się odrażająca, bezwstydną. Nie mogłem zrozumieć, jak mogłem znieść  
obok siebie to rozpasane, zbrukane ciało. Wstałem i zacząłem się ubierać. Bejła otworzyła  
oczy i popatrzyła na mnie, nie poznając. Nagle przypomniała sobie. Schwyciła ze stolika  
pieniądze i zaczęła naciągać koszulę...

— Ty powiedz — mówiła — żeś mi dał trzy ruble. Inaczej odbiorą mi. — I wybiegła  
z pokoju.

Z ciężką i mętną głową wracałem do domu, z poczuciem, że się dopuścił jakiejś  
zdrady.

Przez kilka dni nie miałem odwagi poruszać myśli, którymi zwykle żyłem. Nie czy-  
tałem ulubionych książek. Myśli snuły się, bezwładne i nudne. Nad wszystkim innym  
dominowało poczucie upływania czasu. Przechodziły chwile bezlitosne, a przecież każda  
z nich unosiła cząstkę mojego życia. Mijały, puste i na wieki stracone.

W bibliotece mojego ojca wpadły mi w rękę *Mysli* Pascala<sup>61</sup>; zaczytywałem się nimi  
teraz. Te potężne, jak skaliste szczyty, aforyzmy wyrażały to, co się działo we mnie. Nie

<sup>58</sup>stanowy, właśc. *prystaw stanowy* (z ros.) — okręgowy urzędnik policji w Rosji carskiej, sprawował władzę  
nad stanem, okręgiem policyjno-administracyjnym złożonym z kilku gmin; 2-3 stany tworzyły powiat (ujezd).  
[przypis edytorski]

<sup>59</sup>harapnik — harap, bicz z krótką rękojeścią i długim plecionym rzemieniem. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>akcyzny (z ros.) — w carskiej Rosji urzędnik skarbowy zajmujący się dochodami z akcyzy. [przypis edy-  
torski]

<sup>61</sup>Pascal, Blaise (1623-1662) — fr. matematyk, fizyk i filozof religii; po 1654 porzucił nauki ścisłe na rzecz  
filozofii i teologii; powstały wówczas jego najsłynniejsze dzieła: *Mysli* i *Prowincjałki*. [przypis edytorski]

mogłem się zdobyć tylko na rozpacz wiary. Na próżno przypominałem sobie to, co Pascal mówił o duchowym automacie. W ciągu nocy klękałem i klęczałem godzinami całymi na zimnej podłodze. Powtarzałem słowa pacierza i tworzyłem własne rozpaczliwe, namiętne modlitwy. Ale na dnie duszy wiedziałem, że nie będzie z tego nic, co więcej, czułem, że gardziłbym sobą, gdybym uwierzył. Czułem, że byłby to upadek. Ale ludzie żyją przecież — myślałem. Staralem się przekonać sam siebie, że nedorzeczna i upokarzająca jest ta moja straszliwa, przesywająca na wskroś, jak oszczep, obawa śmierci. Tyle razy marzyłem przecież, że umrę na polu bitwy. Było to na próżno. Wtedy nie pojmowałem śmierci. Teraz stała ona przede mną i patrzyła oko w oko. Jednocześnie zaś rozwinęła się we mnie cicha, przeraźliwa pogarda życia. Myśl, że co noc ciała ludzkie dyszą w namiętnej szale — napępiała mnie odrazą. Miłość, życie wydawały mi się nudną i cikliwą komedią. Z wolna wracałem do swoich dawnych marzeń. Czyniłem to teraz jednak bez wiary już i ze złym sumieniem.

I dlatego z pewną trwogą myślałem o spotkaniu z Adasiem, i dlatego bałem się, aby spotkanie to nie odebrało mi samej możliwości marzenia. Wmawiałem sam w siebie, że goręcej niż kiedykolwiek myślę o życiu walki i zmagania się z najeźdźcą.

Na dnie jednak leżała ławica obojętności.

Polska, niepodległość — i cóż? Czy zmienisz się ty? Czy zmieni się ksiądz Kulesza, stryj Florian, drżący przed swoją kucharką i bity przez nią? Czy życie ludzkie przestanie być tym, czym jest: potworną, cuchnącą nedorzecznością?... Czy nie tak samo rozplynę się bez śladu, zginę na zawsze pod ciężarem mogilnej ziemi? Czy zmieni się cokolwiek bądź z tych rzeczy?

Nie. Wszystko pozostanie tak samo bezlitośnie bezcelowe.

Ale gdyby mi odebrano i te marzenia, pozostałaby już tylko nieznośna, naga pustka.

Jednocześnie zaczęło mnie drażnić wszystko, co jeszcze przed kilkoma miesiącami przyjmowałem z dobrą wiarą.

Nad łóżkiem moim wisiał stary ryngraf<sup>62</sup> z Matką Boską Częstochowską. W dawniejszych moich robinsonadach wojowniczych odgrywał on zawsze wielką rolę. Teraz patrzyłem nań z gniewem. Po co trzymam tu tę blachę?... Puste wydawały mi się wszystkie patriotyczne westchnienia ciotki Emilii. Te wszystkie odsieczy wiedeńskie, Grunwaldy, Jadwigi i święte Kingi.

Pamiętam, z jakim zdziwieniem spojrzała na mnie Ola, kiedy raz w braku innego audytorium wypowiedział jej, co myślę o ksiązkach, któreśmy niedawno jeszcze czytali razem.

— Nie ma co się rozrzewniać nad tymi niedołączami i mazgajami, przez nich jesteście na dnie. Kto kazał królowi Janowi chodzić pod Wiedeń? Papież? Co jemu do papieża? Kościuszko powinien był rozdać ziemię chłopom, szlachtę wywieszać, byłby wypędził Moskali. I po co nam każą myśleć o tym wszystkim? Po co nam nie dają żyć?

Dziewczynka uciekła i odtąd, ile razy matka jej przy mnie zaczynała jakieś ze swych ulubionych opowiadań, patrzyła na mnie jakby z prośbą czy strachem.

W parę dni, spotkawszy mnie, powiedziała:

— Mama nie ma nikogo, tatuś zginął za ojczyznę, więc nie trzeba jej martwić. Mama już stara i nie ma nic prócz pamiętek. Jak ja dorosnę, wszystko oddam chłopom.

Wtedy ja jednak nie miałem czasu zwracać uwagi na Ołę.

Myśli moje wszystkie pochłonięte były przez jedno: Bóg i śmierć.

Miewałem chwile, kiedy wszystkie zwątpienia moje wydawały mi się tylko moją winą, kiedy lękałem się, że spotka mnie za nie kara.

Nie umiałem już wierzyć, ale nie umiałem też sobie wyobrazić świata bez Boga i zbawienia. Pozostawała pustka, ból i strach.

Toteż drgnąłem, kiedy Adaś w lesie zapytał mnie krótko:

— Czy ty jeszcze wierzysz w Boga?

Nie podniosłem oczu i odpowiedziałem sucho:

— Nie.

Adaś wstał i przeszedł się nerwowo po polanie, w końcu rzekł:

Polska, Kondycja ludzka

Ojczyzna, Bunt

<sup>62</sup>ryngraf — medalion z godłem państwowym bądź wizerunkiem Maryi, zwykle w kształcie tarczy lub pół-księżycy. [przypis edytorski]

— Jakich ja ludzi poznałem, jakich ludzi. Wiesz, Karakozow<sup>63</sup> wcale nie za wyzwolenie włościan strzelał do cesarza. On był socjalista.

Pierwszy raz wtedy w rozmowie, nie w książce, spotkałem ten święty wyraz.

A Adaś mówił. Mówił, że ludzie schodzą całymi pokoleniami w mogiłę, tam oczekując poza grobem sprawiedliwości i nagrody. Czują więc, że tutejsze życie jest niedorzecznością. Inaczej nie wierzyliby, że istnieje, że potrzebne jest inne.

— Czy rozumiesz, od czasu, jak człowiek istnieje, ludzie giną z tym przekonaniem, że to, co pozostawiają za sobą, to nie było życie, czują, że nie żyli, że zostali oszukani o życie całe. I cała historia to jest takie schodzenie w grób zamęczonych, oszukanych milionów. I człowiek śmie się nazywać rozumną istotą.

Teraz zaczęliśmy mówić na przemian, wyrywaliśmy jeden drugiemu zdania, myśli, zwroty.

Trzeba walczyć o to, żeby człowiek już tu żył, aby nie przeciekało mu szczęście i życie pomiędzy palcami, aby je miał.

— Czy ty rozumiesz — wołał Adaś — dlaczego musiały upadać nasze powstania? Chłop był nawozem wdeptanym w ziemię. Czy mu nie wszystko jedno było, co z niego wyrośnie? I czy nam nie wszystko jedno? Ojczyzna to taki przypadek, jak i wszystko inne. Człowiek wyrodził się ze zwierzęcia. Popowstawały różne jego odmiany. Cóż z tym wspólnego ma rozum? Czy czytałeś Darwina? To wszystko kłamstwo, co oni tu śpiewają, że jego nikt nie uznaje. Cały świat już przyjął jego naukę. To my tylko w Polsce chcemy ocalić się wężaniem kadzidła. A w Europie powstało olbrzymie stowarzyszenie międzynarodowe dążące do tego, aby świat należał do pracujących.

I jedna za drugą wybiegały z ust jego idee, jedna od drugiej śmielsza.

Człowiek — dziecień przypadku, krwi i nocy — sam sięgał po władzę nad sobą.

— Czy chcesz, czy chcesz walczyć razem z nimi o prawo człowieka, o ludzkość?

Nie trzeba było pytać.

Wracaliśmy do domu szczęśliwi i dumni.

Na jakimś zakręcie drogi spostrzegłem kobietę dźwigającą brzemię drzewa.

Pokazałem ją Adasiowi oczyma.

Uśmiechnął się do mnie i pojechaliśmy w cwał.

Kobieta nie przypuszczała, że mijano ją w tej chwili dwóch mesjaszów. Naręcz drzewa nie stała się przez to lżejsza.

Kiedym zsiadł z konia, schwyciło mnie nagle wspomnienie Bejły i jego ohyda. Wydałem się sam sobie na wieki stracony.

Ale ja nie wiedziałem wtedy — tłumaczyłem się sam przed sobą.

Pomimo to schwyciłem Adasia za rękę:

— Słuchaj — rzekłem — ty wiesz, ja raz, niedawno, skrzywdziłem ciężko kobietę.

Adaś spojrział mi w oczy i uśmiechnął się smutnie.

— I ty — rzekł — już. — A potem nagle dodał: — myśleć o swoich grzechach mogą tylko próżniacy. Człowiek powinien iść w przyszłość.

Gdy wymawiał jedno z takich zdań, oczyma prosił o pobjażanie dla jego górności. Był to jego wdzięk.

2

Adaś Bielecki był naszym dalekim kuzynem.

Jego ojciec, straciwszy dość znaczny majątek, osiadł w małym miasteczku podolskim i żył z zapomóg, udzielanych mu przez rodzinę. W domu Adasia wszystko żyło wspomnieniami lepszych czasów, plotkami i dewocją. Atmosfera była trudna do zniesienia. Nikt tu nie podnosił głosu. Przeciwnie, wszyscy mówili słodkim, przyciszonym tonem, spotrzebowując niesłychaną ilość wyrazów zdrobniałych. „Stryjeńciunia”, „proboszczyczek”, „tatusieczek”, „mamuleczka” — nie schodziły tu z ust. Nie przeszkadzało to bynajmniej temu, że życie ojca Adasia, jego matki i dwóch siostr schodziło na systematycznym zagryzaniu się.

<sup>63</sup>Karakozow, Dmitrij Władimirowicz (1840–1866) — rosyjski rewolucjonista, w 1866 jako pierwszy podjął próbę zamachu na Aleksandra II. [przypis edytorski]

Nie umiem sobie wytłumaczyć powstania w takim środowisku Adasia. Poznałem go czternastoletnim chłopcem<sup>64</sup> i od razu zadziwił mnie on stanowczością sądów i zdecydowaniem woli. Organizm jego duchowy musiał albo zginąć w otoczeniu, jakim była rodzina Bieleckich, albo musiał sam z siebie wydobyć własną ochronę. Adaś znalazł ją w ironicznej wzgardzie względem wszystkiego, co go otaczało.

Nie umiem określić sobie charakteru jego uczuć w stosunku do rodziców i siostr. Nie był to żaden żal, lecz chłodne i ostateczne zwątpienie, ciche i systematyczne przechodzenie do porządku dziennego.

W tym środowisku najbliższym nauczył się Adaś polegać wyłącznie na sobie, nie dowierzać żadnej powadze. Przy tym zewnętrzne niedowiarstwo to i ironia rozpościerały się i na niego samego. O sobie samym mówił on tym samym tonem gardzącego pobłażania i szyderstwa, jaki był mu właściwy w stosunku do innych. Trzeba było go dobrze poznać, aby spostrzec, że pozwala on sobie marzyć o rzeczach wielkich i szczytnych, że w głębi serca miał gorące pragnienie wiary i wielką, niewyczerpalną zdolność entuzjazmu.

Długie lata nie miałem żadnego rówieśnika. Może dlatego w stosunku do mnie dość szybko stopniała odporna powłoka, poza którą zamykał się Adaś ze swym wewnętrznym życiem. W długie wieczory i popołudnia wypowiedzieliśmy sobie wszystko, co zdołały wypracować nasze własne umysły i serca. Niedługiego czasu trzeba było, byśmy zrozumieli, że dla żadnego z nas nie pozostało tajemnicą, jakie pokłady zobojętnienia, niewiary, służalstwa, egoizmu ukrywają się poza obłudą patriotycznego frazesu.

— Szkaplerzyki<sup>65</sup> — rzekł Adaś z głuchą złością któregoś poobiedzia. — Duszę oni wyciągną tymi szkaplerzykami. Niech albo robią coś, giną, głowami o ściany wałą, albo przestaną jęczeć o tej swojej nieszczęśliwej ojczyźnie.

Gdy doszła nas jakaś biografia Garibaldiego, wpadliśmy w prawdziwy szał. Odtąd nie mówiliśmy o niczym innym.

Ale od czasu do czasu Adaś zamyślał się:

— A co my z grzechotnikami porobimy — potem? Toć<sup>66</sup> te wszystkie poświęcane mumie wtedy dopiero powypelzają i pęcznieć będą. Teraz kryją się jeszcze po kątach i zakątkach.

Nie mogliśmy zrozumieć spokoju naokoło nas i nieustannie przypuszczaliśmy, że dzień każdy może nam przynieść wiadomość o gotującym się wybuchu. Nasłuchiwaaliśmy, lecz nie słyszeliśmy nic prócz syku tchórzostwa, bezsilnego wzdychania albo przejrzystej blagi.

Mojego ojca Adaś szanował za jego milczenie i spokój.

— Twój stary ma charakter — mówił — on się tak zaciął, że do niego już nic nie dostąpi.

Natomiast o swojej rodzinie miał zawsze coś do opowiedzenia.

— Mój tatuńcio — rzekł — po ocaleniu cesarza od Karakozowa iluminację sobie na swój prywatny użytek zrobił i isprawnikowi gratulować chodził we fraku i białym krawacie. A o Berezowskim<sup>67</sup> mówił: „On musi być z Rusinów, bo żaden z Polaków królóbóstwem się nigdy nie splamił”.

Tej wiosny miałem właśnie pojechać do rodziny Adasia, by tam razem z nim złożyć egzamin dojrzałości. Cieszyliśmy się, że spędzimy parę miesięcy razem. Później Adaś miał jechać do Kijowa, gdzie przy uniwersytecie było jakieś stypendium imienia Bieleckich. Ja marzyłem o Petersburgu lub zagranicą. Teraz szczególnie, gdy mieliśmy niewyczerpany zasób tematów i myśli w naszej nowej wierze, uśmiechał się nam ten wspólny paromiesięczny pobyt. Przy tym Adaś nie przestawał powtarzać: „Jakich ludzi poznasz, jakich ludzi”. Wreszcie na początku maja znaleźliśmy się w Niemirowie. Stary pan January Bielecki powitał nas już w bramie.

<sup>64</sup>Poznałem go czternastoletnim chłopcem — poznałem go jako czternastoletniego chłopca. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>szkaplerz — dwa małe kawałki materiału z imieniem lub wizerunkiem Matki Boskiej lub Chrystusa, połączone tasiemkami, noszone na piersiach, pod ubraniem; sukienki szkaplerz bywa zastępowany medalikiem. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>toć (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>Berezowski, Antoni (1847–ok. 1916) — polski szlachcic, powstaniec styczniowy, w 1867 dokonał w Paryżu nieudanego zamachu na cara Aleksandra II. [przypis edytorski]

— Co za gość! Co za gość! — wołał, rozstawiając ręce. — Wykapany kuzyn Oktawiusz. Gość w domu — Bóg w domu. Chociaż zmienną koleją rzeczy Bieleccy teraz na szaraczki zesli, ale zawsze, panie dobrodzieju, stać mnie na to, aby takiego gościa przyjąć. Jakbym samego pana Oktawiusza przyjął. Ojczulek pana dobrodzieja statysta, o, ministerialna głowa, dyplomata, panie dobrodzieju. Synek pewnie w ojczulka pójdzie. Niedaleko jabłko od jabłoni. Ja, panie dobrodzieju, na chudopacholskim<sup>68</sup> zawsze koniku, więc i mój dryblas, panie dobrodzieju, uczciwszy uszy, prochu nie wynalazł, ale uczciwość, nieskalane imię, panie dobrodzieju, ojciec przekazał mu i bojaźń bożą, więc i w senatorskim domu wstydu nikomu nic przyniesie.

Stary pan plótl tak bez końca, gestykulując i podreptując.

Nadeszła i reszta rodziny.

— A my właśnie, kuzynku, serce — wołała mama — z majowego nabożeństwa wracamy. Jak mówił ksiądz wikary, jak anioł Nincia się splakała, a Bincia w tej chwili jest jeszcze zachwycona.

— Słowo kapłańskie jest pokrzepieniem duszy — rzekł pan January.

— Nieszczęśliwemu narodowi nic prócz modlitwy nie pozostało. Zlatuje do naszego lochu jak gołębica i ziarnem swoim nas zasila. Ja co dzień padam na kolana i mówię: „Bóg wziął, Bóg da i niech imię jego będzie pochwalone”.

— A ksiądz Wincenty taki patriota — mówiła panna Nincia — dzisiaj nazwał na głos Matkę Boską — Królową Polską.

— U... u... — rzekł pan Bielecki — ryzykuje, ryzykuje. Ale Bóg czuwa nad wybranym swoim.

— Albo kiedy mówił — rzekła panna Bincia — „na lwa srogiego bez obawy siedziesz i na okrutnym smoku jeździć będziesz”<sup>69</sup>, to już tam na pewno coś innego myślał. Bo ilekroć coś patriotycznego pomyśli podczas kazania, to wzdycha...

— Ależ nie! — rzekł Adaś. — Obciera nos.

— Młody człowieku — rzekł pan Bielecki — młody człowieku, zapewniam cię, iż pomimo że na stoliku twoim znalazłem książkę, która wyprowadza człowieka od małpy, jesteś moim synem, a ja nie ścierpię, aby Bielecki ubliżał wierze świętej. Bo co pozostało oprócz wiary? Reszta wszystko przemija, a Bóg jest wieczny, jak powiedział Tertulian<sup>70</sup>.

Siedziałem jak na rozpalonych węglach. Ale Adaś nie robił sobie nic z tego wszystkiego.

— Pójdziemy do mego pokoju — rzekł. — To — dodał w drodze — stary na twoje powitanie tak się wysadził, ale on ochłonie.

Jednak nie ochłonał.

Po chwili z kuchni doleciał nas przeraźliwy krzyk. Płakała jakaś baba, piskliwym głosem wykrzykiwała pani Bielecka, grzmiał sam ojciec rodziny.

— Zaczyna się — rzekł Adaś. — Nie niepokój się, to kucharka upomina się o pensję, ona to czyni raz na tydzień.

Przy kolacji zjawił się natchniony ksiądz Wincenty i jakiś urzędnik, nie wiem już, pocztowo-telegraficzny czy sądowy. Urzędnik pił, kieliszek za kieliszkiem, pomarańczówkę, a ksiądz Wincenty bawił damy.

Od czasu do czasu uważał za stosowne zwracać na mnie uwagę i zaszczycać mnie jakimś pytaniem. Dowiedziawszy się, że chcę jechać do Petersburga, rzekł:

— Naturalnie, dobrej krwi i szlachetnym tradycjom nie zagraża to żadnym niebezpieczeństwem, ale słyszałem, dużo słyszałem o szerzącej się wśród młodzieży tamtejszej niewierze. W Boga nie wierzą, Kościoła nie uznają, człowieka nazywają zwierzęciem i wolną miłość propagują.

— Księżę dobrodzieju... — rzekła pani Bielecka i pokazała oczyma na córki.

Naród, Modlitwa, Ksiądz,  
Wiara

Alkohol

Ksiądz

<sup>68</sup>chudopacholek (daw.) — ubogi szlachcic. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>na lwa srogiego bez obawy siedziesz i na okrutnym smoku jeździć będziesz — fragm. biblijnego psalmu 91 w tłumaczeniu Jana Kochanowskiego. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>Tertulian, właśc. *Quintus Septimius Florens Tertullianus* (ok. 155–ok. 240) — teolog chrześcijański z Afryki Płn., pierwszy z piszących po łacinie; przeszedł na chrześcijaństwo ok. 197; płodny apologeta; ok. 207 roku zerwał z Kościołem Rzymu i przeszedł do bardziej rygorystycznych moralnie i religijnie montanistów. [przypis edytorski]



— A przepraszam — rzekł ksiądz — ale słowo kapłańskie jest jak zefir<sup>71</sup>, który kwiatów nie zwarzy, i owszem, czyste lilie zwracają ku niemu swe kielichy i wypuszczają dziwne aromaty.

— Oni — odezwał się urzędnik — psa zjedli.

— Kto? — zapytał się pan Bielecki.

— Nihilisci<sup>72</sup> — rzekł — niedowiarki. Że to przesąd niby. Mieszkają sobie wszyscy razem na kupie, i jeden miał psa. I mogę powiedzieć, wyżła zjedli.

— Gdy duch święty opuści człowieka, staje się on jako Nabuchodonozor<sup>73</sup> trawą żywiący się — rzekł ksiądz. — A zresztą skoro człowiek jest zwierzę i pies zwierzę, to dlaczego jedno zwierzę nie ma jeść drugiego zwierzęcia? Czy nieprawdaż? I nadziwić się niepodobna, jak mógł im duch zaprzeczenia tak pomieszać rozumy. Bo i cóż mówi ten ich Darwin? Człowiek i zwierzę jedno jest. Otóż jeżeli wziąć Chińczyka albo Murzyna, albo innego dzikiego człowieka i światłem wiary świętej go oświecić, stanie się jak każdy z nas. A czy zdołał kto uczynić to z prosięciem, szczenięciem albo innym zwierzęciem, które lubo<sup>74</sup> koło człowieka przebywa, w naturze zwierzęcej swojej pozostaje.

— Nie biją ich — rzekł urzędnik. — Cała rzecz w tym. Ja bym tam tak. Nie wierzysz, sto różeg, nie wierzysz, jeszcze sto, i zaraz by ci świeczki w oczach stanęły.

— Pana dobrodzieja dużo bili — zwrócił się Adaś.

— Adam, wyrodne dziecko — zasyczał pan Bielecki — zakazuję ci. Ty nie myśl, żeś maturzysta. Ja, ojciec, ci mówię, że jeśli nie przeprosisz szanownego pana i gościa w tej chwili, to ja, ojciec, ciebie własnoręcznie, słyszysz, staropolskim zwyczajem. Ja człowiek starej daty i nie będę zważał na lata.

Adaś zerwał się błądy.

— Niech ojciec nie próbuje — rzekł przez zęby.

— Co, co? — pieniał się stary. — Jakim tonem do ojca? Przy obcych ludziach. O czasy, czasy. Kiedy Karpiński<sup>75</sup> wracał ze szkół, ojciec, gdy wszedł do izby, chcąc się przekonać, czy syn bojaźń bożą, a szacunek dla rodziców zachował, w twarz go uderzył. I cóż uczynił szlachetny młodzieniec? Do ręki rodzicielskiej się nachylił i do ust ją podniósł. A dziś... Przeprosisz szanownego pana czy nie...

— Ale cóż tam znowu! — rzekł urzędnik. — Ja się nie gniewam. To, panie, młodość. Ale bo też prawa teraz. Ojciec powinien mieć prawo posłać na policję z kartką: tyle a tyle gorących a świeżych<sup>76</sup>. I wyspaliby, i po wszystkim. A co do tego, czy ja bity nie był, to powiem wprost. Dużom był bity. Ja w seminarium i bursiem<sup>77</sup> się chowałem. To mogę powiedzieć, więcej niż trzysta razy bity byłem, nie byle jak. Z solą i podniesieniem bili. A ojciec Atanas łoży<sup>78</sup> miał w spirytusie maczane, giętkie a mocne. Bili, i Panu Bogu dziękuję, że bili, do końca życia wspominać nie przestanę. Nacierpiał się człowiek, ale rozumu nabrał, charakteru. Nas w bursie nie bardzo po głowce gładzili. Mnie samego, za przeproszeniem, wszy mało nie zjadły... Bo zbyt ków nie było żadnych. To i człowiek nauczył się grosz i kawałek chleba szanować. A jakże, setnie mnie bili, za to znów ja nie komunista i wiary mojej świętej się nie wypieram, i rodziców szanuję. Ot, co.

Teraz zaczęła jęczeć pani Bielecka. Tyle nocy nie przespanych, tyle ofiar, tyle zgryzoty i czy jest jaka wdzięczność, jakie uszanowanie? Do ojca jak do równego. Z kulakami<sup>79</sup> na niego gotów by się rzucić. A matka? A matka? Czy jest wdzięczność dla matki, poszanowanie jakie! Matka, to także pewnie przesąd? Oj, mądrość, mądrość. Na to człowiek,

<sup>71</sup>zefir — ciepły, łagodny wiatr. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>nihilizm — tu: nurt intelektualny i społeczny w drugiej połowie XIX wieku w Rosji, odrzucający społeczne normy, wartości i tradycje; stopniowo przeszedł do krytyki niesprawiedliwości społecznych i zbliżył się do anarchizmu; *nihilista* to osoba żyjąca według zasad nihilizmu. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>Nabuchodonozor — imię królów babilońskich; wg biblijnej Księgi Daniela król tego imienia w ramach kary za bluźnierstwo zaczął jeść trawę jak wół. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>Karpiński, Franciszek (1741–1825) — polski poeta epoki oświecenia, główny przedstawiciel nurtu sentymentalnego w polskiej liryce; autor m.in. pamiętnika pt. *Historia mego wieku i ludzi, z którymi żyłem* (1844). [przypis edytorski]

<sup>76</sup>gorących a świeżych — domyślnie: batów, razów. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>w (...) bursiem się chowałem — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: w bursie się chowałem, tj. w internacie. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>łoża — długa gałązka, zwłaszcza wierzbowa, witka. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>kulak — pięść. [przypis edytorski]

sobie od ust odejmując, dziecko rodzone przez te szkoły pcha, aby on potem matkę własną z Darwinem porównał.

— Różgi znieśli — rzekł urzędnik — i bicie. Człowiek młody jest, jak ten szczeniak — bez bicia zrozumieć nic nie może.

Kolacja miała się ku końcowi.

Adaś wstał.

— Rodzice siedzą! — krzyknął pan Bielecki. — Tu nie komuna<sup>80</sup>, nie karczma, nie falanstera<sup>81</sup>, to jest dom. Uczcij dary boże.

— Egzamin pojutrze — rzekł Adaś — przygotowywać mi się trzeba. Chodź, Michał. I nie zwracając uwagi na nic, wyszedł. Wymknąłem się za nim.

— Stary — rzekł — wczoraj w karty się zgrał, to i piekło robi. Chodźmy.

Wieczór był ciepły. Na głównej długiej uliczce niemirowskiej, obsadzonej drzewami, snuły się gromadki spacerujących.

Jakaś dama, gdyśmy mijali ją, pytała swego kawalera, dlaczego jedne kwiaty pachną, a inne nie pachną?

— Poznaję ojczyznę moją — rzekł Adaś i zadeklamował:

Wszystko tak, jak było,  
tylko się ku starości nieco pochyliło.<sup>82</sup>

Przeszliśmy w boczną uliczkę ciemną i błotnistą. Dzień był suchy, lecz błoto tu nie zasychało nigdy chyba. Tworzyło się ono zresztą nie tyle z deszczów, ile raczej z pomyj, wylewanych niemirowskim obyczajem z okien prosto na ulicę. Wreszcie podeszliśmy do jakiegoś oświetlonego domu. Adaś podszedł do jednego z okien i zastukał. Okno otworzyło się i wychyliła się jakaś rozczochrana głowa.

— A to ty, Indyk — przemówiła — wchodźcie.

W pokoiku pełno było dymu. Na stole stało kilka butelek piwa, leżały rozłożone książki i papiery.

— Przedstawiam — rzekł Adaś. — Michał Kaniowski, a to, znajomcie się zresztą sami.

— Michajłow<sup>83</sup> — rzekł młody, szesnastoletni może chłopiec o jasnej, dziwnie sympatycznej twarzy i wysokim czole.

— Kasjanow — zamruczał właściciel kudłatej głowy.

— Koruta — odezwał się trzeci, wstając z łóżka.

Był on dziwnie brzydki. Pośród bladej, skrofulicznej<sup>84</sup> twarzy sterczał wielki, kartoflowaty nos. Małe oczy były nieprawidłowo przecięte, tak że jedno umiejscowione było o wiele wyżej od drugiego.

— Wroński — przedstawił się ostatni z towarzystwa, wysoki brunet o zapadłej piersi, bezkrwistej twarzy i ciemnych, jak gdyby w stanie chronicznego zapalenia znajdujących się oczach.

— A gdzie Kot? — zapytał Adaś.

— Poszedł po wódkę — odpowiedział Wroński, patrząc w ziemię.

— Znowu? Ej, Wroński, Wroński, źle będzie.

— Sam wiem, że niedobrze, mówić szkoda — mruknął zagadnięty. — Ja bez wódki myśleć nie mogę. Żyć długo nie będę. No, to przynajmniej umierać chcę przytomny, a nie

<sup>80</sup>komuna (z łac. *communis*: wspólny) — grupa ludzi żyjących na zasadach wspólnoty majątkowej i razem pracujących; także: miejsce, w którym żyje taka wspólnota. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>falanstera — popr.: *falanster*, osiedle zamieszkiwane przez wspólnotę zwaną falangą, forma organizacji zaproponowana przez francuskiego socjalistę utopijnego Charles'a Fouriera (1772–1837) zamiast państwa; na falanster miały się składać obszary rolne, park, zabudowania gospodarcze i obszerny budynek, gdzie żyłoby i wspólnie pracowało półtora tysiąca osób obojga płci i wszystkich potrzebnych wspólnocie profesji. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>Wszystko tak, jak było, tylko się ku starości nieco pochyliło — z wiersza Franciszka Karpińskiego *Powrót z Warszawy* (1784). [przypis edytorski]

<sup>83</sup>Michajłow, Aleksandr Dmitriewicz (1855–1884) — rosyjski rewolucjonista, czołowy przedstawiciel organizacji Ziemia i Wola, po rozłamie członek Komitetu Wykonawczego Narodnej Woli; w 1880 aresztowany, zmarł w Twierdzy Pietropawłowskiej. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>skrofuliczny — chory na gruźlicę węzłów chłonnych szyi, daw. zwaną skrofułami. [przypis edytorski]

z zamąconą głową. Jak nie piję, to głowa mi się kręci i myśli są nudne jak para z wrzącej bielizny w pralni.

— A ty, jak to cierpisz? — zwrócił się Indyk do Michajłowa. — Chwalił się człowiek: „Nie dam pić, nie dopuszczę do butelki”.

Michajłow wzruszył ramionami i niechętnie rzekł:

— Taki dzień już, dziś i ja pić będę.

— Zostaw — mruknął Adasiowi do ucha Kasjanow. — Później ci powiem, nie przeszkadzaj.

Pojawił się i Kot, to jest właściwie Kotecki, i z kieszeni wyciągnął butelkę okowity<sup>85</sup>.

— Jest — rzekł — w sam raz sześćdziesiąt cztery stopnie.

Wroński ruszył się spod pieca i jeden za drugim, systematycznie, bez pośpiechu wypił trzy kieliszki. Nalał sobie czwarty i przyglądając mu się, rzekł:

— Teraz całkiem inna muzyka u nas pójdzie.

O egzaminach nikt nie mówił. Nie wszyscy obecni zresztą stawać do nich mieli. Michajłow był dopiero w szóstej klasie, a Koruta postanowił nie próbować szczęścia. W małym pokoju szumiało jak w ulu.

— Wiazowski zwariował — rzekł Koruta, zwracając się do Adasia.

— Było to do przewidzenia.

— Ja dziwię się, jak oni wszyscy nie powariują. Człowiek przyzwyczajają się do wszystkiego, więc taki siaki i z nas nie dziwi się, że coś podobnego do naszych gimnazjów stać może na miejscu. Ale ty wejdź w nie z żywą duszą i popróbuj w nich żyć — monologował Wroński. — I w samej rzeczy. Pomyśl, jest nas pięćset, sześćset dusz, powiedzmy, ludzkiego materiału, mięsa dla pedagogów. I jest ich osób ze trzydzieści. I teraz przez całe życie mają oni z nas wystrugiwać, co? To, co się im podoba? Nie! Co przepisane. Oni mają nas uczyć nie tego, co chcą i co myślą, a my mamy się uczyć tego, aby nigdy o niczym zdrowego pojęcia nie mieć. No, i co z tego może być? Żółty dom jest i żółtym domem skończyć się wyłącznie może. Uczyl człowiek ludzi przez dwadzieścia, trzydzieści lat o Jupiterze<sup>86</sup>, Junonie<sup>87</sup>, no i uwierzył, że jest on w samej rzeczy Jowisz Gromowładny. I cóż w tym dziwnego być może. Sznurują sobie mózg, jak Chinki nogę, a potem dziwią się, że na nim guzy powyskakują.

— Przesada — rzekł Koruta. — U nas tak źle nie jest. Sami porządni ludzie. Ot, pojechałbyś ty do Kamieńca.

— Przesada? — zaperzył się Wroński. — A ty, powiedz mi, aniołku mój, czy dla mnie nie wszystko jedno, jakich obyczajów jest ten tasiemiec, co mnie zjada. Porządni ludzie. Duszę oni mi, ci porządni ludzie, wyciągnęli. I teraz ja umierać będę — daj pokój Michajłow, nie przecz już, jak ty mi pić pozwolił, to ja już wiem, że śmierć idzie, umierającego człowieka ty martwić nie chcesz. Sam chcesz się kieliszkiem trącić. Przesada? A kto mi w głowę androny<sup>88</sup> kładł, że ja oto teraz i umierać będę, same śmiecie w duszy mając. Trójca Święta, dusza i tak dalej bez końca.

— I cóż robić mieli, program nie oni ustanawiają.

— Program nie oni ustanawiają, wiem, aniołku najdroższy, a ty na to człowiek się nazywasz, abys nie pozwolił z siebie maszyny do zabijania ludzi robić. A niech oni powariują wszyscy, niech ich po kłatkach trzymają jak dzikie zwierzęta.

— Daj pokój, daj pokój, rozdrażniasz się niepotrzebnie! — mitygował<sup>89</sup> go Kotecki.

— Niepotrzebnie — szydził Wroński. — Proszę, łaskawco, tobie dobrze. Ty sobie wiesz, że jeszcze w słońcu pochodzisz, dobrych książek poczytasz, jasnych myśli nachwytasz. A mnie kto życie wróci? Żywot wieczny! A ty daj mi go teraz, kiedyś obiecał.

— Nie my pierwsi — mruknął ktoś.

Michajłow stuknął pięścią o stół.

Szkola, Nauczyciel

Kondycja ludzka,  
Buntownik

<sup>85</sup>okowita (daw.) — mocna wódka lub nieoczyszczony spirytus; z łac. *aqua vitae*: woda życia. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>Jupiter a. Jowisz (mit. rzym.) — bóg nieba i burzy, władający piorunami, najważniejszy z rzymskich bogów, odpowiednik gr. Zeusa. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>Junona (mit. rzym.) — bogini kobiet, małżeństwa i macierzyństwa, żona Jowisza. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>androny — bzdury. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>mitygować — hamować, odwozić od gwałtownego zachowania. [przypis edytorski]

— Tak, nie my pierwsi. Ciągłe i nieustannie u nas i wszędzie zabijają człowieka. Krew na wszystkim. Każdy umierający w nieszczęściu, głodzie, ciemnocie to wieczne oskarżenie. Każda śmierć, każde zmarnowane życie ludzkie to potępienie dla tego, co jest.

— Więc cóż robić, ty sobie krzycz, nie krzycz, to nic nie pomoże — filozofował Koruta.

Michajłow błysnął oczyma.

— Dopóki człowiek tego nie rozumie, że go zabijają, znieważają, kaleczą — można mu wybaczyć. Ale nam już nie wolno znosić, nie wolno wracać do jarzma. Walka na śmierć i życie. Walka...

— Aby tam się kiedyś innym ludziom dobrze żyło? — szydził Koruta.

— Aby ja sam niewolnikiem nie był. Co mnie inne pokolenia? Za siebie walczę, o siebie walczę.

— Inni także tak śpiewali i pewnie spuścili z tonu — mruczał sceptyk.

Michajłow wstał.

— Słuchaj, Koruta, tobie dwie drogi stąd: albo z nami iść...

— Dokąd, z jakimi wami?

— Mniejsza o to! Z tymi, co mówią, że nie zniosą koło siebie ani źdźbła krzywdy ludzkiej, że w żadnej krzywdzie udziału nie wezmą, że przeciw każdej walczyć będą... Albo idź precz, tam gdzie nasi nieprzyjaciele.

— No, no, nie unoś się.

— Nie można tak mówić!

Michajłow nie cofał się.

— Tu nie ma żartów, jeżeli wam rozmowa tylko w głowie, to ja wam nie towarzyszę.

— Ale ty wiesz o tym, gdzie żyjesz, wiesz, kto tu rządzi, wiesz ty, jak się ten kraj nazywa?

— Wiem. Rosja, kraj niewoli, kraj rabów<sup>90</sup> cara Aleksandra, oswobodziciela chłopów<sup>91</sup>, ale tam, gdzie ja stąpię, gdzie ja żyję, jak daleko ja sięgnę, tam rządzą tylko ja.

Rozmowa się urwała.

— Katarzyna Pawłowna od męża wczoraj uciekła — rzekł Kasjanow.

Michajłow zerwał się.

— Uciekła? Dokąd, nie wiecie?

— Dokąd miała uciec — do matki. Tam płacz i zgrzytanie zębów. Ojciec wrzeszczy, że ją za włosy do męża zaciągnie, matka płacze, kumoszki zawodzą.

— A ona...

— A nic, zamknęła się na cztery spusty i siedzi, oni też czekają. Powiadają, głodem wezmą.

— A mąż?

— Mąż? Wczoraj pił. Dziś po mieście biega, znajomym kańczug<sup>92</sup> pokazuje.

Adaś zaczął mi tłumaczyć. Historia całkiem miejscowa. *Couleur locale*<sup>93</sup>, jak się to w teorii literatury nazywa. Wydali młodą dziewczynę za mąż, za kapitana pijanicę. Bogaty miał być, a okazało się, że majątek w karty przegrał. Zdaje się, że na posag liczył. Tymczasem posagu nie ma, więc zwierzę zaczyna bić żonę. Całymi dniami wychodzić nie może z domu, ludziom się pokazać niepodobna: twarz w sińcach, oko podbite. I tak bez przerwy. Tydzień bez bójk nie przechodzi. A dziewczyna była z głową i sercem Człowiek mógłby wyrosnąć. A tak jedna jej droga: powiesić się albo bić się z mężem, kto kogo lepiej.

Wtem drzwi się otworzyły, wpadł młody trzynastoletni uczniaczek o różowej twarzy, ciężko dysząc:

— Dmitry Antonowiczu! — podbiegł do Kasjanowa. — Siostrę mąż do domu powłókl, grozi, że zabije.

Nastąpiła chwila ciszy.

Nagle rozległ się szczeł, to Wroński cisnął flaszką o podłogę.

<sup>90</sup>*rab* (daw.) — niewolnik. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*car Aleksander, oswobodziciel chłopów* — nazywano tak cara Aleksandra II, ponieważ zniósł pańszczyznę w Imperium Rosyjskim. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*kańczug* — skórzany bicz z krótką rękojeścią; nahajka. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>*couleur locale* (fr.) — koloryt lokalny. [przypis edytorski]

Rosja, Buntownik

Małżeństwo, Przemoc

— No! Ginać, to ginać! A nie będzie tego, abyśmy się spokojnie temu przypatrywali. Mnie i tak śmierć. Niechże wiem przynajmniej, że coś porządnego na świecie zrobię.

Kasjanow złapał go za rękę.

— Pijany jesteś, o czym ty myślisz?

Wroński wyrwał mu się.

— Daj już pokój, ja tylko wtedy trzeźwy, kiedy pijany. A myśli, bracie, to już mam teraz całkiem jasne. Wam się, panowie, mieszać w tę sprawę nie należy. Przydacie się jeszcze, a ja już i tak stracony.

— Z tego nic — rzekł Michajłow — idę z tobą.

— I ja — rzekł Indyk.

— I ja — powtórzyłem.

— Wszyscy idziemy.

— Mówić tylko ja będę — prowadź no mały.

— Tę drogę ja znam. Ogrodem bliżej będzie — rzekł Adaś.

Istotnie prowadzić zaczął ogrodem po jakichś zarośniętych ścieżkach. Przeskoczyliśmy wreszcie jakiś płot. Nagle doleciał nas nieludzki krzyk.

— Katia płacze — krzyknął uczniaczek.

Zawrzało coś we mnie i zastygło. Czulem, że to samo dzieć się musi i w innych. Przyspieszyliśmy kroku. Ale Wroński szedł ciągle naprzód wielkimi krokami.

Z domu, do którego podchodziliśmy, wydobywały się wciąż krzyki coraz bliższe, coraz straszniejsze.

Pod oknami stało kilka postaci. To kucharki sąsiadów i sąsiadki przypatrywały się egzekucji.

— Z drogi, bydło! — krzyknął Wroński i nie poznaliśmy jego głosu.

Ktoś próbował zastąpić mu drogę, lecz nagle z niespodziewaną siłą Wroński zadał zagradzającemu drzwi cios tak potężny, że ciemna postać znikła, waląc się na ziemię z jękiem.

Wroński szarpnął drzwi i otworzył, weszliśmy za nim.

Przeszliśmy się i stanęliśmy we drzwiach pokoju. Oczom naszym przedstawił się straszny widok. Przywiązana do poręczy krzesła siedziała młoda kobieta z okrwawionymi plecami. Nad nią stał dieńszczyk<sup>94</sup> kapitana z nahajką w ręku. Z pleców młodej kobiety spływała krew, zębami targała sznurek, którym miała skrępowane ręce. Naprzeciw niej siedział kapitan, niski, o okrągłej twarzy mężczyzna, i palił fajkę. Gdyśmy weszli, wymawiał wyraz „jedenaście”.

Wyraz ten utkwiał mu w krtani.

Na nasz widok zaniemówił. Zerwał się. Ale jednym skokiem był już przy nim Wroński, prawą ręką uchwycił za gardło i ścisnął. Michajłow wyrwał dieńszczykowi nahajkę, ja z Adasiem rozwiązaliśmy ręce kobiety.

— Niech się pani ubiera! — krzyknął Wroński. — Michajłow, zajmij się, niech was tu w ten moment nie będzie.

Kasjanow mocował się z dieńszczykiem, Wroński zaś systematycznie tłukł głową na wpół duszonego kapitana o róg szafy.

— Raz, dwa — powtarzał.

Kapitan kopał nogami, pienił się, chciał gryźć.

Nagle obalił Wrońskiego i wyrwał się. W tej samej jednak chwili Koruta schwycił go żelaznymi ramionami i przygwoździł do krzesła. Wroński podniósł się z ziemi, chrząknął, kaszlnął, krew rzuciła mu się ustami.

Drzwi skrzypaneły — to kapitanowa uciekała z Michajłowem.

My skoczyliśmy do Wrońskiego, dieńszczyk zdołał się wyrwać i wysliznąć.

Kapitan szamotał się i ryczał. Z ust Wrońskiego płynęła krew dwoma cienkimi strugami.

Koruta przemawiał spokojnie.

<sup>94</sup>dieńszczyk, częściej *deńszczyk* (ros.) — w carskim wojsku: ordynans, żołnierz przydzielony do obsługi oficera. [przypis edytorski]

— Siedź, aniołku, siedź, kanalio, bo na śmierć zabiję. Ja, braciszku, żartować nie lubię. I mnie jest wszystko jedno. Jak raz już bić zacznę, to kości połamię, siedź spokojnie, proszę ja ciebie.

Rozległo się ciężkie stąpanie: w drzwiach ukazał się urzędnik, sprowadzony przez dieńszczyka.

Obok urzędnika ukazała się jednak inna jeszcze postać. Był to chudy, średniego wzrostu pan o twarzy Mefistofelesa<sup>95</sup>.

— *Quod erat demonstrandum*<sup>96</sup> — rzekł. — Naturalnie, Wroński, Bielecki i Kasjanow, Michajłowa spotkałem w drodze.

Spostrzegł jednak krew płynącą z ust Wrońskiego i zmarszczył brwi.

— Potrzebne to panu było!

— Puść pan kapitana — zwrócił się do Koruty.

Kapitan pienił się i krzychał:

— Aresztować, aresztować, zakuć w kajdany tego oto zbira — wskazywał na Wrońskiego — i tę gonić. — Tu użył silnego wyrazu. — Ja jej pokażę... Aresztować, aresztować!

Pan w szarym kapeluszu, inspektor gimnazjalny Kuźniecowa, podszedł spokojnie do pięniącego się kapitana i położył mu rękę na ramieniu.

— Kochany panie kapitanie — rzekł — co pan byś powiedział, gdyby panu świnia wpadła do ogrodu i zniszczyła ulubione pańskie, z wielkim trudem wypielęgnowane drzewko?...

— Jak świnia do ogrodu wpadł — zawołał kapitan — tak właśnie...

— Ciszej, kochany panie — rzekł Kuźniecowa. — Widzi pan tego chorego człowieka. Tak? Otóż od lat dwudziestu kilku, jak jestem nauczycielem, to był mój najlepszy matematyk, najlepsza głowa, jaką ja spotkałem. Na dwadzieścia kilka lat jedna jedyna, o której sobie mówiłem: w biografii tego człowieka będzie napisane, że nauczycielem jego był Wasyli Andrejewicz Kuźniecowa. I to, widzisz pan, była moja nadzieja, moje marzenie. Teraz pan wie, jak ja muszę nienawidzić człowieka, który mi tę nadzieję zniszczył. Jeżeli on nie wyzdrowieje, to ja panu radzę zniknąć raz na zawsze, panie Moroszkina, bo ja jestem spokojny i systematyczny człowiek. Za tę jedną dzisiejszą historię z żoną pana można by daleko zaciągnąć. I jeżeli temu człowiekowi coś się stanie, to ja pana potrafię daleko zaprowadzić. Ani się pan obejrzyj, jak fiut order, fiut szlify i może jeszcze coś na dodatek: szara kurteczka. Ja się nie interesuję ludźmi, panie Moroszkina, ale jeżeli pan ma coś na sumieniu, to ja to już odnajdę. Więc na przykład jest jakaś historia z Awdotią idiotką, odkopie się tę historię. Uważasz pan, panie Moroszkina, takie historie, jak pan, ma w Rosji na sumieniu dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi na sto. Dopóki się na nie nie zwraca uwaga, wszystko w porządku, ale gdy się uwaga zwróci: fiut! zamiast dżentelmena jest katorżnik. I innej różnicy, panie, pomiędzy dżentelmenem a katorżnikiem nie ma. A teraz ja już na pana zwrócę uwagę, panie Moroszkina. I tak, na przykład, napisze się do naczelnika korpusu, że ja jako inspektor gimnazjum zwracam uwagę, że pański pobyt w tym oto miasteczku stanowi przedmiot zgorznienia dla wychowawców powierzonego mojej opiece zakładu. Uważa pan, lepiej, żeby pan zauważył, że w tym miasteczku klimat panu nie służy. O wiele lepiej. I abym ja pana już nie spotykał, panie Moroszkina. I jeżeli pan jest nabożny, daj pan na mszę, aby ten oto człowiek wyzdrowiał. Bo inaczej będzie źle, panie kapitanie Moroszkina. I uważa pan, pańska żona jest obecnie w moim domu, u mojej żony. I tam lekarz, pułkownik Sachs, spisuje protokół z pleców pańskiej żony. A zwracam uwagę pańską, że żona pańska zostanie u mojej żony, która jest osobą chorą i potrzebuje spokoju. I ona musi mieć spokój... będzie miała spokój, bo z ludźmi niepokojącymi moją żonę ja się sam już załatwię. A wy, dżentelmeni — zwrócił się do urzędnika i dieńszczyka — precz stąd i trzymać mi język za zębami... Ciebie, kochanku — zwrócił się do dieńszczyka — do poprawczych rot<sup>97</sup> posłać zawsze można, a ciebie, luby<sup>98</sup> obrońco porządku, też by ze służby trzeba, żeś nie słyszał, co się tutaj dzieje. No,

Nauczyciel

<sup>95</sup> *Mefistofeles* — imię diabła często pojawiające się w literaturze, m.in. w *Fauście* Goethego. [przypis edytorski]

<sup>96</sup> *Quod erat demonstrandum* (łac.) — co było do udowodnienia; wyrażenie używane na zakończenie dowodu matematycznego. [przypis edytorski]

<sup>97</sup> *rota* (daw., ros.) — kompania (pododdział wojska). [przypis edytorski]

<sup>98</sup> *luby* (daw.) — miły. [przypis edytorski]

a teraz — fiut. Serwus, panie kapitanie. I proszę bardzo, niech ja pana nie spotykam. Bo oprócz idiotki Awdotii coś więcej jeszcze się znajdzie. Pomóżcie mu wyjść — rzekł, wskazując na Wrońskiego — wsadzić na dorożkę i do szpitala gimnazjalnego. A panom też języczki za zębami trzymać radzę, z dyrektorem zaś ja sam pomówię.

— To jest człowiek — rzekł Indyk do mnie, gdyśmy wsiadali z Wrońskim do sprawdzonej dorożki. — Teraz już można być spokojnym o Katarzynę Pawłównę. Kim się Kuźniecowa zajmie, ten już może spać spokojnie.

Wroński mówił na w pół do samego siebie.

— Teraz chciałbym żyć, słyszeliście, co on mówił. Choć pięć lat, choć trzy lata żyć. Już jakbym ja pracował. Już teraz, bracia, żadnej wódki. Ani kropli. Ach, jakby to dobrze było żyć. Pocziwie. Wasyli Andrejewicz, jakby mi ktoś duszę pocałował. Można pocałować duszę. Pocziwy, jeszcze choć rok żyć. Teraz już ja wiem. Jeszcze można by coś robić, ach, jaki żal, że będzie trzeba umierać.

— Będziecie żyli — rzekłem, dusząc się łzami.

— Zostawcie... nie... pewno nie... Skąd ma siła być. Takie życie. A ona nie przebacza — natura; jej wszystko jedno. Zrównanie<sup>99</sup> ci zawsze wypisze:  $X = 0$ , i śmierć. *Basta costi*<sup>100</sup>, jak powiada Herzen<sup>101</sup>. Zazdrościłem zawsze Herzenowi. Jaki on szczęśliwy był. Pomiędzy takimi ludźmi żył. Takich miał przyjaciół. Morze, góry, muzyka. I ludzie jak morze i jak muzyka. Nie chciałoby się umierać. Na południe pojechać i mieszkać sobie w białym, czystym domku. Śpiew żeby był. Okna otwarte na morze. I myśleć, myśleć. Wy nie wiecie, co to jest matematyka! Wy myślicie: liczby, liczby! Nie! A ona śpiewa, gra — jak kryształ. Cała dusza tonie w dźwięcznym, przejrzystym kryształ. Słońce niechby chodziło po błękitnym niebie. I zawsze piękne kobiety, wolni ludzie. Aby nikt nikogo nie śmiał tknąć. I inna mowa nawet niechby! Niechby nikt tą przemierzłą, niewolniczą mową nie mówił. Wziąłbym to wszystko za gardło i tak tłukł, jak tę podłą, bydlęcą, pijaną głowę. Szkoda, że nie ubił. I skąd to jest? Tam, tu, wszędzie naokoło i w nas taka cisza, taka święta cisza. Ach, bracia, jak ja kochałem zawsze ciszę. Matematyka to taka cicha, cicha, głęboka muzyka. Milczenie a harmonia. Taki najpełniejszy, złoty ton. I już nic. I skąd to wszystko. Brud, krzyk, krew. Cisza, cisza. Żebym ja wiedział, że ona jest, to niechby sobie nie było Wrońskiego — matematyka, cóż! Że mnie by łopuchy<sup>102</sup> wyrosły, a ona by i tak była, jak zawsze jest. To tylko jedno wiedzieć. I jeszcze posłuchać, jak ona święcie milczy. Tylko to. A potem niechbym sobie już umarł. Tylko nie, tu umierać, nie tu! Tu ludzie na cmentarzu jeszcze się po twarzy biją. Ach, nie tu! A! najlepiej byłoby jeszcze żyć choć parę lat. Wasyli Andrejewicz pocziwy. — Głowa jego płonęła. Miał silną gorączkę i zaczynał bredzić. — Wielkie integralne zrównanie<sup>103</sup> — mówił. — Cisza... I cóż ja tam sobie, zbłąkany dyferencjał<sup>104</sup>... W rachunku muszą być pomyłki. Jeżeli człowiek jest pomyłką, to nie może wiedzieć nic o całym równaniu, a ona jest i z nas tak się błękitnie śmieje.

Nauka

Nauka, Śmierć

3

Każdą swobodniejszą chwilę spędzaliśmy teraz przy łóżku Wrońskiego. Leżał on w szpitaliku uczniowskim, czystym białym domku w ogrodzie. Kwitnące bzy i akacje zaglądały do niego przez okno. Dwa czy trzy razy przysłała mu bukiet róż pani Kuźniecowa. A raz, jakoś w parę tygodni, przyniesiono duży pęk kwiatów z bilecikiem: „Katarzyna Moroszkina”.

<sup>99</sup>zrównanie (daw.) — równanie (matematyczne). [przypis edytorski]

<sup>100</sup>*basta costi* (wł.) — dosyć tego; wystarczy. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>*Herzen* — dziś popr.: *Herzen, Aleksandr Iwanowicz* (1812–1870), rosyjski pisarz, myśliciel i działacz społeczno-polityczny, zwolennik poglądów rewolucyjno-demokratycznych, stworzył doktrynę socjalizmu rosyjskiego, który miał powstać z pominięciem fazy kapitalizmu; popierał ruch rewolucyjny okresu Wiosny Ludów oraz powstanie styczniowe w Polsce; autor książki autobiograficznej *Rzeczy minione i rozmyślenia*. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>*łopuch* — łopian, dziko rosnąca lecznicza roślina o dużych liściach. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*integralne zrównanie* (daw.) — równanie całkowe; matematyczne równanie funkcyjne, w którym występuje całka zawierająca niewiadomą funkcję. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>*dyferencjał* (daw.) — tu: różniczka, pojęcie matematyczne w rachunku różniczkowym i całkowym, oznaczające nieskończenie małą zmianę zmiennej. [przypis edytorski]

Pani Moroszkina wyjeżdżała właśnie tego dnia z naszego miasteczka. Sterroryzowany przez Kuźniecowa kapitan wydał jej paszport<sup>105</sup> i jeszcze jakiś dokument, mający jej ułatwić uzyskanie rozwodu.

Ze zdrowiem zaś Wrońskiego nie szło wcale ku lepszemu. Gorączka nie ustępowała i chory tracił siły z dnia na dzień. Po dniach całych leżał teraz bez ruchu, nic nie mówiąc, myśląc o czymś czy marząc z przymkniętymi oczami. Pod wieczór dopiero zaczynał się ożywiać. Twarz płonęła, oczy błyszczały i niepodobna było go zmusić, aby się nie wysiłił i nie męczył mówieniem.

— Mój mózg — mówił — przeczuwa wielkie bezrobocie i funkcjonuje teraz całą siłą pary.

Siedzieliśmy u niego do późnej nocy i zwykle ktoś z nas zostawał przy nim. Zachodził często i Wasyli Andrejewicz. Jakoś w kilka dni po wypadku, dla rozweselenia chorego, opowiedział, jak uchronił nas od dyrektorskich gromów.

Dyrektorem gimnazjum była istota z wyglądu uderzająco podobna do samowara. Człowiek niesłychanej dobroduszości, ale pełen dziecinnych ambicji i histerycznie babskich kaprysów. Pod wpływem jakiejś *idée fixe*<sup>106</sup> lub uporu stawał się niepoczytalny i mógł być szkodliwy. Wszystko zależało od tego, z jakiej strony zostanie mu przedstawione zajście.

Wasyli Andrejewicz pojechał tego wieczoru prosto do klubu. Tam w małym pokoiku można było zawsze zastać Tichona Wasiljewicza Tichonrawowa i Łukę Iwanowicza Zieleniewskiego.

Łuka Iwanowicz był klasykiem niezmiernie niskiego wzrostu, o głowie całkiem łysej, bezwąsej, z kępką włosów na podbródku; czynił wrażenie misternej figuryjki japońskiej, z kości słoniowej wystruganej.

W klubie spotykali się oni z dyrektorem codziennie już od niepamiętnych czasów. Zaczynali wieczór od partii bilardu. Grali jednak pośpiesznie i bez przyjemności, jakby tylko dla pozorów. Po skończonej partii udawali się do małego zacisznego pokoiku — i właściwa przyjemność zaczynała się dopiero. Przede wszystkim Łuka Iwanowicz wyciągał z kieszeni małe wydanie Sofoklesa<sup>107</sup> i pedagogowie odczytywali sobie, skandując, jakąś scenę. Potem żądali herbaty i Tichon Wasiljewicz opowiadać zaczynał o swojej planowanej wycieczce do Monte Carlo<sup>108</sup>.

Od lat dwudziestu kilku marzył o tym wieczorami, jak to on pojedzie do Monte Carlo, wróci do Rosji, kupi sobie willę na Krymie, będzie hodował róże i czytał klasyków. Łuka Iwanowicz wysłuchiwał codziennie niemal całego tego planu, w momencie jednak, gdy szczęśliwy dyrektor rozbijał już jeden bank za drugim i obładowany pieniędzmi myślał o powrocie, Łuka Iwanowicz przechodził do opozycji.

— I na nic panu się to nie przyda — rzekł — gdyż zaraz pana zabiją i pieniądze zabiorą.

— Jak to zabiją...

— Bardzo prosto, tam już są całe szajki poorganizowane i śledzą. W przedziale wagonu pana zarzną i wyrzucą przez okno.

— Kupię sobie przecież rewolwer — bronił się dyrektor.

— Jeszcze lepiej, z pańskiego własnego rewolweru pana zastrzelą, oszczędzi pan im kosztów — ciągnął swoje nieubłagany Zieleniewski.

Po chwili zaś dodawał:

— Można także otruć kwiatem.

— Kwiatem? — dziwił się dyrektor.

— I cygarem można otruć albo tabaką, ot, po prostu powącha pan i koniec.

— Nigdy nie biorę tabaki od obcych.

<sup>105</sup>wydał jej paszport — w Imperium Rosyjskim funkcjonowały paszporty wewnętrzne, uprawniające do wyjazdu poza granice swojej jednostki administracyjnej. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>*idée fixe* (fr.) — powracająca, natrętna myśl; obsesja. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*Sofokles* (496–406 p.n.e.) — jeden z trzech największych tragiczków greckich. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*Monte Carlo* — dzielnica księstwa Monako, słynna z kasyna gry (zał. 1863). [przypis edytorski]



— Doskonale się zabija też kurarą<sup>109</sup>. Mam zatruty kamień w pierścionku, przechodząc, drapię pana w rękę, nibym niechcący w ścisku sygnetem zawadził. — *Excusez monsieur!*<sup>110</sup> — A okazuje się, że nie *excusez*, a *Requiem aeternam*<sup>111</sup>.

— Przecież każdy nosi rękawiczki.

— Pieniądze także można zatruc — wywodził Łuka Iwanowicz. — Taka zatruta paczka banknocików, liczy pan, a z niej wydobywa się niedostrzegalny pyłek, dostaje się do nozdrzów<sup>112</sup>, do ust i fiut.

— Ludzie wygrywają przecież... — bąkał całkiem już struty dyrektor.

— I zabijają ich też. Gdyby nie policja!

I Łuka Iwanowicz zaczął opowiadać o zręczności detektywów. Zostać szpiegiem było tajnym marzeniem Zieleniewskiego. Co dzień, przed zaśnięciem i rano, pijąc lurkowaną kawę, snuł przed sobą plany fantastycznych pościgów, rozpląwał się nad cudami przenikliwości i przebiegłości, jakich by dokazał.

Sędzia śledczy musiał pisać do kuratora okręgu, aby zakazał Zieleniewskiemu mieszać się do śledztw, gdyż dzięki hałasowi, jaki wszczynał on około każdej sprawy, kilku niebezpiecznych zbrodniarzy ukryło się spod oka władz. Znany był wypadek, że energicznie poszukiwany przez policję włamywacz mieszkał długie miesiące, jako lokaj, u Łuki Iwanowicza i pomagał mu w tropieniu przestępstw popełnionych przez samego siebie.

— Każdy z nas, panowie, musi wytworzyć w sobie jakąś manię, która by go chroniła od prawdziwego obłędu — mówił Kuźniecowa — i doprawdy najstrasliwsi są ci, którzy traktują poważnie sam swój zawód, taki, jakim jest, bez żadnych ozdób i przesłon. Różnych ludzi widywałem pośród rosyjskich pedagogów w ciągu dwudziestu pięciu lat: i oprócz pijaków ostatecznych nie spotykałem pośród nich normalnego człowieka. Żywy człowiek musi czymś żyć. A żyć terażniejszą szkołą może tylko jakiś Torquemada<sup>113</sup>. I zdarzają się, zapewniam panów, zdarzają się całkiem inkwizytorskie natury, talenty pierwszego stopnia.

Torquemadą nasz dyrektor nie był, ale w jego spasyłym ciele tkwiły słabe, babskie nerwy i nachodziły na niego kaprysy i uniesienia całkiem nieprzewidziane. „Grymasi jak popadnia<sup>114</sup> w ciąży” — wyrażał się Kuźniecowa.

Jednym z kaprysów dyrektora było tropienie przyszłych nihilistów. Po zamachu Karakozowowskim na skutek jakiegoś okólnika ministerialnego mania ta wzmogła się jeszcze. Opowiadano anegdotki o przemowach dyrektorskich, mających wpłynąć na umoralnienie wychowawców.

Ofiarę swoją dyrektor zapychał wystającym brzuchem do jakiego kąta swej kancelarii i podreptując przed nią i wymachując krótkimi rączkami, rozpoczynał swoje filipiki<sup>115</sup>:

— Nihilista, socjalista — pisał swoim rozbitym, babskim głosem. — W Boga nie wierzysz, żaby krajesz, Cyceron<sup>116</sup> ci się nie podoba. Homera nie uznajesz. Buty wyżej stawiasz od *Iliady*, co? He? Autorytetów nie uznajesz. Co tobie autorytet. Ja mam siwe włosy. Ale tobie tylko żaba, żaba! Żaba i skalpel. A ty mi znajdź sumienie skalpelem, co? Siwe włosy przesąd — ty myślisz sobie — ot, także się rozgadał — a właśnie ja ci pokażę, kochanku mój, także miałem ideały, także byłem młodym. Ale za moich czasów my, młodzi ludzie, słuchaliśmy Granowskiego<sup>117</sup>. Tak. Ja, jakem Sofoklesa w oryginale czytać zaczął, świecę do kościoła kupilem. He! Panu Bogu trzeba podziękować. *Antygonę* Sofokles napisał, a dlaczego Sofokles, skąd Sofokles?... Wy mówicie: materia. Pewnie, pewnie z waszej materii *Antygonę* wyskoczyła... Tu Granowski nieboszczyk... ale co wam, wam

<sup>109</sup>*kurara* — trucizna z roślin używana przez Indian z Ameryki Płd. do zatruwania strzał. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>*Excusez monsieur!* (fr.) — przepraszam pana. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>*Requiem aeternam* (łac.) — wieczne odpoczywanie. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>*nozdrzów* — dziś popr. forma D. lm: nozdrzy. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>*Torquemada, Tomás* (1420–1498) — dominikanin, w latach 1483–1498 generalny inkwizytor w Hiszpanii, królewski spowiednik; jako najbardziej rozpoznawalny urzędnik świętej inkwizycji, stał się synonimem bezwzględności, z jaką działała ta instytucja kościelna. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*popadnia* — żona popa (duchownego prawosławnego). [przypis edytorski]

<sup>115</sup>*filipika* — żarliwa mowa oskarżycielska; nazwa od mów Demostenesa (384–322 p.n.e.) skierowanych przeciw Filipowi Macedońskiemu. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>*Cyceron*, właśc. *Marcus Tullius Cicero* (106–43 p.n.e.) — najwybitniejszy mówca rzymski, filozof, polityk, pisarz. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*Granowski, Timofiej* (1813–1855) — historyk rosyjski, profesor Uniwersytetu w Moskwie; wzoru dla Rosji szukał w państwach Europy Zachodniej. [przypis edytorski]

byle Moleschott<sup>118</sup>... chemia... Już w Grecji byli sofisci<sup>119</sup>, ale taki Plato<sup>120</sup>... nie śmieje się, żółtodziobie, nie śmieje się... Już nie tacy, jak ty, z Platona sobie podrywali, a na dobre nikomu nie wyszło. Postępowy jaki! Ja także jestem postępowy. Tak jest, ja ci mówię, mam siwe włosy, a postępowy jestem a dlaczego postępowy, bo mlekiem klasycznym wykarmiony... O, *kalos kagathos*<sup>121</sup>! *Humanitas*<sup>122</sup>. Znają was! Encyklopedyści<sup>123</sup>, ci także myśleli. Condorcet<sup>124</sup> musiał otruć się. A ty myślisz, pierwszy raz od was dopiero świat uczyć się będzie. No, proszę, proszę, naucz ty starego człowieka. Pokaż ty mi swoją żabę. Już ja was znam.. Teraz ogon pod siebie, a potem w krzyk. Ty teraz tak, a ja tobie siak. Wam wszystko żarty. Ty najpierw w Boga nie wierzysz, a potem wszystko na bok. Matka — przesąd! Ojciec — przesąd! Ja — przesąd! *Antygona!* Miłość do brata. Jaki tam brat. To wszystko zacołanie, a ja właśnie powiadam, że nic z tego nie będzie. Już ty mi swego jadu nie wypuścisz. Matkę zarżniesz, Boga z nieba ściągniesz, mnie zabijesz, cesarza zabijesz, Grigorja Karłowicza zabijesz. A wszystkiego tego nie będzie, bo ja ciebie dzisiaj jeszcze wypędzę.

Grygoryj Karłowicz był jednym z pedelów<sup>125</sup> gimnazjalnych, szczególnie zniechęconym przez uczniów.

Zaspokoiwszy swoją żądzę krasomówczą, dyrektor zazwyczaj łagodniał i sprawa najczęściej kończyła się na oratorstwie.

Przyszedłszy do klubowego pokoiku i przywitawszy się, Kuźniecowa od razu zaatakował z najczulszej strony.

— Kapitan Moroszkina twierdzi, że klasyczne wykształcenie wpływa ujemnie na charakter młodzieży.

Dyrektor skoczył.

— Jak pan powiedział? Kapitan Moroszkina? Zaraz napiszę do dywizyjnego generała. Kapitan Moroszkina podkopuje podstawy, klasycyzm jest podstawą uczuć obywatelskich, on każe nam uszlachetniać siebie.

— Kapitan mówi, że klasycyzm nie zgadza się z naszym klimatem.

— Stary sofizmat<sup>126</sup>. Człowiek pod każdą strefą jest człowiekiem. Ja się pytam pana, czy stopień szerokości geograficznej rozstrzyga o pojęciach moralnych. Ja pana bardzo proszę, niech mi pan odpowie.

— Ależ to nie ja, to kapitan twierdzi, że klasycyzm wyradza całkiem niewłaściwe pojęcie o stosunkach ludzkich.

— Całkiem niewłaściwe! Wielki filozof Hegel<sup>127</sup> z *Antygony* wysnuł całą teorię prawa. Ale co nam Hegel. On musi być nihilistą, ten kapitan. I w armii jest ten jad. Jutro powiem rotmistrzowi żandarmów jedno tylko słowo: Hegel i Granowski. On już mu po-

<sup>118</sup>Moleschott, Jakob (1822–1892) — holenderski lekarz, fizjolog i filozof, zwolennik materializmu: uważał, że „mózg wydziela myśl tak, jak wątroba wydziela żółć”. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>sofisci — filozofowie gr. i wędrowni nauczyciele, którzy za opłatą przygotowywali do życia publicznego i kariery politycznej, uczyli sztuki przemawiania i przekonywania, głosili względność prawdy. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>Platon (427–347 p.n.e.) — gr. filozof, kluczowa postać w rozwoju filozofii; uczeń Sokratesa, nauczyciel Arystotelesa; twórca idealizmu filozoficznego, założyciel szkoły zwanej Akademią Platońską; swoje poglądy wyrażał w formie dialogów. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>kalos k'agathos (gr.) — dosł. „piękny i dobry”, staroż. greckie określenie idealnego człowieka, łączące piękno ciała ze szlachetnością duszy; rzeczownik określający takie harmonijne połączenie to *kalokagatia*. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>humanitas (łac.) — człowieczeństwo. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>Encyklopedyści — grupa francuskich intelektualistów: naukowców, filozofów i pisarzy, którzy napisali i skompilowali *Wielką Encyklopedię Francuską*, propagującą oświeceniowy racjonalizm, rozwój nauk, świeckie myślenie i tolerancję. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>Condorcet, Jean Antoine Nicolas (1743–1794) — fr. filozof-racjonalista, matematyk, ekonomista i polityk epoki oświecenia. Jako jeden z pierwszych w historii głosił powszechną i bezpłatną edukację, konstytucjonalizm i równouprawnienie bez względu na pleć i rasę. Jego gł. dziełem jest *Esquisse d'un tableau historique des progrès de l'esprit humain* (Szkic obrazu postępu ducha ludzkiego poprzez dzieje, 1794) zawierający wykład teorii postępu ludzkości. Wziął czynny udział w rewolucji francuskiej, w 1793 uznany za „zdrajcę narodu”, zaczął się ukrywać. Podczas próby ucieczki z Paryża został zatrzymany i uwięziony, 2 dni później znaleziono go martwego w celi. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>pedel (daw.) — woźny. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>sofizmat — pozornie poprawne rozumowanie rozmyślnie dowodzące nieprawdziwej tezy, w rzeczywistości opierające się na zatajonym błędzie. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>Hegel, Georg Wilhelm Friedrich (1770–1831) — niemiecki filozof, przedstawiciel klasycznego idealizmu; twórca całościowego systemu filozoficznego. [przypis edytorski]

każe. Poczekał no, gołąbku, klimat niewłaściwy. Oni ci właśnie klimat zmieniają. On się Czernyszewskiego<sup>128</sup> naczytał. Klimat, proszę! Dotychczas był Bóg, a teraz już tylko klimat się zaczął. Kwiatami zabijają albo tabaką — Łuka Iwanowicz mówi. A dlaczego zabił? Ja nie winien. Klimat winien. Już ja ci pokażę, jak młodzież demoralizować. Ja się pana pytam, kto tu rządzi: ja czy kapitan Moroszkina? Jedno słowo tylko: ja czy Moroszkina? Więcej nic. Dobrze, dobrze. Naturalnie. Panu tylko matematyka, fizyka eksperymentalna. Pięknie. Bardzo pięknie. Niechaj rządzi kapitan Moroszkina, niechaj rządzi. Ja jutro przyjdę i powiem na głos: Boga nie ma, Sofoklesa nie ma, jest klimat, więcej ani słowa. I my mamy rząd, mamy policję. Pięknie. Ja się tylko rotmistrza żandarmów zapytam, czy wolno Moroszkiniowi uprawiać nihilizm.

— Ale poczekał pan — przerwał Kuźniecowa — bo to od tego się zaczęło. Zaraz. Wroński twierdzi: nie powinno się bić kobiet, szczególnie nahajką — a Moroszkina w krzyk: aresztować, aresztować, klasyczne wychowanie!

— Otóż to, otóż to — dreptał dyrektor — ja mówiłem, to wszystko Czernyszewski. Kobiety odstąpić można przyjacielowi jak rzecz. W Grecji były wypadki, ale to w innym okresie, a Plato tylko radził. Zresztą hetery<sup>129</sup> odznaczały się wykształceniem. Ale człowiek pochodzi od małpy, więc cóż matka? Matka — przesąd. Żona — także przesąd. A cóż jest? Nic nie jest. Naturalnie, a potem mówi się, że można bić nahajką. Bardzo dobrze. Rodzina jest podstawą państwa? Tak czy nie? Pytam się pana, jak według pańskiej trygonometrii — czy to także tylko klimat? Czy wolno w naszym klimacie burzyć rodzinę...

— Ale, bo nie pozwoli pan mi przyjść do słowa. Moroszkina więc kazał swojemu dieńszczykowi bić żonę nahajką...

— Naturalnie, tego się można było spodziewać. Tylko tego. A ja panu powiadam, że tego nie ścierpię. Tu jest młodzież, tu jest gimnazjum, ja jego każe w kajdany zakuć, ja go nihilizmu nauczę. Ja się pytam, gdzie tu są żandarmi? Czy my mamy jeszcze jaki rząd? Potem dziwią się, że jest Karakozow. On się też Moleschottów naczytał... w gazetach było. Oficer zamiast ikony w rogu trzymał dzieła Moleschotta, a przed nimi lampkę palił. No tak i co wyszło? Potem pułkownika przed frontem w ucho ukąsił... Jeżeli tego Moroszkina na Sybir nie wysłał, to ja wyjeżdżam. Ja mam też żonę. Co to dla niego znaczy! Dzisiaj swoją żonę nahajką, a jutro moją. A później powie: klimat taki, upał!

— Właśnie Wroński i tak już jest w szpitalu, ciężko chory, pluje krwią...

— W tejże chwili aresztować i wysłać z miasta przed sąd wojenny. Piszę do samego cesarza. Czy urzędnik ma prawo mieć spokój rodzinny? Czy wolno kapitanowi burzyć rodzinę i kasać uczniów?

— On go kopnął — ośmiał się Kuźniecowa.

— Wszystko jedno. Różne są formy zezwierżenia. Naturalnie. Czernyszewski napisał, że człowiek jest zwierzę, dlatego on nie ma kopać. W tej chwili idę tam. Sam mu pokażę... I trzeba mu odebrać tę nieszczęśliwą kobietę.

— Ona jest już u mojej żony.

— Bardzo dobrze, ja tu nihilizmu nie ścierpię. Pan kapitan u mnie zaśpiewa. Ale Wroński, Wroński nigdy dobrze nie skandował Sofoklesa.

— Tłumaczył bardzo dobrze Platona — rzekł Łuka Iwanowicz.

— Niezawodny znak. *Kalokagatia*. Zawsze powiadam: albo nihilizm, albo Sofokles; albo Platon, albo Czernyszewski. A teraz jest pięknie: już się Moroszkina pojawił...

— Więc możecie, panowie, być całkiem spokojni. Gdyby Moroszkina próbował się skarżyć, już go nasz dyrektor ubierze, że się wyplątać nie będzie mógł.

Jak wspominałem już jednak, Moroszkina skarżyć się nie odważył. Bardziej niż dyrektor przeraził go sam Kuźniecowa. I nie tylko nam, ale i żonie jego nic już z tej strony nie zagrażało.

<sup>128</sup> Czernyszewski, *Nikołaj Gawriłowicz* (1828–1889) — rosyjski filozof, socjalista utopijny, publicysta i pisarz, ideowy przywódca rewolucyjnego demokratycznego ruchu lat 60. XIX w. W 1862 aresztowany, osadzony w Twierdzy Pietropawłowskiej, gdzie napisał powieść *Co robić* (1863), przedstawiającą wizję nowego człowieka i przyszłego społeczeństwa; w 1864 zesłany na ciężkie roboty na Syberii. [przypis edytorski]

<sup>129</sup> hetera (gr. *ἑταῖρα*: towarzysząca) — kurtyzana w staroż. Grecji; heterami były niezależne społecznie, wykształcone kobiety o wysokiej kulturze. [przypis edytorski]

Natomiast natura nie przebaczyła. Stan zdrowia Wrońskiego nie pozostawiał już żadnej wątpliwości, że jego zrównanie zostało już w zasadzie rozwiązane, że lada dzień scalkuje<sup>130</sup> go w sobie wielka cisza.

Uśmiechnął się słabo, kiedy Kuźniecowa zakończył swe opowiadanie słowami:

— Widzicie, panowie, że i nasza rosyjska konstytucja ma swoje dobre strony.

— Tak, tak — mówił po odejściu Wasyla Andrejewicza — ma swoje dobre strony życie rosyjskie i wszyscy oni dobrzy, i bez żadnej złości. A tak po troszeczkę człowieka rozlizują. Nie ma żadnej tyranii nawet, wszystkich choć do rany przyłóż — a ty giniesz tak, jakby ktoś umyślnie pragnął twojej zguby. I spytałbym się ja Tichona Wasiljewicza, dobrego człowieka, ile pokoleń on już tą swoją dobrocią dławić i dusić pomaga? Nie, syneczku kochany, ty sobie tylko głowę napakuj głupstwem wszelkiego rodzaju — a złęgo ja ci nie życzę nic.

— Nie jego wina — rzekł Koruta.

— Już byś ty teraz przynajmniej dał spokój. Drażnić przestań. Jedynek człowiek, któremu coś zawdzięczam, jest moja matka. Z tą przynajmniej wiadomo, czego się trzymać. Od razu, jeżeli ty jej wszystkich zębów nie pokażesz, żywym zje.

Egzamina szły swoją koleją, a zdrowie Wrońskiego topniało.

Na posłane do rodziców jego zawiadomienie o chorobie nadszedł list matki:

Matka, Żona

„Krawiec Mendel za komorne nie zapłacił, a Łyska wprawdzie ocieliła się, ale cielę zdechło. Ojciec przegrał w karty rubla, a Praskowia kucharka stłukła pół tuzina talerzy. Ja od piętnastu lat jestem chora, a do łóżka nie kładę się, bo obowiązek swój macierzyński znam. Lewe oko całkiem prawie widzieć przestało, a pod łopatką strzyka. Pomimo to pracuję i myślę wciąż, skąd by pieniędzy dostać, aby tatuś twój najdroższy miał co w karty przegrywać. Leży teraz i wzdycha żółty jak cytryna z pijaństwa. Pan Bóg skarał mnie za grzechy takim mężem, a i z dzieci, widzę, pociechy żadnej nie ma. Na pijaństwo i rozpustę żadnych pieniędzy nie wystarczy. W przeszłym miesiącu posłałam ci nowe spodnie. Mendel za nie dziesięć rubli z długu sobie odciągnął<sup>131</sup>. Jak człowiek o Bogu pamięta i o matce nie zapomina, błogosławieństwo boże jest z nim”.

I tak dalej bite cztery strony.

Wroński uśmiechnął się.

— Otóż to: wierna fotografia duchowa — z oryginałem zgodne!

W pierwszych dniach i tygodniach choroby interesowały go jeszcze wydarzenia zewnętrzne. Z wolna jednak wszystkie myśli jego skupiały się na śmierci, czynił wysiłki, aby myśleć o czym innym. Myśl jednak zawsze krętym biegiem wracała do tego samego przedmiotu.

Choroba

— Zdumiewająca rzecz — mówił raz. — Ja żyję. Bardzo pięknie. I niby to jest: ja, coś oddzielnego, samo za siebie. Teraz czym będzie moje życie? Tym lub owym, zależnie od tego, gdzie się urodzę. Tu czy w Ost-Indii<sup>132</sup>, w Chinach, o sto lat wcześniej albo później. Więc właściwie mnie nie ma, a jest to, co daje mi wszelką treść, wszystkie myśli i uczucia. Nie kocham ani nie nienawidzę innych rzeczy, jak tylko to, co jest w społeczeństwie. Matematyka na przykład. Czy ja właściwie znam matematykę? Nie. Za lat sto już tam będzie wiele nowych rzeczy. Więc właściwie mnie nie ma. A jest sobie tylko jakieś ono. A tymczasem umieram ja *sam*, raz na zawsze, niepowrotnie. Nic mi nie wróci tego, co mi odjęte zostało. Dzień za dniem, godzinę za godziną coś wykradało mnie samemu sobie. Czy to nie można oszaleć od tej myśli? Nieustannie umierają ludzie, umierają naprawdę bezlitośnie... tymczasem nie zaznali nic, nic z prawdy, nic z właściwego życia. Człowiek dotąd wcale jeszcze nie żył. I my tak wszyscy kradniemy sobie wzajemnie życie. Jak ludzie tego zrozumieć nie mogą, jak nie mogą zrozumieć, że ja mogę być tylko tym, czym ci inni

Kondycja ludzka

<sup>130</sup> *calkowanie* (mat.) — rodzaj sumowania nieskończenie wielu nieskończenie małych wartości, stosowany dla wielkości zmieniających się w sposób ciągły. [przypis edytorski]

<sup>131</sup> *odciągnąć* (daw.) — odjąć. [przypis edytorski]

<sup>132</sup> *Ost-India* (ros.) — Indie Wschodnie, dawna nazwa terenów Indii i in. krajów Azji pld. i pld.-wsch., później ograniczona do Archipelagu Malajskiego (kolonialne Holenderskie Indie Wschodnie); używana dla odróżnienia od Indii Zachodnich, czyli Karaibów. [przypis edytorski]

mi być pozwalają. My ciągle się bawimy. I przyjedzie do mnie teraz mamuleczka i powie: synku, przebac — wiem, że nie przyjedzie, ale powiedzmy tak. I cóż stąd. Ta, psiakrew, nic mi nie przebaczy. Twój czas przeszedł i raz na zawsze koniec.

Miał silną gorączkę.

— Koruta, czy ciebie nie drażni twój nos... Ja całe życie nie mogłem znieść swoich chudych, pałakowatych nóg i długich rąk. I teraz sam myślę, że w gruncie rzeczy to powinno być zniszczone. Ale twój nos! I ty tak na całe życie już zostaniesz. I nic innego ci już tego nie wynagrodzi. Dlaczego ty jesteś taki brzydki, Koruta. Człowiek nie powinien być brzydki. Ja tak bym chciał, aby mnie kochała kobieta. Taka prawdziwa kobieta, o pachnących włosach, pięknych oczach. Mnie nigdy nie pocałowała żadna kobieta z miłości. Wszystko było za pieniądze po pijanemu. I takem w życiu nic nie miał, tak całkiem nic. Zawsze myślałem: zbiorę pieniądze, kupię sobie całkowite wydanie Helmholtza<sup>133</sup>, dużo, dużo książek. I teraz ja już nigdy nic nie przeczytam. Nie powinno się marnować czasu. Nie powinno się nigdy czekać. Biedakom mówią, aby byli cierpliwi. Nie trzeba być cierpliwym, trzeba brać, brać. Dobrze już, że mnie nie będzie, tak dobrze. Rano, kiedy się budził, brzydziłem się sobą, jak ktoś, co ma włożyć brudną bieliznę, bo innej nie ma. I tak mi już będzie dobrze, tylko żeby to już niedługo było. I żeby jeszcze jeden dzień piękny. Dużo słońca, kwiaty. Jeden dzień.

Nie usiłowaliśmy mu zaprzeczać, przekonywać go, że nie umrze. Spostrzegliśmy, że go to drażni.

— U nas teraz w domu wielkie pranie — mówił któregoś dnia — początek miesiąca. Ojciec jeszcze trochę pieniędzy ma i po szynkach<sup>134</sup> się włóczy albo u Łukerii siedzi — baba taka jedna jest. Po twarzy go bije, ale ludzkie słowo dla niego ma. Matka chodzi po pokoju i milczy. Ona tak w milczeniu jak nóż się szlifuje.

Wreszcie stało się rzeczą jasną, że dni Wrońskiego są policzone. I jednego poranka stała się rzecz nieprzewidziana. Zjawił się pop i diaczek<sup>135</sup>; Wroński — o tej porze zwykle był apatyczny — zerwał się, siadł na łóżku, nastroszony jak ptak, chudy i straszny.

Oprócz mnie nikogo nie było przy nim.

— Nie potrzeba — krzyknął Wroński. — Nie potrzeba.

Pop zaczął mówić jakieś frazesy, wspomniał o sędzie wiekuistym, o grzechach.

Wroński trząsał się na całym ciełe.

— Nie chcę, nie chcę, nie wierzę, w nic nie wierzę. Dajcie mi umrzeć spokojnie, śmierci mi nie odbierajcie przynajmniej.

Pop nie zrażał się, podszedł bliżej, Wroński go schwycił za rękę.

— Żywych, żywych ratujcie, umarłym dajcie spokój. Tuż przy waszej cerkwi jest dom, gdzie dziesięć dziewczyn dzień po dniu ginie. Co noc są sprzedawane po wiele razy. Pójdź tam i zobacz, pójdź tam wieczór z krzyżem i zbaw je. Albo pójdź wieczór na stary ogród i tam zobacz tych, co po lochach żyją razem z dziećmi, kobietami, starcami. Tam pójdź. O, mój Boże. Ja nie chcę od was nic. Nic. Wy wszyscy mordujecie mnie. Wy idźcie, idźcie precz, sam chcę umierać.

Chwycił krzyż i rzucił nim z trzaskiem o ziemię. Zrobiła się scena. Pop krzyczał. Sprowadzono lekarza. Ledwie, ledwie udało się uśmierzyć popa. Lekarz mówił o gorączce, ale Wroński nie mógł się uspokoić.

— Oni mi nawet śmierć zepsują.

Była niedziela. Piękny, słoneczny dzień. Rano pani Kuźniecowa przyniosła duży pęk konwalii.

Byliśmy wszyscy od południa.

Wroński leżał bez ruchu i ciężko dyszał.

Lekarz po badaniu spojrzął na Kuźniecowa.

Zrozumieliśmy, że śmierć się zbliża.

Nastrój jednak był pogodny.

Wroński nie odzywał się, zdawał się jednak słuchać i gdy zniżaliśmy głos, kręcił głową.

Miłość, Pieniądz, Książka,  
Bieda

Pijaństwo

Śmierć, Książd

Kobieta "upadła"

<sup>133</sup>Helmholz — zapewne chodzi o Hermanna von Helmholtza (1821–1894), niemieckiego fizjologa, fizyka i filozofa, który sformułował zasadę zachowania energii, zajmował się mechaniką, akustyką, termodynamiką, światłem, elektrycznością i magnetyzmem. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>szynk — podrzędny lokal sprzedający alkohol. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>diaczek — zdrobnienie od: diak; śpiewak cerkiewny. [przypis edytorski]

Gdy Kuźniecowa nachylił się nad nim, wziął go za rękę i szeptem powiedział:

— A ot, i nie będzie biografii.

Wasyli Andrejewicz usiłował się uśmiechać: nie udawało mu się to jednak.

Michajłow z cicha mówił o religii. Miał on swój własny logiczny system.

— Takiego Boga, który by był poza znaną nam energią, nie ma. Tak jest. I nie może być żadnego wdania się w bieg zdarzeń. Modlitwa, post, asceza, to wszystko nie może mieć znaczenia poza nami w świecie. Ale gdy rzucam ziarno w ziemię, Bóg mi odpowiada. I to samo, gdy tworzę jakąś maszynę; to jest. Jest w nas i poza nami. Świat rozumie nasze myśli. One są z niego i on dla nich. Rzucacie dusze w przestwór i ona w nim żyje, do nas powraca nowa, śmiejąca się — jak kwiat.

Chciał mówić dalej, gdy nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem. Na progu stała wysoka kobieta lat pięćdziesięciu, w kapeluszu przybranym w dwa słoneczniki. Nie podchodząc do łóżka, krzyknęła:

— W kuferku nie ma nowych spodni. Nie znalazłam także niebieskiej koszuli. Znów powędrowało to wszystko do Cwitkessa na wódkę...

— Cicho — podniósł się Kuźniecowa.

— Matka jestem — zarekomendowała się przybyła. — Prawo matki jest święte. Ja dałam do szkół zdrowego chłopca. A tu co! Żadnej pociechy. Pieniądze nauczył się puszczać. Spodnie dziesięć rubli kosztowały.

Wroński siadł na łóżku, wyciągnął chudą rękę, chciał coś mówić, ale zakrztusił się i zaczął konwulsyjnie kaszleć.

W drzwiach pojawiła się nowa postać. Był to wysoki, łysy mężczyzna, w poszarpanym ubraniu, obłoconych butach. Długa broda spływała mu na piersi.

— Gdzie są moje pioruny? — krzyczał. — Porażę, rozbiję w proch...

Był to Wiazowski.

Kaszel Wrońskiego ustał. Coś jak uśmiech wykrzywiło mu usta, z których płynęła krew.

— W proch rozbiję — bełkotał Wiazowski.

— Syn pani umiera — szepnął do ucha matki Wrońskiego Kuźniecowa.

Spojrzała na niego z gniewem. Nagle jednak zrozumiała widać, gdyż padła na kolana koło syna.

— Nikoleńka, ptaszynko, jedynaku.

Wroński z wysiłkiem wyrwał jej rękę i zrobił ruch, jakby chciał odepchnąć.

Wiazowski mruczał coś, podszedł do Michajłowa i chwyciwszy go za ramię, rzekł:

— Trzeba świecę... tak wypada. Kiedy moja żona umierała, była świeca.

Potem ukląkł i on także koło łóżka, ciężko wdychając.

4

Chowaliśmy Wrońskiego w dwa dni później. Cmentarz leżał o parę wiorst<sup>136</sup> od miasteczka przy niewielkim klasztorze kobiecym. W piękne popołudnie szliśmy za trumną po piaszczystej drodze.

Historia Wrońskiego była bardzo prosta. Dziecko o dużej wrażliwości, o umyśle czynnym i nieustannie pragnącym światła i powietrza urodziło się w przeciętnej, zdziczałej rodzinie urzędniczej. Przeceniamy ogromnie ogólny poziom kultury ludzi żyjących zewnętrznie w myśl pewnych cywilizowanych nałogów. Cywilizacja nie wchodzi w związki chemiczne z wielu istnieniami, które otacza. Pogrążone są one w niej i zachowują swą całkowitą odporność. To wtórne, z odpadków cywilizacyjnych wyłaniające się zdziczenie wydaje się często rozpaczliwszym od pierwotnego. Zresztą w rodzinie Wrońskiego nie było i tych cywilizowanych szmatek. Kułak odgrywał w niej zawsze znaczną rolę.

Rodzina taka, jaka jest w obecnym świecie, musi być zawsze ośrodkiem uczuć antyspołecznych. Rodzina w stosunku do pozostałego świata odgrywa rolę pieczary, do której drapieńca znosi swą zdobycz. Póki *człowiek* utrzymuje się przeważnie z tego, co w ten lub inny sposób innym ludziom wydrze, rodzina nie przestanie być tym laboratorium uczuciowym, w którym najdrapieńsze, najbardziej egoistyczne, zaborcze, antyludzkie instynkty przetwarzane są na modłę sielankową, nie zmieniając swej zasadniczej treści.

<sup>136</sup>wiorsta — daw. ros. jednostka długości, nieco ponad kilometr. [przypis edytorski]

W imię rodziny popełnia się najwięcej podłości. Ona dostarcza największej ilości usprawiedliwień. Tu przeobraża się w obowiązek względem matki, ojca, rodzeństwa i dzieci osłonięte lub nieosłonięte lupiestwo.

W rodzinie Wrońskiego stosunki te występowały z zoologiczną wypukłością. Matka jego była nieszczęśliwą kobietą. Widziała naokoło siebie życie w całej jego nagiej prawdzie. Wyrosła w drobnym urzędniczym świecie, w którym głód życia, prawdziwie wilczy, kojarzy się z zabobonną trwogą przed życiem. Bardzo szybko spostrzegła, że mąż jej nie ma kwalifikacji niezbędnych dla utrzymania się na powierzchni tego bagniska, w które współzawodnicy wpychają siebie bez miłosierdzia. Był to sobie cichutki, zahukany człowiek. Nie wyobrażał sobie po prostu, że jest on takim samym człowiekiem, jak jego naczelnicy, przed którymi truchlał. Zaklasyfikował on sam siebie od razu i pragnął tylko spokoju, partyjki preferansa<sup>137</sup> i wieczornej knajpki. W żonie jego grała ambicja podżegana przez strach. W sercu własnym spisany miała ona twardy zakon<sup>138</sup> zoologiczny swego środowiska. Pożycie tych dwojga ludzi było drobnym, groszowym piekłem. Wywlekało się tu w gniewie wszystko. Straszniejsze od bójkki były słowa obnażające przed dziećmi z niezachwianą oczywistością katechizmu wilczy stosunek do świata. Cały świat poza obrębem rodziny był zdobyczą lub nieprzyjacielem. Byli pośród tych nieprzyjaciół ludzie potężni — z tymi walczyło się chytrą. Ponad tym całym zagryzającym się mrowiskiem wreszcie żył ktoś najpotężniejszy — Bóg, i ten wymagał najwięcej kłamstw i najczujniejszej przebiegłości. Bóg ten mieszał się we wszystkie życiowe sprawy. On miał ukarać ojca Wrońskiego za przegrane w preferansa pół rubla, on miał wymierzyć sprawiedliwość kucharce za ukradzioną złotówkę, przed jego sąd powoływała pani Wrońska przekupkę, która pożyczala czasem od niej pięć rubli, płacąc na tydzień rubla procentu. Gdy rubel ten nie zjawiał się, pani Wrońska wyrażała podziw, że ziemia święta nosi cierpliwie tak obłudnego potwora, jak zaklinająca się i przysięgająca nadaremno, że odda właśnie dziś, w sobotę, baba. Do tego Boga odwoływała się kucharka Domna wobec bijącego ją po twarzy przystawa<sup>139</sup>, że to nie jej dziecko znalezione zostało utopionym w wychodku. Ten sam zaś Bóg miał świadczyć, że to właśnie Domna utopiła swoje nowo narodzone niemowlę — według słów oskarżycielki Akuliny. Bóg miał rozstrzygać, zwłaszcza że dziecko to pochodzenie swe zawdzięczało pijanemu kaprysowi ojca Wrońskiego. Dźwięki modlitwy, zaklęć, zlewały się tu zawsze z dźwiękami policzków. Zwykle ktoś kogoś bił, gdy mowa była o Bogu.

Szedłem za trumną i myślałem, czy właściwie każda rodzina pomimo różnicy tonu nie przedstawia tego samego typu życia. Czy nie jest dla dzieci ojciec zawsze tajemniczą istotą, wychodzącą na łowy po zdobycz, matka — samicą oczekującą zdobyczy, by nakarmić swe małe. A gdy ta troska znika, czy jest lepiej. Dziecko wyrasta w przeświadczeniu, że do niego z prawa, z mocy jakiejś przyrodniczej konieczności należy to wszystko, co jest niezbędne dla wygody życia.

Tuż za trumną szedł ojciec Wrońskiego. Po jego ryżych wąsach płynęły łzy. Płakała też i matka.

Po skończonym nabożeństwie w cerkiewce klasztornej ojciec nieboszczyka zbliżył się do nas. Czuć było od niego mocno wódkę.

— Bóg dał, Bóg wziął — powtarzał. — I zostałem jako Hiob<sup>140</sup>. I przyszedł wiatr pustyni. Nieboszczyk dobry był... Nikoleńka... — rozczulił się. — Ja człowiek sobie jestem zwykły, nauki żadnej ja tam właściwie nie przechodziłem. Nie za miedziane nawet grosze. A on nie gardził ojcem. Bywało, matka — obejrzał się — wyjdzie gdzie, a on myk i z alkierza<sup>141</sup> wyciąga butelczynę... I dostawało mu się za swoje. Małżonka moja gorących obyczajów jest, to czy uwierzycie, panowie, on za mnie nieraz i po twarzy wziął. Strasznie się ona bić lubi. Natura taka. Jak tylko co nie według woli, bić. A my ludzie wiadomo jacy? Małeńkiego gatunku ludzie. Czyż możliwe jest, aby wszystko według woli szło? Zrozumieć ona tego nie może. Córka Zenaidy Pawłowny fortepian ma. Gra, okno

<sup>137</sup>preferans — daw. gra w karty przypominająca brydża. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>zakon (daw.) — prawo. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>prystaw (ros.) — komisarz policji w carskiej Rosji w XIX w. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>Hiob (bibl.) — człowiek doświadczony przez Boga nieszczęściami w celu wypróbowania jego wiary, główny bohater *Księgi Hioba*. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>alkierz (daw.) — mały, boczny pokój. [przypis edytorski]

Bóg

Rodzina, Ojciec, Matka,  
Dziecko

otwarte trzyma. Edukację i *bon ton*<sup>142</sup> pokazuje. No, czyż możliwa jest rzecz, abym ja fortepian zdobył? Albo z tymi spodniami też! Spodnie to Nikoleńka mnie oddał, że to niby moje oberwane były. Na służbę wstyd. A że u mnie podtenczas<sup>143</sup> potrzeby inne wyszły — no i tak stało się. I ze wszystkim tak. Ze strony patrzeć żal. Samej sobie odetchnąć nie da. Zawsze ją coś niepokoi, coś gniewa. Ambitny charakter ma i głowę u... u... Taką głowę trzeba by u nas isprawnikowi mieć.

Zamyślił się.

— A szkoda Nikoleńki — zaczął. — Ja, przyznam się, jużem myślał: uniwersytet skończy, posadę otrzyma, na starość weźmie. A tak co? Żył człowiek, męczył się, a po co? Nie wiadomo po co. Nie może przecież rodzić się człowiek po to, aby papiery przepisywać i w preferansa grać.

Kondycja ludzka

Po pogrzebie zaprosił nas Wasyli Andrejewicz do siebie — Mikołaja Wrońskiego wspomnieć i samym pożegnać się. Egzamin były ukończone i trzeba było myśleć o odjeździe. Siedzieliśmy w altance przy butelce starego dereniaku. Wasyli Andrejewicz brodeń nerwowo targał.

— Archimedes<sup>144</sup> mówił: daj mi taki punkt, abym mógł na nim stanąć poza ziemią, a ja ją poruszę... A ja mówię tylko: dajcie mi taki punkcik, aby na nim życie przetrwać było można, aby błoto rosyjskie w duszę nie kapowało. I z całą geometrią wykreślną i analityczną, z całą trygonometrią kulistą na próżno szukać: nie znajdziecie. Zawsze się odnajdzie taka jedna nić i za nią człowieka aż na dno ściągnie. Tęgo jednego ja tylko zawsze chciałem — życie przeżyć na boku spokojnie. Już ja tam niczego nie chcę, ziemi nie dźwignę. Niechby tylko krzywdy mi na duszę nie padły.

Marzenie, Dusza, Krzywdy

Odezwał się z nas ktoś, że wspominać go będziemy dobrym wspomnieniem.

— Ano, to tak, panowie. Staralem się osobiście nie robić nic... Ot, dwadzieścia kilka lat przeszło: chciałoby się samemu sobie coś wspomnieć. I cóż wspominać ja będę? To przynajmniej robiłem: głów nie kaleczyłem i nie wykrzywiałem, ale stałem i patrzyłem, jak inni to robili. Rady pedagogiczne przecież są. Nasłuchał się człowiek wszystkiego i zmilczał.

Nauczyciel, Milczenie, Krzywdy

Nalał kieliszki.

Alkohol

Trąciliśmy się znowu.

— Do dna, panowie, do dna, wielki toast wznoszę...

I jeszcze raz trącił się z najbliższym sąsiadem.

— Na pohybel — rzekł — wszystkiemu temu na pohybel! Kędy człowiek pamięć sięgnie błoto, błoto, błoto! Tu — wskazał na dom w sąsiednim ogrodzie — ksiądz mieszkał, prefekt. Wielkiego rozumu człowiek był. Z jednej strony do płotu podchodził, ja z drugiej. I tak rozmawialiśmy nieraz. Ja mu o Łobaczewskim<sup>145</sup> mówiłem, on mnie Hoene-Wrońskiego<sup>146</sup> fragmenty na pamięć przytaczał. Kanta<sup>147</sup> tłumaczył. Do pierwszej, drugiej w nocy staliśmy nieraz w letnią noc i gadali. Człowiek o Rosji zapomniał, o wszystkim. Wielka jest rzecz matematyka, panowie. Całkiem jak skrzydła, i oto na tych skrzydłach myśmy razem latali. A czy uwierzycie, panowie, że nie przeszło dwóch lat, po tej oto ulicy tego samego księdza na wozie wieźli w kajdanach — rok sześćdziesiąty trzeci był — i że ja tu obok furtki stałem i temu człowiekowi się nie uklonił. Patrzył na mnie tymi niebieskimi oczami. Siwa głowa mu się trzęsła. Kozak któryś podbiegł i patriotyzm wykazał: w kark mu dał. A ja stałem jakby całkiem nieznanomy.

Wyrzuty sumienia

<sup>142</sup>*bon ton* (fr.) — ogłada, umiejętność zachowania się. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>*podtenczas* (daw.) — wówczas. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>*Archimedes* (ok. 287–212 p.n.e.) — największy matematyk, fizyk, inżynier i wynalazca starożytności; twórca podstaw statyki i hydrauliki; odkrywca zasady dźwigni, znany z powiedzenia „Daj mi punkt oparcia (poza Ziemią), na którym mógłbym stanąć, a poruszę Ziemię”. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>*Łobaczewski, Nikołaj* (1792–1856) — rosyjski matematyk polskiego pochodzenia, twórca (niezależnie od Jánoša Bolyaia) geometrii nieeuklidesowej. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>*Hoene-Wroński, Józef* (1776–1853) — filozof, matematyk, fizyk, ekonomista i prawnik, przedstawiciel mesjanizmu polskiego (twórca samego pojęcia „mesjanizm”); Hoene był pochodzenia niemieckiego, nazwisko Wroński przybrał później, pisał wyłącznie po francusku; był przeciwnikiem ideowym Mickiewicza (również z powodu „zawłaszczenia” i przedefiniowania terminu mesjanizm). [przypis edytorski]

<sup>147</sup>*Kant, Immanuel* (1724–1804) — niem. filozof oświeceniowy, twórca rewolucyjnej doktryny filozofii krytycznej, czołowa postać nowożytnej filozofii. [przypis edytorski]



— Wasyli Andrejewicz — odezwał się kobiecy głos spoza nas — a cóż ty tak! A o tym już nie pamiętasz, żeś na drugi dzień do niego do Braclawia do więzienia pojechał i do Kijowa do generał-gubernatora jeździł.

— To już się ty mi tak kazała.

— Nieprawda — zacerwieniła się żona, wchodząc. — Jak możesz nawet tak mówić. Uczciwszego człowieka i odważniejszego, jak ty, nigdy nie widziałam.

— Daj pokój, Wiera. Sam siebie człowiek najlepiej zna, i jeszcze raz, panowie, na pohybel temu wszystkiemu!

Podano drugą butelkę.

— I to jeszcze powiem, panowie, nie powinien nigdy człowiek siebie samego oszczędzać. Z geometrycznego punktu widzenia na samego siebie trzeba patrzeć: i cóż ja jestem, mizerny punkcik, aby warto było o mnie dbać. I pamiętać, że *tamto* właściwie jest to nieskończone, a nie ja.

Z ogrodu dobiegły głosy bawiących się dzieci.

— I trudno, panowie — mówił Kuźniecowa — nie o sobie, ale o takich oto główkach złocistych, o kędzierzawych z geometrycznego punktu widzenia pomyśleć. Ale to wam przysięgam, że nadejdzie czas, a nic innego i im nie powiem: człowiek nie powinien siebie oszczędzać.

Pożegnaliśmy się z Wasylem Andrejewiczem.

Chcieliśmy spędzić pomiędzy sobą tę ostatnią, krótką letnią noc. Pobiegłem do domu spakować rzeczy i pożegnać się z rodzicami Adasia. Między nim a matką i ojcem stosunki były bardziej niż kiedykolwiek naprężone. Adaś miał wyjechać na kondycję<sup>148</sup>, aby uniknąć nieustannego szpilowania. Na mnie pan Bielecki też zezem patrzył, a miarkował się tylko przez wzgląd na majątek mojego ojca. Sytuacja zaostrzyła się od czasu przegrody z księdzem Wincentym.

Istniał zwyczaj, że maturzyści szli do księdza przed pierwszym egzaminem prosić o błogosławieństwo.

Zbierano zazwyczaj składkę i tę po całej ceremonii doręczano księdzu w jakim haftowanym pulariesie<sup>149</sup> lub wyszywanej paciorkami portmonetce. Ksiądz za to po skończonych egzaminach odprawiał uroczystą mszę z kazaniem specjalnie do młodzieży zwróconym. W tym roku jednak ksiądz Wincenty niedomagał. Doktor zakazał mu odprawiać nabożeństwa ze względu na wilgoć i chłód panujący w kościele.

Do składek zabrakło pretekstu...

Pomimo to nabożniejszym wydawało się świętokradztwem otrzymać błogosławieństwo gratis.

Pierwszy podszedł do księdza jeden z braci Turskich. Podczas gdy ksiądz mruczał swoje zaklęcia, Turski wsunął mu do rękawa banknot.

Ksiądz natychmiast zorientował się w sytuacji i każdemu następnemu podstawił już rękaw tak, aby manipulacja łatwiejsza była do wykonania.

Wszystko było dobrze, póki po błogosławieństwo podchodzili chłopcy z rodzin przestrzegających tradycji i przechowujących ideały narodowe.

Nadeszła jednak kolej na Adasia.

Tu zaszło coś nieprzewidzianego.

Ksiądz mruczał już przez długi czas łacińskie wyrazy, ale do rękawa nie przybywało nic. Przypuszczając, że Adaś nie mógł na czas przygotować pieniędzy, ksiądz od jednego błogosławieństwa przechodził do drugiego, deklamował całą litanie. Adaś stał nieporuszony i przyglądał się księdzu.

Później ksiądz Wincenty zapewniał, że mrugał on nawet lewym okiem.

Wreszcie sytuacja stała się niemożliwa: czułem, że parsknę śmiechem. Chcąc uniknąć tego, wybiegłem. Jakaś stojąca przed księżym gankiem dewotka twierdziła nawet, że trzasnąłem drzwiami.

Po chwili wybiegł Adaś, czerwony od powstrzymanego śmiechu.

Długi czas tego dnia nie mogliśmy spojrzeć sobie w oczy bez śmiechu, przypominała się nam bowiem twarz księdza Wincentego.

<sup>148</sup>*kondycja* (daw.) — posada nauczyciela domowego lub korepetytora, zwykle związana z wyjazdem na wieś. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>*pularies* (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

W domu tymczasem zbierała się burza.

Nincia i Bincia miały wypieki, kiedyśmy wchodzili.

Pani Bielecka leżała na otomanie<sup>150</sup>, trzymając głowę w zawieszonym na haku rondlu. Był to niezawodny środek na migrenę i nieomylny znak cierpień duchowych.

Pan Bielecki chodził bez krawata i chwycił się za gardło, ukazując w ten sposób, że się dusi.

Gdy Adaś wszedł, usłyszałem od razu krzyk:

— Wszyscy Bieleccy obracają się w grobie.

Mój czcigodny kuzyn i jego rodzina nudzili się potwornie. Nuda zaś usposabia znakomicie do wszczynania tragedii rodzinnych.

Wszyscy, nawet lecząca się rondlem ciocia Bielecka, rozkoszowali się lubieżnie wprost sposobnością wplecenia w życie monotonne i bezbarwne czegoś podobnego do wydarzenia.

Przekonania są potrzebne, szczególnie w rodzinnym życiu, jako ideowe uzasadnienie i upozorowanie scen historycznych, których znędniałe, pozbawione wrażeń nerwy łąką jak pokarmu.

Teraz cała rodzina drżała, aby sposobność nie wyśliznęła się. Nie było jednak o to obawy: i my z Adasiem byliśmy rozstrojeni przez egzamina i chorobę Wrońskiego.

— Czy wiesz — wołał pan Bielecki — że ja, twój ojciec, rumieniłem się za ciebie? Pytano mnie, czy to są staropolskie zasady mojej rodziny. I nie umiałem odpowiedzieć. Stałem upokorzony i myślałem, za jaki grzech spada na mnie jeszcze i ta korona cierniowa. Jeżeli to szlachetna duma rodowa jest tym grzechem, który karzesz, Panie, w krwi mojej, to zważ, że my szcycimy się tym tylko, żeśmy wiary Twojej do ostatniej krwi naszej bronić byli gotowi.

Tu zachłysnął się i zrobił gest duszenia.

— Adasiu, dziecko moje — odezwała się zbolalym głosem pani Bielecka — opamiętaj się. Jesteś na złej drodze, szcycisz się ze swego wykształcenia i zapewne wstyd ci, że masz tak głupią matkę, ale jaka jestem, taką już mieć musisz, a mój własny chłopski rozum mam. Książd jest słusznie rozgoryczony. Dojdzie do ciotki Walentyny i cofnie nam pomoc, a stryj Emilian taki nabożny.

— Hrabina Pelagia odskłoniła mi się tak chłodno dziś, że nie odważę się pójść na ten podwieczorek.

Familia była w swoim żywiole.

Adaś, ogłuszony, zakrzyczany, w pewnej chwili całkiem machinalnie zagwizdał.

Pani Bielecka zerwała się.

— Precz — rzekł pan Bielecki — to są chłopomańskie<sup>151</sup> maniery. Ryłskiego<sup>152</sup> drogą pójdziesz, precz mi z oczu, uszanuj siwe włosy ojca. Tu jest polski dom.

— Który się iluminuje na cześć ocalenia cesarza — krzyknął Adaś. — Tu u nas nie ma żadnej Polski. Co ojcu po jakiejś Polsce, to nie jest as atutowy ani znaczona karta.

Pan Bielecki padł na krzesło i zamknięwszy oczy, zaczął ruszać nogami jak człowiek tonący.

— Kona — krzyknęła Nincia.

— Zabiłeś ojca — jęczała pani Bielecka.

Adaś wybiegł na miasto.

<sup>150</sup>*otomana* — rodzaj niskiej kanapy z wałkami po bokach zamiast poręczy i miękkim oparciem. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>*chłopomani* — tu: ruch powstały w gronie studentów Uniwersytetu Kijowskiego, którzy w latach 50. i 60. XIX w., zafascynowani folklorem i codziennym życiem chłopów, dążyli do zbliżenia z ludem. Uważali, że szlachta prawobrzeżnej Ukrainy to spolszczeni Ukraińcy, którzy powinni powrócić do swojego narodu. Opuścili polskie organizacje studenckie i założyli grupę ukraińską. W 1860 wskutek policyjnego raportu zarzucającego im działalność komunistyczną, z powodu szerzenia wśród chłopów „szkodliwych myśli o wolności i równości”, objęci dochodzeniem i szykanami, co zostało nagłośnione przez ros. emigracyjną gazetę rewolucyjną „Kołokoł”. Głównymi przedstawicielami tego ruchu byli Wołodymyr Antonowycz, Tadej Ryłski, Pawło Czubyński. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*Ryłski, Tadej Rozesławowicz*, pol.: *Tadeusz Zbigniew Ryłski* (1841–1902) — ukraiński działacz społeczno-kulturalny wywodzący się z polskiej rodziny szlacheckiej, etnograf; należał do grupy tzw. chłopomanów, grupy inteligentów poszukujących zbliżenia z miejscowym ludem, inicjatorów ukraińskiego odrodzenia narodowego; po ślubie z chłopką ukraińską przyjął prawosławie. [przypis edytorski]

Ze mną państwo Bieleccy byli też sztywni, zwłaszcza pleć piękna, od czasu gdy na wątpliwość pani Bieleckiej, czy ojciec zaaprobuje moje zachowanie wobec księdza, odpowiedziałem, że znam mego ojca i że dla niego właśnie, jako dla rozumnego, religijnego człowieka, wszelkie szalbierstwo religijne jest głęboko wstrętne i wzbudza niesmak.

— Księdza Wincentego szanuje hrabina Pelagia.

— Ojciec mój nie szanuje za to hrabiny Pelagii — rzekłem.

Słyszałem potem, jak pani Bielecka wołała do męża:

— Czy pozwolisz temu młodzikowi znieważać swoją żonę...

Pożegnaliśmy się więc z cicią i kuzynkami bardzo chłodno, natomiast pan Bielecki zaszczycił mnie rozmową.

— Dziwię się — mówił — kuzynowi Oktawiuszowi, że kuzynka do naszych szkół do Galicji nie wysłał. Bo że my, chudopacholki, musimy znosić, że nasze dzieci mieszają z tą dziczą, to inna sprawa. Ale kto może... zapewne, zapewne... Kuzyn Oktawian statysta jest... Senatorska głowa, zawsze mówiłem to, ale ciężko, panie dobrodziej, ciężko patrzeć na to. Czy to Adaś taki był? Dzisiaj kuzyneczek inaczej na to zapatruje się, ja wiem. Demokracja, zasady! Panie Boże miły! Byłem i ja młody, panie dobrodziej. Nie ten jest Bóg, który w Sykstyńskiej kaplicy<sup>153</sup>, lecz ten, co z rozwichrzoną brodą, z mieczem w dłoni na czele ludów. Tak! Tak! Ale z doświadczenia i szczerego przekonania mówię, jest różnica między nami. U nas nawet taki Mierosławski<sup>154</sup> był pan z fantazjami. A tu ta ich demokracja, panie, czyste chamstwo! Wy sobie, panowie młodzi, myślicie, że my już nic nie wiemy, o niczym nie myślimy. A my po swoich gabinetach, po naszych dworach, dzień i noc, kuzyneczku, myślimy. I wspomnisz, kuzyneczku, moje słowa. January Bielecki ci to mówi. Brak zasad ich zgubi, podstaw nie ma. I nie może inaczej być: nie ma godności ludzkiej, wiary nie ma i patriotyzmu, miłości ojczyzny. U nich nawet samego tego wyrazu nie ma: ojczyzna. Uważasz, kuzyneczku, brak zasad. I rozsypie się to jeszcze wszystko. Instynktu społecznego nie ma. Dziś ty urzędnik, pan, a jutro chłop! I przyjdzie taki czas. Jak Grecja w starożytnym Rzymie. Okaże się, że bez nas ani na krok. I my czekamy teraz. Nie, tylko czekać i zasad przestrzegać. Kuzyn Oktawian spenetrował to już wszystko pewno. Ale zasady, kuzyneczku, January Bielecki to mówi. I ja w młodości różnie tam. Poglądy, filozofie. Ale dziś jedną nogą w grobie już stoję, mówię jak ten mędrzec: pół wiedzy odwodzi od Boga, cała wiedza powraca do niego. I tak jest. Starzec doświadczony ci to mówi. Na drogę życia przyjm tę radę od doświadczonego krewnego: siłą naszą są nasze zasady.

Pamiętam ich, tych statystów z dworów wiejskich i pałaców. Porujnowani obywatele i magnaci, od zielonego stolika wstając, przy którym grali w hazardowego diabełka czy pocziwego preferansika, wracając z kolacji z baletnicami lub z jarmarku, gdzie dawali ujście starszłacheckiemu temperamentowi, lub też odrywając się od ulubionego niekończącego się nigdy pasjansa, jaki rozkładali, niezmordowani, po osiem, dziesięć godzin na dobę, wszyscy oni mieli to jedno słowo na ustach; tym dziwniejsze, że naprawdę przekonani byli, że w ich życiu odgrywa ono jakąś rolę. Wierzyli, że bronią oni tych jakichś zasad, dochowują im wiary. Nie wątpili o wyższości swojej i swego środowiska, zdawało im się, że panują nad życiem, że mają prawo wzruszać ramionami nad wszystkim i lekceważyć wszystko.

O, jakże tu niedostrzegalnie, codziennie, spokojnie, z łagodnym uśmiechem na ustach i gołębią słodyczą w sercu mordowano dusze i umysły.

Tu układały się i powtarzały dziwne legendy.

Szlachcic

<sup>153</sup>*Sykstyńska Kaplica* — papieska kaplica w Pałacu Watykańskim, wybudowana w XV w. z fundacji papieża Sykstusa IV, słynna przede wszystkim z fresków zdobiących jej sklepienie, namalowanych przez Michała Aniola. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>*Mierosławski, Ludwik* (1814–1878) — generał, uczestnik powstania listopadowego, członek emigracyjnego Towarzystwa Demokratycznego Polskiego; współpracował z Mazzinim; miał być przywódcą zaplanowanego na 1846 powstania we wszystkich trzech zaborach, jednak wskutek denuncjacji hr. Ponińskiego został aresztowany przez policję pruską; w czasie Wiosny Ludów był dowódcą powstania w Wielkopolsce w 1848 oraz na Sycylii i w Badenii w 1849; w 1860 nawiązał bliską współpracę z Garibaldiem; w 1863 był dyktatorem powstania styczniowego z ramienia Tymczasowego Rządu Narodowego, porażki militarne oraz konflikt z Langiewiczem skłoniły go do rezygnacji z godności dyktatora, powrócił na emigrację do Francji. [przypis edytorski]

Z dumnym uśmiechem mówiono sobie, jak rozbił na głowę Klaczko<sup>155</sup> Bismarcka<sup>156</sup>. Jego jedyne, jego przenikliwości i szlachetnej wierności zasadom boi się żelazny kanclerz.

Nie dostrzegano, nie chciano dostrzegać, że z dnia na dzień wyrasta naokoło nas nowe, nieznające już nas, nieznanne dla nas i niezrozumiałe życie.

To wszystko były tylko zmyślenia chwili, wybryki mody, piana zdarzeń powierzchownych i nic nie znaczących.

Dzisiaj ja, rozbity i wyrzucony poza życie człowiek, przeklinam cię jeszcze, ty roztkliwiająca dobroci polskich rodzin.

Ale na co się zda gniew i rozgoryczenie.

Tak być musiało i musi.

Tylko lękam się, że nadejdzie dzień, w którym zbudzimy się nagle pośród ludzkości niepotrzebni i bezradni.

Z jakim pańskim spokojem, z jaką poufałą dezynwolturą<sup>157</sup> sądów tu klepano po ramieniu idee i ludzi.

Pasjansowy mędrzec lub nudzący się pomiędzy jedną a drugą partyjką, jedną a drugą budą jarmarczną męczennik narodowy z uśmiechem pobłażliwym przyglądał się, gdy syn jego wstawał z głową rozpaloną od dzieł Darwina albo Bouckle'a<sup>158</sup>.

A jak lekceważono, jak umiano wszczepić lekceważenie dla człowieka, dla myśli lub dla godności osobistej.

Ile razy i z prawdziwym smakiem opowiadał stryj Florian, że w szkołach biją różgami. Pamiętam, jak dowcipkował, gdy w Odessie pannie Wrzosek, aresztowanej za urządzenie jakiegoś patriotycznego nabożeństwa, miano dać w policji kilkadziesiąt plag<sup>159</sup>.

Było w tym prawdziwe, a pozbawione złośliwości lubowanie się. Odżywała psychologia starostów kaniowskich<sup>160</sup> i błaznów w mitrze „Panie Kochanku”<sup>161</sup>.

Pamiętam, jak zdziwił się stryj, gdy ciotka Emilia występowała w obronie znieważonej panienki.

— Ze wszystkiego można się przecież śmiać. Gdyby już człowiekowi żartować nie było wolno!

I żartowali oni bez ustanku z siebie, przyszłości dzieci swych, z nauki, z całego świata. Nikt tu nigdy nie był szczery z samym sobą. Prawda wewnętrzna i zewnętrzna były raz na zawsze usunięte z tej atmosfery myślowej.

Żarty stryja Floriana były sławne. Obmyślał on je całymi tygodniami, całymi tygodniami wprowadzał w wykonanie.

Pamiętam takie zdarzenie:

Przed bramą naszego pałacu ciągnął się wielki trakt pocztowy. Stryj siadywał tu i prowadził gawędy z przechodniami.

Szlachcic

Żyd

<sup>155</sup>*Klaczko, Julian*, pierwotnie *Jebuda Lejb* (1825–1906) — polski publicysta pochodzenia żydowskiego, historyk sztuki i literatury, uczestnik powstania wielkopolskiego; pisał gł. po francusku, 1849–70 na emigracji w Paryżu, związany z Hotelem Lambert; po wybuchu powstania styczniowego włączył się w działalność dyplomatyczną; zyskał rozgłos europejskiego publicysty artykułami na temat agresywnej polityki Prus i Rosji wobec Danii i Polski; był autorem głośnego studium *Dwóch kanclerzy* (1875–76), ostro zwalczającego Bismarcka; austriacki radca dworu przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych (od 1870), poseł do galicyjskiego Sejmu Krajowego; członek Akademii Umiejętności w Krakowie (1872), korespondent Akademii Francuskiej (1888). [przypis edytorski]

<sup>156</sup>*Bismarck, Otto von* (1815–1898) — niem. polityk konserwatywny, jako premier Prus doprowadził do zjednoczenia państw niemieckich, w powstałej Drugiej Rzeszy pełnił funkcję kanclerza. Prowadził pozbawioną sentymentów politykę z pozycji siły, zyskując miano Żelaznego Kanclerza. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>*dezynwoltura* — swobodne, nieco lekceważące podejście do jakiejś kwestii. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>*Buckle, Henry Thomas* (1821–1862) — ang. filozof i historyk kultury, jeden z gł. przedstawicieli pozytywizmu w historiografii, twórca podwalin socjologii; autor dzieła *Historia cywilizacji w Anglii* (1857–1861). [przypis edytorski]

<sup>159</sup>*plaga* (daw.) — zwykle w lm: uderzenie batem lub kijem; baty. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>*starosta kaniowski* — Mikołaj Bazyl Potocki herbu Pilawa (ok. 1706–1782), jeden z największych warcholów czasów stanisławowskich, uosobienie awanturnictwa, pijaństwa, rozpusty i sadyzmu wobec poddanych, połączonych z gorliwą pobożnością. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>*Panie Kochanku* — przydomek księcia Karola Stanisława Radziwiłła (1734–1790), wojewody wileńskiego, znanego z barwnego, hulaszczego trybu życia, popularnego wśród drobnej szlachty. [przypis edytorski]

Był upał. Kupiec zbożowy, stary Żyd, z którym rodzina nasza miała interesy przez lat kilka, zatrzymał się w przejeździe i po chwili rozmowy poprosił o szklankę wody. Stryj zadzwonił na lokaja. I gdy Żyd wypił, zapytał, mrugając na służącego:

— Wsypałeś?

— Wsypałem — odpowiedział wytresowany sługa.

Zelman, staruszek sześćdziesięciokilkolletni, rozchorował się z imaginacji<sup>162</sup>: przekonany był, że wypił w wodzie coś trefnego<sup>163</sup>. Stryj Florian miał ustaloną reputację.

Szlachta zaśmiewała się, słuchając opowiadania, a gdy w parę miesięcy syn Zelmiana, przyjechawszy na wakacje do ojca z uniwersytetu, posłał stryjowi wyzwanie, uznano to za doskonałą anegdotę.

— Syn starego Zelmiana... ha, ha, Mojsze Zelman.

Miałem wtedy siedemnaście lat. Kazałem osiodłać konia i pojechałem do miasteczka, w którym mieszkał Zelman.

Starego nie było w domu. W zastawionym meblami salonie przyjął mnie młody człowiek o bladej twarzy, otoczonej czarnym zarostem, i wielkich, smutnych oczach.

— Jestem Kaniowski — rzekłem — mój stryj dopuścił się wobec ojca pana niegodnego czynu. Wzrósł w pojęciach, którym godność ludzka była zawsze całkiem obca. Jeżeli pan chce, będę się bić z panem.

Zelman uśmiechnął się, wyciągnął do mnie rękę.

— No, i jakież to byłby sens, gdybym ja strzelał do pana, a pan do mnie. Pańskiego stryja ja chciałbym nauczyć, kiedy on tego nie wie, że Żyd jest człowiek. Mój ojciec nikogo nie skrzywdził, jego jedyna wina jest, że on panom z sobą żartować pozwalał. On i teraz na mnie z wielkim gniewem się rzucił, on się przeląkł, żeby mnie się co nie stało. On nawet do pańskiego ojca chciał jechać, pojechał może, choć go prosiłem. A z panem po co ja się mam bić? Z panem mnie bardzo przyjemnie się zapoznać.

Zaczęliśmy rozmawiać.

Młody Zelman był poetą. Później, kiedy nie żył on już, w całej Rosji zaczytywano się jego lirykami. Był w nich straszliwy smutek i gorąca chęć życia, miłość szczęścia i przekonanie, że nie ziści się ono.

Mówiliśmy o literaturze i położeniu Żydów.

Pomiędzy innymi Zelman rzekł:

— Pan mi wybacz, na waszej polskiej dobroci można się zawieść, wy, jak kaprys taki przyjdzie, pachciarza<sup>164</sup> nawet do stołu razem z sobą posadzicie. Tylko niech on nie wyobraża sobie, że jemu to się należy. Wy jesteście dobrzy ludzie, wy mówicie: i dla Żyda trzeba być dobrym.

Pochyliłem głowę.

— Niech pan się nie obraża — mówił — ja przecież nie do pana stosuję, ja pana nie znam, zresztą pan młody jest. Ale mi smutno, że wam jest tak źle, a wy przecież tak mało jesteście ludźmi.

Gdy powróciłem, przy podwieczorku sprawa Zelmiana była znowu tematem rozmowy.

Coś musiało zajść, bo ojciec był pochmurny, stryj Florian nadrabiał miną.

— Ależ proszę cię, proszę cię, cóż mi to szkodzi — mówi stryj — ja mogę nawet do niego we fraku pojechać i w białym krawacie. Pierwszy raz coś podobnego słyszę, jutro Tychon albo Spirydion mi sekundantów przyśle.

Kiedy na zapytanie ojca odpowiedziałem, gdzie byłem, wybuchła burza.

Stryj Florian wstał z krzesła i podszedł do mnie, nisko mi się kłaniając:

— Dziękuję ci za naukę, serdecznie dziękuję. Jaja dziś od kury mędrsze. Cóż teraz, do kąta mi pójść każesz, czy może na kobiercu rozciągniesz? Proszę cię, proszę, nie żenuj się. Cóż? Ja przecież, choć stryjem twoim jestem, łaskawy chleb u ojca twojego jem, dlaczego masz mnie oszczędzać? I owszem, pozwól sobie.

Ojciec wstał od stołu i wyszedł.

Żyd

Żyd

<sup>162</sup>imaginacja (z łac.) — wyobraźnia. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>trefny — niekoszerny; niespełniający przepisów Talmudu dotyczących zachowania rytualnej czystości. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>pachciarz (daw.) — dzierzawca (np. karczmy, bydła, ziemi), najczęściej Żyd. [przypis edytorski]

Było mi nad wszelki wyraz przykro. Jakże nienawidziłem tej obłudnej, płacziwej maniery, tego drapowania<sup>165</sup> się w płaszczce męczeńskie.

Wieczorem w ogrodzie spotkała mnie ciotka Emilia:

— Uraziłeś stryja, sam wiesz, jakie on ma złote serce. Kiedy wyszedł, ocierał łzy. Rozumiem cię, ale wierzaj mi, że przejmujesz się nadmiernie. Ci ludzie tego nie czują tak. Żyd ten przeląkł się tylko o zdrowie.

Myślałem z pewnym strachem o lecie, o trzech długich miesiącach, które wypadnie teraz spędzić w tym otoczeniu. Już podczas świąt Wielkiejnocy ciotka patrzyła na mnie z wyrzutem. Uchyliłem się stanowczo od bywania w kościele.

Ojciec zagadnął mnie nieznacznie.

— Ciotka gryzie się, wiesz, jak ona jest przyzwyczajona do tych form. Jej trudno się dziwić, nie pozostało jej nic prócz dziecka, a przeżyła zbyt wiele.

Było mi trudno mówić o tym z ojcem. Nie śmiałem nigdy być z nim całkiem szczery.

— Ja nie chciałbym martwić ciotki — powiedziałem — ale nie chcę też nikogo oszukiwać.

Nie wracaliśmy do tego przedmiotu.

Ojciec mój był religijny po swojemu. Latami całymi nie pokazywał się w kościele, ale widziałem go raz czy dwa, jak klęczał, bił się w piersi, z oczu mu płynęły łzy.

Raz było to na jakimś pogrzebie, a drugi raz zaszliśmy do jakiegoś kościoła w przejeździe. Nie było w nim nikogo.

Tego dnia modlitwa ta bez świadków zrobiła na mnie przejmujące wrażenie.

Gdyśmy wyszli, ojciec wziął mnie za rękę.

— Siebie tylko nigdy nie powinien zdradzać człowiek. Nigdy nie powinien w żadnych okolicznościach zdradzać siebie. Nie powinno się być rozumniejszym od sumienia.

Trudno mi było zrozumieć ojca i do dziś dnia nie jestem pewny, czy czytam naprawdę w poplątanych i pozacieranych piśmie wspomnień, czy ludzę się tylko. Gorąco kochałem mojego ojca. Trudno mi zrozumieć go i sądzić. W gruncie rzeczy na dnie świadomości pozostał on tym samym, czym był dla mnie, kiedy byłem dzieckiem: przedmiotem religijnej czci. Buntowałem się przeciwko niemu i myśli moje wyszły poza okrąg jego świata. Niepotargany jednak został serdeczny związek dni dziecinnych. Myślę, że uczucie głęboko wrośnięte w duszę nie zaciera się nigdy. Istnieją u nas sfery wzruszeń i uczuć, w których do zgonu pozostajemy dziećmi.

5

— Pan Bóg, kiedy stwarzał Kaniowskich, był roztargniony i przesolił — mawiał stryj Florian.

Innym razem wywodził nas od pestki z tego jabłka, którym udławił się Adam.

— Każdy Kaniowski sterczy w świecie tak, jak kość w grdyce. Rzuć go do młyna, koła i kamienie popękają, a mąki nie będzie. Istotnie z twardego materiału wykrzesala nas natura.

— Krwi skandynawskiej więcej w żyłach pozostało — mówił jeden z moich krewnych, mocno przekonany o normandzkim pochodzeniu polskiej szlachty.

Życie mogło i umiało nas łamać, ale nie zdołało nigdy rozpuścić w sobie, zasymilować. Pozostawała zawsze jakaś oporna, nietutejsza reszta.

Jak daleko w przeszłość sięgnąć, Kaniowscy darli koty z otoczeniem swoim i pomiędzy sobą.

Opowiadają, że gdy w XVII wieku jakiś biskup naszego nazwiska krewniaka swego za niedowiarstwo przeklął, ten go z własnego pałacu w biały dzień porwał, do swojego zameczku uwiózł i tam tak długo w lochu morzył, postem i samotnością usiłując prałata na rzecz Kopernikowskiej heretyckiej teorii czy innych „nowinek” przekonać, aż wreszcie stary i uparty ksiądz ducha wyzionął, a awanturniczy wolnomyśliciel uchodzić musiał z kraju i — jak wieść mówi — poturczył<sup>166</sup> się, do wielkich godności doszedł, a wreszcie spisek przeciwko sułtanowi uknuwszy, na palu twardego żywota dokonał.

<sup>165</sup>*drapować* — dosł. układać tkaninę w dekoracyjne fałdy; *drapować się*: przen.: stroić się, przebierać. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>*turczyć się* — przyjmować język, obyczaj i wiarę Turków, stawać się Turkiem. [przypis edytorski]

Religia

Sumienie

Ojciec

Jeden z jego potomków, że od komunii przez księdza publicznie w kościele odprawiony został, Jezusa Chrystusa, jeżeli wie, co godność szlachecka, na rękę wyzwiał, a nie doczekawszy się go na posterunku, do kościoła samotrzeć<sup>167</sup> z kozakami wjechał, do cudownego krucyfiksu nad wielkim ołtarzem z pistoletów strzelił, „nic prócz drzewa” — mruknął i koniem zawrócił; zastępującego mu drogę przeora obalił, zakonników roztrącił i zdrów, i cały miasteczko opuścił. Tenże sam Kaniowski przywódcą miał być jednej ze zbuntowanych watah kozackich, z Żeleźniakiem i Gontą<sup>168</sup> w przyjaźni był i pod nazwą Ataman Czort trzymał w strachu szlachtę i regimenty<sup>169</sup> imperatorowej rosyjskiej<sup>170</sup>.

Inny z moich przodków, przez Katarzynę<sup>171</sup> na Ural wywieziony, był sekretarzem i adiutantem Puchaczewa<sup>172</sup>. Jego zaś brat rodzony był przez siedem tygodni tejże Katarzyny kochankiem. Jak kronika skandaliczna dworu petersburskiego opowiada, na wielkiej maskaradzie wystąpił w rydwanie ciągniętym przez sześciu kamerherów<sup>173</sup>, rżących z uciechy i z bólu, gdyż nieskąpo smagał ich po spasyłych łydkach surowcowym biczem. Ta sama kronika mówi jednak, że gdy tę samą metodę surowcową w jakiejś sprzeczce zastosował względem białych ramion swej kochanki, znikł nagle z petersburskiej powierzchni, a prawdopodobnie i ze świata, gdyż nigdy już potem nic o nim nie słyszano.

Jego syn natomiast był honorowym obywatelem jedynej i niepodzielnej republiki francuskiej i przyjacielem Marata<sup>174</sup>, a umarł w więzieniu jako oskarżony o współudział w Sprzysiężeniu Równych Grakchusa Babeufa<sup>175</sup>.

Rodzony zaś brat tego spiskowca, dziesięcioletnim chłopcem przez Pawła<sup>176</sup> do Berezowa<sup>177</sup> wysłany, potem z drogi wrócony i kamerpaziem<sup>178</sup> mianowany, w roku 1812 zasłynął tym, że ogłosił swoją między Napoleonem a Aleksandrem I<sup>179</sup> neutralność i na dostawach do armii oraz skupowaniu od braci stryjecznych, którzy regimenty dla Korsykanina szykowali, folwarków i kluczków<sup>180</sup> olbrzymiej się fortuny dorobił.

Uważał państwa i narody za fikcję, wojnę za chorobę umysłową, księży nazywał wieszczbiarzami i płacił im za to, by się za niego nie modlili. W majątkach swych zaprowadził sądy rozstrzygające zatargi pomiędzy bydłem i dozorującą je czeladzią, miał o wszystkim własne i niepodobne do żadnego rozpowszechnionego zdanie.

Braci stryjecznych za przywiązanie do Napoleona raz na zawsze za obłąkanych uznał. „Za rezydentów bym ich nie przyjął — mówił — więc sobie po różnych San Domingach i Pirenejach poginęli”. Dowiedziawszy się jednak, że po Celestynie pozostał syn z niepo-błogosławionego przez Kościół związku z Francuzką, która dla swego kochanka z jakiegoś klasztoru uciec miała, sprowadził matkę i dziecko do kraju, wreszcie dziecko usynowił, a z matką się ożenił. Ze związku tego miał trzech synów i dwie córki.

Rodzinę swoją wychowywał w myśl zasady: do mojego domu nikt nie śmie się wtrą-

Ojciec, Rodzina, Testament

<sup>167</sup>samotrzyć (daw.) — sam z dwoma towarzyszami; we trójkę. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>Żeleźniak i Gonta — Maksym Żeleźniak (ok. 1740–1768) i Iwan Gonta (1705–1768), przywódcy koliszczyzny (1768), antyszlacheckiego powstania chłopów ukraińskich, krwawo stłumionego przez wojska polskie i rosyjskie. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>regiment — daw.: pulk. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>imperatorowa rosyjska — Katarzyna II Wielka (1729–1796), żona cesarza Piotra III, po dokonaniu w 1762 zamachu stanu samodzielna cesarzowa Rosji. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>Katarzyna II Wielka (1729–1796) — żona cesarza Piotra III, po dokonaniu w 1762 zamachu stanu samodzielna cesarzowa Rosji. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>Puchaczew, dziś popr.: Pugaczow, Jemieljan (1742–1775), doński Kozak, który podając się za cudownie uratowanego cara Piotra III, wszczął powstanie chłopskie (1773–75), które ogarnęło całą południowo-zachodnią część cesarstwa rosyjskiego. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>kamerher (z niem.) — szambelan dworu. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>Marat, Jean-Paul (1743–1793) — fr. polityk i dziennikarz okresu Rewolucji Francuskiej, jakobin, zabity przez Charlotte Corday. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>Babeuf, François Noël (1760–1797) — radykalny polityk fr. pochodzenia chłopskiego; w 1789 przyłączył się do rewolucji, zorganizował tzw. Sprzysiężenie Równych, działał na rzecz zradkalizowania rewolucyjnych przemian, zyskał sobie przydomek Grakchusa (rzym. trybuna ludowego z II w. p.n.e., dbającego o dobro plebejuszy). [przypis edytorski]

<sup>176</sup>Paweł I Romanow (1754–1801) — cesarz Rosji (od 1796), następca Katarzyny II. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>Berezowo — miasto na Syberii, nad rzeką Ob, miejsce zsyłek. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>kamerpaż (z niem.) — paż nadworny, pełniący służbę przy boku monarchy. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>Aleksander I Romanow (1777–1825) — cesarz Rosji (od 1801), król Polski od 1815 (Królestwo Polskie), syn i następca Pawła I; przeciwnik Napoleona Bonaparte podczas wielkiej inwazji na Rosję (1812). [przypis edytorski]

<sup>180</sup>klucz (daw.) — większy majątek ziemski, złożony z kilku wsi lub folwarków. [przypis edytorski]

cać, ja sam ojciec, sam sędzia, sam papież i sam Trójca Święta. Żonie i córkom sam obmyślał suknie, gdyż mody zmieniały się zbyt szybko. Synów usiłował wychowywać w pogardzie dla marzycielstwa, płacziwości i dewocji. Żaden z nich mu się jednak dobrze nie udał. Pierwszego rozczarowania przysporzył mu syn przybrany, który zrazu w Petersburgu świetną karierę rozpoczął, lecz w 1825 roku w spisek grudniowy<sup>181</sup> się wmieszał, w cudowny sposób na okręcie angielskim uciec zdołał, na lat kilka zaginął bez wieści, w roku 1831 do kraju się przedostał, wraz z wojskiem wyemigrował. Na emigracji zrazu był uczniem ojca *Enfantina*<sup>182</sup> i członkiem *menilmontańskiej* gminy. Potem jednak nawrócił się, wstąpił do zakonu ojców jezuitów i został w nim podobno wysokim i wpływowym dygnitarzem. Przy każdej z tych zmian dziad Ksawery wyklinał wyrodka i zmniejszał jego część w testamencie o jakąś specjalnie obmyśloną i uzasadnioną kwotę. Każdy występki dzieci był w testamencie tym, nieustannie przerabianym, w ten sposób karany i testament otrzymywał coraz to nowe kodycyle<sup>183</sup>, które następnie przez długie lata stanowiły przedmiot utrapienia dla mojego ojca i źródło dochodów dla rosyjskich sędziów.

Nie udało się panu Ksaweremu i rodzone dzieci. O starszą z córek, Julię, oświadczył mu się przez adiutanta car Mikołaj I<sup>184</sup> dla jakiegoś ze swych oficerów. Dziadek za zaszczyt podziękował i przeproszał, że nie wiedząc o szczęściu, jakie go może spotkać, losem córek już rozporządził. Gdy adiutant wyraził zdanie, że cesarzowi miło będzie poznać nazwiska wybrańców, by mógł i nadal opiekować się losem panienci, która zwróciła jego łaskawą uwagę, dziadek Ksawery niezmiernie wymienił dwóch znienawidzonych przez siebie ubogich krewnych, którym ani się marzyło o konkurach<sup>185</sup>. Pomimo to w sześć tygodni małżeństwa zostały zawarte i pan Ksawery przekonany już był, że partię tę ostatecznie wygrał. Mikołaj I był jednak po niemiecku systematyczny, i w kilka dni po ślubie jeden z zięciów pana Ksawerego, Ignacy Kaniowski, otrzymał nominację na urząd w Wiatce. Urząd przyjąć trzeba było, lecz pan Ksawery nie dał za wygrane. Mianowany czy też raczej skazany mógł tak gorliwie smarować koło swej kariery, aż wreszcie dosłużył się rang i zaszczytów więcej niż wysokich.

Było to jedyne chyba powodzenie metody wychowawczej pana Ksawerego.

Drugi z jego zięciów miał zrazu fantazje tylko bałagulskie<sup>186</sup>, gdy jednak raz przysłany mu, z okazji pełnienia jakiejś obywatelskiej funkcji, Order Świętej Anny<sup>187</sup> trzeciego czy czwartego stopnia suczce swojej Dianie na szyi powiesił, został oddany pod sąd i skazany na służbę wojskową na Kaukazie. Tam zrazu o mało nie zginął pod pałkami, potem niemal już całkiem zginął w jakiejś bitwie, lecz jednocześnie ocalał życie swemu generałowi. Umierając, otrzymał awans oficerski i na złość rządowi wyzdrowiał, podał się do dymisji i wrócił do domu z głową całkiem już przewróconą. Kije i szpicruteny<sup>188</sup> przekonały go tak zasadniczo o równości skóry chłopskiej i szlacheckiej, że niepodobna mu było tego przekonania żadnymi argumentami z głowy wybić.

Mikołaj Kaniowski i jego rodzina stanowczo byli przedmiotem zgorszenia dla całej opinii szlacheckiej. Majątek został uprzednio już skonfiskowany. Dziad Ksawery po zesłaniu zięcia wziął do domu córkę i wnuczęta. Po powrocie jednak pana Mikołaja doszło prędko pomiędzy nim a dziadkiem do scen tak gwałtownych, że stary pan nie chciał nic słyszeć o tym chamie ani o jego potomstwie. Cham zamieszkał w jakimś miasteczku powiatowym i został doskonałym cieślą! Gdy po śmierci dziada Ksawerego przypadła na

<sup>181</sup> *w 1825 roku w spisek grudniowy* — nieudane powstanie wszczęte w grudniu 1825 przez tzw. dekabrystów, rewolucjonistów szlacheckich dążących do obalenia jedyńowładztwa i zmiany ustroju. [przypis edytorski]

<sup>182</sup> *Enfantin, Barthélemy Prosper* (1796–1864) — francuski socjalista utopijny, teoretyk i jeden z założycieli *saintsimonizmu*; ogłosił się wybrańcem Boga, przez swoich zwolenników był nazywany „ojcem”; jego liberalne poglądy nt. praw kobiet i małżeństwa spowodowały zamknięcie ośrodka paryskiego przez władze (1832), w związku z czym zamieszkał w podparyskim *Menilmontant* z 40 uczniami. [przypis edytorski]

<sup>183</sup> *kodycyli* — późniejszy dodatek do testamentu zawierający rozporządzenie majątkiem na wypadek śmierci, bez ustanowienia spadkobiercy. [przypis edytorski]

<sup>184</sup> *Mikołaj I Romanow* (1796–1855) — cesarz rosyjski i król polski (od 1825), syn Piotra I, brat i następca Aleksandra I. [przypis edytorski]

<sup>185</sup> *konkury* (daw.) — starania się o rękę kobiety. [przypis edytorski]

<sup>186</sup> *bałaguta* (daw., reg.) — furman, woźnica. [przypis edytorski]

<sup>187</sup> *Order Świętej Anny* — order carski przyznawany w Imperium Rosyjskim; od 1831 na przedostatnim miejscu w hierarchii orderowej; dzielił się na cztery klasy. [przypis edytorski]

<sup>188</sup> *szpicruten* — gruby, długi kij, którym wymierzano karę chłosty buntownikom w carskim wojsku; skazaniec był prowadzony pomiędzy dwoma szeregami żołnierzy i bity z obu stron. [przypis edytorski]



niego i jego rodzinę dość znaczna suma, zawodu, uwłaczającego godności szlacheckiej, nie porzucił. Rozszerzył go tylko i wkrótce zasłynął jako wysoko uzdolniony i sumienny przedsiębiorca budowlany. Ale szlachta trzęsła się na samo wspomnienie cieśli Kaniowskiego, i to z tych najlepszych, prawdziwych Kaniowskich.

Pamiętam, z jaką nienawiścią wymieniano to nazwisko, zwłaszcza gdy cieśla Kaniowski, cham Kaniowski, w czasie zebrań obywatelskich w sprawie włościańskiej pojawiać się na nich zaczął i mówić znakomitą polszczyzną o cyceronowskich okresach<sup>189</sup> prawdy tak zgrzebne i chamstwem cuchnące, że aż w końcu generał-gubernator kijowski rozkazał mu wyjechać z miasteczka, w którym mieszkał. Nie przeszkodziło to opinii szlacheckiej ogłosić chama Kaniowskiego zdrajcą i omal że nie agentem rządowym. Wiadomo przecież było, że służył w wojsku i dostał nawet żelazny Krzyż Żołnierski Świętego Jerzego<sup>190</sup>. Nie przeszkodziło to też w lat parę Murawjewowi powiesić upartego cieślę w Wilnie, gdy został schwytany gdzieś na Żmudzi na czele chłopskiego oddziałku. Szlachta prędko zapomniała o tej śmierci. Natomiast nie zapomniała, że skonfiskowane skrypty „renegata”<sup>191</sup> zostały przekazane komisji do spraw włościańskich<sup>192</sup> Milutyna i Czerkaskiego<sup>193</sup>.

Nielepiej też na ogół poszły sprawy z rodzonymi synami pana Ksawerego. Było ich trzech, najstarszy pan Seweryn, później pan Florian i wreszcie mój ojciec.

W czasie powstania listopadowego ojciec mój miał lat dwanaście zaledwie. On też jeden nie sprawił dziadkowi w tym czasie gorzkiego zawodu i do powstania nie poszedł. Pan Ksawery i w tym bowiem czasie pozostał neutralny. Chował do końca życia wyrok jakiegoś sądu obywatelskiego, skazujący go na infamię<sup>194</sup> i konfiskatę dóbr, i czytając nazwiska sędziów, wydobywał uprzejmie pisane, a ten sam podpis noszące listy z prośbą o protekcję do władz lub pożyczkę.

Chłodna i systematyczna pogarda dla współobywateli stawała się, w miarę jak posuwał się on w lata, prawdziwą namiętnością. Długi czas opowiadano sobie anegdoty o złośliwych, bolesnych figlach płatanych przez starego borsuka swym sąsiadom.

Umarł w 1846 po otrzymaniu listu, w którym pan Seweryn przeproszał go, że swym postępowaniem przyczynił się do wytworzenia zatwardziałości duchowej w jego sercu, i błagał Boga, by mu pozwolił się tak pojednać z sobą, by ojciec jego nie potrzebował się już czuć duchem surowym i karzącym.

Pan Seweryn należał już w tym czasie do najgorliwszych wyznawców Towiańskiego<sup>195</sup>. W roku 1848 wybrał się on z misją osobistą do cara Mikołaja, został aresztowany na granicy, wysłał z więzienia do cesarza list, za który zrazu został zamknięty w twierdzy, potem przeniesiony do szpitala obłąkanych, wreszcie zesłany do orenburskiej guberni. Po śmierci Mikołaja pozwolili mu podobno wrócić, nie chciał jednak rzekomo skorzystać z pozwolenia, mówiąc, że ma tu do spełnienia obowiązki, od których tylko wola Boga uwolnić go może. Mieszkał w jakiejś baszkirskiej wiosce, raz na dwa albo trzy lata przysyłał ojcu mojemu list, pisany na siwym, grubym i szorstkim papierze. Ojciec mój wysyłał mu rocznie pewną, nad wyraz skromną, przez niego samego wyznaczoną sumę, wypłacał też z jego polecenia różnym osobom kwoty niejednokrotnie znaczniejsze. Po śmierci dziadka bowiem ostatecznie najznaczniejsza suma znalazła się w ręku mojego ojca, który jednak uważał majątek ten po części za swoją własność, po części zaś za fideikomis<sup>196</sup>, należący do brata-emigranta-jezuity, do zesłańca Seweryna i do wdowy po Mikołaju.

<sup>189</sup>okres — retorycznie ukształtowane zdanie złożone, stanowiące całość znaczeniową. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>Krzyż Żołnierski Świętego Jerzeg — dawny wojskowy order rosyjski, ustanowiony w 1769. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>renegata — odstępcą; osoba, która zmieniła wiarę, narodowość, przekonania polityczne. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>włościański (daw.) — chłopski. [przypis edytorski]

<sup>193</sup>Czerkaski, Władimir Aleksiejewicz (1824–1787) — rosyjski działacz państwowy, w 1858–60 członek komisji badającej sytuację chłopów w związku z przygotowaniem do reformy uwłaszczeniowej w Rosji; w 1863–66 dyrektor naczelny Rządowej Komisji Spraw Wewnętrznych w Królestwie Polskim, uczestniczył w opracowaniu przepisów uwłaszczeniowych. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>infamia (z łac.) — kara utraty czci, zwykle związana też z ograniczeniem podejmowania czynności prawnych. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>Towiański, Andrzej (1799–1878) — mystyk, filozof, prawnik; założyciel sekty skupiającej wyznawców jego mesjanistycznych poglądów (tzw. Koła Sprawy Bożej), która wywarła duży wpływ m.in. na Mickiewicza. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>fideikomis (z łac. *fidei comissum*: powierzone w zaufaniu) — rodzaj zapisu testamentowego polegający na nieformalnym poleceniu przez spadkodawcę, by spadkobiorca przekazał część spadku osobie trzeciej. [przypis edytorski]

Ignacy Kaniowski, mąż ciotki Julii, część swoją skapitalizował, a stryj Florian niedługo przeżartował swoją resztkę za wyjątkiem małej wioszczyzny w naszym sąsiedztwie, w której zamieszkał.

Emigrować po roku 1831 stryj Florian nie potrzebował. Współudział jego w rewolucji był zarówno krótki, jak oryginalny. Został on po ucieczce z domu (miał wtedy lat szesnaście czy siedemnaście) wzięty do niewoli na trzecim już popasie<sup>197</sup>, nie przez Moskali jednak, lecz przez wysłanego za nim w pogoń przez dziada Ksawerego ekonomę.

Odstawiony do domu, zamknięty został przez dziadka w sklepionym alkierzu i tu przez kilka miesięcy pozostawał pod kluczem, nie wypuszczano go niemal na krok. Skazany był przy tym na skubanie wełny i międlenie konopi. Sam opowiadał później, że w tym czasie uzbierało mu się w głowie tyle złośliwych konceptów<sup>198</sup>, że na wykonanie ich nie starczyło mu później całego życia. Żarty swoje obmyślał nieraz stryj Florian całymi miesiącami, następnie je wykonywał. Sąsiad jego, Sitkowiecki, przekopał kilkanaście tysięcy rubli, szukając złota w swym podolskim majątku. Znając jego chciwość, stryj Florian porozrzucił po jego polach i ogrodzie trochę umyślnie sprowadzonego złotego kruszcu — i Sitkowiecki stał się gadką całej prowincji.

Najulubieńszymi ofiarami stryja Floriana byli urzędnicy rządowi. Z tymi prowadził on walkę prawdziwie nieubłaganą i w rezultacie kosztowną, gdyż każdy grubszy figiel stawał się niebezpieczny, iż trzeba go było opłacać.

Tak było z księciem Oldenburskim na przykład.

Był on na polowaniu pod Kaniowem i miał przejeżdżać przez jakieś miasteczko, dokąd na powitanie go sprowadzono orkiestrę gwardyjską.

Stryj Florian, jadąc w swym eleganckim powozie dobrymi końmi, spotkał właśnie zdążający z muzyką na przedzie oddział wojska, wychylił się z powozu i kiwając głową, z wyrzutem rzekł:

— A powiedziałem przecież, że jadę incognito<sup>199</sup>.

Oficer się zmieszał, zatrzymał oddział, wreszcie postanowił wrócić po nowe instrukcje.

Dzięki temu książę Oldenburski obszedł się bez muzyki, kancelarie zapisały z metrsześcienny papieru.

Stryj Florian zaś uchodzić zaczął za wielkiego patriotę i męża stanu.

Fama<sup>200</sup> ta wzrosła jeszcze bardziej od czasu, gdy napoił on biskupa prawosławnego eparchii<sup>201</sup> kamienieckiej kawą z oliwą.

Biskupisko, przejeżdżając przez majątek stryja, uznał, że zrobi Polaczkowi zaszczyt, jeżeli u niego konie popaść raczy.

Był to czas podwieczorkowy. Było kilka osób z sąsiedztwa; miano podać kawę.

Stryj Florian był nadskakująco grzeczny dla nieoczekiwanego gościa. Co drugie słowo cytował Jana Chryzostoma<sup>202</sup> albo Bazylego Wielkiego<sup>203</sup>, wygłaszał aforyzmy, jak na przykład:

„Słota uczy pokory wobec Pana”.

„Deszcz poi ziemię, aby plon wydała”.

„I konia należy czyścić zgrzeblem, aby lśniła się skóra jego i chędogie<sup>204</sup> było siedzenie jeźdźca”.

Podano wreszcie kawę. Na tacy, obok kubków ze śmietanką, pojawiła się karafinka z oliwą.

— Eminencja wybaczy nam — mówił stryj Florian — myśmy, chociaż to post nawet, kawę ze śmietanką pić przywykli, ale dla duchownej osoby jest oliwa. A jakże! „Gość

<sup>197</sup> *popas* (daw.) — postój w czasie podróży w celu nakarmienia koni i odpoczynku. [przypis edytorski]

<sup>198</sup> *koncept* (daw.) — żart; pomysł. [przypis edytorski]

<sup>199</sup> *incognito* — w tajemnicy, nie ujawniając własnej tożsamości. [przypis edytorski]

<sup>200</sup> *fama* — pogłoska; rozgłos. [przypis edytorski]

<sup>201</sup> *eparchia* — we wschodnim chrześcijaństwie terytorium podległe biskupowi, czyli odpowiednik zachodniej diecezji. [przypis edytorski]

<sup>202</sup> *Jan Chryzostom*, czyli *Złotousty* (ok. 350–407) — biskup Konstantynopola, pisarz i słynny kaznodzieja, teolog; święty prawosławny i katolicki. [przypis edytorski]

<sup>203</sup> *Bazyli Wielki* a. *Bazyli z Cezarei* (329–379) — pisarz wczesnochrześcijański, twórca jednej z pierwszych reguł zakonnych, święty prawosławny i katolicki. [przypis edytorski]

<sup>204</sup> *chędogi* (daw.) — czysty, porządny. [przypis edytorski]

w dom — Bóg w dom”, a ojcowie Kościoła mówią: „Zachowaj zakon ojców twoich, a Bóg ci przysporzy w sercu swoim”.

Biskup poczuł, że powaga Kościoła prawosławnego jest zagrożona, i zdobył się na poświęcenie, a na drugi dzień gruchnęła po Podolu wieść o kawie z oliwą i o patriotyzmie pana Floriana.

W dwa tygodnie zaś przed dom stryja Floriana zajechał feldjegier<sup>205</sup> i w dni kilkadziesiąt potem stryj Florian mógł prowadzić studia etnograficzne i geograficzne w gubernii ołonieckiej.

W ten sposób został męczennikiem i w tym ostatnim już charakterze w roku 63 głosił:

— Spokój, spokój, spokój, bo i tak jużemy aż nadto wiele cierpieci.

W tym też charakterze odmówił podania ręki Mikołajowi Kaniowskiemu na jakimś zjeździe, i szlachta mogła powtarzać, że znany patriota pomimo związków krwi odsunął się od sprzedawczyka.

Ojca mego stryj Florian się bał, jak bali go się raczej, niż lubili wszyscy niemal, z kim stykał się on bliżej. I było to rzeczą zrozumiałą. To, co jest nieznanne i niepojęte, działa w myśl swoich odrębnych, niedostępnych dla nas zasad i praw — wzbudza zawsze niedowierzanie, nieufność i lęk...

Ojciec mój zaś był *pour sang*<sup>206</sup> Kaniowskim. Nie zgadzał się z otoczeniem nawet wtedy, gdy szedł z nim razem. W roku 63 ojciec mój zajmował praktycznie to samo stanowisko, jakie propagował stryj Florian. Stryj Florian pomimo to był patriotą, ojciec mój zaś człowiekiem wielkiej głowy, lecz bez narodowych uczuć. I właściwie było to w porządku rzeczy.

Myślę, że ojciec mój, arystokrata i heglista, nie był bliższy ogółowi szlachty niż demokraci i renegaci stanu szlacheckiego, który na szubienicę murawjewowską poszedł, nie zasłużony, aby mu patriotyczny stryj Florian dłoń uściśnął.

— Śladami Mikołaja pójdzie — rzekł stryj Florian, gdy upierał się przy tym, że na studia do Petersburga pojedę.

— Nie najgorsze to może ślady — rzekł mój ojciec i zmarszczył brwi.

Stryj Florian zamilkł i wzrok narodowo-cierpiący wznosił ku niebu.

### III. SPARTAKUS I SZYMON SŁUPNIK

#### I

Jesienią 1869 roku znalazłem się w Petersburgu jako student wydziału przyrodniczego. Sam wybór tego wydziału był powodem nieporozumienia pomiędzy mną i ojcem. Nieporozumień tych było aż nazbyt wiele w czasie poprzedzającym mój wyjazd. Nie chcę ich wspominać szczegółowo.

Były to czasy, w których mój ojciec musiał wiele cierpieć.

Dzisiaj pamiętam, że w jego spojrzeniu, kiedy patrzył na mnie, migotał strach. Ale wtedy ja nie widziałem tego. Nie chciałem i nie mogłem widzieć.

Musiałem iść precz stąd, z domu, w którym ciągle wspomniano.

Ja chciałem żyć, a ich wspomnienia nie były moimi wspomnieniami. Byłem zresztą w stadium wojowniczego ateizmu i nieustannie wywoływałem sceny, po których ciotka Emilia dostawała spazmatycznego płaczu.

Ojciec bladł, patrząc na moją haftowaną z chłopska, ukraińską koszulę.

Ja zaś uważałem siebie wtedy za Ukraińca z obowiązku.

Każdy człowiek powinien pracować dla tych, co go wykarmili. Mnie wykarmili ukraińscy chłopcy, a więc...

Nie przeszkadzało to wcale temu, żem nigdy prawie z żadnym chłopem nie mówił.

Bo i o czym?

O ateizmie, o teorii Darwina, o tym, że trzeba wyzbyć się przywiązania do przesądów historycznych?

<sup>205</sup>*feldjegier* a. *feldjeger* — dosł.: strzelec polny, w carskiej Rosji kurier wojskowy, także żołnierz żandarmerii, dokonujący aresztowań i eskortujący więźniów. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>*pur sang* (fr.) — czystej krwi. [przypis edytorski]

Rozmowy te nie byłyby doprowadziły do niczego.

I w tym czasie mój gardzący chamstwem ojciec był o wiele bardziej w zgodzie z moim ideałem niż ja.

On troszczył się o mieszkańców swojej wsi tak, jak o swoje rasowe bydło lub stadninę. Ja w ich imieniu wszystkim naokoło gardziłem.

A inaczej nie mogłem.

Ta pogarda była dla mnie takim samym odruchem instynktownym i zbawczym, jakim była dla mojego ojca jego duma.

On żył tym, że na cały świat patrzył jak na jakiś barbarzyński chaos.

Sam siebie porównywał do Dymitra Wiśniowieckiego<sup>207</sup>, zawieszono go w Stambule na haku. Był romantykiem w swym upodobaniu do efektownych porównań.

Jakże nienawidziłem ja tego wszystkiego.

Tej całej atmosfery relikwii i szkaplerzy, unii lubelskich i odsieczy wiedeńskich.

Ja przecież dzieckiem widziałem odwrotną stronę tego sztychu<sup>208</sup>.

Widziałem w Warszawie modlących się ludzi, rozstrzeliwanych przez żołnierzy, trawianych przez kozactwo, i czepiałem się drżących rąk ojcowskich, wołając: „Dlaczego oni się nie biją!”.

W tej strasznej godzinie, kiedy z okna hotelu, ja — dziecko — widziałem pletnie<sup>209</sup> i szable nad głowami błagających o pomoc z nieba, widziałem, jak kule kosily śpiewających hymny, narodziła się we mnie twarda niechęć dla wszystkiego, co jest modlitwą, pokorą, a potem, a potem...

Przez długie trzy lata twarze sąsiadów mojego ojca, białych ze strachu, drżących, aby nie padł na nich cień podejrzenia, lękających się i rządu, i chłopów, lękających się śmiałości własnych dzieci.

Nie, o tym nie chcę myśleć. Po cóż mam bluzgać szyderstwem na jego mogiłę.

Niechaj śpi zwyciężony, on, który wierzył w polskiego szlachcica.

Zwyciężony...

Miszuk nie urazi słowem twojej mogiły.

On ci tylko żywemu nie mógł ustąpić.

Nie mógł, jak i dziś nie mogę cofnąć ani słowa.

Elle ne se rend pas

La Commune de Paris!<sup>210</sup>

W 69 roku byłem więc w Petersburgu. Przywiozłem tu razem z sobą swój niepokój i pustkę, która wołała o pełne życie.

Zrazu rzuciłem się na książki.

Nigdy już potem nie wchłonałem w siebie takiej masy myśli.

Codziennie waliło się coś we mnie, codziennie myśl umacniała się w swojej twierdzy.

Wierzyłem wtedy, że rozum zaczyna dopiero istnieć, że należy go tylko stworzyć, tylko zdobyć formułę przenikliwie jasną i wszechobejmującą, a światło jej rozleje się po ziemi i rozpocznie się nowe życie.

Żyłem w absolutnej próżni.

Bardzo szybko przestałem regularnie uczęszczać na wykłady. Książki mi dawały więcej. Dniami i nocami nie wstawałem od swego stolika w zadymionym pokoju, czytając, notując, kreśląc. Nie odpowiadałem tygodniami na listy i otrzymywałem telegramy. Ojciec niepokoił się. A ja istotnie zapomniałem o wszystkim.

Nie było Polski, legend, wspomnień — był olbrzymi świat stwarzania się i stawania nieustannego. Z łona przekształceń się materii powstawały formy żywe, rodził się człowiek, tworzył w sobie myśl i rozum, aby zawiądnąć światem.

<sup>207</sup>Dymitr Wiśniowiecki *Bajda* (zm. 1563) — książ ukr., wódz kozacki, przywódca wielu wypraw łupieskich przeciwko Turkom i Tatarom. Uważany za jednego z założycieli Siczy Zaporoskiej, bohater kozackich pieśni. W 1563 próbował wpływać na wybór hospodara wołoskiego, wpadł w pułapkę i został przewieziony do Stambułu, a tam stracony. Według podań ludowych, powieszony na haku za żebro, wyrwał jednemu ze strażników łuk i jeszcze przez trzy dni strzelał do swoich oprawców, a nawet zranił samego sultana. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>sztych — rycina odbita z obrazu wyrzeźbionego na metalowej płycie. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>pletnia (daw.) — pleciony bicz z bydlęcej skóry. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>*Elle ne se rend pas/ La Commune de Paris!* (fr.) — Ona się nie poddaje, Komuna Paryska! [przypis edytorski]

Określałem wtedy sam siebie jako kawał materii, który chce zostać myślą.

To określenie zdobyło mi pierwsze stosunki wśród kolegów.

Wśród kolegów nie znałem nikogo. Nie było tu nikogo z moich stron, nie przywiozłem z sobą żadnych stosunków, żadnych znajomości.

Byłem tu absolutnie sam w tym tłumie i zrazu było mi to nawet dogodne.

Powoli, od czasu do czasu, wymieniałem parę słów z tym lub owym.

Tak raz w laboratorium wygłosiłem do jednego z sąsiadów, jasnowłosego, różowego Niemca, swój aforyzm.

Niemiec był zgorzony; zaczął mi mówić o duszy. Mówił mi o *Bewusstsein*, *Selbstbewusstsein*<sup>211</sup>. W końcu zaś o *Pflichtbewusstsein*<sup>212</sup>.

Roześmiałem się.

Nie lubiłem tego słowa.

Przypominało mi ono ciotkę Emilię, która czytywała i rozumiała wszystko, nawet Darwina, ale skończywszy czytać, mówiła: „To jest bardzo rozumne, ale my nie mamy ojczyzny i dlatego jesteśmy obowiązani szanować wiarę”.

— I cóż to za *Pflicht*<sup>213</sup>? — pytam się swojego Schultza.

Na to on mi mówi:

— Ja mam teraz trzysta rubli stypendium, ja bym bardzo chciał nieraz pójść do teatru. Ja to bardzo lubię. Co to znaczy ja? Moje zmysły to lubią. O... i mój umysł to lubi. Ale jaki umysł? Materialistyczny, egoistyczny umysł. I gdybym ja miał tylko ten umysł, tobym poszedł albobym sobie kazał zapalić w piecu, ale bilet kosztuje pół rubla, zapalenie w piecu pięć kopiejek, a mój ojciec jest pastorem i ma dziewięcioro dzieci, więc ja ze swego stypendium muszę posłać mu chociaż osiemdziesiąt, choć sto albo sto dwadzieścia rubli. A dlaczego muszę? Bo jest coś, co się nie zmienia, co nie jest ani ruch, ani przyjemność, ani barwa, ani nic. A co to jest? To jest to: musisz. Więc co jestem ja? Obowiązek. I dlatego ja wiem, że ja mam duszę, bo mam coś, co nie jest ani ruch, ani wrażenie, ani zmiana.

— A dlaczego pastorki rozmnażają się nieumiarkowanie? — basem przeciągnął sąsiad na prawo, o kudłatej głowie i skośnych oczach. — Obowiązek — dusza. A wcale nie dusza, tylko królicza niewstrzemięźliwość.

Schultz się zaperzył:

— Ja bardzo pana proszę, mój ojciec jest duchowny.

— I mój ojciec jest duchowny — rzekł kudłaty kolega.

— Ja nie pozwalam panu, ja bardzo kocham mojego ojca.

— No, i ja kocham mojego ojca, chociaż pijanica jest, co nawet jest dobrze, bo porządnym człowiekiem może być tylko, gdy pije...

— Mój ojciec nie bierze do ust nawet piwa — mówił z dumą Niemiec.

— To źle robi — rzekł nieubłagany wróg pastorów. — Niemiec, który nawet piwa nie pije, cóż to może być za Niemiec. Was i z piwem znieść trudno, a bez piwa...

— Mój ojciec wie, że każda kopiejka to jest ciężko zapracowana kopiejka...

— Ba... i mój stary wie o kopiejce, i wie, że ja mu nie pošlę, bo nie mam. A choćbym posłał, to i co? Też nie mówiłbym: obowiązek, tylko: wódka. I choćby mój stary delirium<sup>214</sup> dostał, to stąd by nic o mojej duszy nie wynikało.

Niemiec coś mruczał długą chwilę, wreszcie poprawił kołnierzyk i mankiety i podszedł do kudłatego.

— Nazywam się Karol Schultz — rzekł — i pozwoli pan z panem nieznanym być.

Brunet parsknął śmiechem.

— A ja — rzekł — nazywam się Jaszka Czernow i nie mogę się z panem rozstać, bo dusza moja rozkochała się w panu. I zresztą szanuję pana bardzo, i pana ojca szanuję, i pana siostry.

Niemiec próbował coś mówić, ale Czernow zwrócił się już do mnie.

— Ej, wy, szlachcic — rzekł — a wy o materii tam mówiliście... Po pierwsze Polakowi

Obowiązek, Dusza

Polak, Szlachcic, Bóg,  
Ojczyzna

<sup>211</sup>*Bewusstsein, Selbstbewusstsein* (niem.) — świadomość, samoświadomość. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>*Pflichtbewusstsein* (niem.) — poczucie obowiązku. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>*Pflicht* (niem.) — obowiązek. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>*delirium* — stan zaburzenia świadomości, w którym występują halucynacje. [przypis edytorski]

nie wypada mówić: materia. Wy, szlachcice, mówicie: Bóg i Ojczyzna. A tu: materia. Pierwszy raz słyszę...

— A wy, Jaszka — zawołała z drugiego kąta młoda dziewczyna w niebieskim fartuchu — wam to też nie bardzo wypada Polakom o ojczyźnie mówić. Katkow<sup>215</sup> wam się kłania.

— To go spotka afront<sup>216</sup>, bo ja się nie odклонię.

— Źle robicie. Za ich ojczyznę Polaków Murawjew wieszal.

— Mało kogo Murawjew nie wieszal — tłumaczył się Jaszka. — On i mnie mógłby powiesić. Karakozowa powiesił...

Jakieś zimne tchnienie powiało po laboratorium. Wysoki blondyn spojrzal przez okulary na Jaszke i rzekł półgłosem:

— Ej, wy, Czernow, nie bardzo.

Potem zaś, zwracając się do mnie, rzekł:

— Jestem Orłow. Jak pan to rozumie o materii? Czy myśl dla pana to nie jest już materia? Jeżeli zaś materia, to dlaczego mam dążyć do tego, aby stać się myślą? Myśl więc to jest pewna forma materii. Chodzi więc o to tylko, jaka jest ta materia. Ja myślę, że panu szło o co innego, o to, że człowiek jest dziś materią nieszczęśliwą, a chce się stać materią szczęśliwą. I to jest jasne; gdyby nie był nieszczęśliwą, nie chciałby być czym innym. Chce, więc jest nieszczęśliwy. *Ergo*<sup>217</sup> chce być szczęśliwy. Innymi słowy, trzeba poznać technologię ludzkiego szczęścia.

Poczułem się jak ryba w wodzie.

Znowu spotkałem ludzi mówiących tym samym językiem, jakim mówiły moje myśli. Zapaliłem się. Zacząłem się spierać. Przypomniały się przegadane wieczory przy łóżku Wrońskiego.

— Szczęście nie wystarcza, trzeba wiedzieć, że jest ono moje. Potrzebna mi władza nad nim, pewność, że je mam, bo je stworzyłem sam.

— Ja widziałem — rzekł Jaszka — dwa razy szczęśliwą materię. Raz było to w chlewie, a drugi w gubernatorskim domu. Raz był to wieprz, a drugi raz pokojówka gubernatora. Szczęśliwa materia wieprza była smaczna, szczególnie z kapustą i musztardą. A pokojówka miała otłuszczenie serca i dziwnie lekki mózg. Analizy chemicznej nie robiłem.

— Rosyjska myśl jest bardzo lekkomyślna myśl — rzekł Schultz. — Wy wszyscy robicie ciągle skoki. Wy jesteście jak wasz kraj: mało kolei żelaznych.

Z laboratorium tego dnia poszedłem po raz pierwszy do studenckiej kuchni.

Odtąd zaczęło się dla mnie nowe życie. Samotne ślęczenie nad książką ustąpiło gawędom bez końca.

Poznałem od razu całą masę niepospolitych ludzi. Mówię to z całym spokojem po tylu latach: ludzie ci żyli istotnie tylko poszukiwaniem prawdy. Prawdy żywej, przekształcającej samo życie, nie martwej wiedzy. Nie było dla nich rzeczy obojętnych. Myśl ich nieustannie pracowała nad rozwiązaniem zagadnienia, czym ma być człowiek. Ja więcej przeczytałem i przemyślałem od większości z nich, ale w nich była większa łączność pomiędzy myślą a życiem. Była jakaś nieustrasżoność w wykonywaniu wyroków sumienia i badaniu. To ich charakteryzowało, nadawało im jakieś klasyczne bohaterskie cechy. Ich filozofia była życiem.

Tak na przykład Aleksander Brenneisen twierdził, że człowiekowi należy się tylko zaspokojenie potrzeb koniecznych. Że zadaniem jego jest praca. Pracował też po dwanaście, szesnaście godzin dziennie. Pieniądze zaś zarobione kładł do otwartej puszkę, stojącej na stole. Każdy ze współlokatorów jego mógł z niej brać, ile potrzebował, nie tłumacząc się.

— Społeczeństwo mi jest obowiązane dać wszystko, abym mógł być *ja*, to jest myśleć. Co zaś potrzeba, aby być *ja*? Jeść, aby żyć, ubrać się i schronić, aby nie zmarznąć. To ja powinienem mieć. A potem, kiedy ubrane i najedzone jest zwierzę, zaczyna się *ja*. Tu nie ma prawa nikt ani nic...

— A jeżeli *ja* moje chce tylko pić i za dziewczętami biegać... — przekomarzał się Jaszka.

<sup>215</sup> *Katkow, Michail* (1818–1887) — rosyjski dziennikarz, wydawca i działacz polityczny, wpływowy publicysta, jeden z twórców nowoczesnego nacjonalizmu rosyjskiego; prowadził zacieklą kampanię nacjonalistyczną, antydemokratyczną i antypolską. [przypis edytorski]

<sup>216</sup> *afront* — obraza, zniewaga. [przypis edytorski]

<sup>217</sup> *ergo* (łac.) — więc, a zatem. [przypis edytorski]

Szczęście, Jedzenie, Seks

Praca

— Idź, zdołasz się napić — pij, nie zdołasz — będzie źle. Zdołasz mieć dziewczynę — bierz. Nabiją — tak i będzie. Do tego nikomu nic.

— A jeżeli ja z tej oto twojej szkatułki dziesięciorublówkę wezmę i na Grochową do *Fräulein*<sup>218</sup> Gizeli pojadę... to co...

— Że ktoś jest świnia, to ja nie muszę być pastuch od świń — mówił niewzruszony Brenneisen swym dziwnym, jakby niedołącznym językiem.

W tym środowisku żadne przekonanie, byle na krytyce oparte, nie raziło.

Ale gdy Wołoszanowicz zawiesił w swym pokoju ikonę i zapalił przed nią lampkę, usunięto się od niego.

— I co ja wam zrobiłem? — tłumaczył się on.

— Nic — odpowiedział mu Michał Żemczużnikow — ale pies wściekły też mi nic nie zrobił, a ja jednak usunę mu się z drogi.

— Ależ zmiłuj się przecież, czy ja tobie bronię Moleschotta czytać?

— Moleschotta ja nie czytam, bo on jest zacofaniec, a zresztą to inna sprawa. Moleschott mi mówi: myśl, i ja myślę. A tu... psu wściekłemu instynkt powie: gryź, i on gryzie. A ja skąd wiem, co tobie twój Bóg każe zrobić? Pókiś ty sam od siebie zależał, ja wiedziałem, czego się od ciebie spodziewać, ale od czasu, jak u ciebie Bóg pojawił się, ja już nic wiedzieć nie mogę. Skąd ja wiem, co temu twojemu Bogu do głowy przyjdzie? Ja tam nie lubię mieć z nim do czynienia. Kto chce ze mną żyć, musi sam za siebie odpowiadać.

Istotnie, wszelkie zrzeczenie się swobody osobistej uważane tu było za występek.

Waria Torzecka oskarżyła raz niemilosiernie Jaszkę o brak charakteru za to, że w obecności jej matki wyparł się Darwina.

— I, wcale nie wyparłem się — mówił Jaszka. — Ale sami osądzicie: pyta się mnie taka dama z trenem<sup>219</sup>, z chignonami<sup>220</sup>, o, o, całkiem Kleopatra<sup>221</sup> egipska, w starości oczywiście. „Czy — powiada — możliwe jest, aby człowiek od małpy pochodził, czy na przykład ja podobna jestem do małpy?” No, i cóż ja miałem odpowiedzieć. „Ależ nie — mówię — gdzież tam, ani najmniejszego podobieństwa — powiadam — małpa ma ogon od urodzenia, a pani od krawca” — no i tak dalej wszystko.

— Nieprawda — oburza się Waria. — Ty lepiej powiedz, coś o duszy powiedział.

— No, i cóżem ja takiego powiedział? Powiada dama, że za duszę męża w trzech klasztorach nabożeństwo wieczne zakupiła, że więcej niż trzy tysiące ją to kosztowało. Więc pyta się, czy jest dusza, czy nie ma. „Ja — mówi — kwity pokazać mogę”. Czy ja mogę cokolwiek wobec kwitu? Tego nikt nie przewidział. Kto nie ma kwitu, to jeszcze na dwoje babka wróżyła, ale jak ma kwit...

— Z ciebie już nigdy nic nie będzie, Jaszka — wzruszyła ramionami Waria.

Ale reszta towarzystwa się śmiała.

Jaszcze w ogóle uchodziło wiele...

— Tylko językiem nie zanadto wojuj — mówił mu Orłow, szczególnie gdy wspominał, tak jak wówczas, Karakozowa, Czernyszewskiego...

Ale Jaszka nagle spoważniał.

— Pańszczyźniani wy! — krzyknął. — Tfu, niewolnicy! Spośród nas ukradziono człowieka. Takiego człowieka. Jak ja jego czytam, to mądrzejszy się staję. Jego wam ukradli, zabijają powoli. Myśl wasza, sumienie wasze: a my nic, my milczeć będziemy. Psy wy, tchórze, tchórze!

I nagle podbiegł do okna i otworzywszy lufcik, na cały głos krzyknął w ciemną, szarą ulicę...

— Ej, ty! Oddaj nam Czernyszewskiego! Czernyszewskiego nam oddaj, słyszysz!

— Czegoś się rozkrzyczał — rzekł Żemczużnikow. — Dużo krzykiem pomożesz...

— Jeżeli jego wola — rzekł Brenneisen — nikt mu przeszkodzić nie może.

— Sam przepadnie.

<sup>218</sup>*Fräulein* (niem.) — panna. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>*tren* — ciągnąca się po ziemi część sukni. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>*chignon* (fr.) — kok, fryzura kobieca z włosów związanych z tyłu głowy; daw.: przypinany warkocz. [przypis edytorski]

<sup>221</sup>*Kleopatra*, właśc. *Kleopatra VII Filopator* (69–30 p.n.e.) — ostatnia królowa Egiptu, słynna z urody i uroku osobistego. [przypis edytorski]

Wiara, Bóg

Żart

Żart, Dusza

Buntownik

— Jeżeli jego dusza znieść nie może milczenia, niech krzyczy. Inaczej ona będzie podłą duszą.

Ale Żemczużnikow podszedł już do okna.

— Słuchaj, Jaszka — rzekł. — Czy ty wiesz, co z tego będzie, gdybyśmy nawet przed Zimowy Pałac<sup>222</sup> poszli wołać: oddaj go nam!

— To i co — rzekł Jaszka. — Zabiliby, niechby zabili.

— Bardzo mądrze, powiedziałby Czernyszewski. Bardzo, bardzo sprytnie to pomyślałeś: zabiliście mojego przyjaciela, to i mnie zabijcie. Nieprawdaż.

— Ale milczeć, kiedy twojego przyjaciela, nie przyjaciela, ale świętego, mędrca, zabiją — to hańba.

— Tak, pozwalac na to, co zrobiono z Czernyszewskim, co zrobiono z Michajłowem<sup>223</sup>, z dziesiątkami tysięcy Polaków, to hańba — odpowiedział Żemczużnikow.

— My tu sobie filozofujemy, rozprawiamy, a naokoło krew płynie. Człowieka nieustannie mordują — unosił się Jaszka. I stuknąwszy pięścią w stół, krzyknął: — Nie zniosę dłużej, nie mogę.

W pokoiku milczano.

Gromadka nasza ujrzała w myśli prawdziwe swoje położenie, spotkała się twarz w twarz z potworem dziejów rosyjskich.

I od razu uwydatniła się czarna rysa.

Orłow, prawnik z zawodu, chemik z upodobania, zaczął mówić swoim spokojnym, mądrym głosem. „Nie mówi — perły wyszywa” — określała jego dykcję Waria.

— Ja myślę — prawil — że to, o czym mówi Jaszka, jest nam wszystkim znane. Wszyscy przemyśleliśmy już to. Człowiek nowoczesny nie powinien się ludzi. Życie cywilizowanych społeczeństw jest taką samą walką, jak i życie zwierząt. I nie przekonamy ludzi, że się nie powinni pożerać. Idzie po prostu o to, aby to zrozumieć i aby w tej walce zwyciężyć. Ludzie rozumni powinni dbać o to, aby nie być pożartymi przez zwierzęta. Bo lew, który zje Arystotelesa<sup>224</sup>, nie jest mędrszy od lwa, który zje cielę. Niechaj więc lew żywi się już lepiej cielęcina. A Arystoteles niechaj sam siebie uchroni i myśli, aby albo wytępić lwy, albo też je oduczyć od zjadania nawet cielęciny.

— Innymi słowami? — rzekła Waria, zaciskając usta. — Co? Zamknąć uszy i oczy, a w razie potrzeby pochwalić lwa i życzyć mu dobrego apetytu?

Orłow też pobladł i rzekł:

— Ja także czczę wysoko Czernyszewskiego, ale my, którzy rozumiemy jego myśl, powinniśmy dlatego właśnie starać się przeżyć, zyskać stanowiska i wpływy.

— I kiedy zostaniesz już oberprokuratorem Świętego Synodu<sup>225</sup>, każesz mojemu ojcu, aby zamiast *Czetyj Minej*<sup>226</sup> i psalterza czytał stadku *Czto diełat*<sup>227</sup>. Jemu to istotnie żadnej różnicy nie robi, zwłaszcza po śniadaniu — roześmiał się Jaszka.

Ale od tego czasu Orłow rzadko już pojawiał się u nas i rozmowa w jego obecności szła opieszale. Tymczasem zapanował nad wszystkimi innymi tematami ten jeden — Czernyszewski. I w końcu wszystkie nasze myśli i gawędy przybrały całkiem określony kierunek: oswobodzić Czernyszewskiego.

2

Mało znałem tego pisarza.

Teraz długie godziny opowiadał mi o nim Brenneisen.

— To wszystko, co on napisał, jest niczym w porównaniu z nim samym. On wszystko wiedział, co go spotka, wszystko rozumiał. Pojmował, że się za nim nikt nie ujmie.

<sup>222</sup>Zimowy Pałac — petersburska rezydencja carów, zbudowana przez Piotra I. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>Michajłow, Michail Łarionowicz (1829–1865) — rosyjski pisarz, tłumacz, publicysta; w 1861 zesłany na Syberię. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>Arystoteles (384–322 p.n.e.) — grecki filozof i przyrodnik, najwzschodniejszy z uczonych staroż., osobisty nauczyciel Aleksandra Wielkiego. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>Święty Synod, właśc. Świątobliwy Synod Rządzący — kolejalna instytucja zwierzchnia Kościoła prawosławnego w Rosji, istniejąca w czasach Imperium Rosyjskiego zamiast urzędu patriarchy, mająca na celu uzależnienie władz kościelnych od władzy państwowej; z ramienia cara funkcję kontrolną nad Synodem sprawował urzędnik bez święceń, w randze oberprokuratora. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>Czetyj Mineje (scs.) — prawosławne zbiory żywotów świętych, hymnów, modlitw i kanonów, ułożone na każdy dzień kalendarza liturgicznego, przeznaczone do domowej lektury. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>Czto diełat' (ros.) — pol.: Co robić, tytuł książki N. Czernyszewskiego. [przypis edytorski]



Pojmował, że gubi sam siebie każdym wierszem, jaki pisze. I pisał. Nie było w nim żadnej pozy. On nie stawał na żadnym piedestale, na żadnych szczudłach, nie mówił, że jest bohaterstwem myśleć w kraju niewoli i milczenia, tylko to bohaterstwo wykonywał.

I czytał mi ustępy z listów bez adresu, pisanych przez Czernyszewskiego, właściwie pod adresem Aleksandra II<sup>228</sup>.

„Szanowny Panie! — pisał on do cesarza Wszechrosji — jest Pan z nas niezadowolony. To nie ma wielkiego znaczenia. Ważniejsze jest to, co myśli o nas szara, milionowa masa. Pana ona zna z imienia, chociaż postępowania pańskiego nie rozumie i nie jest w stanie go rozumieć... O mnie, o nas, to jest o ludziach takich, jak ja, nie wie ona nic”.

Gdym tego słuchał, przypominały mi się opowiadania ojca o Wielopolskim<sup>229</sup> w Petersburgu.

Ojciec mój miał dla margrabiego szczególniejsze uczucie gorzkiego żalu, połączonego z uwielbieniem, którego się mógł się pozbyć.

Rysował mi go dumnym, nieprzystępnym wśród pełzającego petersburskiego dworactwa.

Car nie miał naokoło siebie człowieka, nikt nie śmiał być człowiekiem wobec niego, myśleć, kiedy on mówił.

W Wielopolskim po raz pierwszy spotkał może Aleksander II człowieka, który go się nie bał.

Naokoło wszyscy mówili carowi: będzie to, co zechcesz.

A on nie chciał mocno niczego. Raczej się bał. Więc czuł, że grunt się pod nim chwieje, że opiera się tylko na bezmiarze tchórzostwa i słabości.

Nazbyt gardził bezwiednie wszystkimi, aby mógł na kogokolwiek bądź liczyć. Liczyć na niewolników niepodobna. Więc właściwie był sam. A gdy samego siebie w sobie szukał, nie znajdował nic: pustkę i strach, nudę i jałowość.

Miał odwagę fizyczną i sam na sam chodził na niedźwiedzia, ale nie miał wewnętrznego męstwa. Nie wiedział, kim jest i dokąd idzie. I gdy zaczynał rozmyślać, odurzała go mgła myśli ciężkich i niejasnych, dusznych jak zapach ładanu<sup>230</sup>.

Kiedy w sali obrad korona polska z trzaskiem padła na posadzkę, Aleksander II widział w tym prognostyk<sup>231</sup>, a Mikołaj kazałby ochłostać lokaja, do którego należało pilnować porządku w sali.

Mikołaj czuł się bogiem, a lud uważał za bydło. Czuł się oficerem, który po śmierci pójdzie zdać Przedwiecznemu raport, że wszystko w porządku. Gdy los pomieszał mu szyki, otrul się<sup>232</sup>, tak jakby to uczynił urzędnik po sprzeniewierzeniu pieniędzy skarbowych.

W Aleksandrze II nie było stanowczości.

On czasami marzył jak dobry pan, który robotnikom urządza dożynki.

Ale pragnął, aby rzeczywistość była zależna od jego kaprysu — jak marzenie.

On pragnął myśli w swym kraju, ale chciał, aby myśl ta sławiła go dobrowolnie, bez zastrzeżeń.

Dla Aleksandra II człowiek jak Czernyszewski, człowiek nieubłaganej myśli — musiał być wrogiem.

<sup>228</sup> *Aleksander II Romanow* (1818–1881) — cesarz rosyjski; twórca wielu liberalnych reform, m.in. uwłaszczenia chłopów w Rosji i Królestwie Polskim; zginął w zamachu bombowym. [przypis edytorski]

<sup>229</sup> *Wielopolski, Aleksander*, margrabia Gonzaga-Myszkowski (1803–1877) — polski polityk konserwatywny, ziemianin, zwolennik ugody i współpracy z Rosją; podczas powstania listopadowego związany z A. Czartoryskim; w 1861 mianowany dyrektorem Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego; pokłócony z tymczasowym wojskowym namiestnikiem Królestwa Polskiego, złożył dymisję i wyjechał do Petersburga, gdzie zyskał przychylność dworu i wrócił w czerwcu 1862 jako naczelnik rządu cywilnego Królestwa Polskiego; inicjator nadzwyczajnego poboru do wojska (tzw. branki) w styczniu 1863, w celu pozbycia się z kraju radykalnej młodzieży, co stało się bezpośrednią przyczyną wybuchu powstania styczniowego. [przypis edytorski]

<sup>230</sup> *ładan* a. *ladanum* (*labdanum*) — żywica o balsamicznym zapachu otrzymywana z niektórych gatunków roślin należących do rodzaju czystek (*Cistus*), znana od starożytności, używana jako kadzidło. [przypis edytorski]

<sup>231</sup> *prognostyk* — znak, zapowiedź; przepowiednia. [przypis edytorski]

<sup>232</sup> *Gdy los pomieszał mu szyki, otrul się* — zgodnie z oficjalną wersją chory na gripę Mikołaj I dodatkowo przebiegł się i zmarł na zapalenie płuc, choć od razu zaczęły krążyć pogłoski, że popełnił samobójstwo, zapewne z powodu fatalnego przebiegu wojny krymskiej. [przypis edytorski]

Samo istnienie jego było niebezpieczeństwem.

Zacząłem przeczuć rozumieć straszny dramat rosyjski.

Myśl pojawiła się tu jak gość nieoczekiwany, jak wróg. Na olbrzymim podłożu skutych, uciemionych milionów wznosiła się piramida samowładztwa urzędniczego.

Myśl jednostek podkopywała się pod nią; już sam fakt, że nie podlega ona niczemu, żadnej zewnętrznej presji, że sama dla siebie określa prawa, był zbrodnią.

Tu potrzebni są żołnierze, urzędnicy, nie ludzie — mówił ustrój.

I jednocześnie coś na dnie serca cieszyło się, widząc możliwość walki, wielkiej walki o przyszłość człowieka.

Tak mnie wyczerpały już i znużyły walki myślowe z upiorami, że cieszyła mnie perspektywa walki rzeczywistej.

Dotąd, jak Scyt<sup>233</sup> umierający, puszczałem strzały swoje w słońce i widziałem, jak spadają one bezsilne. Teraz rysowała się przede mną mroczna ziemską potęgą. Ty przynajmniej jesteś śmiertelny — myślałem.

Na razie ja najjaśniej widziałem sytuację.

Dla moich przyjaciół ginęły ogólne linie wśród szczegółów i epizodów. Dla Jaszki wszystko po pewnym czasie stawało się anegdotą i przygodą, dla Brenneisen kwestią stoicyzmu<sup>234</sup> moralnego. Każdy musiał dokonać wszystkiego dla siebie. Waria wiedziała tylko jedno, że jej nie wstrzyma ani matka z ogonem od krawca i kwitem na duszę, ani nic, że w każdej chwili jest gotowa się poświęcić bezgranicznie, bez zastrzeżeń dla każdej sprawy, w jaką wierzy. Żemczużnikow był praktykiem, on musiał mieć przed sobą cel określony i względnie osiągalny. Tym celem stał się dla niego teraz Czernyszewski.

Ale tu piętrzyły się od razu tysiączne przeszkody.

Jaszka z nadzwyczajną swobodą układał fantastyczne plany.

— Najlepiej — mówił — porwać kogoś, kogoś z ministrów albo wielkich książąt. To nie jest trudno. Dość będzie zamienić karetę, pod jakimkolwiek pozorem oddali się właściwą. Na jej miejsce postawi się naszą. Brenneisen świetnie będzie wyglądał w liberii jako lokaj. Ja siądę za furmana. Zrobię sobie brzuch z poduszek. Jeden z nas zaczai się w karecie, będzie miał w ręku gąbkę z chloroformem. Gdy nasz jegomość wsiądzie, gąbkę mu w usta i w drogę. Zamknie go się w piwnicy, każe napisać list. Uwolnić Czernyszewskiego i odstawić za granicę, wtedy mnie uwolnią. List ten się wywiezie za granicę i nada na pocztę w Paryżu.

Żemczużnikow się złościł, ale jego plany były wygłaszane wprawdzie poważniej, nie były jednak wcale rozsądniejsze ani łatwiejsze do wykonania.

Było nas zbyt mało i zbyt mało mieliśmy doświadczenia.

Pojechać przebranymi za żandarmów z rozkazem wydania Czernyszewskiego. Jak sfałszować rozkaz? Żaden z nas nie widział nawet podobnego dokumentu, nie mieliśmy pojęcia, jak wygląda.

Jaszka proponował przedostanie się na Sybir, podpalenie więzienia i zbrojny napad podczas pożaru.

Ale Brenneisen zaczął kreślić przed nami kolumny cyfr, oznaczających odległość, i mówić o mrozach.

Trzeba było futer, broni, wielu ludzi i dużej sumy pieniędzy. Przy tym szanse były mniej niż małe.

Pomimo to zaczęliśmy mówić o zorganizowaniu wyprawy na Sybir. Na miejscu się zobaczy.

Funduszków brakowało.

Wysłałem telegram do ojca. Bez słowa przysłał pięćset rubli.

— Niech żyje polska szlachta! — krzyknął Jaszka.

Żemczużnikow tymczasem sondował grunt, naokoło nas szukał towarzyszków.

Po raz pierwszy miałem sposobność zapoznać się z uczuciem obawy zdrady.

<sup>233</sup>Scyt — dziś popr.: Scyta, członek koczowniczych ludów zamieszkujących w starożytności stepy środkowej Eurazji, na pln. i wsch. od Morza Czarnego. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>stoicyzm — kierunek filozoficzny zalecający sumiennosc w obowiązkach, zachowanie umiaru i spokoju wewnętrznego niezależnie od okoliczności zewnętrznych, zapoczątkowany w III w. p.n.e. w Atenach przez Zenona z Kition. [przypis edytorski]



A wiecie, ilu zamurowano w Szlisselburgu<sup>237</sup>? A Karakozowowi nie dawano spać przez tydzień. I wy chcecie myśleć, walczyć? Jeżeli to zabawka, rzućcie — krwawa zabawka. Jeżeli wejdziecie na tę drogę, nie ma powrotu. Tu rządzi ślepa siła, strach, ciemnota. Kiedy was będą wieszać, czern<sup>238</sup> będzie wołać, by was ćwiertowano, jak wołała pod szafotem Obruczewa<sup>239</sup>. Wy chcecie walczyć o prawa ludzkie dla zwierząt, a zwierzęta te na was poszczują i rozszarpią one was.

Pytałem się potem Wasiljewa, kiedy słyszałem, jak w innych razach roztaczał przed świeżo spotkanymi ludźmi najpromienniejsze perspektywy, jaki cel miał, mówiąc z nami w takim groźnym tonie.

— Każdy instrument ma swój ton — odpowiedział. — Gdybym wam był mówił<sup>240</sup> o bliskim zwycięstwie, bylibyście nie uwierzyli.

I istotnie nie żałował wtedy mocnych barw.

— Synowie zguby, wy chcecie żyć? Wasza jedna droga: śmierć.

— A to kracze — rzekł Jaszka. — Byłby z was dobry pop na wielki post.

A Brepneisen powiedział spokojnie:

— Żyję, jak chcę, i umieram, jak chcę. Nikt mi nie każe żyć dłużej, niż ja zechcę.

— Nikt mi nie przeszkodzi — odpowiedział Wasiljew — walczyć do ostatniego tchnienia. Póki żyć będę, póki myśleć będę, póki będę miał jedno tchnienie w piersi, to i ono będzie tylko krzykiem: śmierć tyranom, śmierć obłudzie, śmierć wyzyskiwaczom!

Wy się nie patrzcie na mnie zdziwieni. Wy żyjecie w świecie uprzywilejowanym. Wy macie dostęp do nauki, do światła, wasze kobiety są czyste, wasze serca niezatrute pogardą dla samego siebie. Ja przychodzę ze świata potępionych. Tam żyją ci, których rozdeptał wasz świat. Kobiety tam sprzedają swe ciało i są bite. Słyszycie, słyszycie... Bite są kobiety. Przecież to siostra wasza mogłaby być bita w ten sposób. Za liche pół rubla ściągnie ją pijane zwierzę do karczemnego numeru<sup>241</sup> i bije, bije, czym może: kijem, kulakiem, butem. A wy wiecie, że taka obita, opluta, osiniaczona kobieta może mieć gdzieś u siebie w jakimś zgnitym, śmierdzącym kącie dziecko. I wy chcecie żyć, uczyć się, myśleć. Póki choć jeden człowiek ginie w świecie, póki choć jedno życie jest tak wdeptane w błoto, nie warto żyć, nie można żyć — jak tylko walczyć. Krew wszędzie, wszędzie ludzka krew. Purpurową krwią spisane są książki waszych uczonych, wasze prawa pisane są łzami głodnych dzieci. Wasza cnota nie wyprała swoich szat z krwi. Padliną żyje wasz świat. Wy się dziwicie, że ja mówię do was w ten sposób, że ja nie mam wymuskanych, wymytych słów. Nie. Ja nie jestem z waszych kółek. Ja nie chcę uczyć się, doskonalić, ja nie jestem nic poza walką. Tymi oto rękami zadusiłem człowieka: jestem Sergiusz Nieczajew<sup>242</sup>.

Wielki łowca dusz, człowiek, który ujarzmił takiego nawet węża-uwodziciela, jak Bakunin<sup>243</sup>, nie pomylił się i tym razem. Wybaczyliśmy mu wszystko za siłę nienawiści, za elementarne, żywiołowe tchnienie walki i samozatrącenia. Na żadnej innej drodze nie byłby Nieczajew doszedł tak szybko do porozumienia z nami. Teraz gotowi bylibyśmy iść z nim razem. Moje pięćset rubli poszły na fundusz podstawowy rewolucyjnej drukarni.

<sup>237</sup>Szlisselburg — tu: Twierdza Szlisselburska, położona na wyspie u wypływu rzeki Newy z jeziora Ładoga; od 1730 do 1917 pełniła funkcję carskiego więzienia politycznego. [przypis edytorski]

<sup>238</sup>czerni (daw., pogardl.) — motłoch, pospólstwo. [przypis edytorski]

<sup>239</sup>Obruczew, Władimir Aleksandrowicz (1836–1912) — rosyjski wojskowy, publicysta i demokrat; aresztowany jako członek tajnego stowarzyszenia kolportującego w 1861 gazetę „Великорусс” (Wielkorus); reakcja tłumy, o jakiej mowa, nastąpiła podczas publicznego ceremoniału ogłaszania mu wyroku (4 lata katorgi), na placu Mytnym 31 maja 1862. [przypis edytorski]

<sup>240</sup>Gdybym wam był mówił — przykład użycia czasu zaprzeszczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana czasem przeszłym lub, jak w tym przypadku, niezrealizowaną możliwość. [przypis edytorski]

<sup>241</sup>numer — tu: pokój opatrzony numerem. [przypis edytorski]

<sup>242</sup>Nieczajew, Siergiej Giennadijewicz (1847–1882) — rosyjski rewolucjonista; uczestnik ruchów studenckich, od marca 1869 na emigracji, gdzie zetknął się z Bakuninem; jesienią powrócił do kraju i założył radykalną organizację o nazwie Zemsta Ludu, rozbitą po zamordowaniu przez Nieczajewa i kilku jego towarzyszy Iwana Iwanowa, który sprzeciwiał się jego metodom i opuścił grupę (21 XI 1869); uciekł za granicę, gdzie został aresztowany i wydany władzom carskim; zmarł w Twierdzy Pietropawłowskiej; był pierwowzorem postaci Piotra Wierchowienkiego w powieści Dostojewskiego *Biey*. [przypis edytorski]

<sup>243</sup>Bakunin, Michaił Aleksandrowicz (1814–1876) — ros. rewolucjonista, jeden z twórców koncepcji anarchizmu w jego wersji kolektywistycznej; sprzeciwiał się istnieniu relacji rządzący-rządzony we wszystkich sferach, od religijnej, poprzez państwową, do prywatnej; niezłomny bojownik o wolność, całe życie żarliwie wspierał też dążenia Polaków do odzyskania niepodległości. [przypis edytorski]

Buntownik

Krzywdą

Kobieta "upadła"

Początkujący rewolucjonista znajduje się w specjalnych warunkach psychicznych. Są rzeczy, które on jeden jest w stanie wykonać w pewien sposób. Do rzędu rzeczy tych należy rewolucyjna literatura. Pracom rewolucjonistów początkujących może zbywać na wiedzy, na doświadczeniu, na zwartości w rozumowaniu i argumentacji. Posiadają natomiast pewną im tylko właściwą świeżość wiary. Nienauczony przez doświadczenia młody działacz wierzy w natychmiastowość skutków. Słowa jego mogą zaprzeczać tej młodej wierze, ograniczać ją, uwarunkowywać, ale to jest pozór. Jest to doświadczenie wmówione. Na dnie serca młody rewolucjonista wierzy, że każde słowo przez niego napisane i wydrukowane w potajemnej gazecie stanie się natychmiast ciałem i krwią. Dlatego też w pismach jego pulsuje niezastąpiona przez nic bezpośredniość. On sam drży z niecierpliwego męstwa, gniewu, radości, wyzywającej niebezpieczeństwa, gdy pisze. I przejęcie to udziela się jego słowom, poprzez słowa zaraża czytelnika. Tak pisaliśmy naszą gazetkę i nasze proklamacje w drukarence założonej przez Nieczajewa. Była ona więcej niż prymitywna, składała się z niewielkiej ilości czcionek, z drewnianej ramy i dwóch kawałków marmuru.

Marmur zdobyła Waria z letniego mieszkania matki, gdzie istniał w altance marmurowy stolik ogrodowy. Rozbiliśmy blat na dwie połowy i oddawał on nam wielkie usługi. Dzięki niemu proklamacje nasze i gazetka równiej i czystiej były drukowane niż w innych ówczesnych rosyjskich drukarniach potajemnych. Z czcionkami było istotnie kuso, mieliśmy szczególnie mało niektórych liter: pamiętam, że często brakowało litery „r”, toteż nakazywało się współpracownikom, aby z tą zbytkowną literą obchodzili się jak najostrożniej. Wyraz „barbarzyńca” został całkowicie wycofany z obiegu, aż dwie litery „r” w jednym słowie. Zastąpiliśmy go przez „kanibal”.

Drukarnię urządziliśmy w mieszkaniu wynajętym przez Brenneisen. Miało ono wielką zaletę, gdyż stanowiło część wielkiego lokalu najmowanego przez głuchoniemego krawczyne, którego żona upośledzona była również w ten sam sposób. Mieściła się nasza drukarenka w koszu, który stał w mniejszym z dwóch zajmowanych przez Brenneisen pokojów. Wadą było to, że pokój nie miał drugiego wyjścia, ale za to wejść do niego można było tylko przez wielki pokój, służący Brenneisenowi za pracownię i jadalnię. Zresztą okno naszego pokoiku znajdowało się co najwyżej o dwa łokcie ponad daszkiem jakiegoś składu czy stajni. A z daszku tego nietrudno było dostać się już na ziemię.

Nieczajew dostarczył nam rewolwerów, a Brenneisen oświadczył, że żywym go policja nie weźmie. Tymczasem wziął się gorliwie do drukowania, pisanie sprawiło mu mniej przyjemności. Mnóstwo talentów natomiast odkryliśmy w Jaszce. Przede wszystkim zaczął on sypać, jakby z rękawa, artykułami, proklamacjami. Sam on podrwiwał ze swego pisania i gdyśmy go chwalili, gwizdał przez popsute zęby. W istocie jednak obchodziło go bardzo, jakie wrażenie robią jego artykuły. Przy tym on jeden z nas wszystkich najmniej troszczył się o zdanie Nieczajewa. Nazywał go Napoleoniątkiem i pokpiwał z niego, czym wzbudzał wielki gniew Warii Torzeckiej. Waria stała się prawdziwie genialną dostawcą pieniędzy. W tym czasie Nieczajew potrzebował ich nieustannie i ciągle narzekał na ich brak. Miałem wrażenie, że bardziej niż pieniędzy jeszcze brakuje mu ludzi. Sam on piętnował nieustannie palącymi wyrazami niewolnicze instynkty i tchórzostwo Rosjan.

— Im by tylko książeczkę czytać:

„— Dzień dobry, Wasyli Iwanowiczu, a co słyhać?

— Wszystko dobrze, Iwanie Wasiljewiczu. W kazańskiej guberni do głodnych chłopów kartaczami<sup>244</sup> strzelali. Stu czy dwustu zabito.

— Ot, co? Ja zawsze mówiłem, że my mamy niemożliwy ustrój.

— Wasza racja... głodnemu po co kartacze.

— Oczywiście, głodny potrzebuje chleba.

— Naturalnie: chleb powinien być dla wszystkich...

— Tak oto właśnie: ja teraz o tym piękną książkę czytam.

— A ja czytam o szkodliwości prostytutki...

— Także ważna kwestia. To po przeczytaniu poproszę...

<sup>244</sup>kartacz — pocisk artyleryjski zawierający w lekkiej obudowie odłamki metali lub ołowiane kule rozpryskujące się przy wybuchu; używany do XIX w., zastąpiony szrapnelami i pociskami odłamkowymi. [przypis edytorski]

— Z przyjemnością, z przyjemnością, wzajemnie”.

I całkiem to oni, jak te instytucje<sup>245</sup>, książeczkami się mieniają<sup>246</sup>. A nie, to jeszcze lepiej: Ja tobie dam piękną ideę i ty mi dasz piękną ideę, i basta.

Na chłopskiej pracy wszystko to wykarmione: na pańszczyźnie i po pańszczyźnianych haremach porozwijało sobie indywidualność.

Indywidualność.

Z całej rosyjskiej szlachty jeden tylko Bakunin był człowiek. I trzeba widzieć było, jak go Herzen nieboszyk z góry traktował. Żemczużników próbował ująć się za Herzenem. Jego „Dzwon”<sup>247</sup> budził całą Rosję.

— To właśnie: a wcale jej budzić nie było potrzeba. Tej jego Rosji: niechby ją był rozbudził czerwony kogucik a topór.

— A potem?... — spytał Żemczużników.

— A cóż? Potem ogień i krew, ogień i krew, aźby został sam chłop i sam robotnik, a wtedy ty jego budź, a nie daj mu zasnąć, a nie daj mu stworzyć sobie nowych bogów.

Jaszka zmrużył oczy.

— A jakby — powiada — chłop popalił krzyże, a potem sobie dla odmiany z Dniepru wyciągnął na nowo Peruna<sup>248</sup>.

— To już nasza rzecz, aby mu Peruna obrzydzić — rzekł. — Na człowieku ponarastało dużo dzikiego mięsa. Topór będzie miał robotę.

Brenneisen rzekł cicho i spokojnie:

— Ja z wami idę tylko do topora, potem nie.

Nieczajew z Brenneisem nie spierał się nigdy, nazywał go Szymon Słupnik<sup>249</sup>, ale szanował.

— Do topora — rzekł — ani ty, ani ja nie dożyjemy. — A potem dodał: — Chociaż kto to wie. Gdyby było więcej krwi w narodzie.

O Herzenie mówił Nieczajew z nienawiścią...

— Plantatorską duszę miał człowiek, który napisał, że loretka<sup>250</sup> w tym podobna jest do cielęcych kotletów, że jedną i drugimi można się rozkoszować, ale mówić o nich nie można.

Loretka to już dla niego nie był człowiek. To już był człowiek inny: upadły.

I wy mi tu jeszcze będziecie mówić, że nie w pańszczyźnianych haremach oni wyrosli. Człowieka do kotletów porównywać. I jedno, i drugie dla mnie. Upadli ludzie! Upadli ludzie. Ludzie, których jedzą i którzy jedzą innych. Kto wie, co jest wstrętniejsze... Loretka jest upadła, jeżeli was nie rujnuje, jeżeli nie jeździ po was jak po mułach. Kokota<sup>251</sup> bijąca bankiera pantoflem po twarzy to też protest.

Dowcip Nieczajewa zniknął, gdy brał on pióro do ręki.

Pisał on w sposób urywkowy, ostry, nieprzekonywający.

— Jak ja mam pisać, kiedy pomiędzy mną a niewolnikami nic wspólnego nie ma.

Stał on istotnie całkowicie z tamtej strony. Dla takich ludzi jak Nieczajew jeden już tylko język: gilotyna. Był on jedynym znanym mi chyba przykładem *terrorysty* w przekonaniowym znaczeniu systematu<sup>252</sup>. Dla niego śmierć była nie środkiem walki, ale jakąś niecofioną koniecznością. Jak Marat mógłby on obliczać ilość głów, które strącić z karków należy.

Pisanie jest odkrywaniem niespodzianek w samym sobie. Nieczajew już niczego nie odkrywał. Wykonywał on. Dawał gotowe wyroki.

Natomiast Jaszka był niewyczerpany.

Idealista, Chłop, Praca

Rewolucja, Walka klas

Kobieta „upadła”, Jedzenie,  
Rozkosz

<sup>245</sup>instytucja (rzad.) — wychowanka instytutu dla panien-szlachcianek; pensjonarka. [przypis edytorski]

<sup>246</sup>mieniać (daw.) — zamieniać, wymieniać. [przypis edytorski]

<sup>247</sup>„Dzwon” — ros. „Колокол” (Kołokoł), pierwsza rosyjska gazeta rewolucyjna, wydawana przez A. Hercena na emigracji w latach 1857–1867; jednym z głównych redaktorów był M. Ogariow, z „Kołokołem” współpracował także M. Bakunin. [przypis edytorski]

<sup>248</sup>Perun — słowiański bóg piorunów. [przypis edytorski]

<sup>249</sup>Szymon Słupnik, Szymon Słupnik Starszy (390–459) — syryjski asceta wczesnochrześcijański, zbudował wysoki kamienny słup z platformą na szczycie, na której spędził resztę życia; święty katolicki i prawosławny; jego styl życia naśladowało wielu innych ascetów. [przypis edytorski]

<sup>250</sup>loretka (daw.) — kobieta z półświatka. [przypis edytorski]

<sup>251</sup>kokota (daw.) — prostytutka. [przypis edytorski]

<sup>252</sup>systemat (przestarz.) — system. [przypis edytorski]

Dziś układał liturgię żalobną nad Rosją, wyśpiewywaną przez Iwana Groźnego<sup>253</sup>. To znowu pisał straszliwą biografię Mikołaja. To gradem szyderstw zasypywał Aleksandra II, to od imienia matuszki popadii pisał list do Katkowa.

Proklamacje natomiast mniej mu się udawały.

Te pisał znakomicie Żemczużnikow. Zwarte i logiczne, prowadziły konsekwentnie do wniosku, że rewolucja jest konieczna, zbawienna, nieunikniona.

Na przestrzeni kilkudziesięciu wierszy umiał on wyklądać najzawilsze sprawy w sposób tak jasny, że stawały się one proste.

I proste były one istotnie, gdy się miało odwagę odrzucić cały splot istniejących stosunków.

My zaś z rzeczywistości istniejącej nie pragnęliśmy ocalić nic, nic nie pragnęliśmy przenieść poprzez płomienną rzekę rewolucji. Aksjomatem było dla nas, że nic z tego, co jest związane ze stanem niewoli człowieka, nie zasługuje na szacunek bezwzględny. Człowiek swobodny zdoła chyba stworzyć, gdy zapragnie, wszystko to, co miało jakąś wartość w dziele ludzkości niewolniczej.

— Człowiek nie powinien zależeć od rzeczy — mówił Brenneisen, ale jednocześnie dodawał: — A nie jest swobodny ten, który kocha, musi kochać jakąś rzecz.

On jeden z nas wszystkich zapatrywał się sceptycznie na chłopskie pojęcia o ziemi. Kto pragnie ziemi, jest niewolnikiem ziemi.

— Na chmurach jęczmień się nie rodzi — żartował Żemczużnikow — a z Marsa transporty zboża nie przychodzą.

— Człowiek musi żyć z ziemi, ale nie powinien jej dostrzegać. On powinien być *ja* i kochać to, co jest *ja* — odpowiadał Brenneisen.

Nie przeszkadzało to jednak mu z najwyższą cierpliwością składać nasze hymny na cześć gminy.

Przewyższając nas wszystkich wyrobieniem moralnym, Brenneisen najmniej z nas znał przeciętne życie.

On nawet uzasadniał tę swoją niewiedzę.

— Ja nie jestem wcale obowiązany znać, co jest rzeczywistością niższego typu. Ja wiem, czego ja chcę. I chcę tak żyć, jak chcę i mogę. Tak kiedyś będą żyli wszyscy ludzie. Ja chcę żyć tak, jak będą żyli kiedyś. Ja nie mogę zrzekać się siebie dlatego, że urodziłem się w tak mało rozwiniętym wieku, jakim jest nasz XIX.

Brenneisen rzadko mówił. Częściej słuchał. Decyzji swojej nie zmieniał prawie nigdy.

— Szymon Słupnik — mówił Nieczajew — jest największy siłacz.

Istotnie czuło się w Brenneisenie obecność skupionej siły. Wzbudzał on szacunek zbliżony do strachu, gdyż czyny jego i słowa nacechowane były znamionami potęgi wyższej i nie zawsze dla nas zrozumiałej.

Waria bladła i mieniła się, ile razy mówił do niej.

Nie dziwiliśmy się temu, gdyż nawet Jaszka milkł w środku nie skończonego żartu, gdy poczuł na sobie jasne i ciężkie spojrzenie Słupnika.

O tę siłę, którą czuliśmy, strzaskało się istnienie naszej drukarni, a stało się to blisko w miesiąc po jej założeniu.

Już w pierwszym tygodniu drukowania zauważyliśmy, że najtrudniejszą bodaj stroną sprawy będzie rozpowszechnianie naszej literatury. Pomiędzy naszym kółkiem a resztą studenckiego światka całkiem spontanicznie powstała próżnia. Odcieśliśmy się od życia i musiało być w nas coś, co mroziło zbliżenie. Być może był to wpływ surowej postaci Brenneisena. Stanowiliśmy pewien rodzaj wysepki, pomiędzy którą a światem płynął nurt lęku i nieufności wzajemnej. My sami nie czuliśmy się dobrze w towarzystwie nastrojonym na inny ton. Być może było to skutkiem pewnego rodzaju instynktu myślowego. Nasz świat idei nie znosił nacisku rzeczywistości. W tym okresie byliśmy jeszcze wierzącymi rewolucji, nie jej świadomymi i trzeźwymi oraczami.

Rewolucja! Sam ten wyraz dziwnie odbija dziś, gdy myślę o tamtym czasie, o naszych ówczesnych działaniach. Myśmy nie czuli się wtedy związani ze światem; nie czuliśmy

Rewolucja, Niewola,  
Twórczość

Wolność

Rewolucja

<sup>253</sup>*Iwan IV Groźny* (1530–1584) — wielki książę moskiewski, pierwszy władca Rosji, który koronował się na cara (1547); w latach 1565–1572 wprowadził oprychninę, politykę umacniania swojej autorytarnej władzy przez stosowanie terroru, zastraszanie ogółu ludności oraz pacyfikację wyższych warstw społecznych. [przypis edytorski]

się zobowiązani do żadnych tłumaczeń wobec niego, lecz po prostu szliśmy mu zwiastować mroczną naukę zniszczenia istniejącej krzywdy. Wszystkie przesłanki, argumentacje przepaliły się już przedtem w naszych głowach. Myśli nasze zahartowały się i zaostrzyły. Nie znaliśmy wtedy akordów pośrednich, za najłżejszym poruszeniem wydawaliśmy pełny i potężny dźwięk spiżu, bijącego na alarm. I to odstręczało. Sonda rozmowy towarzyskiej napotykała nazbyt szybko surowy opór metalu i łamała się. Nie mieliśmy o czym mówić z kolegami naszymi, którzy dopiero zaczynali żyć, którzy dopiero gromadzili materiał dla wniosków, dawno już przez nas wysnutych.

Nie mogę myśleć bez podziwu o atmosferze umysłowej, w której tak szybko poznać się i skupić mogli ludzie stojący na tak abstrakcyjnym cyplu myśli. Byliśmy, gdyśmy się poznali, od razu pewni, że nas nie obowiązuje żadne z powszechnie uznawanych mniemań.

Gdyby nasze kółko stało się przedmiotem dochodzeń śledczych, wyobrażam sobie, ile nałamałaby sobie głowy prokuratoria<sup>254</sup>, gdyby chciała znaleźć, kto z nas właściwie spropagował i wprowadził na drogę „występku” pozostałych. Prawdopodobnie rolę tę przypisano by Brenneisenowi. Myślę bowiem, że najbardziej ograniczony sędzia śledczy nie mógłby uwierzyć, aby nad człowiekiem tym i jego sumieniem mógł ktokolwiek bądź zapanować, aby ktokolwiek czy cokolwiek mogło go pozbawić absolutnej swobody wewnętrznej. Ale tu i o odwrotnym stosunku nie mogło być mowy. Ludzie charakteru Brenneisena nie oddziałują nigdy na innych w kierunku określonym i praktycznym. Zresztą w Brenneisenie była jakaś skończoność moralna, zamkniętość, która wykluczała wszelkie oddziaływanie jednostronne. Był on pomiędzy nami raczej jak posąg rzymskiego stoika<sup>255</sup> niż żywy człowiek. I działał też tylko tak: i koło posągów tworzy się przecież surowa atmosfera hartu i wzniosłości. Znaliśmy go nawet mało pod względem zewnętrznym. Nic nie wiedzieliśmy o jego rodzinie. Nie przychodziło nam nawet do głowy myśleć, czy Brenneisen kochał, czy w ogóle mógł kochać kobietę. Zresztą miłość i kobieta zajmowały w naszej myśli wtedy mało miejsca. Jaszka tylko od czasu do czasu rzucał jakiś żart lub anegdotę i Żemczużnikow rumienił się, gdy żartowaliśmy, że się ubiera zbyt elegancko, że musi mieć gdzieś narzeczoną.

Żemczużnikow był dziwnym człowiekiem. Cichy, niemal przesadnie ugrzeczny, nad wyraz systematyczny i porządny, robił wrażenie młodego człowieka, który musi zrobić karierę, musi podobać się przełożonym. Nie narzucał się nikomu ze swym zdaniem, więcej słuchał, niż mówił. Nagle jednak wybuchał, gdy urażono jego przekonanie. Wybuchy te miały dziwny charakter. Były to jakieś rozplomienienia wewnętrzne. Myśl Żemczużnikowa zaczynała nagle świecić jasnym, równym światłem, wtedy widziało się jego wielkie wyrobienie moralne i umysłowe.

Czy było to słuszną rzeczą mówić, że Nieczajew właściwie był naszym „uwodzicielem” rewolucyjnym? Nie sądzę. Myślowo nie dał nam on nic nowego, ale niewątpliwie podniósł skalę naszego czucia i zaostrzył naszą wolę. Sądzę, że i nie spotkawszy się z nim, byłibyśmy nieuchronnie weszli na tę samą drogę. Niewątpliwie natomiast zaważył on na wzruszeniowym tonie naszej myśli, nadając jej żar świadomej, zdecydowanej nienawiści. Dał nam też odwagę niecofania się przed żadną konsekwencją, stanowczego i niecofionego potępienia wszystkiego, co jest, co śmie istnieć w tym świecie krwi i krzywdy. Myślę, że na tym właśnie zasadzała się siła Nieczajewa: człowiek ten nigdy nie przestawał nienawidzić. Widziałem go w Szwajcarii i widziałem, że przyroda nie wywiera na niego żadnego wpływu. Jej tchnienie nie łagodziło nigdy ostrego żaru, jakim płonęły w nim wszystkie pierwiastki duszy. Musiało od razu na początku życia coś zabić w nim wszystkie organy cichego odczuwania, poprzecinać wszystkie nici łączące go ze szczęściem i spokojem. Nieczajew był nieubłagany w każdej porze życia, w każdym nastroju.

Dla potomności będzie ten człowiek zagadką psychologiczną. Życie Rosji odbiło się na nim, jak odbiło się na surowym kolorycie tych kólek, z których wyszedł Karakozow. Gdy przemoc jest tak wielka i pewna siebie, że nawet rozpaczliwe męstwo przestaje widzieć przed sobą drogę, protest musi albo zagłuchnąć, albo wzbic się w regiony abstrakcji, albo przybrać formę szaleństwa. I Nieczajew miał w sobie coś z zimnego, systematycznego

<sup>254</sup>prokuratoria — urząd powołany w celu zastępstwa prawnego w sprawach dotyczących interesów państwa; tu: prokuratura. [przypis edytorski]

<sup>255</sup>posąg rzymskiego stoika — cesarza rzymskiego Marka Aureliusza (121–180), zwolennika stoicyzmu, którego konny posąg z brązu znajduje się w Rzymie. [przypis edytorski]



szału. Był on zamknięty w sobie jak kryształ jakiejś nieznannej i do niczego innego niepodobnej substancji duchowej. Nie liczył się Nieczajew z nikim i z niczym. Nas zaczął on okłamywać bardzo szybko. Zrozumiał, gdzie leży w nas słaby punkt. Przywiązaliśmy się do naszej drukarenki i mimo woli wierzyliśmy wszystkiemu, co uświetniało ją w naszych oczach. Nawet Jaszka przestawał uśmiechać się ironicznie, gdy widział na swoich utworach groźną pieczęć Komitetu Ludowej Rozprawy. Pieczęć tę przechowywał Nieczajew u siebie.

Konspiracyjna tajemniczość była jego manią, od której nie mógł się sam wyzwolić. Pomimo woli zaczynał fantazjować, gdy tylko wchodził na ten grunt. Był zresztą mało wykształcony i o wielu rzeczach pojęcia miał wprost dziecinne. Jestem przekonany, że gdy ukazywał nam Międzynarodówkę<sup>256</sup> — i związek Bakuninowski<sup>257</sup> jako jakieś spiski fantastycznie krwawe i romantycznie tajemnicze, sam ulegał złudzeniu. Nie był po prostu w stanie zrozumieć pewnych stron walki rewolucyjnej na Zachodzie. Gdy przestawał mówić o konieczności zniszczenia istniejącego ustroju, kończyło się dla niego wszystko. Nienawiść i palące poczucie krzywd, wyrządzanych dziś nieustannie uciemiężonym, wypełniały całą jego istotę. Opowiadał więc nam całe historie o swoich stosunkach za granicą. Żaden z nas nie był jeszcze wówczas w Europie zachodniej, a kordon cenzuralny, oddzielający Rosję od całego świata, sprzyjał tworzeniu się najbardziej fantastycznych pojęć. Toteż nie byliśmy w stanie kontrolować nawet myślowo danych, komunikowanych nam przez Nieczajewa. Miał on zresztą pewien rodzaj listu uwierzytelniającego od Bakunina.

Łatwiej już było przekonać się, że jego rzekoma organizacja w Rosji na kruchych musi się opierać podstawach. Przekonywały nas o tym trudności, jakie napotykało rozsyłanie proklamacji i gazetki. Nieczajew mówił nam o kółkach potrójnego systemu, o agentach zwyczajnych i nadzwyczajnych. Najczęściej jednak musieliśmy rozsyłać nasze proklamacje w kopertach pod różnymi, nieraz bardzo dowolnie wybranymi adresami lub też roznosić je i wsuwać ukradkiem do mniej lub więcej znajomych mieszkań. Pomimo to wyrzeczenie się drukowania stanowiłoby dla nas zbyt ciężką ofiarę. Łudziliśmy się więc, że zgłaszający się od czasu do czasu z rozmaitego rodzaju hasłami i znakami konspiracyjnymi studenci reprezentują istotnie jakąś organizację, a nie odosobnione kółka w rodzaju naszego. Któż opisze jednak nasze zdumienie, gdy pewnego popołudnia zjawił się w naszym mieszkaniu konspiracyjnym, to jest w pokoiku Brenneisena, posiadający duszę syna pastora, Karol Schultz. Był tak samo gładko uczesany i mankiety, jak zawsze, akuratnie na pół ciała wyglądały spod rękawów. Błady był jednak nieco i zająkiwał się, mówiąc. I on też zdziwił się, spotkawszy nas. Z uporem powtarzał raz po raz:

— Ja nie widziałem twarzy i nie poznałem, i wy nie widzieliście twarzy i nie poznaliście.

Przyniósł nam blankiety z pieczęcią do zbierania składek oraz zakomunikował, że Wasiljew będzie musiał wyjechać za granicę, że niedawno był aresztowany, siedział w twierdzy, ale udało mu się uciec. Nieczajewa nie widzieliśmy przez dni kilka, ale historia z aresztowaniem wydała się nieprawdopodobna. Schultz odszedł, zostawiwszy adres mieszkania, gdzie miałem spotkać się z Nieczajewem.

Po odejściu Schultza zastanawialiśmy się wszyscy, w jaki sposób mógł opanować Nieczajew to niewiniątko.

— Zastraszył go i zahukał, obiecał mu posadę, emeryturę dla ojca i posag dla sióstr — żartował Jaszka.

Istotnie jednak rzecz była podziwu godna.

<sup>256</sup>*Międzynarodówka* (Międzynarodowe Stowarzyszenie Robotników, 1864–1876) — międzynarodowa organizacja robotnicza, stawiająca sobie za cel koordynację działalności organizacji robotniczych z różnych krajów świata, wymianę doświadczeń oraz pomoc dla strajkujących i walczących o prawa robotnicze; po przyłączeniu się do Bakunina i jego zwolenników, podzieliła się na dwa obozy: anarchistów i marksistów; ze względu na niedające się pogodzić konflikty została rozwiązana, zaś część działaczy założyła w 1889 II Międzynarodówkę, skupiającą partie i organizacje socjalistyczne. [przypis edytorski]

<sup>257</sup>*związek Bakuninowski* — Międzynarodowy Alians Demokracji Socjalistycznej, anarchistyczna organizacja założona w 1868 w Szwajcarii przez Michaiła Bakunina (1814–1876), rosyjskiego rewolucjonistę, twórcę anarchizmu kolektywistycznego; po odmownej decyzji przyjęcia Aliansu w poczet członków Międzynarodówki, organizacja została rozwiązana, a jej członkowie wstąpili do narodowych sekcji Międzynarodówki. [przypis edytorski]

Mieszkanie wskazane mi przez Nieczajewa było wynajmowane przez samego Schultza właśnie. Całe usposobienie moralne właściciela odzwierciedlało się wiernie w urządzeniu tego pokoiku. Nie było tu ani okruszynki kurzu. Książki w powłóczkach z kolorowego papieru leżały systematycznie poukładane na stole. Nad łóżkiem, zasłanym białą, czyściuteńką kapą i poduszkami w poszewkach z haftowanym znakiem, wisiała wyszywana dżetami<sup>258</sup> kieszonka na zegarek, a nad nią portret lysego, otyłego mężczyzny oraz damy bardzo chudej, o wystraszonych oczach.

Samego Schultza nie było w pokoju, gdym przyszedł. Na sofce leżał Nieczajew i palił nerwowo papierosy. W ogóle był rozgorączkowany i rozdrażniony.

— Trzeba zniknąć — rzekł. — Tam w Moskwie wszystko się psuje. Lada dzień popadamy wszyscy. Trzeba się przyczaić na chwilę.

Zapytałem go o Schultza.

— Kurczątko! — rzekł. — Nie wiedziałem, że go znacie. — Uśmiechnął się. — Wrócił całkiem nastraszony: „Poznali mnie”. Teraz jest na wpół przytomny ze strachu.

— Ale w jaki sposób on, Schultz, wdał się w tę sprawę?

Nieczajew nachmurzył się:

— Ludzie mi są potrzebni. Kto się pod rękę nawinie, musi służyć, czasu mało.

— Ależ Schultz przekonaniem nie może sprzyjać naszej sprawie.

— Przekonaniem? — Nieczajew zagwizdał. — Gdzie wyście w Rosji znaleźli przekonania? Strach i frazesy. Strach i puszenie się, kiedy nas nikt nie widzi. Et... co tu gadać długo. Ja wyjeżdżać muszę. Wy musicie jechać do Moskwy. Tam podobno to ciało znaleźli w stawie pod lodem. Trzeba powiedzieć. Niech się nie płaczą. Wykręcić się nie da. Ja zabiłem i ja kazałem brać udział w zabójstwie. Sprawę stawiać dumnie. Głowy i tak już nie ocalą. No, i już. Co więcej — tam Popowa trzeba mocno naelektryzować. W ambicję wbić. Uśpiński<sup>259</sup> i sam się utrzyma, ale Popow... I niech wierzą, że sprawa nie ginie. Jadę za granicę i wracam. Organizacja nienaruszona.

— Organizacja Schultzów? — zapytałem.

— Schultzów i nie Schultzów. Wszystko jedno. Głównie, aby był ruch. Czy nie wszystko jedno, czym podpalam stóg, hubką, zapalką, świeczką czy łachmanem umocowanym w nafcie. Byle ogień był.

Podniósł się z kanapy; było ciemno. Nieczajew nie chciał zapalać światła.

— Wy myślicie, że mi to nie zbrzydło — rzekł — kłamać i kłamać. Ludzi kłamstwem spoić, strachem trzymać i tak gnać. Ty mi daj człowieka, który zniesie prawdę Sergiusza Nieczajewa, to ja jemu powiem moją prawdę. Nasłuchałem się ja słów. Postęp, postęp. Dobra sprawa zwycięża. A kiedy ta dobra sprawa zwycięży, z nas już dawno ani śladu nie zostanie. No, i dużo ja ludzi znajdę, kiedy ja im prosto w twarz powiem — szubienica. Oni ciągle słówkami się bawią. Nieboszczyk „baryn”<sup>260</sup> — tak nazwał Nieczajew Herzena — zwykle mówił: „My nie Polacy, do nas strzelać nie można”. Skąd mu taka pewność. Od jakiego to czasu skóra rosyjska w takiej cenie? Nie można strzelać — a ty się przekonasz, że można. Rosyjskiego ducha, rosyjskiego rządu wy nie znacie. On postawi ze stu tysięcy, z milionów głów piramidy — i nic. Sto wsi trzeba spalić — spali się. Miasto zbombardować — zbombarduje się. Studentów powywieszać — drzew na szubienice wystarczy. Studentki kozakom oddać dla uciechy. I to można. One inteligentne, a skąd ty wiesz, że inteligentnej kobiety gwałcić nie można. Czy ona ma Bukła w głowie i „prawa człowieka”, czy nic nie ma — wszystko jedno. Zoologia ta sama. Prawo! Prawo! Jakie prawo? Dopóki siedzisz na wozie — dobrze, a jak pod wóz spadniesz — stratuja cię. I jak wy nie słyszycie trzasku kości: po ciele ludzkim my ciągle jeździmy.

Zamyślił się.

— Ja tu raz w Petersburgu — rzekł — umierałem z głodu. Całkiem literalnie: żebrać chodziłem. Nie umiałem żebrać, oczy zuchwałe mam. No i kiedyś osłabłem z głodu, padłem na ulicy, przycisnęło mnie. Do szpitala zawieźli, poleczyli trochę. Później na ulicę. W kieszeni ani grosza. Nogi ledwie stąpają, w głowie kręci się. Dzień cały chodziłem po

Dom

Rosja

Kobieta "upadła", Głód

<sup>258</sup>dżet — błyszczący czarny kamień ozdobny, czarny paciorek. [przypis edytorski]

<sup>259</sup>Uspieński, *Gleb Iwanowicz* (1840–1902) — rosyjski pisarz, bliski ruchowi narodników. [przypis edytorski]

<sup>260</sup>baryn (ros. барин) — wielmożny pan, człowiek należący do klasy wyższej, szlachcic. [przypis edytorski]

ulicach. Jesień już była. Siadłem na schodku, siedzę... Trąca mnie ktoś. Patrzę, dziewczyna stoi wymalowana cegłą czy burakiem.

„Zmarzniesz, lepiej do mnie chodź, ogrzejesz się...”

Pokazuję, że nie mam ani grosza.

Rozśmiała się, zagwizdała i poszła.

Próbowałem wstać, iść — nie mogłem. Gorączka chwyciła mnie, zęby szcękają.

I takem siedział w pustej ulicy i umierał. Wokoło były domy bogatych ludzi. Jedli, pili, spali w czystych posłaniach. Czy ja dla nich byłem człowiekiem? Niech mi nikt nie mówi, że jest społeczeństwo. Nie uwierzę: ja w tę noc nauczyłem się myśleć. Przechodziły koło mnie dziewczęta pijane, głodne, zmarznięte, złe. Śmiały się. Nie mogłem się ruszać. Zebrała się ich koło mnie cała gromadka. Kto taki? Mówię: „student”. Śmiech. Wreszcie uradziły zabrać mnie — weselej będzie. Poszliśmy do pokoiku; mieszkały w nim dwie dziewczyny. Wiem, że coś piłem. Potem zwałem się i takem zostałem. Przez dwa tygodnie tam na sofce przeleżałem w gorączce. Dziewczyna — upadły człowiek, prostytutka, błoto, na które taki piękny pan jak Herzen spojrzeć by nie chciał, jeść i pić mi dawała, ciałem swoim na mnie zarabiając. Tak ja sobie leżę w gorączce, a do niej przez noc pięciu, sześciu gości przychodzi.

Słyszę, jak biją ją, a ona krzyczy, i ruszyć się nie mogę...

Raz pijany wachmistrz ją już zbił i nogami skopał.

„A teraz — mówi — ja twojego seladona<sup>261</sup> — to jest mnie — pomacam”.

Wtedy ona jego rąk się czepiała, w nogi go całowała, aby mnie nie ruszał.

Potem cały dzień siedziała przy mnie: jakąś laską okutą głowę on mi wtedy nadwerżył — i płakała nade mną. Piosenki mi śpiewała, bajki opowiadać chciała. A najniższego rzędu prostytutka była. Od gościa i pół rubla nieraz nie dostała.

I za cóż ja teraz was oszczędzać mam? Czy wyście nas oszczędzali?

— My? — chciałem protestować.

I nagle przypomniałem sobie Bejlę, przypomniałem sobie całe moje dzieciństwo. Zaciążyło na mnie wspomnienie wygod. Zamilkłem.

— Uczciwości w was jeszcze wystarczyło — rzekł Nieczajew.

— Zginiecie, zginie wszyscy. A nas mało ginie każdej godziny? Czym wy dla mnie świętsi od tych wszystkich pijanych, głodnych? Każdy złodziej i każdy przestępca jest mi tak samo brat, jak wy. Nie! Jaki wy mi tam brat. Ja stamtąd idę. Z tamtych zgniłych piwnic, gdzie chore matki rodzą dzieci na mokrych, cuchnących rogożach<sup>262</sup>. Co mnie wasz świat, co mnie wy? Wy chcecie, abym ja wam prawdę mówił. A czy my mamy jednakowe słowa? Wasz ojciec to dumny pan, a mój — pijany diak, który chłopów okrada i w pysk od urzędników bierze. Ja widziałem, jak jemu sędzia brodę do stołu lakiem przykapał, później nad uchem strzelił. Brodę wyrwał sobie i rubla srebrem dostał. A moją siostrę matka za dziesięciurublowkę porucznikowi sprzedała. Nietanio przecież! Jedna tylko noc. Dziewicza. Po dziesięć rubli za państwo diakonowej córki. A kiedy porucznik odjeżdżał, mnie czterdzieści groszy dał: dwanaście lat wtedy miałem. Cukru lodowatego<sup>263</sup> sobie kupiłem.

Zamilkł.

Wy słuchacie sobie i myślicie: znowu kłamie. Rozczulające historie opowiada. A może i kłamie. Może nie ze mną to się przytrafiło. A czy mi nie wszystko jedno? Czy mało nas biją, czy ciała naszych sióstr nie sprzedają?

O mnie Herzen mówił, że ja mogę pannę uwieść, aby ją zrewolucjonizować. Uważacie: młodą pannę z dobrego domu. Nie jakąś tam pierwszą lepszą. A mnie co? Póki są prostytutki, każda kobieta jest towar i rzecz. Czystość tylko dla bogatych. A ja nie znam się na tych przywilejach, różnicach. Nie patrzcie się tak na mnie. Szczerze wam mówię: z nikim i niczym ja się nie liczę. Podpalacz jestem i nie mam czasu przebierać.

— Czy Iwanow był szpiegiem? — zapytałem.

Iwanow był to student zabity w Moskwie przez Nieczajewa.

Choroba, Kobieta "upadła",  
Poświęcenie

Kondycja ludzka

Matka, Handel, Seks,  
Dzieciństwo

Kobieta, Seks, Bunt

Rewolucja

<sup>261</sup>seladon — dziś popr.: celadon: sentymentalny, wierny kochanek; od imienia Celadona, bohatera popularnej sielankowej powieści-rzeki *Astrea* (1607–1627) Honoriusza d'Urfé. [przypis edytorski]

<sup>262</sup>rogoża (daw.) — mata upleciona z łyka lub z sitowia. [przypis edytorski]

<sup>263</sup>cukier lodowaty — cukier trzcinowy w postaci dużych kryształów, dawny smakołyk. [przypis edytorski]

Nieczajew podniósł głowę.  
 — Nie! — rzekł.  
 — Więc dlaczego? — zapytałem.  
 — Było trzeba. Będzie trzeba: was zabiję albo kurczątko.  
 Roześmiał się.  
 — Organizację zniszczyć mi chciał. Mądry był, delikatny. Nie czas jeszcze. Będzie nas więcej, robota pójdzie łatwiej. Dożyć potrzeba. Ot, i nie dożył.  
 — Nasze drogi się rozchodzą, Nieczajew — rzekłem.  
 Nieczajew położył mi rękę na ramieniu.  
 — Mnie wy możecie i w oczy napluć. Mną możecie gardzić, możecie mnie przeklinać, byle tylko robota szła. Kiedyś zrozumiecie. To jest walka na zęby i pazury. Kto kogo wytepić zdoła: my ich czy oni nas. A najlepiej: i oni nas, i my ich. Wtedy zostaną oni sami: ci z dołu.  
 — A potem?  
 — Nas nie będzie. Naszego śmierdzącego świata nie będzie. Kultura zginie. Niech ona ginie, ta wasza kultura. Ja w pokoiku dziewczki ulicznej, bity przez sutenerów, dowiedziałem się, co to jest kultura. Ludzkość? Wy obliczcie, ile tej ludzkości na gnój idzie.  
 — Do Moskwy pojedę — powiedziałem — iść pora.  
 Nieczajew nagle schwycił mnie za rękę.  
 — Lubilem was — powiedział. — Wy nie patrzcie, że na moich rękach krew. To nie była niewinna krew. Nie wolno mieć ambicji, mieć rozumu, kiedy idzie o walkę. On stał na mojej drodze. Cóż ja? Prędzej czy później i mnie koniec ten. Ja widziałem, jak wieźli na śmierć Karakozowa. Ręce i nogi wisały jak gumowe lachmany, jakby w nich kości nie było. Jego sam Murawjew badał. Czy wy wiecie, jak nam przyjdzie umierać? Jemu było łatwiej.  
 Było mi go żal.  
 Czulo się, że on, człowiek, nie ma na świecie nikogo i nic.  
 — Bądźcie zdrowi — powiedziałem mięcej. — Może spotkamy się jeszcze.  
 — Popowa pilnujcie w Moskwie — raz jeszcze wołał Nieczajew, kiedy wychodził.  
 Byłem w sieni<sup>264</sup>, kiedy zatrzymał mnie Schultz.  
 Kurczątko było czymś wzruszone.  
 — Proszę, niech pan jeszcze wróci.  
 Wróciłem do pokoiku.  
 — Ja niechący słyszałem — rzekł trzęsącym się głosem — co wyście tu mówili o mnie — zwrócił się do Wasiljewa. — To nieprawda, ja nie z powodu tego baszłyka<sup>265</sup>. Ja byłbym się trzymał z daleka, bo mi ojca żal. Ale teraz już nie. Ja nie chcę, aby ludzie umierali z głodu w nędzy. Jeżeli to można zmienić, to mój obowiązek jest zmienić to. Moja rodzina jest w gruncie indywidualum — przypadek. Nie mam powodu dla indywidualum poświęcać ogółu. To nie przez ten baszłyk.  
 Nieczajew pochylał się nagle nad Schultzem i pocałował go w głowę.  
 — Wybacz, bracie — rzekł jakby przez łzy.  
 Okazało się, że początkiem wpływu Nieczajewa na Schultza było to, że pożyczonym od niego baszłykiem był zaduszony Iwanow.  
 Opowiedziałem o wszystkim Brenneisenowi. Było postanowione, żebym natychmiast jechał. Brenneisen mocno sposepniał i był małomówny.

Krew, Rewolucja, Walka

5  
 Jechałem w ciężkim usposobieniu. Niejednokrotnie przeżywałem chwile jak gdyby zacierania się i znikania tego, co stanowiło treść moich myśli i wysiłków przez czas dłuższy. Zdarzało mi się to najczęściej w podróży lub przy zmianie miejsca. W styczności z innymi ludźmi, z którymi nas nic nie łączy, występuje dobitnie cała nasza przypadkowość. Wydaje mi się, że wyrażenie „zgubić się w tłumie” oznacza coś więcej niż zwykłą przenośnię. Nowe, a zwłaszcza chaotycznie zmienne, niezaklasyfikowane przez nas środowisko działa na nas zawsze jak gdyby chemicznie. Wytwarza w naszej duszy nowe

<sup>264</sup>sien — przedpokój, korytarz, zwłaszcza w domach wiejskich. [przypis edytorski]

<sup>265</sup>baszłyk — kaptur z filcu lub grubej tkaniny, z długimi końcami do wiązania wokół szyi lub pasa, noszony dawniej w Rosji. [przypis edytorski]

grupy i kombinacje zainteresowań, zmusza patrzeć na świat innymi, cudzymi oczami, a przynajmniej liczyć się z faktem, że istnieją obok nas niezliczone i nieskończone różne sposoby odczuwania i pojmowania życia i świata. Nieostrzegalnie wytwarza się w nas jakaś nowa, powierzchowna, migotliwa, ale na razie silnie przemawiająca świadomość, stanowiąca wynik i sumę tych nowych, zmiennych oddziaływań, świadomość ta zaczyna działać i w ten sposób przekonywamy się, że to, co wydawało się nam jedynym możliwym życiem, jest przypadkiem. Trzeba mieć już mocno skryształizowany własny świat moralny, aby nie podlegać takiego rodzaju oddziaływaniom.

Dziwię się zawsze, dlaczego dotychczas nikt nie próbował powiązać systematycznie teorii poznania i psychologii ze statystyką. Każda forma istniejącego naokoło nas życia, a więc i myślenia, wprowadza do naszego wnętrza swoje pierwiastki. Jestem przekonany, że można by niemal matematycznie wykazać, jak dalece myśli przez nas cała społeczna masa. Długi czas męczyła mnie ta żywiołowa plastyczność mojej natury. Każde otoczenie, najbardziej chociażby chwilowe, zabarwiała moje życie psychiczne. Wydawało mi się to zawsze brakiem mojego charakteru i być może, nie myliłem się zupełnie pod tym względem. W każdym zaś razie nigdy nie odczuwałem tak straszliwie i boleśnie samotności i zatracenia samego siebie, jak właśnie w tłumie. Myśli i uczucia, które niedawno jeszcze przejmowały mnie do żywego, zaczynały w takich razach blednąć i tracić rzeczywistość: wydawać się udaniem i pozą. I to też nie było złudzeniem całkowitym. Musi istnieć w człowieku jakiś utajony pierwiastek niezadowolony z samego siebie, aby mogły się w nim dokonywać tego rodzaju dezagregacje<sup>266</sup> moralne. Dusza nasza przeżywa często całe rewolucje molekularne, kiedy cała myśl, z wszystkimi budowami jej rozkłada się nagle na atomy, na jakąś bezkształtną i nieoporną miazgę.

Głowa bolała mnie mocno, gdym wyjeżdżał. Jechałem w trzeciej klasie. Rozmowa pasażerów drażniła mnie. Było gorąco. Z żelaznego pieca, rozpalonego do czerwoności, wydobywał się czad. Wyszedłem na platformę: pociąg pędził wśród szarych pól. Coś niezdrowego wychylało się z dna duszy. Nie mogłem myśleć o niczym z tego, co mam właściwie zrobić w Moskwie. Nie mogłem myśleć o niczym. Z przerażeniem spostrzegłem, że nie obchodzi mnie właściwie nic. Nie miałem ochoty do niczego. Wszystko wydawało mi się jednakowo bezbarwne i czcze. Oszukać swoją nudę chcesz i nic więcej. Zblazowane<sup>267</sup> nerwy żądają zatrudnienia, więc wynalazły sobie rewolucję. Przypomniałem sobie twarze widziane przed chwilą w wagonie. Nie mogłem uwierzyć, aby naprawdę wiązało mnie coś z tymi ludźmi. Z tymi lub jakimikolwiek. Czy warto się zajmować człowiekiem. Czy warto się zajmować czymkolwiek? Gdybym był szczerzy, rzuciłbym się pod koła tego wagonu. Myślałem, czy się boję śmierci. Z gniewem spostrzegłem, jak bardzo bym żałował siebie, umierając. Usiłowałem zanalizować, skąd płynie ten żal? Do czego jestem właściwie przywiązany? Nauka? Myśl? Praca dla rewolucji? Nie! To wszystko było już konsekwencją przyjętego życia. Ale samo życie? Więc nic prócz miłości do swojego istnienia, przywiązanie do samego trwania. Buduje się całe systematy myślowe, całe gmachy działania, tworzy się całe poematy poświęceń i miłości, a w gruncie rzeczy istnieje naprawdę ten tylko kawał mięsa, setkami odnóg wszczepiony w istnienie. Usiłowałem myśleć o świecie, jaki będzie po mojej śmierci, i nie byłem w stanie przemóc żalu, że mnie już nie będzie. I nie tylko dlatego żalowałem, że świat stanie się ciekawszy, szczęśliwszy, lepszy, a ja już nie będę tego widział. Nie, po prostu krwawił się we mnie ból, że ja nie będę widział, mniejsza już o to, czego. Więc czy nie miał słuszności Nieczajew? Czy my sami siebie nie zmuszamy do spełnienia czegoś, co właściwie *nas* nie obchodzi, czy nie kłujemy samych siebie ostrogami, byśmy szli, byśmy nie przestawali iść ciągle naprzód? I co mnie naprawdę łączy z tą całą sprawą? Jakiej natury są te węzły?

Nie mogłem rozplątać tego splotu. Ze zdumieniem tylko spostrzegłem, że powrotu już wewnętrznie dla mnie nie ma, że jest coś we mnie, co buntuje się przeciw wszelkiej innej formie życia. Można nie żyć, ale jeżeli żyć — to inaczej już nie będziesz mógł, innego życia ja już nie zniosę. Kto jest to ja, które zbudziło się nagle i przemówiło w kurczątku Schultzu?

<sup>266</sup>dezagregacja (z łac.) — rozpad. [przypis edytorski]

<sup>267</sup>zblazowany — znudzony za sprawą nadmiaru wrażeń. [przypis edytorski]

Samotność, Tłum

Nuda, Melancholia

Śmierć, Kondycja ludzka

Wróciłem do wagonu. Patrzyłem na ludzi tak, jak chory przypatruje się majakom gorączkowym. Była to codzienna przeciętna publiczność wagonowa trzeciej klasy. Otaczała mnie zewsząd beznadziejnością dnia powszedniego. Oto było naokoło mnie życie doskonale przystosowane do form niewoli. Spokojnie i bez przypuszczenia nawet, że tkwi w tym coś nienormalnego, opowiadano tu sobie rzeczy, z których każda była pomimo powszedniości swej proklamacją rewolucyjną.

Człowiek potrzebuje tylko dać sobie pozwolenie wewnętrzne na bunt, a w tejsze chwili zrozumie, że w życiu obecnym wszystko jest godne zniszczenia. Zrozumie, że otacza go olbrzymie i potężne mrowisko wzajemnie zagryzających się istot. Społeczeństwo jest czymś w rodzaju potwornych mechanicznych jatek, w które wprowadza się żywe zwierzę, przerabiane już później automatycznie na setki różnych produktów. My zaś jesteśmy jak młynarz, który nie słyszy hałasu sprawianego przez ten młyn piekielny. I my też żyjemy w tym kotle, jak wśród harmonii sfer<sup>268</sup>. Na straży naszych umysłów stoi mocno wszczepione i ugruntowane przez nałóg przeświadczenie, że tu nie ma się czemu dziwić, przeciwko czemu protestować. Przeciętny, oswojony obywatel skłonny jest oskarżać rewolucjonistę o przesadę, nie rozumie, że rewolucjonistą staje się właśnie człowiek dzięki odzyskanej zdolności widzenia.

Miałem sam dla siebie całą ławkę i wyciągnąłem się na niej. Pociąg śpiewał, mruczał coś swym monotonnym żelaznym językiem, ja zaś widziałem i czułem, jak daremne było nasze przedsięwzięcie poruszenia wielowiekowej i wielomilionowej obojętności drukowanym papierem.

Myślałem o Nieczajewie.

Zdawało mi się, że męką tego człowieka musi być zwątpienie, przeświadczenie o tym, że nic nie dąży w pożądanym przez niego kierunku prócz jego woli i być może coś cięższego jeszcze, jakieś straszliwe na dnie tej woli rozdwojenie.

Myślałem, że w człowieku tym nie istnieje chyba zdolność szczęścia, że nie jest on zrośnięty z niczym.

Przypomniały mi się słowa:

Pieśń ma była już w grobie, już chłodna.<sup>269</sup>

Człowiek przywiązuje się nieustannie i pomimo woli, ale jeżeli jeden za drugim w jego oczach rozsypują się w błoto i próchno przedmioty przywiązania, to co dzieje się z człowiekiem? Z sercem jego? Gdy wyczerpie się cała zdolność kochania i nie utrwali się w niczym.

Czy może dziecko kochać rodziców, gdy widzi, jak znęcają się oni nad sobą wzajemnie?

Przypomniała mi się matka Wrońskiego.

I dziwnym skojarzeniem przypomniał mi się mój ojciec.

Ujrzałem go przed sobą, jak siedzi ze swym pańskim, mądrym uśmiechem na ustach.

Ciotka Emilia opowiada, jak zawsze, coś nieskończenie nudnego. Stryj Florian brawuruje.

Och, jakże on tym wszystkim na dnie duszy musi gardzić.

O kim myśli?

I wiedziałem, że wszystkie jego myśli są przy mnie. I raz jeszcze powróciło pytanie: Czy warte jest to wszystko jego bólu?

Serce moje ważyło krótką chwilę i straszliwie, o cały ciężar tęsknoty przeważał ból ojcowski. A jednocześnie nie ludziłem się, że może być inaczej.

Prosiłem jego jasnego czoła, jego pięknych oczu, jego mądrych ust o przebaczenie, modliłem się do nich i w głębi duszy płakałem, jak płacze skarcone, zrozpaczone dziecko.

Więc po co bez wiary i bez zapалу, bez właściwego przekonania, takiego, jakie je sobie wyobrażałem wtedy, krwawić i ranić to najdroższe, ojcowskie serce?

<sup>268</sup> *harmonia sfer* — przepelniająca kosmos, niesłyszalna dla ludzi muzyka; wg dawnej koncepcji pitagorejczyków, popularnej aż do XVII w., orbity (sfery) ciał niebieskich pozostają ze sobą w takich samych prostych stosunkach liczbowych jak dźwięki muzyki, zatem wszechświat rozbrzmiewa nieustającą harmonią, której ludzie nie słyszą, gdyż żyją wśród niej od urodzenia. [przypis edytorski]

<sup>269</sup> *Pieśń ma była już w grobie, już chłodna* — cytat z tzw. pieśni zemsty Konrada z *Dziadów części III* Mickiewicza. [przypis edytorski]

Nie wiedziałem jeszcze, że przekonanie to jest właściwie to: nieprzemierzony mus, górujący nad wszystkim. Nie zawsze zlewamy się z nim i stapiamy w wielkim, entuzjastycznym podniesieniu istoty. Często ukazuje się on nam jako własna samowola, jako wina, jako nudny nałóg, nawet jako poza i wmówienie. Istotą jednak jego jest to, że nie możemy się spod niego wyłamać. Bo pomimo wszystko ono — to jesteśmy my. Przekonanie, to jest sam człowiek, nie żaden czar. I odczuwamy je nie jako jakieś źródło absolutnej czystości, nie jako jakąś uskrzydającą moc nadludzką — lecz właśnie jak naturę własną. Wtedy nie wiedziałem o tym i męczyłem się, uważając siebie za chłodnego i nędznego komedianta. Nie żył samoistnym życiem ten, kto nie przeżywał tych mąk.

Bieg pociągu kołysał mnie.

Zasypiałem z mętными marzeniami w głowie.

Śniło mi się coś ciężkiego, strasznego. Wydawało mi się, że naprzeciwnie mnie siedzi jakaś potworna starucha o wyżartej przez straszną chorobę wardze. Ogołoczone zęby wyglądają jak potworne kły. Starucha mówi o czymś, co jest jeszcze od niej samej straszliwsze. Nie mogę zrozumieć, o co idzie. Na jedną chwilę wydaje mi się, że to jest matka Wrońskiego, szukająca w kufrze umierającego syna spodni, czarnych, nowych spodni w paski. Szuka i wyjmuje z kuferka żółty, chudy trupek dziecięcy, potem drugi, trzeci...

Budzę się...

Naprzeciw mnie siedzi staruszka w białym, czystym czepeczku, o pomarszczonej, sympatycznej twarzy. Na kolanach trzyma worek.

— Chować teraz muszę, od lekarza to jest, świadectwo dał. Więc wiozę je tu przy sobie w woreczku — inaczej, jaki koszt!

Roztwieram szerzej oczy. Jeszcze sen musi być.

Ale staruszka uśmiecha się i mówi:

— Wypalicie się, panicyku, mocno, trzecią godzinę już tak śpicie.

I zwraca się do sąsiada:

— Mrą one u nas w tym roku. Jak jaki rok. Wiadomo, nieurodzaj, kto miał dwie krowy, jedną sprzedał. Która baba brała dwoje dzieci na odkarmienie, bierze trzy. Trzeba przecież jakoś w gospodarce pomóc. No, i jasna rzecz. Czy może wystarczyć mleka, kiedy i bydlę najczęściej żreć nie bardzo co ma? Jedno tylko, czy na ten przykład, zechcą oni za drugie dzieci nową zapłatę dawać. Jakby, powiedzmy, tak, można by i na siew ziarna kupić. A jak nie, nie wiem, czym my i siać będziemy.

— I całkiem to one nie chorują — zaczęła po chwili. — Na rano zdrowe, pod wieczór chwyci coś, krzyknąć zaczną, gorąco od niego bije, przez noc jeszcze popiszczą trochę — i skończone. Babka u nas jedna jest, wytrząsać każe. Ale i to nie pomaga. I tak ja myślę, sam Pan Bóg najlepiej wie: głodny rok idzie, to i usta zabiera...

— A wy byście, baby, dzieci nie brały na wykarm, kiedy jeść co nie ma — odezwał się z kąta basem ktoś.

— Jakże nie brać, kochani moi wy, jakże nie brać! Sami osądźcie: podatek zapłacić trzeba, popa też, jeść też trzeba, a jak jeszcze i na siew ziarna nie starczy, to skąd wziąć, jakże nie brać? Mizerna zapłata, ale zawsze grosz jakiś, drugi, trzeci, zostanie. A jak ono, niebożatko, ma umrzeć, to już je Pan Bóg miłosiwny wszędzie znajdzie.

— Na takie dzieci — rzekła chuda jejmość — nie ma wcale u Boga rachunku. Topić by je powinni, a nie karmić na rządowy koszt, innym chleb odbierać. Podatek to kto płaci? My płacimy, aby jedna z drugą mogła sobie z kawalirami przyjemności swojej używać.

Nie słyszałem, co odpowiedziała staruszka.

Człowiek na próżno obawia się snów, najstraszniejszy sen jest niczym wobec życia. Literatura usiłuje nas przerazić i wstrząsnąć nami. I czymże są twoje bajeczki niewinne wobec życia.

Ziarna na siew nie ma, jakże więc nie brać dzieci, które z głodu mrą potem.

I sympatyczna taka staruszka, jestem przekonany, że gołębiego w gruncie rzeczy serca.

6

W Moskwie, po przyjeździe, odszukałem adres Popowa.

Głód, Dziecko

Po długich certowaniach<sup>270</sup> się wpuściła mnie stara kucharka do pokoju, po którym biegał nerwowo człowiek o żółtej cerze i mętnych, na wpół przytomnych oczach.

Kiedym go poprosił o chwilę rozmowy sam na sam, zbladł i zaczął wymawiać jakieś niezrozumiałe sylaby.

Ledwo z trudem mogłem się z nim porozumieć na tyle, aby go przekonać, że przybywam istotnie od Nieczajewa.

Popow wpadł w gniew.

— Czegoż jeszcze on chce ode mnie? Czego chce od nas? Nasza sprawa jest jasna. Wezmą nas lada chwila. O ucieczce nie ma już co myśleć. Czy pan nie zauważył nikogo przed domem?

— Przed domem nie działo się nic nadzwyczajnego.

— Znikąd paszportu nie można dostać? Tak chwalił się konspiracjami. O paszportach przynajmniej mógłby pomyśleć. Tu jest słaba nadzieja za dwa dni. Ale czy my przetrwamy te dwa dni?

— Czy istotnie znaleziono trupa?

Popow zbladł.

— I to panu powiedział? Jak mógł panu powiedzieć o tym?

Zaczął mi się bacznie przyglądać.

— Pan nie myśli, że Nieczajew jest agent?

Roześmiałem się.

— Nic nie można wiedzieć. Wszystko jest możliwe w takim kraju. Wszystko. Skąd pan wie, że ja na przykład nie jestem na żołdzie policji? Co tu można wiedzieć?

Czy pan wie, że Nieczajew chciał mnie zabić? Tak jest, mówię panu. Tego samego wieczora, kiedyśmy Iwanowa... pan wie. Próbował niby rewolweru i prosto nad moją głową: bac!... Kula utkwiała w ścianie. Ja czasami myślę, że on jest obłąkany. Pan wie, to tak nagle zerwie się coś w człowieku. Jakaś jedna małeńka sprężynka. Nieczajew sam zresztą wie: on sam w sobie to przeciął. On sam sobie pozwolił na wszystko. A teraz próbuje jak dziecko w ciemnościach. Co będzie, kiedy się tak poruszę, a co, kiedy tak. On sobie pomyśli coś, a potem zrobi. Ja mówię panu, że w gruncie rzeczy on jest obłąkany.

— Więc nie uważasz już go pan za agenta.

— Bo ja wiem, panie, żadną miarą zdecydować się na nic nie mogę.

Z Popowem mówić było trudno. Znajdował się on w stanie całkowitego rozstroju. Rozpytałem się go więc o adres Uśpieńskiego, okazało się, że trzeba go szukać w księgarni. Umówiłem się z Popowem, że spotkamy się w traktierni<sup>271</sup>.

Idąc do Uśpieńskiego, usiłowałem uporządkować wrażenia. Było rzeczą całkowicie jasną, że tutaj „praca” rewolucyjna wyglądała mniej jeszcze poważnie niż u nas. Inaczej taki Popow nie dalby się wprost pomyśleć.

Uśpieński zrobił na mnie od razu potężne wrażenie. Był to człowiek skupiony i poważny.

Kiedym mu zakomunikował to, co mi polecił powiedzieć Nieczajew, rzekł:

— To wszystko my już dobrze wiemy. Trupa nie znaleźli, ale niewątpliwie znajdą. Za dużo się o tym gada. Zresztą wszyscy wiedzą, że między Nieczajewem a Iwanowem coś było. Poza tym na naszym tropie są i tak, są inne symptomy.

— I cóż pan myśli? — zapytałem.

— Nic — powiedział spokojnie — czekam.

— Na co? — zapytałem zdziwiony.

Uśpieński popatrzył na mnie jasnymi oczami.

— Tak, jak sprawy stoją, nie może być mowy o ukrywaniu się. Trzeba ratować, co się da. Tę sprawę rząd będzie się starał rozdać i rozdmuchać. Jeżeli jej się nie ocali przez nasze zachowanie wobec sądu, energia rewolucyjna w Rosji znacznie ucierpieć może. Nie mamy prawa zapominać o tym.

— Pan jest sam? — zapytałem.

Buntownik

<sup>270</sup>certowanie się — grzecznościowe wymawianie się od czegoś przed skorzystaniem z propozycji. [przypis edytorski]

<sup>271</sup>traktiernia (daw.) — podrzędna restauracja; jadłodajnia. [przypis edytorski]



— Nie, mam żonę, ona też będzie aresztowana. To jedyna rzecz, którą możemy zrobić. Nie trzeba było zaczynać nic. Gdy się jednak coś zaczęło, nie można zrzekać się odpowiedzialności. Dotąd nie zrobiliśmy nic. Właściwie zaszkodziliśmy nawet. Jeżeli wytrwamy i przed sądem potrafiemy zachować się jak trzeba, wszystko nabierze innego znaczenia. To jest jasne. Rząd będzie usiłował ogłosić nas za szaleńców, zbrodniarzy i smarkaczy. Trzeba, by świat, gdy mu rząd na naszą ławę oskarżonych ukáže — ujrzał rewolucjonistów. Ława oskarżonych to jedyna w Rosji trybuna. Teraz uciekać to jakby poprosić o głos, a potem przestraszyć się.

Słuchając Uśpieńskiego, myślałem, jak mógł Nieczajew nie zrozumieć, nie poznać hartu duszy takiego człowieka.

Powiedziałem coś w tym rodzaju.

— Mnie — rzekł Uśpieński — Nieczajew w gruncie rzeczy ufał. Ale on ma zbyt głęboką pogardę dla ludzi. On sam nawet nie wie, jak głęboko ludźmi gardzi. U nas w Rosji dziwni wyrastają ludzie. Niech pan przyjrzy się procesowi karakozowców, jaka tu mieszanina dzieciństwa, naiwności i dzikiej, szaleńczej odwagi. Rosję trudno będzie dźwignąć — rzekł.

— Czy żona pańska jest tak samo na wszystko przygotowana?

Uśpieński uśmiechnął się dziwnie:

— Inaczej nie mogłoby być. My teraz marzymy sobie o tym, kiedy nam znów na Syberii pozwolą połączyć się. Wtedy już i nam wolno być szczęśliwymi. My to nazywamy swoją podróżą do Włoch. Wiosna w Syberii bywa bardzo piękna. Roślinność na kilka tygodni całkiem tropikalna. No — dodał — tu panu nie należy się zasiadywać. Lada chwila może się co stać. Jeżeli będę mógł, przyjdę się z panem zobaczyć u Popowa.

Zacząłem tulać się po ulicach tego całkiem obcego, nieznanego mi miasta.

Uśpieński zapanował całkowicie nad moimi myślami. Jego spokój i niedostrzegająca samej siebie siła miały w sobie coś bardziej zdumiewającego jeszcze niż przepojony myślą hart Brenneisena. Tamto był kryształ z jakiejś huty myślowej o nadmiernym żarze i ucisku atmosfery. Tu — jakby samorodny kamień gdzieś w głębi gór zrodzony i walający się na bruku pośród pospolitych gładów.

Teraz dopiero ukazała mi się w pełni oczywistość prawdy, że szacując świat na podstawie własnych podmiotowych stanów — musimy popełniać błędy. Kto odgadnie, ilu Uśpieńskich tai się w spokojnej, nieporuszonej glebie.

W ciągu rozmowy powiedział mi Uśpieński:

— Ja dzisiaj wiem, że Nieczajew błędził i mylił się, ale gdyby nie on, ja nie wiedziałbym o sobie nic z tego, co wiem dziś. Nie myślałbym o tym, nie byłbym tym, czym jestem.

I zdaje się, to określało stosunek.

Gdy wszedł do restauracji i spytał się o Popowa, wskazano mi ostatni, w głębi lokalu znajdujący się pokoik. Tu siedział Popow bez surduta<sup>272</sup> na obitej ceratą kanapie, z której wylał włosień i sterczały sprężyny. Koło Popowa siedziała dziewczyna o zniszczonej twarzy i ochryłym głosem śpiewała coś. Popow był silnie podniecony.

— Jak stary Rzymianin — wołał — z wieńcem róż na głowie, z czarą falerna<sup>273</sup> wyczekuję losu. „I nie tknie się dumnego czoła bladego strachu chłodny cień” — zanucił fałszywym głosem. — Tak to ono, młody człowieku. Są utajone siły wszędzie, w piersi Popowa żył zawsze republikanizm i pośród snu wołał na mnie głos: Brutusie<sup>274</sup>, śpisz? Piękna Lesbio<sup>275</sup> — rzekł do swej towarzyszkii — ty zapoznana zwiastunko nie skępowanego Erosa<sup>276</sup>, odejdz teraz, różane palce zorzy<sup>277</sup> z piany morskiej zrodzonej<sup>278</sup> przestają

<sup>272</sup>*surdut* — długa dwurzędowa marynarka popularna na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

<sup>273</sup>*falern* — ulubione wino staroż. Rzymian. [przypis edytorski]

<sup>274</sup>*Brutus, Marek Juniusz* (85–42 p.n.e.) — republikanin, uczestnik zamachu na życie Juliusza Cezara. [przypis edytorski]

<sup>275</sup>*Lesbia* — pseudonim literacki, pod jakim występuje ukochana rzymskiego poety Katullusa (I w. p.n.e.) jego w licznych wierszach. [przypis edytorski]

<sup>276</sup>*Erosa* (mit. gr.) — bóg miłości. [przypis edytorski]

<sup>277</sup>*różane palce zorzy* — „różanopalca” to przydomek Eos, greckiej bogini jutrenki, zorzy porannej. [przypis edytorski]

<sup>278</sup>*z piany morskiej zrodzonej* — w mit. gr. bogini miłości i piękna Afrodyta zrodziła się z piany morskiej. [przypis edytorski]

brzękać na cytrze<sup>279</sup>, gdy szcęk mieczów słycać, bijących w pancerze. Dobrze mówię. Rzymianko, odejdz, mogłabyś powiedzieć, z tarczą albo na tarczy<sup>280</sup>, ale i tak wspominaj zawsze, żeś ty ostatnia z żywych widziała Ewarysta Popowa.

— Oni zawsze tak — rzekła dama — mówią byle co, że aż zrozumieć trudno.

— Za jedną noc życie moje! Tak, czarująca sylfido<sup>281</sup>. Za jedną noc życie — weź głowę Popowa, który śmiał tu, w śnieżnych Hiperborejów<sup>282</sup> ojczyźnie kochankiem być bogini swobody. Jak pisał Puszkina<sup>283</sup>: w Rzymie byłby Brutusem, w Grecji Peryklosem, a u nas nie oficerem huzarskim<sup>284</sup>, lecz koleskim registratorem<sup>285</sup>, człowiekiem nikczemnego wyglądu we fraku, jak wyrazić się raczył Mikołaj Pawłowicz<sup>286</sup> o innym rosyjskim Rzymianinie. Idź już teraz, Kornelio<sup>287</sup>, matko Gracchów<sup>288</sup>, a obnażywszy swoje łono, powiedz: Cezar tu spał i jego losy<sup>289</sup>. Być kochanką Cezara, a potem umrzeć.

— Pan też byle co przy obcych — mruknęła dziewczyna. — Ten młody pan jeszcze Bóg wie co pomyśli.

Popow wreszcie uspokoił się i dziewczyna wyszła.

— Tak to, młody przyjacielu, słuchasz i dziwisz się. Hamlet filozofował na cmentarzu, a rosyjski człowiek najgłębiej myśli za szklaneczką piwa. Ty nie patrz się, że Popow pijaczyna, że niby uczucia ma nie po formie. Człowiek na katogę pójdzie, a teraz po pijanemu językiem miele. Na formę, bracie, napluj, aby tylko treść była. Wisarion Grigorjewicz Bieliński<sup>290</sup> wielki człowiek był i ognistego gniewu miał serce, a w preferansa grał. Chłopiec z drukarni przychodzi, „siedem pik” słyszy, drugi raz: „bez jednej”, trzeci raz — „do kotła”, a numer wyjdzie i artykuł jest. I jaki artykuł: zadrzy cała Rosja. Życie, braciszku, niżej lojowej świeczki stawiać — wielka mądrość jest. No, i weź ty mnie choć i przestrasz teraz, Ewarysta Popowa. Czym przestraszysz? Ja sam życia na złamany grosz nie cenię. Choć dziś zginąć. Powagi nam i koturnów<sup>291</sup> nie trzeba. Zawinąć się można tak samo w szlafrok, jak i w rzymską togę — byle tylko było w piersi republikańskie serce. Wszystko miał Nieczajew, a tej naszej wesołości nie miał. „Stracony człowiek” — mówił. No, i cóż, że stracony? Po cóż zaraz chodzić po mieście z opalonymi skrzydłami, niby Abaddonna<sup>292</sup> jaki. Na dzień powszedni — to nawet nudne. I wszystko to on uroczyście tak urządził właśnie. I was, tu, młody człowieku, z poleceniami osobliwej wagi przysłać musiał. Co polecenia? Jakie tu mogą być polecenia? Uśpieński, jedno słowo,

<sup>279</sup>cytra (z gr. kitarra) — instrument muzyczny strunowy szarpany. [przypis edytorski]

<sup>280</sup>z tarczą albo na tarczy — sentencja pożegnania wojownika wyruszającego na wojnę w Sparcie oznaczająca życzenie powrotu zwycięzcą albo poległym, ponieważ uciekając, żołnierze porzucali tarcze, aby lżej im było biec, natomiast poległych znoszono z pola bitwy, używając tarczy jako noszy. [przypis edytorski]

<sup>281</sup>sylfida — żeńska postać sylfa, tj. duszka uosabiającego żywioł powietrza; przen. kobieta smukła, delikatna, pełna wdzięku. [przypis edytorski]

<sup>282</sup>Hiperborejczycy (mit. gr.) — mieszkańcy legendarnej Hyperborei, krainy daleko na północy, położonej za siedzibą Boreasza, boga wiatru północnego. [przypis edytorski]

<sup>283</sup>Puszkina, Aleksandr Siergiejewicz (1799–1837) — rosyjski poeta, dramaturg i prozaik, najwybitniejszy przedstawiciel romantyzmu rosyjskiego. [przypis edytorski]

<sup>284</sup>w Rzymie byłby Brutusem, w Grecji Peryklosem, a u nas nie oficerem huzarskim — dwa końcowe wersy z czterowersza Puszkina pt. *Na portret Czaadajewa, ze zmienioną końcówką* (w oryginale: a tutaj on [jest] oficerem huzarskim). [przypis edytorski]

<sup>285</sup>koleski registrator (ros.) — najniższa ranga w hierarchii urzędniczej w carskiej Rosji. [przypis edytorski]

<sup>286</sup>Mikołaj Pawłowicz — car Mikołaj I. [przypis edytorski]

<sup>287</sup>Kornelia Afrykańska Młodsza (190–100 p.n.e.) matka Gracchów, wzór matrony rzymskiej, łączącej cnoty żony i matki. [przypis edytorski]

<sup>288</sup>Gracchowie — rzym. bracia Tyberiusz Semproniusz Grakchus (ok. 162–133 p.n.e.) i Gajusz Semproniusz Grakchus (ok. 152–121 p.n.e.), trybuni ludowi, którzy przeprowadzili reformy prawa rolnego na rzecz ubogich obywateli; prześladowani przez przeciwników polit., obaj zginęli tragicznie podczas zamieszek. [przypis edytorski]

<sup>289</sup>Cezar tu spał i jego losy — parafraza słów Juliusza Cezara (100–44 p.n.e.) skierowanych do sternika, który obawiał się płynąć przez wzburzone morze: „Wiesz Cezara i jego losy”. [przypis edytorski]

<sup>290</sup>Bieliński, Wisarion Grigorjewicz (1811–1848) — rosyjski pisarz, myśliciel, krytyk literacki, przedstawiciel rewolucyjnych demokratów. [przypis edytorski]

<sup>291</sup>koturny — obuwie o podwyższonej podeszwie; koturny w staroż. Grecji noszone były przez aktorów, stąd przen.: podniosłość, patos. [przypis edytorski]

<sup>292</sup>Abaddonna — imię zbuntowanego anioła w wierszu Wasilija Żukowskiego (1783–1852): dowodzi upadłymi aniołami w wojnie przeciwko Bogu, zostaje wygnany na ziemię i pragnie popełnić samobójstwo, jednak jest nieśmiertelny; również imię tytułowego bohatera powieści Nikołaja Polewoja (1796–1846) z roku 1834. [przypis edytorski]

lodowiec jest, jego choć w ogień piekielny — nie roztaje, a w Ewaryście Popowie żyła zawsze rzymska dusza. Pozorów nie było... W serce trzeba patrzeć, nie na pozory.

Do drzwi pokoju naszego zastukano.

Lokaj wprowadził chłopaka bez czapki.

— Aleksander Iwanowicz kazał się kłaniać i powiedzieć jedno słowo: gotowe. „Oni już będą wiedzieć”, mówił.

Popow lekko zbladł.

— Masz, mały — rzekł, szukając czegoś po kieszeniach, wreszcie wyciągnął garść miedziaków i chciał podać, ale z drżącej ręki wysypały się na podłogę i na dywan.

— Gotowe, młody człowieku — mówił Popow. — Teraz jest czas okazać losowi męstwo.

I przyodziawszy wieniec róż, z czarą pieniącego się wina...

Wienca róż zaoszczędzić sobie można, a fałerno zastąpić butelką szampana, aby nie powiedziano było, że błąd strach zmroził bicie wesołego serca.

— Ty skąd jesteś, obywatelu? — zwrócił się do chłopca, który pozbierał tymczasem miedziaki.

— My z Nikolskiego — rzekł mały. — Twierskiej guberni.

— Twierskiej — powtórzył Popow — chodź tu, *citoyen*<sup>293</sup>. Na twoim czole składam pocałunek. To, bracie, jest *symbolum*<sup>294</sup>. Wysoce poetyczna scena. Ja kiedyś pisałem dramat, otóż tak... No... no... już możesz iść, a Aleksandrowi Iwanowiczowi powiedz, że Ewaryst Mikołajewicz Popow był zawsze gotów i że w wiencu róż i z pucharem w rękę na łonie Lesbii czarnookiej ulega potędze ciemńskiego Zeusa<sup>295</sup>.

— Uśpieńskiego wzięli — rzekł Popow, gdy chłopiec wyszedł.

Wargi jego lekko drżały i słowa plątały się.

— Czy nie spróbuje pan ukryć się? — zapytałem.

— Ni-ni, braciszku, parol<sup>296</sup> u nas taki dany: na posterunku. Mnie by pani Uśpieńska w oczy plunąć nie chciała. Ona to właśnie jest Kornelia, matka Gracchów, żona to jest. Ale nie w tym sens. Jakby Lucyla<sup>297</sup>, żona Demoulina<sup>298</sup>, i stary Popow gotów skonać pod spojrzeniem jej gwiazdzistych oczu. I ani-ni. Tu, braciszku, wyboru nie ma. Teraz trzeba słowo swoje powiedzieć na całą Rosję. Nie tylko młodzieniaszkowie niedoświadczeni, uwiedzeni podstępą wymową, ale i starcy osrebrzeni siwizną, o senatorskiej, że tak powiem, powadze... A szampana jednak wypić nam potrzeba.

Zadzwoił, zjawił się szampan.

Trąciliśmy się.

— Odtąd już szczek łańcuchów... — zaczął Popow, ale przerwał. — Nie patrzcie się na mnie tak i nie myślcie... stary gada, bo mu po sercu mrówki łożą i koty, jak to mówią, skrobią. Nie będę mówił, że gdzieś tam w tym kadlubie nie ma strachu i żalu, że trzeba iść. Trzymać oni będą w jakiejś norze. Brr... A przy tym łapy, te ich łapy i oczy. I to, że każdy żołdat będzie człowiekiem rozporządzał się jak rzeczą. Jest strach, jakże ma nie być? U nas, łaskawco mój, uczucia cywilne nie miały nigdy ani czasu, ani sprzyjających warunków. Słyszałem, że Murawjew raz jakiegoś Litwina całkiem już powiesił; już on tam chybotął się w powietrzu, a tu adiutant z rozkazem: ulaskawić. Odcięto, docucono się, kieliszek wódki w gardło. Siedzi mój Litwin, patrzy osowiałymi oczami. Szturchają go: „Co, jak, jakże to? Coś czuł?”. A on mówi: „Ta, nic osobliwego, ale markotno, wiadomo, nie przywykłszy”. Otóż ono tak, braciszku: nie przywykłszy. Był człowiek całe życie wierny poddany, w duszy salutował przed każdym stójkowym<sup>299</sup>, przed niebieskim mun-

Rosja, Obywateł

<sup>293</sup>*citoyen* (fr.) — obywatel. [przypis edytorski]

<sup>294</sup>*symbolum* (łac.) — znak, symbol. [przypis edytorski]

<sup>295</sup>*Zeus* (mit. gr.) — najważniejszy spośród bogów olimpijskich; bóg nieba i ziemi, władał piorunami. [przypis edytorski]

<sup>296</sup>*parol* (daw.) — słowo, słowo honoru. [przypis edytorski]

<sup>297</sup>*Desmoulins, Lucile* (1770–1794) — żona francuskiego publicyisty i rewolucjonisty Camille’a Desmoulins, aresztowana w 1794 pod zarzutem spisku w celu uwolnienia swego męża (aresztowanego razem z Dantonem) i obalenia republiki, stracona tydzień po nim na gilotynie; jest jedną z bohaterek dramatu Karla Georga Büchnera *Śmierć Dantona* (1835). [przypis edytorski]

<sup>298</sup>*Desmoulins, Camille* (1760–1794) — adwokat, publicysta i polityk, w czasie rewolucji francuskiej 1789 r. stronnik Dantona i adwersarz Robespierre’a. [przypis edytorski]

<sup>299</sup>*stójkowy* — szeregowy policjant w zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

durem żegnał się zawsze jak kupczycha przed burzą, a tu nagle — obywatel. Prawa święte obywatelskie, prawo narodów i jak to się nazywa, nigdy nieulegające przedawnieniu, niecofnione prawo rewolucji. To, panie, tam na zachodzie. Tam każdy kamień woła: prawo. I przypomina, że nie ty pierwszy, nie ostatni. A tu co? Jakie wspomnienia? Tu takiego to bojarzyna<sup>300</sup> knutami<sup>301</sup> bili, rozpalonymi żeleźcami nozdrza rwali — i nie w tym bieda, że rwali i bili, a w tym, że on rękę miłościwą, carską rękę ucałować krwawiącymi ustami usiłował. No, i dosyć, jeszcze kieliszek.

Trąciliśmy się znowu...

— Ot, i nie minie nadaremnie życie — rzekł Popow — nie minie nadaremnie. Po kawiarniach i szynkach biegał, w karty grał, dziewczęta lubił, talentu pisarskiego nie miał, idei nowych nie stworzył, ale kośćmi swoimi legł za świętą sprawę...

Był teraz dziwnie poważny. Nachylił się nade mną:

— I tobie też, przyjacielu, tego serdecznie życzę: niech ci da los kośćmi legnąć za wielką, świętą, niech ci da los...

Pocałowaliśmy się, ścisnąłem długo jego rękę.

— No, tak — rzekł Popow.

— Niech nie będzie odwrócona ode mnie ta czara!

Nalał nowe kieliszki.

— U nas w Rosji — mówił — zwyczaj jest przed samym wyjazdem posiedzieć jeszcze chwileczkę i pomilczeć razem.

Siedliśmy.

Popow zadzwonił. Wszedł służący. Popow nie pozwolił mi płacić.

Do służącego mówił:

— Jutro w kuchni zarznąć każesz czarnego koguta.

— Upiec pan każe? — pytał sługa.

— Wszystko jedno, ja płacę... Zabij na ofiarę Eskulapowi<sup>302</sup>, zjedz na zdrowie, wspominając Sokratesa<sup>303</sup> i Ewarysta Popowa.

— Wyjeżdża pan dobrodziej gdzie? — dziwił się służący.

— Nie zapomnij, braciszku, cóżem ci rzekł: czarnego koguta na pamiątkę Sokratesa i Ewarysta Popowa. Sokrates też był łysy i też wypić lubił. I bogów, których Ksantypa<sup>304</sup> wielbiła, nie uznawał. No, tak, bracie kochany — a czarny kogut oznacza wyzdrowienie i ofiarę dziękczynną. A z jakiej choroby wyzdrowiał, o tym, braciszku, w Karamzinie<sup>305</sup> przeczytasz.

Zostawił służce rubla i uściskał go.

Wyszliśmy na ulicę...

— No, wam na lewo — rzekł — mnie na prawo. I jeszcze raz życzę wam: niech nie odwróci się czara. Tak lepiej. Łatwiej niż niepotrzebnie włóczyć po świecie stare kości... Tak, bracie...

Teraz jeszcze raz uścisnęliśmy się. Patrzyłem długą chwilę za nim, jak szedł przygarbiony w zrudziałym, dziwnym kapeluszu, niezgrabnie omijając kałuże i kupy błota.

Usiłowałem uporządkować myśli. Doznawałem uczucia piekącego wstydu i upokorzenia. Dziś rano wydawał mi się ten człowiek histeryczną babą, która przez pomyłkę znalazła się w przedniej straży walczącej armii i miota się bezcelowo i bezradnie przed kulami. Z bólem myślałem, jak mały i nędzny jestem ja sam wobec tych ludzi. Jaką duszę musi mieć żona Uspieńskiego? Czyż mnie nigdy nie będzie danym wznieść się do tego poziomu? Zazdrościłem Popowowi, że zna tę kobietę, i nagle uprzytomniłem sobie, że i ja

<sup>300</sup>bojarzyn a. bojar — możnowładca ruski. [przypis edytorski]

<sup>301</sup>knut — bat, narzędzie chłosty używane w carskiej Rosji. [przypis edytorski]

<sup>302</sup>Eskulap (mit. rzym.) — zlatynizowana forma imienia Asklepiosa, greckiego boga sztuki lekarskiej. [przypis edytorski]

<sup>303</sup>Sokrates (469–399 p.n.e.) — wybitny filozof gr., żył i zmarł w Atenach, uprawiał filozofię i nauczał, wciągając do dyskusji przechodniów na ulicy. Wśród jego uczniów byli m. in. Platon, Antystenes i Ksenofont. Sokratesowi wytoczono proces o niewyznawanie bogów uznawanych przez państwo i demoralizację młodzieży. Został skazany na śmierć przez wypicie trucizny. Według Platona (dialog *Fedon*) jego ostatnie słowa przed śmiercią brzmiały: „Nie zapomnijcie koguta ofiarować Asklepiosowi!”. [przypis edytorski]

<sup>304</sup>Ksantypa — żona Sokratesa, której późniejsze źródła przypisywały niezdolny charakter. [przypis edytorski]

<sup>305</sup>Karamzin, *Nikołaj Michajłowicz* (1766–1826) — ros. pisarz, publicysta i historyk, reformator rosyjskiego języka literackiego; najważniejszy autor rosyjskiego sentymentalizmu, twórca powieści historycznych oraz apologetycznej *Historii państwa rosyjskiego* (12 tomów wyd. 1816–1829). [przypis edytorski]

przecież żyję wśród ludzi nie mniejszej chyba wartości. Przypomniałem sobie cichą i ma-  
łomówną Warię Torzecką, sięgającą po poświęcenie i spełniającą każdy obowiązek tak,  
jakby chodziło o rzeczy najprostsze, z całą naturalnością instynktu. Oni wszyscy zro-  
śnięci są istotnie z prawdą: są ludźmi w pełnym, całkowitym znaczeniu, ja jeden pośród  
nich tułam się i właściwie pozostaję chłodny. Bolały mnie wczorajsze myśli i wątplenia.  
Zrozumiałem też, że Nieczajew sięgnął tylko na chybi trafi naokoło siebie i zagarnął lu-  
dzi, którzy już byli naokoło niego gotowi, oczekujący tylko na taką elektryzującą iskrę.  
Tragedią Nieczajewa było to, że on nie rozumiał, nie czuł tych rozsianych naokoło niego  
sił. Był tak zamknięty w sobie, że nie mógł wyjść poza płomienne koło swej samotnej  
nienawiści i rozpaczy.

Usiłowałem wyobrazić sobie Popowa, Uśpińskiego przed sądem. Wiedziałem, że nie  
zabraknie im męstwa. I rozejdzie się po całej Rosji wieść o dumnych rękach, które wznio-  
sły wśród milczenia i kamiennej grozy sztandar buntu. Szukałem w samym sobie tej siły  
i zdawało mi się, że i ja byłbym ją znalazł. Jednocześnie pamięć przywodziła mi inne obra-  
zy: młodzieńców, którzy szli z Paryża, Metz, Anglii, Szwajcarii w paszczę potwora, choć  
lata całe wpatrywali się w jego okrutne, ołowiane oczy i zbadali całą głębię jego chłodne-  
go okrucieństwa. Przesuwała się przede mną ta krwawa girlanda polskich emigrantów.  
Kto wiedział o nich, gdy znikali tak, jak kamienie ciśnięte w wodę? Kto wie o tym, co  
czyni w tej chwili Popow? I kto wie, ilu ich jest niewiedzących o sobie? Nie pojmo-  
wałem, jak mogłem wczoraj dać się złamać i skruszyć myśli o naszym osamotnieniu. Ktoś  
ty jest, tragiczna siło, co dajesz moc wytrwania bez świadków? Ktoś ty jest, która żyjesz  
w bohaterstwie, męznym czynie, samotnej pracy mędrca? Prawda! Kto daje władze praw-  
dzie, gdzie jest siła jej? Potężne czucie, że człowiek zwalczy przeznaczenie. Chodziłem po  
ulicach i niespodzianie dla samego siebie znalazłem się o kilkadziesiąt kroków od księ-  
garni, w której odwiedziłem Uśpińskiego. Był przed nią jakiś ruch, stała jakaś dorożka.  
Nagle ze sklepu wyszło kilku ludzi w żołnierskich szynelach<sup>306</sup>, podbiegłem, mignęła mi  
przed oczami spokojna twarz Uśpińskiego, jego czarna broda. Dorożka ruszyła. Policjant  
rozpędzał zgromadzonych.

— Fałszywe pieniądze drukował — mówiła, przechodząc koło mnie, jakaś baba.

— Ni-ni — rzekł stróż — całkiem inna sprawa. Co ty tam wiesz, dobry pan był!  
Gdzie jemu pieniądze fałszować.

— Przechodźcie, przechodźcie! — krzyknął, widząc, że słucham. — Tu się zatrzy-  
mywać zakazano...

— Uszy, to oni nadstawiają uszy — słyszałem, jak mruczał, kiedym się oddalał.

Znajomych już więcej nie miałem. Dowiedzieć się nic nie mogłem niczego, chciałem  
wracać.

Coś mnie ciągnęło dowiedzieć się jeszcze o Popowa. Zacząłem iść w tę stronę; kiedym  
już zbliżał się do ulicy, na której mieszkał, dopędził mnie ktoś.

— Panie szanowny...

Obejrzałem się — przede mną stał Kasjanow we własnej osobie, głową dziwnie roz-  
czochną jak zawsze.

— Kaniowski, tak i jest — rzekł. — Ja za wami od samego sklepu Czerkiesowa idę.  
I myślę: on czy nie on? Tam dzisiaj jedna przykra sprawa stała się.

— Wiem — powiedziałem, nie myśląc o ostrożności.

— Takem właśnie myślał. Widzę, człowiek przygląda się, a teraz idzie w tę właśnie  
stronę. Myślę: zaczepić ryzykownie, a jak nie on? Nam dzisiaj po ulicach włóczyć się nie  
bardzo wypada, zasłilibyśmy gdzie, ja mam tu jedno miejsce, moi ludzie...

W mieszkanku, z pokoju i kuchni złożonym, zastaliśmy trzy osoby.

Za stołem siedział mężczyzna o wysokim czole i ślicznych, mądrych oczach. Młoda  
panienka w niebieskim fartuchu krzątała się koło samowara. W kuchni wysoki blondyn  
o wesołych oczach i rumianej twarzy dziecka przepłukiwał szklanki.

— Swój człowiek — rzekł Kasjanow. — Feliks Bołchowski, Tarutina, Martynow —  
przedstawił obecnych.

— Wzięli — rzekł, zwracając się do Bołchowskiego.

<sup>306</sup>szynel — mundurowy płaszcz wełniany, noszony przez wojskowych, policjantów oraz urzędników w Rosji  
w XIX i na pocz. XX w. [przypis edytorski]

Ten sponępniał.

— Szkoda. Szkoda. Jego szkoda szczególnie. I jej. Zadziwiający byli ludzie. Niestety tu zaszło jedno.

— Wiem — powiedziałem — widziałem się z Uspieńskim.

Bołchowski ożywił się.

— Cóż on?

Powtórzyłem rozmowę, powiedziałem także o Popowie.

— Zdumiewające, zdumiewające — powtarzał. — Popow, mieszanina Falstaffa<sup>307</sup> z Sokratesem. Prawdziwie nasza rosyjska kombinacja.

Rozgadaliśmy się.

— Myśmy się tu wszyscy Nieczajewowi przyglądali. On naokoło siebie wszystko rwał i miotał. Ambicja w nim straszna i coś dziwnego jeszcze. Tu, u nas, jak na wiosnę — nim śnieg stopnieje. Dziś nikt nie wie, co jest. Ale ziarna rzucono było wiele. I dojrzewa tam ono, dojrzewa gdzieś. Dobrze wsłuchać się w szmer, a usłyszysz, jak rośnie ono, dojrzewa młoda siła. Za dwa albo trzy lata, albo pięć nie poznamy tej naszej cichej, martwej Rosji, ale dziś.

Podano herbatę, teraz wszyscy siedzieli koło stołu.

— Ostatni raz chyba — rzekł Bołchowski. — Ot, oni — wskazał na młodych — do Zurychu jadą. Cała kolonia tam.

— Wy na przyrodę? — spytałem Tarutinej.

— Ja nie — odpowiedziała. — Medycyny chciałabym, nie wiem, czy zdążę, choć higieny trochę, akuszerii. Zapóźniłam się aż strach. Teraz pędzić będzie trzeba.

— Powinszować im można, pięć dni dopiero po ślubie.

Panienka rozgniewała się.

— Wy, Kasjanow, jak byliście, tak i umrzecie, mówiłam wam, nie śmieście żartować.

— No, i o co — rzekł wesoło blondyn. — Samo przez się rozumie się. Paszport był potrzebny, rodzice nie dawali, no i trzeba było ślub wziąć.

— A wy także do Zurychu? — spytałem Martynowa.

— Ja nie wiem jeszcze — zmarszczył brew — gdzie trzeba będzie. Może tylko powietrza chwycę i wracać będę.

— Zostaniesz, zostaniesz — rzekł Bołchowski. — Wracać czas będzie zawsze... Tu nie na jeden rok i nie na dziesięć będzie praca.

Zasepił się...

— Ilu jeszcze ludzi zginie, ilu ludzi. My wszyscy i dzieci nasze. Dziesięć wieków ona rosła, monarchia rosyjska, nie zmożesz w jedno pokolenie.

— Dajcie pokój — wzruszyła ramionami Tarutina — zaśpiewajcie lepiej co.

Popłynęła przeciągła, smutna pieśń.

— A po powrocie wy co? — zapytałem dziewczyny.

— Na fabrykę jako robotnica wstąpię albo na wsi gdzie osiedę...

Wracałem wieczorem odświeżony.

— A z wami, Kasjanow, co dzieje się? — spytałem.

— Nic dobrego — rzekł — ręce i nogi mam związane. — (Położenie jego było istotnie ciężkie: matka jego zwariowała. Ojciec nieboszczyk po pijanemu wracał do domu, co miał pod ręką, w głowę ciskał). — A i tak. Teraz co. Do szpitala nie oddam. Bić będą. Nie ścierpię, aby ją bili. W domu trzymam, spokojna ona jak dziecko, a ruszyć się ja już teraz ani tchnąć nie mogę. Siedzę na brzegu i patrzę, jak ludzie toną. A jakby mnie wzięli, co by się z nią stało? Na ulicę trzeba by iść żebrac pod kościół, póki by policja do żółtego domu nie oddała. Tak ja tu i siedzę. Głupio idzie życie, a nic głupszego nie ma, jak na boku stać i ludzi najlepszych widzieć, jak idą na zgubę. Kochani, najbliżsi ludzie. Tarutina na mnie dziś krzyknęła, jak słyszeliście. Ona zawsze tak: matką kto inny by się zaopiekował. Ale ona jak dziecko jest, moja staruszka, do ust nie weźmie nic, jak ja jej nie podam.

Pożegnaliśmy się.

Rano obudziło mnie stukanie do drzwi. To był Bołchowski.

<sup>307</sup> *Falstaff* — fikcyjna postać ze sztuk Szekspira o Henryku IV i w *Wesołych kumoszkiach z Windsoru*: stary, otępy szlachcic, rubaszny, gadatliwy i dowcipny opój. [przypis edytorski]

— Ledwo dopytałem się o pana — rzekł. — Kasjanowa wczoraj w nocy wzięli. Trzeba matką jego zająć się, potrzeba pieniędzy. Myśleliśmy, że może pan jest bogatszy, u nas sucho.

Pieniądzy miałem istotnie trochę.

Matkę Kasjanowa zatrzymała policja. Bołchowski usiłował wydobyć ją przez stosunki. Niechaj o matkę choć będzie spokojny.

Dzień przeszedł nam na różnych staraniach. O sprawie Kasjanowa nic oczywiście dowiedzieć się nie było można. Matkę jego przynajmniej udało się za pomocą różnych starań wydobyć. Jakaś pani odegrała rolę krewnej i wzięła ją na swoją odpowiedzialność. Starowina zresztą nie mogła stanowić żadnego niebezpieczeństwa. Była nad wszelki wyraz przerażona i patrzyła na nas łzawymi oczami zaszczutej sarny, gdy wieźliśmy ją z cyrkułu<sup>308</sup>. W cyrkułe znaleźliśmy ją pod opieką jakiejś pijanej baby. Siedziała ona nad staruszką i zawodziła żałośnie, popłakując. Miała podbite oko i wyglądała na wpół przytomnie. Staruszka jednak, gdyśmy ją brali, czepiała się rękawów swej opiekunki i płakała cicho. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej przejmującego niż te łzy cicho spływające po twarzy starego człowieka, bojącego się skarżyć głośno i opierać.

— Jedzie pani do Mitii — rzekła Tarutina.

— No, nie do Mitii, ale Mitia tak kazał — poprawił Bołchowski.

Staruszka spojrzała na niego.

— Mitia kazał — powtórzyła.

Od tej chwili nabrała do niego wielkiego zaufania.

— Nie należy nigdy chorym ani dzieciom kłamać — powiedział Bołchowski do Tarutiny.

Dziewczyna zaczerwieniła się.

— No, no, niech pani tylko nie rozpacza — pogładził ją po ramieniu.

— Zinaida Petrowna — rzekł do mnie — dwie noce nie spała. Za buciki pięć rubli zapłaciła. Wciąż rachunek robiła, ile dni żyć może chłopska rodzina za pięć rubli.

Widziałem, że Martynow spojrział na Bołchowskiego wdzięcznymi oczyma. Gdy tylko nie patrzyła ona na niego, nie spuszczał on z oczu swojej „ślubnej” żony. Natomiast, gdy zwracała się ona do niego, mamrotał tak niechętnie, że zrozumieć nie można było, o co idzie.

— Ofiarę poniósł — żartował Bołchowski — narzeczonej wyrzekł się i teraz patrzeć na Zinaidę Petrownę nie może. Znamy my wasze tajemnice.

Bołchowski miał podobno zaledwie trzydzieści lat, wyglądał jednak znacznie starzej i ludzie nie o wiele młodszy od niego zachowywali się wobec niego z tym nienakazanym naturalnym szacunkiem, który otacza, niby atmosfera, w środowisku uczciwych ludzi jednostki posiadające w sobie uznaną i przeczuwaną przez wszystkich moc moralną. Przekonałem się, że w pewnych otoczeniach dusze stają się jakby przejrzyste, jest to jednak zjawisko bardzo rzadkie. Każde słowo jego, każdy uśmiech miały dziwny urok. Jednocześnie z nikim innym nie czuło się tak swobodnym.

Zastałem wieczorem matkę Kasjanowa siedzącą na małym stołeczku przy jego fotelu, robiła na drutach jakąś robotę włóczkową.

— Matrena Pawłówna robi oto ciepły kaftan dla syna — powiedział Bołchowski, gdy wszedłem.

Staruszka uśmiechnęła się do niego i myślę, że nigdy zakochana kobieta nie może patrzeć na swego kochanka cieplejszym, bardziej promienistym spojrzeniem.

— Gdy skończymy kaftan, zaraz się go Mitii odeszle.

Opowiedział on matce Kasjanowa niemal całą prawdę. Zastosował się do jej pojęć, mówił jej, że Mitia jej nigdy nie mógł znieść nieszczęścia ludzkiego, że dużo jest na świecie biedy, że Mitia cierpi za to, że bronił biednych ludzi, ale że oni pamiętają o Mitii, dowiedzą się o nim; że człowiek, o którym tylu ludzi pamięta i którego tylu ludzi dobrze wspomina, nigdy nie może być nieszczęśliwy. Mówił, że Mitia jest pewny, że matka jego będzie spokojna i będzie czekała na niego, że on tam potrzebuje różnych rzeczy i jak on troszczył się o nią, tak ona teraz myśleć musi o nim.

<sup>308</sup>cyrkul — komisariat policji w Rosji carskiej i w zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

Słowem, zachował się wobec staruszki tak, jak gdyby była całkiem zdrowa, odgadł w niej skłonność do naiwnych, poetyckich marzeń, przybierających na wpół religijne, na wpół przeciętne życiowe, sentymentalne zabarwienie. Z jakimś niezrównanym, miękkim taktem powyczuwał zdrowe, dźwięczne struny tej duszy, umiał w kilka godzin uspokoić, a przede wszystkim przyzwyczać do siebie staruszkę.

Widziałem jednak, że musiało jeszcze coś zająć.

Zinaida Petrówna miała jak gdyby zapłakane oczy. Martynow mówił nienaturalnym basem.

Gdym wyszedł po coś do kuchni, usłyszałem głos Tarutinej.

— Teraz to jest nawet nieszlachetnie okazywać mi swoją niechęć.

Bolchowski śmiał się, kiedy wróciłem.

Po herbacie posługaczka przyniosła butelkę taniego szampana.

Tarutina spojrzała z wyrzutem na Bolchowskiego, miało to znaczyć: Kasjanow cierpi, a panu szampan w głowie.

Ale Bolchowski uśmiechał się tylko:

— Dla drogiego gościa — mówił, mrugając na mnie.

Nalano szklanki i Bolchowski, uśmiechając się filuternie, wziął za rękę Zinaidę Petrównę i Martynowa.

— No — rzekł — a teraz za zdrowie młodej pary. Daj wam Boże wiele, wiele szczęścia.

Martynow usiłował wyrwać rękę, Tarutina zdołała nawet wyrwać.

— No, i nie zabawni to ludzie? — zawołał Bolchowski. — Postanowili sobie fikcyjny ślub i każde robi ofiarę ze swej miłości. „Ja się nie narzucam”; gdybym nie znał was i nie widział, że wy i na serio gotowicie tak przejść obok siebie i słowa sobie nie powiedzieć, nie mieszałbym ja się w tę sprawę...

— To nie moja wina — usiłował tłumaczyć się Martynow — ja Bolchowskiemu ani słowa nie mówiłem i nigdy nie byłbym powiedział. — Chciał mówić jeszcze, ale Bolchowski wskazał mu oczami Zinaidę Petrównę.

Stała ona cała w płomieniach i patrzyła w swego fikcyjnego męża dziecinnymi, pełnymi szczęścia oczami.

Było dość wesoło tego wieczora. Sprawa Kasjanowa nie powinna była być zbyt groźna, zresztą każdy z obecnych był pewien swojej kolei. Staruszka pracowała i uśmiechając się, od czasu do czasu powtarzała: „Mitieńka”.

7

Pierwszą rzeczą, która mi się rzuciła w oczy na dworcu, gdym podjeżdżał — była twarz Żemczużnikowa. Wydał mi się bardzo zmieniony.

„Musiało się coś stać” — pomyślałem.

— Dobrze, żeś przyjechał — rzekł — na czwarty już pociąg wychodzimy.

— Stało się co?

— W domu powiem.

Nie bywaliśmy prawie nigdy w mieszkaniu Żemczużnikowa. Wiedziałem tylko, że mieszka dość daleko od nas wszystkich, u siostry.

Jechaliśmy długo dorożką.

Żemczużnikow milczał wciąż, ja czekałem w strasznym napięciu.

— Czy Brenneisen jest u ciebie?

— Nie — odpowiedział.

— Aresztowali? — zapytałem.

Spostrzegłem, że dolna warga Żemczużnikowa i broda trzęsą się.

— Aresztowany? — powtórzyłem.

— Brenneisen nie żyje — odpowiedział Żemczużnikow głucho.

Dzika myśl: „Niczajew” — przeszła mi mózg.

Dojechaliśmy wreszcie.

U Żemczużnikowa był i Jaszka z twarzą żółtosiną.

— Jak to się stało? — pytałem. — A cóż Waria? Mówcie prędzej.

Żemczużnikow powiedział coś, a raczej poruszył wargami.

— Waria Torzecka zginęła razem z Brenneisenem — rzekł Jaszka zdławionym głosem.

Żemczużnikow położył przede mną skrawek papieru.

List, Śmierć



„Towarzysze — czytałem na nim pismem Warii nakreślone wyrazy — żegnam was i ja. Przebaczcie mi, że i ja odchodzę. On mi pozwolił umrzeć z sobą. Wybaczcie mi, że opuszczam sprawę. Ja bez niego nie potrafiłabym żyć. Przyniosłam z sobą kwiaty i myślałam, że wy je znajdziecie później, ale wiem teraz, że tu do nas nie dopuszczają nikogo. On mi przyrzekł, że nie zginę z ich ręki, nawet wtedy, gdyby samej mi ręka drżała. Wybaczcie mi i nie żałujcie. Jaszka, wybacz, że śmiałam z ciebie żartować, ja, która teraz oto tak uciekam, i wy przebaczcie, Michał czarny i Michał biały. A ludu rosyjskiego nie proszę o przebaczenie, bo on nawet nie dostrzeże mej straty. Jeżeli kiedyś nadejdzie czas i wystawicie jemu posąg, to u kolumny złóżcie wiązanek kwiatów, a na jej wstędze wypiszcie me imię, jeżeli chcecie. Ja tylko z tego jestem dumna, tym się cieszę, że umrę z nim i z nim przeżyję te ostatnie długie godziny i że będę jeszcze patrzeć w jego twarz i jego oczy. Jakże mi żal, że nie wrócę powiedzieć wam, jak on zginął. Ale wy będziecie i tak wiedzieć, że wszystko, co czyni on, jest wielkie i święte. A teraz żegnam was wszystkich i całuję. Wszystkich was kochałam jak siostra i cieszę się, że wy będziecie żyć. Ale to mi wybaczcie, że wybrałam śmierć razem z nim. Ja wiem, że to jest z mojej strony wielka słabość i egoizm, ale ja nie ukrywałam nigdy, że mam mało serca i mało sił. Zresztą może i to podziała jako przykład, że dla kobiety rosyjskiej jest lepiej z takim człowiekiem jak on umierać, niżli żyć. I widzicie, że znowu napisałam głupstwo, bo umrzeć z nim jest zawsze i wszędzie szczęście. Powinno się takim umarłym na piersi ciskać wieńce; niechże zostanie o mnie chociaż taka pamięć, że ja, zwyczajna, biedna dziewczyna, poznawszy go, nie mogłam go przeżyć. Jestem tak szczęśliwa, że chciałabym śpiewać. Byłam pewna, że on wypędzi mnie i nie pozwoli umrzeć. A wtedy ja musiałabym sama i nie widziałabym jego oczu, i byłoby mi może trudno. Ja zawsze dotąd bałam się śmierci. I kiedy myślałam, że będę leżała w białej sukni w trumnie, łzy mi cisnęły się do oczu, a teraz jestem spokojna i liczę godziny. On mówi, że oni nie przyjdą przed nocą. Mamy jeszcze dużo, dużo czasu. Mamy przed sobą Szekspira i on czyta. Ale ja wolę, aby on mówił. Tylko mi żal, że tego już nie powtórzę nikomu. Teraz trzeba już skończyć, więc jeszcze raz proszę, nie myślcie o mnie źle, nie przestańcie mnie kochać, tak jak nie przestanę was kochać ja, a jeszcze o to was proszę: jeżeli wybaczycie mi, że sprawę zdradzam, to imię moje napiszcie u stóp jego posągu. Bo nic sama w sobie nie cenię prócz tego, że wolno mi tak upaść na jego mogile. Z całej duszy, z całej duszy ściskam was, życzę, byście dożyli wielkich, pięknych dni. A jeżeli Nieczajewa spotkacie, powiedzcie mu, że go pozdrawiam jak siostra, zza mogiły, że czuję i wierzę, że imię jego lud rosyjski zachowa w pamięci. A jeszcze mu życzę, aby mu los dał śmierć cichą i z sobą pojednaną. Brenneisen ściska was i każe dziękować, że was znał. Mówi wam, że Was bardzo i bardzo szanuje. Raz jeszcze całuję Was.

*Waria*

Brenneisen posyła pakiet, który oddać prosi Kaniowskiemu”.

Czytałem, nie wierząc swoim oczom. Słyszałem między wyrazami, którem czytał, własne łkanie.

Kiedym podniósł oczy, Żemczużnikow siedział blady jak trup i trząsł się. W oczach miał kamienny ból, a zęby zaciśnięte tak, że twarz cała nabrała jakiegoś kurczowego wyrazu...

— Pakiet Brenneisena jest — rzekł Jaszka.

— Co to jest, co to jest wszystko? — szeptałem.

I poznałem teraz dopiero to straszliwe: śmierć przyjaciół. Czulem pustkę dławiącą serce i ostrą, przeszywającą myśl, która szukała zemsty.

Podszedłem do Jaszki i wziąłem go za ramię...

— Nie darujemy im tej krwi — szeptałem. — Będziemy teraz myśleć dzień i noc. Dzień i noc będziemy zbierać siły.

Jaszka rzekł:

— Brenneisen zakazał mścić się... Czytaj.

Równym i silnym pismem skreślone były następujące wyrazy

„Towarzyszom, gdy się już zostaną sami i gdy panować będzie jeszcze nad nimi żal — przypomnienie.

Nas nie zabił wróg. Myśmy się zabili sami w dniu, w którym postanowiliśmy żyć dla szczęścia ludu. Od tej chwili nie mieliśmy już życia. Nie wolno wam przywiązywać się do nas. Proszę was na przyjaźń, jaką macie dla mnie, abyście żadnych planów nie stanowili, póki będzie wami rządzić nasza pamięć”.

Byłem jak w jakimś lunatycznym śnie. Nie wiedziałem teraz już, czy żyję sam. Wydało mi się, że to, co przeżywamy, jest jakąś legendą, spisaną gdzieś poza naszym czasem.

Żemczużnikow podniósł się i patrzył na nas natchnionymi oczami. Nie umiem użyć innego wyrazu dla określenia jego spojrzenia, jego bladej twarzy. Tak musieli patrzeć chrześcijanie w oczekiwaniu zwierząt w cyrku.

— Nie będę już myśleć o szczęściu, nie będę miał podwójnych myśli. Teraz wam powiem, że kochałem ją, marzyłem, że zostanie moją żoną, że zostanie nam przecież choć jakiś zakątek spokoju i własnego życia. Jakiś rok, pół roku, dwa miesiące, jakaś godzina w dniu. Marzyłem, że będę stał koło niej zawsze, że nie skończą się nigdy te nasze wieczory wśród ciszy. Pamięć moja chroni tysiąc uśmiechów jej, z jakimi podawała mi litery, gdy składała. Teraz nie będę już myślał o niczym innym, nie będę myślał o sobie. Mnie całego zabrała ona ze sobą, zabrała wszystkie marzenia moje i myśli, które nie należały do sprawy. Nie mam już domu, ale mam jej grób. I na to szczęście, które teraz czuję, zaklinam was, towarzysze, nie rozstawajmy się. Bądźmy zawsze złączeni, duchem skuci. Wybaczcie mi, że ja do was tak mówię, ja wiem, że wy nie wątpicie, ale ja czuję się taki szczęśliwy, tak nadmiernie szczęśliwy.

— On zaraz zemdleje — krzyknął Jaszka.

Podaliśmy mu wody.

Przeszło kilka godzin, zanim uspokoił się on i zasnął; wtedy Jaszka opowiedział mi, co się stało.

8

Tej samej jeszcze nocy po moim wyjeździe aresztowano Schultza. Nieczajew dał znać o tym Brenneisenowi, zawiadamiając go jednocześnie, że na jakiś czas wyjeżdża za granicę. Brenneisen zamknął się w mieszkaniu na całe popołudnie i jak się okazało, zniszczył wszystkie papiery. Na drugi dzień był u Żemczużnikowa, Jaszki i Warii; wszędzie domagał się, aby w jego obecności mieszkanie oczyszczono. Następnie zaczął ściągać pieniądze, jakie mogły mu się należeć; gdy zebrał przeszło sto rubli, doręczył tę sumę krawcom, swoim gospodarzom z żądaniem, aby opróżnili mieszkanie, i to koniecznie nazajutrz. Pomagał im nawet w wyszukaniu nowego lokalu i spakowaniu nędznych gratów; wieczorem wreszcie tego dnia oświadczył towarzyszom, co postanowił.

Schultz został wciągnięty do sprawy przez oszustwo. To, że następnie przekonał się o jej słuszności, jest właściwie okolicznością obciążającą. Obowiązkiem naszym jest nie pozwolić, aby cierpiał on i zginął za czyny, w których udział jego nie był własnowolny. Dlatego też Brenneisen postanowił zawiadomić prokuratorię, że on to właściwie był sprawcą czynów stanowiących przedmiot śledztwa.

— Czy sądzisz, że to pomoże Schultzowi? — rzekł Jaszka. — Rząd nabierze przekonania, że natrafił istotnie na rozgałęziony spis i będzie was trzymał tym dłużej.

— Mnie nie będzie trzymał — rzekł Brenneisen. — Mnie nie obchodzi rząd, ale sumienie własne.

List Brenneisena do prokuratora był ułożony mniej więcej w ten sposób:

„W tych dniach został aresztowany student Karol Schultz, za rozpowszechnianie proklamacji, które ja drukowałem. Znalaziono u niego ich całą paczkę, którą zostawiłem u niego ja sam, będąc wprowadzony w błąd przez kogoś, nazwiska czyjego nie wymieniam, co do przekonania i usposobienia

List, Śmierć, Buntownik

List, Buntownik, Pogarda

Schultza. Schultz nie wie nawet, co było tą okolicznością, która spowodowała tę tragiczną dla niego pomyłkę. Jeżeli sędzia, który go będzie badał, będzie miał trochę sumienia i iskrę rozumu, przekona się, że ma do czynienia w Schultzu z zupełnie uczciwym, lecz niezdolnym do jakiegokolwiek inicjatywy człowiekiem. Mam tak smutne przekonania o władzy, narzędziem której jest sąd rosyjski, że boję się, aby Schultzowi list ten nie zaszkodził, zamiast pomóc. Wiem, że pan, panie prokuratorze, wyczuje w nim prawdę, ale nie będzie pan śmiał w myśl swego przekonania postąpić. Pańskie sumienie przywykło już tak być poniewierane, że nie zaważy na nim i ta nowa nikczemność, całej rozciągłości której pan nawet nie pojmujesz. Gdybyś pan wiedział, jak głębokie obrzydzenie czuję dla ludzi stanowiących rząd rosyjski i dla ich nędzy moralnej, wiedziałbyś, że nazbyt wami gardzę, abym mógł wobec was kłamać. Podaję panu adres mojej potajemnej drukarni i mojego mieszkania. Zawiadamiam pana tylko z całą lojalnością, że najście policji spotkam z bronią w ręku i że żywym ona mnie nie dostanie. Jeżeli pozostało w panu coś z człowieka, proszę przyjąć wyrazy politowania, że dobrowolnie sam siebie skazuje pan na pełnienie tak nikczemnej i pogardy godnej funkcji.

*Aleksander Brenneisen*”.

Z podaniem dokładnego adresu.  
List miał być wysłany na drugi dzień rano.

...Spieraliśmy się z Brenneisenem całą noc. Waria tylko była dziwnie milcząca i odeszła już z wieczora.

Chcieliśmy zostać z nim, lecz nie pozwolił — oświadczył, że pójdzie w takim razie sam do prokuratora.

Nie umiem ci opisać, jakeśmy się z nim pożegnali.

Na drugi dzień około drugiej przybiegliśmy, lecz zastaliśmy drzwi zamknięte. Stukaliśmy, nikt nie odpowiadał. Wreszcie jakaś sąsiadka powiedziała nam, że młody pan dostał telegram i wyjechał rano do Moskwy.

Myśleliśmy, żeś ty telegrafował, że się coś stało, i cała sprawa pójdzie w odwłokę.

Tualiśmy się po mieście, byliśmy u Warii, lecz nie zastaliśmy jej w domu.

Wieczorem chodziliśmy jeszcze raz do Brenneisena: w oknach było ciemno. Nie wiedzieliśmy, czy Brenneisen wyjechał przed, czy po wysłaniu tego listu, obawialiśmy się więc kręcić po ulicy.

Przesiedzieliśmy w piwiarni do późnej nocy.

Wracaliśmy koło drugiej do domu.

Przechodziliśmy w pobliżu ulicy Brenneisena, gdy usłyszeliśmy strzały. Padały pojedynczo, to znowu całymi salwami.

Zimny dreszcz nas przeszył.

Podbiegliśmy, lecz już o parę ulic zatrzymał nas kordon policyjny. Nie puszczano nikogo tymi ulicami.

Strzały grzmiały.

Staliśmy wtuleni w mur jakiegoś domu, nadsluchując.

Raz, raz, raz — rozlegały się salwy.

Później cisza, dziwna cisza w mieście po strzałach, jak gdyby czająca się, wyczekująca, trwożliwa.

Potem padały znowu pojedyncze strzały.

Odpowiadały salwy, jedna, druga, trzecia — znowu cisza.

I znowu to samo.

Wreszcie — musiało być już koło piątej: byliśmy całkiem skostniali.

Cisza trwała długo, długo.

Nagle wpadły w nią trzy krótkie wystrzały, odpowiedziała salwa.

I wszystko umilkło znów.

W kilkanaście minut rozległo się miarowe stąpanie. Kilku oficerów przejechało w dorożkach.

Spojrzelśmy po sobie — było skończone, w te uliczki wojsko nie puszczało wciąż.

Był już dzień, kiedy usunięto kordon.

Przechodziliśmy niedaleko już od domu, gdy usłyszeliśmy, jak jakaś kucharka mówiła: „Młodziutka ona taka, leży cała w kwiatach, mówią”.

Mnie te słowa, jakby obuchem w głowę zwały. Żemczużnikow strasznie zbladł.

Siedliśmy w pierwszej dorożkę i pojechaliśmy do matki Warrii. Gdy skręcaliśmy już w jej ulicę, zatrzymała nas jej pokojówka, zapłakana.

„Niech panowie nie jadą, u nas policja. Ja wczoraj do pana z listem jeździłam. Nie-szczęście jakie, pani mdleje, mnie komisarz po doktora posłał”.

W domu Żemczużnikowa zastaliśmy list.

Zacząłem z zimną krwią rozpatrywać się w tych faktach:

— Aresztują nas jeszcze tej nocy lub lada chwila — rzekłem.

— Matka Warrii zna tylko moje i Żemczużnikowa nazwisko — powiedział Jaszka.

— To dość.

Trzeba było odbyć naradę wojenną.

— Nieczajew zostawił mi dwa paszporty na wypadek, gdyby jeszcze był czas posłać je do Moskwy — przypomniał sobie Jaszka i sięgnął do pugilaresu Żemczużnikowa.

Paszporty były dobre, zawizowane i całkiem w porządku.

— Musicie zniknąć stąd — zdecydowałem — zajechać do jakiego hotelu, przeczekać parę dni, nim dostanę pieniędzy, i przedostać się za granicę.

— A ty? — spytał Jaszka.

— Do mnie policja ma dalszą drogę, postaram się jakoś przelawirować i pojedę za wami.

Nie tak łatwo było nam przekonać Żemczużnikowa, że trzeba się ukryć. Parę godzin czasu zabrało strzyżenie się, przebranie, manewrowanie po mieście dorożką z walizkami. Wreszcie, umieściwszy przyjaciół w hotelu, zostałem sam.

Pieniądze nadeszły na drugi dzień telegraficznym przekazem.

Z bólem myślałem o tym, jak tłumaczy sobie ojciec to moje nieustanne szturmowanie o pieniądze.

W nocy tegoż samego dnia Jaszka i Żemczużnikow jechali już w stronę Wierzbołowa.

Wróciłem do domu zmęczony. Po raz drugi odczytałem przesłany mi przez Brenneisena zeszyt, coś w rodzaju jego pamiętnika.

Nagle zadzwoniono u wejścia; dzwoniono od razu z frontu i do kuchennych drzwi mojej gospodyni.

Zapaliłem świecę i w tej samej chwili drzwi od mojego pokoiku zostały wyrwane raczej z zawias niż otwarte.

Dwóch żandarmów schwyciło mnie za ręce.

Niewidzialny oficer komenderował z korytarza.

Wreszcie wszedł wysoki mężczyzna o czerwonej twarzy i wielkich bakenbardach<sup>309</sup>.

— Trzymajcie go! — wołał, nie zdejmując czapki.

— Nie chcę ani uciekać, ani się bronić, nie ma powodu mnie więc trzymać.

— *Malczat!*<sup>310</sup> — krzyknął dygnitarz. — *Nie razsużdaj!*<sup>311</sup> Ja dostałem całkowite pełnomocnictwo, ja mogę użyć siły zbrojnej.

— Oni przecież nie stawiają oporu — odezwał się jakiś cywilny jegomość, wskazując na mnie.

— Ja bym jemu pokazał opór. Całe szczęście tego lotra na Galernej ulicy, że umarł, już ja bym mu...

<sup>309</sup>*bakenbardy* — bokobrody. [przypis edytorski]

<sup>310</sup>*Malczat!* (ros.) — milczeć. [przypis edytorski]

<sup>311</sup>*Nie razsużdaj!* (ros.) — nie dyskutować. [przypis edytorski]

Tymczasem pan w cywilnym schwycił już w swoje szpony kajet<sup>312</sup> Brenneisena i twarz jego nabrała wyrazu jakiejś lubieżnej radości. Spojrzał na mnie prawdziwie przyjaznym uśmiechem.

— Niechże pan każe przecież puścić ręce łaskawego pana, panie komisarzu. Ręce mają ciężkie... — Jak gdyby tłumaczył się przede mną. — My jesteśmy wszyscy tymi zajściami trochę podenerwowani... Trzecia noc... A tam trzeba było szturm przypuszczać. Dzielny człowiek był pański przyjaciel. Wojskową karierę mógłby zrobić, a literaturę, widzę, trudnił się.

Milczałem.

Przystąpiono do rewizji.

Pomiędzy innymi rupieciami znaleziono bilet mego krewnego Ignacego Kaniowskiego — tajnego radcy. Bilet zaczynał się od słów: „Drogi kuzynie”.

— To jest jego ekscelencja starszy kontroler Kaniowski? — spytał komisarz.

— Tak jest.

Komisarz zdjął czapkę.

Po chwili poczęstował mnie papierosem.

Odmówilem.

— W zdenerwowaniu nie smakuje — rzekł. — Nieprzyjemność taka. Z serdecznym bólem szedłem tu do pana, wiem przecież — młodość.

— Trzeba protokół pisać — rzekł cywilista<sup>313</sup> — znaleziono rękopis, oczywiście pióra nieżyjącego przestępcy Brenneisena.

Twarz komisarza spoważniała.

— U... u... — zamruczał.

— Nie podchodzić do okna! — wrzasnął na mnie.

— Krzeselko podać wielmożnemu panu — rozkazał pan cywilny.

Ceremonia była skończona.

— Do cyrkulu tymczasem — mówił cywilny pan — ja tymczasem skoczę z raportem.

Wsadzono mnie do dorożki. Razem ze mną wsiadł komisarz i jeden żandarm. Drugi żandarm siedział na koźle.

— I to jest pański stryj, ekscelencja? — pytał komisarz.

— Mąż mojej ciotki — rzekłem.

— Chyba że tak — pocieszył się.

W cyrkule wprowadzono mnie do jakiegoś pokoju, który musiał służyć za archiwum, tak cuchnęło w nim kurzem i zbutwiałym papierem. Zamknięto drzwi na klucz i pozostawiono mnie samego.

Położyłem się na kanapce i usiłowałem drzemać. Musiało być koło trzeciej w nocy.

Obudził mnie jakiś szmer.

Ktoś otworzył drzwi, nie te, którymi mnie wprowadzono, lecz jakieś inne.

Cichutko, skradając się na palcach, wszedł jakiś człowiek, sądząc z wyglądu, drobny urzędnik. Wszedł, trzymając w ręku świecę, którą osłaniał od wiatru drugą ręką.

Wszedłszy, postawił ją na stole i zaczął coś majstrować koło szafy. Po chwili otworzył ją i wydobyl jakiś plik aktów<sup>314</sup>.

W tej chwili spostrzegł mnie — udałem, że śpię. Urzędnik podszedł do mnie bliżej, poświęcił mi świecę w same oczy, usiłowałem się nie uśmiechnąć, poruszyłem się tylko niespokojnie, jak czynią to ludzie śpiący.

Przybysz uspokoił się, siadł koło stołu i delikatnie scyzorykiem zaczął w aktach wyškrobywać jakieś cyfry.

Czegoś brakowało mu jednak, gdyż kręcił głową.

Po chwili podszedł do drzwi, przez które wprowadzono mnie — były zamknięte.

Słyszałem, jak zaklął.

Wziął świecę i przystawiwszy do zamku drzwi, patrzył, czy tkwi w nim klucz.

Klucza nie było widocznie, gdyż po chwili wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi. Wiedziałem, że wróci, i bałem się poruszyć. W głowie rodziły się niejasne myśli.

<sup>312</sup>kajet (daw.) — zeszyt. [przypis edytorski]

<sup>313</sup>cywilista (daw. gw.) — cywil, osoba nienależąca do uzbrojonej formacji mundurowej; dziś: specjalista prawniczy, znawca prawa cywilnego. [przypis edytorski]

<sup>314</sup>aktów — dziś w tym znaczeniu („dokumenty”) D.lm: akt. [przypis edytorski]

Po długiej, długiej chwili urzędnik wrócił, w ręku trzymał pęk kluczków.

Znowu podszedł do mnie, nad słuchując. Przekonał się, że śpię, podszedł do drzwi i po paru próbach otworzył je. Po chwili wrócił po świecę. Słyszałem, jak szedł na palcach przez jeden, drugi, trzeci pokój. Gdzieś bardzo daleko słyszałem ciche, skrzypiące kroki. Potem szmer jakby odsuwanej krzesła — i wszystko ucichło.

Zerwałem się i nacisnąłem drzwi, przez które wszedł nocny gość.

Ustąpiły bez szmeru, znalazłem się w jakimś mieszkalnym pokoju, jadalni, o ile można było sądzić w słabym świetle, które płynęło prawdopodobnie z lampki nocnej, palącej się w sąsiednim pokoju.

Na wprost mnie były otwarte drzwi, prowadzące, jak się zdawało, do jakiegoś przedpokoju czy sieni.

Bąłem poruszyć się, ale nie było wyboru.

Zrobiłem krok, podłoga strasznie skrzypnęła.

— Filip Aleksiejewicz — odezwano się z sąsiedniego pokoju, gdzie była lampka — cóż po ciemku łazisz jak kot? Klucz od komórki jest w sieni, przy drzwiach.

Stąpiłem teraz już odważnie.

Namacałem drzwi i klucz w zamku, na wieszadle<sup>315</sup> wisiało palto i czapka z gwiazdką. Bez namysłu ubrałem się w nie i otworzyłem drzwi, z niewypowiedzianą radością zobaczyłem schody. Zbiegiem z nich i z bijącym sercem pociągnąłem dzwonek na stróża.

Wyszedł policjant, zobaczył urzędową gwiazdkę i przyłożywszy palec do czapki, otworzył bramę.

Gdy usłyszałem poza sobą jej trzask, musiałem powstrzymać się, aby nie zacząć biec pędem, skręciłem w pierwszą boczną uliczkę, potem w jakąś inną szeroką. Na jednym z rogów ominęła mnie dorożka, w której siedział ów cywilny jegomość z jakimś oficerem.

Na ich widok mało nie parsknąłem śmiechem.

— Będzie scena godna Gogola<sup>316</sup> — pomyślałem — kiedy ci tam dojadą.

Wasyli Andrejewicz miał rację: rosyjska konstytucja ma swoje dobre strony.

Położenie pomimo to nie należało do najweselszych. Przy rewizji odebrano mi wszystkie pieniądze, w kieszeni palta też nie znalazłem ani grosza. Była noc dżdżysta i chłodna. Przechodziłem z jednej ulicy na drugą, starając się jak najdalej trzymać od tej części miasta, w której mieszkałem. W myśli dokonywałem przeglądu znajomych, do których można by się było zwrócić. Wyobrażałem sobie minę, jaką zrobiłby mój stryj ekscelencja, gdybym zjawił się u niego jako zbieg z aresztu. Nie było jednak łatwą rzeczą w ogóle coś wymyślić. Znajomych mieliśmy mało i nie wszyscy wzbudzali zaufanie. Policja zresztą robiła co noc mnóstwo rewizji i można było wpaść z deszczu pod rynnę. Tej nocy całe miasto było jak las otoczony przez naganiaczy. Byłem zmęczony i zziębnięty. Przychodziło mi do głowy po prostu wrócić.

Noc zdawała się nie mieć końca.

Przeszedłem już nieskończoną liczbę ulic i uliczek, a wciąż było tak samo ciemno i żaden ruch nie zwiastował budzącego się dnia.

Chłodny wiatr od Newy bił szronem w twarz. Wydawało mi się, że błędę już nieskończenie długo po tym zmarzłym kamiennym mieście. Latarnie majaczyły wśród chłodnej mgły.

Myślałem, po co tu jestem?

A jednocześnie, czy jest takie miejsce i taka pozycja, w których by nie istniało to pytanie: po co?

Myślałem o tych samotnych, którzy marli w śnieżnej Syberii lub na wygnaniu paryskiego bruku, myślałem o tych wszystkich duszach, które męczyły się w tym kamiennym petersburskim piekle.

Myślałem o Krasińskim i Mickiewiczu.

Zbudziła się we mnie straszliwa tęsknota za Polską. Niechby ktokolwiek bądź i niechby cokolwiek bądź mówił, byle w naszej rozslonecznionej, uśmiechniętej mowie.

Po co ja jestem tu?

<sup>315</sup>wieszadło (daw.) — wieszak, mebel z kółkami a. haczykami do zawieszania ubrań. [przypis edytorski]

<sup>316</sup>Gogol, *Nikolaj* (1809–1952) — rosyjski pisarz, publicysta; sięgał po groteskę i fantastykę; jego satyryczna twórczość miała wpływ na rozwój realizmu krytycznego; najwybitniejsze dzieła to komedia *Rewizor* (1836) i powieść *Martwe dusze* (1842). [przypis edytorski]

Ale myśl nieubłagana i chłodna nie ustępowała i na pytanie odpowiadała pytaniem: więc gdzie?

I znowu pytała chłodnym, geometrycznym wzrokiem.

Jedną za drugą rozbijała odpowiedzi, aż pozostawał samotny człowiek, sam jeden z własną odpowiedzialnością, w mrocznym, mroźnym świetle granitu i nocy.

Wiatr bił mi w twarz, wydawało mi się, że zespala się on z chłodem myśli.

Sam jesteś na wieki, zawsze sam. Przyjdzie godzina, kiedy odpadną od ciebie twoje czyny, twoje słowa i twoja wiedza i pozostaniesz sam z wieczną nocą — nagi, dygocący szkielet.

Więc po co?

Trzęsąc się z zimna, byłem już sam na własnej mogile. Myśl tylko unosiła się tu z wiatrem ponad kamiennym pustkowiem.

Z sobą nie weźmiesz nic — wszystko zostawisz: czego chcesz?

Rzecz dziwna — teraz nie bałem się śmierci: była mi tak bliska i powszednia jak wiatr, kamienie i czarna woda kanałów. Jak latarnie w wodzie, przeglądała się w niej myśl moja chwiejna i migotliwa jak te świetlane majaki.

Nie zabierzesz z sobą nic? Chcesz wrócić do pól słonecznych?

Stary ojciec przytulił cię do pocziwych piersi, nie będzie cię już budził żal, kłujący w serce.

Nie istniało dla mnie to wszystko.

I on, i ty śpicie w zmarzłej ziemi, nie ma was: czy nie wszystko jedno?

Czegóż chcesz?

Czy ci nie wszystko jedno?

Bohater czy tchórz, tak samo leżeć będziesz: kość martwa, na wszystko obojętna.

Czy ci nie wszystko jedno?

Nie ma nic, dla ciebie nie ma nic, nie ma nic dla nagiego człowieka.

Wiatr głuchy, czarny wiatr dmie nad czarną ziemią.

Nikt nic nie widzi, nic nie słyszy.

Ja jestem — odpowiedział głos.

Kto jesteś ty?

Myśl?

Jak świecę na wietrze płonąca zgasi cię śmierci ciąg. I cóż ty jesteś?

Ja jestem i zostanę: czarna bezoka moc, co wszystko schłonie.

I ja — odpowiedziała myśl — do niczego nie przyłożę rąk, co nie ostoi się wobec mnie. Jestem sędzia.

Czarne domy patrzyły na mnie jak skały ciśnięte tu przez los.

Serce moje, zziębłe i martwe, leżało jak kamień. Ktoś mocny i zimny szeptał szalone słowa... Sam chcę żyć, chcę rządzić, to tylko zostanie, co ja stworzę...

Szydziło czarne milczenie.

W kazamaty<sup>317</sup> zajrzyj, gdzie pod oknami szumi czarna Newa<sup>318</sup>; tam rządzi ślepe przeznaczenie.

Przeminiesz.

Chłodny wiatr dmie i porywa duszę. Przeminiesz.

Miedziany jeździec<sup>319</sup> patrzył na mnie z wyżyny złomu<sup>320</sup>.

Gmach zbudowałem, co przestoi wieki<sup>321</sup>. Na kościach zbudowany, w których tłukły się kiedyś ludzkie serca.

<sup>317</sup>kazamaty — podziemne cele w ciężkim więzieniu. [przypis edytorski]

<sup>318</sup>Newa — rzeka w Rosji, wypływa z jeziora Ładoga i uchodzi do Zatoki Fińskiej w Sankt Petersburgu. [przypis edytorski]

<sup>319</sup>Miedziany jeździec — pot. nazwa pomnika Piotra I w Petersburgu, jednego z symboli miasta. Został odsłonięty w 1782 dla upamiętnienia założyciela miasta. Posąg jeźdźca umieszczony jest na ogromnym postumencie wykonanym z granitowego głazu narzutowego. Jego nazwa upowszechniła się za sprawą poematu Puszkina *Jeździec miedziany* (*Медный всадник*, wyd. 1837), zainspirowanego pomnikiem. [przypis edytorski]

<sup>320</sup>złom — odłamek, blok skalny. [przypis edytorski]

<sup>321</sup>Gmach zbudowałem, co przestoi wieki — nawiązanie do słów rzym. poety Horacego (*Pieśń III*, 30): „Stawilem sobie pomnik trwalszy niż ze spiżu...” (tł. L. Rydel), oraz do faktu, że Piotr I nakazał zbudować miasto Sankt Petersburg, swoją nową stolicę; *Na kościach zbudowany*...: Petersburg zaplanowano na podmokłym gruncie, jego wybudowanie kosztowało życie tysięcy ściągniętych do przymusowej pracy robotników. [przypis edytorski]

Czaszkami, siedliskiem myśli — brukowałem drogi.  
I któż ty jesteś, przechodniu?  
Jestem sam.  
Gdzie Bóg twój?  
Nie mam Boga, stoję na wicherze, sam wśród nocy.  
Gdzie ojczyzna twoja?  
Nie jestem związany z żadną częścią ziemi, nawet z tą, która weźmie moje ciało.  
Kto jesteś?  
Człowiek — człowiek tylko.  
I mówiłem sam do siebie w tę czarną noc.  
Nie dasz życiu, aby skradło tobie ciebie, aby z twojego serca, twojego mózgu budowało,  
co zechce.  
To tylko będziesz czynił, co sam zechcesz.  
Więcej nic.  
I spokojnie uragałem nocy, uragałem chłodnemu rankowi, który wstawał.  
Leżeć będę pośród was, kamienie, nic nie wezmę z sobą, ale też nic nie oddam.  
Jestem sam, nie proszę cię, nocy, byś mi gwiazdami świeciła.  
Nie proszę cię, wietrze, byś mi nie oślepiła oczu.  
Nie proszę was, kamienie, by w was biło serce.  
Sam jestem i młot trzymam w ręku.  
Godzę w samą twą pierś, czarna, twarda nocy.

9

Znałem w Petersburgu pewnego staruszka.  
Znał on jeszcze mojego ojca za jego młodych czasów. Mieszkał on tu, z emeryturki  
jakieś żyjąc i z przepisywania nut.  
Byłem u niego wkrótce po przyjeździe. Potem parę razy. Stary był małomówny i w so-  
bie zamknięty. Miało się wrażenie, że mieszka on sam w sobie, doskonale przed światem  
zaparty<sup>322</sup>. Pokój jego był nagi jak cela, od celi mniszej różnił się tylko brakiem krzyża.  
Postanowiłem teraz pójść do pana Fiediuszki.  
Wiedziałem, że wstawał rano i że niedobrze jest mi włóczyć się za dnia po ulicach.  
Kiedy zastukałem do drzwi, otworzył mi sam, ubrany już w swoją siwą bekieszę<sup>323</sup>  
i futrzane buty. Był taki sam, jak zawsze, wysoki i poważny, siwizną niby soplami lodu  
obmarzły.  
W jego oczach nie było zdziwienia, gdym wszedł.  
— Siadaj — rzekł.  
Spostrzegł, że drżę z zimna, i wyjąwszy jakąś butelkę, nalał mi duży kieliszek mocnej,  
starej wódki. Potem przyniósł kawałek chleba i sól.  
Powiedziałem mu, co mnie tu sprowadza.  
Twarz jego nie poruszyła się.  
Zapytałem się go, czy moja obecność nie jest może mu na rękę, wspomniałem o nie-  
bezpieczeństwach.  
Wzruszył ramionami.  
— Głupiś — rzekł krótko. — Siedz sobie i ostań. Tu cię pewno szukać nie przyjdą.  
Sebastopolski<sup>324</sup> żołnierz jestem — mówił — i brałem pałki. Medale ich dwa czy trzy  
mam i krzyż zasługi. W lazarecie<sup>325</sup> całował mnie brat cesarski w twarz.  
— Nie wiedziałem o tym, że służył pan.  
— Z kantonistów<sup>326</sup> ja — mówił stary — cara Mikołaja. Po trzydziestym pierwszym  
roku z bratem my wzięci byliśmy dziećmi. Brat zmarł i rzucono go w śnieg pod Pskowem.

Gospodarz

<sup>322</sup>zaparty (daw.) — zamknięty. [przypis edytorski]

<sup>323</sup>bekieszka (z węg.) — daw. strój męski, płaszcz podszyty futrem, wcięty w talię, ozdobiony szamerunkiem. Źródłosłów węgierski odwołuje się do nazwiska Kaspra Bekiesza, dowódcy węgierskiego w służbie Rzeczypospolitej. [przypis edytorski]

<sup>324</sup>sebastopolski żołnierz, dziś popr.: *sewastopolski* — żołnierz, który brał udział w ciężkich walkach w obronie oblężonego Sewastopola podczas wojny krymskiej (1853–1856). [przypis edytorski]

<sup>325</sup>lazaret — wojskowy szpital polowy. [przypis edytorski]

<sup>326</sup>kantonista — chłopiec wychowywany w tzw. szkołach kantonistów do służby w Armii Imperium Rosyjskiego; po ukończeniu szkoły kantonści byli obowiązani do odświeżenia w wojsku, tak jak inni poborowi,



Jam przeżył. Pałkami mnie bito — nie byle jak. Życie jakoś pozostało i żyje sobie człowiek, żyje.

Pytałem, czy nie tęskni do Polski.

Wzruszył ramionami.

— Byłem — rzekł — w sześćdziesiątym trzecim roku byłem. W partii<sup>327</sup> byłem pod Sierakowskim<sup>328</sup>, potem sam chodziłem z partią. Potem wróciłem tu; myślałem: zwiedzą się — kulą w łeb, a nie zwiedzą się...

Nic się nie zwiedzieli. Po emeryturę ją przyszedłem, patrzy się piszczyk<sup>329</sup> w ślepiea i pyta:

„A cóż to pięć miesięcy wcale nie zachodził?”

„Jak to nie zachodził? — mówię. — Zachodziłem i pieniądze brałem”.

I patrzę mu w oczy, i nie mrugnę.

„To kwity się musiały gdzieś zapodziać — powiada — ale kiedy braliście, to i nowe kwity wydać możecie”.

„I nowe kwity wydać mogę” — mówię.

I tak się skończyło. A do Polski to ja już nie wrócę. Bagnet ja w partii pod nogi rzuciłem, kiedy mi chłopą wieszac kazali — w Łomżyńskim było.

„Szpieg był” — mówią.

Mnie samego dość pałkami bili: pańskość całkiem ze mnie wytlukli.

„Nie powieszę — mówię — i dostępu nie dam”.

„Zdrajca on! — krzykną na mnie. — Ojczyznę, naród zdradza”.

„A jego to ojczyzna i naród ten mało razy zdradzali? Jaka to jemu ojczyzna? Co miał on? Pański kańczug i pańską łaskę, gdy córkę miał ładną. Jemu wy, wasza ojczyzna i car — wszystko jedno. Jak wyście z nim mówili, wam co był on? Wyście jego w d... bili? No, to on teraz i ma was w d...”

Oficer mnie wtedy szablą po głowie ciął, zem na placu bez życia został.

Chłopi później podnieśli mnie i ocucili, tamtego zaś powiesili taki<sup>330</sup>. I w tejże wsi ja później partię zebrałem. No, i strzelaliśmy Moskali po tych łomżyńskich bagnach a myszyńskich puszczech. Nazywali mnie w partii: Widły. I pod sąd mnie pod tym nazwiskiem rząd narodowy oddał i za zbója uznał.

A taki oto był mój rozbój.

Był tam niedaleko od Myszynca folwark; i pan tam mieszkał młody. Prawdziwy szlachcic. Partiom on podobno różne oddawał usługi. Tylko raz nocujemy my we wsi, aż tu wali mi się do nóg baba. Córkę, powiada, jej na pokojówkę zgodził. U siebie trzyma. Dziewczyna jak łania piękna, spodobała się panu.

Mówię:

„Jeżeli po dobrej woli ona tam, przeszkadzać nie będę”.

Idziemy my przed folwark.

Pan przyjmuje: stoły zastawia. Nie boi się nic.

„Tak, to tak — mówię — a gdzie jest Zuzia?”

„Nie twoja rzecz” — powiada.

Mówię krótko:

„Paniczku, będzie źle”.

On się śmieje.

„Odkądże to z dziewczyną żartować nie można?”

„Z hrabiankami sobie żartujcie!” — krzyknę. A sam mówię do chłopców: — „Wiązać go, a dom przeszukać”.

A domu przeszukiwać wcale nie było potrzeba.

Wybiegła dziewczyna i w płacz.

Chłop

Kobieta, Pan, Chłop,  
Książdz, Seks, Przemoc,  
Kara

25 lat; zgodnie z dekretem carskim z marca 1831 dzieci powstańców listopadowych miały być traktowane jako kantoniści i kierowane do specjalnych batalionów wojsk rosyjskich. [przypis edytorski]

<sup>327</sup> *partia* — w okresie powstania styczniowego: powstańczy oddział partyzancki. [przypis edytorski]

<sup>328</sup> *Sierakowski, Zygmunt* (1827–1863) — polski generał, działacz niepodległościowy, dowódca powstania styczniowego na Żmudzi, naczelnik wojenny województwa kowieńskiego; ciężko ranny w bitwie, został ujęty do niewoli, powieszony w Wilnie. [przypis edytorski]

<sup>329</sup> *piszczyk* (daw., lekcew.) — pisarczyk; niższy urzędnik kancelaryjny, kancelista. [przypis edytorski]

<sup>330</sup> *taki* (reg.) — jednak. [przypis edytorski]

„Spoił mnie i wziął, ja jemu do nóg na rano padałam, by mnie puścił, ale zamknął mnie; wieczór nadszedł, znowu się mną cieszył. A na drugi dzień przyjechał przyjaciel jego, ksiądz wikary z Olszanki, to on mnie księdzu... do pokoju niby ze szklanką wody posłał”.

Mówię ja paniczykowi tak:

„Oto będę tobie swat, a to druźbowie, a ślub da choćby sam olszański ksiądz”.

A on mi tylko jedno krótkie słowo powiedział.

Wtedy ja nad nim ustanowił sąd.

Siedli za stołem nasze chłopcy. On — nie będę przeczył — odważny był:

„Chamy wy — mówił — od wieków wy jałówki pańskie w posagu bierzecie”.

Tedy my jemu ogłosili wyrok.

Pod stodołą postawili: i pal!

Na próżno się Zuzia czepiała naszych rąk.

„No, a teraz — mówię — chłopcy, do Olszanki”.

Pojechaliśmy pod plebanię. Zuzię wzięliśmy na wóz.

Ksiądz wikary jeszcze spał, organista budzić nie chciał.

„My tu jego przyjechaliśmy na mszę wołać” — i stukamy do okna.

Wyszedł ksiądz.

„Poznajesz tę dziewczynę?” — mówię.

A on w krzyk:

„Precz, chamy, ja ojciec duchowny”.

Z nim my już tam długo nie gadali. Lipa stała przed domem: tak on i został na tej lipie.

Takie to były moje czyny zbójckie — mówił stary.

— Nie, nie pojedą ja już do Polski. Kościoły tam i księża, panowie i księża. Nic. Siedli chłopu na szyję i krzyczą: ojczyzna.

Gdybym ja młodszy był — mówił — poszedłbym znów może, a nauczył ludzi na sztorc stawiać widły i kosy, a puścić czerwonego kogutka<sup>331</sup>. A tak — nie.

Zjecie wy tę Polskę jak wszy, jasne pany — rzekł, zwracając się do mnie. — Świętych obrazków wszędzie na wieszali: Matka Boska Częstochowska i Ostrobramska, Królowa Polska. Ona patrzy z góry, jak chłopu biją, a on modli się i z rozkrwawionym pyskiem klęczy, a w piersi się bije. Mnie tam co! Nie doczekam ja już niczego. Tu przynajmniej siedzę sobie jak na pustyni.

A ciebie — zapytał od niechcienia — za co oni dziś, za jaśnie państwo polskie wzięli?

— Nie — odpowiedziałem.

Wysłuchał.

— Te... — zdziwił się.

Po chwili zaś rzekł:

— Słuchaj ty, co ci powiem, albo nie słuchaj. Ty sam sobie w sumienie dobrze patrz i pytaj, czy ty za śmierdzącego chłopu ginąć chcesz, czy za tę, co w częstochowskiej koronie?...

Nie śmiałem mu odpowiedzieć krótkim i jasnym słowem, ale on zrozumiał mnie widać.

— Jakby się oni tej chłopskiej Polski nie bali, jakby oni stanęli sami do roli, jakby im nie hetmaństwa, kasztelaństwa pachniały, to jakim stary, mówię ci, i w nic niewierzący, już by na naszej ziemi nikt nami nie rządził.

Ale gdzie!

U nas chłop rozumu łyknie, już szlachcic, Żyd pejsy obetnie, już zaraz o Paniencie Przenajświętszej gada.

Napatrzyłem się.

Odwagę widziałem ja i krwi serdecznej oddanie — a myśli ludzkiej nie widziałem. Hej, hej, gdyby Polacy nie byli pany, gdybyście z siebie tę szlachetność zzuli.

A teraz ty co?

— Za granicę — powiedziałem — jadę.

Stary zagwizdał.

Pan, Ksiądz, Chłop,  
Ojczyzna

Pan, Chłop, Matka Boska,  
Przemoc

Szlachcic, Chłop, Żyd,  
Matka Boska, Pan

<sup>331</sup>puścić czerwonego kogutka — wznieść pożar, podpalić. [przypis edytorski]

— Tęsknić, cierpieć, bólem za ojczyznę się spalać.  
— Nie — odpowiedziałem.  
— Więc po co?  
— Przyjrzyć się, co tam jest, jak tam się ludzie z podziemia rwą, i wrócić.  
— Wrócisz? — zapytał stary.

Popatrzyłem mu w oczy. Stary pokręcił głową.

— Kto was tam wie, kto was tam wie! Fantazja w was pańska. Ale jeżeli ty o śmierdzącym, czarnym człowieku zapomnisz, o tym, co jak bydlę mrze, to niech ci będzie wstyd, żeś ty mnie starego na próżno ucieszył. Nie wierzyłem ja wam nigdy — polska szlachta. Duszę wyście mi całkiem wyjedli i zżarli. W sześćdziesiątym trzecim właśnie roku.

Ja do nóg padałem różnym panom.

Krzyknąć na całą ziemię: chłopci, imać<sup>332</sup> się ziemi, ziemię brać, a potem nie dać sobie wyrwać.

Oni się byliby i Murawjewa nie zlekli.

Stary pobladł. Wzrok jego stał się ostry i kłut jak widły.

— Mnie sam generał wtedy, pan Mierosławski Ludwik, do Rosji posłać chciał:

„Tam — powiada — niech oni noże ostrzą. Niechaj się rząd ze swoimi muzykami<sup>333</sup> zatrudni”.

I powiedziałem ja wtedy temu panu prosto w twarz:

„Mnie razem z muzykiem tym kijem bili, my razem z nim głód, nędzę cierpieli. Ja jemu nie zdrajca, lecz brat”.

On szedł do mnie później i rękę chciał ścisnąć:

„Panie Widły” — mówił.

Ale ręki ja jemu nie dałem:

„Panie jenerale — mówię — ja cham, a pańska ręka biała, pan sobie o moją muzycką rękę dłoń zbrudzi...”

Gdybyście nie byli wy pany, gdyby się tam poruszyła masa siermiężna<sup>334</sup>, to może by i tu chłopci byli ziemi i cepów się jęli<sup>335</sup>, może by on już w ziemi gnił, oswobodziciel chłopów, car Aleksander.

Patrzył mi w twarz tym kłującym wzrokiem.

— No, i po cóż ty przyszedł tu, jasny pan? Czy także tylko noże ostrzyć, jak pan Mierosławski kazał? Co tobie rosyjski chłop, paniczku? Po co ty tu?

Namyśl się i wróć. Ty teraz myślisz, że ty o ludzki ból i nędzę walczysz, a może to w tobie tylko dusza się cknę, że gdzieś tam gronostaje butwieją, że stare miecze przeżera rdza, że bez użytku leżą martwe buławy i korony?

Milczysz, paniczku? Samemu na dnie duszy głos mówi, że tak. Wróć się, jasny panie, wróć. Nie mieszaj ty się w chamskie sprawy.

— Zostanę — powiedziałem — nie czekam na nic.

Stary położył mi na ramionach ręce i długo milczał.

— Zawsze żałowałem, że nie mam syna. Pamiętaj, że byłoby ci wstyd.

I tak przemieszkałem u staruszka przeszło tydzień.

Długo myślałem, jak znaleźć drogę, skomunikować się ze światem. Nasza sprawa narobiła rozgłosu.

W dziennikach pojawiły się opisy oporu zbrojnego, stawianego przez Brenneisena, a któregoś dnia przyniósł mi Fiediuszko gazetę policyjną z moim rysopisem. Policja wzywała wszystkich obywateli, aby okazali pomoc przy ściganiu i pojmaniu niebezpiecznego przestępcy.

Balem się pokazywać na mieście.

Fiediuszko nie miał znajomości prawie żadnych.

Szlachcic, Chłop, Nadzieja

Pan, Chłop, Powstanie, Car

Pan, Chłop, Buntownik

<sup>332</sup>imać (daw.) — chwytać. [przypis edytorski]

<sup>333</sup>muzyk (ros.) — chłop. [przypis edytorski]

<sup>334</sup>siermiężny — tu: noszący siermięgę, dawną chlopską odzież wierzchnią z grubego materiału. [przypis edytorski]

<sup>335</sup>jęć (daw.) — chwycić. [przypis edytorski]

Trzeba się było na coś zdecydować. Postanowiłem jechać do Moskwy. Tam Bołchowski prędzej być może będzie w stanie coś zaradzić. Fiediuszko jednak nie chciał o tym słyszeć — widział on wszędzie niebezpieczeństwa i zasadzki.

Wreszcie zaczął on gdzieś wieczorami znikać; po kilku dniach powiedział:

— Znalazłem człowieka, który przeprowadzi cię przez granicę.

Wydawało mi się to ryzykowniejsze niż jazda do Moskwy, ale Fiediuszko rzekł:

— Starzy kamraci my z nim, starowiercy<sup>336</sup> oni, dla nich nie nowina to — oni te sprawy znakomicie umieją. Jak on mi przysiągł i rękę dał, to oni cię nie wydadzą, a nieszczęście się zdarzy, spod ziemi wykopią.

Sprowadzono mi ubranie, mieszczański kaftan, kozuch, długie buty. Miałem paszport wewnętrzny na imię Daniłowa. Gdy wyjeżdżałem, Fiediuszko wsunął mi do ręki ciężki rulon.

Nie chciałem brać wszystkiego, ale położył palec na ustach.

— Takiemu, jakim jesteś, daję. Ciężej ci się będzie zmienić — uśmiechnął się.

Ja miałem lzy w oczach, kiedym się z nim żegnał. W dwa dni później unosił mnie pruski wagon, a w kilka dni później pisałem już listy do ojca i do Fiediuszki, w których zawiadamiałem ich pod przybranym nazwiskiem Jedlicza o swoim szczęśliwym przybyciu do Zurychu. W odpowiedzi dostałem długi list ojcowski i jedno słowo od Fiediuszki: „Pamiętaj”.

Ojciec pisał mi, dając do poznania, że wie o wszystkim, zaklinał mnie, bym nie wracał, wstąpił za granicę na uniwersytet, dobrze, dobrze się namyślił, co mi sumienie robić każe. Nie chcąc na mnie wywierać presji, odkładał nawet swój przyjazd na czas jakiś, przysyłał mi znaczną sumę pieniędzy i swój uścisk ojcowski.

Odesłałem Fiediuszce wziętą od niego sumę, lecz otrzymałem ją z powrotem z listem zawierającym jedno tylko słowo: „Głupiś”.

Ale w kilka dni przyszedł od niego list, w którym żegnał się ze mną, pisząc, że umiera, i raz jeszcze przypominał, że słowo moje i wiarę bierze z sobą.

Umarł istotnie w kilka dni potem, jak dowiedziałem się następnie.

#### IV. TESTAMENT BRENNEISENA

I

Zeszyt Brenneisena zginął wtedy w Petersburgu, ale zdołałem przeczytać go przedtem dwa razy, a w tym momencie skupienia i rozbudzenia ducha, jakie wytworzyła we mnie śmierć jego i Warrii, zapisywało się to, com czytał, jak w kryształach. Potem przeszły długie, straszne lata, ale dzisiaj wydaje mi się, że pozostała mi w duszy niezmienna treść tego przekazanego testamentu. Był to na wpół pamiętnik, na wpół wyznanie wiary. Oczywiście nie może być nawet mowy o przechowaniu słów. Postaram się spisać jednak to, co wydobywa się dziś spod popiołów pamięci. Piszę więc tak, jakby to mówił sam Brenneisen. Jeżeli rękopis jego zginął, to jedyną formą, w jakiej świadomość jego żyje, jest moja pamięć. Niech więc mówi.

„Ojciec mój pochodził podobno ze starej szlacheckiej rodziny niemieckiej, osiadłej w guberniach nadbałtyckich. Służył w gwardii i przeszedłszy później na służbę cywilną, był gubernatorem w Nowogrodzie, Wiatce i Grodnie. Ożenił się z moją matką, córką bogatego kupca, dla posagu. Matka moja umarła, gdym był dzieckiem. Ojciec mój nigdy mi nie opowiadał o niej, zresztą mało się mną zajmował w ogóle. Był to człowiek surowy, zimny i w sobie zakochany. Mnie i inne dzieci mojego ojca wychowywały różne jego ciotki, stare, nieszczęśliwe i drzące przed nim, gdyż nieustannie przypominał im, iż są u niego na łaskawym chlebie. Utkwił mi w pamięci obraz ciotki Klary, której kanarki ojciec kazał wynieść z domu, gdyż drażniły go

<sup>336</sup>starowiercy a. starobrzędowcy — wyznanie powstałe wskutek rozłamu w Rosyjskim Kościele Prawosławnym, nieuznające reformy liturgicznej z lat 1652–56, upodabniającej obrzędów do greckich; kiedy w 1667 sobór moskiewski uznał stare obrzędy za herezję, władze kościelne i świeckie rozpoczęły masowe prześladowania starowierców; pełnię praw obywatelskich uzyskali w 1905, po wydaniu przez cara Mikołaja II edyktu tolerancyjnego. [przypis edytorski]

swoim świerkaniem, którego nie zachodząc prawie do tej części domu, nie słyszał i nie mógł nigdy słyszeć. Ale był on zdania, że podstawą wszystkiego jest władza, i nie pozwalał zapominać nieszczęsnym starym pannom, że ta władza znajduje się w jego ręku. Nie mniej nieszczęśliwe od ciotek były chyba kochanki mego ojca. Trzymał je on w domu i sadzał razem z rodziną do stołu, ale obchodził się gorzej niż ze sługami. Pamiętam trzy z tych nieszczęśliwych kobiet, szczególnie ostatnią z nich, jakąś francuską guwernantkę, Blanche. Była ona bardzo piękna i jak się zdaje, kochała nawet mego ojca. Cierpiała na jakieś ataki nerwowe i piła eter<sup>337</sup>. Było to jej surowo zakazane i jak twierdziła służba, ojciec mój bił ją za nieposłuszeństwo. Wyobrażam to sobie z łatwością, gdyż takie traktowanie kobiet, z którymi utrzymywał stosunek miłosny, jak gdyby były one żołnierzami w poprawczym batalionie, leżało całkiem w jego charakterze. Musiał on w gruncie uważać za zbrodnię już to, że kobieta oddawała mu się bez ślubu, i już to samo zasługiwało w jego oczach na ciężką karę.

Ja zawdzięczam surowości mego ojca znajomość języków i mocne zdrowie, zahartowane w tych ćwiczeniach gimnastycznych, których surowo przestrzegał. Zawdzięczam mu też może wytrwałość i zdolność panowania nad sobą. Nie mogłem się do nikogo przywiązać w domu, tak nieustannie zmieniało się wszystko naokoło mnie i drżało przed moim ojcem. Pierwszym człowiekiem, któremu pokochał, był seminarzysta Zwienigorski; wykładał on mi rosyjską literaturę i historię, matematykę i starożytne języki. Był on śmiertelnie chory, gdy go poznałem, i nieustannie pijany. Powinienem był powiedzieć raczej: nieustannie pił, pijany bowiem nigdy właściwie nie był. Oprócz obowiązkowych przedmiotów wykładał mi on naukę przez mego ojca nieprzewidzianą, naukę niezblaganego krytycznego myślenia. Od niego nauczyłem się uznawać tylko to, co myśl moja zbada i za rozumne uzna, nauczyłem się nie cenić ani urzędów, ani zwyczajów, ani przekazanych mniemań: on mi przynosił artykuły Dobrolubowa<sup>338</sup> i Czernyszewskiego oraz *Wesen des Christentums*<sup>339</sup> Feuerbacha. Miałem 15 lat, gdy on umarł, a mego ojca przenieśli do Grodna; było to przed polskim powstaniem. W ciągu całego roku widziałem więźniów, których prowadzili do kancelarii. Raz przywieziony więzień rzucił mi list, podniosłem go, lecz dostrzegł to ktoś i dał znać ojcu. Zawołano mnie do gabinetu, wziąłem po drodze pistolet.

— Listu nie oddam, a jeżeli będziecie chcieli mi odebrać siłą, zastrzelę się.

Ojciec popatrzył mi w oczy i kazał iść precz. Pilnowano mnie tak, że nie mogłem wykonać polecenia. Ojciec kazał mi odebrać książki. Tak przeszedł rok powstania. W rok później opuściłem dom ojca. W mej obecności podniósł on rękę na Francuzkę Blanche, ja chwyciłem go za ramię i posadziłem siłą na krześle. Ojciec uderzył mnie w twarz. Powiedziałem mu, że nim pogardzam, i od tej chwili nie widzieliśmy się. Ojciec mój umarł w rok później. Ja byłem już w Petersburgu. Postąpiłem niesłusznie, mówiąc wtedy, że nim gardzę. On był taki, jaki być musiał, naprawdę wierzył, że potrzeba bić kobiety i dzieci. Na pogardę zasługuje tylko ten, kto wie lepiej, a robi gorzej. Ja postanowiłem nie robić nic, czego bym nie chciał. Wiedziałem, że w ten sposób trudno będzie żyć długo, ale postanowiłem żyć, aby myśleć i rozumieć, dopóki mi pozwoli sumienie. Wiem, że można by żyć, myśląc i nie mieszając się wcale w bieg zdarzeń. Mógłbym żyć, nie biorąc nic od ludzi prócz tego, co do życia jest konieczne, i dając im tylko to, z czego

Kobieta "upadła"

Pijaństwo

Pogarda, Przemoc

<sup>337</sup>eter (pot.) — eter dietylowy, łatwopalna ciecz o odurzającym zapachu, mająca właściwości narkotyczne, nasenne i znieczulające; nałogowe wachanie lub spożywanie eteru to eteromania. [przypis edytorski]

<sup>338</sup>Dobrolubow, *Nikołaj Aleksandrowicz* (1836–1861) — rosyjski publicysta, krytyk literacki i poeta; przedstawił rewolucyjnych demokratów. [przypis edytorski]

<sup>339</sup>*Wesen des Christentums* — pol.: *O istocie chrześcijaństwa*, książka niem. filozofa Ludwiga Feuerbacha (1804–1872), wyd. w 1841, zawierająca krytykę religii; uważana za najważniejsze dzieło tego autora. [przypis edytorski]

nie zdołaliby ukuć na nikogo łańcuchów ani narzędzi męki dla samych siebie. Żyłem, nie znając kobiety, i mógłbym nie znać jej... Człowiek nie może się wiązać, bo uczucie minie, ale kobiety nie może uczciwy mężczyzna dziś narażać na to, aby mogła zostać matką, a nie była żoną. Bardzo, bardzo kochałbym miłość, gdyby była ona dla mnie możliwa. Ale i tak nie mógłbym żyć nad ludźmi jak gwiazda, gdyż gwiazda nie wie, a ja wiem, i ból przesywa mi serce, a w głowie rodzi się gniew. Każdy człowiek, który na dnie ginie, mówi do mnie krwawymi oczyma: dlaczego pozwoliłeś? I ja nie mógłbym odpowiedzieć, że mam ważniejsze sprawy, skoro stałem tu i widziałem. Nie mogę być cichą i świecącą gwiazdą ponad krwawym morzem, więc gdy nadarzy się sposobność, zejść, będę walczył, póki starczy sił. Nikt nie powinien zostawać niewolnikiem, więc nigdy nie będzie mnie więził car, gdyż nie dam się wziąć żywym i będę się bronił”.

Mężczyzna, Miłość,  
Kobieta, Żona, Dziecko

Tu urywała się pierwsza część rękopisu. Pisał ją Brenneisen na lat trzy czy cztery przed naszym poznaniem i wtedy już przewidział z taką jasnością swój los i powziął niezłomne postanowienie.

Dalej szedł fragment, noszący nadpis: „W rok później”.

I zaczął się, pamiętam, od słów:

„Stało się jednak tak, że miałem żonę...

Ona była dziewczyną uliczną i mieszkała obok mnie.

Spotykałem ją czasem na schodach i kłaniałem się, wtedy ona przechodziła obok mnie pospiesznie i rumieniła się, i dopiero gdy byłem już za jej plecami, mówiła jakby do siebie:

— Dzień dobry.

Wiedziałem, że się nazywa Anna, bo tak ją nazywała stróżka.

Po pewnym czasie napisała do mnie list, że jest chora i że pewno umrze. Poszedłem do niej.

Choroba jej nie była niebezpieczna, lecz umierała ona z głodu. Pieniądze, jakie miała, wyczerpały się prędko. Leżała w gorączce bez lekarstw i bez opieki. Zająłem się nią i stało się to, co się było stać nie powinno. Została moją żoną. Nie powinno się było to stać, bo łączyła mnie z nią raczej litość. Co czuła ona, trudno mi określić. Myślę, że byłaby nieszczęśliwa, gdybym nią pogardził. Piszę tak, bo ona byłaby to tak zroszczyła. Ona była zanadto nieszczęśliwa i upokorzona. Ludzie nie powinni spotykać się tak, by tylko litowali się wzajemnie nad sobą. Miłość jest dumna i bez dumy nie może się rozwinąć. Miłość bez dumy jest chora i upokarzająca. Spotkanie dwóch istot, które czuć się muszą wzajemnie dla siebie jedyne, nie może stać się prawdą w ich własnych oczach, gdy on i ona czują swą niemoc i przypadkowość. Miłość domaga się całego człowieka. Ale czy ja byłem cały człowiek? Ja, Brenneisen, byłem sobą jako myśl. Moje ciało to było coś, w czym myśl ta pozostać ma, jak w swym fermentie. Ono należało do tego, czym gardziłem. Filozofowie piszą o spirytualizmie<sup>340</sup> i materializmie<sup>341</sup>. Nie zauważyli jednak, że aby wierzyć w ciało, trzeba je mieć, trzeba czuć się swobodnym. Czy ja mogę czuć się swobodny w swoim ciele? Ono tu w Rosji może być rzucone w loch, bite, poniewierane A ona? Jej blade ciało to była sprzedawana, bita rzecz. Bili ją kupcy, oficerowie, urzędnicy, żołnierze. Oni ją mieli. To nie jest hańba dla niej. Ja, Brenneisen, myśl bezcielesna, mogę zrozumieć to, że to nie jest jej hańba. Ja chciałbym być tę jej biedną duszę wziąć, przytulić, ogrzać. Ale ona to właśnie było to nieszczęsne ciało, blade, drżące, wyciągające ramiona ku mnie jak dziecko. I to się stało. Płakaliśmy w pierwszą naszą noc miłości. Płakaliśmy z litości nad sobą. Powinniśmy

Kobieta "upadła", Głód,  
Choroba, Miłość

Miłość, Duma

Kobieta "upadła", Miłość,  
Łzy

<sup>340</sup>spirytualizm (filoz.) — stanowisko głoszące, że realnie istnieją wyłącznie byty duchowe (dusze). [przypis edytorski]

<sup>341</sup>materializm (filoz.) — stanowisko głoszące, że jedynym realnie, samoistnie istniejącym bytem jest materia; w szczególności jest ona pierwotna wobec świata duchowego, będącego wytworem przyrody i społeczeństwa i pozostającego w ścisłej wobec nich zależności. [przypis edytorski]

byli się zabić, ale ona bała się śmierci. Przeszło kilka miesięcy, ona miała być matką. Zbierałem pieniądze i chciałem wyjechać. Nie miałem prawa kazać tu żyć mojemu dziecku. Ale to też byłoby źle i byłoby odebrało mi spokój. Uciekałem stąd i pozostawiałem poza sobą płacz, głód i nędzę. Jak mogą mieć niewolnicy dzieci? Jak można mieć dzieci dziś i siedząc nad kołyską myśleć: to może być prostytutka, szpieg albo obojętny zjadacz cudzej pracy? Bo jesteśmy bezsilni już nad losem, gdy zjawi się w świecie taka jasna, do nas należąca główka. Mieć dzieci — to znaczy ufać życiu. Ja nie ufałem i gardziłem nim. Nie znałem takiego zakątka, w którym można by być bezpiecznym. My powinniśmy tylko myśleć, pracować i walczyć. Ale dziecko przyszło na świat martwe — i ona umarła też. Błogosławiłem losowi, że mi ich zabrał. To nie było okrucieństwo ani brak serca. Czy może być coś lepszego dziś niż niezawiniona śmierć? Ona uwalnia. Otwiera drzwi i mówi: już nie odpowiadasz za nic. Dopóki żyjesz, odpowiadasz za wszystko, za każdą rzecz, która ci się rzuci w oczy. A to, co otacza nas, jest nieustającą hańbą i zbrodnią. I my bierzemy w niej udział. Myślałem, że z czynów naszych wyrasta coś, czego nie znamy. Coś, czego nie znamy, wyrasta z każdej naszej chwili. Czas kradnie nam nas samych i lepi z naszych ukradzionych chwil swoje straszne, ohydy pełne dzieło. Gdzie jestem ja i gdzie świat? Ciągłe, ciągle bierze on mnie i ze mnie wbrew mnie samemu coś wykuwa. Nie powinno się żyć biernie ani chwili. Ani jednej chwili nie powinno się pozostawiać martwej, niewypełnionej przez myśl.

Pisałem i myślałem źle. Marzyła mi się ucieczka. Sprzeniewierzyłem się myślom ginącym w ciemności. Ja i oni jesteśmy w ciemnym potoku. Mnie i tak schłonie mroczny żywioł — ale nade mną jest jeszcze światło myśli. Więc powinienem walczyć i podawać rękę temu, co ginie naokół.

Myśli jest ciężko w świecie, bo świat nie był przygotowany na myśl — on ją porodził sam z siebie, nie wiedząc. Ja narodziło się z ciemnego trudu. Nasze nowoczesne, swobodne ja ludzkie jest wynikiem. Jego nie było w historii. Historia to było ślepe zmaganie się w ciemnościach. Człowiek, zmagając się z przyrodą, uczył się panować. Stojąc na gruncie własnym, potem uprawnym, uczył się rozkazywać, mówić: ja, czuć się sobą.

Nie umiem tego powiedzieć. Ale czuję, że tym fellachom<sup>342</sup>, którzy dźwigali piramidy, wszystkim, wszystkim, którzy gięli barki pod ciężarem, zawdzięczam to, że już jestem, mówię: ja.

I cóż zrobię ja, moi ciemni, ginący bracia?

To, cośmy czynili, wyrastało w mroku. Ale czy zdoła kto unieść świat w słońce? Przecież my to wszystko dźwignąć musimy, co jest, i już nie bezwiednie, lecz wiedząc.

Myśli, zstąp i rządz; myśli, stań się ciałem.

Będę żył, nie uczynię nigdy żadnego ustępstwa. Dopóki zniesie mnie świat, dobrze. Gdy nie, będzie musiał mnie zabić.

Czy nie lepiej byłoby ustąpić w tym, co konieczne dziś, co niecofnione.

Tu nie ma o czym myśleć.

To jest nad moje siły.

Zrobię wszystko, co każe myśl, ale gdy rozum powie: oszczędź się dla przyszłości — nie posłucham.

Gdybym posłuchał, byłbym już złamany.

Posłuchałem raz kobiecego płaczu i głosu własnej natury i przez rok byłem nie ja, zależałem od tego, co nie mną było.

Więcej nie chcę nigdy już.

Nie będę już miał nigdy kochanki, a gdy pokocham, spytam, czy chcesz ze mną umrzeć?

Wtedy będziemy szczęśliwi, bo w ręku będziemy mieli śmierć i swobodę. Ale Anna bała się śmierci i grobu.

Niewola, Dziecko, Żona,  
Śmierć, Wolność

Historia

Buntownik

Miłość, Śmierć, Wolność

<sup>342</sup>*fellach* — chłop egipski. [przypis edytorski]

Czy ja się boję?  
Nie, przejrzałem siebie na wskroś i wiem, że każdej chwili umrę.  
Zresztą, czy żyję jeszcze?  
Żyje we mnie myśl — reszta jej narzędzie.  
Gdy zechce, podłoży minę i wybuchnie.  
Pytam się nieraz, czy zostanie myśl, i nie wiem.  
Nie mogę powiedzieć „nie”.  
Ciało to jest to, jak ja sam siebie biorę i znam — gdy ono ginie, co zostanie, czy co zostanie — nie wiem.  
Nieznane jest to, co jest dziś.  
I wtedy będzie nieznane.  
Jeżeli będę ja, będę wtedy tak, jak jestem dziś.  
Wyszedłem za daleko, dlatego jest mi trudno żyć. Człowiek, który już tylko wykonywa, mało zrobi. Myśl powinna być po czynie, nie przed nim. Myśl to jest pamięć. Czyny powinny być nasze, więc — nowe.  
Ja nie zdołam zrobić wiele.  
Potrafię może zginąć.  
Myślałem, aby pójść i zabić cara.  
Pójść i napisane mieć wszystko, co myślę.  
I kiedy chciałem zrozumieć, co chcę napisać — pojąłem, że to nie byłby już mój czyn.  
Po co zabijać Aleksandra II?  
Car żyje nie w nim.  
On żyje w naszej myśli. Nie w mojej. Ja nie znam go. Aleksander II to nie car, lecz człowiek.  
Gdybym go spotkał oko w oko, powiedziałbym mu to.  
Napisać mu.  
Czy nie wszystko jedno, co on myśli?  
On jest to, co myśli o nim Rosja.  
Czy on wie i czuje, czym jest?  
Nie obchodzi mnie to nic. Nie mógłbym go zabić.  
Nie myślę, aby trzeba było zabijać.  
Trzeba się bronić.  
Nie wolno mnie tknąć, bo za to śmierć.  
Moja i wasza, ale za życia ja jestem nietykalny.  
Teraz jestem szczęśliwy, wiem, że nie dotknie mnie nikt.  
Nie należę do nikogo, jestem sam.  
Zrobię wszystko, co zechcę, tylko to, co zechcę”.

Car

Na parę dni przed śmiercią nareszcie pisał:

„Rozmawiałem z Nieczajewem i on już wie. Mówił, że ja nie mam prawa. My nie należymy do siebie, należymy do sprawy. Nie. Sprawa — to jestem ja.

Później on zmienił zdanie.

— Dobrze. To ich nawet przestraszy.

Mnie to nie obchodzi, robię, jak chcę i co chcę.

Nieczajew jest silny człowiek, ale on sam siebie oddał sprawie. On ma boga. Ten bóg mieszka w nim i jest nienawiść. Nie trzeba mieć nigdy boga. Nawet takiego, co w nas mieszka. Trzeba być zawsze *ja*.

Teraz już wiem, że wszystko będzie skończone, i przygotowałem wszystko.

Jestem w tej chwili bardzo szczęśliwy i wiem na pewno, że nie zależę od niczego.

Ręka mi nie zadrży i broń mam dobrą, będę strzelał tak, aby rana była koniecznie śmiertelna.

Nieczajew nazywa to wszystko arystokratyzmem, powiedziałem mu:



— Nie wolno gardzić człowiekiem. Gdybym nie uczynił tego, musiałbym sobą gardzić.

Nieczajew w gruncie rzeczy ludźmi gardzi. Nie wolno nigdy postępować niżej, niż się jest. Nie wolno, bo to znaczy służyć czemuś, co nie jest ja i co zostało już przez nasze ja pogrzebane.

— Co mnie obchodzi wasze ja? — mówi Nieczajew. — Co może obchodzić mnie czyjekolwiek, chociażby moje?

To jest błąd.

Kto w czymkolwiek poniża własne ja, jest nieuczciwy, gdyż robi innym to, czym sam w sobie gardzi. Kto się dla innych upokarza, poniża innych, lekceważy ich, pogardza nimi, dając im z siebie nie to, w czym siebie szanuje.

Zresztą to wszystko już jest obojętne.

Teraz chodzę po moich pokojach i mówię:

— Tu jest święta ziemia swobody. Tu wchodzi się z orężem w rękę i ginie się u wrót.

Czy nie lepiej byłoby się zabić wprost i nie zabijać? Nie. Ja chcę nie umrzeć, lecz żyć wolnym i żyć wolnym tak, jak to jest tu możliwe. Ta godzina, gdy będę tu strzelał i bronił się — to jest moja swoboda. Ja nie popełniam samobójstwa, ja tylko żyję w Rosji jak człowiek swobodny.

Nie trzeba nigdy wybierać siedziby dla siebie niżej, niż jest nasze ja.

Nie wolno nigdy samego siebie czynić niewolnikiem”.

## V. KATIA

I

W Szwajcarii prędko odnalazłem znajomych. Żemczużnikow powitał mnie smutnym uśmiechem. Jaszka otrząsnął się spod władzy wrażeń i wzruszeń doznanych; nie mógł tylko żadną miarą dojść do ładu z szwajcarskimi porządkami i obyczajami. Od rana do nocy wygłaszał niemilknące filipiki.

— Nigdy — mówił mi w Lozannie — nie widziałem takiej masy tak straszliwie brzydkich kobiet. Czy uważasz, że wszystkie one są wężate i o czym one mówią? Powiadam wam, że w żadnym naszym Solwyczegodsku nie ma takich nudów.

Nudzil się istotnie strasznie. Przyroda obchodziła go mało.

— Góra — no, góra. No, i cóż teraz da mi ona, ta twoja góra. Nie, ja w sobie koźlich atawizmów<sup>343</sup> rozwijać nie będę. To jest nawet niemoralnie!

To trwało jednak niezbyt długo. Jakiegoś poranka Jaszka wpadł tryumfujący:

— No tak, to są ludzie, to rozumiem. Wczoraj tutaj jeden „patron”, czekoladowa taka świnia — no, rozumiesz, wielki burżuj w czekoladzie, słowem Suchard<sup>344</sup> czy jak tam chcesz. Cukierki także. No, nie o to idzie. Otóż wczoraj on w swoim gabinecie — coś tam z jakąś robotnicą. Jedni mówią, że spoił i zgwałcił, inni: dziewczyna sama się zgodziła. Tak czy owak. Mniejsza. Jeżeli się sama zgodziła, to jemu i tak należy się za swoje. No, dobrze. Dzisiaj fabryka stoi. Strejk<sup>345</sup>.

I odtąd straciłem Jaszkę z oczu.

Po strejku czekoladowych robotników przyszedł strejk budowlanych, potem zegarmistrzów. Jaszka wszędzie musiał być obecny.

W trzy tygodnie nauczył się po francusku pisać proklamacje.

Mnie w tym czasie dręczyła apatia i stan duszy lichej i leniwej.

Żemczużnikow pragnął samotności: spotykałem go nieraz nad jeziorem. Z wyrazem cichej ekstazy w oczach snuł się jak duch wszystkiemu, co go otaczało, obcy.

Schroniłem się sam w jakimś pensjonaciku lozańskim, aby nie spotykać nikogo.

W Zurychu byłem u Tarutinej i Martynowa. Naiwny, młody entuzjazm zbierającej się u nich kolonii drażnił mnie.

<sup>343</sup>atawizm — ujawnienie się sposobu zachowania charakterystycznego dla odległych przodków. [przypis edytorski]

<sup>344</sup>Suchard, Philippe (1797–1884) — szwajcarski przemysłowiec, producent czekolady. [przypis edytorski]

<sup>345</sup>strejk (daw., z ang. strike) — strajk, protest pracujących. [przypis edytorski]

Czuli się oni pewni zwycięstwa, nie myśleli o walce takiej, jaka ich oczekiwała. Ja nie byłem dla nich odpowiednim towarzyszem.

Zresztą w pewnych kołach na nas, nieczajewowców, trochę się w tym czasie boczoło. Byłem sam.

Dniami całymi siedziałem zamknięty w pokoju. Wieczorami wychodziłem i błąkałem się po okolicy.

Lubiłem wdrapywać się na wznoszące się nad Lozanną wzgórza Signalu i tam siedzieć bez ruchu. Kilka razy spędziłem tam noc.

Z tego czasu nie pozostało mi niemal żadnych wspomnień.

Ktoś przywiózł wiadomość, że policja szuka mnie wszędzie. Ostrzeżono mnie wreszcie, abym zmienił nazwisko i miejsce pobytu. Przeniosłem się do Clarens. Dostarczono mi jakiegoś paszportu. Zresztą nie mogłem zmusić się do myślenia o rzeczach zewnętrznych.

Chwytałem się na gorącym uczynku tworzenia legend wewnętrznych na własny swój temat. Usiłowałem zrozumieć swoje stanowisko i swoją rolę.

Błąkając się po górach, myślałem: kto jesteś? I fantazja układała tysiączne dramatyczne odpowiedzi.

Na to pytanie odpowiada tylko sama bezpośrednia rzeczywistość — nigdy myśl. Lecz właśnie byłem w tym czasie przechodniem zbłąkanym, który szukał. Nam, nowoczesnym ludziom, grozi nieustannie niebezpieczeństwo podstawienia na miejsce swego rzeczywistego życia jakiegoś wzoru zaczerpniętego z przeszłości. Tymczasem zadanie nasze nie jest podobne do żadnego innego. Nie idzie o to, aby rozplątać się w jakiejś idei. Nie. Trzeba właśnie jako pojedynczy człowiek prowadzić walkę nie o urzeczywistnienie jakiejś idei, to jest rządzącej ludźmi formy, lecz właśnie swobodnego panowania rzeczywistych, żywych ludzi nad życiem, wszystkimi formami. Dlatego my sami sobie wydajemy się przestępcami i odstępcami. Wyłamujemy się spod władzy wszystkich związków, ustalonych kształtów.

Chodziłem wtedy dniami całymi, myśląc. Wiele razy już myśl moja widziała jasno prawdę i cofała się przed nią jak przed błędem. Tak trudno jest uwierzyć w siebie.

Tu wpadły mi w ręce pisma naszych emigracyjnych poetów i zetknięcie się z nimi wywołało rozterkę. Zbudziły się dziecinne uczucia i marzenia. Odbierają rzetelność i jasność myśli te książki, wprowadzają do duszy naszej ferment rozstrajający i niszczący wolę. Skąd powstały one? Świat tulaczów, tęskniących wygnańców zrodził je jako samoobronę przeciwko życiu. Pozostały one jako zakamieniała wola serca, które nie chce widzieć. Rodził się koło tych ludzi nowy świat: cały świat nowoczesnej ludzkości, oni nie widzieli go, nie chcieli go widzieć. Oni pytali się narastającego, rozwijającego się życia: zwrócisz mi Polskę? Dlaczegoż była ona już utracona? A jeżeli utracona już była, to dlaczego nie pojęli oni tej jej nieobecności jako części ogólnego rwania się człowieka w przyszłość? Czy człowiek, nowoczesny człowiek, gdziekolwiek bądź, ma ojczyznę? I dlatego my tak łatwo czadziejemy w zetknięciu z tym światem tęsknoty i rozbitego, krwawiącego uczucia. Czegoż ci brak? Ojczyzny? Tylko Ojczyzny? Tylko tego? Nazbyt łatwo rezygnuje myśl, serce wzwyczajają się do dawnych nałogów. Wszyscy mamy skłonność pocieszać się, że potrzebne nam jest tylko coś znanego, a więc już gotowego. Nie szukać już więc i nie pracować, tylko czekać. Myśl nasza leniwsza jest od mięśni, bardziej wycwiczona w wybiegach pozwalających pracy unikać.

Czego ja chcę?

Powracało groźne pytanie.

I wydawało się, że nie ma we mnie żadnej odpowiedzi.

W tym czasie spotkałem Katię.

Przy table d'hôte<sup>346</sup> pojawiła się nowa osoba. Piękna, wysoka brunetka o niedbale zwiniętych w węzeł włosach.

Od razu wiedziałem, że musiałem już widzieć gdzieś tę twarz i te oczy. Widziałem też, że nieznajoma spojrzała na mnie parę razy, jakby coś przypominając.

Nagle poczerwieniała i spuściła oczy, jakiś przykry, bolesny skurcz przebiegł koło jej ust. W tej chwili przypomniałem sobie: była to Katarzyna Moroszkina.

<sup>346</sup>table d'hôte (fr.) — posiłki podawane w hotelu, pensjonacie itp. wszystkim gościom o ustalonej porze i w stałej cenie. [przypis edytorski]

Zmieniła się bardzo, a raczej jakby tylko wyprostowała się i rozkwitła.

Wtedy czyniła wrażenie przerażonej pensjonarki, która nagle obudziła się kobietą w ręku zwierzęcia.

Wydała mi się nagle dziwnie bliska.

I odczułem strach na myśl, że będzie chciała uniknąć spotkania ze mną i zniknąć stąd. Postanowiłem to uprzędzić.

Po obiedzie poszedłem do niej; nie patrząc na nią, powiedziałem:

— Jeżeli pani jest przykro spotykać się ze mną, proszę powiedzieć otwarcie, mnie nie robi to żadnej różnicy, gdzie mieszkam. Przenieś się stąd, byle nie sprawiać pani przykrości.

Ona zaczęła protestować.

W ten sposób odnowiła się nasza znajomość.

Przeszło dwa dni i nie mogłem już o niej nie myśleć.

Ona widywała mnie chętnie.

Rozmawialiśmy o starych znajomych, ostrożnie omijając wszystko, co mogłoby stawić przed oczy jej straszliwą scenę.

Pomimo to była ona pomiędzy nami nieustannie obecna. I widziałem, jak po twarzy Katii przebiega nagle rumieniec.

Była nauczycielką przy jakiejś rodzinie, później lektorką<sup>347</sup> jakiejś staruszki, która umarła, zostawiając jej pewną sumę. Teraz odpoczywała.

Znosiłem jej książki, których była spragniona.

Jej zagłodzony mózg pochłaniał wiedzę z nieprawdopodobną szybkością.

Gdy rozumiała coś po raz pierwszy, szeroko otwierała oczy, które patrzyły na świat z jakimś wdzięcznym zachwytem.

W tym czasie ja czyniłem często błędy w szacowaniu nastroju umysłowego ludzi. Skłonny byłem uznawać za powszechnie znane myśli, z którymi sam się oswoiłem.

Teraz wiem, jak wielki był ten skok, jakiego musiała dokonać w tym czasie myśl Katii. Miała ona w głowie, gdym ją spotkał, przeciętny chaos, na jaki składały się tak zwane wiadomości nabyte w szkole, trochę nowoczesnych myśli, pochwyconych ukradkiem z rosyjskich postępowych miesięczników, kilkadziesiąt przeczytanych na głos staruszcze francuskich powieści.

Tylko silny umysł mógł znieść metodę nieopatrznie przeze mnie stosowaną.

Wprowadzona w bieg myśli nowoczesnego rewolucyjnego socjalizmu Katia zrozumiała w krótkim czasie wszystko.

Doznawałem wrażenia, że dokonany przewrót moralny odbił się nawet na jej wyglądzie. Gdy zobaczyłem tu ją po raz pierwszy, była więcej kobietą, coś niepokojącego, odurzającego było w niej, w jej uczesaniu, w jej ruchach; jakaś wyzywająca miękkość i oddanie.

Teraz, nie zastanawiając się chyba nad tym, zaczęła się inaczej czesać i ubierać. W bluzce z wysokim kołnierzem, w małym kapelusiku wyglądała jak młody, cudnie piękny chłopiec.

Nie wiem, jaki jest świat erotycznych myśli kobiety, ale wiem, że do naszych męskich miłosnych myśli przyłączają się zazwyczaj głęboko krzywdzące nas samych i kobietę pierwiastki. Owa dzika scena, której byłem świadkiem, odgrywała w moim stosunku do Katii niezaprzeczalną i mocno dręczącą mnie rolę. Mogę określić to w ten sposób, że w pewnym zakątku moich uczuć i myśli Katia nie przestawała być naga. Staralem się nie myśleć nigdy o tym, co dzieje się tam w tej dziedzinie, ale obecny był nieustannie we mnie jakiś pierwiastek zmysłowego rozstroju. Czułem, że jestem nieuczciwy w tym stosunku. Dziś wiem, jak trudną jest rzeczą zachować wewnętrzną uczciwość uczuciową względem upragnionej kobiety. Nie ludiłem się bowiem co do tego, że tak jest, że niezależnie od wszelkich umysłowych sympatii — Katia jest tym właśnie dla mnie: upragnioną.

Byłem w tym czasie dziecinnie nieszczęśliwy. Mimo woli powstawała myśl, że podobnie jak pod pozorami umysłowej przyjaźni, która łączy mnie z Katią, kryje się zgoła co innego, tak też moje inne przekonania, dążenia mogą być wmówieniem. Już sam fakt,

<sup>347</sup>lektorka — tu: kobieta czytająca komuś na głos. [przypis edytorski]

Książka, Wiedza

Wiedza, Rewolucja

Kobieta, Erotyzm

Idealista, Realista,  
Rewolucja

że kobieta mogła w ten sposób zawładnąć moimi myślami, gnębił mnie. W gruncie rzeczy myślałem: jesteś rozpróżnionym panicykiem, szukającym na tej lub innej drodze wrażeń. Starego Popowa łączą z rewolucją i ludzkością o wiele głębsze węzły, a jakże pozwalałeś go sobie lekceważyć. Tak nam, ludziom wychowanym na pojęciach idealizmu romantycznego, trudno zrozumieć, że właśnie jako rzeczywisci ludzie wchodzimy w grę, że nasze realne, rzeczywiste, osobiste życie nie jest czymś odrębnym od sprawy. Przypominając sobie Brenneisena, usiłowałem zmusić się do powzięcia decyzji zgodnej z tym, jak on byłby na moim miejscu postąpił. Obowiązkiem moim, mówiłem, jest wyjechać i nie krzywdzić dłużej tego cudnego stworzenia.

Dziać się zaczęły tymczasem rzeczy, które wszystkiemu nadały nieoczekiwany obrót. Już przed paroma dniami otrzymałem tajemnicze ostrzeżenie, mówiące o jakimś zbliżającym się niebezpieczeństwie. Nie zwróciłem na to wielkiej uwagi. Uważałem wszystkie ostrożności tu, na europejskim gruncie, za przesadę i wprost fizycznie nie byłem w stanie uwierzyć w istnienie szpiegów, którzy mogliby być bliżej w nasze życie wmieszani. Rano jednak któregoś dnia obudziło mnie stukanie do drzwi. Była to Tarutina, która przyjechała ostrzec mnie, że rząd rosyjski żąda mojego aresztowania i wydania, oskarżając mnie o współudział w zabójstwie Iwanowa. Z początku ostro odparłem Tarutinej, że to są wszystko plotki, kobiece nerwy, że nie wyjadę, ani myślę wyjeżdżać, nie grozi mi nic. Na samą myśl, że nie będę widział Katii, serce mi zamarło. O tym stanowczo nie mogło być mowy. Ale Tarutina nalegała, żądała przyczyn; wpadłem w gniew, postanowiłem dla pozorów przystać, wyjechać i jak najprędzej wrócić. Zacząłem pakować walizkę, gdy we drzwiach ukazała się błada gospodyni, za nią zaś cywilny pan i dwóch agentów.

— *Monsieur Michel Kaniowski, n' est-ce pas?*<sup>348</sup>

— *Non, monsieur, Emanuel Raub*<sup>349</sup>.

— *Parfaitement, monsieur, c' est la même chose*<sup>350</sup> — rzekł pan. — Zechce pan iść za mną.

Nie niepokojąc się zbyt, usłuchałem zaproszenia. Wciąż jeszcze nie wierzyłem, aby to mogło mieć jakiegokolwiek konsekwencje.

Siedliśmy do fiakra<sup>351</sup>, który ruszył cwałem. Jechaliśmy do Lozanny. Tu, na jakimś placu, zauważyłem tłum ludzi, pomiędzy którymi mignęła mi twarz Jaszki.

Woźnica skręcił w wąską uliczkę i w tej samej chwili koń jego padł.

— Cóż tam? — krzyknął pan w cywilnym garniturze i nagle umilkł, wykonując dziwaczne ruchy.

Rzucono mu z tłumy piaskiem w oczy.

W tej chwili poczułem, że chwytam mnie ktoś za rękę i ściąga z dorożki. Znalazłem się wśród pięciu czy sześciu mężczyzn, którzy wołali:

— Biec co sił!

Za sobą usłyszałem strzał.

Wyminieliśmy kilka uliczek i wpadliśmy do jakiegoś domu.

— Przebieraj się i w drogę! — krzyknął Jaszka.

Nałożyli na mnie bluzę robotniczą i cały odpowiedni kostium, wsunęli mi do kieszeni paszport i pieniądze.

— Nazywałeś się Jacques Lebon, no i marsz — komenderował Jaszka. — Obywatelka ta cię wyprowadzi. Wydostałeś się tanim kosztem. Andrzej draśnięty tylko.

W pięć minut potem siedziałem na jakimś wozie obok koszów z jarzynami i butelek z mlekiem. W ten sposób opuściłem Lozannę... Postanowione było, że mam przesiadzić jakiś czas w domu gospodyni wozu i butelek. Czekał tam na mnie jakiś Szwajcar, rozkochany w Jaszce.

— Byliby was wydali, towarzyszu — mówił — jak dwa razy dwa.

Pierwsze dwa dni nie mogłem się po prostu ruszyć z domu, pilnowano mnie jak oka w głowie. Gdy wstawałem, pytano mnie, co mają mi przynieść.

Jaszka przysyłał groźne biuletyny. Zbulwersowano pół Lozanny i okolicy. Aresztowano trzech czy czterech moich sobowtórów: jeden z nich do dziś dzień jeszcze siedzi:

<sup>348</sup> *Monsieur Michel Kaniowski, n' est-ce pas?* (fr.) — Pan Michał Kaniowski, nieprawdaż? [przypis edytorski]

<sup>349</sup> *Non, monsieur, Emanuel Raub* (fr.) — Nie, proszę pana, Emanuel Raub. [przypis edytorski]

<sup>350</sup> *Parfaitement, monsieur, c' est la même chose* (fr.) — Doskonale, proszę pana, to to samo. [przypis edytorski]

<sup>351</sup> *fiakier* a. *fiakr* (daw., z fr.) — dorożka; także: dorożkarz, woźnica. [przypis edytorski]

„...Przyjeżdżała nawet do niego twoja narzeczona. Trzymamy język za zębami. Niech popłacze. Babskie języki na nic. Zresztą tęsknota dobrze robi”.

Ten przypisek podziałał na mnie jak mina.

Za wszelką cenę postanowiłem widzieć Katię.

W nocy doczekałem się chwili, kiedy cały dom się uciszył.

Zerwałem się i ubrałem po cichutku. Wyskoczyłem oknem.

Była jasna księżycowa noc. Droga wiała się wśród wzgórz nad brzegiem strumienia. Szedłem z niejasnym przeczuciem szczęścia. Jakiś krzak pachnący uderzył mnie po twarzy mokrą gałązką, złamałem ją, zerwałem jeszcze garść kwiatów.

Świtało, kiedy stałem pod oknami domu. Jej okno było na pierwszym piętrze na wpół otwarte.

Związałem moje kwiaty i cisnąłem.

Usłyszałem słaby krzyk.

Po chwili otworzyło się okno. Stała w nim ona, mrużąc oczy. Zobaczyła mnie i krzyknęła:

— Ty!

Widziałem, że zaskoczył ją ten okrzyk.

Nierozumiejącym instynktem wiedziony powiedziałem:

— Zejdź.

Przeszło kilka minut.

Stała w progu.

Po chwili ją podniosłem oczy.

— Byłaś w Lozannie.

Odpowiedziała:

— Tak.

— Czy chcesz, aby to była prawda?

Tego samego dnia wyjechaliśmy do Francji.

2

Zamieszkaliśmy na samym pograniczu Szwajcarii. Tu w tym czasie było ognisko dojrzewającej świadomości robotniczej. Kto nie znał pierwszej generacji Międzynarodówki, i to właśnie nie inteligentnych propagandzistów, lecz robotników, szczególnie z pewnych wykwalifikowanych gałęzi przemysłu, na przykład zegarmistrzów, ten utracił sposobność zapoznania się z jednym z najciekawszych i najpiękniejszych momentów powstawania nowoczesnej świadomości.

Czytaliśmy i czytamy wszyscy natchnione, pełne entuzjazmu charakterystyki purytanów<sup>352</sup> angielskich lub kolonistów amerykańskich<sup>353</sup>. Zjawisko, z jakim mieliśmy tu do czynienia, było głębsze i bardziej skomplikowane. Dotychczas u wszystkich znanych typów działaczy dziejowych odpowiedzialność występowała w formie zamaskowanej. Idea poruszająca ich była poza nimi. Gdy nawet czuli się oni absolutnie z nią zjednoczeni, to jeszcze i wtedy była ona w nich obecna jako coś uświęcającego ich, stwarzającego ich prawa i obowiązki. Rozum działania był zawsze poza działaniem. Tu byli żywi ludzie, czujący odpowiedzialność swą jako tacy, odpowiedzialność już nie wobec Boga, idei, lecz wobec równie, jak oni, żywych ludzi. Pierwiastek świadomego stwarzania historii nigdy nie był jeszcze tak bezpośrednio realizowany i odczuwany. Jaka duma i szlachetna godność była w tych ludziach, jakie poczucie prawdy, jakie zrozumienie, że stwarzają oni przyszłe życie pokoleń nieustannie. Tu nie było rozdziału między człowiekiem publicznym a prywatną, pojedynczą jednostką, pomiędzy sumieniem wytwarzającym nakazy moralne a konkretnym, praktycznym życiem.

<sup>352</sup>*purytanie* (z łac. *puritas*: czystość) — wyznawcy purytanizmu, ruchu religijno-społecznego w XVI i XVII-wiecznej Anglii, dążącego do zwiększenia czystości doktrynalnej Kościoła anglikańskiego oraz propagującego wstrzemięźliwy tryb życia. W 1640 zdominowali Izbę Gmin w parlamencie, uchwalili szereg ustaw ograniczających władzę królewską, co doprowadziło do wojny domowej zwanej rewolucją angielską, zakończonej zwycięstwem parlamentarzystów pod przywództwem Olivera Cromwella, publiczną egzekucją króla Karola I Stuarta i ogłoszeniem Anglii republiką (1649). [przypis edytorski]

<sup>353</sup>*kolonistów amerykańskich* — mowa o kolonistach angielskich w Ameryce Płn., którzy zbuntowali się przeciwko monarchii angielskiej i w wyniku tzw. rewolucji amerykańskiej (1775–83) uzyskali niepodległość dla swoich 13 kolonii, które utworzyły republikę federacyjną: Stany Zjednoczone Ameryki. [przypis edytorski]

Rewolucja

Na mnie otoczenie to działało zbawiennie i uzdrawiająco. Był to czas całkowitego zharmonizowania mojej istoty. Kochałem i byłem szczęśliwy, czułem, że moja miłość, ja, moja żona, cały nasz dom — otoczone są atmosferą szacunku tych zacnych, pięknych ludzi, których znaliśmy. Znikły pałace, bolesne rozdwojenia, ja — Michał Kaniowski, jako taki, czułem się w zgodzie z sobą. Już nie szukałem posłannictwa. Tłumaczyłem na rosyjski duże przyrodnicze dzieło, miewałem referaty w kółku robotniczym, Katia pracowała na równi ze mną. Nie zapomnę nigdy tych dni szczęścia wśród świeżej, zielonej przyrody. Byłem po raz pierwszy w życiu przekonany, że jestem obecny przy czymś, co stanie się przyszłością. Tu żyje i rodzi się tylko to, co ma prawo żyć, nic obcego, niszczącego życie.

Głębokie wrażenie wywarł na mnie wypadek, jaki zdarzył się w naszej wiosce. Mieszkał tu pomiędzy innymi Aldy, robotnik-introligator, z żoną. Aldy był niepospolitym człowiekiem. Należał on do najdzielniejszych szermierzy ruchu robotniczego podczas drugiego cesarstwa<sup>354</sup>. Miał prześliczną, wielką lwią głowę, otoczoną czarnymi, kędzierzawymi włosami i takim samym zarostem; spod groźnie namarszczonych brwi i potężnego, sklepionego czoła wзираły oczy aksamitnie miękkie, niewypowiedzianej dobroci. Aldy nie pracował już w swym zawodzie. Pisał on płomienne broszury. Był przy tym chory. Nie było żadnych wątpliwości, że nawet jeżeli będzie żyć, nie będzie zdrowy nigdy. Żona jego była piękną, wysoką kobietą o kasztanowatych włosach i oczach zielonkawych, przejrzystych i zmiennych jak woda morską. Katia polubiła bardzo Eleonorę i bywała ona u nas często. Była smutna. Przypisywaliśmy to chorobie męża. Aldy przychodził też do nas. Lubiał, jak się zdaje, mnie, lubił jeszcze bardziej Katię.

Któregoś dnia rzekł do nas:

— Dzisiaj przyjdźcie do mnie, będę potrzebował przyjaciół.

Przybyliśmy o wskazanej porze. Eleonora była zmieszana, na twarzy jej płonęły gorączkowe wypieki.

W pokoju był nieznan nam młody człowiek. Był tak piękny, że nie chciało się od niego odrywać oczu.

Gdyśmy weszli, Aldy przedstawił go nam:

— Henri Romain — rzekł — kochajcie go, proszę, jak ja go kocham, jest to przecież mąż mojej Eleonory.

Ostłupieliliśmy.

Aldy roześmiał się swoimi dobrymi oczyma.

— Chciałem — mówił — byście byli obecni i zobaczyli, co robią ze mną te niedobre dzieci. Kochają się. Czy można jego nie kochać? Niech powie otwarcie pani Katia, czy można nie kochać Romaina. A pani jeszcze o nim nic nie wie: on wyrzeźbił *Pracę*... On jest poetą. Mój najdroższy syn. Zawsze myślałem: stary Aldy, umrzesz i cóż zostawisz Romainowi? Miałem jeden skarb, ale nie mogłem nim sam rozporządzać. Chodziłem i myślałem, co stanie się z Eleonorą. Gdyby ją kochał Romain, jakież by pisał wiersze. A te głupie dzieci męczą się i nie mówią nic. Niech stary Aldy umrze bez pociechy. A ja przecież chcę być jeszcze dziadkiem. Był czas — Eleonora była moją żoną... Teraz przeszedł ten czas. Ho, ho, Romain, nie noś tak dumnie głowy. Był czas, kiedy byłbym ci ją odbił. No, ale teraz nie bój się: *le vieux Aldy ne danse plus*<sup>355</sup>. Ale jeszcze raz zatańczę, gdy będę dziadkiem. No, i powiedzcie mi, czego ona płacze. No, i ten także...

Eleonora szłochała jak dziecko.

— No, czegoś płaczesz, maleńka? — mówił Aldy. — Czy ja ciebie nie kocham? Mylisz się. Kocham i gdybym był jeszcze młody... No, mówię wam, pocałujcie się przecież. — Popchnął ich ku sobie, zmusił, by się uściskali, przycisnął do piersi obie te cudne głowy.

Katia schwyliła rękę jego i podniosła do ust.

— *Décidément* — rzekł Aldy — *je deviens patriarche*<sup>356</sup>. Ależ nie całuj mnie w rękę, moje dziecko — i pocałował zarumienioną Katię w usta.

Sprowadzono wino.

<sup>354</sup>*Drugie Cesarstwo Francuskie* — okres w historii Francji od koronacji Napoleona III na Cesarza Francuzów (grudzień 1852) do jego detronizacji i proklamowania III Republiki Francuskiej (wrzesień 1870). [przypis edytorski]

<sup>355</sup>*le vieux Aldy ne danse plus* (fr.) — stary Aldy już nie tańczy. [przypis edytorski]

<sup>356</sup>*Décidément (...) deviens patriarche* (fr.) — Zdecydowanie (...) zostanę patriarchą. [przypis edytorski]

I cały wieczór już potem panował swobodny, wesoły ton.

Tak jak i nic nie zamięliło pogody i później, gdy Aldy zamieszkał przy młodych, jak się wyrażał.

W naszym otoczeniu nie wymagał ten fakt komentarzy. Cześć dla Aldego wzrosła, a przecież było to wśród Francuzów. *L'esprit gaulois*<sup>357</sup> miał dobry smak i zamilkł. Jestem przekonany, że ta wytworność, ta szlachetność, która cechuje wszystkich we florenckiej sztuce i literaturze, została wniesiona przez element społecznie i duchowo pokrewny temu, który nas otaczał. Tu, pomiędzy tymi robotnikami, żyło się istotnie w najwyższej arystokracji. Była to prawdziwa elita ludzi, *le pur sang*<sup>358</sup> nowoczesnego społeczeństwa.

Nigdy nie widziałem potem już, za wyjątkiem pewnych kółek rosyjskich i Paryża podczas Komuny<sup>359</sup>, takiej bezwzględnej szczerości i szlachetności. Rozumiano się tu bez słów. Każdy był zawsze pewien, że inni postąpią w każdej okoliczności najszlachetniej i liczył na to maksimum wspaniałomyślności.

Rozmawialiśmy często z Aldym. Był to umysł nadzwyczaj pogodny. W broszurach i artykułach, jakie pisał, wybuchał wspaniałym oburzeniem, ile razy stykał się ze złą wiarą czy przemocą, gdy jednak zwracał się ku swoim własnym zapatrywaniom, stawał się cichy jak jasny wieczór dnia letniego. Zwycięstwo jego idei nie przedstawiało mu się nigdy jak krwawy wybuch. Gdy tylko jasna myśl jego wkraczała w świat swobodnej, rządzącej sobą pracy, otaczała ją ta atmosfera krystaliczna, gwiazdziste szczęście.

— Poczucie dobrego sumienia — mówił Aldy — to najlepszy źródło letejski<sup>360</sup>. Człowiek wtedy zapomina tak szybko. Nowa krew zaczyna krążyć w żyłach, a z nią nowa dusza, która nie ma już w sobie jadu krzywd i nie zna krzywdzicieli. Lud pracujący nie jest nigdy mściwy. Mściwy jest i w krew wierzy tylko ten, kto nie zna pracy, kto ma wolę, a nie umie jej użyć. Praca uczy i ukazuje, jak powoli pod dłoń naszą wyrasta niby dziecię nasze to, czego pragniemy. Czy można nienawidzić dziecka swego? Ja mam wrażenie, że w stosunku robotników do świata i życia jest jakby coś ojcowskiego. Nikt nie wie, co dzieje się dziś w umysłach robotników Francji. To nie idzie tak szybko. To przecież nie o formę już chodzi. Człowiek sam musi się zmienić. To tak jak odnowienie krwi.

Gdy od takich refleksji odrywał go fakt jakiś świadczący o sile przemocy i ucisku, Aldy bladł i mienił się. Wtedy chwycił za pióro i pisał artykuły, które następnie obiegały wszystkie suteryny i warsztaty.

Stała się zaś właśnie w sąsiednim miasteczku, leżącym też na terytorium Francji, rzecz straszna.

Istniał tam jakiś przytułek dla dzieci, prowadzony przez jakąś zakonnice, czy ekszakonnice. Były tam dzieci drobnych rzemieślników, wszelkiej biedy. Już od pewnego czasu krążyć zaczęły co do tego, co się dzieje w przytułku, głuche i niepokojące wieści. I nagle zawrzało. Siedemnaście dziewczynek w wieku od lat trzech do ośmiu uległo syfilitycznemu zarażeniu. Wszystkie one były gwałcone przez dwóch czy trzech księży, pod opieką których pozostawał zakład. Dzieci opowiadały rzeczy straszliwe, od których ścinała się krew. Mieliśmy znajomych w szpitalu, udaliśmy się tam — ja, Katia i Aldy. Lekarz, stary człowiek, znany z nabożności swej i religijnych uczuć, chodził po pokoju przyjęć błady jak trup, z sinymi plamami na twarzy. Znał on Aldego, z którym spierali się nieraz na zebraniach robotniczych w Genewie. Teraz zobaczywszy go, podszedł i ściskając go za rękę, rzekł:

— To straszliwe, straszliwe. Patrzę na te biedactwa i myślę, że to nie może być prawdą, że tam w górze nie ma nikogo, a potem myślę znów, że jeżeli tak, jeżeli to wszystko jest tylko olbrzymim naturalnym procesem bez przyczyny, bez końca, jeżeli we wszystkich tych przetworzeniach nie ma żadnej myśli, żadnego sumienia, to któż wyrówna potworną okropność wobec tych dzieci. One tak przeminą na wieki, bezgranicznie pokrzywdzone.

Praca, Robotnik, Zemsta,  
Ojciec, Dziecko

Dziecko, Ksiądz, Seks

<sup>357</sup>*L'esprit gaulois* (fr.) — duch galijski (tu: francuski). [przypis edytorski]

<sup>358</sup>*le pur sang* (fr.) — czysta krew. [przypis edytorski]

<sup>359</sup>*Komuna Paryska* — krwawo stłumione powstanie ludności Paryża w dniach 18 marca–28 maja 1871 roku. [przypis edytorski]

<sup>360</sup>*źródło letejskie* — w mit. gr. Lete to rzeka zapomnienia w podziemnej krainie zmarłych: lęk jej wody miał przynosić duszom utratę pamięci o przeżytym życiu. [przypis edytorski]

Mała trzyletnia Klarcia o czerwonych, ropiejących oczach, ustach pokrytych białymi krostami, patrzyła na nas z trwogą, gdyśmy weszli. Wsunęła się w kąt swojego łóżeczka i jej ciało, szkielecik pokryty żółtą skórą, drżało.

— No... Klarcu, nie bój się — powiedział lekarz — tu nie przyjdzie ani ojciec Lino, ani siostra Elżbieta.

Dziecko poważnie popatrzyło na niego i powiedziało:

— Boję się.

Gdyśmy zblížali się ku niemu, z gardła dziewczynki wydarł się straszny, chrapliwy krzyk rozpacz, twarz stała się purpurowa.

— Klarcu, Klarcu — uspokajał lekarz — patrz, przecież to jestem ja, twój przyjaciel.

— Toś ty wypędził Elżbietę — powiedziało dziecko, przypominając sobie coś z chwytym. — Ona zrobiła się taka mała, taka szara jak mysz, kiedyś ty krzyknął.

— Tak — rzekł lekarz — a jego — tu wskazał na Aldego — boi się ona jeszcze więcej.

Aldy stał nieruchomy i płakał.

— Czego on płacze? — pytała mała. — Jeżeli się on nie boi ani Elżbiety, ani Lina, dlaczego on płacze, on jest przecież duży.

Otaczały nas inne dzieci.

— A mnie — mówiła jedenastoletnia dziewczynka — mówił ojciec Lino, że ja mam ładne włosy i piękne oczy, ale że ja nie powinnam być z tego dumna.

— Ojciec Filip był zabawniejszy — mówiła duża, pulchna blondynka — on śpiewał tak: *viens poupoule, viens poupoule*<sup>361</sup>, i uczył tańczyć. Ach, jakie to było zabawne. Kupił wtedy słodkiego wina i sam tak podkasał swój długi, czarny surdut — pokazała na sobie — i tańczył tak — i mała zaczęła tańczyć całkiem poprawnie kankana<sup>362</sup>.

— Daj pokój — rzekł lekarz.

— Ojciec Filip był wesoły.

Na uboczu trzymała się czternastoletnia dziewczyna w czarnej sukience, o chudej twarzy. I zobaczywszy doktora, krzyknęła:

— Ja nie pozwolę się badać! Wypuście mnie stąd, wypuście mnie stąd! Co wyście zrobili z siostrą Elżbietą, z ojcem Filipem? Wypuście mnie, ja tu nie chcę być. Wy jesteście wszyscy francmasoni<sup>363</sup>, niedowiarki. Ojciec Filip mi mówił. Wypuście mnie, nie pozwolę się badać.

— Ma silną histerię — rzekł doktor, gdyśmy wyszli — i to samo, co inne. Krzyczy, gdy się ją bada, gdy się ją o co pyta. Woła, że ojciec Filip opowiedział już wszystko słodkiemu sercu Jezusa i że to jest tajemnica.

Gdyśmy wyszli na ulicę. Katia miała wypieki na twarzy:

— Co zrobimy teraz? To przecież nie może tak przejść. Musimy coś zrobić.

— Nie ulega wątpliwości — rzekł Aldy.

Miasto wrzało.

Na każdym placu tworzyły się nieustannie grupki ludzi, rozpraszane przez policję i żandarmów. Rozległy się krzyki:

— Precz z kościołami!

— Śmierć jezuitom!

Na jednym z placów tłum otaczał kościół i ciskał kamieniami w okna. Szyby pękały z trzaskiem. Dusza tłumu rozplamiała się w tej atmosferze ogólnego oburzenia. Kobiety prawie wszędzie przewodziły.

— Krew naszą ssą pijawki!

— Oddajcie nam nasze dzieci!

— Wynieście waszego Jezusa i niech da naszym dzieciom zdrowie. Jeżeli nie może, to wszystko jest kłamstwo!

— Macie go przecież tam w tym złotym kielichu.

<sup>361</sup>*viens poupoule, viens poupoule* (fr.) — chodź lalczko, chodź lalczko. [przypis edytorski]

<sup>362</sup>*kankan* — żywy, skoczny taniec popularny w kabaretach francuskich w 2. poł. XIX w., charakteryzujący się wysokim unoszeniem nóg przez tancerki; był uważany za skandalizujący. [przypis edytorski]

<sup>363</sup>*francmasoni* (z fr. *franc-maçons*) — dziś: masoni, wolnomularze, tj. członkowie ruchu powstałego w XVIII w., mającego na celu moralne i społeczne doskonalenie człowieka, braterstwo ludzi różnych religii, narodowości i poglądów. [przypis edytorski]



— Kazaliście nam składki zbierać na kielich.  
 — Niech teraz wróci zdrowie dzieciom.  
 — No, jeżeli on tam jest — niech wyjdzie! — wołał tłum i śmiał się.  
 — Oni teraz schowali się tak jak ślimak w skorupę.  
 — No... no... teraz jest odpowiednia chwila na cud...  
 Na progu kościoła ukazał się siwy człowiek w fioletowej sukni księżej.  
 — Śmierć mu!... — zawył tłum.  
 — *Mort à calotins*<sup>364</sup>. Śmierć gwałcicielom naszych dzieci...  
 — Moi bracia — rzekł staruszek — boleję wraz z wami.  
 — Nie gadać! Nie gadać! — wył tłum. — Pokaż nam twojego Boga, niech zrobi cud.  
 — Bogu nikt nie rozkazuje. Jest to próba, którą on zsyła na nas.  
 — Niech da zdrowie dzieciom lub zamknijcie waszą budę.  
 — Precz z księżmi!  
 — Śmierć, śmierć gwałcicielom!  
 Tłum sunął groźny ku starcowi.  
 Aldy wskoczył na jakieś podniesienie.  
 — Jestem socjalista, Aldy — zawołał — robotnik, jeden z waszych; puśćcie precz tego człowieka. Niechaj idzie obciążony waszą pogardą.  
 — Ja przyjmuję wszystko jako dopust boży.  
 — Dość słów — rzekł Aldy. — Powiadacie, że jesteście sługami bożymi, że wiecie lepiej od innych, czego chce Bóg. Żyjecie po to, aby On mógł na was patrzeć z upodobaniem, wierzyście w Boga. Pójdź i połóż swe ręce na głowy tych dziewczątek i proś, niech im wróci Bóg nieświadomość dusz i zdrowie ciała.  
 — Nie będziesz kusił Pana twojego.  
 — Gdzież są wasi święci, których słucha Bóg, niech wystąpią i zrobią cud...  
 — Świętych, świętych, świętych! — krzyczał lud. — Oplacamy was, abyście byli świętymi.  
 — Święci nie każdego dnia się rodzą — odpowiedział stary ksiądz.  
 — Nie macie wiary i nie macie świętości... Pokłoń się ludowi i powiedz, żeś zblądził, przyznaj, że nie ma u was wiary.  
 — Oo... teraz niełatwo się wykręcić.  
 — Opowiada się o cudach w Palestynie.  
 — Tu zrób cud!  
 — Bracia! — rzekł Aldy. — Odwróćcie się od domu umarłych. Tu nikt nie mieszka. Tu mieszka fałsz i obluda. Tu mieszka pustka i kłamstwo. Przekonaliście się, że ludzie ci nie wierzą sami w to, co mówią.  
 — Wierzę! — krzyknął głos młody i namiętny.  
 Młody ksiądz z energiczną twarzą i o płonących oczach stał obok starca.  
 — Dowiedz mi swej wiary — rzekł Aldy. — Pójdź do szpitala i uzdrów dzieci.  
 — Nie — rzekł ksiądz — Bóg przeklął was i wasze dzieci, niewierne plemię. Kłątwa boża nad wami. Gniew boży dotyka nawet pasterzów waszych. Zgnilizna jest w was i pada na dusze. Do kościoła i na kolana błagać Pana!  
 — Kamieniami tego psa!  
 — Wy szerzycie zgniliznę!...  
 — Zabić go, zabić!... Do rzeki z nim!  
 Tłum schwytał księdza i nim zdołaliśmy się spostrzec, ciągnął go już po ulicy. Ciało wlokło się po ziemi.  
 Aldy wskoczył w tłum.  
 Razy sypały się na niego.  
 — Puśćcie go, puśćcie go.  
 I z wielkim trudem udało się nam wyrwać księdza z rąk kilku kobiet. Musieliśmy odprowadzić go do mieszkania, gdyż ledwo trzymał się na nogach, za nim biegł tłum, krzycząc, wyjąc i ciskając kamieniami.  
 Jeden z nich ranił dość mocno Aldego w głowę. Ksiądz chciał koniecznie, abyśmy

Bunt, Ksiądz

Kobieta, Dziecko, Krzywda,  
 Ksiądz, Kłamstwo

<sup>364</sup>*Mort à calotins* (fr.) — śmierć klechom. [przypis edytorski]

weszli do jego mieszkania. Katia nie chciała o tym słyszeć nawet. Stała blada, z płonącymi oczami.

— Nie umiem wybaczać — mówiła. — Krzywdy dzieciom i kobietom wyrządzonej nie można wybaczać. Nie powinno się wybaczać takich krzywd.

— Nie ja — rzekł ksiądz.

— Pan — odpowiedziała — pan. Pan także szerzy kłamstwo. Pan jest oplacany za to. Pan także powtarza z kazalnicy: „Pozwólcie maluczkiemu przyjść do mnie”. I one wierzyły panu te maleństwa. Przecież powtarza jedna z nich: „Ojciec Filip opowiedział już to wszystko słodkiemu sercu Jezusa”. Aldy pana obronił, nie trzeba było.

— Katia! — powiedziałem zdumiony, nie poznawałem jej.

— Ty nie wiesz — mówiła mi ona tego wieczora, kiedyśmy wracali do domu — ty nie wiesz, co to jest kobieta skrzywdzona w ten sposób, ty nie wiesz, co to znaczy taka krzywda. Was, mężczyzn, nie śmie nikt skrzywdzić w ten sposób: nie może w was tak do dna, tak całkiem już zatruć życia. Zdaje się, że każda kropla krwi staje się jadem, że każde włókno duszy jest zdeptane i zbrukane. Tego ty nie rozumiesz. I dlatego kobieta tylko może mieć prawdziwą, nieprzebaczającą nienawiść. Wy, mężczyźni, możecie znać gniew oburzenia. Nie nienawiść. Nienawidzi tylko ten, kto czuje, że nigdy już nie uczyni niebyłym, nieistniejącym tego, co się stało.

Do końca życia będę już tym, czym jestem: kobietą, którą bił jej mąż, nie, jej pan, jej właściciel, ona czepiała się jego rąk, jego nóg i całowała te ohydne, włosem porośnięte ręce, całowała i skowyczała, skamlała tak długo, póki nie rzucił nahajki i nie raczył ją obdarzyć swą miłością. Rozumiesz, oplatałam tymi oto ramionami jego ohydny kark, piłam z jego ust rozkosz. Słyszysz, czułam rozkosz w tym, że byłam jego ścierką, jego rzeczą. Czułam rozkosz, kiedy pokrwawiwszy mi ramiona kańczugiem, brał mnie w swoje objęcia. Wtedy, wtedy, w ten wieczór byłabym obita przez jego lokaja, pokaleczona, zdeptana, drżąca w jego ramionach, byłabym go całowała, byłby mnie miał całą, pokonaną, posłuszną. Czy ty to rozumiesz, czy ja zdołam kiedy wyrwać z siebie to wspomnienie? Zapomnieć można to, co się uczyniło, nigdy to, co uczyniono z nami, co w nas wrosło. Przecież to wspomnienie to nie jest myśl, coś, co ja mogę odrzucić — to jest moja krew, to moje ja. Przecież teraz, kiedy tobie oddają się, czuję w sobie tę samą nałożnicę tamtego, czuję, że to ona żyje wciąż we mnie, ona dyszy rozkoszą, ona drży w uściskach, mdleje — to wszystko jest we mnie. Ja nie mogę darować, przebaczyć, zapomnieć. To już będzie we mnie do końca dni. Nienawidzę, nienawidzę samej siebie, wszystkiego. Czy ja wiem, może ja pragnę gdzieś na dnie duszy znów tego, aby być bitą, deptaną, abym znowu czuła się rzeczą, niewolnicą, zwierzęciem dającym rozkosz. Wy, mężczyźni, nie możecie wiedzieć, co dzieje się w kobiecej duszy. Wy lekko bierzecie życie. Wy mówicie o prawie, o urządzeniach, formach ekonomicznych i państwowych. To wszystko człowiek stwarza na powierzchni i w słońcu. To wszystko jest posłuszne jego woli, zależne od niego, na zewnątrz istniejące poza człowiekiem. To jest to, co on czyni. Zniszczy jeden świat fałszu i stworzy nowy. Tu łatwo o zapomnienie i zgodę. Ale kto zmieni krew ludzkości? Kto nam da nową krew? My jesteśmy samym nurtem życia, wytryskającym z jego mrocznych głębi. My jesteśmy głosem krwi, który woła o pomstę. My jesteśmy kapłanki tej bogini Hekate<sup>365</sup>, której imię ze strachem wymawiali starożytni. Ona przychodzi, mścicielka podeptanego życia, krwi ludzkiej przelanej na próżno. Ona nie zadowala się zewnętrznymi zmianami. Jej nie wystarczają ofiary spełniane w słońcu, ona wymaga zemsty tak strasznej, jak straszną jest ta ohyda, którą noc spełnia nad człowiekiem. Krwi potrzeba. To tylko czujemy my, kobiety: krew sama ludzkości musi być zmieniona. Rozumiesz! Samo życie gwałcicieli i tyranów jest niebezpieczeństwem, oni są zawsze niebezpieczni dla nas, bo oni zatrują samym swym istnieniem krew ludzkości, krew przyszłych pokoleń. Krew musi popłynąć, mrok musi ją wchłonąć, jeżeli ma być zwycięstwo: wyzywam, wywołuję boginię Hekate, niech przejdzie nad miastami i niech weźmie ofiary, niech weźmie odwet.

Na drugi dzień Katia pojechała znów do miasteczka, w którym wzburzenie rosło. Na próżno wraz z Aldym usiłowaliśmy ją uspokoić. Katia obecna niepodobna była do tej, którąśmy znali. Teraz wyprostowała się ona niejako w naszych oczach, wyrosła w wyniosłą, olbrzymią postać kobiety mścicielki.

Kobieta, Krzywda,  
Nienawiść, Męczyzna

Bunt

<sup>365</sup>Hekate (mit. gr.) — bogini ciemności i magii, pokuty i zemsty. [przypis edytorski]

Widziałem ją, jak na czele tłumu kobiet szła na szturm jakiegoś klasztoru: pierwsza szła w szeregu z pochodnią w ręku.

— Śmierć, śmierć niszczycielom życia! One nie będą nigdy już czyste i zdrowe. W nich zabito młodość i miłość. Śmierć za to! Zabito w nich szczęście macierzyństwa — śmierć!

Klasztor został wzięty, jak gdyby załapała go fala.

Posypały się na podwórze książki ascetyczne, obrazki, szkaplerze, krucyfiksy. Katia podpałała stos. Mniszki uciekały przerażone. Stary kapelan ze strachu wil się, gdy wywalano bramę klasztorną. Policja nie śmiała atakować tłumu. Poza kobietami stała mroczna, zwarta masa robotników. Posłano po wojsko — ale Aldy kazał uprzednio już poprzecinać druty telegraficzne.

Miasteczko było w ręku ludu, a ludem rządziła Katia.

Po klasztorze kobiecym przyszła kolej na seminarium. Księża usiłowali organizować samoobronę z kleryków, ale byli oni po większej części synami miejscowej ludności, matki ich szły w pierwszym szeregu napastników.

Starszy wikary został wypoliczkowany przez matkę swą, rybaczkę, w bramie seminarium.

— *Tu vas défendre ces saletés-là, les saligauds!*<sup>366</sup> — wrzeszczała stara, a tłum potakiwał.

— Rozciągnij go na kolanie, matko Lino, niech popróbuj, a lepiej go, lepiej, niech wie, co to jest matka. Wychowujemy ich przeciw z własnych oszczędności, z twardej pracy, z groszy uciulanych, a oni później hańbią naszą starość.

— Rzuć mi sutannę, durniu — mówiła matka Lina do syna — rzuć, mówię ci, to paskudztwo. Nie pozwalam ci pozostawać w tym gnoju.

— To poświęcone — wył wikary.

— Cały jesteś poświęcony! — krzyczała rybaczka. — Ot, patrz i — klak, klak — masz po poświęcaniej twojej twarzy.

— Hi... hi... matka Lina tego bierzmuje! — wołał zakrystian<sup>367</sup>.

Wikary usiłował coś powiedzieć. W głowie jego musiały migotać rozpaczliwe myśli o zmarnowanej na zawsze karierze. Nie zrobi się przecież biskupem człowieka tak radykalnie ośmieszonego.

— Pan nasz powiedział: „Rzucisz dom twój i matkę swoją...”<sup>368</sup> — zaczął z namaszczaniem.

— Sama cię rzucę, mam cię gdzieś! — wołała stara, popierając słowa demonstracją *ad oculos*<sup>369</sup>.

Ale nie był to koniec przygód.

W drzwiach seminarium stawał rozpaczliwy opór młody człowiek w świeckim ubraniu, niesłychanej siły i brzydoty. Dodawał on sobie otuchy okrzykami w jakimś narzeczu, którego nikt nie rozumiał.

— To jest nawrócony Chińczyk! — wołały kobiety.

— To jest tresowany diabeł — śmiały się inne, te, które były dalej, gdyż tresowany czy nietresowany obrońca wiary nie żartował.

— *Swołocz* — wykrzykiwał on — *swiataja wiera, bożji ugodniki, poszli, swołocz!*<sup>370</sup>

— Oszałał bałwan! — krzyknęła Katia po rosyjsku. — Koruta, ośle jeden, czego ty bronisz tych łotrów, oni dzieci gwałcili!

Koruta — on to był we własnej osobie — usłyszawszy rosyjski język i własne nazwisko, zgłupiał i stał przez chwilę z roztworzonymi ustami i osłupiałym wzrokiem.

— No, bijże tych łajdaków — krzyczała Katia. — Słyszysz przecież, dziewczynki gwałcili!

Koruta wydał jakiś chrapliwy ryk, uderzeniem nogi wywalił drzwi i po chwili widać go było, jak dusił za gardło jakiegoś wysokiego księdza.

<sup>366</sup>*Tu vas défendre ces saletés-là, les saligauds!* (fr.) — Będziesz bronił tych plugawców, tych łajdaków! [przypis edytorski]

<sup>367</sup>*zakrystian* — sługa kościelny opiekujący się świątynią, przedmiotami liturgicznymi (naczyniami i szatami) oraz przygotowujący kapłanów do obrzędów w kościele rzymskokatolickim. [przypis edytorski]

<sup>368</sup>*Rzucisz dom twój i matkę swoją...* — parafraza fragm. Mt 19,29. [przypis edytorski]

<sup>369</sup>*ad oculos* (łac.) — dosł.: do oczu, przed oczy; naocznie. [przypis edytorski]

<sup>370</sup>*Swołocz (...)* *swiataja wiera, bożji ugodniki, poszli, swołocz!* (ros.) — *Swołocz...* święta wiara, służy Boże, przecz, swołocz! [przypis edytorski]

— I tyś gwałcił dzieci — ryczał — ty szyzmatyku<sup>371</sup>, ty siło nieczysta!

Koruta, jak się okazało, był guwernerem u jakiejś generałowej, która zdołała się nawrócić na katolicyzm. Ona to posłała go na odsiecz seminarium, oblężonego przez buntowników. Koruta przypomniał sobie, że zawsze wierzył w Boga, i polecał na obronę. Generałowa stała teraz na platformie schodów i piszcziała:

— *Monsieur Koruta! Monsieur Koruta!*<sup>372</sup>

Na rękę trzymała jakiegoś bezwłosego psa, który ujadał.

Gdy Koruta nie zwracał uwagi na krzyki, dama zaczęła targać go za ramię, pies pomagał jej zębami.

— Poszła precz, świnia! — krzyknął Koruta w twarz jej ekscelencji. — Ty czego między nich zalazła? Romansów zachciała. A ty też! — krzyknął na psa i chwyciwszy go za tylne nogi pobiegł, wymachując nad głową tłumy wyjąłym i wijącym się zwierzęciem niby maczugą.

— Moje dzieci — zaczął przemowę opasły dziekan, lecz w tej chwili oniemiał: nad głową tłumy przeleciało coś i ugodziło go, wijąc się i wrzeszcząc, w obwisły brzuch.

Wydzierała się też do dziekana stara Lina.

— Ty także mnie musisz pocałować!

Katia tymczasem niszczyła książki i emblematy religijne.

Wieczorem tego dnia znaleźliśmy się w więzieniu. Wsadzono nas z Katią, Aldym i Korutą do jednej celi.

W sześć tygodni zaś oswobodził nas tłum. Napoleon III<sup>373</sup> kapitulował pod Sedanem. W Paryżu ogłoszono republikę. Pomknęliśmy wszyscy do Paryża, nie wyłączając Koruty, który wyrażał pewne wątpliwości, ale usłyszawszy od Katii, że jest głupi, uśmiechnął się i szedł za nami.

3

Nie będę opowiadał o Komunie. Każdy z nas zna tę historię miasta, które widziało, jak opasuje je zdrada, jak nakrywa je chytrą siecią kłamstwo, jak wykopuje potwarz przepaść pomiędzy nim a resztą Francji.

Kto wie, czym jest historia nowoczesna, niech się zapatrzy w ten widok miasta bohaterów i myślicieli — oddanego na łup zniszczenia przez plugawego karła. Skrofuliczny, przeżarty przez cynizm starzec Thiers<sup>374</sup> — morderca ludu — to symboliczna postać nowoczesnego mieszczaństwa. Przyjrzyjcie się temu człowiekowi. Handlował on już wszystkim: sławą wojenną i tchórzostwem giełdjarzy, wolną myślą i Chrystusem. Wypowiedział on tyle kłamstw, że już nie wie, gdy sam z sobą myśli, jakich używać wyrazów. Nie potrzebuje tego jego myśl — to jest nieustanne zadowolenie z siebie, z chytrności własnej i sprytu. Człowiek ten nie miał nigdy przyjaciela, nigdy z niczym nie był zrośnięty, węszył za biletem bankowym<sup>375</sup> i za korzystną różnicą w rachunku giełdowym; z czego ona wynika, wszystko jedno. Patriotyzm i rewolucja, Kościół i niewiara, despotyzm i republika — wszystko dawało mu zysk. Nie był on w stanie uwierzyć, że istnieje coś bezinteresownego. Gdy Bismarck obalił rząd koronowanego sutenera, alfonsa wszystkich idei — Thiers cały podzielony był między dwa uczucia: zazdrości dla szczęśliwego zwycięzcy i przebiegłej myśli, jakby wyszukać jakiś zysk dla siebie. W nim, w jego wytartej duszy kryło się to wszystko, co żyje z pracy cudzej, co żyje z ciemnoty i nędzy ludu. To wszystko drżało o swoją ojczyznę, o drogą Francję, która daje rentę. W poprzek ich dro-

<sup>371</sup>szyzmatyk (daw.) — dziś: schizmatyk; odstępca od wiary. [przypis edytorski]

<sup>372</sup>*Monsieur Koruta! Monsieur Koruta!* (fr.) — Panie Koruta! Panie Koruta! [przypis edytorski]

<sup>373</sup>*Napoleon III Bonaparte* (1808–1873) — bratanek Napoleona I, od 1848 prezydent Francji, w 1851 dokonał przewrotu, w 1852 ogłosił się cesarzem; w lipcu 1870 wypowiedział wojnę Prusom, w bitwie pod Sedanem (1 września 1870) skapitulował i oddał się wraz ze swą stutysięczną armią do niewoli, co stało się bezpośrednią przyczyną jego detronizacji oraz proklamowania III Republiki i utworzenia Rządu Obrony Narodowej. [przypis edytorski]

<sup>374</sup>*Thiers, Louis Adolphe* (1797–1877) — francuski historyk i polityk, zwolennik monarchii konstytucyjnej; w okresie II Cesarstwa przywódca liberalnej opozycji; mając 74 lata, po klęsce Francji w wojnie francusko-pruskiej jako szef rządu III Republiki przyjął 26 lutego 1871 roku propozycje pokojowe pruskiego kanclerza Bismarcka, po czym krwawo stłumił Komunę Paryską, rewolucyjno-patriotyczny zryw ludowy, zyskując przydomek „Krwawego Karła”; w latach 1871–73 prezydent Francji. [przypis edytorski]

<sup>375</sup>*bilet bankowy* — banknot, drukowane pieniądze. [przypis edytorski]

gi wyrosło olbrzymie widziadło miasta — bohatera, miasta, które walczyło do ostatka, miasta, które wrzało jak wulkan i tryskało ideami na świat cały.

Paryż, święte miasto ludzkości, nigdy nie był tak wielki, jak za czasów niezapomnianej Komuny. Rozpacziwa walka oczyściła atmosferę. Ludzie wśród niebezpieczeństw poczuli się braćmi: Paryż narodził się znów pod armatami i bombami jako stolica rozumu i ludzkości. Ludzie tu nauczyli się polegać na samych sobie, nauczyli się poprzestawać na sobie, nauczyli się jednoczyć w wielkim, codziennym dziele, nauczyli się umierać bez trwogi. Dusza Komuny rodziła się z bohaterskich wycieczek. Kiedy bomby Prusaków burzyły domy, kobiety paryskie wołały: „Do broni i na wały!”. Paryż robotniczy nie przestraszyłby się niczego, on zagrzebałby się w ruinach domów — stos trupów, które padły za wolność.

O tych ludziach mówiono, że nie kochali ojczyzny. O nich, którzy wołali do całej Francji: „Giń z nami!”.

Słyszałem Blanquiego<sup>376</sup>, jak wołał:

— Broń wszystkim Francuzom do rąk, będziemy bronić każdej piędzi ziemi. Broń narodowi, broń rękoma spracowanym!

Ale broń — to władza.

Thiers chciał Paryżowi ukraść nawet jego własne armaty<sup>377</sup>.

Widziałem, jak paryski lud robotniczy ścisnął je, te swoje działa, jak żywe istoty, jak przyjaciół, kobiety rzuciły im pod koła kwiaty w dniu, kiedy rodziła się święta Komuna.

Katia stała na jednej z armat i wołała:

— Kobiety Paryża, ani jednego pocałunku, ani jednego uścisku niewolnikom i tchórzom. Nie mogą być niewolnicy ojcami naszych dzieci, bo my nie chcemy rumienić się za nich. Wolnych ludzi rodzić chcemy, wolnych, nie żyjących ludzką krzywdą. Żony robotników, córki robotników, rodzić chcemy dzieci dla przyszłości, w której praca będzie swobodna!

Kobiety klaskały i wołały:

— Niech żyje! — niosły ją na ramionach, a ona wołała:

— Do broni! Do broni!

I taką widziałem ją przez cały czas.

Gdzie chwiał się jaki oddział sfederowanych<sup>378</sup>, ona chwyciła chorągiew i wołała:

— Wstyd wam będzie, gdy zginę.

Za nią biegł olbrzymi, zziąjany Koruta, wołając:

— *Vive la Commune!*<sup>379</sup> — jedyne chyba zdanie, jakie umiał po francusku.

Widziałem ją, jak stawała poza noszami, na których nieśli rannych i zabitych i wołała:

— Zemsty, zemsty! Nie zapominajcie, ilu już zginęło. Matki, posyłajcie synów, siostry — braci, żony — mężów. My, kobiety, wywalczymy przyszłość, my rodzimy dzieci, my nie chcemy niewoli na ziemi.

— Paryż się nie podda! — wołała, kiedy wersalczy<sup>380</sup> wchodzili. — Paryż się nie podda. My nie możemy, nie chcemy żyć w niewoli, umrzemy, zginieemy, by istnieć w pamięci, jako wielkie miasto przyszłości, stolica swobody!

I z pochodnią w ręku biegła podpalać gmachy, wołała o proch, dynamit i naftę.

— Zginać, zginać pod gruzami, a nie żyć w niewoli! Wołajcie o śmierć, śmierci wołajcie, córki Paryża!

<sup>376</sup>Blanqui, Louis Auguste (1805–1881) — francuski rewolucjonista, socjalista; z powodu swojego radykalizmu 37 lat spędził w więzieniach; twórca doktryny blankizmu, głoszącej, że należy skoncentrować się na działalności spiskowej, która doprowadzi do walki zbrojnej i zmiany ustroju bez konieczności angażowania mas; razem z Barbesem twórca i przywódca tajnego Stowarzyszenia Pór Roku, które w 1839 przeprowadziło nieudane powstanie w Paryżu; uczestnik rewolucji lipcowej (1830) i lutowej (1848); mimo że 17 marca 1871 przebywał poza Paryżem i został aresztowany przez Thiersa, jego zwolennicy (blankiści) odegrali dużą rolę w Komunie Paryskiej, zaś on sam został 28 marca 1871 wybrany jej honorowym prezydentem. [przypis edytorski]

<sup>377</sup>Thiers chciał Paryżowi ukraść nawet jego własne armaty — po podpisaniu zawieszenia broni podjął decyzję o wycofaniu z Paryża ok. 400 armat zakupionych z ludowych składek na potrzeby obrony miasta przed Prusakami, co wywołało oburzenie. Ponieważ wcześniejsze próby ich przejęcia nie przyniosły rezultatów, w nocy z 17 na 18 marca Thiers wysłał oddziały regularnego wojska po działa, jednak członkowie Gwardii Narodowej i paryżanie przekonali żołnierzy, by odmówili wykonania rozkazu i aresztowali dowódcę. Wydarzenia te zapoczątkowały Komunę Paryską. [przypis edytorski]

<sup>378</sup>sfederowani (fr. *fédérés*) — tu: bojownicy Komuny Paryskiej, komunardzi. [przypis edytorski]

<sup>379</sup>*Vive la Commune!* (fr.) — niech żyje Komuna! [przypis edytorski]

<sup>380</sup>wersalczy — wojska wierne rządowi Thiersa, rezydującemu w Wersalu. [przypis edytorski]

Ulica za ulicą wpadały w ręce wersalczyków. Rozpacz wdzierła się w najmężniejsze dusze.

Katia przechodziła od barykady do barykady.

— Nie poddamy się, nie poddamy się, umrzemy wolni.

*Elle ne se rend pas*  
*La Commune de Paris!*<sup>381</sup>

I wołała:

— Czego się obawiacie: śmierci? Przyjdzie i tak bezzębna starucha o lasce, przyjdzie, zasiądzie u poduszki waszej, konać będziecie dni i noce wśród mroku. Czy nie lepiej umrzeć z bronią w ręku? Czy nie lepiej umrzeć tak, jak jesteśmy teraz, półbogami, wolnymi na zawsze, takimi zostać?

Paryżanie, będę się broniła do końca, choćby sama. Kto ze mną?

I wznosiły się ku niej czarne od prochu ręce i wołały spieczona usta:

— Na śmierć! Umrzemy wolni!

— Kobiety! — wołała Katia — W ulice, w ulice, umierać przy braciach i mężach! Karabiny padają na bruk, dlaczego nie podnosicie karabinów? Kobiety będą walczyć, gdy zabraknie mężczyzn. Podła ta, co pragnie przeżyć Paryż! Paryż, wiecie co jest Paryż?

Miasto, które woła stuleciami: Nic nad człowieka, wszystko dla człowieka. Paryż, słowo tak święte, jak najświętsze ze wszystkich słów — człowiek.

My nie wołamy: Bóg i Ojczyzna. Tak wołają ci, którzy żyją grabieżą i mordem. Bóg to jest niewola dusz. Dusze muszą drżeć, aby ciała pracowały. Dusza Paryża nie drży.

My nie zaznamy już niewoli, nie będą się gięły nasze karki: wyprostowani i dumni pójdziemy w śmierć.

Spotkała mnie w przedostatni dzień na rogu jakiejś uliczki.

— Michale! — zawołała, kiedym ją mijał, nie widząc. — Myślałam, żeś już padł — mówiła — i pragnęłam pomścić twą śmierć. Jeszcze żyjesz?

Prochem czuć było jej ręce, twarz, włosy. Zapach prochu, powietrze walki owiało mnie od jej pocałunku.

— Teraz żyję — mówiła z rozdętymi nozdrzami, wsparta na karabinie. — Teraz żyję — już ja, nie niewolnica Moroszkina. Odkąd wiem, że umrę z bronią w ręku, zwycięska i nieulekciona, znów mogę myśleć o sobie bez wstrętu. Całuję ciebie swobodnymi ustami. Ustami, które śmierć zawrze na wieki. Dziękuję ci za życie walki. Dziękuję ci za dni w Paryżu, który płonie.

Kule świstały nam nad głową, kiedy ona mówiła jeszcze:

— Kochałam ciebie bardzo, bardzo cię kochałam, Miszuc.

I poszliśmy na swe posterunki.

Każdy poszedł, gdzie był najpotrzebniejszy.

Przedniej barykady bronił Koruta: *le prince Calmuc*<sup>382</sup>, jak go nazywali Paryżanie. Gdy brakło naboju, wrywał on głazy z bruku i cisnął.

Pomiędzy jedną salwą a drugą wołał:

— *Wersalskaja swołocz!*

i gdy odpierał atak, krzyczał:

— *Thiers swinja!*

Barykada jego dwa razy była wzięta; dwa razy spędzał on z niej wersalczyków i gnał ich aż na ich pozycję.

Za trzecim razem ugodziła go kula w serce, padł, z ustami rozwartymi w krzyku:

— *Wersalskaja swołocz!*

Widziałem Aldego, jak strzelał, siedząc, nogę miał zmiądzoną, u jego stóp leżał Ro-main z małą, czarną raną w skroni.

Widziałem, jak kula przeszła serce Aldego, gdy wołał:

— Umierać, umierać z bronią, robotnicy!

I widziałem wreszcie ją na bruku z piersią przesyętą bagnetem: leżała z zastygłymi

Śmierć bohaterska,  
Wolność

Pocałunek, Śmierć

Śmierć bohaterska

Śmierć bohaterska

Śmierć bohaterska

<sup>381</sup>*Elle ne se rend pas / La Commune de Paris!* (fr.) — Komuna Paryska się nie poddaje. [przypis edytorski]

<sup>382</sup>*le prince Calmuc* (fr.) — książę Kałmuk (Kałmucy to lud mongolski, którego część w XVII w. wyemigrowała i osiedliła się w dolnym biegu rz. Wołgi). [przypis edytorski]

oczami. Armata najeżdżała na jej ciało: koło mnie stało ze dwudziestu robotników, krzyknąłem i rzuciłem się naprzód.

Armata była nasza: w kołach jej utkwilo ciało Katii zdruzgotane w przeraźliwy sposób. Było to ostatnie zwycięstwo.

Padłem ranny. Ocalała mnie cudem prawie rodzina jakiegoś robotnika.

Dwoje starych ludzi strzegło mnie przez dwa miesiące w jakimś lochu.

Gdy wstał z łóżka i odjeżdżał, płakali: mieli pięciu synów przed Komuną, zostały im tylko ich bohaterskie imiona.

Ostatni, dwunastoletni, był tym, który zatrzymany przez wersalczyków, prosił o pozwolenie oddania matce zegarka i oddawszy, wrócił, aby paść pod jakimś murem przeszyty przez kule.

4

W Zurychu zastałem całe mnóstwo znajomych. Wracającego z pobojuwiska Komuny, opalonego w tym wielkim płomieniu dziejowym, przyjmowano z otwartymi rękami wszędzie. Poznałem teraz wielkiego rosyjskiego filozofa, Ławrowa<sup>383</sup>. Kiedyś, kiedy ludzkość oceni już i zrozumie ten olbrzymi i cudowny proces tworzenia i powstawania nowoczesnej świadomości, światopoglądu wolnej, rządzącej sobą pracy, Ławrow zajmie należne sobie miejsce obok największych i najbardziej zasłużonych: należy mu się ono z prawa jako temu, który przypominał nieustannie, że treść historycznego zadania, jeżeli ma być dokonane, musi się stać treścią życia ludzi, którzy pragną być świadomymi pracownikami historii. W czasie gdy zmechanizowanie powszechne zagraża nawet tym formom życia duchowego, w których samoistność jest najkonieczniejsza, w czasie gdy człowiek uczy się myśleć nawet o samym procesie historycznym, którego ma być świadomym współtwórcą, jako o czymś bezwiednie dokonywanym się poza jego plecami, Ławrow bronił zasad samodzielności człowieka. To, co człowiek czyni, musi on uważać za swoją odpowiedzialność, musi przyjmować odpowiedzialność za wszystko, w czym bierze udział, do czego przyczynia się całym życiem swoim — gdyż inaczej demoralizuje sam siebie. Zrzucanie z ludzi odpowiedzialności za ich czyny, przyzwyczajanie ich do tej myśli jest budowaniem i rozwijaniem w nich psychiki niewolniczej. Nasza swoboda sięga tak daleko, ten sam ma okres, co i nasze poczucie odpowiedzialności.

W sporach z miejscowymi europejskimi socjalistami, nowej, zmodernizowanej, parlamentaryzującej odmiany, Ławrow doskonale obnażał właściwą treść kryjącą się poza zasłoną naukowej wiary.

— Warunki ekonomiczne działają nieustannie, tak jak jakieś potworne młoty nie przestają kuć i pracować w wielkiej mennicy ludzkości — mówił on, uśmiechając się ironicznie. — Tak, tak, moi współobywatele, poprzestańmy na warunkach ekonomicznych, one już same przez się, bez waszej woli i wiedzy wykują z was: wyborców, wyborców, wyborców. Warunki ekonomiczne — mówił on — są jak mennica wytwarzająca w geometrycznej progresji<sup>384</sup> biuletyny; biuletyny rosną, rosną, aż Bismarckowi głowa łysieje, nieprawdaż, moi przyjaciele?

W tym czasie parlamentaryzm stawiał dopiero pierwsze kroki w socjalizmie europejskim. Ławrow miał słuszność jednak już i wtedy, mówiąc:

— Byle tylko te warunki ekonomiczne nie zapomniały wykuć inteligencji w panach posłach.

Miejscowy leader grupki socjalistycznej, adwokat Ehrlich, pan o pięknej brodzie i wielkiej inteligencji, która pozwoliła mu ożenić się z córką milionowego piwowara, oczarowanej przez głębokość jego filozoficznego światopoglądu, piękny głos i nie mniej piękne łydki, którymi popisывał się on, chodząc w turystycznym kostiumie, nie posiadał się z gniewu wobec tego zacofania rosyjskiego. Postępowość zaś Ehrlicha miałem sposobność ocenić przy sposobności więcej niż poważnej.

<sup>383</sup>Ławrow, Piotr Ławrowicz (1823–1900) — rosyjski myśliciel, publicysta i działacz rewolucyjny; twórca rosyjskiej szkoły subiektywnej w socjologii i filozofii; jeden z głównych, obok Bakunina i Michajłowskiego, ideologów ruchu narodnictwa; po zamachu Karakozowa na cara Aleksandra II aresztowany i skazany na zesłanie, z którego w 1870 zbiegł do Europy Zachodniej. [przypis edytorski]

<sup>384</sup>geometryczna progresja — dziś: postęp geometryczny a. ciąg geometryczny. [przypis edytorski]

W Zurychu spotkałem znowu Nieczajewa. Był on rozstrojony i rozbity moralnie. Europejskie stosunki przytłaczały go. Miał on poza sobą jakieś ciężkie przejście z Bakuninem, o którym wyrażał się z wielką goryczą. Spotkanie z nim dla mnie było w tym czasie przykre. Nieczajew, pozbawiony wszelkiego zatrudnienia, miał jakąś chorobliwą namiętność do grzebania się w życiu wewnętrznym innych, najbrutalniej w świecie omawiał wspomnienia najbardziej obolałe.

Z Komuny Paryskiej wyszedłem w stanie całkowitego oszołomienia. Dopóki byłem chory i leżałem w schronieniu, które zawdzięczałem moim zacnym, nieszczęśliwym przyjaciółom, myśl podtrzymywała samą siebie w stanie jakiejś nieustannej ekstazy, usiłowała wypracować i utrzymać ten nastrój, jaki panował w ostatnich, broniących się jeszcze barykadach. Nadziei nie ma już żadnej, nie walczy się dla żadnego zwycięstwa, ale przecież się ma to, czym się jest. Swoboda jest nie gdzieś tam w odległej przyszłości: tu przecież żyje ona na stosach tych, oblanых najszlachetniejszą, dymiącą się jeszcze krwią, kamieniami. Swoboda już jest zrealizowana i jeszcze rządzi na tej swojej groźnej, najeżonej lufami karabinów, sypiącej kulami piędzi<sup>385</sup> ziemi. Tym powietrzem swobody, na straży której stała rozpacz, oddychałem jeszcze, póki leżałem sam w swojej suterenie, póki jedynym towarzyszem moim byli pięciokroć osieroceni staruszkowie. I oni, i ja potrzebowaliśmy wiary, że śmierć jest lepsza niż życie, że nie ma w niej nic groźnego, że jest ona jak jakiś czysty, śnieżny szczyt nad skrwawioną ziemią. Nie myślałem o tym, że jednakże niekonsekwencją jest z tego punktu widzenia ta gorliwość, z jaką usiłują wydrzeć mnie moi gospodarze tej wybawicielce. Dla nich ja byłem jakby zastępcą synów, jakby ich szóstym bratem: mówiła mi przecież staruszka, że jestem bratem jej pięciu lwiat, gdyż usynowiła mnie *la Commune de Paris*. Wtedy jeszcze nie myśleliśmy o innym życiu, jak tylko o nieustannym umieraniu z bronią w rękę, a to wydawało się tak łatwe. Z miasta do miasta, z kraju do kraju iść z piosenką na ustach: *Elle ne sed rend pas la Commune de Paris!* Nie czuć się nigdy skępowanym, zależnym, zrosniętym z żadną rzeczywistością, żyć nieustannie tym powietrzem przyszłości, które rodzi się tam, gdzie ludzie giną za duszę własną i za wolność.

Ale wyjechałem z Paryża i zobaczyłem życie. Zobaczyłem, że ono jest tak samo codzienne, beztroskliwe, obojętne, jakby nie wchłonęło tych olbrzymich potoków krwi ludzkiej. Na glebie użyźnionej przez trupy robotników paryskich rozrastała się bujna, zdrowa powszedniość, pozbawiona wszelkiego demonizmu.

I ludzie nie wiedzieli znowu nic.

Nie wiedzieli, że wszyscy razem biorą udział w zмовie, i nie wiedzieli, że zyski z ich akcji, kapitałów to nieopłacona krew ludzka; nie wiedzieli, że zyski z ich domów to skutki prawa, które skazuje miliony dzieci na choroby i śmierć z powodu braku powietrza i słońca. Oni znowu nie wiedzieli nic. Żyli jak lunatycy, pocieszając się tym, że ich życie jest bez znaczenia, że nie spełniają żadnych wielkich zbrodni, żadnych nadmiernych okrucieństw. Skłonni byli nawet uznać, że Thiers może przebrał miarę: zwłaszcza gdy wyziewy z trupów zaczęły rodzić epidemię. Oni wszyscy czuli się przeciętnymi, powszednimi ludźmi. W przeciętny sposób wyzyskiwali, licytowali, handlowali kobietami, gilotynowali złooczyńców, w przeciętny sposób ustanawiali prawa zabezpieczające trwanie niezamąconej tej przeciętności, w przeciętny sposób rodzili się, kochali i umierali.

Zobaczyłem znowu naszą kochaną Europę towarzyską: środowisko, w którym wszystkie myśli, wszystkie pojęcia straciły swoje znaczenie, Europę, która galwanizowała wszystkie pomarłe wiary i systematy myślowe, aby tylko nie zrozumieć siebie i swojego zadania, swojej jedynej drogi.

Teraz poczułem całą gorycz osamotnienia. Katia, która jakby spłonęła w pożarze, zginęła jak złota smuga w lunie paryskiej, wsiąkła w ziemię jakby jedna kropla krwi wyczonej z piersi ludu, jedno z ziarn rzuconych w rolę dziejów, stała się na nowo moją Katią, moją i na zawsze przeze mnie utraconą. Przypominałem sobie jak krótki sen, nasze szczęście, naszą idyllę więzienną.

Nieczajew widział, że się męczę czymś własnym, jemu nieznanym.

Któregoś dnia powiedział mi ze złym uśmiechem:

— Czy wam więc Komuny żal, czy tej spódniczki?

<sup>385</sup>piędź — dawna miara długości, odpowiadająca szerokości rozpostartej dłoni. [przypis edytorski]



Uniosłem się i przestaliśmy się z nim widywać.

W tydzień jakiś po tej scenie siedziałem w kawiarni, gdy wszedł do niej błady Martynow, wołając:

— Aresztowano Nieczajewa, chcą go wydać Rosji!

Zerwałem się. Nieczajew był już w więzieniu.

Zaraz rozpoczął się proces. Sąd federalny<sup>386</sup> miał zadecydować, czy jest on przestępcą politycznym, czy też kryminalnym.

Staraliśmy się wszelkimi siłami nazbierać jak najwięcej świadectw, dokumentów mających stwierdzić charakter polityczny działalności Nieczajewa.

Było to nadaremno jednak.

Na parę dni przed wyrokiem wiedzieliśmy już, że trybunał wyda wyrok nieprzychylny dla Nieczajewa. Trudno było uwierzyć. Ci sami liberalni dziennikarze, adwokaci, którzy zawsze byli gotowi z dumą mówić o swobodach wywalczonych przez ich ojców, ci sami adwokaci, mówcy, którzy deklamowali o barbarzyństwie rosyjskiego caratu, o niebezpieczeństwie, jakim jest dla swobody ludów europejskich potworny despotyzm moskiewski, wydawali w ręce tego potwora człowieka z całym spokojem, zimną krwią, jakby nie wiedzieli, że pełnią policyjną, gorzej, katowską, oprawczą rolę na służbie cara.

— Co w tym nowego? — mówił mi Bołchowski. — Widzieliście, jak się zabija całe miasto, a dziwi was, że tu zabijają jednego człowieka? Otóż, drogi przyjacielu, zapamiętajcie sobie, że kto występuje w imieniu praw pracy, zagraża istnieniu wszystkich tych, co z tej pracy żyją, podkopuje same warunki ich istnienia. Jest wrogiem, którego trzeba zniszczyć, zabić, tak jak się zabija niebezpieczne zwierzę. My wszyscy jesteśmy tylko tolerowani w Europie. W momencie, w którym nadarzy się możliwość otwartego wystąpienia, nie będą oni nas oszczędzać. Teraz już nadszedł okres gołej zoologicznej walki. Ludzie już nie walczą o ideę, walczą po prostu o istnienie swoje. Duchowieństwo, rządy, cała maszyna przez nie wytworzona, potworna maszyna, składająca się z wielu tysięcy ludzi, funkcjonujących automatycznie jak tryby i kółka, wszyscy zahipnotyzowani przez ideę własności, wszystko to jest zawsze gotowe rozszarpać socjalistę, i to jeszcze socjalistę rewolucyjnego, stawiającego czynny opór lub wypowiadającego walkę zaczepną.

W porozumieniu z kilkunastu szwajcarskimi robotnikami postanowiliśmy odbić Nieczajewa.

Robotnicy mówili, że muszą zmyć hańbę ze swojego kraju. Kraj należy do pracujących, nie pozwolimy w nim gospodarować tchórzom.

Wszystko było umówione.

W oznaczony dzień stałem przed gmachem sądu, aby wynajętym fiakrem ruszyć za karetą<sup>387</sup>, w której wieziono Nieczajewa. Na rogu jednej z ulic miano ją zatrzymać siłą i wyrwać go z rąk oprawców.

Kareta ruszyła, jechałem za nią.

Z przerażeniem spostrzegłem, że mija ona umówiony róg.

Nie było nikogo z naszych znajomych Szwajcarów, stał tylko Bołchowski z dwoma czy trzema Rosjanami.

Zeskoczyłem z fiakra.

— Co się dzieje? — krzyknąłem.

— Nie przyszli — rzekł Bołchowski.

Nieprzytomny z gniewu i bólu, schwyciłem kamień i cisnąłem w okno karety. Kamień wybił je. Jakaś znana mi twarz mignęła za szybą:

— *Plus vite, plus vite!*<sup>388</sup> — krzyknął czyjś głos.

U wejścia ulicy pojawił się pluton policji.

Trzeba było odejść z bolesnym przekonaniem, że spośród nas, z wolnej Europy krwawa zemsta carska zdołała wyrwać człowieka.

Szliśmy zgnębieni.

Na jakimś placu spotkaliśmy naszych robotników, wyczekujących na coś z groźnymi minami.

<sup>386</sup>sąd federalny — najwyższy organ sędowniczy w Szwajcarii. [przypis edytorski]

<sup>387</sup>kareta — tu: karetka więzienna, pojazd przeznaczony do przewozu aresztowanych i więźniów. [przypis edytorski]

<sup>388</sup>*Plus vite, plus vite!* (fr.) — Szybciej, szybciej! [przypis edytorski]

— Co się dzieje? — wołali oni do nas. — Dlaczegożście nie przyszli?

— Jak to? — zdziwił się Bołchowski.

— Ehrlich przecież mówił, że zmieniono marszrutę.

Spojrzelśmy na siebie. Robotnik nie kłamał.

— Chodźmy do Ehrlicha.

Nie chciano nas wpuścić, ale mój towarzysz z szwajcarską pogardą dla dobrego tonu usunął panią domu z drogi jak lalkę i wszedł do gabinetu.

— Co to znaczy? — rzekł do Ehrlicha.

Ten dobył od razu najbardziej uroczystego tonu:

— Oszczędzam drogą krew proletariatu.

— Proletariat nie prosił pana, aby pan go cenił miarą własnego tchórzostwa.

— Panie! — rzekł Ehrlich.

— Daj pan spokój gestom. Tacy jak pan płakali w Wersalu nad błędami ludu, a Thiers ocierał im oczy z łez fałszywymi biuletynami o przestępstwach Komuny.

— Frazesy — wzruszył ramionami Ehrlich.

— Ja już wiem, co mam robić — rzekł mój przyjaciel Champion. — Pójdiesz z nami, gagatku.

— Dokąd? — rzekł Ehrlich.

— Na posterunek policyjny, odbijemy więźnia.

— Oszalesiście chyba! — oburzył się przywódca ludu. — Taktyka nasza nie znosi takich prowokatorskich sztuczek. Ci panowie z Rosji...

— Ci panowie z Rosji będą mieli prawo pluć nam w twarz, jak ja panu pluję, jeżeli my nie zmyjemy tej hańby.

— Ja posłę po policję! — krzyczał Ehrlich. — My mamy swobodę. Poszanowanie praw obywatelskich.

Tego samego wieczora tłum, z pięćdziesięciu robotników, kilkunastu studentów, Rosjan i Polaków, próbował wdrzeć się do więzienia.

Ehrlich telefonował już uprzednio do republikańskiego rządu. Straż była podwojona. Skonsygnowany<sup>389</sup> był oddział saperów. Champion został ciężko ranny, Bołchowskiemu kula przeszła nogę, mnie oberwała kawałek ucha. Dwie robotnice zostały kontuzjowane szablami. W pięć tygodni potem Champion wypoliczkował Ehrlicha, a w rok potem Ehrlich reprezentował już proletariat w innym kantonie. Mnie z Bołchowskim trzymano miesiąc w areszcie, później odstawiono nas poza granicę kantonu. Wyjechałem do Włoch.

## VI. ULICA ŚWIĘTEGO MARCINA

I

Był to chyba najcięższy w moim życiu okres, dzisiaj jeszcze wspominam o nim z odrazą i strachem. Pozostał w mej pamięci jak bolesny, ropiejący wrzód. Przyjechałem do Genewy w stanie jakiegoś odrętwienia. Przez głowę przewijały się chorobliwe, cuchnące obrazy. W nocy budziłem się z krzykiem, w głowie huczały strzały. Pod czaszką utkwił obraz palących się domów, ciał ludzkich miażdżonych przez tratujące konie. Zanikło wewnętrzne znaczenie tego wszystkiego: czułem się rozdarty na strzępy i wyrzucony poza nawias życia przez potworne, ociekające krwią tryby maszyny. Tak do cna spopielili się uniesienia tych miesięcy, wiatr rozwił popiół i byłem sam z jakimś czadem kłębiącym się w duszy. W tym czasie nie budziła się nawet tęsknota po Katii. Zaginęła pamięć jej uśmiechów i spojrzeń, jej włosów i jej pocałunków, jej rwącej jak potok młodej myśli. Stała mi przed oczami taka, jaką<sup>390</sup> ją widział po raz ostatni w tej ulicy: trup z przerażeniem w oczach i rozdartą piersią rzucony pod kopyta końskie. Widziałem krwawe koła tej armaty, słyszałem straszliwy trzask. Czulem ból w ręce, która schwyciła za szprychy.

Pieniądze wyczerpały się. Na listy nie nadchodziła odpowiedź. Policja położyła już wtedy swą łapę na mej korespondencji. Z przyzwyczajenia jeszcze chodziłem na pocztę

Wspomnienia

<sup>389</sup>skonsygnowany (rzad.) — postawiony w stan pogotowia. [przypis edytorski]

<sup>390</sup>jaką ją widział — inaczej: jaką ją widziałem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

i przyglądałem się nadjeżdżającym furgonom. Podchodziłem do okienka i otrzymywałem zawsze jedną i tą samą odpowiedź.

— *Niente*<sup>391</sup>.

Z hotelu musiałem się wyprowadzić. Policja zaczęła mi się przypatrywać. Topiły się i nikły w kieszeni ostatnie liry<sup>392</sup>. Zacząłem nocowywać w porcie na kamiennych ławkach jakiegoś placu. Było mi zresztą wszystko jedno. Było lato i w nocy jeszcze dawał się we znaki upał.

Nie troszczyłem się zresztą o to. Cała myśl była pochłonięta przez ból mętny i obrzydliwy jak dogasanie smrodliwej główki. Rozpacz stała się stanem cielesnym. Włóczyłem ją ze sobą po tym przeklętym mieście. Zgrzytałem wewnątrz, widząc ludzi i zacierając im do głębi dusz.

To nie była filozoficzna mizantropia<sup>393</sup>, byronowska<sup>394</sup> wzdarda i nienawiść. Raczej pewien rodzaj fizycznego wstrętu. Postrzeganie wewnętrzne wyczuliło się tak, jak wyczula się czasem powonienie. Ziała ku mnie zewsząd ohyda życia, a jednocześnie byłem zrośnięty z nim, z tym obolałym, cierpiącym kawałem mięsa.

Nie przychodziła mi do głowy chyba myśl o samobójstwie.

Z jakim upragnieniem czekałem teraz nocy i jej ciszy.

Złorzeczyłem wieczorem każdemu dźwiękowi, każdemu hałasowi miejskiemu, który świadczył o trwaniu życia. Przechodzień, który mijał mnie, był moim wrogiem.

Przechodziły koło mnie wrzaskliwe, pijane bandy majtków, ocierały się postaci tułaczów portowych. Tych towarzystwo było mi najłżejsze do zniesienia. Kryli się w cieniu tak jak ja.

Miałem w tym świecie pewne znajomości.

Zrazu próbowano mnie okraść.

Wkrótce jednak przekonano się, że to niemożliwe. Podzieliłem się nawet resztkami miedzi<sup>395</sup> z którymś z obdartusów. Po paru dniach przestano na mnie zwracać uwagę. Przekonano się, że nie występuję w roli współzawodnika na żadnym żerowisku.

W tym świecie nie żądano nic od człowieka.

Nie wymagano od niego żadnych cnót.

Wyrzucone na śmietnik łachmany nie kłóć się o swoje barwy.

Naokoło mnie żył ten świat odpadków ludzkich, widziałem, jak narasta on i powstaje całkiem automatycznie.

Widziałem ludzi, którym życie upłynęło na wyładowywaniu towarów. Przenosili oni na swoich barkach produkty wszystkich stref, ale myśl ich znała tylko ten zakątek miasta, w którym żyli, kąt jakiejś izby do spania, szynkownię<sup>396</sup>, do której chodzili co dzień, i niejasne wspomnienia może wsi, z której wyszli. Człowiek myśli nie tylko głową, ale i całym ciałem. Plecy chore, nie wyprostowujące się przez całe życie, nogi, które powykrzywiały się pod brzemieniem ciężarów, ręce pełne odcisków stwarzają także własny światopogląd.

W dniu, w którym jakaś paka miażdży jedną ze stóp tragarzowi lub gdy barki zgarbią się i staną się bezsilne — cóż zostanie mu prócz wielkiego zmęczenia i olbrzymiej monotonnej próżni, która była jego życiem?

Otoczali mnie przecież ludzie tak całkowicie zjedzeni, starci przez życie. Tu, na bruku miasta o wielowiekowej przeszłości, mieli naiwność nomadów<sup>397</sup>, niezdolnych pojąć tego świata, który ich dusił, przytłaczał, dławił swoim życiem.

Czułem się tak samo zniszczony, jak oni.

To, czym żyła kiedyś moja myśl, wydawało mi się obce, niepotrzebne. Nie wydawało mi się nawet. Byłem istotnie obcy i sam. Sam, ze swoim niepotrzebnym życiem wobec olbrzymiej, zastygłej bryły.

<sup>391</sup>*niente* (wl.) — nic. [przypis edytorski]

<sup>392</sup>*lir* — waluta włoska. [przypis edytorski]

<sup>393</sup>*mizantropia* (z gr.) — niechęć do ludzi. [przypis edytorski]

<sup>394</sup>*byronowski* — taki jak u romantycznych bohaterów buntujących się przeciwko panującemu porządkowi społecznemu, typowych dla twórczości George'a Byrona (1788–1824). [przypis edytorski]

<sup>395</sup>*miedz* (daw.) — miedziaki, drobne monety. [przypis edytorski]

<sup>396</sup>*szynkownia* (daw.) — szynk, podrzędna restauracja. [przypis edytorski]

<sup>397</sup>*nomada* — koczownik, członek ludu pasterskiego prowadzącego wędrowny tryb życia; ogólnie: włóczęga, bląkający się. [przypis edytorski]

W nocy patrzyłem w niebo i myślałem, myślałem z jakąś cielesną wściekłością, że tak zejść ze świata, nic nie wiedząc.

Wszystko się przetrawi, przepali, pozostanie fermentująca masa, która była moją duszą, myślą.

I tak naokoło wszystko.

Nadejdzie przecież dzień, w którym rozwali się, zastygnie ta ziemia.

To znowu przychodziły inne chwile.

Było to najczęściej w noc, kiedy szumiało morze.

Wtedy otulało mnie tchnienie wiatru w miękkie skrzydła. Zapominałem.

Zapominałem, kim byłem i czym byłem. Myśl wysnuwała dziwnie szybkie wnioski.

W tobie tylko jest ten cały martwy świat, patrz i słuchaj: nie wyjdiesz poza granice twego zmęczonego mózgu.

A naokoło niego jest to, co jest, i uderza weń tysiącami fal i drzeń.

I wtedy współczułem tej wielkiej, potężnej istocie

W takiej chwili i rodził się we mnie żal po Katii.

Zrozumiałem, że tam zginęła na bruku nie tylko szlachetna, mężna, śmiała dusza, lecz i ta rzecz cudowna, niepojęta — szczęście moje.

O jakże pragnąłem teraz szczęścia! Jakże pragnąłem życia bez rwania się poza chwilę obecną, bez żalu i rozdarcia wewnętrznego!

Przypomniałem sobie wszystko, o czym nie myślałem nigdy.

Świat wesołości, świat kwiatów i śpiewu snił mi się w krótkich, rozpaczliwych błyskawicach gryzącego żalu.

Wtedy podnosiłem się i przysięgałem.

Przysięgałem swemu jednemu życiu, które zginie, że nie będę myśleć o niczym prócz szczęścia.

Przysięgałem sercu spragnionemu kobiecej łagodności, że zabiję pamięć i dam mu wesele.

Przysięgałem ustom, że będą całowały, że będą piły życie z ust nietkniętych.

Przysięgałem im, że błaznić będą wśród pachnących włosów.

Marzyłem, że odejdę stąd precz i pójdę w jakikolwiek nieznany kraj.

Tam będę wszystkim obcy, nie będę o niczym myślał prócz o tym jednym: być szczęśliwym.

Miałem przecież w sobie bez troskliwość niemającego nic do stracenia nędzarza.

Niechaj przyjdzie śmierć, ale w miękkich kobiecych ramionach.

Niechaj zagasną oczy, ale upiwszy się pięknem.

Cała istota moja wołała o miłość.

Skarżyłem się szumiącemu morzu, skarżyłem się milczącemu niebu — im wiecznym, ja — przemijający.

I sam nad sobą płakałem w głuchą noc, leżąc na zimnym marmurze.

Dobiegał mnie gardłowy, ochrypliły śmiech, to gromadka włóczęgów szukała szczęścia z dwiema ulicznymi harfiarkami.

Ale w tej chwili nie drażniło mnie to.

Nie obchodziło mnie nic, nie czułem nic prócz wielkiego żalu nad sobą.

Myślałem, że mogłem ożenić się z jakąś piękną, młodą, czystą jak kwiat panną.

Byłem bogaty i nazwisko moje było znane w kraju.

Opowiadałem to sam sobie, jak się opowiada dziecku bajki.

A wewnątrz skowyczało coś we mnie i wiło się.

Cały następny dzień błąkałem się bez przytomności po mieście.

Wydałem ostatni grosz i nie mogłem żadną miarą skupić myśli na tej sprawie.

Zmrok zapadał, kiedy zstępowałem ku portowi przez jedną z wąskich genueńskich ulic...

Otarłem się o jakąś postać i stanąłem: prosto w oczy patrzyła mi się parą czarnych oczu młoda kobieta. Czarne włosy wybiegały jej spod kapelusza bezładnym splotem, na plecy miała zarzucony jasny szal. Oczy patrzyły się z beczelną, palącą śmiałością. Objęła spojrzeniem mą postać, pogardliwie wydeła wargi, spostrzegłszy mój kostium. Było coś wyzywającego w jej spojrzeniu.

Przysięga, Miłość,  
Szczęście, Tęsknota

Kobieta "upadła"

Nie pamiętam, o com ją zapytał, zdaje się, że o drogę do portu.  
Parsknęła śmiechem i zaczęła mówić, mówić z niesłyszana werwą, bez końca. Nozdrza jej rozdymały się, gdy mówiła.

Po krótkiej chwili pytała mnie:

— Czy masz pieniądze?

— Nie.

— Wcale, wcale nic?

Wtedy sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła trochę drobnych monet:

— Mało — powiedziała.

I chwyciwszy się mego ramienia, powiedziała jakby coś zrozumiałego samo przez się:

— Pójdiesz ze mną.

Wyróżniała ją coś nieuchwytnego spośród dziewcząt z ulicy.

Zresztą natychmiast prawie zaczęła opowiadać. Była neapolitanką. Gdy miała 17 lat, matka ją sprzedała staremu niemieckiemu panu. Stary był bardzo bogaty i bardzo brzydki.

— Po dwóch tygodniach uciekłam od niego. Nazywam się Lia — wtrąciła.

Potem wstąpiła na scenę, ale nie miała talentu. Przy tym dyrektor uważał trupę<sup>398</sup> swą za harem. A był łysy i cuchnęło mu z ust. Uciekła znowu. Potem jeździła z jednym Anglikiem na Sycylię. Ale Anglik zmarł. Teraz jest tu. Gdy nie ma z czego żyć, wybiera sobie mężczyznę. Czasem wybiera sobie kogoś po prostu dlatego, że się jej podoba.

— Czy chcesz iść ze mną?

— Tak.

— Ale to nie zobowiązuje. Jesteś wolny ty i jestem wolna ja.

Zapytałem ją, dokąd mnie prowadzi.

— Na ulicę Świętego Marcina — odparła. — Tam jest zawsze miejsce, stary wariat ma dosyć pokoiów.

W ten sposób dostałem się do schroniska Asta.

Ast był przedmiotem nienawiści całego miasta. Oczywiście jego majątnej, uprzywi- lejowanej, cnotliwej części. Nędzarze bowiem i parias<sup>399</sup> czcili go.

Skazywani na śmierć mordercy jego opiece powierzali swoje dzieci i matki.

Był czas, kiedy Ast był sławny.

Był znakomitym i cenionym zoologiem. Gdy mu wytoczono proces, który mógł się źle skończyć, w pismach pojawił się protest, pod którym znajdowały się podpisy Darwina, Huxleya<sup>400</sup>, Milne-Edwardsa<sup>401</sup> itp.

Naukowe prace Asta miały charakter ściśle fachowy.

Rozgłos pozyskał on w świecie niefachowej publiczności po raz pierwszy, gdy będąc jeszcze wtedy profesorem jakiegoś niemieckiego uniwersytetu, na jakimś uroczystym akcie, gdzie prócz luminarów<sup>402</sup> nauki, literatury, świata obecni byli dygnitarze kościoła i trzy czy cztery ukoronowane głowy, wygłosił referat o *antropofagii*<sup>403</sup>. Chciano popisać się Astem i proszono, aby wybrał coś popularnego. Trudno opisać jednak wrażenie, jakie powstało, gdy wygłosił on odczyt, którego myśl przewodnia polegała na tym, że ludo- żerstwo nie zanikło dotąd i nie zanikało ani na chwilę w życiu ludzkości, zmieniało tylko formy.

— Najłagodniejszą i najoszczędniejszą — mówił Ast — była może forma pośrednia. Myślę, że każdy z nas tu obecnych w ten lub inny sposób zniszczył naokoło siebie więcej życia ludzkiego niż najżarłocznější z kanibalów.

I spokojnym głosem zaczął wyliczać fakty. Mówił o przemyśle, o wojnie, o prawie, o Kościele. Powstała burza. Astowi nie pozwolono mówić.

<sup>398</sup>trupa — zespół aktorów bądź cyrkowców. [przypis edytorski]

<sup>399</sup>parias — członek najniższej kasty w Indiach; przen.: najbardziej pogardzany i krzywdzony członek społeczeństwa. [przypis edytorski]

<sup>400</sup>Huxley, Thomas Henry (1825–1895) — angielski zoolog, paleontolog, filozof i fizjolog, obrońca i propagator darwinizmu, członek Towarzystwa Królewskiego w Londynie (w l. 1883–85 jego prezes). [przypis edytorski]

<sup>401</sup>Milne-Edwards, Henri (1800–1885) — francuski przyrodnik pochodzenia angielskiego, członek francuskiej Akademii Nauk (1835), profesor i dyrektor (od 1864) Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu, wykładowca na Sorbonie (od 1843). [przypis edytorski]

<sup>402</sup>luminarz — osoba wybitna, sławna w dziedzinie nauki lub kultury. [przypis edytorski]

<sup>403</sup>antropofagia (gr.) — ludzki kanibalizm, ludożerstwo. [przypis edytorski]

Ofiarowano mu pensję dożywotnią i obiecywano protekcję, byle zechciał udać się do szpitala obłąkanych i wyzdrowieć po jakimś czasie. Ast podziękował publicznie za rangę honorowego wariata jego królewskiej mości i prosił, aby przyznano niemieckim filozofom tę swobodę, jaką mieli w wiekach średnich błażni nadworni. Koledzy jego odsunęli się od niego. Słuchacze wybili mu okna. Ogłoszono go za francuskiego szpiega<sup>404</sup>. Ast z całym spokojem dolewał oliwy do ognia. Każdy numer dziennika przynosił wiadomości o jakiejś nowej potworności przez niego wygłoszonej.

Raz mówił, że tylko dzięki wiarołomstwu istniejąca forma małżeństwa, takiego, jakim jest ten instytut<sup>405</sup> w klasach posiadających, nie doprowadziła ludzkości do zwyrodnienia. Innym razem twierdził, że nikt z ludzi niepracujących fizycznie nie wie, czy nie kradnie. To znowu, że najmniej potępienia godna jest kradzież karana przez prawo. Wyroki wydawane przez sąd nazywał morderstwem, gdyż społeczeństwo hoduje to, co nazywa zbrodnią, i wielkiej uczciwości biedaków przypisać potrzeba to, że przestępstw jest tak mało. Słowem, Ast mówił same banalne rzeczy i sam zresztą to stwierdzał. Tym właśnie doprowadzał tak zwaną opinię do ostatecznego szału. Wreszcie oświadczył, że człowiek nie jest właściwym przedmiotem jego studiów zoologicznych, i wyjechał.

W przeciągu trzech czy czterech lat wytoczono mu kilka procesów o podburzanie do królobójstwa, podkopywanie religii i temu podobne. Usiłowano ogłosić go za niepoczytalnego, ale spotkano się z oświadczeniem tak groźnym i stanowczym kilku wybitnych psychiatrów, że trzeba było się zrzec tego zamiaru.

Ast ogłosił list otwarty do uczonych, którzy wystąpili w jego obronie. Protest ich nazywał ryzykownym, gdyż nie umiał — jak pisał — wytłumaczyć sobie istnienia i utrzymywania się obecnego ustroju inaczej, jak przez zbiorowy obłąd ludzkości.

„Byłoby rzeczą nienormalną, gdyby mógł istnieć przy dzisiejszym stanie rzeczy człowiek psychicznie zdrowy, gdyż już i fizyczne zdrowie jest nieprawdopodobieństwem i istnieje jako abstrakcja. Co najwyżej trzeba przyznać, że różne zawody i formy obecnego życia wymagają dla wytrwania w nich różnego stopnia rozstroju władz umysłowych. Przypuszczam na przykład, że stanowisko monarchy, księcia Kościoła lub papieża może być zajmowane jedynie przez jednostkę o wysoko rozwiniętym rozkładzie wszelkich wyższych koordynacji psychicznych, wyrobionych przez ludzkość w ostatnim okresie jej życia”.

Każdą sposobność, jaką nastrezczały mu władze reprezentujące istniejący porządek rzeczy, wyzyskiwał Ast natychmiast; i najbezpieczniejszą rzeczą było zostawić go w spokoju i pozwolić, aby o nim zapomniano. Osiadł on wreszcie w Genui, gdzie osłaniała go podobno protekcja Garibaldiego i jak on twierdził, szczęśliwa kuracja przeprowadzona przez niego na ulubionym wierzchowcu króla Wiktora Emanuela<sup>406</sup>. Koniowi temu, jako protektorowi i obrońcy swobody myśli ludzkiej w Europie, zadedykował Ast jeden ze swych utworów. Zresztą czasy ostatnie przeszły dość spokojnie dla Asta. Opracowywał on swe duże dzieło o morfologii<sup>407</sup> mięczaków i od czasu do czasu tylko odrywał się od badań tych dla jakiegoś publicystycznego występu.

Bezpośrednio jednak po ukazaniu się dzieła o mięczakach, zaledwie pisma zdołały roznieść pocieszającą wiadomość, że Samuel Ast powrócił na drogę naukowych i sumiennych badań, przy czym podnoszona była okoliczność, że dzieło jego ma cztery tomy *in quarto*<sup>408</sup>, ukazała się mała książeczka *in octavo*<sup>409</sup> — nosząca tytuł: S. Ast, *Religia i prawo z punktu widzenia zoologii*. Myśli książeczki nie można było nazwać nowymi. Ast wypowiadał na swój sposób prawdy ustalone i znane wszystkim, co nie wyrzekli się uczciwości w myśleniu. Prawo określał on jako narzucenie przez pasożyta takich norm

Prawo, Religia

<sup>404</sup>Ogłoszono go za francuskiego szpiega — dziś popr.: ogłoszono go francuskim szpiegiem. [przypis edytorski]

<sup>405</sup>instytut (daw.) — instytucja. [przypis edytorski]

<sup>406</sup>Wiktor Emanuel II (1820–1878) — pierwszy król zjednoczonych Włoch. [przypis edytorski]

<sup>407</sup>morfologia (biol.) — dział biologii, nauka o kształtach oraz budowie organizmów. [przypis edytorski]

<sup>408</sup>*in quarto* — określenie formatu książki wielkości 1/4 arkusza, odpowiadającego mniej więcej rozmiarom dzisiejszego A4. [przypis edytorski]

<sup>409</sup>*in octavo* — daw. format książki wielkości 1/8 arkusza papieru; obecnie określenie książek mających typowy współczesny rozmiar: ok. 20–25 cm wysokości. [przypis edytorski]

i warunków życia istocie, na której pędzi on swój parazytyczny<sup>410</sup> żywot, aby jej własne funkcje życiowe szkodziły jak najmniej samemu pasożytowi i koniecznościom jego rozwoju. Religia była — zdaniem Asta — rezultatem zwyrodnienia instynktu. Ofiara parazytyzmu w religii przetwarzała własne swoje życie w ten sposób, aby iść na strawę pasożyta, żywić go sobą wydawało się jej największą rozkoszą.

„Wątpię, czy gdziekolwiek bądź w królestwie zwierzęcym — mówił Ast — możemy napotkać zjawisko stanowiące istotę kulturalnego życia ludzkości, a polegające na tym, że pasożytnicze formy zdołały wychować w swoich ofiarach wszystkie niezbędne dla rozwoju i powodzenia ich parazytyzmu instynkty”.

Książeczka obfitowała w mniej lub więcej dowcipne zestawienia i aforyzmy.

Niedługo później Ast wydał jednocześnie duże dzieło: *O instynkcie wędrowniczym u ptaków* oraz broszurkę: *Pchły i katolicyzm*. Mówił w niej o wpływie brudu na rozwój uczuć religijnych.

„Nie wątpię — pisał — że kilka pokoleń ludzkich wychowywanych w czystości i higienie doprowadziłoby do całkowitej zmiany w myśli i nalogach moralnych ludzkości. Higiena mieszkań i kąpiele są bezwzględnie szkodliwe z punktu widzenia życia religijnego. Pchła, wesz i inne robactwo są opatrnościowymi owadami i niewątpliwie żaden misjonarz ani żaden zakon nie przyczyniły się w takim stopniu do utrzymania religii chrześcijańskiej, jak te pożyteczne owady — *religions-befördernde Insekten*<sup>411</sup>”.

Samuel Ast był synem bogatego bankiera i rozpoczynając życie, miał znaczny majątek. Podróże naukowe, narzędzia, urządzenia laboratoriów, książki i cały szereg dziwactw nadszarpaneły znacznie tej fortuny.

Nie był jednak i w tym czasie, kiedy go poznałem, pozbawiony środków. Przede wszystkim zaś posiadał na przedmieściu genueńskim, w malej i wijącej się na szczyt wysokiego dość wzgórza uliczce, ogromny, zrujnowany pałac z ogrodem. Ogród i pierwsze piętro zajmował sam Ast wraz ze swoimi książkami i zwierzętami, pozostałe piętra zajmowane były przez lokatorów.

Lokatorem Asta zostawał każdy, kto chciał. Dość było wprowadzić się i zamieszkać. Mieszkała tu jednak taka nędza, że żaden człowiek o mieszczańskich zasadach nie decydował się nawet w ostateczności korzystać z tego przytułku. Księża opowiadali straszliwe rzeczy o tym, co dzieje się w tym piekielnym schronisku starego złoczyńcy. Szczególniej powstawali przeciw Astowi, gdy schronił się tu i znalazł w nim przyjaciela młody Guido Rienzi, eksksiądz, który tu zamieszkał z „cyrkówką” — jak pisały klerykalne dzienniki — a właściwie z młodą i utalentowaną artystką neapolitańskiej sceny. Żaden teatr nie ośmielił się jej zaangażować i młoda para umarłaby z głodu, gdyby nie opieka i przyjaźń starego zoologa.

Do tej „piekielnej jaskini” zaprowadziła mnie Lia.

Było już całkiem ciemno, gdyśmy tu zaszli.

W obszernej sieni minęliśmy starego człowieka o wielkiej, siwej brodzie. Przeszliśmy obok niego, nie zatrzymując się. Weszliśmy po pięknych marmurowych schodach. Z nich wyzierały poobthukiwane kolumny. Przeszliśmy cały szereg pokojów i sal. Koczowali tu na posadze i na różnych fantastycznych sprzętach rozmaitego stylu i pochodzenia różni ludzie, dzieci kręcili się po wielkich pokojach. Gdziekolwiek palilo się światło, koło niego kobieta jakaś naprawiała odzież.

— Na drugim piętrze jest swobodniej — powiedział ktoś.

— Bezrobotnych jest dużo — rzekła Lia. — Oni zajmują tę część domu. Teraz są same kobiety tylko i dzieci, ale na noc zapełni się to wszystko.

Weszliśmy na drugie piętro.

Tu mieszkali bardziej stali lokatorzy Asta.

Jakaś młoda kobieta o wylęknionym spojrzeniu przywitała Lię.

<sup>410</sup>parazytyczny (rzad.) — pasożytniczy; od *parazyt*: pasożyt. [przypis edytorski]

<sup>411</sup>*religions-befördernde Insekten* (niem.) — owady szerzące religię. [przypis edytorski]

— Znowu tu? — powiedziała. — Czerwony pokój jest wolny, tam nawet jest łóżko. Minęliśmy cztery czy pięć pokojów. W jednym z nich leżał na tapczanie mężczyzna o czarnej brodzie i prześlicznych, smutnych oczach.

— Znowu tu *signorina*<sup>412</sup> — odezwał się. — I znowu *la donna e mobile*<sup>413</sup> — uśmiechnął się.

— On bił się za Komunę — powiedziała Lia, pokazując mnie, jak gdyby była w tym jakaś racja.

— Francuz? — zapytał mężczyzna.

— Nie, Polak.

— Gdzieście się bili? — pytał jeszcze, wymieniając kilka ulic.

Odpowiedziałem.

— Nie byłem tam — rzekł. — Byłem przy ulicy Walentyna, barykada tam była: biliśmy się trzy dni. Dowodził nami jakiś młody Rosjanin, parę słów tylko umiał po francusku.

— *Le prince Calmuc* — powiedziałem.

— *C'est ca! Le prince Calmuc!...*<sup>414</sup> Potem mnie ranili. Opatrzyła mnie także rosyjska dama. Ona chodziła po wszystkich barykadach. Byli ranni — opatrzyła; nie było — brała karabin. Piękna była.

— Katia! — krzyknąłem.

— Tak, tak — rzekł mężczyzna. — Tak właśnie. Znaliście ją, towarzyszu, co z nią?

— Zginęła — powiedziałem — w przedostatni dzień.

— Nasza Katia nie żyje... — rzekł mężczyzna do kobiety, która krzątała się przy kominku.

Poszliśmy dalej.

Wreszcie znaleźliśmy czerwony pokój. Czerwony był on kiedyś. Teraz z tapet zostały ślady. Szyby w oknach były powybijane. Przez okno zagłądały gałęzie jakiegoś drzewa, z którego sypały się kwiaty. Rozlokowaliśmy się tu.

— Jestem zaczarowana królowna — powiedziała Lia — a to jest mój zamek.

2

Teraz zaczęły się dla mnie dnie i noce, o których dziś myślę jak o jakimś potwornym śnie. Rano budził mnie odgłos ciężkich stąpań: to wychodzili na codzienne poszukiwanie pracy bezrobotni. Szli ciężko z pochylonymi karkami, wiedząc z góry już, że idą na próżno, że znów przepędzą dzień na bezużytecznym tułaniu się po mieście, wylegiwaniu się po kamiennych ławkach pod palącym słońcem. Wiedzieli to, nie mogli zostać, żony i dzieci patrzyły na nich i czekały. Ich nieobecność to była nadzieja. W tym czasie kasa Asta była całkiem próżna. Z wielkim trudem zbierał on, żebrząc prawie, drobne kwoty, zaledwie wystarczające na chleb dla najgłodniejszych, na trochę mleka dla dzieci. Nadchodził wieczór i znów słyszałem te same kroki. Wracali z próżnymi rękami. Kobiety nie pytały już, znajdowały słowo „nie” w pochylonej szyi, w ciężkim zwisaniu rąk. I to był dzień i noc: rytm tutejszego życia, tutejszych moich myśli — te stąpania ludzi niemogących znaleźć pracy. Wydawało się to fantastycznym, potwornym zmyśleniem, gdy się widziało z bliska ten beznadziejny deptak, w którym kręcili się ci ludzie o silnych ramionach. Było to jednak dopiero tło, na tym tle występowała treść właściwa. Zguba, zatracenie, tortura codziennego wyczekiwania w setkach serc.

W naszej części domu mieszkali ludzie uprzywilejowani. W ten lub inny sposób mieli z czego żyć.

Zona Piotra Sabatier — tak nazywał się robotnik o kruczej brodzie — brała bieliznę do prania. Z tego utrzymywała siebie, męża i dwoje dzieci: dziewczynkę dwunastoletnią i ośmioletniego chłopca. Mąż jej został raniony w rękę i w plecy. Ta ostatnia rana zrazu wydawała się tylko draśnięciem. Po paru miesiącach okazało się jednak, że kula musiała uszkodzić mlecz pacierzowy<sup>415</sup>. Sabatier stracił władzę w nogach. Teraz oczekiwał

Robotnik

<sup>412</sup>*signorina* (wł.) — panna, panienska. [przypis edytorski]

<sup>413</sup>*la donna e mobile* (wł.) — kobieta zmienną jest; początek arii z III aktu opery *Rigoletto* (1851). [przypis edytorski]

<sup>414</sup>*C'est ca! Le prince Calmuc!...* (fr.) — Otóż to! Książę Kalmuk! [przypis edytorski]

<sup>415</sup>*mlecz pacierzowy* (daw.) — rdzeń kręgowy. [przypis edytorski]



on śmierci, gdyż rozwijała się w nim i inna jeszcze choroba: przestarzałe, nieuleczalne zapalenie nerek. Czasami zarabiał on kilka franków, malując wachlarze. Gdy nie miał roboty, wydobywał stary, zniszczony egzemplarz dzieła Proudhona<sup>416</sup> *O sprawiedliwości w Rewolucji i w Kościele* i czytał je, co chwila odkładając książkę. Czytał on tę książkę po raz kilkunasty i uważał ją za księgę świętą nowoczesnej ludzkości. Wieczorami słyszałem, jak rozmawiał z dziećmi. Dzieci były jego straszliwą troską. Co stanie się z nimi? Czy zdołają się uchować przed demoralizującym wpływem życia? Widziałem z najwyższym podziwem i czcią, że Sabatierowi nie tyle szło o to, aby dzieci były zdrowe i szczęśliwe, ile raczej, aby nie sprzeniewierzyły się świętej sprawie pracy. Każdy człowiek żyje tylko raz i gdy swojego życia nie uchroni, gdy pozwoli, aby ono było grzybem szkodliwym na ciele ludzkości — takie zostanie już na wieki. Słyszałem, jak tłumaczył on im to nieustannie.

— Nic nie znaczy umrzeć — mówił. — Umiera się ciągle, nie dostrzegając tego. Idzie o to, czym się jest.

Nieustannie powtarzał on:

— Żyć zawsze z pracy, brać tylko pracę za pracę, ale tych swoich praw bronić. Pamiętajcie, że wszystko zawdzięczacie ludziom takim samym jak wy, pracującym. Nie wiercie nigdy w żadnego Boga. Człowiek, który mówi o Bogu, zapomina o człowieku, krzywdzi nieustannie kogoś. Jedyne Bóg to jest ludzka praca, ona jedna chroni człowieka w świecie.

Dzieciom tłumaczył on wszystko. Nie miał przed nimi żadnych tajnych myśli. Nie ukrywał i przed nimi historii życia Amelii.

Amelia była to ta młoda kobieta, która spotkała nas u wejścia. Gdy się patrzyło na nią, spuszczała ona oczy, które były najczęściej zapłakane. Historia jej była więcej niż prosta. Była nauczycielką, dawała lekcje — wszystkiego po trochu: muzyki, śpiewu, arytmetyki, rysunków. Biegała z ulicy na ulicę. Utrzymywała z lekcji chorą matkę. Miała dwadzieścia sześć lat, nie była ładna, miała tylko pewną słodycz w twarzy i wdzięk wielkiej dobroci w oczach. Przed rokiem zaczęło jej brakować lekcji. W tym czasie spotkał ją ktoś, kto ją zapewnił, że mogłaby zarabiać paręset franków jako śpiewaczka w jakimś mieście prowincjonalnym. Bieda była coraz dokuczliwsza. Powiedziawszy matce, że wyjeżdża na posadę nauczycielki, zostawiła ją na opiece krewnej, podpisała jakiś kontrakt i wyjechała. Gdy przybyła, od pierwszej chwili zrozumiała, że czeka ją coś złego. Dyrektor chóru czy też filharmonii, jak to się nazywało, był właścicielem restauracji. Wieczorem przyniesiono jej jakiś kostium i kazano jej iść na estradę. Śpiewała, nie wiedząc sama co. Po koncercie towarzyszki jej zbiegły na salę i rozeszły się między gości. Ona stała bezradna — wreszcie cofnęła się do garderoby. Po chwili wpadł za nią dyrektor.

— Na salę, na salę!

Nie chciała iść. Całowała go po rękach...

Dyrektor wreszcie zrozumiał, jaka gratka wpadła mu w ręce. Niewinna, nieświadoma nauczycielka.

Na jedną chwilę przestał nalegać i gdzieś znikł zaafierowany.

Po jakiejś półgodzinie wrócił.

— Tu nie ma żartów — powiedział. — Na salę!...

Gdy zaczął się szamotać z Amelią, otworzyły się drzwi, jakiś młody pan krzyknął ostro na brutala.

Dziewczyna nabrała otuchy. Młody pan był niezmiernie grzeczny, mówił o podejściu, co chwila deklamował: *Mademoiselle*<sup>417</sup>. Mówił, że jest adwokatem, że napisze skargę. Weszli do jakiegoś pokoju. I tu Amelia poznała po raz pierwszy „miłość” męczyzny. Tego samego wieczora mieli ją jeszcze w swych objęciach młody porucznik i opasły mer<sup>418</sup>. Odtąd stało się w świecie męskim miasteczka sportem ulubionym „zadziwić” nauczycielkę. Obmyślano całe kombinacje podłości i brudu... Tak przeszły długie miesiące, aż znalazła się Amelka w lazarecie.

Tu dowiedziała się o śmierci matki.

Praca, Bóg, Śmierć,  
Krzywdza

Kobieta "upadła"

<sup>416</sup> Proudhon, Pierre Joseph (1809–1865) — francuski myśliciel społeczny, polityk, dziennikarz, twórca anarchizmu indywidualistycznego; krytykował kapitalizm, państwo i Kościół. [przypis edytorski]

<sup>417</sup> *mademoiselle* (fr.) — panna, zwrot grzecznościowy używany w stosunku do niezamężnych kobiet. [przypis edytorski]

<sup>418</sup> *mer* — przewodniczący rady miejskiej lub gminnej we Francji. [przypis edytorski]

Po wyjściu ze szpitala została sama, zalękniona, znekana. Zachowała w twarzy wyraz dawnej dziecinnej dobroci. Gdy nie miała z czego żyć i szła „zarabiać”, myślała tylko o jednym, by nie znęcano się nad nią i nie bito jej. Ale właśnie ta jej dziwna prostota, dobroć i trwożliwość podniecały do bestialstw i ciało Amelki zawsze prawie było w sińcach, oczy zawsze zapłakane.

Włóczył się teraz za nią jakiś mieszkający z nami Ormianin czy Gruzin, człowiek, który wszędzie był, o wszystko się obtarł i czynił teraz wrażenie zatłuszczonego, zużytego banknotu.

— Ona nie wie — mówił, patrząc na Amelię i cmokając — ona nie wie, co w niej jest. Ona już prostytutka cały rok, a zawsze jeszcze jak panienka. Maniery i tak wszystko *aller causer*<sup>419</sup>. Ona mogłaby majątek mieć.

Wschodni człowiek, dowiedziawszy się, że jestem z Rosji, nabrał do mnie zaufania. Widząc mój stosunek z Lią, miał mnie za sutenera.

Wywnętrzał się więc przede mną dotąd, dopókim go za projekt o utworzeniu spółki z Lią i Amelią jako kapitałem zakładowym mocno nie poturbował.

Ormianin nie bronił się wcale, gdym skończył, rzekł:

— Nie, to nie, a dlaczego bić? A to taki kontrast, taki kontrast. Każdy poczuje.

Opowiedziałem całą historię Sabatierowi i młodemu robotnikowi bez zajęcia, Paolowi. Ormianin znikł z naszej części mieszkania.

W jednym nie pomylił się on jednak.

Stosunek mój do Lii mógł być nazwany tak, jak on go określał.

Wiedziałem, że znika ona gdzieś i że ma pieniądze, jednak nie rozstawałem się z nią, nie pytałem o nic.

Przychodziła wieczorem, kładła się koło mnie, oplatała mnie swoimi ramionami, całym gibkim ciałem.

Była jak letnia noc pełna zapachów i pieszczot, zawsze nieprzewidziana i zmienna.

Byłem jakby w gorączce, oczekując, aż nawiedzi mnie upragniony, dławiący rozkoszą koszmar.

Mówiliśmy mało z sobą.

Czasami w noc ona zaczynała fantazjować.

Mówiła, że chciałaby być panią, wiecznie młodą i mieć obok siebie wszystkich, których kocha.

Którejś nocy była czulsza, namiętniejsza niż zawsze. Rano zaś powiedziała:

— Bądź zdrow, już nie wrócę...

— Idziesz — gdzie?

— Nie.

— Więc...

Uśmiechnęła się:

— Ty wolny i ja wolna.

Tegoż dnia przyszedł do mnie Paolo.

Siadł i chwilę milczał. Później rzekł:

— Przychodzę ci powiedzieć: ja i Lia kochamy się.

Zostałem sam.

Gorzej niż sam, bo powietrze pełne było Lii, bo słyszałem za ścianą jej śmiech i pocałunki.

Były noce, kiedy myślałem, że wstanę, wbiję w piersi Paola sztylet i wezmę, wezmę za włosy tę piękną, śmiejącą się żmiję.

Nigdy, nigdy nie nienawidziłem tak gorąco siebie.

Zachorowałem.

Leżałem w gorączce. Leczył mnie i odwiedzał stary Ast.

Zaprzyjaźnił się on ze mną i ja go pokochałem.

Jemu można było powiedzieć wszystko. Opowiadałem mu o Lii, o zazdrości. On się niczemu nie dziwił. Nie potępiał nigdy nikogo i niczego. Nie widziałem człowieka, który byłby tak jak on mądrze dobry.

Którejś nocy wpadła do mnie Lia.

<sup>419</sup>*aller causer* (fr.) — iść porozmawiać. [przypis edytorski]

— On mnie zabije!... — wołała.

Istotnie wbiegł za nią Paolo.

— Suka!

Widziałem, jak jego pięść spadła na piękne ramiona, biła po twarzy.

Zerwałem się, rzuciłem się na niego, ale jednym ciosem powalił on mnie. Rozciąłem sobie głowę o jakiś kant, straciłem przytomność.

Ocknąłem się w ramionach Paola.

— *Fratello*<sup>420</sup> — mówił — przebacz. Uniosłem się przez tę zmiję. Lia uciekła. Wschodni człowiek przehandlował ją jakiemuś rosyjskiemu księciu.

W parę dni potem dowiedziałem się, że Paolo został zamknięty na dwa tygodnie w areszcie policyjnym za srogie poturbowanie kuplera<sup>421</sup>.

Leżałem chory i majaczyłem.

Czasami, budząc się, widziałem nad sobą twarz Amelki, czasami znajdowałem koło łóżka kwiaty.

Pytałem o nie Asta, lecz on wzruszał ramionami.

Wrócił Paolo. Z rozczuleniem mówił, że nosiła mu do aresztu Amelka czystą bieliznę, którą sama prała, wino, owoce, chleb, wędliny i kwiaty.

Amelka zniknęła, gdy mówił o tym, i słyszeliśmy tylko spoza ściany jej szalony, dziecinny płacz, bolesne, nieutulone łkanie.

Paolo tłukł pięścią o stół i szukał noża.

— Powiedz ty mi — pytał — gdzie ona ma serce.

— Kto?

— *Questa infame vita*<sup>422</sup>. Aby w samo serce ugodzić bestię. Ja muszę zobaczyć sprawiedliwość.

— Krew jest bezpłodna. Krew jest zawsze bezpłodna — rzekł Sabatier.

Paolo nie chciał słuchać.

— Ja nie chcę nic wiedzieć, wy mi znowu będziecie mówić o tym, jak będzie kiedyś. Będziecie mi mówić, co jest rozumnie. Co Amelce z tego, co będzie? Kto wróci jej życie? Dlaczego ją wdeptano w błoto? Nawet nie była ładna. Podobą im się, bo jest jak dziecko. Ktoś musi być winien.

— Nikt nie winien. Każdy jest tym, czym musi być. Niewinni gubią się wzajemnie. I na to nie ma rady.

— Ty jesteś filozof — rzekł Paolo. — Tak czy owak mnie musi ktoś odpowiedzieć. Wszyscy niewinni. Nieprawda. Tyś winien, ja winien, on. Każdy z nas winien, że znosi. Za każdą krzywdę — śmierć. Za każdą zgubioną dziewczynę, za każde cierpienie — śmierć.

— Ale kto ma ginąć?

— Ktoś przecież musi odpowiadać. Nie może być tak. Ksiądz deklamuje o sprawiedliwości. Winien mi jest sprawiedliwość zatem. Rząd karze i sędzi. Kto ma władzę, kto śmie mieć władzę i znosi to życie, ten winien.

Zaczęła się teoretyczna dysputa.

Ale Paolo nie argumentował, tylko groźnie potrząsał głową.

— Śmierć, śmierć za to, że to wszystko trwa.

3

Stary Ast chodził rozpromieniony. Od trzech dni miał pieniądze. Sfery rządzące trzęsły się z gniewu. Stary wariat, demagog i księżniczka krwi, księżniczka Jolanta. To było wprost potworne, jak mogli oni się spotkać. Ochmistrzyńni<sup>423</sup> otrzymała dymisję. Usiłowano przekonać księżniczkę. Tu jednak sprawa okazała się niełatwa.

Tak ma być. Księżniczka była gościem — miała dwadzieścia lat, silną wolę i cudne oczy. Gdy szambelan<sup>424</sup>, sędziwy staruszek, liczący na powagę wieku, zrobił jej ojcowską uwagę, księżniczka zażądała listy osób, których nie chciała widzieć, i wpisała na nią jako

<sup>420</sup>*fratello* (wł.) — brat; tu w W.: bracie. [przypis edytorski]

<sup>421</sup>*kupler* (daw.) — stręczyciel. [przypis edytorski]

<sup>422</sup>*Questa infame vita* (wł.) — to haniebne życie. [przypis edytorski]

<sup>423</sup>*ochmistrzyńni* (daw.) — nauczycielka i wychowawczyni domowa, towarzysząca młodym kobietom z rodziny w wyjściach poza dom. [przypis edytorski]

<sup>424</sup>*szambelan* — wysoki urzędnik dworski w służbie osobistej króla lub księcia. [przypis edytorski]

numer pierwszy nazwisko szambelana. Spowiednika zapytała się, odkąd jest grzechem karmić głodnych, i radziła mu, aby się ćwiczył w pokorze chrześcijańskiej. Sterroryzowała całe otoczenie i widywała co dzień Asta.

Ast porobił też pewne ustępstwa: przywdział czarny tużurek<sup>425</sup>, nosił w butonierce gwóźdź i rozczesywał swą wspaniałą brodę. Przy tym stał się dziwnie rozmowny i miał zawsze ochotę do pogawędki. W tym czasie dzięki niemu poznałem po raz pierwszy wielką pracę Marksa<sup>426</sup>. Ast czytał ją już i na jego egzemplarzu widziałem mnóstwo notat, wykrzykników i całe polemiczne rapsodie<sup>427</sup>, pospisywane na marginesie. Na mnie książka zrobiła oszałamiające wrażenie. Nie umiałem zapanować nad jej treścią i czułem zupełnie wyraźnie, że mam do czynienia z całością myślową przerastającą mój świat myślowy. Widziałem znikające mi w oczach rozczłonkowanie myśli. Ast był dla Marksa pełen szacunku.

— Nadzwyczajnie zorganizowana głowa: jest wprost niepodobieństwem<sup>428</sup>, aby to było rozumiane, ostatecznie granice naszego rozumienia są zakreślone przez strukturę i funkcjonowanie naszego mózgu. Kto może koordynować co najwyżej dwa, trzy szeregi pojęciowe — nie będzie w stanie zrozumieć myśli tego, kto koordynuje ich sześć lub siedem. Będzie miał zawsze tylko do wyboru pomiędzy różnymi jednostronnościami.

Po paru dniach jakoś przyniósł mi artykuł francuski o Marksie:

— Oni z niego już religię robią. Nowy rodzaj opatrności. Maszyny się rozwijają, doskonała, w końcu cały świat jest doskonale działającym za pociśnięciem guzika mechanizmem, cała praca jest zredukowana do pociśnięcia owego guziczka, a ludzkość zamienia się w lazaronów<sup>429</sup>, przychodzących codziennie po swoją pensję, produkowaną i płaconą mechanicznie i od razu w naturze. Oni z niego zrobią nową teologię, zobaczysz!

W kilka dni potem mówił:

— W ogóle nie należy mieć wygórowanych wymagań — trzeba pamiętać, że człowiek nie ma żadnych, ale to żadnych gwarancji, że do czegoś dojdzie — ot, gra on sobie w orla i reszkę o samego siebie z czymś, co się wcale ani o niego, ani o wygraną lub przegraną nie troszczy.

Pisał on w tym czasie zoologiczną, jak się wyrażał, krytykę Hegła.

— Hegel — mówił on — powiada: „Wszystko jest rozumne”. To mogło być bardzo głębokie i daleko prowadzić, gdyby Hegel nie zamykał oczu, myśląc. Wszystko jest rozumne. Mój rozum powstał z wszystkiego. Teraz przyjrzyj się pająkowi albo głowonogowi, przyjrzyj się dokładnie całej ich budowie i wszystkim obyczajom i zrozumiemy: ot, właśnie z takiej oślizgłej galarety, z takiego drapieżnego włochatego cielska, jakim jest na przykład pająk, wydobyl się i wyrósł ten osławiony rozum, którym się szczycę. Myśl powstawała z wszystkiego. Wszystko drapieżne i obmierzłe, kłębiące się w nawozie i ulatające pod niebiosa, wszystko robiło nowe doświadczenia, czuło — w ten sposób z tych doświadczeń, tych czuć narastała myśl. Nie z żadnych podniebnych sfer ani międzygwiazdnych eterów spadła ona, ale właśnie z tego ruchomego gnoju wyrosła. Oto i masz, i jest prawdziwy sens: wszystko jest rozumne. A Hegel myślał, myślał tak długo, póki mu się tasienice nawet albo wesz nie zmieniły w emanację Trójcy Świętej, a później wołał: „Wszystko jest rozumne”. Tak to nietrudno było. Nietrudno powiedzieć pająkowi: „Kocham cię, bo jesteś Bóg, co siebie nie zna”, albo do węża dusiciela: „Jesteś utajony rozum”. Słuszniej byłoby powiedzieć: „Nie zrozumiemy siebie, ale jeżeliś ty powstał z tego samego świata, co i ja, to i na dnie mojej duszy musi być coś pajęczego”. I można by odnaleźć ich dużo, tych zwierzęcych zoologicznych kategorii w duszy człowieka, w myśli i rozumie jego. Nic innego prawie w nich jeszcze nie ma. I ja nie radzę wierzyć w myśl. Myśl powstała tylko z uogólnień tych warunków życiowych, tych po-

<sup>425</sup>tużurek (daw., z fr.) — dwurzędowy surdut z ciemnej wełny, popularny na przełomie XIX i XX w., pełniący rolę dzisiejszej marynarki, ale sięgający do połowy uda. [przypis edytorski]

<sup>426</sup>Marks, Karol (1818–1883) — niem. filozof i działacz polityczny, współzałożyciel I Międzynarodówki, twórca marksizmu, światopoglądu głoszącego materialistyczny i rewolucyjny pogląd na świat; w 1848 napisał razem z Engelsem *Manifest partii komunistycznej*; jego najważniejsze dzieło to *Kapitał: krytyka ekonomii politycznej* (t. I 1867, t. 2–3 1885–94). [przypis edytorski]

<sup>427</sup>rapsodia (muz.) — utwór instrumentalny o swobodnej formie oparty na motywach muzyki ludowej. [przypis edytorski]

<sup>428</sup>niepodobieństwo (daw.) — coś niemożliwego a. nieprawdopodobnego. [przypis edytorski]

<sup>429</sup>lazaron (z wł. *lazzarone*) — żebrak, włóczęga uliczny we Włoszech. [przypis edytorski]

trzeb, pod uciskiem których wyrastał człowiek. Wytwarzano ją nie tylko w gabinetach. Nie, gabinet uczonego, pisarza — to już, że tak powiem, dystylarnia która z rozmaitych cuchnących paskudztw produkuje płyn czysty i bezbarwny. Nie. Ona rodziła się wszędzie. W tych głowach, z których Czyngis-chany<sup>430</sup> różne budowały piramidy, i w głowie samego Czyngis-chana. W głowach i ciałach niewolników sprzedawanych na rynkach, kobiet sprzedawanych do haremów — wszędzie tworzyła się myśl. Teraz zaś człowiek przychodzi do niej i mówi: zbaw mnie. Na niej są wszystkie nasze brudy, blizny i wysypki wszystkich naszych chorób. Cokolwiek bądź przeżył człowiek — to żyje dziś w jego myśli. A człowiek przeżył nieskończenie wiele. Nieskończenie wiele rzeczy, o których oświecona myśl przypomnieć sobie nawet nie śmie, tak są straszne. A one są w niej i ona ma, na dnie to wszystko.

Najczęściej jednak mówił o Jolancie.

Mówił o tym, że ona jest podobna do postaci z Shakespeare'a, że nigdy nie wyobrażał sobie, aby gatunek ludzki mógł tworzyć podobne istoty bezpośrednio w przyrodzie, w rzeczywistym świecie, a nie w mózgu genialnego poety.

— To nie jest rzeczywisty świat — mówił Paolo. — To jest wielka scena życia. Scena, którą kosztem krwi i niezliczonych wysiłków utrzymują narody, a potem kiedy tam wszystko błyszczy, pachnie, mieni się i skrzy od barw i przepychu, biedny Kaliban<sup>431</sup> podziwia, że jego nędzne oczy mają szczęście oglądać takie cudy.

— Piękno jest wszędzie zawsze podziwu godne — mówił Ast. — I zawsze pozostaje w ludzkości. Gdziekolwiek bądź żyje piękny, podziwu godny człowiek, w książęcym pałacu czy w mansardzie<sup>432</sup>, pomnaża bogactwo wewnętrzne i wartość ludzkości.

— Ile życia ludzkiego, ile ludzkich istnień idzie na jedną taką księżniczkę Jolantę?

— Życia byłyby również zmarnowane, gdyby ona była zwykłą salonową gęsią o płytkiej duszy i wielkich nogach.

Paolo był nieubłagany.

— Jakie imiona wymyślają oni sobie: „Jolanta” — mówił. — Tak może się nazywać kwiat albo gwiazda. Czy może się nazywać tak człowiek? Widziałem ją na ulicy. Jest naprawdę jak gwiazda i jak kwiat, jest piękna jak księżniczka z bajki, można by się na nią zapatrzeć, można się do niej modlić, gdy przechodzi. Usta mimo woli mówią: błogosławiona ziemia, która cię wydała, błogosławiona chwila, w której oczy moje widzą ciebie, błogosławiony wiatr, który muska twoje włosy. Gdy spojrzała na mnie, czułem się winny wobec niej. Gotów byłem mówić: dobrze mi jest, nazbyt dobrze. Nie zasługuję nawet na taki los. Ja, który jestem pełen brudu, gniewu i zawiści, ja nie powinienem istnieć na ziemi, po której ty chodzisz, nie powinienem oddychać powietrzem, którym ty oddychasz, nie godzin jestem żyć, tak jestem mały.

— Mówisz o niej goręcej niż sam stary Ast — zaśmiał się Sabatier.

— Dlatego właśnie nie powinny żyć takie istoty, nie powinni żyć ludzie, którzy muszą się stać bogami, religią nędzarzy. Nikt nie jest tak bezinteresowny, tak skłonny do marzeń, jak nędzarz. W tym dniu, gdy gdzieś dla mnie moja biedna Anielka starała się zarobić kilka soldów<sup>433</sup> za cenę całkowitego zaprzepaszczenia swej istoty, ja gotów byłem błogosławić ziemię i słońce i przysięgać, że wszystko jest cudownie piękne i dobre, byle była tylko szczęśliwa księżniczka Jolanta.

— Wszystko jest piękne i dobre, niech tylko księżniczka Jolanta będzie szczęśliwa — powtórzyła Amelka, wysuwając zza drzwi swą twarzyczkę, która w tej chwili była pokryta szczęśliwym rumieńcem. Jej oczy śmiały się wesoło i niemal zalotnie.

Miała w ręku bukiet białych kwiatów i podnosząc do góry, wołała:

— Dzisiaj rzucę ten bukiet do powozu księżniczki Jolanty i zawołam, że to kwiaty od mojego Paola.

Powiedziała „mojego Paola” i stanęła okryta pąsem.

<sup>430</sup> *Czyngis-chan* (1162–1227) — władca mongolski, jeden z największych zdobywców w historii, twórca imperium mongolskiego; znany z brutalności swoich kampanii wojennych, podczas których mordowano odporne plemiona, wsie i miasta. [przypis edytorski]

<sup>431</sup> *Kaliban* — postać z *Burzy* Shakespeare'a, dziki, zdeformowany syn wiedźmy, który mieszkał samotnie na wyspie, zanim wylądował na niej książę Prospero z córką i uczynił z niego swego poddanego. [przypis edytorski]

<sup>432</sup> *mansarda* — facjata, mieszkanie lub pokój na poddaszu, z oknem wychodzącym z dachu i nakrytym własnym daszkiem. [przypis edytorski]

<sup>433</sup> *sold* — dawna drobna moneta włoska. [przypis edytorski]

Ale Paolo uśmiechnął się.

— Tobie wolno mówić „niech będzie szczęśliwa księżniczka Jolanta”, ale tylko, kiedy się śmiejesz; kiedy płaczesz, nie wolno ci mówić tego nigdy.

— Kiedy jestem wesoła, to mogę nie myśleć o Jolancie — odpowiedziała Amelka i wyszła, nucąc coś.

Wieczorem tego dnia nie wróciła.

Nie niepokoiliśmy się tym, tylko Paolo był nieswój i chmurny.

— Ona gotowa sprzedawać samą siebie, aby dla niej kupować kwiaty; takie to są te dziewczyny.

— Gdyby Amelka nie była taka, jaka jest, nie mogłaby pozostać tak całkiem uczciwym człowiekiem — rzekł Sabatier. — Mało znam tak uczciwych ludzi, jak ona.

Nauka mistrza Proudhona nie pozwalała powiedzieć mu „uczciwa kobieta” o dziewczynie, która sprzedawała swą miłość. Miękkie serce nie pozwalało mu potępić Amelki, którą kochał i szczerze szanował. Stworzył więc sobie swoją pojednawczą formułę.

— Dopuszczacie się pewnych sofisterei, ojcze Sabatier — żartowałem.

Uśmiechnął się on do mnie. Był to chyba ostatni jego wesoły uśmiech.

Tej nocy pogorszyło mu się nagle i wezwany Ast, namyśliwszy się, rzekł:

— Odwagi, stary przyjacielu.

Sabatier prosił go, aby uprzedził go, gdy śmierć będzie blisko.

Stary robotnik popatrzył na niego niewysłowionym wzrokiem, tak silna była w nim rozpacz.

Znałem jej powody.

Bał się on o dzieci. Bał się on, że zabierze ich jemu po śmierci życie, że wpędzi ich na swój krwawy, brudny deptak. Jak uchronić ich?

Siłą jedyną, jedyną, jaką znał on, byli sami ludzie.

Same one i matka muszą się stać dla siebie jedyną opatrnością.

Śmierć Sabatiera była jedną z tych scen, o jakich mówią nam pisarze klasycy, malując cnotę ostatnich republikańców rzymskich i mędrców greckich.

Tracił on przytomność, zbudzone dzieci stały koło jego łóżka. Żona klęczała obok niego.

— Bądź spokojny, Piotrze — mówiła, poważna i surowa. — Bądź spokojny. Uchronię nasze dzieci. Będę im ojcem i matką, a choćbym umarła, one nie zapomną już nic. Nie bój się: one nieszczęśliwe być mogą, ale nie sprzeniewierzą się prawdzie, nie sprzeniewierzą się sprawie pracy i sprawie swobody.

Nad ranem Sabatier stracił mowę.

Wtedy właśnie przyszła policja. Amelkę znaleziono w jednej ze spelunek portowych zabita, z śladami ohydneho, zwierzęcego znęcania się nad jej trupem.

Policja przyszła dowiedzieć się, czy kto może ustalić tożsamość jej osoby.

Brygadier, pytając się o nią, nazwał ją płacziwą prostytutką. Tylko użył innego, ludowego wyrazu.

— Jak mówisz? — ryknął na niego Paolo.

Brygadier odpowiedział jakimś przekleństwem, a później, opisując, w jaki sposób znaleziono trupa Amelki i w jakim stanie pozostawił morderca jej biedne zwłoki, skończył, wyzywająco patrząc na Paola:

— Suce psia śmierć.

Paolo nie odpowiedział nic, uśmiechnął się tylko dziwnie.

Rano znikł z domu, uściskawszy rękę umierającego Sabatiera.

Przeszło kilka godzin i nagle rozeszła się wieść: Księżniczkę Jolantę, gdy przejeżdżała powozem, ugodził ktoś z tłumu sztyletem.

— Paolo! — krzyknąłem.

I tak też było.

W kilka minut potem dom był pełen agentów policyjnych.

Trup Sabatiera patrzył osłupiałymi oczyma, kiedy konfiskowano mu egzemplarz dzieła Proudhona.

Byliby aresztowali i Asta, gdyby nie to, że wezwano go do pałacu do konającej księżniczki.

Kobieta "upadła"

Śmierć, Żona, Mąż,  
Dziecko

Kobieta "upadła",  
Morderstwo

Paolo na pół godziny przed zamachem rzucił do skrzynki pocztowej list pod adresem Jolanty.

List

„Chciałbym sztylet wbić w serce całego miasta. Ty jesteś najpiękniejsza. I gdyby miasto to miało duszę, płakałoby i wyło z bólu, gdy ty umrzesz. Nie żałuję cię, bo śmierć nie jest nieszczęściem. Umrzesz piękna, czysta jeszcze, nie zaznawszy żadnej goryczy, bo nie dotknęło cię jeszcze żadne zło prawdziwe. Nie chciałbym, abyś cierpiała, cierpienie jest niepotrzebne. Nie ciebie zabijam w tobie, ale wielką krzywdę świata. Dziewczyna, którą zabito dziś w porcie i zgwałcono jeszcze po śmierci — nie mniej piękną od ciebie miała duszę. Wczoraj chciała ci ona rzucić kwiaty od swojego Paola. Dzisiaj ja ci noszę śmierć od swojej Amelki. I może to jest lepszy podarunek”.

Jolanta umarła wieczorem.

Ast wrócił zgarbiony, twarz jego przybrała jakąś popielatoziemistą barwę.

Jolantę chowano w dwa dni potem. Za trumną szedł tłum, wygrażając i krzycząc:

— Śmierć zabójcom, śmierć staremu kretowi, śmierć niedowiarkom, śmierć pomocnikom szatana!

Ast postanowił nad trumną mówić. Nadaremnie zapewniałem go, że nie pozwolę mu powiedzieć ani słowa lub stanie się jeszcze coś gorszego, on uśmiechał się tylko i mówił, że umie się obchodzić ze zwierzętami.

Gdy po dwóch przemówieniach jakichś dygnitarzy kościelnych Ast wdrapał się na jakieś podniesienie i głosem przerywanym przez łzy mówić zaczął:

— Kochałem to piękne i szlachetne dziecko, które zginęło wskutek wyziewów jadowniczych, jakie panują w naszym społeczeństwie, tak jak giną górnicy w kopalniach... — tłum grozić mu zaczął.

— Precz z mordercą!

Ktoś o poważnej twarzy i sukni duchownej nakazał spokój tłumowi, mówiąc:

— To przyjaciel księżniczki.

— Judaszowa przyjaźń! — wołał tłum. — On wychował żmiję, która ją zabiła.

— Ją zabił nie Paolo — rzekł Ast. — Zabiła ją krzywdą, która zatrula serce Paola; ona i Paolo, i ta inna biedna dziewczyna, której ciało znaleziono w porcie, to wszystko ofiary jednej i tej samej zbrodni. A tą zbrodnią oddychamy my wszyscy, my wszyscy popełniamy ją nieustannie. My zabiliśmy Paola, Amelię i Jolantę.

— To już za dużo! — wołał jakiś oficer. — On ją hańbi po śmierci. Zestawia ją z prostytutkami...

— Zabić go, zabić go! Śmierć mu!

Ktoś uderzył Asta laską z tyłu, tak że upadł on. To go zgubiło. Tłum pokrył jego ciało i porwał. Rzuciłem się na pomoc i zostałem obalony, straciłem przytomność. Ocucono mnie w jakieś pół godziny w kapliczce pogrzebowej.

— Nazwisko pańskie? — pytał mnie jakiś urzędnik policyjny.

— Michał Kaniowski — odpowiedziałem.

Ktoś o pięknej, poważnej twarzy zbliżył się do mnie.

— Syn Oktawiana? — rzekł po polsku.

— Tak.

— Jestem Alojzy Kaniowski, stryj twój. Ja zajmę się tym panem — rzekł do komisarza.

— A Ast? — zapytałem.

Stryj Alojzy wskazał mi pokoik, gdzie leżały przykryte rogożą jego zwłoki.

# TOM DRUGI

## I. DOLORI ET AMORI SACRUM<sup>434</sup>

*Topolówka, 22 października 1873 roku*

Jesień już, beznadziejna, szara jesień. Jakże nie lubię wieczorów jesiennych. Deszcz bije o szyby, a nim zmierzch zapadnie, drzewa stoją w parku takie smutne. W tym roku wcześniej potraciły liście i teraz stoją czarne trupy na tle bladego nieba. Pan Kazimierz umarł i ja jestem sama. Siedzę sobie z jego książkami i myślę, a teraz nie chce mi się nawet ich czytać. Wczoraj przywieziono mi je; mama zobaczyła Renana<sup>435</sup> i westchnęła. Nie mówiła mi nic. Tylko dzisiaj, jakby przypadkowo, znów mi pokazywała ten list ojca. Panu Kazimierzowi ciężiej było umierać, choć umierał u siebie w domu i nie z ręki wrogów; może dlatego właśnie ciężiej. Trzęsę się cała na myśl, że jemu sprowadzono księdza. Jak mogła, jak mogła jego matka o takim miłym dotknięciu rąk, które przedmioty pieszczą raczej, niż biorą, jak mogła ona, która tak gra, to zrobić? Jak on musiał patrzeć na nią tymi swymi zapadłymi oczami, które gasły. Mówić nie mógł ani ruszać się, ale wiem, że myślał. Widziałam, jak myślały, jak żegnały się ze mną jego oczy, kiedy wyjeżdżałam w ten wieczór. Nie pozwolili mi zostać w tę właśnie noc i kiedym wróciła, on już leżał z obrazeczką w ręku. Podeszłam i wyjęłam obrazek. Nie śmiano mi przeszkodzić. Mama tylko popatrzyła na mnie smutnie. I córki mi jego też nie dali. Oddali książki, a nie oddali dziecka, a on o to tak prosił, tak błagał. I ja — także nie mam sił do walki. A zresztą choćby mi ją oddali, to czyżbym uchroniła ją od tych samych wpływów? On chciał, aby córka mu wyrosła na pracującego, wolnego człowieka, a czyż ja pracuję, czy i u nas nie byłaby ona w sztucznym świecie, czy nie otoczyłyby jej wspomnienia, marzenia, pamiątki? Ojciec mój, umierając, wierzył, że zostanie z nami, że będzie czuwał nad nami.

Jesień

Śmierć

„Bóg mi da rządy waszych serc — pisał — więc nie żegnajcie się ze mną i nie płaczcie, bo się nie rozstajemy. Po drgnieniach duszy swojej poznasz, Miło, że jestem z tobą”.

Czy matka moja nie wątpi? O czym myśli, kiedy godzinami całymi nie wstaje z klęcznika?

Ale pan Kazimierz wiedział, że zostawi dziecko samo, że odbiorą mu tę młodą, najdroższą duszę.

Ostatnich dni powtarzał już nieustannie: „Wszystko, co masz, co będziesz miała, robili ludzie, nieszczęśliwi, biedni ludzie”. Ona otwierała szeroko swoje mądre oczy, widziałam, jak nabrzmiewają żyłki na wysokim czole. Ale czy mogło jej zostać z tego coś prócz wspomnienia?

A może, może kiedyś zwieje wiatr wszystko to, czym w jej pamięci ludzie wspomnienie to przysypią, i ocknie się ono...

Piszę i piszę, a nie uda mi się oszukać własnych myśli.

Tak mi źle i tak mi smutno.

Olu, Olu — przyrzekłaś przecież siłę, przyrzekłaś przecież wytrwałość i spokój.

Niechaj nie bije tak ten deszcz i wiatr nie szeleści: przecież to życie moje ginie. Chwila za chwilą płynie i na zawsze znika. Porywa je noc jak te liście.

Co robi czas ze straconymi chwilami.

Wyobrażam sobie, jakby śmiał się on, mój nauczyciel, że znowu wpadam w styl Hofmanowej Tańskiej<sup>436</sup>, ale myśli mam rozstrojone, ciężko jest żyć w tym pustym, smutnym

Deszcz, Wiatr, Noc

<sup>434</sup>*Dolori et amori sacrum* (łac.) — poświęcone bólowi i miłości. [przypis edytorski]

<sup>435</sup>Renan, *Joseph Ernest* (1823–1892) — francuski pisarz, historyk, filolog, orientalista, filozof pozytywista, krytyczny badacz historii religii; znał biegle języki starożytne i opierając się na swojej wiedzy prowadził drobnozgodowe studia biblistyczne; jego najbardziej znane dzieło to *Żywot Jezusa* (1863), w którym dokonał całkowitej reinterpretacji postaci Chrystusa, opisując go jako niezwykle szlachetnego człowieka, który jednak ani nie był synem Boga, ani się za niego nie uważał. [przypis edytorski]

<sup>436</sup>Hoffmanowa, *Klementyna, z domu Tańska* (1798–1845) — pisarka, pedagogka, tłumaczka, jedna z pierwszych polskich autorek piszących dla dzieci i młodzieży, pionierka patriotyczno-obywatelskiego wychowania dziewczyn



domu. Ciężko słuchać ciągle tych samych żartów, anegdot, jakimi stryj Florian sobie i innym czas zabija.

A stryj Oktawian jest smutny i milczący.

Tak bym chciała pójść do niego, objąć go, przytulić go do siebie, tak bym chciała pomówić z nim o nim.

Ja wiem, że on o nim tylko myśli, ale nie mówi nic, tylko chodzi, chodzi... I teraz słyszę, jak skrzypią jego kroki.

Nie powiedzieli mu nic w tym więzieniu.

A jak on wtedy krzyknął na tego oficera:

— Kłamstwo! Mój syn nie uczyni nigdy nic niezgodnego z honorem.

Źle mi, bardzo źle i żadnego nie ma wyjścia.

Tak tu przeżyję nikomu na nic niepotrzebna.

Mamie?

Mama mówi, że nie mogłaby beze mnie żyć, i ja wiem, że mama mnie kocha...

Ale czasem myślę, że chciałabym być sierotą, niemającą nikogo, niepotrzebującą oszczędzać niczyjej miłości.

Dopóki pan Kazimierz żył, wiedziałam, że jemu sprawiam przyjemność swoim towarzystwem, że on zresztą myśli o mnie jak o opiekunce swojego dziecka po jego śmierci.

24 października

Wczoraj znalazłam w jednej z księzek list pana Kazimierza do mnie pisany. Cały dzień byłam rozstrojona i myśli zebrać nie mogłam.

List, Miłość, Pamięć

„Nie będzie mnie już na świecie, gdy czytać to będziesz, dziewczyno moja ukochana. Bo teraz powiem ci to, czego nie chciałem powiedzieć ci żywy. Wszystkimi siłami ginącego życia kochałem cię. Kochałem twój głos i twoje oczy, i twoje włosy koloru jęczmienia, i twoje usta dumne, których nie pocałuję nigdy. Nie chcę, abyś nie wiedziała o tej mojej miłości. Chcę, abyś pamiętała o mnie, kiedy zbliży się do ciebie ktoś, kogo będziesz mogła kochać. Wiem, że ceniałś mnie wysoko, więc nauczysz się może cenić samą siebie. Wy, młode dziewczęta, nie wiecie, czym jest życie, i nie wiecie, czym jest miłość. Nie rozumiecie, jak bezpowrotnie oddajecie duszę razem z ciałem. Coś zostanie w tobie z duszy tego mężczyzny, któremu oddasz miłość swą i całą siebie, chociażbyś później odtrącić go miała. Nie odedrzesz już od duszy wspomnienia. O, nie myśl, że pośmiertna zazdrość mówi we mnie. Ja, umierając, drzę o ciebie, tak jak i o dziecko moje. I pragnę, abyś była szczęśliwa. Pragnę, abyś na świat patrzyła zawsze dumnym wzrokiem. Ja ci życzę ze wszystkich sił duszy mojej wielkiej, szczęśliwej miłości. Kochaj i nie bój się namiętności. Tylko sercu sercem nigdy nie kłam. Tylko myśl, myśl, że będzie ojcem twego dziecka ten, kogo kochasz. Tak bym chciał zobaczyć tego człowieka, który całować będzie twoje usta. Tak bym chciał zajrzeć mu prosto w oczy do dna serca!... I nie pozwól, aby cię zabiło życie, nie pozwól, aby ci upłynęły dni młodości na wspomnieniach. Nie pozwól zabrać sobie szczęścia, nie pozwól zabrać sobie swobody. Olu, Olu moja. Nocami wołałem cię, leżąc w gorączce, i spowiadałem ci się ze wszystkich myśli moich, i jakże tęskniłem do ciebie w wieczory, gdyś odjeżdżała, i w ranki, kiedy czekałem na ciebie. Czy pamiętasz, że dałaś mi swoje włosy, z nimi umrę i myśleć będę o tobie. Na twoją jasną duszę zaklinam się, że nie mam do ciebie żalu, że nie żałuję, że spotkałem ciebie, która jesteś na wieki dla mnie utracona. Na głos twój i na twoje spojrzenia przysięgam, że nie żal mi tych chwil bólu, kiedy łamałem ręce nad sobą i rwałem włosy, że nigdy, nigdy nie opleciesz ramion koło mojej szyi. Oczy moje pieściły się tobą, myśli moje uśmiechały się, kiedyś mówiła, na dno serca zapadło mi dotknięcie

czął, opartego na tradycyjnych, konserwatywnych wartościach (*Pamiętka po dobrej matce, czyli ostatnie jej rady dla córki*, 1819; *Amelia matką*, 1822–24); autorka pierwszej próby powieści psychologicznej w Polsce (*Dziennik Franciszki Krasińskiej*, 1825). [przypis edytorski]

twojej dłoni. Kiedy umierać będę, modlić się będę do ciebie, duszą przywrę do twej jasnej postaci i tak zejść w mrok. Gdy zagasi śmierć moje myśli, pozostanie samo bezmierne szczęście, żem widział ciebie. Będzie czas, ludzie będą kochali piękno w sobie, będzie czas, gdy nie będzie ono już niebezpieczeństwem. Chcę ci dać jakąś ostatnią radę i nie znajduję nic. Siebie nie zatracę, nie zatracę siebie, moje kochanie. Ciebie samej tobie powierzam. Bądź szczęśliwa, Olu, bądź szczęśliwa. Za to, żeś dała mi szczęście kochana ciebie — bądź szczęśliwa za to, że umierać będę z myślą o tobie — bądź szczęśliwa, Olu. Całuję włosy twoje, chylę się do twoich stóp, ręce twoje kładę sobie na czole. Wierzę, że kiedy umrę, pocałujesz mnie w to czoło, które leżeć będzie zimne pod ustami twymi, których nigdy nie dotknęły się moje tęskniące i pragnące usta”.

Po co pisał on to, dlaczego myśleć muszę o nim z takim bólem?

Nie, nie. Nie kochałam go. Nie kochałam go. Nie mogła byłabym go kochać. Mogłam modlić się do niego, ale nie byłabym w stanie objąć go, nie byłabym w stanie szeptać mu do ucha cisnących się na usta wyrazów.

I teraz siedzę tu i myślę, dlaczego? Dlaczego nie mogę mu teraz nawet, we wspomnieniu, oddać swej miłości? Dlaczego buntuje się we mnie coś na samą myśl, że tak być mogło, że — z trudem piszę słowa — jego usta dotknąć mogły moich piersi, ramion, że on mógłby widzieć mnie, jaką jestem?

I czym jesteśmy my, kobiety? Ja wiem, że jeszcze siebie nie znam.

Kobieta, Miłość

### *1 listopada*

Tak dawno nie pisałam, nie chcę kłamać, kiedy piszę, a kłamie każde moje słowo.

Dlaczego nie śmiem, nie mogę napisać, że marzę o nim, o Michale, w czasie kiedy myślę o miłości? Od czasu, kiedy wiem, że będzie człowiek, do którego należeć będę.

Dlaczego nie mam napisać tego słowa? Tak jest, on mógłby przyjść i wziąć mnie, jak się bierze rzecz, jak się strząsa owoc z drzewa, jak się zrywa kwiat.

Nie wierzę swoim myślom — one kłamią, nie wierzę niczemu, co mówię do siebie wewnątrz.

Na dzień tego wszystkiego jest tylko to: miłość do niego i tęsknota.

Zawołaj mnie, gdziekolwiek bądź jesteś, i pójde.

Rzucę wszystko i pójde za tobą.

Będę słyszała ciężki, długi płacz matki i pójde z tobą.

Miłość, Tęsknota

### *3 listopada*

Kiedy stuknęła do okna w ten wieczór, krzyknęłam, myślałam, że to chyba moja myśl zwołała ducha.

On stał pod oknem taki sam, jakiego go widziałam w marzeniach.

Miał twarz pooraną i spaloną, jakby z brązu wykutą.

Nie wiem, jak przywitałam się z nim. Wiem, że poczułam usta jego na swoich włosach, wiem, że dusiły mnie łzy. Musiałam krzyknąć coś czy powiedzieć, bo on patrzył na mnie ze zdziwieniem.

Nie wiem już nic, bo w drzwiach stał stryj Oktawian.

Nie widziałam nigdy tak bladego człowieka.

Szedł, a nogi mu się chwiały, i mówił coś, ale słyszało się tylko jęk.

Podszedł i zaczął wodzić po twarzy Michała rękami, jakby był ślepy. Coś szeptał, ale nie słyszałam słów.

Michał prowadził go za rękę jak kalekę, jemu z oczu płynęły łzy, a ręką ciągle dłoń Michała gładził.

Potem Michał już stapał, a on koło jego łóżka siedział. Mruczał sam do siebie i płakał.

Na drugi dzień miał chyba o połowę więcej siwych włosów; kiedy nalewał sobie i synowi wino, ręce mu się trzęsły i wino płynęło po stole. Tak utkwił mi w pamięci i pamiętam wciąż jego oczy z podziwem i strachem w twarz Michała wpatrzone, jak gdyby lękające się spotkać jego spojrzenie.

Spotkanie

Ojciec, Syn, Łzy

Taka cisza jest teraz wieczorami i nocami koło naszego domu. Siedzę i słucham, słucham, czy nie skrada się kto: budzę się i wydaje mi się, że słyszę dzwonki, stąpanie po zmarzniętej ziemi i głosy... Serce bije, głowa się napęnia hukami. Przechodzi długa chwila, nim rozpoznam, że słyszę tylko trwogę, że nie idzie nikt. O poranku wyszłam do ogrodu. Na czarnych gałęziach był szron. Niebo było chłodne, blade, zasępione, niebo złych przeczuc, lęku i rozterki.

Ja obca jestem tu, w tym domu.

I będę się tu tułała jak więzień wśród czterech ścian, kiedy on pójdzie znów na chłodne pola.

Jego nie rozumie tu nikt.

Nikt nie rozumie, że on nie mówi starych mogiłnych słów i ginie.

Nikt nie rozumie go, który się tuła po krwawej, twardej ziemi, który jest sam bez gwiazd, bez Opatrzności.

Kaplice mijają, w których lampy płoną dzień i noc. On tu jest obcy.

Nigdzie na ziemi nie ma zgotowanego domu.

Niczego nie wspomina.

Na sztandarze jego płoną słowa, które jutrzejszy dzień dopiero odczyta.

On nie jest sługą żadnego Boga i żaden Bóg nie rozpościera nad nim swej chroniącej dłoni.

Sam jest pod tym chłodnym niebem opuszczenia.

O, gdyby spojrział na mnie i zrozumiał!

Myśli moje szły za nim i szukały śladów.

Gdy przychodziły pisma i mówiły, że broczy znowu krwią pierś człowieka, że gdzieś rozległ się głos wołający o pomstę za na próżno lejące się łzy, że ręce czyjeś dźwigają sklepienia — ja wiedziałam: tam jest jego serce.

Stałam na ganku, kiedy on przyszedł.

Pierwszy raz byliśmy tu sami.

Wiatr zerwał się i niósł poprzez uliczkę szeleszczące liście.

Nie pamiętam jego pierwszych słów. Coś mówił on i coś ja mówiłam. Serce moje przeczulo, że on mnie słucha, że on słucha mojego głosu, co się łamie.

Szedł koło mnie i mówił.

Mówił o kobiecie, która padła na bruku płonącego miasta. Mówił krótkimi, stężonymi słowami.

Twarz jego była spokojna, ale ja czułam, że w jego duszy jest to samo, co we mnie.

Wrony przeleciały nad nami, kracząc.

— Widziałem je, jak krążyły w tym dniu — mówił — nad ciałem biednego Adasia. Rękoma musiałem wykopać grób, potem siadłem nad nim i chciałem pilnować. Aż wreszcie zrozumiałem, że nie warto było przysypywać ziemią prawdy. Taka jest: na strawę drapieżnych ptaków nasze ciała. Będziemy walać się po rozstajnych drogach.

Opowiadał mi, jak oni giną.

Opowiadał, jak płynie krew, i widziałam, jak usta jego się ścięły.

— Padną nas tysiące, a nowe przyjdą i rozwalą w gruzy ten świat krwi i kłamstwa.

Nadejdzie nasz czas.

Na dnie duszy żyje granitowa pewność: przyjdzie nasza chwila

Niechaj on leży tam, na leśnej ścieżce.

Niech mu wydziobią kruki jasne oczy: taka jest prawda człowieka.

Żywych, konających wrzucano przecież do dołu wraz z trupami.

I nagle spojrział mi w oczy i zapytał:

— Jak możesz ty tu żyć?

W jakim słowie wyczuł on, że w mej duszy śpi zakopany miecz?

Które słowo zdradziło mnie, że myśli moje były z nim?

A on mówił:

— Nasze życie jest jak przysypanych w podziemiach. Wali się na nas ziemia, ale my leżymy już za życia w grobie. I nie kradniemy innym chleba, światła, powietrza.

Ja wiem, że my zginiemy wszyscy.

Ja wiem, że czają się już drapieżne oczy, że liczy nas ołowiane spojrzenie.

Nie mamy ani dnia, ani godziny, ale pomimo to ja, szczuty, ja, ścigany, pytam się ciebie, jak możesz tu żyć!?

Czy ty pójdziesz stąd, aby zostać żoną, niewolnicą, zabawką, rzeczą jednego z tych ludzi, których tu jedynie możesz napotkać?

Czy ty pozwolisz, aby całe twoje życie, twoja dusza i twoja myśl poszły na igraszkę dla człowieka, który na dzień przed ślubem z tobą oczyści dla ciebie miejsce w swym domu przez usunięcie jakiejś Marynki lub Małuszki?

Jak cieszyłam się, jak cieszyłam się, że on tak do mnie mówi. Milczałam, myśląc, w czym on mnie odgadł.

Milczałam, myśląc, czy on odgadnie mnie całą...

On mówił:

— Jeżeli cię urażam, wybaczone, ale czuję, że ty jesteś człowiekiem.

Wziął mnie za rękę i uściśnił.

— Strzeż się kłamstwa, Ola. Sobie nie kłam. Wybierz zgubę, osamotnienie, ból, ale nie kłam.

Nie ja, ale moje usta mówiły coś o mamie. Moja myśl szła już z tego domu precz i gryzła palce, słysząc płacz za sobą.

O, mój Michale, czyś ty nie wiedział, że pójde, czyś ty nie wiedział, że wybiegłabym i tak w nieznany świat ścieżek szukać, po których stopy twoje chodzą?

Czyś ty nie wiedział, że sięgnęłabym po śmierć, chociażbyś nie widział mnie i ginąc gdzieś, mówiłabym twoim mądrym oczom: za twoją sprawę?

Ale on mówił:

— Nie kochałem nikogo tak jak ojca. Kochałem przyjaciela, którego pożegnałem dziś. Kochałem tę, której odważną pierś zmiażdżyło koło armaty i zdeptały konie, i ponad wszystko to chyba droga była mi ta siwa głowa. I nie wiem sam, czy gdy pójde stąd, tęsknić będę więcej do niej czy do ciebie, do oczu twoich, do twego widoku. W gorączce genueskiej, kiedy przeklinałem świat i siebie, ciebie widziałem, szum naszych pól, śpiew strumyków i ciebie świeżą jak strumyk.

Nie skończył, bo pochylił się do jego rąk, głowa moja upadła mu na piersi.

I mówiłam:

— Dokądkolwiek bądź pójdziesz, pójde z tobą.

Podniósł mi głowę i patrzył w oczy.

— Moje schronisko jest to — rzekł — które znalazł Adaś.

Czułam, jak łamie ból moje ciało, jak czyjaś ciężka ręka na kark legła i do ziemi gięła. Poprzez szczykanie zębów i cichy jęk dobiegł mnie mój zamarły głos.

— Do końca dni moich będę z tobą.

Wtedy powiedział:

— Czy potrafisz zostać sama?

Serce ścięło się w kamień i upadło. Ktoś lodowaty mówił:

— Chcę, aby ostatnia myśl moja była z tobą.

— A gdy legnę już na jakim rozdrożu?

Niezrozumiałym głosem powiedziałam:

— Będę żyła. Będę żyła dla twoich zgasłych oczu.

Potem nie mówiliśmy już nic.

Zasłaliśmy w głuchą uliczkę: tu gwizdał wiatr i wiał chłodem.

On patrzył na mnie ciemnymi oczami.

— Czy wiesz, co to jest miłość? — rzekł.

Zajęczałam...

— Nie jesteś pierwszą kobietą, którą kocham.

Kiwnęłam głową.

A on mówił:

— Usta, które całować cię będą, całowały, choć milczało serce. Kupowałem kobiety i miałem je jak rzecz.

Wtedy podniosłam głowę i powiedziałam:

— Po coś to zrobił?

Kłamstwo

Miłość silniejsza niż śmierć

Miłość, Pocałunek

I stałam w tej chwili przed nim jak obca, patrzyłam mu w oczy i trzęsłam się ze strachu. W tej chwili krzyknęłabym, gdyby się do mnie zbliżył.

Ale on stał nieporuszony i mówił:

— Dlaczego jesteście niewolnice, dlaczego znacie tylko ciało? Dlaczego boicie się namiętności i miłości? Dlaczego to wszystko jest kłamstwem?

Wziął mnie za rękę i rzekł:

— Posłuchaj, będzie taka chwila, gdy nie będzie między nami nic, myśli ani słów. Będziesz tylko ty i tylko ja. Czy się boisz?

Powiedziałam:

— Nie.

— Nie będziesz żałować nic?

Patrzyłam na niego chmurnymi oczami, nie wiedziałam sama, co jest w moim spojrzeniu.

Wtedy on pochylił się nade mną i pocałował mnie w usta.

A jeżeli ty się mylisz, Michale, jeżeli ja nie twój świat, twoją myśl kocham, tylko ciebie, jeżeli ja tylko chcę widzieć twoje oczy, jeżeli ja tylko pragnę, byś mnie wziął i był mną szczęśliwy, jeżeli ja tylko miłość twoją kocham?

I myślę, dlaczego on mnie kocha i chce mnie wziąć.

Abym mu była pokrzepieniem, kiedy nadejdzie zwątpienie?

On już przywykł iść pod śpiewem kruków.

I jakież pokrzepienie dam ja tobie, ja, która nie wiem, za co ciebie kocham.

Co ja ci dam?

Czy tylko pocałunki moich ust, czy tylko uścisk mych ramion, czy tylko siebie?

Czy nie ma piękniejszych kobiet, które mógłby mieć?

Olu! Olu! Co powiesz mu, kiedy przyjdzie noc? Kiedy naokoło będzie skradająca się cisza, a będzie on, tylko ty i on, on i ty. Co powiesz jego czarnym, mądrym, mężnym oczom?

Położyłabym jego głowę na piersi i śpiewałabym mu pieśń o nim.

Śpiewałabym o człowieku, który wybrał śmierć, który wyszedł o śniadym, chłodnym świecie.

Zabiegają mu drogę mamidla.

Opowiadałabym mu długą baśń o jego czynach.

Olu! Olu! Co powiesz mu w noc, kiedy skrada się śmierć, cisza się czai — kiedy krople deszczu dzwonią o szyby jak pomarłych łzy?

Czy dasz mu tylko upojenie sobą?

A jeżeli ty mnie nie znasz, Michale, jeżeli mnie gryzie, szarpie ból, nie o to, żeś ty tamte kobiety kupował, ale że to nie byłam ja?

Słyszysz, nie znałeś mnie.

I teraz drzę sama przed sobą jak nagi, odarty z listków krzak.

Ja nie chcę, nie chcę tak czuć.

A tak czuje ona, moja krew, tak czuje całe moje nieoporne ciało.

Słaba jestem, naga i bezradna.

A jeżeliś ty się zawiódł na mnie, Michale?...

Mama wyjeżdża dziś, gdy wróci, nie będzie mnie tu. Chcę serce przymusić do płaczu, a ono zacięło się i milczy. Z daleka jestem temu wszystkiemu obecna, co się dzieje naokoło mnie i we mnie.

Michał też ostatnie tu już dni spędza. Potem da mi już tylko znać.

I ja wiem, że to się wszystko stanie.

Ja wiem, że tu przyjdzie do pustego pokoju matka, że będzie łamać ręce, to wszystko wiem, i patrzę na to oschłą, obcą myślą.

Wiem, że skończyło się już na zawsze wszystko to, co znam. I teraz stoję sama na

Miłość, Śpiew

Serce

wietrze w zimną noc.

Pytam się mego serca:

Czy się boisz?

Ono milczy.

Pytam się:

Czy tak chcesz?

Nie odzywa się już we mnie nic.

Jak nazywa się ten mus, co mnie goni?

Dlaczego nie trzyma mnie tu nic?

Dlaczego jestem taka sama?

I dlaczego w tej chwili nic mnie tu nie woła?...

Najlepiej byłoby mi już gdzieś w chłodnej, czarnej ziemi.

Noc wszędzie, pusta, wielka noc.

Zmarzły gwiazdy, serce moje zmarzło. Sama stoję w pustym, nagim polu.

A ty, Michale, myślisz pewnie, że mnie teraz płacz i jęk spod ziemi woła, że wołają mnie usta sine i bezkrwiste. Nie, nie myślę o tym wszystkim, nic nie myślę. Jestem jak złamana gałąź rzucona na wiatr.

Teraz już jestem całkiem sama.

Mamy nie ma i Michała już nie ma. Stryj Oktawian chodzi przygarbiony przez oświetlone, pokoje. Chodzi, jakby sam z sobą rozmawiał.

I czego ty się męczysz, staruszkule?

Czy nie lepiej byłoby tobie brnąć w śnieg, w zawieję, nie mieć nad głową dachu, nie wiedzieć, gdzie tę swoją mądrą, siwą głowę złożysz?

Czy nie lepiej byłoby tobie z synem stąd pójść precz? Stary dwór i stare papiery na cztery spusty zamknąć i podpalić albo niechby stał tak, niechby szumiały wiatry przez umarłe, wielkie pokoje.

Nie chcę myśleć o tym, jak wy tu będziecie mieszkać i żyć, samotni, wyziębieni, starzy. Nie chcę myśleć, o czym będą wam mówić wiatry jesienne i zimowe cisze, kiedy tylko drzewa stękają i trzeszczą na mrozie. Nie chcę myśleć o niczym.

Śnieg, wczesny śnieg spadł już, leży tak, jak obojętność i niechęć w moim sercu.

Co dzieje się ze mną?

Dlaczegoście nauczyły mnie stare, wielkie, samotne pokoje nad słuchiwać, co szepce mi serce, dlaczego nauczyłyście mnie żyć z samą sobą tylko?

I teraz patrzę w siebie jak w zmarłe jezioro, w którym się nic nie przegląda.

Taka pustka naokoło mnie.

I nic nie umiem, tylko siedzieć tak i samej sobie się przed sobą użalać i skarżyć.

Jestem jakby sama jedna na świecie, nikomu i na nic niepotrzebna.

15 listopada

Nie każ mi tak długo czekać, Michale, bo przecież ja co dzień i co godzinę żegnam się już ze wszystkim, drzwi zamykam za sobą i pozostawiam tu matczyne płacz, a później tu zostaję i słucham, jak płyną jej samotne łzy i odpowiada im deszcz, który bije w szyby.

Leżę i słucham zagaszonym sercem.

Tak będzie ona tutaj żyć dzień i noc.

Co dnia będzie budzić się i na mnie czekać. Czekać nie wiadomo na co. Tak siedzieć u okna i patrzeć w dróżki, którymi ja już tu nie przyjdę. I przyjdzie wieczór, i ona już będzie wiedziała, że nic, że idzie znowu pusta, głucha noc i wali się na serce.

Po co ty mi to każesz widzieć?

Potem przyjdzie noc taka długa, zimna, czarna.

Łzy płyną.

O, nie szlochaj ty tak po mnie, nie płacz!

Ja muszę iść.  
Wstaję, idę do twojego łóżka — i powtarzam zimnymi ustami.  
— Muszę.  
I chodzę, tak tu chodzę po tych pustych pokojach.

Wysłałam w nocy do salonu — nie mogłam spać. Siedziałam tam w tym dużym pokoju, gdzie nikt nie mieszka i gdzie nikt nie będzie po mnie płakać. Drzwi otworzyły się cicho, wszedł stryj Oktawian ze świecą.

Chciałam wstać, ale on podszedł do mnie i długą chwilę patrzył mi w oczy.

— Czy już dziś?

— Co dziś? — spytałam.

— Czy już dziś chcesz iść do niego, Olu?

— On mówił?

— On nie mówił. Ja wiedziałem i wiem. Czy już dziś?

Siadł koło mnie i białą ręką mnie po ramieniu i po włosach gładził.

— Ja cię nie wstrzymam. Matka twoja. — Rozłożył ręce. — Ja tu będę z nią. A ty pisz. Ty nie wiesz, co to jest czekać na list. Przechodzą noce, myśli szepcą. Serce się w piersi powoli jak nóż obraca: gdzie on?

I mówi noc:

Staruchu, jesteś sam.

I znowu powoli, powoli rozwija się zatruta myśl: gdzie on, co dzieje się z nim?

I odpowiada chłodna noc:

Staruchu, jesteś sam.

Zegar szepce w kącie swe piosenki:

Oj, był sobie pan,  
Szczęśliwy pan, wesoly pan.  
Młodą żonę, syna miał...  
Cyt, cyt...  
Staruchu, żona gdzie?  
Cyt, cyt...  
Staruchu, a syn gdzie?  
I dzwoni znowu głucha noc.  
Staruchu, jesteś sam.

Ojciec, Tęsknota, List, Noc

Przejdzie dzień i serce bije, gdy ktoś przez pokój idzie: list niosą, a może on sam. I przychodzi wreszcie ten czekany list. Ty nie wiesz, ty nie wiesz, jak upaja się samotne serce. Ty nie wiesz, jak ono wtedy wszystko zapomina.

Nie było nigdy długich, pustych nocy.

Nie było nigdy szyderstwa zegara.

Cisza nocna zakłada ci na szyję ręce: mój ojczu...

Serce płacze, chce biec, cierpi, ale to jest żywy, ciepły ból.

Pisz, Ola.

Do swojej matki pisz i do mnie.

Nagle wstał.

— Ola, proszę cię, teraz mówię do ciebie jak do mężczyzny, jak do silnego, uczciwego człowieka. Gdyby Michał... — Nie skończył. — Gdyby Michał... — przerwał raz jeszcze — jego szukają, gdyby jemu stało się co, gdyby stało się to, gdyby spełniło się to, co mi noc mówi...

Ty napisz mi.

Jasnym, krótkim słowem mi napisz.

Czy ty wierzysz? — rzekł.

— W co, stryju?

— W ten wasz mus.

Opuściłam głowę:

Ojciec, Tęsknota, List,  
Serce

— Muszę, stryju.  
— Czy wierzysz?..  
— Wiem, że tak trzeba.  
Potem mi już mówił o matce, o tym, jak zajmie się nią.

21 listopada

Przyszedł list...  
I już ostatnia godzina.  
Zamknęłam list, który z drogi wyślę, tak jakbym rzuciła na trumnę kamień.  
Stryj Oktawian już był i jeszcze przyjdzie, jemu oddam te kartki.  
Położył mi na kolanach głowę i całował ręce — nie mówił nic, nie chciał powiedzieć, że mi za Michała dziękuje...  
— A jeżeli, Olu, on ciebie zgubi...  
Roześmiałam się.  
— Będę z nim, będę sama.  
On jeszcze raz wstał, dwa razy próbował coś mówić.  
Nagle rzekł:  
— Ty go proś, ty go proś, niech on się oszczędza.  
I jeszcze raz pochylił głowę i podniósł oczy, swe mądre oczy: prosiły teraz o coś jak oczy dziecka...  
— Gdyby, gdyby... Olu... — rzekł, zacinając się — urodziło się wam dziecko... mnie go przyslijcie. Słyszysz, Olu, mnie.  
Matce twojej nie powiem nic, że m wiedział, rozżaliłaby się na mnie i odeszła, ale ciebie ja nie mogę wstrzymać: człowiek musi robić wszystko sam.  
I jeszcze mówił:  
— Nie mam Boga, który słucha modlitw, i nie mam komu powierzyć cię, dziecko moje. Żadnemu Bogu. Idziesz sama. Ale teraz, kiedy będę myślał o nim, będę wiedział, jesteś ty, a o tobie — jest Michał.

Idę i zamykam trumnę.  
Nie będę płakać — nie chcę.  
Bądźcie wy dla niej litościwe, wiatry jesienne.  
Bądź miłościwym dla niej ty, słońce.  
Mówcie jej, że wszystko przemija, trawy i liście, nauczcie ją cichego, dobrego smutku.  
Niechaj ona po mnie nie rozpacza. Mówcie jej, że powróci wiosna. Niechaj śpi, niechaj marzy moje stare biedne dziecko.  
My się przecież, mamo, zobaczymy.  
Tu ja nie wrócę i nigdy już nie będziemy jak dotąd razem: ale zobaczymy się.  
A teraz idę już, konie czekają za bram.  
O tym nie wie nikt — tylko stary Tychon.  
Stary Tychon, który marzy: chodzić będzie jeszcze nasz Michałek, w złotej, kowanej koronie.  
Teraz patrzy na mnie i ociera łzy.  
Dziś pchał mi gwałtownie w ręce woreczek pieniędzy.  
Stryj Oktawian dał mi ich aż nazbyt dużo.  
Chciałabym teraz pomyśleć o czymś wesołym, ale nie mogę.  
Płynie do mnie z tamtego pokoju cichy płacz.  
Zamykają się już z łoskotem dębowe, ciężkie drzwi.

## II. NOWA WIOSNA

Czekaliśmy na Ołę na jednej z prowadzących do Odessy stacji, ja i Wółczok<sup>437</sup>. Tak nazywaliśmy Wierę Kochanowicz. Było ich trzy siostry: wszystkie oddane sprawie, niezastąpione. Kochaliśmy je za niezmierną jasność serca i mężną pogodę. W ich towarzystwie nie

<sup>437</sup>wółczok (ros.) — bąk (zabawka dziecięca); wilczek (młody wilk). [przypis edytorski]



czuł chyba nikt nigdy możliwości zwątpienia, nie dostrzegał niebezpieczeństw. Wszystko staowało się nad wyraz proste i naturalne. Pociągi tu krzyżowały się i mieliśmy z godzinę czasu. Z bijącym sercem stałem wpatrzony w szyby mijających się wagonów. Wiera żartowała dotąd ze mnie. Teraz stała poważna i skupiona. Dla niej Ola była już towarzyszem. Czy zdoła zwyciężyć walkę z samą sobą, z przeszkodami? Nareszcie w jednym z wagonów mignęła mi twarz Oli. Stała w drzwiach, nie mogąc ich otworzyć. W jednej chwili byłem przy niej i tak utkwiała mi w pamięci: za szybą nadjeżdżającego wagonu, z jakimś zakłopotaniem czy trwogą w twarzy.

Zaznajomiłem ją z Wierą i po chwili siedzieliśmy już w poczekalni, mówiąc wszyscy razem.

Coś młodego, coś, co raz tylko rodzi się i na zawsze przemija, było w tej chwili między nami. Byliśmy jakby pijani, nie tylko my, ale i Wiera.

I w takim nastroju jechaliśmy do Odessy.

Były to dla naszych kółek szczęśliwe, młode dni: o aresztach nie było nic słychać. Dni schodziły na nieustannych przygotowaniach. Co chwila zjawiał się ktoś potrzebujący paszportu, książek, adresów w mieście, do którego jechał. Zdarzyło się tak, że było w naszych kołach kilka par młodych i kochających się. Niebezpieczeństwa wydawały się dalekie. Cieszyły zaś nas najmniejsze już powodzenia. Pamiętam wzruszenie, z jakim wysłuchaliśmy opowiadania Cyprianowa.

Chodził on jako tracz od wsi do wsi, szukając pracy, w worku miał kilkanaście egzemplarzy rozpowszechnianych wówczas przez nas broszur, pomiędzy innymi słynnej *Chytrej mechaniki*, napisanej przez Krawczyńskiego<sup>438</sup>, figurującej we wszystkich ówczesnych procesach. Opowiadał on, jak nocował w jakiejś wsi w stodole na sianie z roztrópnym, młodym parobkiem, rozmawiając o tym i owym. I kiedy chłopak nabrał do Cyprianowa zaufania, wyciągnął on wreszcie z jakiegoś woreczka, który nosił na piersiach, zmiętą, zatłuszczoną broszurkę: *I cóż, bracia!*

— Nie mogłem powstrzymać swej radości, kiedy ją zobaczyłem. Zacząłem ścisnąć i całować parobka. I prosiłem go wreszcie, aby i zamienił się ze mną na broszurki. Dodałem mu *Chytrą mechanikę* na dokładkę.

Z rozczuleniem przyglądaliśmy się małej książeczce, która już spełniła swoje posłannictwo. Wydawała się nam uświęcona przez to zetknięcie z tajemniczą piersią ludową. Słowa jej wydawały się nam głębsze, potężniejsze, odkąd wiedzieliśmy, że spoczywały na nich dziecinne, pełne ufności czy przyszłości, że zapadły one w duszę i w pamięć jednego z tych, dla których były przeznaczone. Żyły one już poza nami. Żłobią i ryją sobie swoje własne drogi. Cichym potokiem rozchodzą się pod śniegami. Cyprianow sam wyrósł w naszych oczach. Kochaliśmy go tak, jak kocha załoga skołatanego statku tego majtka, który pierwszy krzyknie: „Ziemia!”. Porównanie jest nietrafne. Nie czuliśmy jeszcze burz na sobie. Większość z nas byli to nowobrańcy marzący dopiero o ranach. Ja byłem nieco obcy w tym młodym kole. Ocieniał mnie mrok tych, którzy poginęli już. Przede wszystkim zaś jednak więcej niż wiek — wyodrębniało mnie to, że stałem za czasów Komuny na świętym paryskim bruku. Młodzież mówiła, że obejmę komendę w dniu ulicznej walki. Ale o walce tej rzadko mówiono. Nad myślami ciążyła przede wszystkim wieś. Tam się miało dokonać wielkie przeobrażenie. Promień świadomości rozproszy mgły. Skra buntu rozplómił się i rozпалиł w poczucie godności ludzkiej w piersi milionowej masy i przed oczyma olśnionego świata stanie zrąb nowego społeczeństwa: gmina rosyjska. Pod śnieżną, groźną i martwą powłoką rzeczywistości rosyjskiej czekała na nas gotowa, nowa Jeruzalem<sup>439</sup> pracy i swobody. Mniej lub więcej świadomie, mniej lub więcej systematycznie wierzyliśmy w to wtedy wszyscy. Świat urzędowy, oficjalny, cały otaczający nas świat obecnego ustroju opierał się tylko na nieświadomości, bierności mas. W momencie, gdy zrozumieją one, że są wszystkim, i będą miały odwagę same na sobie się wesprzeć, czyż nie runie ten pozornie tak trwały i pewny świat — w nicotę? Cyprianow

<sup>438</sup>Krawczyński, Siergiej Michajłowicz, pseud. Stiepnik (1851–1895) — rosyjski pisarz i rewolucjonista związany z ruchem narodnickim. [przypis edytorski]

<sup>439</sup>nowa Jeruzalem — nowa, niebiańska Jerozolima: w biblijnej *Apokalipsie* (Objawieniu) św. Jana zstępujące z nieba wspinające miasto, wyznaczające nową epokę pod koniec historii. [przypis edytorski]

zmodernizował mit o Polifemie<sup>440</sup>. Polifem zrazu tuczył swych gości, aby następnie ich pożreć. Potem oduczono go antropofagii, ale nałóg tuczenia innych pozostał. Potem roześmiał nas opowiadaniem Szczedryna<sup>441</sup> o dwóch generałach, którzy dostawszy się na bezludną wyspę, nie znalazłszy chłopów, skazani byli na śmierć głodową.

Dziwne i nadzwyczajne były to czasy. Na tysiące można było wtedy liczyć tę młodzież, która opuszczała domy, rodzinę, dostatek i szła w lud pracować z nim, złać się z nim, by stać się jego myślą, sumieniem i wolą. Przed oczyma przesuwały się drogie postacie tych, co poginęli po etapach<sup>442</sup>, powariowali w ciągu lat odosobnienia w więziennej celi, zginęli na szubienicy lub w katordze. W tym czasie oni to właśnie, ta dzielna, bohaterska rzesza stwarzała ową atmosferę wiosenną, w której tajały serca, umysły rosły i olbrzymiały. Dusze były przezroczyste, nie było różnicy pomiędzy czynem i słowem. W kołach młodzieży wytworzyło się tak potężne napięcie, że przeobrażony wychodził każdy, kto się z tym prądem zetknął.

Po strasznym obrazie zwęglonego Paryża, oddanego na pastwę za bohaterstwo swe nazywajacemu się prawem zezwierzeceniu, mieniającemu się kulturą zdziczeniu, po widoku miasta, w którym szulerzy, loretki, księża i żołdacy<sup>443</sup> tryumfowali nad pokrwawionymi ciałami tych, co padli w przedniej straży ludzkości, po strasznym koszmarze świętego Marcina — wydawało mi się to, com codziennie widział, jakimś cudownym odrodzeniem i rozkwitem. Tu nie zadziwiała żadna szlachetność. Zresztą co mogło wiązać tych ludzi? Majątek, kariera? — Wyrzekli się samej myśli o nich. Szczęście osobiste? — Kładli je i znajdowali w tym właśnie, w czym przeciętny, zdrowy rozsądek mieszczan widział wyrzeczenie się tylko, zdeptanie wszelkiego egoizmu. Aby zrozumieć ten świat, trzeba być zdolnym w ten sposób wyswobodzić się od tego, co życie wiąże, związując je z państwem rzeczy. Człowiek do dziś dnia nie nauczył się panować nad rzeczami, nie stając się ich niewolnikiem. Rzeczy miały w naszym świecie małą wagę. Te, do których przywiązywaliśmy wielkie znaczenie, nie miały go poza naszym światem. Były to broszury, świstki ulotne, paszporty. Pieniądze stawały się własnością sprawy. Stopa życia była prawdziwie spartańska.

Zima była czasem przygotowania, z wiosną miał się rozpocząć wielki ruch. Z pośpiechem i energią przygotowywano się do wyprawy, zbierano wiadomości po wsiach i okolicach, uczono się rzemiosł. Doskonale zorganizowana komunikacja dostarczała nam systematycznie, co tydzień niemal, transportu literatury: broszur, pism, dzienników.

Kółka komunikowały się z sobą i na neutralnym gruncie toczyły się niejednokrotnie zacięte spory, dyskusje przeciągające się do białego ranka. Cyprianow i Michelson byli najświetniejszymi mówcami ze strony „*buntarej*”<sup>444</sup>, jak nas nazywano; Kalinowski, Piotrowski i Diedow rej wodzili w obozie lawrystów, zwanych także propagandystami.

Dzisiaj zatarły się w mej pamięci te odcienie. Myśl pamięta różnice i umie przeprowadzić linie rozgraniczające, nie wchodzi w nie jednak już ciepła krew wzruszeń.

Pamiętam, jak działały te dyskusje na Olę, jak szeroko otwierały i iskrzyły się jej oczy, i mieniła się, i bladła twarz.

W ciągu kilku dni wrosła ona w nasz świat i spokrewniła się z nim, w ciągu kilku dni nauczyła się żyć myślą pod skrzepłą korą gotowej, zastygłej historii.

Mieszkaliśmy w dwóch czystych pokojach z widokami na morze.

Cyprianow zadziwił cały świat nabyciem kilkunastu doniczek kwiatów.

O wysokim czole, siwych, smutnych oczach i nieprawidłowej twarzy, wydawał się on prawdziwie piękny przez nieustannie płonący w nim ogień myśli. Nie było takiej chwili, w której by myśl jego przestawała pracować. Ze swojej wyprawy, o której wzmiankowałem już, przyniósł on prócz owej zużytej książeczki, którą nazywaliśmy gałązką oliwną

<sup>440</sup>*Polifem* (mit. gr.) — jeden z Cyklopów, krwiożerczych jednookich olbrzymów; uwięził w swojej jaskini Odyseusza i jego towarzyszy, zamykając wejście wielkim głazem, po czym kolejno ich pożerał; upity i oślepiiony przez Odyseusza. [przypis edytorski]

<sup>441</sup>*Szczedrin* (pseud.), właśc. *Satyrkow, Michaił Jewgrafowicz* (1826–1889) — rosyjski satyryk, pisarz, publicysta; autor satyrycznych utworów demaskujących stosunki społeczne w carskiej Rosji. [przypis edytorski]

<sup>442</sup>*etap* (daw.) — miejsce postoju w czasie podróży; w carskiej Rosji: miejsce z barakami noclegowymi, gdzie przetrzymywano eskortowanych na Syberię skazańców po dniu podróży; czasem także przen.: zsyłka. [przypis edytorski]

<sup>443</sup>*soldacy* — dziś popr.: żołdaci a. żołdacy (pogardl. o żołnierzach). [przypis edytorski]

<sup>444</sup>*buntarej* (ros.) — buntowników. [przypis edytorski]

Noego<sup>445</sup>, kilka spostrzeżeń i uogólnień geologicznych i pewien rodzaj własnej teorii poznania. Myślał głośno i nie przywiązywał najmniejszej wagi do tego, co dzieje się z jego myślami. Jakiś znajomy jego prywat-docent<sup>446</sup> wyzyskał jego spostrzeżenia i poglądy w swojej rozprawie. Cyprianow, gdyśmy mu powiedzieli o tym, śmiał się tylko. Był on przekonany, że to mnóstwo drukowanego papieru, które przytłacza nas dzisiaj, zniknie w świecie, w którym myśl przestanie być wyzyskiwanym przywilejem. Żywe i nieskrępowane słowo zastąpi w wielu wypadkach druk, który jest dziś nie tyle środkiem rozpowszechniania myśli, ile raczej zabezpieczenia własności duchowej.

Mieliśmy kilku ludzi o wybitnych zdolnościach naukowych lub artystycznych w naszych kołach. I właśnie patrząc na nich, widząc, jak bezinteresownie, bezpretensjonalnie oddawali oni światu to, co w nich proces ogólnoludzkiego życia stworzył, poznawało się całą różnicę pomiędzy panującym tu a ogólnie przyjętym światopoglądem. Śmieszność zabiłaby u nas każdego, komu by przez głowę przesunęła się myśl o jakimś arystokratyzmie duchowym. Podzielano zdanie Proudhona, że geniusz jest właściwie stanem ogólnoludzkim, a uważany jest za coś wyjątkowego dlatego tylko, że w rzadkich tylko warunkach nie zostaje przez wychowanie szkolne i wychowanie życia samego zabity. Pamiętam jeszcze polemikę, jaką stoczył Cyprianow na ten temat z młodzieńcem, dystyngowanym biologiem, któremu udało się następnie istotnie zrobić, jak to się mówi, wielką karierę w naukowym świecie. Dostawszy się przypadkiem na naszą wieczorynkę, młody ten adept nauki pogardliwie uśmiechnął się, usłyszawszy zdanie, że do dziś dnia w nauce przeważa niezmiennie ta część pojęć, która została zdobyta przez pracującą masę, nad tą, której dopełniły już wysiłki warstw kulturalnych i poszczególnych uczonych, i pamiętam, jak tryumfowała Ola za każdym zwyciężskim argumentem Cyprianowa.

— Cóż ma na przykład wspólnego z pracą, z fizyczną, ręczną pracą, prawo Newtona? — wołał zgorzchniony badacz.

— Czy pan dobrodziej przypuszcza, że pojęcie przestrzeni, postrzeganie przestrzeni, sama przestrzeń i czas matematyczny same przez się umieściły się w głowie Newtona, jego rodziców, znajomych? Jeżeli pan tak przypuszcza, istotnie, nie zawdzięcza on światu pracy nic, gdyż zapewne w takim razie samo przez się powstało w jego głowie pojęcie ruchu.

I Cyprianow kreślił szeroki obraz kulturalny, w którym człowiek przez konieczność twardej walki z przyrodą, pracy, i wspólnej pracy, zdobywał, wytwarzał te pojęcia. Widziało się, jak wyrastały one pod jego ręką.

— Jeżeli tak głęboko będziemy sięgać — mruczał zniechęcony uczony.

— A pan dobrodziej woli sięgać płycej. No, tak, tak, zapewne czas w takim razie powstaje z zegara. Ale i tu jeszcze nie obejdzie się bez zegarmistrza.

— Więc, innymi słowami, pan mówi, że nauka jest niepotrzebna, że wystarczy drwa rąbać — naturalnie, naturalnie, panowie. Tęgo samego zdania u nas jest Najświętszy Synod.

— Tylko, kochany panie — rzekł Cyprianow — niech się pan tu tego rodzaju argumentami nie posługuje. Ja nie mówiłem nic o nauce. Ja mówiłem o pasożytach nauki, o ludziach, którzy żyją z tego, że swoje ciasne zrozumienie stawiają między ludem i prawdą.

— Gdzież ich pan widzi?

— Wszędzie. Nie ma innych w waszych uniwersytetach i szkołach. Jedno pokolenie ludzkie wychowane tak, aby istotnie uprzystępnilo sobie i zdobyło to, co nauka ustaliła, a świat byłby dziś niepodobny do tego, czym jest.

— To samo mówimy my — rzekł uczony.

— Nie, wy tego nie mówicie. Wy jesteście wieczna przeszkoda. Wy rzucacie się na naukę jak sroki na świecidelka.

Niedobrze czuł się człowiek „spokojny”, który wchodził w nasz świat.

<sup>445</sup> *gałązka oliwna Noego* — motyw z biblijnej historii o potopie: bogobojny Noe przed zesłaniem na ziemię niszczycielskim potopem z rozkazu Boga zbudował według szczegółowych wskazówek arkę (rodzaj statku), dzięki której uratował swoją rodzinę oraz po parze każdego rodzaju zwierząt. Aby dowiedzieć się, czy wody potopu już opadły i można bezpiecznie opuścić arkę, co jakiś czas wysyłał ptaki; powrót gołębic z gałązką oliwną o świeżych liściach był dla niego znakiem, że ziemia jest dostatecznie sucha. [przypis edytorski]

<sup>446</sup> *prywat-docent* (z niem.) — w krajach niemieckojęzycznych: tytuł naukowy dający prawo samodzielnego nauczania. [przypis edytorski]

— Wiara powinna być zachowana ludowi — rzekł pewien liberalny pan.  
— I dlaczegoż to, szanowny panie? — zapytała Wiera-Wołczok drżącym z oburzenia głosem.

— Przecież to jasne — mówił wytworny pan. — Ona pociesza w niedoli i podtrzymuje moralność.

— A ja, panie kochany, przeciwnie myślałam i myślę zawsze, że ona demoralizuje.

— Mogą być wypadki — rzekł pan pojednawczo.

— Nie idzie o wypadki. Idzie o to, że każdy dzień trwania naszej, tak zwanej wiary jest czynnikiem nieustającej demoralizacji ludowej.

— I w jaki to sposób, szanowna pani? Czy nie ona każe nam znosić i wyrzekać się?

— Nie jest wcale bezwzględna cnotą ani jedno, ani drugie. Ale mniejsza o to. Czy pan kiedy widział na przykład tak zwanego podradczyka (przedsiębiorcę), który oszukuje swoich robotników, czy pan widział, jak on modli się? Przecież on wierzy naprawdę, że to nie jest sprawa między nim a tymi nędzarami, lecz między nim a Bogiem.

— Gdyby nie to — rzekł pan — byłoby gorzej.

— Nie, byłoby lepiej. Niechby tylko było jasne: my czy on?!

— Ależ to bunt — rzekł pan. — I panowie z tym chcecie iść w lud? Oszczędźcie duszę naszego ludu.

— My — powiedziałem — wymieciemy z życia ludu tego brud i nędzę, a zabobony i gusła on już sam wyrzuci.

Pan przestał mi się kłaniać na ulicy.

Mnie odmładzał zapal Oli.

Wieczorami, patrząc na morze, prowadziliśmy dziwne rozmowy.

— Co chwila przecież umieramy — mówiła Ola — i z nas rodzi się ta chwila, którąśmy przeżyli. Znika, uchodzi i — gdzieś poza nami pozostaje. Z chwil tych urosło to, co jest. Dlaczego ludzie nie nauczą się umierać świadomie, tracić chwile te tak, aby z nich wyrastało tylko piękno.

Cyprianow był wielkim przyjacielem Oli. Dla niej robił zbytki, znosił jej kwiaty, a prawdziwą już sensację stworzyło kupienie przez niego pudełka cukierków.

— Dostałem pieniądze za moją geologię — rzekł.

U nas zbierano się najczęściej w swobodne wieczory. Ileż postaci przesunęło się przez te dwa pokoiki. Dla mojej śniadej twarzy i ostrych rysów nazywano mnie szejchem<sup>447</sup>; szejch i biała księżniczka lub Otello i Desdemona<sup>448</sup> — nazywano nasz dom.

I na taką to wieczorynkę właśnie trafił któregoś dnia stryj Florian.

Ciotka Emilia nieopatrznie zakomunikowała mu adres. On zaś postanowił spełnić misję narodową i rodzinną.

Zastawszy towarzystwo, postanowił olśnić je swoją światowością.

Nikt na niego jednakże nie zwracał uwagi.

Cyprianow po krótkiej przerwie ciągnął dalej swoje wywody na jakiś ze swych ulubionych tematów.

Stryj siedział jak na rozpalonych węglach.

W końcu zwrócił się do Oli z zapytaniem, kiedy może zobaczyć ją, aby nie przeszkadzać.

Cyprianow, Wołczok, Żuk i Liza chcieli się wynosić.

— Wyjdźcie do drugiego pokoju — poprosiłem — tu sekretów żadnych być nie może.

— Prosiłem o rozmowę z Olą — rzekł stryj.

— My nie mamy wobec siebie tajemnic — odpowiedziała Ola.

— Raczysz zważyć, że ja mieć je mogę.

— W takim razie — powiedziała Ola — wyrzec się muszę ich poznania.

— Dobrze, dobrze — rzekł stryj — choćbyś miała się dowiedzieć o tym, że idzie tu o umierającą matkę.

Piękno, Śmierć

<sup>447</sup>szejch — szejch, naczelnik arabskiego plemienia lub wsi. [przypis edytorski]

<sup>448</sup>Otello i Desdemona — bohaterowie tragedii Szekspira: Otello to Maur (czyli muzułmanin pochodzący z Płw. Iberyjskiego lub Płn. Afryki), który ożenił się z córką weneckiego senatora Desdemoną. [przypis edytorski]

Było to kłamstwo. Dwa dni temu mieliśmy list z domu. Zatrząsem się z gniewu, Ola zbladła.

— Kochany stryjasku — powiedziałem — ma szczęście stryj być bratem mojego ojca, starym człowiekiem, więc nie nazwę po imieniu tego, co stryj zrobił w tej chwili.

— Mało mnie to obchodzi — powiedział stary pan z nienawiścią w głosie. — Sądy człowieka, który pod dachem własnego ojca uwodzi biedną krewną.

Tego było nadto.

— Cicho — powiedziałem — ani jednego słowa więcej, bo nie ręcę za siebie.

Stryj wyszedł, zepsuwszy nasz wieczór, a po powrocie musiał narobić kłamstw i oszczerstw, gdyż w parę dni później przyjechała pani Emilia.

Była to straszna scena.

Ciotka trzęsła się i mdląła.

Po jakiejś godzinie jednak uspokoiła się i można z nią było mówić.

Były dwa punkty, o które szczególnie chodziło. Były nimi nasze pożycie bez ślubu i nasza „wiera”.

Nie udało nam się jej przekonać, lecz nauczyła się nas rozumieć.

— I cóż zamierzasz robić? — zapytała córki.

Gdy dowiedziała się, że Ola prawdopodobnie pojedzie z Wierą, by pracować w Tule w fabryce, zagryzła wargi.

— I po co to? — rzekła.

— By nie kraść — powiedziała Ola krótko.

Najłatwiej jednak porozumiewać się umiała z ciotką Wiera. Zapoznawszy się z nią u nas przypadkowo, uspokoiła ją tak, że ciotka zaczęła mówić o naszych planach z pewnym rodzajem szacunku. Odjechała w każdym razie znacznie uspokojona i usposobienie Oli stało się od tego czasu jeszcze pogodniejsze.

Wiosna zbliżała się i zaczęliśmy się powoli rozjeżdżać.

Pierwsza pojechała Liza, wezwana do Moskwy na swój kolejny dyżur w tak zwanej administracji. Był to rodzaj centralnego biura, ułatwiający korespondencję, rozsyłający ludzi do kolonii, gdzie ich brakowało.

Cyprianow rozstał się z nami też któregoś dnia i wybrał się na swoją wyprawę. Żuk kupił przenośny warsztat do ostrzenia kos i sierpów i wybrał się w podróż po wsiach i futorach<sup>449</sup>. Był on milczący w naszym kole i zaczynał dopiero mówić wśród ludu. Tu sypał anegdotkami i dykteryjkami<sup>450</sup>, przy tym zawsze w doskonale zachowanym dialekcie. Opowiadał, jak raz udzielał informacji urzędnikowi policyjnemu, który otrzymał polecenie aresztować kręcącego się w jego okręgu między chłopstwem niebezpiecznego podżegacza, hrabiego Łańskiego. (Takie było prawdziwe nazwisko Żuka). Żuk był zatrudniony, gdy nadszedł ten rozkaz, w domu samego przystawa przy wprawianiu szyb i przystaw wdał się z nim w dyskurs na temat podejrzanych ludzi kręcących się po okolicy. Żuk wysłał głowę: przytaczał jednak przypuszczenia i wnioski tak fantastyczne, tak naiwnie niedorzeczne, że przystaw napisał raport, iż na zasadzie zebranych przez niego informacji hrabia Łańskiej znajduje się obecnie już w jednym z miast stołecznych. U niego zaś w okręgu prócz trzech aktorów żadnych podejrzanych ludzi nie ma. Z pobytu u przystawa przyniósł Żuk kilkanaście doskonałych blankietów paszportowych i mnóstwo innych blankietów, na jakich inne władze prowadzą pomiędzy sobą korespondencje. Tego rodzaju zdobycz oddawana była do rozporządzenia administracji, do zakresu obowiązków której należała i fabrykacja „butów”, jak nazywaliśmy paszporty i inne papiery legitymacyjne.

Ola miała, jak to już wspominałem, jechać do Tuły. Mnie zaś administracja poleciła dokonać pewnego rodzaju objazdu naszych grup i kolonii. O moich zdolnościach życia z ludem, być może słusznie, powątpiewano, natomiast opowiadano legendy o mojej stanowczości rewolucyjnej. Zresztą ja należałem już poniekąd do kategorii starców, ludzi z przeszłością, którymi partie współzawodniczące lubią imponować sobie wzajemnie. Propagandyści posądzali mnie o jakobinizm<sup>451</sup> i krążyła plotka, że wysłał mnie do Rosji

<sup>449</sup>futor a. chutor — pojedyncze gospodarstwo, oddalone od wsi; przysiółek. [przypis edytorski]

<sup>450</sup>dykteryjka — anegdota, krótka, żartobliwa opowieść. [przypis edytorski]

<sup>451</sup>jakobinizm — radykalnie lewicowe poglądy polityczne; od nazwy francuskich „jakobinów”, tzn. członków klubu politycznego działającego w okresie rewolucji francuskiej. [przypis edytorski]

sam Blanqui, którego słyszałem jedynie podczas jego przemówień publicznych przed jego aresztowaniem w Paryżu. W ogóle co do programów i haseł panowała w tym czasie jeszcze wielka niejasność. Myliliby się ten, kto by przypuszczał, że moje funkcje miały charakter jakiejś rewizji<sup>452</sup>. Byłem raczej pewnego rodzaju wędrowną i żywą skrzynką pocztową. Przy charakterze naszej organizacji, jej ustroju, rola moja inaczej nie dawała się wprost pomyśleć. W ogóle powiedzieć mogę, że świat rozsądnych zjadaczy chleba jest absolutnie niezdolny cokolwiek bądź zrozumieć o stosunkach, jakie panują w kołach prawdziwie szczerých rewolucjonistów.

Rozstaliśmy się z Olą możliwie spokojnie. Olę przejmowała żywą radością myśl, że zaczyna się dla niej to prawdziwe, a od każdej bajki fantastyczniejsze nowe życie. W jej usposobieniu w tym czasie było coś z tego zdrowego egoizmu, jaki spotykamy u uczonego oddającego się swojej pracy, artysty, gdy tworzy, światowej dziewczyny jadącej na bal. Ola nie miała wprost czasu ani możliwości psychicznej odczuć naszą rozłąkę ze strony tego, czym była ona dla mnie. A ja cierpiałem bardzo i wstydziałem się tego. To sprawiało, że byłem w tym czasie trochę szorstki. Ola widziała w tym surowy kult obowiązku i wyrzucała sobie, że jedzie z radością pragnącego zabawy dziecka. Pocziwy Wołczok widział za to wszystko swoimi mądrymi oczami i planował, że sprowadzi mnie do tulskiej grupy, gdy tylko gdzie indziej nie będzie już potrzeba ludzi. Rozstawaliśmy się w każdym razie na krótko: za dwa lub trzy miesiące miałem być w Tule przejazdem.

Gdy myślę o tym okresie i tym, który jeszcze bezpośrednio potem trwał przez czas jakiś, nie mogę wciąż oprzeć się wrażeniu, wiosennego budzenia się przyrody, rozpęczenia się pąków, srebrzystej, mowy strumyków.

Wszędzie się spotykało młode, jasne i szczęśliwe twarze.

Tak jest. Nigdzie potem i przedtem nie widziałem tylu i tak głęboko, prawdziwie szczęśliwych ludzi.

Nad głowami naszymi zbierały się jednak chmury, krążyło drapieżne ptactwo.

Coraz częściej nadchodziły wiadomości o aresztach.

### III. CARSKIE ŁOWY

Później, niż przypuszczałem, gdyż dopiero w kilka miesięcy byłem w Tule. Gdym przyjechał pod wskazany adres, otworzyła mi drzwi młoda kobieta w mieszczańskim rosyjskim stroju — krzyknęłam: była to Ola. Zmężniała i rozrosła się: twarz jej opaliła się, oczy patrzyły z jakimś przedziwnym spokojem. Ona zaczerwieniła się z radości, a potem krzyknawszy: „Michał!”, uderzyła mnie lekko po ustach. Mieszkały tu z Wierą, obok nich mieszkał Chazanow, pracujący w Tule jako ślusarz. Wieczorem byłem zdumiony, słuchając, jak rozmawia Ola z robotnikami, których zbierało się tu kilku. Nie sam już akcent, lecz powaga i pogłębienie, spokój i przystępność wykładu zdumiewały mnie. Ona spostrzegła, zdaje się, moje zdumienie i wykład jej stawał się coraz bardziej potoczysty, coraz bardziej obfitywał w świetne przykłady. Zostaliśmy sami. Wiera wyszła gdzieś, a Chazanow majstrował w sąsiednim pokoju. Miałem zawsze ostry słuch; nagle posłyszałem pod oknami ciężkie stąpanie i jak gdyby brzęk ostróg. Namacałem rewolwer w kieszeni i krzyknęłam:

— Chazanow, gaś światło, idą.

W tej samej chwili zgasło światło i Chazanow rzekł:

— Uciekajcie.

Rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi. Wychodziły one na ulicę i prowadziły do pokoju Chazanowa. Z naszego pokoju wyjście było do kuchni. Chazanow mruczał coś, zamknęłam nasze drzwi na haczyk, szepnąłam Oli: „Za mną!” i wybiegliśmy do kuchni. Otworzyłem okno i po chwili znalazłem się w ciemnym podwórzu. Zwlekać nie było, czasu, dopadłem jakiegoś płotu, przesadziłem przezeń Olę i po chwili znalazłem się z nią w jakimś ogrodzie. W oknach opuszczonego przez nas mieszkania zamigotało światło. Rozbijaliśmy się wciąż o jakieś drzewa, gałęzie ich kaleczyły nas, było całkiem ciemno. Myślałem tylko o tym, aby oddalać się coraz bardziej od domu i pozostawić między sobą a pościgiem jak najwięcej płotów i ogrodów. Wreszcie znaleźliśmy się obok ulicy, na której stała cerkiew. Tu było najlepiej wmieścić się w tłum spacerujących, pojawienie się

Ucieczka

<sup>452</sup>rewizja — tu: kontrola. [przypis edytorski]

jednak nasze na trotuarze<sup>453</sup> spoza płotu mogło wywołać zdumienie. Zdecydowaliśmy się jednak. Przeskoczyłem pierwszy i podałem Oli rękę. W naszych strojach nie zwracaliśmy zbyt wielkiej uwagi i słyszałem tylko kilka żartów na temat tego, czegośmy mogli szukać w ogrodzie. Nie uszliśmy jeszcze kilka kroków, gdy usłyszałem za sobą przerywany oddech pościgu. Byłem zdecydowany bronić się i miałem już rewolwer w pogotowiu. Dopadł nas mężczyzna, który rzekł głosem Cyprianowa:

— Miszuk, gonię za tobą z Moskwy: wszędzie biorą.

— Wiem o tym — odpowiedziałem.

— A Wołczok? — spytał Cyprianow.

— Nie wiedzieliśmy, gdzie jej szukać, aby uprzedzić.

Trzeba było też samym schronić się gdzieś. Iść do hotelu byłoby szaleństwem.

Ola jednak знаła okolicę.

— Trzeba iść do Marty, praczki — powiedziała.

Okazało się to dość daleko.

Przeszła godzina, nim doszliśmy do suteryn<sup>454</sup>, pełnych pary.

Zobaczywszy Olę, praczka ucieszyła się i wołała:

— Jak żyjesz, Andrejewna? — zapytała.

Ola opowiedziała, co się stało.

Marta zasępiła się:

— Szkoda Osipowny.

Tu wydawało się dość bezpiecznie.

Rozlokowaliśmy się, Ola wyszła do jakiejś komórki. Po kilku minutach wróciła: była zmieniona nie do poznania. Boso, w zapasce, chuście na głowie wyglądała na służącą lub wiejską robotnicę.

— Chodźmy — rzekła do Marty.

— Dokąd? — zdziwiłem się.

Położyła mi palec na ustach:

— A Wołczok?

Marta wzięła kosz z bielizną, Ola drugi.

— Zuch Andrejewna — rzekł Cyprianow.

Przeszły dwie nieskończenie długie godziny. Dziesięć razy zrywałem się, dziesięć razy zatrzymywał mnie Cyprianow.

Wreszcie weszły obie, zmoczone, gdyż zaczął padać deszcz, i smutne.

— Wołczka wzięli na ulicy — powiedziała Ola. — Chazanow strzelał. Związali go i zbili.

Wyszedł mi z gardła jakiś krzyk.

Tęgo nie mogłem znieść, tych brudnych rąk, podnoszących się na te szlachetne, święte głowy.

— Gdzie Wołczok? — pytał Cyprianow.

— W cyrkule; Chazanowa powieźli do ratusza.

Spojrzelśmy na siebie z Cyprianowem.

Była nasza kolej.

Daliśmy Oli paszport i pieniądze. Na jutro Marta miała postarać się o ubranie i odprowadzić ją do najbliższej stacji. Stamtąd do Petersburga, gdzie na razie było bezpiecznie, i pod wskazany adres. Jeżeli powiedzie się, spotkamy się tam, jeżeli nie uda się nic zrobić, wrócimy tu. W razie gdyby nas nie było ani tu, ani tam — tłumaczyć nie trzeba.

Podeszliśmy pod cyrkul i zaczęliśmy się rozglądać — nagle Cyprianow zaśmiał się cicho — poza domem ciągnął się ogród. Gdyby okna aresztów wychodziły na ten ogród właśnie...

Po chwili byliśmy w ogrodzie: z głęboką radością ujrzelśmy szereg małych, wąskich, zakratowanych okienek.

<sup>453</sup>trotuar (z fr.) — chodnik. [przypis edytorski]

<sup>454</sup>suteryna a. suterena (z fr.) — kondygnacja mieszkalna znajdująca się poniżej parteru, częściowo pod ziemią. [przypis edytorski]

Jak dowiedzieć się, gdzie siedzi Wiera? Cyprianow oparł się odrzewo i zagwizdał z cicha *Marsyliankę*<sup>455</sup>.

Z trzeciego okienka na lewo rozległo się stłumione chrząknięcie.

Stałem pod oknem. Cyprianow stanął mi na plecy, po chwili zeskoczył:

— Tu.

Odbyliśmy naradę wojenną: o wyjściu przez okno nie mogło być mowy. Myśleć o innym wyjściu byłoby szaleństwem.

Odeść jednak, nic nie przedsięwziąwszy — nie byliśmy w stanie.

Nagle Cyprianow wskazał mi oczami piwnicę. Ciągnęła się ona pod aresztami i miała duże, zakratowane bez szkła otwory.

Kraty jednak trzymały się mocno. Jużeśmy wypróbowali ich dwie, gdy w trzeciej poczułem, że jedna z cegieł chwieje się. W pół godziny krata była wyjęta.

Cyprianow wdrapał się znów po moich plecach do okna, aby zawiadomić Wierę, co się gotuje. Chodziło też o to, aby dała nam znać, chodząc i przystając, w którym miejscu mamy próbować podkopu. Weszliśmy do piwnicy, było całkiem ciemno. Staraliśmy się poruszać w kierunku celi Wołczka. Zrazu nie słyszeliśmy nic, potem ja dosłyszałem dość jasno kroki. Sklepienie musiało jednak być dosyć grube. Nie mieliśmy żadnych narzędzi prócz nożów. Zaczęliśmy nimi obłupywać spój i wapno. Piwniczka była tak głęboka, że trzeba było stawać na palcach. Pracowaliśmy dość długo, nim pierwsza cegła obsunęła się; gdyśmy wyjęli ją, wypadła niespodziewanie druga, kalecząc Cyprianowa w głowę — nie mogliśmy jednak na to zważać. Pracowaliśmy dalej pomimo zasypującego oczu wapna i okruszków cegieł. Wreszcie otwór był dość znaczny. Z cegieł, ziemi i jakichś desek, które namacał Cyprianow, urządziliśmy postument, wdrapaliśmy się nań i z radością poczuliśmy pod ręką spróchniałe drzewo. Nagle usłyszeliśmy chrząknięcie Wiery, zeskoczyliśmy; w celi dał się słyszeć jakiś ruch. Staliśmy kwadrans, aż wreszcie usłyszeliśmy szept Wołczka:

— Teraz można.

To była tak zwana *powierka* — sprawdzenie, czy wszyscy aresztanci są na miejscu. Deska dźwignęła się wreszcie i po chwili Wołczok wsunął się w moje objęcia.

— A Ola? — pytała, zanim stanęła na ziemi, nie zdążywszy się jeszcze zadziwić, że widzi mnie i Cyprianowa.

Była druga godzina.

Namyślaliśmy się, co robić.

Uznaliśmy, że najbezpieczniej będzie już nie zachodzić do praczki, by nie zwracać uwagi na jej mieszkanie zbyt dużym ruchem, lecz ująć ogrodami i tylnymi przejściami za miasto, tam laskiem przedostać się do stacji i wskoczyć do pierwszego pociągu.

Plan ten udało się wykonać bez przeszkód.

Jechaliśmy w stronę Moskwy i mieliśmy wysiąść o parę stacji dalej.

Cyprianow cierpiał dość mocno wskutek rany na głowie, którą naprędcie Wiera przywiązała mu chustką. Nie mógł zdejmować czapki, aby nie zwrócić uwagi, gdyż chustka musiała być krwią zboczona.

W drodze okazało się, że ktoś z nas musi pojechać do Moskwy, podczas rewizji były prawdopodobnie wzięte dość ważne papiery; nie można było zwlekać. Najodpowiedniejszy byłem ja do tej wyprawy. Cyprianow był ranny, rysopis Wiery mógł być rozesłany. Rozstaliśmy się, jechałem z adresami administracji i paru osób.

Do Moskwy przybyłem wieczorem.

Rozpytałem się, gdzie leży hotel „Ukraina”, i znalazłszy go, spytałem o numer 28. Portier z jakąś dziwną miną wskazał mi schody; gdym zaczął na nie wchodzić, stanął w nich tak, jakby chciał zagrozić mi odwrót.

Zwróciło to moją uwagę.

Na korytarzu było ciemno.

Ucieczka

<sup>455</sup>*Marsylianka* — pieśń rewolucyjna z czasów Rewolucji Francuskiej, w 1795 ogłoszona hymnem państwowym Republiki Francuskiej; w czasach cesarstwa i późniejszych zastąpiona w tej roli innymi pieśniami; w XIX w. stanowiła nieformalny hymn międzynarodowego ruchu rewolucyjnego; w 1879 przywrócono ją jako hymn państwowy Francji. [przypis edytorski]



Zapalając zapalki, zatrzymałem się przed drzwiami pokojów. Gdym stał pod jednym z nich, otworzyły się one i zobaczyłem policjanta, który usiłując schwycić mnie za rękę, udrapał mnie.

— *Pożalujcie*.<sup>456</sup>

Cofnąłem się.

Policjant wypadł za mną.

Trafnym instynktem wiedziony, cofnąłem się w jakąś niszę: wybiegłszy z pokoju, policjant skierował się w kierunku schodów, którymi tu przyszedłem. Przypuszczałem, że hotel musi mieć drugie wyjście.

Zacząłem więc biec w kierunku przeciwnym.

Istotnie: tuż obok prawie natrafiłem na jakieś brudne schody, zbiegłem z nich i wpadłem do bramy. Tu stał policjant wpatrzony w wejście od ulicy.

Jednym ciosem powaliłem go na ziemię i wybiegłem.

W drzwiach schwycił mnie za kołnierz jakiś kupiec.

Odwrociłem się i zadałem mu straszny cios w głowę między oczy.

Wypadłem z bramy i starałem się iść najspokojniej.

Wszedłem do pierwszego sklepu, jaki napotkałem, i kazałem sobie podać rękawiczki.

Nie zwracałem uwagi na to, co dzieje się na ulicy, słyszałem jednak brzęk ostróg i szabel.

Przebierałem ze znudzoną miną w towarze; po rękawiczkach zażądałem krawatu. W sklepie pojawiła się jakaś dwuznaczna figura; gdy jeden z subiektów<sup>457</sup> zwrócił się do niej z zapytaniem, czego żąda, przybysz nie odpowiedział, ale zaczął dziwnie chytrze i porozumiewawczo mrugać. O mało nie parsknąłem śmiechem, zachowałem jednak spokój i kazałem sobie podać perfum, ale jak najdelikatniejszych, bo to na podarunek. Teraz figura znikła. Było rzeczą aż nazbyt jasną, że jestem jakimś kupcem albo subiektem, wybierającym się w konkury. Wyszedłszy ze sklepu, zawołałem dorożkarza i targowałem się z nim długo i głośno, podczas gdy jakiś stróż porządku kręcił się koło mnie, usiłując zajrzeć mi w oczy.

Wreszcie siadłem i podałem pierwszy lepszy adres.

Po długim błędzeniu po mieście i z wieloma ostrożnościami dostałem się wreszcie do mieszkania zajmowanego pod jakimś fikcyjnym nazwiskiem przez Ryżego.

Ryży nie wiedział nic o Tule ani o administracji. Zakłopotał się bardzo.

Drukarnia właśnie idzie. Dziś, jutro powinna być. Zresztą było do przewidzenia. Tam w Kijowie w niemożliwy sposób prowadzili sprawę. Jak gdyby Trzeci Wydział<sup>458</sup> nigdy nie istniał. Mikolka tam jeden był: strasznie podejrzany.

Przed wszystkim jednak trzeba było uciekać stąd.

W administracji mógł się zdarzyć jakiś ślad.

Umówiliśmy się, że ja odbiorę drukarnię. Ryży oddał mi fracht<sup>459</sup>, wskazał parę adresów. On miał się jeszcze zająć oczyszczeniem mieszkania.

Schodziłem ze schodów, gdy nagle schwycił mnie ktoś za rękę.

— Ani kroku, w bramie policja.

Wszedłem, a raczej wciągnięto mnie do jakiegoś przedpokoju. Drzwi za mną zamknęły się bez szmeru.

Stałem oszołomiony, kiedym usłyszał brzęk ostróg.

Ta sama ręka wprowadziła mnie do oświetlonego pokoiku.

Była to kobieta lat może pięćdziesięciu: całkiem siwa.

— Skąd pani wie? — zapytałem.

— Wyjrzałam przez okno, zobaczyłam ich, wiedziałam, dokąd idą, chciałam pójść. Usłyszałam, że pan schodzi, myślałam, że to on, i udało mi się choć pana ocalić.

— A skąd pani wiedziała, dokąd oni idą?

<sup>456</sup>*pożalujcie* (ros.) — proszę ze mną. [przypis edytorski]

<sup>457</sup>*subiekt* (daw.) — sprzedawca. [przypis edytorski]

<sup>458</sup>*Trzeci Wydział* — oficjalnie: III Oddział Kancelarii Osobistej Jego Cesarskiej Mości, stanowiący najwyższy organ tajnej policji Imperium Rosyjskiego, utworzony w 1826, zajmujący się m.in. zbieraniem informacji o tajnych stowarzyszeniach i inwigilacją podejrzanych; w 1881 jego obowiązki przejęła Ochra. [przypis edytorski]

<sup>459</sup>*fracht* — tu: list przewozowy, zawierający opis i wartość przewożonych towarów oraz dane nadawcy i odbiorcy, często stanowiący podstawę dla służb celnych do kontroli i pobrania opłat. [przypis edytorski]

Staruszka pochyliła głowę.

— Mojego syna za karakozowski wystrzał wzięli, nauczyłam się od tego czasu różniac.

— A syn pani?

— Umarł w katordze.

Przenocowałem w mieszkaniu staruszki i na drugi dzień nie chciała mnie wypuścić, dopókim sobie nie sprowadził innego ubrania. Nad ranem wywieziono w dorożce Ryżego. Ogoliłem się brzytwą syna mojej staruszki, w nowym kapeluszu, wczorajszych, kupionych w owym sklepie rękawiczkach nie przypominałem chyba wczorajszego pół-rzemieślnika, pół-kupca.

Dzień cały tułałem się po mieście. Do Bołchowskiego bałem się zachodzić: nie wiedziałem zresztą, czy go zastanę. Nie bardzo też spieszyło mi się pod wskazane przez Ryżego adresy. Tu grunt wydawał mi się całkowicie podkopany.

Nareszcie zdecydowałem się: w mieszkaniu spotkałem Olgę Kochanowicz, siostrę Wiery. Trzecia jej siostra, Luba, była wzięta w Ukrainie wraz z Nadieżdą Lebidziową<sup>460</sup>, księciem Czawczewadze<sup>461</sup> i Chomiczem. O areszcie Ryżego już wiadano.

Na drugi dzień mieliśmy już nowe mieszkanie, nająwszy dorożkę, wyruszyłem po drukarnię.

Kiedym podał fracht, urzędnik krzyknął:

— Wynieść numer sto dwadzieścia cztery — i powtórzył dziwnie głośno — sto dwadzieścia cztery.

W tej samej chwili podszedł do mnie żandarm kolejowy i rzekł:

— Proszę za mną, aresztuję pana.

— Za co?

— To się pokaże. Proszę do kancelarii.

W kancelarii siedział uśmiechnięty i nad wyraz uprzejmy rotmistrz<sup>462</sup> żandarmerii o prześlicznie wyhodowanych wąsach.

— Po pakiet zgłosili się — rzekł żandarm, który mnie aresztował.

— Ach tak, po ten pakiecik — rzekł oficer. — Niech pan łaskawy chwilę spocznie. Może cygarka, papierosika? Fiedor! — krzyknął.

Obok znanego mi już żandarma wyrósł drugi i stanął u drzwi.

Tym razem był to mat<sup>463</sup>.

Grzeczny oficer gdzieś znikł, poszeptał z kimś, słyszałem wyrazy: „natychmiast, powiesz: pakiet”.

Po chwili wrócił i zwrócił się do mnie z przykładowym światowym zakłopotaniem:

— Ja pana łaskawego przepraszam, ale pan wybaczy, taki zwyczaj — rewizyjka.

W tej chwili dwóch żandarmów położyło mi łapy na piersiach.

Z kieszeni moich wyciągnięto wszystko.

— Rewolwerek! — cieszył się żandarm — o, pularesik, skrwawiona chusteczka, o, korespondencyjka. O, szyfreczkiem pisana. Znany szyfreczek. „Ej, Kuzimicz”, a i to znany: „Stary czorcie, głupi niedołego”, o, pieniążki, policzymy.

W tej samej chwili dwie kartki pisane szyfrem znalazły się w moim ręku. Żandarmi, pchnięci łokciami w brzuch, potoczyli się.

Kartki wsadziłem do ust: prerażliwie trudno było połknąć.

— Wyrwać z ust! — krzyknął oficer, zapomniawszy o światowości. — Wyrwać! Łap go i bij w kark.

Skoczyłem pod ścianę.

— Zabiję — syknąłem przez zęby, chwytając krzesło.

Siła, z jaką dźwignąłem je, zastanowiła żandarmów.

Szli oni jednak ku mnie...

Więzi

<sup>460</sup>Nadieżda Lebidziowa — zapewne mowa o Tatianie Iwanownie Lebidziej (1850–1887), rosyjskiej rewolucjonistce, działaczce Narodnej Woli, aresztowanej po udanym zamachu na cara w 1881, skazanej na karę śmierci, zamienioną potem na dożywotnią katorgę. [przypis edytorski]

<sup>461</sup>Czawczewadze — popr.: Czawczawadze, nazwisko gruzińskiej rodziny książęcej; trudno jednak ustalić tożsamość wskazanej osoby. [przypis edytorski]

<sup>462</sup>rotmistrz — stopień wojskowy w kawalerii, odpowiednik kapitana. [przypis edytorski]

<sup>463</sup>mat — stopień podoficerski we flocie, odpowiadający kapralowi w wojskach lądowych. [przypis edytorski]

— *Wasze błagorodje*<sup>464</sup>, strzelać? — zapytał jeden.  
— Ani-ni — żywcem!! — krzyknął oficer. — Za gardło!  
Krzesło ugodziło w pierś pierwszego żandarma. Padł on na ziemię.  
W tej chwili połknąłem kartkę.  
— Panie rotmistrzu — rzekłem — pan wywiązuje się dobrze ze swoich funkcji i ja staram się panu nie ustąpić.  
Oficer był siny z wściekłości.  
— Związać! — krzyczał.  
Powiedziałem spokojnym głosem:  
— Jeżeli pańskie draby podstąpią do mnie, będę się bronić i będziecie musieli mnie zabić. Teraz ja już swoje zrobiłem.  
Za godzinę byłem zamknięty na cztery spusty w celi więzienia śledczego.

#### IV. MYSZY I KOTY

Po raz pierwszy znalazłem się w więzieniu. Byłem sam pośród tych gołych ścian i zbierałem myśli. Nie wiedziałem nic, co działo się z Ołą. Na próżno usiłowała myśl złamać kamienną zagadkę. Wiedziałem doskonale, że nie uda mi się nic wycisnąć z suchych, znanych mi już myśli: nic prócz gołych faktów, tonących wśród mroku. Teraz też dopiero rozumiałem całą potęgę zmiany, jaka dokonała się w niej. To nie była ta Oła, którąm znał<sup>465</sup>. Ta cicha, zdecydowana, wchodząca w niebezpieczeństwo jakby w cieniste aleje topolowieckiego ogrodu.

W drzwiach ukazywała się raz po raz w małym okienku para oczu o przedziwnie tępym wyrazie. Wydawało się, że oczy te nie należą do żadnej ludzkiej istoty, że wyrastają po prostu z tych ścian, jako coś, co patrzy. Budziły mnie one z moich myśli i drażniły. Na ogół byłem spokojny i zobojętniały. Wydarzenia szły jedno po drugim zbyt szybko i byłem przez nie ogłuszony: dopiero w ciągu nocy poczułem ohydę więzienia. Ja nie mogę stąd pójść. Trzyma mnie w swoim ręku bezmyślna, pogardzona siła. Wiedziałem przecież, że prędzej czy później nastąpi to i nastąpić musi. Teraz jednak, gdy się to już stało, buntowało się we mnie wszystko. Filozofia małą tu jest pomocą. Mówić sobie: idzie przecież o to, aby w miarę sił działać i wiedzieć, że prędzej czy później działalność ta napotka swój kres — to wszystko jest dobre w teorii, z jakiegoś astronomicznie abstrakcyjnego stanowiska. Zresztą nie chciałem bynajmniej kapitulować. Myśl od pierwszej chwili zaczęła badać plany ucieczki.

Czułem, że w ruchu naszym musi nastąpić zmiana. Napotkał on przeszkodę prędkiej, niż spodziewaliśmy się. Prędzej czy później będzie musiał przeszkodę tę złamać. Byłem od początku przekonany, że ruch musi przybrać formę walki na śmierć i życie z rządem. Chodziło tylko o to, aby szara masa możliwie najmniej już była szara w tym momencie. Myślałem: przecież poznano nas w tyłu wsiach, wioskach, miasteczkach. Teraz nasza zguba nie będzie dla ludu zgubą jakichś obcych, nieznanym mu, o nieznanym rzeczu dopominających się ludzi. Wyrywają nas wprost z tych środowisk, w których nauczono się nas cenić. Chciałbym być na swobodzie, aby wpływać na opinię towarzyszy w kierunku większej koncentracji działania.

Jak zwykle w osamotnieniu, myśli wydawały mi się niezwykle przejrzyste, dojrzałe aż do oczywistości, argumenty nie do odarcia. Biegałem wzdłuż i wszerz po celi. I tak mijały dni, nie wzywano mnie nigdzie, zwykłym trybem upływały codzienne wydarzenia więziennego życia. Przeszło chyba dziesięć dni, siedziałem zamyślony, gdy naraz otworzyła się zasuwka w drzwiach. Słyszałem to i nie odwracałem się, nienawidziłem tego widoku. Ktoś popatrzył się i jak zdawało mi się, odszedł. Zapomniałem o tym. Nagle usłyszałem głośny szept poza plecami:

— Michale Oktawianowiczu! Panie Kaniowski!  
Obejrzałem się: za drzwiami ktoś się zaśmiał.  
— Stary znajomy pański, a jakże, stary znajomy — serce przeczuło. Do przyjemnego zobaczenia.

<sup>464</sup>*Wasze błagorodie* (ros.) — wielmożny panie; tytuł stosowany w carskiej armii przy zwracaniu się do oficerów do podpułkownika włącznie. [przypis edytorski]

<sup>465</sup>*któрым znał* — inaczej: którąm znałem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

Na drugi dzień wezwano mnie do kancelarii. Siedział tam przy stoliku prokurator, oficer w niebieskim mundurze.

„Tę twarz musiałem kiedyś widzieć” — pomyślałem.

— Nie poznaje pan — rzekł oficer. — No, no, no, nic dziwnego. Wtedy po nocyśmy się tak spotkali i nie byłem w mundurze. Zresztą lata płyną, Michale Oktawianowiczu, widzi pan — nachylił głowę — „gdzie włosy moje, mej głowy sławny strój!” Tak, tak. I pan wtedy, tak mogę powiedzieć, po angielsku się z nami rozstał. Myśmy jeszcze teraz z prokuratorem podziwiali satyryczny dowcip pana. Jakże: łapownik, oszust ukarany. I w jego szynelu! Ha, ha, całkiem jak z Gogola.

Siedziałem nieruchomy. Widziałem najzupełniejszą bezcelowość ukrywania nazwiska. Doprowadziłyby to tylko do dłuższych popisów krasnomówstwa tysego żandarma.

— Tak — powiedziałem — nazwisko moje wymawia pan całkiem poprawnie. Nazywam się Kaniowski istotnie. Michał Oktawianowicz.

— Zawsze miło z rozumnym człowiekiem mieć do czynienia. Zawsze byłem ze szczerym szacunkiem dla osoby pana — cedził żandarm. — Że to, na przykład, bez przesądów: polski szlachcic, arystokrata, myśmy do heraldii<sup>466</sup> zaglądali, senatorów nie doliczylibyśmy, panie kochany, z rosyjskimi socjalistami razem albo Komuna, panie. Ja rozumiem rozpacz bombardowanego miasta...

Nagle mignęło mi w głowie przypuszczenie.

— To pan — krzyknąłem — chował się wtedy w Zurychu w kącie karety! Na pewno pan. Poznałem głos: „*Allez plus vite, plus vite*”<sup>467</sup>. Na pewno.

Żandarm nie przestał się uśmiechać.

— A ja nawet wtedy nie przypuszczałem, żeśmy się tak blisko siebie otarli. I ja nawet teraz dziwię się, co wspólnego między panem a Nieczajewem.

— Jednak żądał pan, aby mnie wydano jako jego współnika...

— Inne okoliczności, łaskawco, inne okoliczności. Teraz my już o Nieczajewie mówić nie potrzebujemy. Co Nieczajew! Ot, taki Bolchowski, na przykład, inna sprawa.

Miałem już dość.

— Panie prokuratorze — powiedziałem — niech pan zapisze w protokole: nazywam się Michał Oktawianowicz Kaniowski, lat mam dwadzieścia siedem i żadnych zeznań składać nie będę, na żadne pytania nie chcę odpowiadać.

Żandarm stracił humor.

— Żle pan robi, i to bardzo źle, a ja właśnie chciałem nowinę panu powiedzieć całkiem nieoczekiwaną. Pan wie, w Tule...

Parsknąłem śmiechem.

Żandarm skoczył:

— On tam był! — krzyknął do prokuratora. — Mówiłem, on tam był.

Odprowadzono mnie do celi.

Na drugi dzień przyniesiono mi arkusz z pytaniami. Przystudiowałem ten dokument. Było rzeczą jasną, że rząd usiłuje nadać niezrozumiałemu dla siebie ruchowi charakter rozgałęzionego spisku. Tymczasem nic podobnego nie było. Rosja cała istotnie pokryta była kółkami i kółeczkami, w części komunikującymi się między sobą, i w części obcymi sobie. Ale czyż rząd był w stanie pojąć, zrozumieć, dopuścić samą myśl nieukartowanego ruchu sumień? Zresztą dlaczego zarzucać niepojętność rządowi tylko; czy tak zwana opinia europejska jest w stanie zrozumieć, że samo życie wytwarza przeciwko sobie bunt? Oświecony Europejczyk jest w stanie zrozumieć wszystko prócz sumienia, prócz chęci wdania się w życie ludzkie, stoczenia z nim walki. Europejczyk oświecony rozumie doskonale więzienie, dom rozpusty, nie pojmie nigdy, jak można po prostu nie godzić się na istniejące życie. Dlaczego? Jaki cel? Iść tak bez żadnych szans osobistego zwycięstwa na zgubę pewną. Usiłowałem wnikać w psychologię otaczających nas ludzi, dozorców, żandarmów, sędziów śledczych. Oni po prostu nie byli w stanie uwierzyć w tę rzeczy-

Więzienie, Buntownik

<sup>466</sup>*heraldia*, popr.: *beroldia* — po powstaniu listopadowym dekretem carskim powołano, na wzór analogicznej instytucji rosyjskiej, Heroldię Królestwa Polskiego (1836–1861), która zajmowała się sprawdzaniem dowodów szlachectwa i prowadzeniem ksiąg szlachty; po rozwiązaniu instytucji jej dokumenty trafiły do Petersburga. [przypis edytorski]

<sup>467</sup>*Allez plus vite, plus vite* (fr.) — jedź szybciej, szybciej. [przypis edytorski]

wistość, jaką mieli przed oczyma. Musieli sobie nas przeistoczyć, przetłumaczyć na swój język, uczynić dla siebie prawdopodobnymi.

Miałem z początku dużo sposobności do obserwowania. Najbardziej utkwiał mi w pamięci pewien młodzieńcy, wprost z arystokratycznej szkoły „prawowiedów”<sup>468</sup> wypuszczony sędzia śledczy. Siedziałem wtedy już trzeci miesiąc. Nie odbierałem żadnych wiadomości ze świata, nikt nie odpowiadał na moje próby zawiązania rozmowy przez pukanie. Nabrałem przekonania, że sąsiadujące ze mną cele muszą być puste i że Ola musiała zostać aresztowana. Nie dawano mi też książek do czytania. Zapytałem eleganckiego paniczka o pięknie wyhodowanych paznokciach, który z paragrafów rosyjskiego zbioru praw skazuje ludzi na powolne doprowadzanie ich do obłądu.

— ...Bo wprawdzie cesarzowi Mikołajowi Pierwszemu podobało się ogłosić Czaadajewa<sup>469</sup> wariatem, ale to był tylko pewien rodzaj i nominacji, stworzenie nowego urzędu, nowej rangi, nieprzewidzianej przez Piotra Wielkiego<sup>470</sup>. Człowiek, który myśli, miał w ten sposób wyznaczone mu przez samego cesarza miejsce. Czy od tego czasu rosyjskie prawodawstwo poczyniło postępy? Jeżeli tak, to muszę przyznać, że metody stosowane są skuteczne.

— Czy mam to zapisać? — zapytał żandarm. — Pan szanowny nigdy jeszcze tak dużo nie mówił.

— Proszę, proszę bardzo — powiedziałem.

— Ja nie wiem — rzekł sędzia śledczy — czy takie protokółowanie będzie na miejscu, czy będzie zgodne z duchem praw.

Roześmiałem się.

— To już niech pan zostawi rotmistrzowi: ducha praw on zna od pana znacznie lepiej. Duch praw rosyjskich to jest właśnie to: wszystko jest wskazane, dopuszczalne przeciwko nam.

— Pan się myli — rzekł urzędniczek.

— Nie, to pan się myli — i jeżeli tak jest, to mi pana szkoda. Pan się ludzi, że pan tu spełnia jakąś funkcję kulturalną. Pan ochrania tylko gwałt, pomaga zabijać pan powoli, nikkzemnie ludzi za to, że się w nich obudziło sumienie.

— Sumienie nakazuje szanować prawo i władzę ustanowioną przez Boga — rzekł sentencjonalnie rotmistrz.

Trudno uwierzyć, jak stają się oni głupi, gdy wejdą na drogę rozumowań.

Nie mówiłem z nikim zbyt długo. Uniosłem się. Mówiłem, że każdy dzień istnienia rządu i podtrzymywania przezeń ustroju jest zbrodnią.

— Pan pragnie tylko karierę zrobić, tylko rodzinę mieć, dzieci wychowywać, i to wszystko z łez i krwi. Ilu ludzi jeszcze zamęczyć pan pomoże, nim dojdzie pan do tej kariery? — mówiłem do prokuratora.

— Zamilcz! — krzyknął rotmistrz.

Zbladłem.

— Nie podnosić głosu, proszę. To jest jedyne miejsce, gdzie w Rosji wolno mówić. Co mi zrobić możecie, nie możecie znieść widoku człowieka, który wami pogardza.

Omdląłem.

Ocknąłem się w ciemnym karczerze. Przetrzymano mnie tydzień tu.

Po tygodniu odprowadzono mnie do innej celi.

Gdy tylko znalazł się w niej, usłyszałem pukanie.

Litera po literze.

— Kto?

Wystukałem nazwisko. Ledwie doszedł do przedostatniej litery, przerwało mi stukanie niezwykle pośpieszne, jakby wesołe.

<sup>468</sup>prawowied (ros.) — znawca prawa, wykształcony prawnik. [przypis edytorski]

<sup>469</sup>Czaadajew, Piotr Jakowlewicz (1794–1856) — rosyjski filozof i publicysta. W 1836 publikacja gazetowa pierwszego z jego *Listów filozoficznych*, wychwalających idee Europy Zachodniej i skrajnie krytycznych wobec Rosji, spowodowała skandal i interwencję cara Mikołaja I. Gazetę zamknięto, Czaadajew został uznany za niepoczytalnego i umieszczony w areszcie domowym, w którym poddano go przymusowemu leczeniu. Zakazano jakichkolwiek jego publikacji i z nim związanych. [przypis edytorski]

<sup>470</sup>nowej rangi, nieprzewidzianej przez Piotra Wielkiego — car Piotr I wprowadził tabelę rang urzędniczych, jednolity schemat stopni urzędniczych i oficerskich, funkcjonujący, z nowelizacjami, do końca caratu. [przypis edytorski]

— C-z-e-r-n-o...

Przerwałem.

— J-a-s-z... — zacząłem stukać.

Krótkie, szybkie:

— Tak.

Zaczęliśmy teraz pukać po całych wieczorach i nocach, póki nie pomdlały ręce. Jaszka nie wiedział wiele. Aresztowano go wkrótce po powrocie.

— Jak długo siedzisz? — pytałem.

— Czternasty miesiąc — odpowiedział.

Zadrzałem. I ja śmiałem się skarżyć.

— Żemczużnikow siedzi — przerwał Jaszka — Tarutina, Martynow, Bołchowski siedzi. Cały świat siedzi.

Przeszło parę dni. Jakiś młody wachmistrz, którego nie widziałem dotąd, rano podał mi bułkę i z dziwnym uśmiechem powiedział:

— Trzeba rozłamać uważnie, stojąc plecami ku drzwiom.

Z bułki wypadł rulonik papieru, okręcony około czegoś twardego. Poznałem pismo Oli.

„Nareszcie jestem na swobodzie i tu. Miej się na baczności i staraj się mieć siły, za wszelką cenę musimy cię wyrwać stąd. Bądź spokojny, czekaj. Dzisiaj jeszcze nie możemy ci wskazać drogi. Nie jesteśmy pewni. Wołczok wzięty. Czworonogi gotują wielki proces<sup>471</sup>. Może uda się popsuć im szyki. Staraj się zachować zdrowie, siły i spokój. List zniszcz, papier i ołówek schowaj. Można, zdaje się, będzie korespondować przez oddawcę”.

Odtąd drzałem za każdym wejściem żandarma; po dwóch dniach wachmistrz przestał się pokazywać, natomiast zrobiono rewizję po wszystkich celach. Wachmistrz, jak się okazało, przeraził się i zadenuncjował sam siebie. Żyłem w samotnej trwodze, jak zawiadomić o tym Olę i przyjaciół na swobodzie, aby nie wpadli w żadną zasadzkę. Pukałem o tym do Jaszki, ale on nie wiedział, że w ogóle można było ustalić jaką komunikację ze światem. Nasłuchiwałem teraz dniami i nocami, czy nie usłyszę znajomego głosu, ale wszystko ginęło w mnóstwie szmerów, które ucho, wysubtelnione przez ciszę, nauczyło się chwycać. Czulem, że nerwy rozprężają się straszliwie.

Którejś nocy obudzono mnie.

— Wstawać, ubierać się.

— Po co?

— Zobacz pan.

Sprowadzono mnie do kancelarii. Tu czekało dwóch żandarmów.

— Pan już uciekał — rzekł urzędniczek. — Nałożymy kajdanki.

Protest byłby nie zdał się na nic.

— Dokąd mnie przenoszą?

— Zobacz pan — usłyszałem znowu.

Nareszcie wsadzono mnie, okutego już, do karetki<sup>472</sup>.

Dwóch żandarmów siadło ze mną. Trzeci na koźle.

Kareta jechała dość długo, nareszcie zatrzymała się. Wyprowadzono mnie. Poznałem dworzec kolei. Wprowadzono mnie do kancelarii żandarmskiej.

— Jedzie pan do Petersburga, Trzeci Wydział kazał pana dostarczyć. Zainteresowali się panem. Ma pan jeszcze godzinę czasu, może pan czego zażądać. Radzę, radzę...

Podano mi jakiś befszytk pokrajany — i tak mi było ciężko jeść.

Oficer wyszedł na chwilę.

Jeden z żandarmów, którzy zostali, rzekł:

<sup>471</sup>*Czworonogi gotują wielki proces* — był to tzw. proces 193, w którym oskarżono narodników o szerzenie rewolucyjnej propagandy wśród chłopów, odbywający się od października 1877 do stycznia 1888; spośród licznych aresztowanych w l. 1873–77 przesłuchano ok. tysiąca osób, postawiono przed sądem 193 osoby; proces szeroko komentowała prasa zagraniczna. [przypis edytorski]

<sup>472</sup>*karetka* — tu: karetka więzienna, pojazd przeznaczony do przewozu aresztowanych i więźniów. [przypis edytorski]

— Niewygodnie panu — i nachyliwszy się nade mną, poprawił mi talerz i szepnął: — po trzeciej stacji będzie las. Uważać w lesie.

Podniosłem oczy, ale on patrzył już przed siebie z twarzą doskonale drewnianą.

Wagon podprowadzono pod same drzwi, po chwili byłem już w nim z mą asystą.

Przeszło kilkanaście minut wśród zwykłego szcęknięcia i turkotu, na wpół zrozumiałych nawoływań i sygnałów.

W głowie mi tkwiły słowa: „Po trzeciej stacji będzie las”.

Żandarmi, umieściwszy mnie w kącie, ulokowali się tak, że przegradzali mi całkowicie swymi ciałami dostęp do drzwi. Przymknąłem oczy.

Pociąg zatrzymał się już dwa razy.

Ruszył; jechaliśmy bardzo długo. Myśli mąciły mi się, bałem się zasnąć. Zdawało mi się, że nie dojedziemy nigdy do tej stacji, to znowu, że wszystko wydało się i pociąg minął bez zatrzymywania się uplanowane miejsce.

Wreszcie nadeszła trzecia stacja.

Staliśmy z kwadrans.

Przez zakratowane okno widziałem samotny, zmarzły peron, pokryty śniegiem. Nie znać było żadnego ruchu.

Pociąg ruszył.

Jechaliśmy przez nagie, pokryte śniegiem pola. Nigdzie nie widać było nic podobnego do lasu. Wreszcie, wreszcie ukazywać się zaczęły zrazu pojedyncze drzewa, potem coraz gęściej, gęściej — całymi kępkami, wreszcie już całą, nieprzerwaną ścianą. Żandarmi drzemali. Nagle usłyszałem gwizd i pociąg stanął.

Serce zakolało mi w piersi.

Żandarmi obudzili się. Jeden z nich podszedł do okna:

— Zepsuło się coś czy co?

— Pijany jakiś sanie na torze zostawił — usłyszałem głos.

Siedziałem bez ruchu, nie działo się nic. Zwykle szcęknięcie koło kół, poprawianie czy zsuwanie wagonu: był on czwarty z końca, za nami jechał wagon trzeciej klasy, a później dwa towarowe.

Raz i drugi maszyna gwizdnęła.

Wydało mi się, że rusza, słychać było łoskot kół: staliśmy w miejscu.

— Co za czort! — krzyknął żandarm.

— Pociąg odjechał bez nas.

— Trzeba krzyknąć — rzekł jeden z żandarmów — rusz no się, Łukicz.

Łukicz wyszedł na platformę — nagle usłyszałem ciężki łoskot i zduszony krzyk.

Drugi z żandarmów chwycił za rewolwer.

Od drzwi rozległ się głos komendy.

— Poddać się albo kulą w łeb.

Uderzeniem topora rozbito drugie drzwi.

Żandarm strzelił i w tej samej chwili czyjaś kula powaliła go.

— Jak się masz, Michał — ścisnął mnie ktoś — nie poznajesz... Pamiętasz Wrońskiego, co...

Teraz dopiero poznałem Michajłowa.

— W drogę, w drogę — śpieszył on.

Łomem rozbito kajdany.

Z wagonu trzeciej klasy wybiegła kobieca postać.

— Ola! — krzyknąłem.

— Ej, niewiasto — zamruczał Michajłow. — Według praw wojennych kula wam w łeb za niesubordynację. Wszystko mogliście popsuć. Znikać teraz, niech mi do pięciu minut nikogo tu nie będzie.

— Tych tak nie można zostawić — rzekł jeden z napastników, wskazując na rannego żandarma. — Drugi też dostał, ale żyją przecież.

Nie bez trudu udało się wyszukać wystraszonego konduktora, którego jeden ze spiskowców obezwładnił w decydującej chwili. Oddano mu pod opiekę moją niefortunna eskortę i po chwili pomknęliśmy w dwóch parach sań przez leśne drożyny. Ze mną razem siedział Michajłow i Ola. W drugich, większych, czterech czy pięciu mężczyzn. Na jakimś rozstaju drugie sanie skręciły na prawo. My popędziliśmy wprost.

Walka

## V. HERAKLESOWE SNY

Znaleźliśmy się wreszcie w jakimś czystym i ciepłym domku, jak gdyby schowanym wśród gęstego lasu. Michajłowa znali tu dobrze.

— Tu — rzekł — jesteśmy bezpieczni. Nieprawda? — uśmiechnął się.

Gospodarz zmrużył oczy.

— Niechaj wszystkie psy gończe spuszcza, jak my kogo schowamy, nie znajdą. Po całej Rosji go pomiędzy palcami im, a pod nosem wozic będziemy, a nie znajdą.

— Raskolnicy<sup>473</sup> są — rzekł Michajłow — starowiercy. Gdyby ich można było wziąć, a pchnąć, można by od razu stworzyć siłę.

Między starowiercami Michajłow kręcił się już blisko rok.

— Ale dlaczego — pytałem — użyliście tyle trudu właśnie dla mnie?

— To już — powiedział Michajłow — Trzeciemu Wydziałowi podziękuj za ten zaszczyt. Jego cesarska mość osobiście się tobą zająć raczył i kazał sprawę twoją sądzić oddzielnie. Chciano dać wielki przykład. I wypadek dla nich pomysły: Polak. Tobą, braciszku, nawet nasza publicystyka patriotyczna zajmować się raczy.

Spędziliśmy tu dwa tygodnie w bezwzględnej ciszy. Utkwił w mojej pamięci ten czas dzięki opowiadaniom Michajłowa. Już w tym czasie pośród nas nikt tak nie znał całego ruchu, nie umiał go tak ogarnąć jednym spojrzeniem. Michajłow posiadał jakąś genialną intuicję w odgadywaniu, w odczuwaniu ludzi. Teraz w jego opowiadaniach powstawały, wyrastały przed oczyma szlachetne, wielkie postacie.

— Myślący człowiek rodził się w Rosji ciężko i chorobliwie. Ciężkie i krwawe były jego pierwsze kroki, rozpaczliwe próby ustalenia swojej samodzielności. Mikołaj Pierwszy skazał na obowiązkową służbę żołnierską Poleżajewa<sup>474</sup> za żartobliwy wiersz erotyczny. I było to całkiem w stylu, całkiem w porządku rzeczy. Za Mikołaja to jednak już wzrosła i wzmocniła się myśl samodzielna. Ty mi mówisz — powiadał Michajłow — że nas jest garstka w wielomilionowym obojętnym tłumie, a pomyśl, jaką siłę stworzył jeden tylko Bieliński. Rozumiesz: jeden chory człowiek stał się źródłem mocy moralnej, bez której nie byłoby nas. A Herzen, a Czernyszewski. Człowiek idący w kierunku rozwoju życia jest niesłychanie potężny. A przecież nas jest parę tysięcy młodych, silnych, zdolnych, kobiet i mężczyzn, przecież my żyjemy już nie pomiędzy sobą, nie w inteligencji, lecz w samym ludzie. A przecież ta sama siła, która wysłała nas w lud, działa i działać nie przestanie. A i to jedno pokolenie samo siebie jeszcze nie zna. Znasz Bardinę<sup>475</sup>, siostry Lubatowicz<sup>476</sup>, Kochanowiczówny, znasz Bolchowskiego, widziałeś Czajkowskiego<sup>477</sup> i jego koło.

Koło Czajkowskiego w tym czasie już nie istniało. Tworzyły się w nim jakieś zaczątki religijnego ruchu. Michajłow nie dał mi dopowiedzieć moich wątpliwości co do tego.

— Ludzie szukają prawdy. Rozumiesz, prawdy żywej. Szukają swojego świata, w którym by nic nie kaleczyło im ich duszy. Jak można sądzić surowo takich ludzi? Ty mówisz: mistyka. Ty zważ, ile człowiek zmógł, zanim tu doszedł, ile się natęsknił i nałamał. Czy ty wiesz, że są chwile, kiedy ja wszystko kocham? Wszystko za to, że żyję, że jestem szczęśliwy, że znalazłem prawdę.

— Znalazłeś ją?...

— Tak. — Michajłow mówił całkiem spokojnie, bez uniesienia. — Mam ją — w niej żyję. Człowiek ma tylko pracę. Oto jest cała moja prawda, w niej jest wszystko. Rozumiesz. Ja nie mówię: świat jest to albo tamto. Świat jest tylko to, w czym ja pracuję. Wszystko,

Rosja, Rozum

Prawda, Praca

<sup>473</sup>raskolnicy (z ros.) — dosł.: rozłamowcy; dawne, pejoratywne określenie staroobrzędowców, starowierców. [przypis edytorski]

<sup>474</sup>Poleżajew, Aleksandr Iwanowicz (1805–1838) — poeta rosyjski, romantyk; za napisanie autobiograficznego poematu satyrycznego *Saszka* (1825, wyd. 1861 w Londynie), w którym opisywał swoje życie studenckie, przymusowo wcielony do wojska. [przypis edytorski]

<sup>475</sup>Bardina, Sofia Illarionowna (1853–1883) — rosyjska działaczka ruchu narodników, w 1877 skazana w moskiewskim „procesie 50”, w 1880 uciekła z katorgi za granicę. [przypis edytorski]

<sup>476</sup>siostry Lubatowicz — ros. działaczki ruchu narodników, skazane w tzw. procesie 50 na zesłanie: Olga Spirydowna Lubatowicz (1854–1917), która po ucieczce i powrocie do kraju wstąpiła do Narodnej Woli, oraz jej siostra Wiera Spirydowna Lubatowicz (1855–1907). [przypis edytorski]

<sup>477</sup>Czajkowski, Nikołaj Wasiliewicz (1851–1926) — ros. rewolucjonista, związany z narodnikami, później z eserowcami; podczas studiów dołączył do rewolucyjnego koła studentów, zwanego później „kółkiem Czajkowskiego”, zajmującego się samokształceniem oraz drukowaniem i dystrybucją literatury naukowej i rewolucyjnej. [przypis edytorski]



co wiem, co mam, to praca ludzka, to nasza święta, ludzka zdobycz. A co poza nami, ja nie wiem. Ja nie mogę wiedzieć. Ja wiem tylko to, że jest to coś, w czym praca nasza trwa jak w kryształach. I ja nic od niego nie chcę, niczego nie żądam. Ja wiem, że *ono* czeka i patrzy na mnie: zrób. Mnie to już wtedy do głowy przyszło, gdy Wroński przed śmiercią o matematyce i błękitnej ciszy mówił. Teraz ja wiem już do dna i wiem, że to jest cała ludzka prawda, że człowiek nie będzie miał niczego poza sobą, prócz tego, co sam zrobi.

— A co po śmierci? — spytała Ola.

— Wy myślicie, co po śmierci? — zapytał Michajłow. — Ja myślę, żeby wszystko tu oddać, a jeżeli będzie co, to całkiem na nowo zaczynać. Aby tylko ludziom nic nie ukrąść.

Człowiek się musi spieszyć — mówił — strasznie musi się spieszyć. Przyszedł mu rozum późno, i to jak jeszcze. Dziś chcemy siebie swobodnymi czynić, a przecież całe ciało, całą duszę mamy pokaleczone. Ja tu w sektańskim świecie widzę je na każdym kroku, te rany na ludzkiej myśli. I wszędzie one są, we wszystkim są. Ty nie dziw się czajkowcom, że oni jakby zakonnicy z sobą tylko żyli. Człowiekowi nie można dowierzać. Powiedz, Ola, tylko szczerze powiedz, czy kobieta może jak człowiek kochać? Rozumiesz, aby czuła się swobodna, aby w duszy, w całej sobie nie mieć tego: należałam do niego.

Miłość

— Nie — powiedziała cicho Ola.

— A ty myślisz, że mężczyzna umie dziś kochać? Nie, nie. My się dopiero budzimy, a w nas samych Bóg wie jeszcze kto gospodaruje. Perowska zawsze kobiet broni. A ich także bronić nie ma za co. Nie będzie człowiek wolny, póki nie nauczy się kochać. Rozumiesz, Miszuk.

Miłość

— Nie wiem jeszcze, do czego zdążasz.

— Ja mówię, rzucam ziarno w ziemię, ono wschodzi, wstaje złote słońce z czarnej ziemi i kłania mi się, i mówi: to jesteś ty i ja, my jesteśmy. I ja wtedy wiem. Ono jest to, co moją pracę chroni. Ale miłość to jeszcze więcej. To, rozumiesz, ja mówię: tylko ty — i odpowiadają mi oczy, i mówią: ty tylko. I tu jestem naprawdę ja, to, co trwa. Żle się wyrażam, a idźcie o to, aby ich było zawsze dwoje w każdej chwili, aby w niej nie było nic prócz ciebie, a w tobie nic prócz niej. I to ja wiem, aby się człowiek swojej miłości nie wstydził. Bo wtedy tylko jest możliwe i słuszne, że ona, którą ja najwyżej cenię, ceni mnie ponad wszystko. A jest tak: oto ja stawiam ją najwyżej, więc ona nie może cenić, pragnąć mnie. Więc ja ją mam nie dlatego, że tak być powinno, ale po prostu mam, jak rzecz.

— A ona — powiedziała Ola — gdzieś na dnie duszy może myśli: oto nareszcie jego rzeczą być mogę.

Ola nabrała śmiałości i stanowczości, jakiej nie przypuszczałam w niej nigdy.

Michajłow rzekł nagle:

— Wiecie, Olga, to o tobie napisał Uspieński, wiesz: „na wpół baba, na wpół Wenus z Milo<sup>478</sup>. Ona najbardziej kobieta i towarzysz zarazem”.

Ola zarumieniła się.

— Nie — powiedziała — sił mam mało. I nie zawsze umiem. Kiedy w nocy, w dzień nie było można, chodziliśmy z Wołczkiem do męskich koszar roboczych, jej nie zaczepiano nigdy, mnie aż dwa razy. To znaczy: jeszcze nie umiem. Nie znano nas wtedy jeszcze. Chazanow nawet ostrzegwał. Poszliśmy. Wołczok miała znajomych, siedzimy, rozmawiamy. Wchodzimy; Wierę ktoś zatrzymał, mnie nie chciało się wracać. W podwórku czuję, chwytam mnie ktoś wpół. Pijany był — pchnęłam go i upadł. Ale dlaczego to spotkało mnie?

A drugi raz, drugi raz było inaczej.

Nie będę opowiadała o tym — powiedziała wreszcie.

Nie nastawaliśmy.

Ola po chwili jednak zaczęła znowu.

— Właśnie że tak — opowiem. Był młody chłopak, Dymitr. Nazywaliśmy go Mitia wszyscy. Widziałam, że chodzi za mną krok w krok, oczu nie spuszcza. Wiera to zauważyła. Chciałam właśnie tego wieczoru z nim mówić. Wtedy już chodziliśmy, jak było

<sup>478</sup> *Wenus z Milo* — słynna marmurowa rzeźba z końca II w. p.n.e., przedstawiająca półnągą grecką boginię miłości Afrodytę (rzymska Wenus), znaleziona na wyspie Milo w 1820, eksponowana w Luwrze; ręce posągu nie zachowały się. [przypis edytorski]

dogodniej, we dwie lub pojedynczo. Gdyby ktoś poważyl się, dość było krzyknąć, byłiby go chyba robotnicy rozszarpali. Wiedziałam o tym. Wchodzę do sieni, zwykle lampka się pali. Ciemno. Szukam drzwi, ktoś chwyta mnie — chciałam krzyknąć, ale nie mogłam już, czuję usta, całują mnie. Wtedy znalazłam w sobie więcej siły, niż przypuszczałam, mocując się z napastnikiem. Myślę — wstyd będzie pokazać się, jeżeli krzyknę. Powiedzą: *barysznia*<sup>479</sup>. Raz i drugi jeszcze pocałował mnie. — Ola była purpurowa. — Wreszcie wyrwałam mu i się i silnie trzymam ręce, chcę prowadzić.

„Puść” — powiada.

Poznałam Mitię.

„Jak ci nie wstyd” — mówię.

„Mówisz: równość — powiada — a jak do czego przyszło, okazała się — panienka. Życ bez ciebie nie mogę”.

Widzę, że trzęsie się. Mówię mu:

„Poczekaj; wracać będę, opowiem ci wszystko, odprowadzisz mnie”.

Wieczorem idziemy znów razem. Mówię:

„Widzisz, że ci dowierzam. Napadłeś mnie po ciemku, a ja ciebie o odprowadzenie mnie proszę. Ja tobą wcale nie gardzę, tylko innego męża-kochanka mam”.

Widzę, że zbladł.

Nie mówi nic.

W końcu powiada:

„I to jest prawda, że masz innego?”

„Prawda” — i podałam mu rękę, on ręki nie bierze.

„I gdybyś ty go nie miała, mogłabyś mnie polubić?”

„Nie wiem — mówię — może tak, a może nie”.

„Nie bierz — powiada — mojej ręki, ja dzisiaj z tobą jak pies chciałem postąpić, a teraz myślę, idę z tobą i myślę: cisnę ją w dół i będzie po mojemu”.

Byliśmy już niedaleko od domu.

„Nieprawda — mówię — Mitia, nie mógłbyś tego zrobić. A ja ciebie, że wielki ból ci przyczyniłam, przepraszam i wybac to mnie. A teraz widzisz, jak ja tobie wierzę i abyś mnie źle nie wspominał...” — objęłam go i pocałowałam.

Odbiegłam, bo słyszę, szlocha na głos.

I powiedzcie mi, co to jest wszystko: czym ja jestem. Dlaczego ten chłopiec cierpi albo dlaczego mogło tak być, gdyby on istotnie silniejszy był?... I przecież ja bym już tego zapomnieć nie zdołała. Dlaczego można kobietę zawsze razem z duszą w błocie skapać?

Michajłow zaszepił się:

— Człowiek, człowiek albo kobieta... Mówimy. I siebie bierzemy za przykład. Jak to mogło się stać człowiekowi? A przecież człowiekowi dziś nie tylko to się dzieje. Czysty przypadek, że nie urodziłem się Chińczykiem, nie biją mnie bambusami na rynku, nie torturują. A kobieta... Miłość kobieca w przeważającej części historii obecnie była towarem lub zdobyczą. Po każdym zwycięstwie kobiety zwyciężonego miasta szły do obozu jako zdobycz. I szły. I myślały. I wy chcecie mieć inną duszę. Dusza ludzka rodziła się pod pałkami, dusza kobieca na targu, gdzie sprzedawano jej ciało, w haremie, a choćby w rodzinie. Badajcie, co działo się z ciałem ludzkim w ciągu historii — a poznacie, czym musi być rozum.

Tego dnia mnie jednak zajmowało co innego.

Zostaliśmy sami z Olą.

— Ola — pytałem — czy ja ciebie krzywdzę?

— Teraz już nie — powiedziała.

— A przedtem?

Skinęła głową:

— Przedtem ja sama krzywdziłam ciebie. Myślałam: miał mnie, gdybym odeszła od niego, byłabym zawsze już upośledzona. A teraz wiem, że chcę być z tobą sama i że gdybym nie chciała — mogłabym nie być.

Wiem, że może się wydać komuś, że popełniam coś karygodnego, wystawiając na jaw te osobiste tajemnice duszy Oli. Czynię to z przekonaniem, że tak musi dziś czuć kobieta.

<sup>479</sup>*barysznia* (ros.) — panna, panienka. [przypis edytorski]

Kobieta musi być swobodniejsza od swej płciowości, musi nie wkładać całej godności swej w tę jedną sprawę. Ja uważam związek ludzi niezwiązanych niczym, nawet wewnętrznym przekonaniem swym, za jedynie moralny. Obserwowałem dużo wypadków, w których kobieta odeszłaby od swego kochanka, gdyby znalazła innego. Ale czuć się bez takiego powodu nawet niezależną od związku, w jakim żyje, czuć się uprawnioną do zerwania związku, po prostu dlatego, że nie daje on jej tego szczęścia, które w miłości jest podstawą moralności — to wydawałoby się niemoralne. Kobiecie wolno zerwać z jednym mężczyzną dla innego, ale zerwać bez takiego powodu, zerwać dla przyczyn wyłącznie erotycznych, chociaż niezwiązanych z żadną nową miłością — to byłoby odczute jako niemoralność.

Ola musiała walczyć z sobą, aby nie czuć się upośledzona, potępiania godna przez to już, że ją ktoś inny bez jej woli pocałował. I zauważmy, że upośledzenie odczuwane tkwi tu właśnie nie w pozbawieniu swobody, lecz w samym pocałunku. Kobieta obita jest tylko ofiarą brutalności, pocałowana lub, co gorzej, zgwałcona — jest zhańbiona. Wiem, że tu jest najwyższa tajemnica kobiecego istnienia. Kobieta jest twórczynią rasy, ale dla tego samego powinna ona powodować się w swym życiu *własnym*, wyszlachetnionym do godności zasady popędem płciowym. Tylko w wymaganiach swej własnej płciowości może znaleźć kobieta dla siebie podstawę moralną. Samowiedza i samookreślenie płci musi tu być naszym ideałem. Gdy zaś zblazowany obrońca moralności i rodziny będzie roił sny o uciechach wolnej miłości, niech stanie pod posągami Wenera Medycejskiej<sup>480</sup> lub z Milo i niech pomyśli, że w swoim czasie miała ona i będzie miała nie tylko ramiona, ale nawet pięści. A co do swobodnego pociągu, to przecież obrońcy moralności nie mogliby liczyć nawet na swobodny pociąg nie tylko już mieszkańek domów publicznych, ale nawet mniszek, o których pisze klasyk Labruyère<sup>481</sup>, że pierwsze we Francji zrobiły odkrycie *que le paysan est aussi un homme*<sup>482</sup>.

Dziwnie, dziwnie piękne były te długie wieczory zimowe w tym schronisku wśród borów. Wieczorem rozpaliliśmy wielki ogień w piecu i nie zapalając światła, siedzieliśmy w rozświetlonym przez czerwone smugi, wytryskające z pieca, półmroku. Michajłow znał doskonale Rosję, znał ją w znacznej części z osobistego postrzegania, mówił o stosunkach w różnych zakątkach kraju z pewnością człowieka, który zna je z praktyki. To było jego wielką siłą.

Wiem, że dla polskiego czytelnika wyda się trudna do pogodzenia ta nabyta, stwierdzona naocznie wiedza i idealizacja, czy jak to się tam nazywa, chłopów. Otóż idealizacja ta jest także sprawą, której nie należy brać literalnie. Opierała się ona na głębokiej myśli, nie była ot, takim sobie, spływającym po wierzchu, sentymentalnym złudzeniem.

Świat chłopski to był świat pracy, żyjący na jej podstawach: pozostawiony samemu sobie chłop dba tylko o to, co mu jest do pracy potrzebne, kieruje się jej wymaganiami, na jej podstawie reguluje swe stosunki. Rząd i całe społeczeństwo, żyjące z pracy chłopskiej, swoimi wymaganiami wnoszą nowy, obcy pierwiastek w ten zamknięty, wystarczający sobie świat. Ale to sam chłop doskonale czuje, czuje, że z góry mu ktoś nieustannie przeszkadza, ktoś, kto ma siłę i moc, lecz nie rozumie.

— W gruncie rzeczy — mówił Michajłow — uznaje te wszystkie przepisy, jakie spełnia, za niedorzeczne. Sądzi, że trzeba znosić je, ale nie ma dla nich bynajmniej szacunku. Szanuje chłop to, co jest zgodne z potrzebami i wymaganiami jego codziennej, nieustannej pracy. To jest jego rozum. I to jest właśnie siła. My mamy pod sobą, naokoło siebie całkiem gotowe społeczeństwo. Potrzeba tylko, aby ono poczuło się sobą. Aby chłop nie chciał znosić. Żeby nas lepiej, więcej znali. Żeby nas było więcej takich, których chłop może znać i uważać za swoich. Rozumiecie, jaka byłaby siła. My bylibyśmy nieustający protest, myśl nieustannie obecna w piersi ludu, a jednocześnie on sam.

— Wierzysz w zwycięstwo? — pytałem. — Rozumiesz, rychło, przez nas dokonane zwycięstwo?

<sup>480</sup>Wenera Medycejska, dziś zwykle: *Wenus Medycejska* — marmurowy posąg nagiej bogini Afrodyty, będący kopią brązowej rzeźby Praksytelesa *Afrodyta z Knidos*; znaleziony w Rzymie, trafił do kolekcji Medyceuszy. [przypis edytorski]

<sup>481</sup>Labruyère a. *La Bruyère, Jean de* (1645–1696) — francuski pisarz, moralista, autor *Charakterów*, w którym przedstawił różnorodne typy ludzkie i krytykę ówczesnego społeczeństwa. [przypis edytorski]

<sup>482</sup>*que le paysan est aussi un homme* (fr.) — że chłop też jest mężczyzną. [przypis edytorski]

— Zwycięstwo jest zawsze możliwe — mówił Michajłow. — Elementy jego są zawsze obecne. To jest właśnie straszliwe i cudowne. Ten świat jest jak jakieś zaczarowane, istniejące już królestwo, uspięne pod śniegiem. Niech gorący wiatr splucze śnieg, niech na jedno mgnienie dusza wstąpi w to olbrzymie ciało, a nie będzie prawie już walki nawet.

— A jak będzie można żyć?

— Jak ty będziesz pięknie wyglądać, Olga, przy sianokosie albo żniwie. Krótkie pięć lat niech tylko poczuje siebie ten istniejący rozum, a ile piękna, ile piękna! Grecja, Grecja — mówią. Ja tu czuję naokoło możliwość świata bardziej harmonijnego niż greckie sny. Grecy bogowie narodzili się też z robót polnych. Dlatego są tak piękni. Po co Grecja? Wyobrażacie sobie te olbrzymie stopy usiane czystymi, białymi wsiami, wyobrażacie sobie olbrzymie niwy rodzące chleb dla pracujących? I jasny wieczór letni, kiedy wszystko jest błękitne i różowe, powrót do wsi: jak może się nie zrodzić piękno w takiej chwili? Tylko kilka lat, krótkich kilka lat, byśmy w ziemię wrosli.

— Ile lat — spytałem — trwała dotychczas najdłuższa, nieprzerywana przez rząd praca na wsi?

— Prawie nigdy dłużej niż rok — rzekł Michajłow. — I to rzadko, bardzo rzadko.

Nachmurzył się:

— Niech on nam w poprzek drogi nie staje, niech on nie staje w poprzek drogi ludowemu szczęściu, car Aleksander. Naszych już teraz do tysiąca po więzieniach siedzi. Jeżeli się przekonać trzeba będzie, że nie można pracować, to my sobie zrobimy miejsce dla pracy. Nauczą się nas bać. Nam siła ani krew są niepotrzebne, bo my nie idziemy nic niszczyć, ale przeciwko sile stworzy się siłę. A posłuchałby lepiej on mnie, Aleksander Mikołajewicz.

Roześmiałem się.

— Ty myślisz: ja nie widzę trzeźwo świata? Widzę, bracie. Tylko mówię, jak jest. Może coś przyjsć, co nagle obudzi lud, i sprawa będzie skończona, a możemy my wszyscy przepaść, ale coś zostanie z nas. Nowa myśl zacznie krążyć, jeżeli nie z nas, to z naszych kości. I widać, tak było trzeba, jeżeli z naszych kości. Widać, myśmy nie mieli jeszcze prawdziwych słów; a nie ginie nic. Nie ginie żaden moment, żaden gest, żadne słowo. Wszystko to gdzieś strumyczkami płynie. Nie słyszy się o tym, nie wie, gdzie ono jest. A choćby z naszych kości, z naszych mogił zerwał się ten żywiący, rzeński wiatr. Czy nie dobrze? Życie każdego jednakowo przemija. Nie ocalisz przecież nic od życia. Tak czy inaczej, weźmie sobie wszystko; tak przynajmniej rośnie z twego życia to, co chcesz. Słuchaj, nic z ciebie nie zginie. Czy nie dobrze tak? Gdzieś tam niwami<sup>483</sup>, polami płynie myśl. I my tylko mamy to zrobić: nie wprowadzać nic obcego, nic prócz tego, co ma prawo, co powinno żyć. Przecież każdy człowiek nieustannie umiera. Idzie o to, aby umrzeć, jak chcesz, aby wiedzieć, czemu oddać duszę, aby to było z ciebie. Oni patrzą na nas, którzyśmy rzucili domy, ciszę, spokój. Po co poszli, dlaczego? Bezdomni tułacze. My jedni mamy dom, z nas wyrasta to, co my chcemy, aby rosło, to, co powinno wyrastać i rozkwitać. My rzuciliśmy pustkę, a wybraliśmy pełnię. Nie ma szczęśliwszych ludzi niż my, których ścigają. Największą, jedyną niedolą jest, gdy nieustannie coś samemu tobie samego siebie kradnie. Każdy nasz dzień, każda nasza godzina, każda nasza myśl to coś wprowadzonego w pierś ludzkości, coś, co będzie kołatać się w niej — trwać, co z nią nie zginie już. Wiedzieć, że się niczym tej świętej piersi nie zatruje, że ona wszystko w sobie wiernie zachowa, żyć tak. Pisać w drogocennym kruszcu jej przyszłość, swoją wolę, swoją myśl. Czuć, że się pozostaje, czy może być szczęście większe? Nigdy nie jestem sam, nie będę sam. Nikt nie znał na świecie tyle szczęścia, pracowitego, czynnego szczęścia. Ty się pytasz o zwycięstwo, czy nie czujesz, że my zwyciężamy każdej chwili, że ono w nas jest tym, co się oprze wszystkiemu: trwałe, niezmiennie, wielkie i swobodne, szczerzłote serce ludzkości.

## VI. MYSZKIN

Ola wyjechała do Moskwy. Tam miała urządzać ucieczkę paru mocniej skompromitowanych. Sprawa Czernowa przedstawiała się także dość poważnie. Postanowiono skomunikować się z nim i jeżeli się uda, oswobodzić go. Mnie na razie odradzano jeszcze

<sup>483</sup>niwa (daw.) — pole, ziemia uprawna. [przypis edytorski]

pokazywać się w Moskwie. Natomiast spotkać mieliśmy się w Kazaniu lub Orenburgu z Myszkinem<sup>484</sup>, który jechał na Sybir z planem oswobodzenia Czernyszewskiego.

— Nie zdążymy — rzekł Michajłow, odcyfrowawszy to miejsce z listu. — Bieda.

Wyjechaliśmy bezzwłocznie. Paszporty mieliśmy dobre, pieniądze też dostatecznie. Michajłow pędził, nie zatrzymując się.

— Myszkin nie będzie czekał — mówił.

Przyjechaliśmy do Kazania. Tu od razu czekał nas zawód. Na jakiś tydzień przed naszym przyjazdem przeszła nad miastem burza policyjna. Ludzie, których adresy mieliśmy, byli aresztowani, wywiezieni do Moskwy, Petersburga. Miasto wydało mi się głuche i martwe. W pierwszą noc tu spędzoną widziałem i czułem jasno, jak znikomą grupką jesteśmy na zmarzłym, olbrzymim obszarze. Brano ich przecież stąd, tych naszych braci, a o tym nie wiedział nikt. W głuchą noc wydarto miastu serce i duszę, wylupiono mu sokole oczy, a miasto nie spostrzegło. Rozumiałem grozę i przerażenie pierwszych wygnańców polskich, których wieziono tędy. I dziś jeszcze pomimo wszystko kładzie się tu na duszę i myśl martwota. Gdyśmy dojeżdżali do hotelu, zatrzymał nas na ulicy Tatar proponując nabycie dziewczyny za 20 rubli.

— Piękna, młoda dziewczyna — niewinna dziewczyna, dajcie zarobić Tatarowi, mam przyprowadzić?

Resztki koczowniczego życia napotykało się tu nieustannie: trwały one pod biurokracyjną powłoką. Tu jeszcze czuło się Rosję Mikołaja: wielki, zimny kraj, po którym jeżdżą w różnych kierunkach trójki z urzędnikami i rozkazami. Pióra w kancelariach skrzypią; życie brnie po śniegu, jak może. Tu jeszcze się czuło w samym *tonie* mowy i postawie, że z człowiekiem można zrobić wszystko, wziąć go na 35 lat do wojska, zabić pod kijami. Mróz, chłód, uboga przyroda ścięły litość dla samego siebie. Władza nie dała się rozwinąć godności, i tak żyją ci ludzie nieustannie krzywdzeni, krzywda otacza ich zewsząd, wrasta w nich, staje się ich naturą. Lokaj w hotelu, gdyśmy mu powiedzieli o Tatarze, wzruszył ramionami:

— Drogo chciał, u nich teraz bieda. I za 15, i za 10 rubli dostać można, ale po co tak? Jeżeli co? Moja siostra, szwaczka, w Moskwie była, *bon ton*<sup>485</sup>, ma maniery, jeżeli co, w każdej chwili przyjdzie.

Michajłow miał dziwny spokój w takich razach. Umiał on odprawiać takiego stręczyciela, nawet nie urażając ani jego, ani jego mającej dobry ton siostry. Ten sam lokaj na drugi dzień nie wspominał nam o siostrze, ale traktował nas z jakąś specjalną uprzejmością. I nie było w tym zasługi żadnych specjalnych słów. Samym tonem, sposobem mówienia dawał Michajłow odczuć, że on wszystko rozumie; nie litował się nad siostrą prostytutką ani bratem, który ją sprzedawał, nie ubolewał nad ich upadkiem, tylko po prostu, nie dostrzegając tego, traktował ich takimi, jakimi są, jak ludzi. Nigdy nie widziałem nic wstrętniejszego nad tak zwany humanitarnie moralny stosunek do prostytutek. Ach, ty musisz sama siebie sprzedawać! Ofiara społeczeństwa i tak dalej. Słowem — przypomina się z zademonstrowaniem wspaniałomyślnej czystości swojego współczucia człowiekowi, że ginie w błocie. A jeżeli o to chodzi, błoto zalewa nas wszystkich.

Opowiedziałem kiedyś Michajłowowi moje przygody w przytułku Asta. Nie mógł on zrozumieć moich wyrzutów sumienia.

— Nie pojmuję: gdzie tu jest jakaś krzywda wyrządzona Lii. Podobała się tobie i ty jej. Byłbyś ją skrzywdził, gdybyś ją był odrzucił i gdybyś jej dał poznać, że od takich jak ona miłość się kupuje tylko. Nie rozumiem.

I Michajłow istotnie nie rozumiał zależności od przesądu. Być we wszystkim prawdziwym i być z każdym człowiekiem — oto wszystko. I jestem przekonany, że lokaj, gdy Michajłow z nim się rozgadał i pochwalił urodę jego siostry, której fotografię on nam na drugi dzień pokazał, ale już bez myśli zachęty — chyba odczuł, że ma do czynienia z prawdziwie pięknym i szlachetnym człowiekiem.

<sup>484</sup>Myszkin, Hipolit Nikitycz (1848–1885) — ros. rewolucjonista, narodnik; prowadził tajną drukarnię, po jej wykryciu uciekł za granicę, powrócił w 1875 z zamiarem uwolnienia Czernyszewskiego; jako oskarżony w tzw. „procesie 193” 27 XI 1877 wygłosił płomienną mowę demaskującą carat, opublikowaną przez prasę światową; skazany na katorgę, następnie osadzony w Twierdzy Szlisselburskiej, gdzie został rozstrzelany za znieważenie nadzorca. [przypis edytorski]

<sup>485</sup>*bon ton* (fr.) — dosł.: dobry ton; umiejętność zachowania się, dobre maniery. [przypis edytorski]

Syberia

Kobieta, Handel, Seks

Rosja

Kobieta, Handel, Seks

Kobieta "upadła"

— Czasami — powiedział Michajłow — trzeba nawet samemu zgrzeszyć, aby człowieka nie zmartwić, nie upokorzyć. Nie wolno upokarzać człowieka.

Cały drugi dzień szukaliśmy jakiejś wiadomości o Myszkynie. Niepodobna jednak było się czegoś dowiedzieć. Znajomi, których tu odnalazł wreszcie Michajłow, nie byli nam w stanie dać żadnych wskazówek. W Orenburgu wiodło się nam nie najlepiej. Zwątpiliśmy już całkiem o możliwości jakiegokolwiek bądź powodzenia, gdy nagle któregoś dnia Michajłow stanął na ulicy jak wryty. Naprzeciwko nas szedł młody, wysoki mężczyzna w mundurze oficera żandarmerii. Twarz miała wyraz dziwnej energii. Szedł wyprostowany, śmiały, rozstępowano się przed nim. Michajłow schwycił mnie za rękę:

— Myszkin — szepnął.

I to był Hipolit Myszkin, jeden z najdzielniejszych moralnie, największych ludzi, jakich znałem.

Myszkin był synem chłopki i żołnierza. Sam był żołnierzem. Któryś z jego przełożonych zwrócił na niego uwagę. Myszkina zaliczono do oddziału stenografistów<sup>486</sup>. Jako stenografista miał Myszkin zaszczyt widzieć cara Aleksandra i w jego obecności demonstrować najnowsze metody stenograficzne. Jego całe życie umysłowe odznaczało się nadzwyczajną logiczną prostolinijnością rozwoju. Żył życiem żołnierskim, życiem rosyjskiego wiernego poddanego, wierząc, że opiera się ten cały system na czymś posiadającym w samym sobie moc i wartość. Zresztą nie myślał zapewne o tym nawet. Gdy zobaczył cesarza, gdy przekonał się, że to jest taki sam generał, jak ci, których zna, że tak samo wielu rzeczy nie rozumie, zobaczył całą niedorzeczność samowładztwa.

Żołnierz, Car

My nieustannie pocieszamy się, że to jest naiwność. Naiwnym jest ten, kto zrozumiałwszy całą potworność faktu, że przypadkowa, ograniczona jednostka ludzka ma w swoim ręku władzę, która może zaciążyć nad setkami tysięcy i milionów myśli, uzna, że niedorzeczność ta przez niego ujrzana jest argumentem przeciwko trwaniu faktu. Przecież my wszyscy o tym wiemy — mówią, pocieszając się, rozsądni ludzie. Rozsądni ludzie myślą, że znoszą niewolę, uświęcając ją całą powagą swojego rozsądku. Różnice pomiędzy ludźmi zasadzają się przeważnie na tym, czy są oni w stanie oprzeć się na wynikach własnej myśli i sumienia, czy są w stanie, zrozumiałwszy, że coś jest prawdą, żyć nią tylko.

Myszkin miał w sobie tę granitową siłę. Aleksander Drugi został dla niego zdetronizowany w tym momencie. Jesteś człowiek jak ja, więc jak możesz mną władać? Kto ci dał władzę? Młoda, nieustraszona myśl nie przestawała pracować. Nieustraszoność myśli jest rzeczą niezmiernie rzadką, chociaż się o niej tyle mówi. Bezwiednie i świadomie tępiemy ją w sobie i naokoło siebie nieustannie. Myśl nasza jest jak tresowany pies. Węszy i tropi na pozór swobodnie; w gruncie rzeczy bada, czy już przeszedł tędy jej pan. Myśl bezpieczna nietroszcząca się o nic, niechcąca wiedzieć, dokąd przyjdzie, nielekająca się niczego, jest dziś czymś wyjątkowym. Samo istnienie nasze społeczeństwo obecne, jakie jest, jest nieustannym tłumikiem, nałożonym na swobodę badacza. I to już niezależnie od przekonania. Pewien rodzaj instynktownej solidarności każe mimo woli przyjmować, przypuszczać rozum, myśl — w sposobie życia i istnienia uznawanym, przyjmowanym przez innych ludzi. Myśl dotąd się biedzi łamie, póki tego rozumu nie odnajdzie, nie wykryje, to jest póki nie przystosuje się do istniejących form. Każdy z nas, żyjąc życiem obecnego społeczeństwa, jest przez nie wychowywany, powoli wsiąka, wnika w nas, w naszą krew cała natura społecznego środowiska — i tak z wolna każdy odnajduje w społeczeństwie siebie. Myślimy całym ciałem, myślimy rodziną, dobrobytem, całym istnieniem swoim; kto jest związany istnieniem swym ze społeczeństwem, prędzej czy później uświęci, uprawni ten związek w miarę własnego rozumu. Ale Myszkin widział, jak to społeczeństwo przytłacza do ziemi i dławi miliony, on widział, że *ono* jest czymś, co pochłania pot, łyż krew. Kim jesteś ty, abyś czynić to miało prawo? Gdzie jest dusza twoja, prawda twej myśli?

Myszkin sam był jednym z tych, którzy są tylko materiałem historii. Myśl, zbudowana w nim, stawiała nieodparte pytanie: co czynisz z tego wszystkiego, z tej niedoli, łez? Wasza prawda musi być nieskończenie święta, wielka, piękna, jeżeli wy śmiecie wznosić ją na takim bezmiarze męki i cierpienia. Oto staje przed wami to życie, którego jesteście opatrnością. Opatrzność musi wytłumaczyć się przed życiem. Myszkin widział cara,

<sup>486</sup>stenografista — dziś: stenograf, osoba notująca metodą stenografii, tj. zapisująca systemem skrótów; przed rozpowszechnieniem techniki nagrań dźwiękowych stenografia była popularną metodą w pracy protokolantów, dziennikarzy i sekretarek, stosowano ją także w wojsku. [przypis edytorski]

widział potem tych, co się nazywają solą narodu, jego myślą. Był stenografem ziemskich zjazdów<sup>487</sup> i do niego, syna żołnierki, przychodzili panowie o wysokich czołach i białych rękach prosić, aby wykreślił ze sprawozdania stenograficznego jakiś liberalny zwrot, frazes opozycyjny.

— Tam na sali płacono im oklaskami — mówił Myszkin — potem w pokoiku dla stenografów zmieniali oni ton, ci panowie. Teraz przypominali sobie pensje, order, żony, dzieci. Żadnego prawa nie ma: jest tchórzostwo i słabość. Wszystko to trzyma się na ciemnocie i bierności masy. Gdy lud wstanie, rozplynie się przed nim wszystko jak mgła, jak błoto.

Różne są typy rewolucjonisty. Przewinęły mi się przed oczyma całe szeregi tych zapoznawanych, nierozumianych postaci. Dla niewolniczego, zadowolonego świata rewolucjonista nie jest nigdy realnym człowiekiem. Jest albo wampirem spragnionym krwi i głośnego czynu, albo rycerzem ideału, ascetycznie wpatrzonym w nadziemskie widzenie przyszłości. Inaczej świat ten, świat powszedniej, znoszącej niewolę i ucisk, podeptanie istoty ludzkiej inteligencji nie jest w stanie pojąć tych obcych mu ludzi, których poznaje w krótkich, błyskawicznych mgnieniach. Tymczasem rewolucjonista prawdziwy, nie wymarzony, jest typem psychicznie niezmiernie różnorodnym. Są w granicach tego typu jednostki, które czują przede wszystkim dysonans i dysharmonie obecnego istnienia. Są one silne nienawiścią, ale nie jest to bynajmniej najsilniejszy typ rewolucyjny. Najpłodniejsza jest działalność innych natur: tych, w których duszy istnieje mocne odczucie rozumnego, swobodnego życia ludzkości, natur, które nie są mścicielami za swoje zniszczone życie, lecz w imieniu pełnego życia, które w nich jest, walczą przeciwko temu, co je niszczy i kaleczy.

Myszkin był człowiekiem, który zrozumiał, przekonawszy się, nie odstępował od swojej myśli, zamierzywszy — wykonywał. Wkrótce po wyjściu z wojska spotkał parę młodych kobiet z kółka utworzonego w Archangielsku przez znanego pisarza Flerowskiego<sup>488</sup>. Te poddały mu myśl założenia drukarni nielegalnej, one też pracowały w drukarskim oddziale, jaki założył Myszkin przy swojej litografii w Moskwie. Drukarnia, znakomicie zakonspirowana, pracowała dość długo pod okiem policji. Wreszcie zaczęły mnożyć się niepokojące znaki i Myszkin któregoś dnia, wracając do domu, zauważył policję w bramie, przeszedł, nie oglądając się, i znikł z Moskwy. Teraz wracał ze Szwajcarii, gdzie powziął zamiar wydostania Czernyszewskiego.

Poeci i idealisci skarżą się na brak poezji i siły idealnej w naszym życiu. Są oni tylko niedostatecznie rozwinięci, aby zauważyć tę olbrzymią poezję, która cechuje nasz moment i głębokością swą przewyższa wzory i normy poetyckie dawnych epok. Tak jest. Nie wrócimy i nie możemy wrócić do żadnego momentu przezwyciężonego. Każdy moment ludzkiego życia ma w sobie poezję, wytwarza ją. Poezja — to jest przejście się chwilą. Człowiek zaś jest tak szlachetną i bogatą istotą, że ożywia wszystko. Na dzień ostatecznego pognębnienia znajduje się jeszcze możliwość kochania czegoś, życia w czymś, w jakimś okrucieństwie, swobodzie.

Pamiętam, jak o tym właśnie rozmawialiśmy już w Szlisselburgu z tym samym chyba Myszkinem z powodu jakiegoś opowiadania Korolenki<sup>489</sup>. Szlachetny ten pisarz rosyjski posiada dar wyczarowywania i ujmowania poezji w każdym środowisku. Mówiliśmy o tym opowiadaniu jego, w którym odtwarza on los nędzarzy żyjących w podziemiach jakiejś zrujnowanej kapliczki białoruskiej. I tu jeszcze jest coś, co tym ludziom życie upiększa, coś, za co oni mogą nawet walczyć. I tak wszędzie u Korolenki. W momencie rozgoryczenia wystukałem Myszkinowi: „Łajdak jest człowiek, kocha nawet łańcuchy”; odpowiedział mi: „Nie łańcuchy, ale swój sposób noszenia łańcuchów. Sam siebie człowiek w ten sposób utrzymuje i chroni; zawsze musi on mieć w sobie coś, co kocha,

<sup>487</sup> *zjazd ziemski* — zjazd ziemian, mieszczan i zamożnych chłopów należących do danego ziemstwa (organu samorządowego wprowadzonego w części guberni carskiej Rosji), decydujący o najważniejszych sprawach lokalnych. [przypis edytorski]

<sup>488</sup> *Flerowski* (pseud.), właśc. *Wasilij Wasiljewicz Berwi* (1829–1918) — rosyjski socjolog, publicysta, narodnik; autor m.in. książki *Sytuacja klasy robotniczej w Rosji* (1869) oraz *Abecadła nauk społecznych* (1871); wywarł duży wpływ na uczestników „wędrowek w lud”. [przypis edytorski]

<sup>489</sup> *Korolenko*, *Władimir Galaktionowicz* (1853–1921) — rosyjski pisarz ukraińsko-polskiego pochodzenia, publicysta i dziennikarz. W tekście mowa o opowiadaniu *В дурном обществе* (*W złym towarzystwie*, 1885). [przypis edytorski]

Tchórzostwo

Rewolucja

Poeta, Idealista, Poezja

Niewola, Dusza, Idealista

odbierz mu poezję — zginie. To nie ozdabianie niewoli, ale ratowanie duszy żywej przed zagładą”. I Myszkina miał słuszość, ale miałem ją i ja, gdyż w ten sposób dusza w niewolę swą wzrasta. Ja, Polak, wiedziałem o tym. Myszkina nie wiedział nigdy, co to jest romantyzm. I dlaczego, dlaczego poezja nowoczesna nie czuje tego nowego, dzisiejszego patosu, który rodzi się na szczytach życia. Dlaczego nie kocha życia, gdy jest dumne, pełne, naprawdę ludzkie, nowoczesne. Idealizm ginie: tak, człowiek nie powinien już umierać, przelewać swojej krwi dla żadnego Boga. Żyć powinien dla siebie, dla człowieka. Poezji nie ma — a czym jest ten pościg jednostki przez umarły syberyjski step dla wyrwania ze szponów niewoli rozumu? Odwaga i samozaparcie, by ocalić myśl. Dla kogo? Tylko dla siebie, dla ludzkości. Każda godzina kradnie tam myśl mędrca: wyrwać ją z więzów tych na próżno upływających chwil. Iżeś<sup>490</sup> mnie zrozumieć chciała, zmienię cię w kamień. Skamieniejesz w chłodnej pustce — wyrok wydała przemoc na myśl mędrca. Gnębi ją i morduje bezczynnością lata całe. Ginie wśród lasów i śniegów skarb: myśl jasna. I oto bieży<sup>491</sup> jej na pomoc szalona odwaga.

Plan Myszkina był prosty: miał on przy sobie rozkaz podpisany przez naczelnika Trzeciego Wydziału, zawierający polecenie natychmiastowego wydania Czernyszewskiego doręczycielowi rozkazu. Papier był doskonale podrobiony. Myszkina nie chciał słyszeć o naszym udziale. Pojedynczemu człowiekowi łatwiej ze wszystkiego wybrnąć. Nareszcie udało się nam go przekonać, aby wziął z sobą jednego z nas — mnie, w charakterze wachmistrza. Z Moskwy przyszedł list żądający pomocy. Michajłow miał natychmiast jechać. Udało mu się jeszcze wydostać skądś dla mnie mundur, szynel, szablę i wszystko, co było potrzebne dla godnego reprezentowania wachmistrzowskiej rangi.

— Wąsy tylko masz za małe — rzekł z wyrzutem.

Jechaliśmy z Myszkim, zatrzymując się prawie tylko tyle, ile potrzeba było dla zmiany koni. Pośpiech był jednym z warunków powodzenia. I w pamięci pozostało mi tylko wspomnienie niepowstrzymanego, szalonego pędu przez śnieżny step, dzikich okrzyków, jakimi podniecali woźnice swoje wpółdzikie przyzwyczajone do szalonej jazdy konie.

Pamiętam tylko jeden epizod, przypominający niemal literalnie *Rewizora*. Siedzieliśmy w małym miasteczku już na saniach, gdy podszedł do nas z płaczem jakiś kupiec, opowiadając o jakimś oszustwie miejscowego satrapy<sup>492</sup>.

Myszkina nie zawahał się ani na chwilę: kazał się wieźć do kancelarii urzędnika.

Z pewnym osłupieniem wszedłem za nim, ale Myszkina z doświadczenia znał psychikę władz rosyjskich.

— Księgi u was gdzie? — krzyknął z progu jeszcze, nie zdejmując czapki. — Ja was, aniołki, nauczę, jak pieniądze obywatelskie utajać.

Nie minęło pięciu minut, sprawa była załatwiona i pomimo prośb urzędnika Myszkina wpisał do księgi groźną notę, zarzycał coś o katordze na bardzo odległą wzmiankę o łapówce — i pomknęliśmy poprzędzani wieścią, że jedzie przez Sybir nadzwyczajny komisarz, urzędników oddaje pod sąd. Odtąd wszędzie już czekały na nas zaprzężone konie: chciano nas pozbyć się jak najspieszniej. Pomimo to wieźliśmy fantastyczny po prostu zbiór skarg i prośb. Była skarga na policmajstra, że ukradł dwa trotuary, skarga na popa, że ukradł dzwonnice, skarga na przystawę, że mieszczaninowi zabrał żonę, wpisał go na listę umarłych i żonę wydał za innego, temu innemu pieniędzy za odstąpienie żony nie zapłacił; umarły mąż protestował przeciwko pretensjom drugiego, mówiąc, że do wynagrodzenia on tylko jeden ma prawo. Była straszliwa skarga matki-wdowy, której miejscowy sędzia ukradł córkę, a później podczas procesu przez stosunki wyrobił dla niej bilet prostytutki<sup>493</sup>, „...i teraz — pisała matka — ile razy isprawnik w naszym mieście pije i grać w karty raczy, tyle razy Maszę do siebie sprowadzać każe, mówiąc: »do rewizji«,

Kobieta, Władza, Seks

<sup>490</sup>Iżeś mnie zrozumieć chciała — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: iż chciałaś mnie zrozumieć, że chciałaś mnie zrozumieć. [przypis edytorski]

<sup>491</sup>bieżyć (daw.) — biec, śpieszyć, iść. [przypis edytorski]

<sup>492</sup>satrapa — namiestnik prowincji (satrapii) w starożytnej Persji, który posiadał uprawnienia administracyjne, sądowe i wojskowe; synonim tyra. [przypis edytorski]

<sup>493</sup>bilet prostytutki — od 1843 prostytutka w Imperium Rosyjskim była legalna; prostytutki rejestrowano w komisjach medyczno-policyjnych i zamiast paszportów wewnętrznych wydawano im specjalne dokumenty, zwane potocznie „żółtymi biletami”. [przypis edytorski]



a my jemu odmówić nie możemy; a ostatni raz plecy i nogi dziewczynie ostrogami podrapał, a jakeśmy skargę posłali, wpadł i mnie, i ją bił po twarzy, i groził, że jeżeli jeszcze co, to ją w tutejszym takim domu zamknąć każe, bo skoro ona żółty bilet ma, to i tam przebywać powinna, więc niech pan komisarz rozsądzić raczy”. Całe syberyjskie życie stało przed nami, jak na dłoni. Była skarga dwóch córek, których ojca miejscowy lekarz wojskowy z policmajstrem<sup>494</sup> do szpitala wsadzili, ponieważ starsza, Wiera, nie zgodziła się kupcowi Abramowi swojej niewinności za pięćdziesiąt rubli sprzedać. Była skarga pocztowego urzędniczka na tegoż Abramowa, że mu za żonę „...którą mu według umowy — pisał urzędniczek — w pierwszą noc i niewinną przedstawiłem, pięćdziesięciu rubli nie wypłacił, mówiąc, że niewinności nie zastał; a jeżeli tak, to winien temu akcyzny Wiktorow, który żonę moją do ślubu znał, i on mi stratę wrócić powinien, gdyż ja w ciężkiej potrzebie jestem i żona moja urodziła bliźnięta, a z pensji ich wyżywić niepodobna”.

Myszkin bladł, czytając te straszliwe, nie krwią już, ale zgniłą materią cuchnących, ropiejących ran spisywane dokumenty ludzkie. Była rzecz, z którą nie umiał się oswoić. Poczucie bezsilności, niemożliwości zwalczania, usunięcia czegoś, co nie powinno być tolerowane, o! to poczucie nieodpowiedzialnego świadka, które tak doskonale żyje i rozwija się w nowoczesnym, kulturalnym Europejczyku, było dla Myszkina czymś wrogim, absolutnie niezgodnym z jego naturą. Myśl jego żyła w tej samej dziedzinie, w której przebywa wola, rodziła się od razu z żelaznymi mięśniami i ścięgnami czynu. Nigdy nie być obojętnym, nie znać tego obmierzłego stanowiska cichego współnictwa wobec bezprawia, łamiącego życia ludzkich istot, wdeptującego w ziemię krew i łzy. Nie wiedzieć, co to jest powszedniość, w której tonie, zlewa się, ginie wszystko, zbrodnia i ofiara, krzywda, przemoc, smutek, i ciągle, i wobec wszystkiego być sobą, nie kapitulować przed niczym — to były rysy najistotniejsze tej orlej natury. Każdy dzień z nim przebyty napelniał mnie podziwem dla tej samorodnej spiżowości. Michajłow wydawał się marzycielem w zestawieniu z tą duszą. A jednocześnie stał ta wibrowała, drżała za każdym zetknięciem ze światem cierpienia i krzywdy. Widziałem, jak rozszerzały się w takich chwilach nozdrza Myszkina, jak bladł, jak pały jego oczy. Był stworzony na wodza wielkiej rewolucji.

Historia zapisuje tylko szczęśliwych. Zna Garibaldię i prawie milczy o Pisacanie<sup>495</sup>. Bakunin ukazuje się w niej tylko jako wieczny warchoł. Kto znajdzie czas zrozumieć, czym on był w samej rzeczy? Kto zsumuje energię rewolucyjną, rozsianą przez niego w całym świecie Zachodu i Wschodu? Kto zrozumie, czym mógł być Myszkin? Nie jesteś ty posłusznym kruszczem, bryło dziejów, której z taką ufnością powierzał się Michajłow. Nic ludziom nie ukraść to obowiązek, ale być całkowicie przez nich wziętym to zasługa. Historia jest zbiorową, solidarną sprawą — nie tylko *siebie* przeżywamy — przeżywamy nieustannie innych. Czy świat wie, ilu mędrców, poetów zużywa, nie znając ich, nie dając im nigdy stać się sobą? Żyć jak największym zakresem to prosty obowiązek. Każda nasza bierna i pusta chwila *zabija* coś poza nami w nieznanym, obcych nam ludziach. Nasza etyka jest równie zacofana, jak nasza poezja.

Wtedy, jadąc z Myszkinem, ważyłem te myśli. Czulem, że jest obok mnie jeden z tych ludzi, którzy dokonują czynów, że jest to jeden z tych ludzi, o których niejednokrotnie momenty dziejowe wołają na próżno.

Ominęliśmy Irkuck, nie zatrzymując się, i zbliżyliśmy się do celu naszej podróży. Serce marzyło, czy prawdą jest, że już za parę dni będzie jechał z nami on, pogrzebany przez rząd, że ozwie się jego głos pośród nas. Wyobrażałem sobie, co będzie czuł, i nie śmiałem wierzyć, że to się stanie.

Dzikość i pierwotność krajobrazu nadawała jeszcze bardziej fantastycznie nieprawdopodobny charakter naszej wyprawie. Tu przyroda nie mówiła nic o prawie, nic o wpływie człowieka, o jego sile. Myśl ludzka była tu przypadkiem, utrzymującym się na powierzchni wyłącznie dzięki zbiegowi jakichś wyjątkowych okoliczności. Sybir deprymuje już przez sam swój widok, przez konieczność opierania się działaniu przyrody. Rząd rosyjski wiedział, co czyni, skazując myśl zbuntowaną na walkę z monotonią i mrozem. Przywracał się normalny stosunek. A ty nie wiesz — zdawał się wołać do rozumu — iż ty w cieplarni wychowany, poznaj, co to świat, przekonaj się.

Syberia

<sup>494</sup> *policmajster* (z niem.) — naczelnik policji. [przypis edytorski]

<sup>495</sup> *Pisacane, Carlo* (1818–1857) — włoski rewolucjonista, historyk; bohater walk narodowo-wyzwoleńczych, w 1849 naczelnik dowódca sztabu armii Republiki Rzymskiej. [przypis edytorski]

Koło Wiłujka krajobraz staje się rozpaczliwy, jakby na wieki ślepy; przejechaliśmy około<sup>496</sup> domu, w którym pochowany był Czernyszewski. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej monotonnego, wyczerpującego już przez sam swój widok duszę. Nikły laszek czerniał niedaleko od domu, poza tym — nic: wysoka palisada placu, dwa drewniaki, jakaś zamazana i kałuża i śmiertelna, nudna cisza na około.

— Wybrali — rzekł Myszkin — nie ma co, wybrali.

Czy ty wyobrażasz sobie — mówił — zimną krew: tu wysłać i kazać żyć — nie, umierać długie lata. I przecież oni wiedzieli, kto on jest. Nie, człowiek jest zły, podły — znieść trudno.

Nareszcie dojechaliśmy do mieszkania naczelnika. Nie było go, trzeba było nocować.

Na drugi dzień popsulo się wszystko. Naczelnik miał papier, aby nic nie przedsiębrać względem Czernyszewskiego bez odrębnego rozporządzenia irkuckiego general-gubernatora.

— I że też pan bez kozaków jedzie — rzekł on do Myszkina.

Był przy tym nadmiernie, niepokojąco grzeczny.

— Poprobujemy go wziąć siłą — zaproponowałem.

Myszkin wzruszył ramionami: o tym nie można było nawet myśleć. Musieliśmy jechać precz, nie dając mu nawet znać, że życie było u wrót jego grobu. Trzeba było jechać i zostawić go na pustyni. Myszkin wzruszał ramionami, ale ukradkiem spoglądał na rewolwer. Dla niego ta porażka była klęską moralną. Nie umiał się on czuć niewolnikiem, bezsilnym wobec przemocy.

Oświadczył naczelnikowi, że wraca do Irkucka po rozkaz.

— Dodam panu dwóch kozaków — powiedział naczelnik.

Myszkin próbował się wymawiać, dziękując za uprzejmość.

— Ale cóż znowu — rzekł naczelnik — to zwykły obowiązek służbowy. Dostałbym dymisję, gdybym pana tak puścił.

Była to już gra prawie w otwarte karty. Trzeba było jeszcze cieszyć się z tego, że naczelnik bał się oddzielić z liczby posiadanych kozaków dla eskortowania nas więcej niż dwóch. Zwiększało nasze szanse także i to, że na żądanie Myszkina dostaliśmy i my konie pod wierzch, ale kozacy mieli karabiny, my zaś rewolwery tylko. Rezultat walki mógł być bardzo wątpliwy. Nietrudno było spostrzec z wyrazu twarzy towarzyszących nam kozaków, że otrzymali oni przy wyjeździe jakieś specjalne instrukcje. Miałem wrażenie, że trzymają się oni na baczności. Gdy w ciągu drogi Myszkin kazał jednemu ruszyć naprzód pod pozorem, że zbłądziliśmy, że trzeba sprawdzić drogę, spełnił on rozkaz z ociąganiem i bardzo niechętnie. Parę stacji ujechaliśmy w spokoju.

Na drugi dzień dopiero postanowiliśmy działać, mieliśmy przejeżdżać koło posterunku kozackiego i nie byliśmy pewni, czy nasi kozacy nie wiozą z sobą jakichś rozkazów do jego komendanta. Pod tym lub innym pretekstem mógł on powiększyć naszą eskortę. W lesie Myszkin zwrócił się do kozaków, mówiąc, że zapomniał u naczelnika torebki z papierami, i rozkazując im wrócić po nią i przywieźć. Kozacy wręcz odmówili:

— Nam kazano was nie odstępować.

Młodszy z nich zrobił podejrzany ruch w kierunku karabina. Strzeliłem do niego i zraniłem go lekko, w tej samej chwili popędziliśmy konie. Kozacy dali ognia. Jedna z kul drasnęła Myszkina po głowie, nie powodując poważniejszego szwanku, ale mój koń padł i spostrzegłem, że sam broczę krwią i nie mogę podnieść lewej ręki. Kozacy pędzili ku mnie. Myszkin wysunął się naprzód i wystrzałem położył trupem jednego z nich. Wtedy drugi zawrócił i popędził konia.

— Łap konia! — krzyknąłem za Myszkinem.

Ale koń zabitego kozaka w chwili, gdy Myszkin zbliżał się ku niemu, stanął dęba, zakręcił się i pocwałował za uciekającym.

Położenie było ciężkie.

Byliśmy w głębi pustyni syberyjskiej o jednym koniu, bez środków żywności, przytroczonych do siodła kozackich, pewni pościgu. Ja przy tym byłem ranny.

Nie traciliśmy jednak głowy.

<sup>496</sup>około (daw.) — w pobliżu. [przypis edytorski]

— Trzeba zjechać w stronę — mówiłem — może napotkamy jaką osadę, gdzie będzie można kupić konia.

Koń dźwiżył z trudem podwójny ciężar. Myszkin zsiadł i podtrzymując mnie na siodle, szedł obok konia. Posuwaliśmy się niezmiernie wolno. Noc zapadła, a my jechaliśmy wciąż głuchym lasem. Wreszcie na jakiejś polanie zaczęło coś, niby schronisko ludzkie. Było jednak w nim całkiem ciemno: drzwi stały otworem. Izdebka była pusta. Na ubitej ziemi był tylko opalony ślad po dawno wygasłym ognisku: musiało to być schronisko myśliwskie lub coś w tym rodzaju. Wprowadziliśmy konia. Myszkin nawlókł gałęzi. Rozpaliliśmy ogień, ale jeść nie było co. Rana na ręce zaczęła mnie znowu boleć i nad ranem spostrzegliśmy, że nie mogę ręką tą żadnych wykonywać ruchów. Myszkin zbudził się nad ranem: koń rżał, gryząc rzucane mu gałązki i trochę zmarzłej trawy. Naokoło nas była kamienna, lodowa cisza. Przypomniały mi się ptaki zamarzłe, jakie widziałem u nas jakiejś wyjątkowo ostrej zimy. Myszkin siedział pośpny; myślałem o szyderstwie losu, które każe nam tu ginąć wśród syberyjskich lasów w mundurze żandarmskim.

— Musisz jechać — mówiłem — jeżeli się uda, wrócisz. Jest to jedyna rada.

Było to jasne. Czystym dzieciństwem byłoby tu siedzieć razem i ginąć we dwóch, czekając ratunku. Zostałem sam. Przed wyjazdem Myszkin nazbierał drzew i gałęzi, dorzucałem ich teraz, kuląc się około ogniska, czując, że wstrząsa mną dreszcz. Byłem głodny i spragniony: parę razy wychodziłem zgarnąć trochę śniegu z drzew. W ten sposób gasiłem pragnienie. Głowa płonęła i myśli mąciły się. W ciągu nocy byłem nieprzytomny; tak przeszedł następny dzień. Śniło mi się ciągle, że gdzieś jadę, koń idzie, potykając się co krok, usiłuję trzymać go mocno w wędzidle, ale raz po raz pada on na kolana.

Zbudziło mnie pod wieczór drugiego dnia szczekanie psów i tupot kopyt końskich. Z wysiłkiem zebrałem myśli i zrozumiałem, że trzeba dać znak, wyszedłem za próg i dwa razy wystrzeliłem z rewolweru w powietrze. Nadsluchiwałem chwilę, już zdawało mi się, że głosy cichną. Jakieś na wpół jasne przypomnienie *Anhellego*<sup>497</sup> przesunęło mi się przez zmęczony, jak gdyby złodowaciami igłami skłuty mózg. Tylko *Eloe*<sup>498</sup> tu nie ma. Czułem się niezmiernie obcy temu wszystkiemu. Ale nagle za zakrętem drogi zobaczyłem wysuwające się łby końskie: zacząłem biec im naprzeciw. Zrobiłem parę kroków i upadłem. Ocuciłem się w izbie. Wlewał mi ktoś w gardło wódkę, rozmawiano po polsku.

Otworzyłem oczy i zapytałem:

— Gdzie Myszkin?

Nachyliła się nade mną jakaś twarz o nastroszonych, w sople obmarzłych wąsach.

— Polak? — zapytała.

Skinąłem głową.

— W tej służbie?... — zasłyszałem zdziwiony głos.

— Kto wy? — zapytałem.

— Osiedleńcy. Byłbyś na śmierć zmarł — co ci w rękę?

— Kozak strzelił.

— W żandarma strzelał... cóż to, bunt?

— Myszkina nie spotkaliście? — pytałem, wciąż na wpół nieprzytomny; nie byłem wprost w stanie zrozumieć, że komuś może być nieznanie i obce cokolwiek z tego, co mnie zajmowało.

— Kto jest Myszkin? — pytano. — Gdzie?

— Wczoraj, nie, pozawczoraj na gościńcu kozaka zastrzeliliśmy, drugi zemknął, zabił mi konia i ot, ręka — mówiłem, wzrokiem wskazując na zwisającą bezsilnie lewą rękę.

— Nie uwierzył nam: Czernyszewski tam został jak w mogile.

— Poczekaj no — odezwał się drugi mężczyzna o czarnej brodzie.

— Wy nie żandarm? — zapytał.

Zaprzeczyłem głową: nie.

— Wyście chcieli więźnia odbić, Czernyszewskiego?

— Tak... jest...

<sup>497</sup>*Anbelli* — poemat prozą Juliusza Słowackiego, w którym tytułowy bohater podróżuje po Syberii i spotyka polskich zesłańców. [przypis edytorski]

<sup>498</sup>*Eloe* — postać z poematu *Anbelli* Słowackiego, kobiecy anioł, wcielenie litości, opiekunka grobów zesłańców. [przypis edytorski]

— Ot, co jest. Wczoraj wieść była, że Jakuci<sup>499</sup> fałszywego rewizora pojмали.

— Myszkin! — krzyknąłem.

— No, to i was stąd trzeba czym prędzej — i wy Polak?

Potwierdziłem.

— Nie czas gadać — rzekł starszy — jemu opatrunku potrzeba, spoczynku i pożywienia.

W kilka godzin znalazłem się w ciepłym i schludnym mieszkaniu pana Wydźgi, tak nazywał się starszy:

— Dobrze, że noc jest — mówił — i że nas nikt nie widział, a teraz musicie już cicho tu przesiedzieć, póki co...

Nie odpowiadałem. Co chwila myśli ginęły mi i rwały się. Raz po raz wstawałem, aby biec, odbijać Myszkiną. Zrobiono mi opatrunek i zasnąłem.

## VII. LODOWIEC

Panowie Wydźga i Kulesza mieszkali razem. Nie przypadliśmy sobie do smaku. Gościnni byli i krępowali się w sporze ze mną, ale zauważyłem, że wzbudzam w nich każdym słowem, każdą myślą całkiem żywiolową, nieprzeżożoną odrazę. Gdy pytali mnie o politykę europejską, ja mówiłem im o Międzynarodówce, oni słuchali grzecznie, powstrzymując ziewanie, i interesowali się, jak zapatruje się na sprawę polską papież<sup>500</sup>, pokładali jakieś tajemne nadzieje na cesarzowej Eugenii<sup>501</sup>. Do pasji zaś doprowadzało ich już to, co mówiłem o ruchu w Rosji. Nienawidzili tego chamstwa. Oni wszyscy liberalni na cudzy koszt. Milutyn, Czerkaski też liberalowie byli. Murawjew całkiem rewolucjonista. Niepodobna było z nimi rozmawiać na ten temat. Kilkakrotnie z niedowierzaniem poddawali mnie badaniu na temat: z jakich to? kto go rodzi? Widocznie im żadną miarą w głowie pomieścić się nie mogło, aby nie bacząc na klejnot<sup>502</sup> i imię, zaraza mogła przylgnąć do senatorskiej krwi.

— Rozpacz, rozpacz, panie, wszystko tłumaczy — mówił pan Wydźga. — Z rozpacz wszystko. Tu Ossoliński jeden, z dobrych, panie, Ossolińskich, z rozpacz karczmarem został. Jakże. Teraz wszystkie szynki po okolicy ma: pieniędzy bez miary. I co on ma to kacapstwo<sup>503</sup> oszczędzać? Pod zastaw pożyczki daje. Czy uwierzysz pan, czego tu ludzie nie zastawiają? Urzędnik, panie, urzędnik skarbowy z akcyzy, córkę zastawił. Za dwieście pięćdziesiąt rubli. I pan mi mów o godności ludzkiej tego narodu. Ja ci powiadam, pluń. Niech ich własna zgnilizna strawi. Tam u nich po wsiach francuska choroba<sup>504</sup>, oni ją sołdacką nazywają, się szerzy. Co druga baba chora. To wszystko nie ma żadnej przyszłości. Kolos o glinianych nogach. My, panie, na rozumy prowadzimy z nimi walkę. Ot, słyszę, z naszych jeden na Kaukazie lasy skupuje, w pięć lat miliony zrobił. Albo tu. Ty mi tylko pięćset rubli daj, a w skarbowej komisji ziem kirgiskich odpiszą: nie objedziesz. Ja nie mówię, że my mamy po zaściankach siedzieć. Nie. Kulturę, panie, powinniśmy nieść.

— Jak Ossoliński — rzekłem. — Czy on na tym swoim zakładzie z zastawionymi urzędniczymi córkami herb swój na szyldzie wywiesza? Powinien by, niech nas znają.

Pan Kulesza wstał.

— Panie łaskawy, abym snadź nie zapomniał, że gościem u nas jeste: można by myśleć, że nie sam mundur pan dobrodziej na się wdział.

Z całą szczerością uważali oni za pewien rodzaj przeniewierstwa uznanie jakiegokolwiek słuszności, jakichkolwiek praw w przedstawicielach znienawidzonego narodu. To był wróg i to słowo tłumaczyło, usprawiedliwiało wszystko. W ten sam sposób zapatrywali się na wszelką krytykę zwróconą przeciw komuś ze swoich. To było „kalanie swego gniazda”. Znałem ten typ dawniej już, nie był on dla mnie nowy, teraz jednak miałem sposobność przekonać się o tym, jak dalece wzrósł pomiędzy mną a tym światem dystans. Byłoby

Rosja

Polak, Rosjanin, Chciwość

<sup>499</sup>Jakuci — naród turecki zamieszkujący wsch. Syberię. W carskiej Rosji zamieszkiwana przez nich kraina, Jakucja, była od XIX w. miejscem karnego zesłania. [przypis edytorski]

<sup>500</sup>papież — wówczas Pius IX, konserwatysta. [przypis edytorski]

<sup>501</sup>cesarzowa Eugenia — Eugenia Maria Ignacia Augustina de Palafox y KirkPatrick (1826–1920), żona cesarza Napoleona III, ostatnia monarchini francuska (1853–1871). [przypis edytorski]

<sup>502</sup>klejnot — tu: herb szlachecki. [przypis edytorski]

<sup>503</sup>kacap (pogardl.) — Rosjanin. [przypis edytorski]

<sup>504</sup>francuska choroba (pot.) — kiła, choroba weneryczna. [przypis edytorski]

nieszuszne, gdybym zataił, że i mnie również ciężko było przebywać w tym towarzystwie, i z przykrością myślałem, że będę potrzebował jeszcze pomocy panów Wydźgi i Kuleszy, walczących na rozumy z chłopem rosyjskim, w formie rozpajania go wódką, przyjmowania kobiet pod zastaw, skupowania za bezcen ziemi kirgiskiej. Widziałem jasno jak na dłoni, jakie drapieżne szpony, jakie wilcze głody, jaka lisia obluda wyrastają i rozwijają się poza męczeńską maską.

Nadarzyła mi się jednak sposobność niekorzystania z uprzejmości tych „rodaków”. Pojawił się w jakieś dziesięć dni po moim przybyciu do domku wygnańców nowy gość. Był to jakiś chodaczkowy szlachcic<sup>505</sup>, przed powstaniem kupiec kolonialny w małym miasteczku, Marek Korytko. Była to mała, jakby przydeptana postać o błękitnych, zapłakanych oczach, malinowym nosie, wypelzłych wąsach i łysinie. Kulił się on wobec moich gospodarzów i miał z nimi jakieś interesy. Gość chętnie wchodził do mojego pokoju i nieśmiało siadał na koniuszku krzesła. Było w nim jakieś nieustające upokorzenie.

— Z Moskiewką ożenił się — powiedział mi pan Kulesza — baba pije, po twarzy go tłucze i sam on się rozpił.

Byłem uprzedzająco grzeczny dla Korytki.

— Tak to — mówił — płacz i pustka szczera, noc naokoło. Gdziekolwiek pokazać się — sprzedawczyk, renegat. Pan Filip Ossoliński, wielki pan i patriota, usiąść mi u siebie w domu nie pozwala, że to niby dzieci moje teraz prawosławne. I nigdzie, nigdzie spokoju nie ma. Jeden pan Seweryn, święty człowiek, mówi: „Nic to, aby tylko dusza czysta była”, i jak z równym ze mną rozmawia, ale ja sam czuję wobec niego moją nikczemność i zdradę; w oczy jego czyste patrzeć nie śmiem. Raz, dwa na kwartał pójść posłuchać i dość. Aby tylko wiedzieć: nie całkiem jeszcze przepadł Korytko, jeżeli, panie mój, Mickiewicza przyjaciel i uczeń, panie mój, pan Seweryn Kaniowski po bratersku do mnie przemawia.

— Gdzież on jest?! — mimo woli krzyknąłem. — Przecież on w orenburskiej guberni był.

— Tu go przenieśli, lat temu dwa albo trzy będzie, i widzę ja, że panu szanownemu nazwisko znane jest.

— Krewny jestem pana Seweryna bliski. Mojego ojca przecież brat.

Korytko w ręce klasnął.

— Dobrodzieju, toż ucieszy się nasz staruszek, gołąbek on nasz... To czy, dobrodziejaszku, jemu znać damy, a może byś ty wręcz do niego pojechał. Mieszka w domu kupca jednego, Rosjanina, za świętego oni go uważają, modlą się niemal do niego. W wielkim poważaniu on. Czerń nawet prosta go czci, w chorobie albo co przybiega. Chorych noszą...

Umówiłem się z panem Korytką. Pieniądzy miałem dość, trzeba było tylko ubranie dostać, konie nająć i wszystko bez wielkiego hałasu, a cichaczem urządzić. Drogi było mil<sup>506</sup> z dziesięć, po śniegu, w mróz, odległość niezbyt trudna do przebycia.

Na drugi dzień pożegnałem się z moimi gospodarzami i wczesnym rankiem ruszyliśmy. Ręka sprawiała mi jeszcze ból, ale odzyskałem w niej częściową władzę: kula nie tknęła kości. Jechaliśmy cały dzień, nad wieczorem stanęliśmy na skraju wielkiej wsi czy osady. Tu, na samym brzegu, stał duży, piękny dom zbudowany z palów. Podjechaliśmy pod ganek. Mignęło się przede mną kilka postaci kobiecych i męskich. Słowa pana Korytki: „Pana Seweryna brataniec”, wywołały na wszystkich twarzach przyjemny uśmiech. Widziało się, że istotnie musi on tu być otoczony przyjaźnią i czcią niezwykłą. Wprowadzono nas do wielkiej świetlicy, czystej i widnej. Pod ścianami stały meble dębowe, ciężkie, całe urządzenie miało na sobie piętno dostatku oraz pewnej surowości i powagi. Gdyśmy weszli, z sąsiednich drzwi wyszedł mężczyzna o głowie pokrytej całkiem białymi włosami, takim samym zaroście i krótko przystrzyżonych wąsach. Był podobny do mojego ojca, tylko wyższy, i twarz, a szczególnie oczy miały wyraz jakiegoś wewnętrznego zapatrzenia, obecności na dnie duszy czegoś, co jest ciche i niezatrącalne.

Zbliżył się do mnie i wyciągnął ręce:

— Brata Oktawiana syn. Pisał mi brat o tobie. Rad jestem, że cię widzę, chciałem cię poznać.

<sup>505</sup> *chodaczkowy szlachcic* — ubogi, prosty szlachcic. [przypis edytorski]

<sup>506</sup> *mila* — daw. miara odległości o różnej wartości; mila rosyjska wynosiła ok. 7,5 km. [przypis edytorski]

Przeżyłem dziesięć dni w domu stryja Seweryna. Otaczała go tu atmosfera prawdziwie religijnego uwielbienia. Byłem obecny niejednokrotnie, jak wytaczano przed niego sprawy wszelkiego rodzaju, spory rodzinne nawet, i jak poddawano się jego decyzjom. „Święty on u nas” — mówiły kobiety. Odwiedzali go i zesłańcy. Opowiadano, że jakiś zbiegły katorżnik w drodze przychodził się pokłonić Zachodniemu Starcowi. Tak nazywała go tutejsza ludność. W świecie zesłańców politycznych nie bardzo umiano poradzić sobie z tą niezwykłą i odmienną od przeciętności postacią. Jak zawsze, świat wygnańców dzielił się na frakcje, pozostające w naprężonych i ostrych względem siebie stosunkach. Uważano za obłudę lub brak charakteru to, że stryj Seweryn nie dostrzegał jednakowo wszystkich tych różnic. Tak sądzić jednak mogli tylko ci, którzy nie widzieli nigdy osobiście Zachodniego Starca. Dość było bowiem poznać go i pomówić, aby zrozumieć, że nie jest w stanie on popełnić nigdy świadomego kłamstwa i że nie liczy się nigdy z żadnymi osobistymi względami, nie boi się nikogo urazić. Gdy mówił, miało się wrażenie, że rozmawia on właściwie z czymś wewnętrznym, własnym, niezależnym od osoby słuchacza. W każdym innym wydałoby się może mi nieszczerze to nieustanne szukanie w sobie, nasłuchiwanie za każdym wypowiedzianym słowem. Miało się wrażenie, że ma on w głębi duszy milczącą prawdę i nie tyle sam mówi, ile ją usiłuje zmusić do mówienia. Psychologicznie nazwać to mogę autohipnozą. Było w tym jednak szlachetne usiłowanie postępowania i sądenia w każdym wypadku tak, aby powiedzenie i postępek wyrazem były najgłębszego przekonania, aby nie mówić i nie działać inaczej, jak pod naciskiem prawdy, którą się ma.

Teraz stryj Seweryn robił na mnie wrażenie człowieka pozostającego w stanie nieustannego cichego natchnienia. To, co było jego przekonaniem, przepełniło go tak na wskroś, że wysiłek niemal całkiem zniknął, pozostawał jako ślad tylko walk i mąk przebytych. Wieczorami pozostawaliśmy często razem i wtedy rozmawialiśmy o sprawach ogólnych. Była mi obca jakakolwiek bądź chęć, chociażby tylko nieurazenie go mająca na celu, ukrywania przed nim lub łagodzenie czegokolwiek z moich przekonań. Zresztą doznawałem wrażenia, że nie było takiego przedziału nie tylko już w myślach i przekonaniach, ale w czynach — który by był ostateczny w oczach stryja Seweryna i zerwać mógł podstawową wspólnotę ludzką. Na tym zasadzał się czar jego postaci, że morderca nawet, gwałcień, zbrodniarz musiałby czuć tę wspólność. Musiałby czuć, że cała ta czystość i jasność nie zstępują do niego, ale wyrastać się zdają jakby z tego błotnistego, potępionego dna, na jakim on żyje.

— Różnice — mówił stryj Seweryn — pomiędzy ludźmi tak są małe, tak *nie ma* wcale ich, gdy się o nich szczerze i z miłością myśli.

Nikt nigdy nie mógł *czuć się*, mówiąc z panem Sewerynem, wyłączonym ze świata prawdy.

— Ważną jest rzeczą nieraz nauczyć człowieka pobłażania, miłości i szacunku względem samego siebie. Nie powinien nigdy człowiek samym sobą gardzić. My zaś bezustannie uczymy ludzi najbardziej potrzebujących naszej pomocy, aby sobą gardzili, siebie nienawidzili, nie zapomnieli nigdy, czym są, co uczynili. Człowiek splamiony winą musi się nauczyć zapomnienia. Chrystus zapomina, nieustannie zapomina, a każdy z nas jest wewnątrz Chrystusem. Nie możesz, nie zdołasz od niego odpaść, on jest to, co myśli w tobie i co chce, kocha i czuje — on jest każda myśl przyjmująca ciebie. Człowiek sam z siebie nie byłby w stanie nic przyjąć, na niczym się oprzeć. Myślenie jest to nieustanny cud. I sami my to czujemy doskonale. Niczego nie lękamy się tak bardzo, jak własnego sądu. Sąd własny jest najstraszniejszy. Czujemy w samych sobie obecność prawdy i zagłuszamy ją, chociażby przyjmując potępienie innych. Zawsze łatwiej. Z każdym człowiekiem mówiąc, mówić musisz tak, jakbyś z Chrystusem mówił, i postępować musisz tak, jakby to Chrystus był. I to nie jest zbudowanie<sup>507</sup>, ale prawda. Bo tak jest. Każdy jest Chrystus i gdy nie zagłusza się jego prawda, światło wystąpi wszędzie.

Byłem przekonany, że jest to wielka i istotna siła. Człowiek umiejący żyć w ten sposób, nieklasyfikujący z góry już ludzi, ma w sobie potęgę, rozmiarów której trudno ocenić.

— Nazywamy ludzi złoćńcami, aby postępować względem nich jak złoćńcy. Gardzimy występniymi, aby zachowywać się względem nich w sposób pogardy godny. Naj-

<sup>507</sup>zbudowanie — tu: budujące, ulepszące moralnie nauczanie. [przypis edytorski]

trudniej jest zbudzić Chrystusa w człowieku przekonanym o swojej cnocie. Póki człowiek nie zrozumie, że słusność to jest wielka wina, którą trzeba wyrównać, że kto ma słusność wobec innych, winien jest tego, że oni nie mają jej — trudno będzie żyć na świecie. Dziś każdy stara się zarobić na prawo pogardzania innymi. Każdy ciuła swój szacunek dla siebie jak kapitał, aby następnie mógł wszystko naokoło siebie dławić. Mnie tu uważają za demoralizatora, bo z pijakami, z łapownikami nawet żyję. I oni ze mną żyją.

I istotnie widziałem raz, jak zajeżdżał do stryja Seweryna urzędnik znany z okrucieństwa i pijaństwa, i złodziejstwa. Widziałem, jak wychodził z domu z twarzą rozpromienioną, jak gdyby młodszą i święteczną. To wyszlachetnienie się, uduchowanie się, przeobrażanie i jakby odmładzanie się twarzy w otoczeniu stryja Seweryna widziałem nieustannie i o nim samym nie umiałbym powiedzieć nic dokładniejszego, jak to, że w chwilach pewnych twarz jego nie miała lat. Ruchy jego stawały się nieraz dziwnie lekkie. Stryj Seweryn zresztą widział w brzydocie, zwłaszcza niezręczności, przygnębieniu ruchów i postaci większości ludzi skutek wewnętrznej poniewierki.

— Człowiek, który sam siebie potępi, a chociażby tylko siebie nie kocha, nie jest w stanie nigdy żadnego ruchu, gestu uczynić bez wstrętu. Postać każda, ruch każdy mają swoją wewnętrzną, moralną fizjognomię i można każdą tak przynajmniej zmienić, aby w chorobie samej człowiek chory nie był, aby było w nim coś, co się uśmiecha. W duszy każdego z nas odnajdziemy zawsze coś, co jest podobne do każdego szczegółu naszego ciała. Pogarda ciała jest skutkiem zabicia ducha. Trzeba każdą prawdę, poznanie, *przeć przez ciało*, trzeba, aby była czymś w nas istotnym, ujawniającym się w naszym działaniu. Żadna prawda poznana przez myśl lub uniesienie serca nie jest nasza i istotna, nie jest prawdą, jeżeli ciało nasze nie poznało jej. Ciało nasze jest wielką tajemnicą. Ono jest więcej duchem i bliżej stało wielkiego źródła ducha niż myśli. Pogarda ciała to chłód martwej myśli. Ciało jest myśl, która stała się pełnym duchem. Gdy myśl żyje w nas — działa, gdy działa — zmienia się ciało i jest inne.

Mówiłem starszukowi, jak zdumiewają mnie te myśli w jego ustach, ale on uśmiechnął się dobrotliwie. Opowiadałem mu o wszystkim, o filozofii Feuerbacha, o Bakuninie, o naszym ruchu. On słuchał o rzeczach, które powinny były mu być obce, z jakimś głębokim rozczuleniem. Gdy mu mówiłem o Międzynarodówce, o Aldym, o robotnikach paryskich podczas Komuny, stryj Seweryn płakał, płakał bez bólu, czystymi łzami radości.

— Święty jest człowiek, czysty jest człowiek. Chrystus pracuje w głębi serc...

Nie roztkliwiał go męki i cierpienia; z tej strony nie można go było wzruszyć. Śmierć nie istniała dla Zachodniego Starca, myśl jego żyła w obu królestwach. Nie to, że *umierali* ludzie, roztkliwiał go, lecz sama treść ich życia. Nie widziałem nigdy takiej czystej, świętej miłości człowieka. Zrozumiałem wtedy, jak głęboki źródło czystości, świętości ludzkiej przepłynął przez naszą myśl za sprawą Towiańskiego. Nie udało mi się poznać samej jego nauki — zresztą myślę, że nie miałyby to znaczenia. Nic by mi nie zdołało już pogłębić tej wiedzy, jaką dawała postać Zachodniego Starca.

Mówił mi o emigracji paryskiej. Mówił o stanie dusz ludzi, którzy żyjąc lata wśród ogłuszającego zgiełku obcego życia, czuli, że sypie się i wali na nich grad wypadków i faktów, myśli zawsze jednakowo obojętnych temu, co stanowiło treść ich serca, ich wiary. Z dniem każdym wydawała im się bardziej utraconą Polska. Ot, sen się śnił olbrzymi, nad miarę ludzką, o narodzie, który musi powstać. Dlaczego musi? Trzeba było szukać na to odpowiedzi. Musiał być ktoś potężny i wielki, kto by czuwał nad krajem, by nie zginął w tej kurzawie zgiełkowej i szumnej. Jeżeli ludzie i narody są jak proch syjący się ze ślepej ręki, jeżeli nie patrzy nikt, jeżeli nie ma we wszechświecie serca ani myśli, jeżeli prawdą jest ziemi zgiełk i chłodne milczenie gwiazd, wtedy wszystko będzie utracone. Oni sami czuli się coraz bardziej niepotrzebni w świecie. Chodzili i patrzyli sobie w oczy, szukając wiary u siebie wzajemnie, nasłuchiwali bicia swych serc, słyszeli, że wszystkie jednakowo są znużone i chore, że wszystkie jednakowo dławi bojaźń.

— Czuliśmy — mówił pan Seweryn — że jeżeli ktoś nie zdoła dać nam siły nadludzkiej, jeżeli ktoś nie da nam mocy do wzniesienia się sercem ponad świat — zginiemy. Czuliśmy, że musimy dokonać cudu, wyjść poza własny rozum, poza rzeczywistość, aby przetrwać i wierzyć. Czy ty wiesz, co znaczy wiara? Dowiesz się może. Nauczy cię kiedyś życie, że można człowieka w jego wnętrzu zabić lub ocalić. Stwórz wiarę, która zdolna

Ciało, Dusza

Emigrant, Naród, Polska

Wiara, Siła

przetrwac mękę, a człowiek wbity na pal będzie siłaczem. Ludzie nie wiedzą, co za moc mają w duchu, jaką niezrównaną i potężną siłą rozporządza każdy z nas, byle śmiały, byle nauczył się nie bać. Póki człowiek zna strach — nie poznał ducha. Nie wie, iż on i duch są jedno, że wszędzie jest on sam, że nigdzie innego nic prócz siebie nie znajdzie. Dopóki człowiek może być przestraszony, nie zna świata bożego, który w nim jest. Pełza po zmarzłej skorupie i nie czuje, że otacza go zewsząd życie. Gdy ludzie giną, gdy ich zabija pustka życia, martwota i trwoga, gdy czują się niczym, trzeba zażądać od nich, aby byli wszystkim. Im większy jest upadek, tym wyżej musi sięgać wzlot, by zdołał porwać. Zrozumieliśmy wtedy dzięki niemu, który był sługą sprawy, że my, których zabił świat, musimy świat ożywić, póki nie stanie się sercem to, co dzisiaj jest kamieniem, nie dźwigniem się z mogiły, której kamień strzeże. Jak głaz legli nam ludzie na piersiach, myśmy żywi byli pod głazem, musimy pobudzić gniotących.

Opowiadał mi, jaki gniew powstał na emigracji, gdy towiańczycy wysłali go z listem do cesarza rosyjskiego z oświadczeniem, że pragną spełnić wobec niego obowiązek poddanych. A obowiązek poddanego jest uwolnić władzę od grzechu władzy. Obowiązkiem jest odrodzić władcę całkowicie w swobodzie, tak aby żyła i działała przez niego swoboda świata.

Mówił z nim o stosunku moim do kwestii polskiej, pan Seweryn słuchał poważnie z namarszczonym czołem, w końcu rzekł:

— A jeżeli ty się mylisz?

— O czym mówisz, stryju?

— Wy tak myślicie. Wszystko, co działo się dotąd, działo się bez własnego udziału człowieka. Powiadasz, pracą swoją stwarza człowiek podstawy w życiu. To jest słuszne. Nie duchem, lecz człowiekiem stworzył cię Bóg: nie myślą, ale ciałem masz kołatać w jego pierś. Mówić trzeba mową, którą zna i której słucha on, co myśli słońcem, ziemią, wszystkim, co jest. Ziemia jest większym duchem niż myśl nasza. Gwiazdy, słońca to wszystko duchowe i ciało nasze jest duch. Praca jest zaślubinami duchów. Człowiek niepracujący obcy jest Bogu, chociażby się modlił i pościł. Myśl nieprzeparta przez ciało, nieznana ciału, nie jest myślą. Snem jest i sennym rojeniem. Ale ty mówisz dalej. Człowiek musi sam dźwignąć siebie.

— Tak — powtórzyłem.

— Bóg za niego nie dokona pracy, to wiemy wszyscy. Oddał mu się Bóg w nim samym i nie żyje nigdzie prócz w nim tylko i przez niego — *ale żyje Bóg...*

— Nie rozumiem różnicy.

— Oko boże widzimy w głębinie, jego myśl żyje w nas ślepa, jego oddech porusza drzew liście. To wszystko mówi.

— Człowiek musi przezwyciężyć przeszłość swoją, jeżeli nie chce zginąć.

— Bóg nie umiera i czeka, człowiek wstrzymywać i przewlekać może dzieło swoje, wydłużać może drogę bez końca.

— Rozumiem teraz różnicę: ty stryju, nie rozumiesz, nie uznajesz możliwości klęski człowieka — powiedziałem.

— Można odpaść od Boga — rzekł stryj Seweryn. — Długi czas nie byłem w stanie w to uwierzyć, a teraz wiem: może być smutek wieczysty. Można uwierzyć w nicość własną, w bezpłodność beznadziejną, w samotność nieprzerwaną — i to jest właśnie szatan: duch nieskończenie smutny.

— Wierzysz w to?

— Szatan zna otchłań otwierającą się w samym Bogu.

— Nie rozumiem, nie rozumiem, czym jest Bóg twój.

— Nie zdołasz zrozumieć: gdzie kończy się wszystko, co twoje, cała twoja natura, której nie znasz, ta, która przed myślą twoją była — ciało twoje — tam zaczyna się On.

Była to dziwna wiara. Nie byłem w stanie objąć jej widnokręgów. Kiedy zdawało mi się, że postawił na jej drodze trudność nie do przezwyciężenia, ona szła głębiej. Nie znała nadprzyrodzoności. Ciało i praca były dla niej bardziej duchowe, bliższe ducha niż myśl, uniesienia, ekstaza.

— Nie naga myślą, lecz nasieniem rozdierającym łono ziemi, rzucającym w nią siew poślubił się człowiek Bogu. Ja jestem ty — mówi człowiek, pracując. — I ty jesteś ja — i my, i ty jedno jesteście. Praca jest znakiem zjednoczenia. Człowiek siebie rzuca w wielką

Praca, Bóg, Duch

Praca, Bóg



pierś bożą, w łono nieskończonego ducha z wiarą, że siebie w nim odnajdzie, i powstaje z piersi bożej sobą.

Stryj Seweryn nie chciał mnie nawracać — bynajmniej:

— Czyń sprawy moje, a nie wymieniaj imienia mego.

Gdy miał wyjeżdżać, już po dostaniu nowego paszportu i załatwieniu innych przygotowań, zatrzymał mnie długo u siebie wieczorem.

Jużem się z nim żegnał, kiedy mnie zatrzymał jeszcze i patrząc w oczy, zapytał:

— Czy wierzysz w Polskę?

— W polski lud pracujący.

— Nie, czy wierzysz, że Bóg nie będzie Bogiem bez Polaków, oni są jak konieczny ton w jego piersi.

Pochyliłem głowę...

— Wiesz, stryju, że ja nie wierzę w nic prócz człowieka.

— Więc Polska może zginąć?

— Wszystko, co jest poszczególnym kształtem życia — może i ginąć. To tylko trwa, co jest dla człowieka konieczne, bez czego nie może żyć człowiek.

— Jaki? — rzekł stryj.

— Ten, który zdoła ostać się wobec natury.

— Człowiek pojednany z Bogiem.

— Człowiek władający światem przez pracę.

— Ten być nie może bez Polski.

Milczałem.

— Życ bym nie mógł, gdybym nie wierzył, że jest to słowo wypisane na dnie wewnętrznych praw bożych: Polska. O kraju mój, kraju uśmiechniętych grzechów. Ty — gdzie człowiek samego siebie najdoskonalej lekkością zatracił. Ty — któryś wierzył w ducha bez objawów. Kraju mój, kraju-gołębiu, kraju-rycerzu boży, kraju-tęczo nad krwawą otchłanią.

Rozstaliśmy się ze stryjem Sewerynem we wielkiej przyjaźni. Dwa razy ścisnął mnie jeszcze, kiedy siedziałem na saniach. Mknąc przez śnieżne pola, lasy, w których drzewa łamały się pod ciężarem śniegu i lodu, wśród tej ciszy, która zdaje się wprost ciężyc na każdej istocie żywej, przypominać jej, że jest niczym, myślałem o jego i o naszej wierze.

Czy on nie wątpi — nigdy?

Skąd mu przysła wiara, że jest duch nieprzenikliwie smutny?

Powiedział on pomiędzy innymi: „Szatan jest możliwością bożą, jest tą krawędzią, na której Bóg samego siebie zapomniał”. Myślałem, że jest ta wiara jednym z najsilniejszych dzieł ducha ludzkiego. Myślałem, że może ona znieść wszelkie pogłębienie nowoczesnej myśli. Czulem, że jestem mały i że przepływa nade mną świat czysty, z którego woła mnie ktoś łzami.

I pytałem sam siebie, czy mógłbym wierze tej powiedzieć „tak” z głębi duszy.

Czulem, że nie byłbym w stanie tego uczynić. I czulem, że jest to jakby niedojrzałość.

Niezależnie od tego, czym jesteś ty, śnieżny stepie, i ty, ołowiane niebo, niezależnie od tego, jaki los wy mi gotujecie, chcę być sobą, tylko sobą, swojej tylko słuchać myśli i temu tylko dawać początek, co zechcę...

Czekało mnie jeszcze jedno niespodziane spotkanie.

Gdy czekałem w jakiejś wsi syberyjskiej na konie, zobaczyłem kilkunastu ludzi, którzy szli za trumną. Wieziono ją na zwykłych saniach, takich, jakie używane tu bywają do przewożenia drzew.

— Kogo to chowają? — zapytałem woźnicy.

— Zesłaniec pomarł. Łaskawy on, dobry pan był. Z popem pokłócił się przed śmiercią. Starej wiary pewno.

— Farmazon<sup>508</sup> był — wtrąciła się do rozmowy przechodząca kobieta, żona diaczka, jak się okazało. — Republikanin, czy jak tam się nieustannie przezywał. Rzymianin; mieszkał przecież u nas, to i nasłuchaliśmy się o Rzymach, o Grecjach. Same pogańskie

Polska, Bóg, Praca

Polska

Szatan, Bóg

Zesłaniec

<sup>508</sup>farmazon (z fr. *franc-maçon*) — wolnomularz, mason; także: wolnomysliciel, liberal, niedowiarek. [przypis edytorski]

imiona wywoływał przed śmiercią. Świętych pańskich z izby powynosić kazał. To i teraz chowają go jak niewiernego Kirgiza albo Buriata<sup>509</sup>, bez księdza, bez nabożeństwa: w dzwony nie dzwoniło. Przykro nawet. Sąsiadka mówi: straszyc będzie — ale myślę: nie, człowiek cichy, książki czytał, wódkę tylko pił, ale i to spokojny był. Mówił tylko nieraz takie rzeczy, że i wstyd, i śmiech słuchać.

— Jak nazywał się nieboszczyk? — zapytałem.

— Popow; Popow nazywał się... pisarz on był, z Moskwy on był, do gazet pisał; lat siedem czy osiem w katordze był.

Ten także wierzył tylko w ołowiane niebo i śnieg.

„Chrystus pracuje” — przypomniał mi się stryj: i nagle, na jedną krótką chwilę cudzym wzrokiem widziałem, że roztapia się, rozświecła niebo, ziemia i serce. „Duchowie są to...”

Syberia

## VIII. NA PRZEŁĘCZY

Byłoby zwykłym oszukiwaniem samych siebie, gdybyśmy byli nadal usiłowali siebie przekonać, że charakter naszej działalności może pozostać tym samym, że nie zmieniło się nic. Zmieniło się całe zasadnicze usposobienie: struktura wewnętrzna duszy. Dość było powierzchownej znajomości naszych kół, aby przekonać się, że wszędzie dokonywa się ten sam proces. Wyrasta to przekonanie, że niepodobna znosić nieustannie, nie stawiając oporu, deptania praw ludzkich w samym sobie. Byłoby to nad nasze siły, gdyby dało się usprawiedliwić jako nakaz programu czy taktyki, ale chodziło jeszcze o co innego. Nie mieliśmy prawa stwarzania precedensu bierności, nie mieliśmy prawa stwarzania przykładów „chrześcijańskiego znoszenia krzywd”. I gdy myśl uświadomiła to sobie, stawało się jasne, że na pierwszy plan wysuwała się walka z bezprawiem, ze strasznym, urągającym wszelkim pojęciom o godności ludzkiej faktem, że człowiek, prawo, myśl, wszystko może być igraszką przypadku. A gdy się rozumiało już to — wszystko przybierało inny charakter. Już nie chodziło o pojedyncze wypadki buntu, zemsty, o ryzykowne wyprawy w celu odbicia towarzysza: nie, chodziło o stworzenie groźnej siły dla tej myślowej i moralnej potęgi, która była w nas. I tu już nie mogło być wyboru. Gdy myśl jasno postawiła sobie pytanie i dała odpowiedź, gdy rozproszyła się mgła złudzeń i okazało się w całej prawdzie, że my i potworna, wypastowana przez dzieje rosyjskie siła walczymy o duszę i przyszłość skutych ludów — nie mogło być mowy o odwrocie. Nie można żyć ani myśleć i czuć się niewolnikiem. Gdybyśmy rzekli się walki o podeptane w nas prawo, złamałaby się jedyna nasza siła: moc moralna, szacunek dla samych siebie.

Czułem, że jest to nieuchronne i że zbliża się ostateczny, decydujący okres. Pisma nasze przybrały charakter wojowniczy, nawołujący do boju o swobodę. Siewierow stworzył całą teorię walki partyzanckiej, systematycznej i nieustannej; w Odessie pojawili się ludzie mówiący o konieczności spisku, mającego na celu obalenie istniejącej władzy i stworzenie rewolucyjnego rządu. Jasną rzeczą było jednak, że zasadnicze jest co innego: poczucie i wymagania godności własnej i przeświadczenie, że lud nie stanie się nigdy wolny, póki nie nauczy się bezprawie strącać, jarzmo łamać i swobodę stwarzać własnym czynem.

Nie odrywajmy się od mas — mówili przeciwnicy nowego prądu.

I my jesteśmy ludem — odpowiadał Michajłow — i tworzymy tradycję ludową, tradycję walki o prawo.

Lud miał już aż nadto przykładów bierności i niewolniczego ustępowania przed siłą. Zresztą życie dowiodło nam niebawem, że sprawa już wyszła poza obręb teoretycznych sporów. Do Petersburga przyjechał Aleksander Sołowjew<sup>510</sup> i oświadczył, że postanowił dokonać zamachu na cara. Zwrócił się do nas za pośrednictwem Michajłowa, prosząc o pomoc.

Sołowjew był niezwykłą postacią. I jego charakter właśnie, sposób postawienia sprawy przyczyniły się do tego, że zagadnienie ukazało się przed nami w najgłębszej od razu

<sup>509</sup> *Kirgiza albo Buriata* — *Kirgizowie*: naród turecko-mongolski zamieszkujący gł. Kirgistan, w większości wyznający islam; *Buriaci*: naród mongolski zamieszkujący region jez. Bajkał, w większości wyznający szamanizm i lamaizm (buddyzm tybetański). [przypis edytorski]

<sup>510</sup> *Sołowjow, Aleksandr Konstantynowicz* (1846–1879) — rosyjski rewolucjonista-narodnik; działając na własną rękę, 20 kwietnia 1879 dokonał nieudanego zamachu na cara Aleksandra II, został pojmany i stracony. [przypis edytorski]

formie. Mieszkał u nas Goldenberg<sup>511</sup> w czasie, gdy przybył do Petersburga Sołowjew, którego wieczorem tego samego dnia przyprowadził Michajłow do mnie.

Z Goldenbergiem żyć było ciężko. Nurtował go nieustanny niepokój. Bez dostatecznego przygotowania życiowego, bez wykształcenia i wyrobienia umysłowego wydostał się on na powierzchnię rewolucyjnego świata i oddychał jego palącą atmosferą. Prawo rewolucji, święte prawo skrupowanej swobody ludzkiej w jego głowie przetworzyło się w coś w rodzaju specjalnego uprzywilejowania rewolucjonistów: oni mogą wszystko, gdyż śmiać. Nie lękają się niczego, nie wierzą w chytre wymysły religii i prawa i dlatego mogą działać i walczyć o losy ludzkie. Podziwiał on sam siebie nieustannie w tej roli i w gruncie rzeczy nie mógł w nią wierzyć wewnętrznie. Musiał sobie nieustannie przypominać, że to on przecież zabił generał-gubernatora i zdoła dokonać wszystkiego, co zechce. Niepodobna go było przekonać o istnieniu w naszej działalności nieosobistej logiki, nieosobistego prawa. Goldenberg pojmował to albo tak: rewolucjoniści stwarzają wszelkie prawo, albo też wietrzył reakcyjność. To był jego ulubiony konik. Co tylko nie zgadzało się z jego dziecinnie krzykliwym i dziecinnie powierzchownym sposobem wyobrażania sobie rzeczy, było reakcyjnością. Reakcyjne było wszystko, co zmuszało go liczyć się z jakąś niezależną od samowoli rzeczywistością.

Kirsanow szeroko otworzył usta, gdy mu Goldenberg twierdził, że zasada zachowania energii może być podstępem reakcjonistów, gdyż jedynie postępową jest zasada pokonania energii przez wolę.

— Kto ja byłem? — pytał. — Byłem zwyczajny Żydek, mogłem zostać kantorowiczem, kupcem, bankierem, i oto wszystko. A kto ja jestem? Grzegorz Goldenberg jestem. Dlaczegoż?! Kto mnie tym uczynił? Wola mnie uczyniła. Jakież tu zachowanie? Wszystko jest nowe.

Kirsanow na próżno powoływał się na doświadczenie fizyczne, na wyliczenia, wyniki nauki. Goldenberg spoglądał wrogo nawet na ogólne zasady logiki, jeżeli mu je przeciwstawiał ktoś jako argument. Kirsanow wprost nie był w stanie oswoić się z umysłem, który posługiwał się mającymi kurs w naszym świecie pojęciami i terminami, a żył poza obrębem jakiegokolwiek bądź tradycji naukowej.

Najelementarniejsze wymagania naukowego myślenia były całkowicie obce Goldenbergowi. Uznawał on w nich taką samą dowolność, jak w ustanowieniach prawnych i społecznych. Były one dla niego po prostu wynikiem braku odwagi. Artykuł Michajłowski<sup>512</sup> o naturalnym biegu rzeczy, zrozumiany przez niego po swojemu, ostatecznie ustalił go w jego zapatrywaniach. Oczywiście poza obrębem jego myśli pozostały wszelkie szersze przesłanki artykułu, jego pojęciowe tło. To była dla niego po prostu niekonsekwencja Michajłowskiego, jego słabość i brak odwagi w wyciąganiu wniosków. Michajłowski zanadto oszczędzał tę szelmowską przyrodę, za dużo jej czynił ustępstw, tchórzył i kręcił. Goldenberg nawet ukuł swój własny wyraz: dworak przyrodoznawstwa. Kirsanowa nazywał szambelanem nauki. Wszystko on wie, jak być powinno. Etykiety przestrzega. Kirsanow zaś triumfował: oto, dokąd prowadzi michajłowszczyzna. Oto właśnie jak my Europę prześcigamy. I drażnił umyślnie Goldenberga:

— Więc jakże, nie uznajemy przyrodzonego biegu rzeczy?

— Popróbujemy się — mówił posępnie Goldenberg. — Kto tego może. On mnie czy ja jego. Zobaczmy.

— Astronomię zostawimy na dawnych podstawach czy ją także wprowadzimy w okres subiektywnego antropocentryzmu<sup>513</sup>? — szydził Kirsanow.

<sup>511</sup>Goldenberg, Grigorij Dawidowicz (1855–1880) — rosyjski rewolucjonista, członek Narodnej Woli; w lutym 1879 zastrzelił gubernatora Charkowa, księcia Kropotkina, w listopadzie uczestniczył w przygotowaniach do zamachu na Aleksandra II; aresztowany, popełnił samobójstwo w więzieniu. [przypis edytorski]

<sup>512</sup>Michajłowski, Nikołaj Konstantynowicz (1842–1904) — rosyjski socjolog, publicysta i krytyk literacki; jeden z głównych ideologów narodnictwa; współtwórca (razem z P. Ławrowem) tzw. socjologii subiektywnej, wg której czynnikiem subiektywnym, jakim jest wola ludzka, może świadomie i skutecznie kierować procesem rozwoju społecznego, utworzonej w opozycji do koncepcji bezosobowego postępu przebiegającego wg obiektywnych praw; autor artykułu *Bobater i tłum* (1882), w którym uznawał masy za bierno, w ważnych momentach zdolne do zbiorowego czynu pod psychologicznym wpływem osób postrzeganych jako stojące na czele, niekoniernie wybitnych. [przypis edytorski]

<sup>513</sup>antropocentryzm (filoz.) — przekonanie, wg którego człowiek to ośrodek świata, a wszystko w przyrodzie dzieje się ze względu na niego. [przypis edytorski]

— Ciekawa rzecz wyjdzie. Ja na przykład teraz geologii uczyć się zaczynam. I nie wiem już, czy warto?

— Przestań — nachmurzył się Michajłow.

Michajłow umiał godzinami całymi rozmawiać z Goldenbergiem w ten sposób, że rozwijał się on i kształcił, nie czując najmniejszego upokorzenia, nie czując może nawet, że rośnie duchem, że spadają z niego łuski uprzedzeń. To już było sztuką Aleksandra Michajłowa: skutkiem jego wielkiej miłości dla każdego, kto stawał w naszym szeregu.

Pojawienie się ludzi o typie umysłowym Goldenberga nie jest przypadkiem. Skłonny jestem widzieć raczej w nim pewne prawo, rządzące rozwojem rewolucyjnego działania. Rewolucyjna działalność, aby była zdrowa, opierać się musi na pozytywnej treści, którą wnosi w życie dane organizujące się pokolenie. Ta treść, ten światopogląd, te żądania i cele, napotykać opór w twardej bryle gotowego świata — rodzą z siebie konieczność walki. Konieczność ta opiera się jednak nieustannie na tym pozytywnym podłożu, z którego wyrosła. Bogactwo tego podłoża rozstrzyga o przyszłości, trwałości i sile ruchu rewolucyjnego. Ruch ten ma tym większe rękojmie trwania i płodności, im bogatsza była ta pozytywna treść, z której wyrósł, im bardziej wyrósł z potwierdzeń życia. Rewolucjonista walczy w imieniu swojej myślowo już istniejącej rzeczywistości, która jest bogatsza niż ta, przeciwko której on występuje. Z wolna jednak wytwarza się atmosfera samej walki, samego zaprzeczenia, beztreściwej swobody — wtedy już świat rewolucyjny idzie, żyje tylko siłą pozyskanego rozpędu. Wyradza się pokolenie epigonów<sup>514</sup> o pustce w głowach i wielkiej zuchwałości. Zuchwałości — nie męstwie, gdyż aby naprawdę głęboko sięgnąć w rzeczywistość, trzeba ją zrozumieć. Zuchwalstwo rewolucyjne może iść w parze z wielkim ubóstwem rewolucyjnego ideału. Gdy wytworzył się ten typ rewolucjonisty z profesji, gdy on objął ster nad wypadkami, można bez zawodu twierdzić, że dany ruch, dany kierunek już się wyczerpał, że teraz musi nadejść od strony życia nowa fala. Fala ta jednak napotka na swojej drodze specyficzny opór: rewolucyjnego konserwatyzmu. Organizacje skostniałe, opuszczone przez twórczą myśl, władają na powierzchni życia, stawiają tysiące przeszkód moralnych i materialnych tworzeniu się nowych skupień. Trzeba najczęściej aż wielkiego kryzysu dziejowego, aby wyprowadzić na wierzch te w głębi utajone siły.

Mam wrażenie, że obecnie w Europie całe ruch rewolucyjny cierpi właśnie wskutek zbyt długiego okresu panowania takich skamieniałych rewolucyjnych form. Idzie to w parze z przerażającą płytkością myśli, szerzącą się w kołach rewolucyjnych. Naukowość w myśleniu, bogaty i bezstronny światopogląd stają się w świecie rewolucyjnym rzadkością. Można je spotkać najczęściej u pariasów rewolucyjnego świata; pośród socjaldemokratów wszelkich odcieni tępość umysłowa czyni przerażające postępy. Na szczytach ruchu socjalistycznego we Francji, Włoszech, Niemczech spotyka się takie przykłady płytkości i takiego nieuctwa, że wobec nich błędnie walczący z prawami przyrody Goldenberg. Goldenbergowi obce zresztą było to syte zadowolenie, jakie cechuje rentierów<sup>515</sup> europejskiego socjalizmu. Rzadko można spotkać tak idealne wprost egzemplarze filisterii<sup>516</sup> i ciasnoty moralnej, jak wśród luminarzów europejskiego socjalizmu. Mówiłem to właśnie Kirsanowowi, gdy mówił z właściwą sobie ironią o Michajłowskim lub Bakuninie, który był dla niego ostatnim słowem nieuctwa. Kirsanow był zaślepiiony. Trzeba było umyślnie zamknąć oczy, aby nie widzieć, że umysłowo i moralnie nawet Bakunin przerastał niezrównanie epigonów dogmatycznego socjalizmu.

Goldenberg słuchał, uśmiechając się...

— Daj pokój, Miszuk, nie przekonasz. Gdzie już tam, etykiety nie znasz.

Ale tu chodziło o coś głębszego.

— Wiesz — rzekł Kirsanow — dlaczego maleją w naszych oczach, a może i istotnie, ludzie w nowych pokoleniach rewolucjonistów europejskich? Oto dlatego, że i w samej rzeczy, obiektywnie mają oni coraz mniej znaczenia, coraz bardziej staje się obojętną rze-

Rewolucja

<sup>514</sup>*epigon* (z gr.: później urodzony) — mało zdolny naśladowca, następca wielkich poprzedników. [przypis edytorski]

<sup>515</sup>*rentier* — osoba utrzymująca się z odsetek od kapitału ulokowanego w banku lub na giełdzie. [przypis edytorski]

<sup>516</sup>*filisteria* (rzad.) — filisterstwo, sposób myślenia cechujący filistrów; *filister* (pogardl.) : mieszcuch o ograniczonych horyzontach, prozaiczny materialista pozbawiony wyższych aspiracji. [przypis edytorski]

czą, kim są oni indywidualnie. Osobistości ich schodzą na drugi plan. Wielki sens zdarzeń jest poza nimi. Oni są tylko organami narastania świadomości i inicjatywy w masach. Masy rosną i przesłaniają nam protagonistów<sup>517</sup>. Protagonistów nie ma już, a jest samo powolne stawanie się nowego świata. Wydatna indywidualność dziś to wynik wyjątkowo szczęśliwych okoliczności. Gdy te wyjątkowo szczęśliwe okoliczności staną się powszechne — wybitne indywidualności znikną; wszystko będzie wybitne.

— Więc my — rzekł Michajłow — mamy zadawać się wiedzą, że dżdżownice nieustannie tworzą czarnoziem.

— Dokonywać swoją pracę całą siłą — rzekł Kirsanow — ale wiedzieć, że chociażby był Bonapartem, nie dokonasz więcej niż dżdżownice.

— W tym jest jakiś niebezpieczny błąd — mówił Michajłow, ale nie zdołał już skończyć, Goldenberg bowiem przerwał mu:

— A w gruncie rzeczy to wy, Kirsanow, właśnie jesteście największy arystokrata. Wy mówicie: nie ma indywidualności wybitych, a myślicie: oprócz mnie. Bo takeście sobie zaufali, że wszystko musi iść według waszego obliczenia, ot, według programu: taka a taka gleba, tyle a tyle nawozu ludzkiego i taka roślinność historyczna jako rezultat. Znów nawóz i znowu inna roślinność. Wy sobie tak myślicie o wszystkim, jakbyście byli bogiem.

— Nauka — rzekł Kirsanow.

— Pluję na waszą naukę, ona zrobi na mnie sekcję po śmierci, zaklasyfikuje: taki a taki robaczek ludzki. Jeszcze żyję, jeszcze żyję...

— Nie rozumiem, o co wam idzie — rzekł Kirsanow — oburzenia waszego nie rozumiem.

— Nie zostanie nic, z człowieka nie zostanie nic. Tyle a tyle postępowego nawozu pod glebę przyszłości. A gdzie zostaną ja, ja właśnie, Goldenberg? Ja z moją duszą. Ja teraz tu jestem, a wiem, że u mnie w domu matka płacze i przeklina mnie. Czy wy wiecie? Policja, jak mnie szukała, cały sklep zburzyła. On był może wart sto rubli — sklep. Ale z niego żyła rodzina. Dziadek mój mógł sobie w fotelu — sparaliżowany on — siedzieć czysty, umyty. Ja teraz wiem. Teraz moja matka z koszykiem po mieście biega. Oni mieszkają już nie w widnym pokoju, ale w suterenie. Staremu wilgoć nogi powykręcała. On w nocy nie może spać, bo go ból szarpie, on płacze. On wie, że to przeze mnie. On wie, że to zrobił Grzegorz. On tak chciał, on nie słuchał starych, wyrzekł się rodziny. On nie kochał ani dziadka, ani matki, on tak długo myślał, aż on całą rodzinę zgubił. I matka, kiedy wędruje z koszami, kiedy czeka pod oknem, aż ją kto zawoła, kiedy ją potrącają po kuchniach, przedpokojach, myśli: tak to on zrobił, syn, zły syn, niewdzięczny syn. I ja wiem — to zrobiłem ja. To ja winienem. A teraz ja myślę, kiedy to nie ja robię przyszłość, nie ja walczę, nie ja chcę, ale coś, to po co ja to zrobiłem? Niechby to inne zrobiło, niechby się zrobiło samo, beze mnie. Po co ja odebrałem szklankę kawy z mlekiem mojemu dziadkowi? Pod nawóz historii? Ona już będzie i tak bez tej kawy. Ja wam mówię, że to nie to. Jeżeli poszedł, to znaczy, że ja musiałem, ja musiałem chcieć. I ja muszę sobie powiedzieć: bez ciebie by się nie obeszło.

— Więc bez Grzegorza Goldenberga nie obeszlaby się historia — rzekł Kirsanow. — Przynajmniej teraz wiemy, jak sprawy stoją. Bez Achillesa<sup>518</sup> nie może być zdobyta Troja.

— Daj spokój, Jur — powiedział Michajłow — nie masz racji. Musi człowiek wiedzieć: bez niego by się nie obeszło.

— Ambicja wymaga — szydził Kirsanow.

— Nie, Jur, to tylko prawda. Niedobrze jest liczyć na cośkolwiek, choćby na mus.

— Mus, braciszku, nie zawiedzie, mus ma żelazne nerwy i mięśnie. Niespodzianek tu być nie może. Tu, braciszku, nie kaprys, nie natchnienie. Tu już nie od tego zależy, czy Achilles, to jest, przepraszam, Grzegorz Goldenberg, chce zdobyć Troję lub nie. Wolę zależeć od musu niż od Achillesa. Sam wiesz, jakie trudności wynikły, kiedy Achillesowi

<sup>517</sup>protagonista — w staroż. teatrze greckim: pierwszy aktor, prowadzący dialog z chórem; dziś: osoba odgrywająca główną rolę; przywódca. [przypis edytorski]

<sup>518</sup>Achilles (mit. gr.) — syn Peleusa, króla Ftyi, i Tetydy, boginki morskiej, najdzielniejszy z Greków walczących w wojnie trojańskiej; kiedy Agamemnon, wódz naczelny wyprawy trojańskiej, musiał zwrócić wolność swojej brance, Chryzeidzie, i w zamian zabrał ulubioną brankę Achillesa, Bryzeidę, zagniewany Achilles zaprzęstał udziału w wojnie; ponownie podjął walkę, dopiero gdy zginął jego przyjaciel Patrokles. [przypis edytorski]

amory były w głowie i grymasić raczył z powodu spódniczki. Lepiej mus. Po co już ja mam całe życie myśleć: to dlatego, że dziadek Goldenberga kawy nie pije. Mój dziadek może także czegoś tam nie pija. Twój także — oto cała lista...

— Wy, Kirsanow — rzekł Goldenberg — w duszę człowiekowi zawsze chcecie napluć. O tym tylko myślicie, aby zawsze mieć taką sposobność.

— Goldenberg! — rzekł ostro Michajłow.

— Dajcie spokój — ironizował Kirsanow. — My doskonale rozumiemy. Nie obrażamy się, skąd znów. Nie jesteśmy w stanie objąć tej wzniosłości. My myśleliśmy, że każdy robotnik, który nawet nie wyobraża sobie, że jego dziadek sparaliżowany może nie zdechnąć z głodu, jest tyle samo wart, ale to pomyłka. Historia czeka właśnie na bohaterstwo Grzegorza Goldenberga.

— Jedno słowo — rzekł Goldenberg — czy historia byłaby ta sama, gdybym ja został tam...?

Kirsanow nie patrzył na niego.

— Niby na mgławicach i tam dalej pewnie by się to nie odbiło.

— Więc każdy może być łajdakiem?

— No, tak... Z tą konsekwencją tylko, że będzie łajdakiem. Przykro jest powtarzać abecadło. Nie historia cierpi z powodu naszego dezerterstwa, ale my sami, jeżeli nie rozumiemy historii.

— To niby, że ja sam siebie szanować nie będę — rzekł Goldenerg.

— Choćby.

— To nie jest warte łez matki.

— Dajcie pokój, Grzegorzu — rzekła Ola. — Gdyby was nie było w pracy, czegoś brakowałoby w niej, czegoś, co wy sami tylko dać możecie.

— Szarpie<sup>519</sup> na oparzeliznę — mruczał Kirsanow.

— Nie — powiedziała Ola — tak wierzę i tak jest. Każdy, kto pracuje, wnosi coś swojego, coś, czego nie byłoby bez niego i czego nie wolno mu utaić dla siebie.

Goldenberg siedział w kącie nachmurzony i nie odzywał się już przez cały wieczór. W nocy nie mogłem spać. Z pokoju, w którym mieszkał Goldenberg, dolatywał mnie jakiś dziś dziwny szmer czy jęk.

Podszedłem do drzwi.

— Czyście nie śłabi? — zapytałem.

— Nie.

Ale głos jego brzmiał dziwnie. Wszedłem do pokoju. Goldenerg siedział na łóżku pochylony nad ćwiartką papieru zapisanego żydowskim pismem. Na wychudłą twarz płynęły łzy.

— Co wam? — zapytałem.

— Nieszczęśliwy jestem — rzekł głosem, jakiego nie słyszałem u niego nigdy. — Bardzo nieszczęśliwy, myśli tak mi się wikłają i serce mnie boli. Czy wy wiecie, jak to jest, kiedy serce kęsa całkiem jak pies, szarpie piersi? Myślę i myślę, i nie mogę odnaleźć tego, w co wierzę. Po co to wszystko?

— Co — po co?

— My, my wszyscy. Po co my walczymy, męczymy się, i cierpimy sami i dręczymy innych — po co? Czy nie lepiej było umrzeć? No, niechby, myślę: jest źle. Mnie źle i im źle. Teraz nie lepiej i mnie, i im. Im gorzej, a mnie? Ja mówię: beze mnie nie byłoby nic. To, aby serce oszukać, ale ono nie wierzy, ono mówi: to samochwalstwo, ambicja! Chciałeś, aby podziwiano ciebie, abyś sam myślał o sobie i cmokał: ce, ce, ce... bohater. I tyle. A matka, dziadek? A może mi się tylko nie chciało pracować. I tak jest: nie chciało. Nie chciało mi się nigdy niczego, co tam było potrzeba. Siedziałem im na karku. Książki czytałem i nic. Nuda była powodem. Teraz w ciągu dnia myślę: rewolucja, rewolucja — a właściwie, co to jest? To jest tylko tak, jakbym mówił: mądry, wielki dobry, odważny Grzegorz Goldenberg. A serce nie wierzy. Ono wie. Ja tam mieszkałem i nigdy nie byłem zadowolony z siebie. Matce umiałem odpowiedzieć, kiedy wołała: „pracuj!”. On, mój język, mówił, a w duszy ja wiedziałem: ona ma rację. Ona. Ja sobie tu wmawiam, że

<sup>519</sup>szarpie — dawny materiał na opatrunki sporządzany z nitek wyskubywanych z kawałków płótna. [przypis edytorski]

ja, ale wiem, że ona. Myślę, po co ja tu jestem? No, dobrze, żyję, żyję, zabiłem Kropotkina, zabiję jeszcze kogo, jeszcze co zrobię, wymyślę co dla szczęścia ludzi. I dobrze. Ona umrze i ja umrę. I wszyscy, których ja znam. Przyjdą inni ludzie, będą szczęśliwi, no i co? Czy oni to powiedzą mojemu dziadkowi? Nie, on do końca będzie myślał, że jego wnuk jest lajdak. Powiedzcie mi, Kaniowski — po co ja tu?

— Czy moglibyście wrócić? — zapytałem.

— Nie, ale dlaczego nie? No, wiem: śmieszne by było. Kirsanow by się śmiał, ja sam. Zresztą i tak przecież nie, przecież oni mi nie darują tego Kropotkina. Oni wiedzą, kto, bo już na moją głowę nagrodę nałożyli. Car powiedział, że nie może spać spokojnie, póki Grzegorz Goldenberg po świecie chodzi. Wiecie przecież?

Znoszenie i wysnuwanie najfantastyczniejszych wieści o samym sobie, o wadze, jaką przywiązuje rząd do jego osoby, do postrachu, jaki wzbudza on, należały do nawyków Goldenberga, z którymi zdołaliśmy się oswoić. Teraz szczególnie nie mogłem i nie chciałem spierać się z nim, widząc, że cierpi i męczy się istotnie.

— Wiem, że dla mnie nie ma powrotu — ale chciałbym zrozumieć, mieć pewność. Myślałem, przyjdzie taki dzień, kiedy mnie już nie będzie, i dzień, w którym lud będzie tryumfował, wtedy przypomni sobie też o matce Grzegorza Goldenberga. Znajdą ją w jej piwnicy i wyprowadzą: oto jest matka Goldenberga, a ona będzie szła ulicami zarumieniona, ze łzami w oczach, i będzie płakać, aż ją zanosą na cmentarz i tam odsłonią pomnik.

Było mi wprost nieswojo wobec tej dziecinnej naiwności.

— Być może — rzekłem — przekona się istotnie wasza matka, że zarobiliście sobie na miłość i szacunek ludzi.

Goldenberg wzruszył ramionami:

— Myślę i myślę, co jest życie ludzkie. Dawniej myślałem: Bóg. To był przesąd. Był czas, kiedy i ja stałem na teologicznym stopniu rozwoju. Później zrozumiałem, że jest tylko fermentowanie materii. Skąd powstał człowiek? Przypadkiem, i nic nie zastał gotowym dla siebie. Życie świata biegnie tak, jakby nie było człowieka. Więc człowiek walczy: zmusza materię, aby służyła jemu. Tak, ale poczekajcie. Teraz ja z wami mówię, ja jestem, ja cierpię, ja myślę i nagle nic. Nic. Mnie nie będzie. Czy wy zrozumiecie, nie będzie mnie. Ja nic nie będę widział, wiedział, ja nie mogę pojąć. Chcę uciec — a to goni i jest wszędzie: nie uciekniesz, zawsze dogonię cię i zgaszę oczy twoje, zdławię myśl. Nie można uciec przed śmiercią. A czy można żyć, widząc, że się umrze, że się zginie w tym strasznym i czarnym? Słuchajcie, wy możecie myśleć? Co to jest? Wiecie, że nie będzie nas.

— Nie będzie — powiedziałem.

— Nigdzie, nigdzie — ani was, ani żony waszej.

— Nie...

— Więc po co to wszystko? Po co? To przecież jest szaleństwo. Nic nie ma. Jest noc i ruszające się błoto. Z nocy ciemnej wyłania się coś. Jest i czuje. Czuje, jakby było wszystkim. I znowu nic. Nic, jakby nas nigdy nie było. Więc już teraz jest nic. Bo co jestem ja? Coś, co zniknie. A kto wie — o tym? O słońcu, o ludziach, postępie... Ja? Więc co? Tego wszystkiego nie ma. Ja wierzę w prawdę, znam prawdę. Gdzie ona jest — we mnie. Ale czy ja jestem? Przecież mnie nie będzie. Więc nic nie będzie. A to jest. I serce kęsa. Dlaczego ja cierpię w tej chwili? To nie ma przecież sensu. To nie może tak być. Co to jest wszystko? Czy wam nie żal samych siebie, waszej pięknej żony? Każdej chwili, w której wy nie jesteście szczęśliwi. Przecież to wszystko zniknie. Nic nie zostanie, nic na zawsze. No, ja przyjdę do trupa mojej matki i powiem: tak było trzeba. Czy ona zrozumie? Nie. Czy ona będzie gdzieś, gdzie można będzie widzieć i słyszeć? Nie, ona zniknie. Razem ze swoim bólem zniknie, z tą skargą, że ja jestem zły syn. Ona myśli, jak pieściła mnie, jak mi śpiewała piosenki, jak za ostatni grosz kupowała łakocie, ona myśli, jak się mój ojciec śmiał, kiedy był wesół i widział mnie. I ona myśli, jak to wszystko znikło. I ona zniknie. I cóż ja powiem jej chłodnemu ciału? Nic. Ja sam tak samo będę kiedyś leżał — nie rozumiejąc. To jest okropne. Kto morduje człowieka, kto wymyślił śmierć? Czy warto żyć? Czy nie lepiej było mi żyć szczęśliwym? Ja nie wiedziałem, co to jest śmierć. Wiedziałem, że umrę, ale nie wiedziałem, że to jest to. Czy wam nie jest żal was samych, czy wam nie żal człowieka?

Śmierć, Kondycja ludzka

Śmierć, Kondycja ludzka

— Człowiek musi znieść tę myśl — powiedziałem — to jest konieczność. Duma nie pozwala bać się znikomości.

— Ja się boję — rzekł Goldenberg. — Nie. Ja mam wstręt. Mam wstręt do śmierci... Słuchajcie... Gdyby tak kto zabił mnie, gdy spać będę — byłoby dobrze... nie wiedziałbym... byłoby dobrze. Ja znieść nie mogę. Siedzi sobie stara Żydówka w ciasnej, brudnej, wilgotnej izbie i płacze. Syn ją zrujnował. Syn, na którego pracowała ciężko. Jeszcze ją boli krzyż od tej pracy, jeszcze łamie jej ból zmęczone ręce na samo wspomnienie. Teraz ona już do końca życia będzie głodna. Zawsze będzie głodna. A jak człowiek głodny, to opada go takie wilgotne, nudne zimno, spać się chce. I spać nie można. Wszystko boli wtedy, w oczach się ćmi, żadnej radości nie ma. Ona siedzi i trzęsie się, i tak już będzie zawsze. A syn chodzi po wielkich miastach, myśli: bohater — po głowie się gładzi. Żyje tak, aby inni ludzie kiedyś nie byli głodni. I oto idzie myślą do domu i zastaje trupa, który był głodny, kiedy umierał. I on sam też umrze. I inni ludzie umrą, i ziemia zastygnie. To wszystko jest śmieszne, śmieszne.

— A jak to wszystko jest pomyłką? — rzekł po chwili.

— Co? — zapytałem.

— To, co myślimy my. Jeżeli jest Bóg...

Ale po chwili zaśmiał się:

— Jak On jest, to ja mam rację: On nie powinien być nas tak stwarzać. Ale Jego nie ma, nic nie ma... — I Goldenberg zaczął bić o ścianę głową, wołając: — Nie chcę, nie chcę — zanosząc się od spazmatycznego płaczu.

Na drugi dzień przyniósł wiadomość, że za nim śledzi dwunastu szpiegów. Car kazał wysłać dwunastu szpiegów dla pilnowania wielkiego rewolucjonisty Goldenberga:

— On wie, że ja wszystko mogę, że ja się nie boję śmierci. Co robić z człowiekiem, który nie boi się śmierci, który wie, że i tak umrze? Na takiego człowieka nie ma rady. Przyroda ustanowiła śmierć, aby człowiek się bał i był taki, jaki jest. Trudno jest przezwyciężyć obawę śmierci. Ale ja wiem — mówił Goldenberg — nie wszystko jedno jest dzisiaj czy jutro. Brzydzą się tym życiem, jakie stworzyła bezmyślna materia. I zobaczymy, kto kogo zmoże.

Cały dzień Goldenberg był w podnieceniu i tworzył coraz to inne projekty. To wpadł mu pomysł zużytkowania kurary do celów rewolucyjnych, to znowu zarzucał wszystkim, że nic nie robią; trzeba zgłosić, że znosi się wszystkie prawa cywilne, państwowe, kryminalne, że każdy właściciel, kapitalista, urzędnik są wyjęci spod praw, że każdy żołnierz, który zabije oficera, wróci do domu i dostanie ziemię. To znowu projektował przebranie oddziału naszych w mundury gwardii i aresztowanie w carskim pałacu cesarza i ministrów. Później zaś wyda się manifest.

Tego wieczora właśnie przyprowadził Michajłow Sołowjewa.

Od razu, od pierwszego wejrzenia uderzała w tym człowieku jakaś wielka, skupiona siła. Był on jak ktoś, którego już nic spotkać nie może, kto już swoje rachunki z życiem doskonale zamknął i stoi wobec wszystkiego, co życie jeszcze przynieść może, niezwykły. Michajłow uprzedził nas, że Sołowjew przychodzi z czymś ważnym. Byliśmy sami sami. Sołowjew rzekł cicho:

— Postanowiłem zabić cara Aleksandra Drugiego. Pozwólcie — ciągnął. — Pozwólcie, niech wypowiem wszystko. Obmyślałem zamiar ten długo. Długo ważyłem wszystkie wątpliwości. Stało się to dla mnie koniecznością moralną. Nie mogę uczynić inaczej. Wiem, że zamiar mój może być oceniany rozmaicie. Mogą powiedzieć, że jest on nietaktyczny, że ściągnie prześladowania i nowe trudności, nowe przeszkody dla ludu. Myślę, że ważniejsza od wszelkich przeszkód zewnętrznych jest siła moralna ludu. Siła czystości przekonania. Nie można znosić stanu, przeciwko któremu buntuje się cała nasza istota. Ja nie mogę pozostać sobą, jeżeli przestanę siebie szanować. Przemyślałem wszystko. Myśl moja wszędzie spotykała nieprzemoloną konsekwencję. Ty i twoje postępowanie, twoje ja, los twoich myśli zależne są od jednego człowieka. Wola jednego człowieka może zniszczyć wszystko, w co wierzysz. Nie mogę znieść tego stanu. Aleksander Drugi nie rozumie Rosji, nie rozumie ludu, stał się wrogiem i katem myśli. Ja widzę to i nie mogę być współnikiem tego człowieka. Odkąd to rozumiem, każda nowa zbrodnia tam popełniona miałaby i mnie za współnika. Gdyby to było możliwe, poszedłbym do cesarza i powiedziałbym:

Rozpacz

Car



„Kładę przed tobą broń. A teraz pomówmy z sobą my dwaj w obliczu śmierci. Jeżeli sumienie twoje powie ci, że ja się mylę i ty masz słusność, jeżeli znajdziesz myśl–prawdę, tobie znaną, wobec której schylę głowę i powiem, że miałeś słusność czynić tak, jak czynisz — zginę. Zginę i publicznie powiem, żeś zwyciężył. Jeżeli nie — twoje sumienie wyda na ciebie wyrok. Gdybyś był w stanie wiedzieć i rozumieć, wiedziałbyś, że lepiej było ci się nie rodzić, carze wszechrosyjski”.

Ale jest to niemożliwe. Idę więc skazany na śmierć i śmierć niosę. Potępiłem cesarza Rosji, wydałem na niego wyrok. Sumienie moje nie da mi spokoju, jeżeli pozwolę dłużej człowiekowi temu łać krew i lud gubić, jeżeli pozwolę mu być katem swego własnego narodu. Raz jeszcze powtarzam: nie mogę inaczej. Nie mogę poniechać zamiaru. Sumienie moje wydało ten sąd. Nie wolno mi znosić dłużej władzy Aleksandra Drugiego. Czy chcecie mi pomóc?

Osobiście byliśmy wszyscy gotowi. Chodziło jednak o to, jak się będzie zapatrywała organizacja.

— Na naszą pomoc w każdym razie możesz liczyć — powiedziałem.

Sołowjew został u nas. Miałem możliwość poznania jego cudnej duszy. Sołowjew był urodzonym rycerzem. Rycerzem–ascetą średniowiecznej legendy. Takich ludzi nie zna i nie może znać nowoczesny świat. Jest on ślepy w stosunku do nich. Przekraczają oni jego zdolność wiary. Widzimy właściwie tylko to, w co jesteśmy zdolni uwierzyć, tylko to, co nie przekracza nazbyt granic naszej osobistej natury. To prawo tłumaczy jedynie, że nauka i literatura nowoczesna tak strasznie w tyle pozostaje poza wartością moralną życia. Proszę mi wymienić współczesnego pisarza, który by tworzył postacie takie, jak Mazzini, Pisacano, Orsini<sup>520</sup>, Traugutt<sup>521</sup>, Sierakowski, Worcell<sup>522</sup>. W wzniosłym i ohydny jednakowo sztuka nie jest w stanie dorównać sprzecznościom i kontrastom, jakie rodzi potęga nowoczesnego życia. Murawjew, Thiers dopominają się wciąż jeszcze o pióro, które umiałoby rzeźbić wstręt i wzdą. Sztuka banalizuje nas. Powinniśmy strzec się sytej sztuki. Postacie Turgieniewowskich<sup>523</sup> powieści uchodzą za *non plus ultra*<sup>524</sup> artystycznej psychologii, za szczyt idealizowanego piękna. Autor ich zyskał sobie sławę tą trafnością, z jaką ujmował i ukazywał żywą, konkretną szlachetność ludzkiej duszy. Tacy ludzie jak Sołowjew kłam zadają całemu nowoczesnemu idealizmowi.

— Raz — mówił on — mieszkałem nad Wołgą sam. Nie widziałem nikogo prawie. Myślałem. Myślałem nad rzeką pod otwartym niebem. Wśród przyrody myśli się jaśniej, pełniej. W pokojach, w czterech zamkniętych ścianach upajamy się naszymi myślami. Ściany oddzielają nas od świata. Myśl stwarza naokoło nas własną swą atmosferę i wreszcie nie widzimy nic prócz niej, nie słyszymy nic prócz niej. Pod gołym niebem myśl musi wznieść się do słońca, musi ostać się wobec szumu rzeki, wobec zieleni traw. Tu musi ona być prawdziwa jak to wszystko. Człowiek tu musi naprawdę myśl przeżyć, aby w nią uwierzyć. I tak przeżyłem ja tę swoją myśl. Od roku chodzi ona już za mną, żyłem się z nią i zrosłem. Mógłbym przyjść do niego i powiedzieć mu, patrząc mu w oczy: przychodzę cię zabić. I on sam nie znalazłby w oczach moich nienawiści. Był czas, kiedy go nienawidziłem. Nienawidziłem go z całej duszy. Teraz już nie. Teraz już tylko wiem, że sumienie nie może znieść tego, aby on żył. Nie moje sumienie. Każde, które zrozumie. Kiedym słuchał burłackich<sup>525</sup> pieśni, kiedy zimny wiatr huczał nad domem i wył w kominie lub kiedy była cisza i tylko drzewa na wietrze trzeszczały, płacząc w wieczór księżycowy nad rzeką, rano, kiedym budził się ze świegotem ptaków — zawsze czułem to samo: nie należy pozostawiać władzy nad życiem i śmiercią, nad myślą i przyszłością ludu w rękę jedne-

<sup>520</sup> Orsini, Felice (1819–1858) — włoski rewolucjonista, organizator nieudanego zamachu na cesarza francuskiego Napoleona III Bonaparte. [przypis edytorski]

<sup>521</sup> Traugutt, Romuald (1826–1864) — polski generał, dyktator powstania styczniowego, stracony przez powieszenie w okolicy Cytadeli Warszawskiej. [przypis edytorski]

<sup>522</sup> Worcell, Stanisław Gabriel (1799–1857) — działacz polit. i publicysta, krzewiciel idei socjalizmu utopijnego; uczestnik powstania listopadowego; na emigracji był członkiem Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, następnie jednym z założycieli Gromad Ludu Polskiego, należał do Zjednoczenia Emigracji; współpracował z Mazzinim i Hercenem. [przypis edytorski]

<sup>523</sup> Turgieniew, Iwan (1818–1883) — pisarz rosyjski, przedstawiciel realizmu, mistrz analizy psychologicznej, autor m. in. powieści *Ojcowie i dzieci* (1862). [przypis edytorski]

<sup>524</sup> *non plus ultra* (łac.) — nic ponadto; nieprzekraczalna granica; tu: szczyt doskonałości. [przypis edytorski]

<sup>525</sup> *burłak* — robotnik rzeczny w dawnej Rosji, pracujący przy wiosłach lub holowaniu statków na linie. [przypis edytorski]

go człowieka. Winien jest każdy, kto przyzwala. Rzeka szumiała, pytając się: lży niosę, dlaczego pozwalasz mi nieść lży, same lży ludzkie? Ptactwo świergotało i pytało się moje serce o świecie: dlaczego nieszczęśliwy jest człowiek? Byłem szczęśliwy, byłem bardzo szczęśliwy, kochałem i byłem kochany. Ona zostanie na zawsze w moim sercu z uśmiechem na ustach, które drżały; z wyrazem, jaki mają Madonny na obrazach, w oczach. Taka, jaka była, kiedy jej powiedział: „Nie będziemy nigdy mężem i żoną”. Kiedy jej powiedział, że poślubiłem się ziemi rosyjskiej. Szczęśliwy i dumny byłem: mnie nic nie uczynił złego car Aleksander. Nie idę mścić na nim swoich krzywd. Nie wierzyłem sobie, kiedy chciałem go zabić w gniewie, nie wierzyłem, kiedy go potępił rozum, ale teraz wiem: nie śmierć jest najstraszniejsza dla człowieka. Od śmierci straszniejsze jest, że żyje on ze strachem i fałszem w sercu.

Ola spisała rozmowy Sołowjewa po jego śmierci, gdy żyło jeszcze wzruszenie, zrodzone z jego opowiadań:

„Otoczają cię, carze, mocne ściany, otaczają cię rotę zbrojne, broni dostępu ludzki mur. Przeciwko prawdzie błyszczą bagnety. Twarz przy twarzy, ramię przy ramieniu otacza carski pałac mur piersi żołnierskich. Wyją w piersiach psie, oślepiły serca. Można carze, dlaczegoś tak błądzą? Jeden tylko człowiek idzie do ciebie przez plac, przez ulice miasta. Czemu blednieją, carze, wobec jednego człowieka? Żołnierze stoją ramię przy ramieniu, bagnety błyszczą przeciwko prawdzie. Jasny carze, nie zbawi ta moc. Nazwij mi swoją myśl, mówi człowiek. Myśl mi nazwij swojej carskiej duszy. Tę, w którą wierzysz. Jeżeli nazwiesz ją, zwyciężysz człowieka, który idzie. Idzie on przez plac, w rękę, która nie drży, niesie twe sumienie. Szukaj, badaj, nazwij myśl, a sumienie zmiłknie. Nie zna ono innej władzy. Broń podnosi ramię: ty patrz w oczy tego, który mierzy. One patrzą smutne jak twoja myśl. Szły poza tobą, jak nie szła za tobą matka, gdyś był młody. Szły poza tobą oczy i szukały, co dzieje się w tobie z człowiekiem. Szły poza tobą jak myśl niebudzona. Szukały myśli w twoich oczach, szukały myśli w twoim sercu. Można panie, myśl nazwij, a opadnie ramię. Bagnety błyszczą, czy zabijesz nimi sumienie? Zginie ten człowiek, ty wiesz, zginie — i ty będziesz go widział umarłym. Czy zdołasz, patrząc umarłemu w oczy, nazwać myśl, aby wreszcie uwierzył?

Oto staje on, człowiek, przed tobą, człowiekiem.

Przynosi ci wiarę swoją.

Ty ją znasz.

Mówią ci o niej usta tych, których skazywałeś na śmierć, grzebałeś w syberyjskich śniegach.

Carze, carze — podnoszą się ręce w kajdanach, gdy ten człowiek mówi. Świadectwo dają jego wierze.

Naokoło połyskują bagnety.

Proś boga, proś boga twojej duszy.

Słowo powiedz, on jest serce, które serca słucha...

Serca szukasz: serce ci nie bije.

Bagnety strzegą trupa. Trup twój tylko siedzi na tronie.

Carze, carze — tyś siebie sam zabił”.

Sołowjew był to Bayard<sup>526</sup> naszej rewolucji. To, co dokonywał on, było bayardyzmem duchowym.

„Przed jasne słońce, przed Wołgę rzekę powołałem cię, carze, na sąd.

Szliśmy z sobą razem poprzez wsie.

Czarne, wychudłe ręce podniosły się ku tobie z wezwaniem. Szliśmy poprzez wsie — które dławili głód. Słuchaliśmy z tobą razem płaczu dzieci.

Siedliśmy poza wsią nad rzeką i pytałem:

Po co umierają dzieci?

Ty pochyliłeś głowę i rzekłeś: Ja nie wiem.

<sup>526</sup>Bayard, Pierre du Terrail de (1473–1524) — utalentowany francuski dowódca wojskowy, owiany legendą „rycerz bez strachu i skazy”. [przypis edytorski]

Pytałem cię: Co dzieje się ze złotym ziarnem, dlaczego czarne i spieczone są usta tych, którzy ziemię swoim uprawiają potem? Dusza twoja odpowiedziała: Ja nie wiem.

Postawiłem cię na wiejskim cmentarzu, gdzie leżą ciała Antonowa i jego towarzyszy, którym dałeś śmierć za to, że uwierzyli, że jesteś carem chłopów.

Milczały mogiły.

I ja cię pytałem.

Powiedz carskie słowo chłopskim prochom.

Dusza twoja, carze, płakała.

Jako przechodzień podszedłeś do mnie, pytając o drogę...

Wyprowadź zbłąkanego z bagniska.

Jasny carze, biorę cię za rękę.

Duszę twoją wywodzę z mroku.

Szukałem, szukałem w carze serca, nie znalazłem nic prócz wyrazu nudy.

Lud rosyjski nad tobą i nade mną. Ja, śmiertelny, tobie niosę śmierć.

Ja i ty słuchaliśmy jęku i rżenia dzieci, które umierały głodne, choć złościły się fałujące niwy.

Mnie i ciebie otacza szcęk kajdanów, mnie i ciebie otacza śpiew popów. Kruki krążą czarne nad ziemią. Ja i ty znosiliśmy śmierć i mękę ludu. Carze, carze — oto jest swoboda.

Serce twoje powiedziało: śmierć.

Dusza twoja powiedziała: śmierć.

Śmierć ci niosę, ona wyzwoli.

Już idzie po schodach pałacu; idzie, woła na duszę.

Już idzie: siada na tronie.

Ona rządzi.

Przed nią stoimy, podsądni.

Życie daję, byś uwierzył, gdy wołam:

Carze — nazwij słowo, aby odeszła śmierć!

Z tobą razem ją, carze, zostawiam.

Serce twoje niechaj ciebie sądzi!”

Niepodobny był Sołowjew do nikogo z tych, co kiedykolwiek podnosili rękę na tyranów. On stoczyć szedł istotnie śmiertelny bój o prawdę wewnętrzną. Zmysł prawdy żył w nim głęboko. Kiedy na drugi dzień Goldenberg i robotnik Polak, Kobylański<sup>527</sup>, ofiarowywali swoją gotowość wzięcia udziału w zamachu lub wykonania go na swoją rękę, Sołowjew, podczas gdy inni wytaczali taktyczne argumenty i względy, mówił krótko:

— Wątpię, aby ktokolwiek z was czuł się tak upoważniony do wykonania dzieła.

— Zabija kula, nie prawo — rzekł Goldenberg.

— Trzeba, aby zabiło prawo. I nieprawdą jest, że się tego nie wyczuje, a chociażby i tak, trzeba, abyśmy sami w sobie dla siebie wiedzieli, że tak jest. Prawdy nie da się udąć. I wszystko zostawia następstwa, czyn, który nie był pełny w sobie, któremu brakowało wiary, pewności wewnętrznej, mści się na sprawcach jak zbrodnia. My z carem Aleksandrem walczyliśmy o prawdę. Wtedy tylko śmierć jego nie będzie mordem, gdy nasza myśl zabije go, gdy nasze sumienie zwycięstwo odniesie nad jego wiarą, jego przekonaniem.

— To dla niego już jest wszystko jedno — obstawał przy swoim Goldenberg.

— Nie wolno człowieka tak traktować. Przez to, że narodził się człowiekiem, należy on do ludzkości i nad nim jest myśl, choć on nie wie o tym. Myśli jego nie wolno zabijać inaczej jak myślą.

— Dla was Aleksander należy do społeczeństwa — rzekł Goldenberg.

— Do ludzkości — tak. Każdy należy do ludzkości — mówił Sołowjew poważnie.

— Oni są jak dzikie zwierzęta. Kto swobody nie rozumie, jest jak dziki zwierz. Człowiek wytepił dzikie zwierzęta. Takie samo prawo my mamy wobec nich. Wy nie powinniście podnosić ręki na niego, w takim razie dla was jest on brat.

<sup>527</sup> Kobylański, Ludwik (1859–1886) — rewolucjonista, uczestnik zamachu na gubernatora Charkowa, księcia Kropotkina; aresztowany, osadzony w Twierdzy Pietropawłowskiej, następnie w Szlisselburskiej, gdzie zmarł. [przypis edytorski]

— Jego sumienie i moje idę uwolnić od tej zbrodni, która ciąży na nas; odpowiedzialni jesteśmy za życie rosyjskie...

— Jesteście przyjacielem Aleksandra.

— Tak — odpowiedział krótko Sołowjew — jego jedynym przyjacielem.

To nie był frazes. Dusza Sołowjewa tego była kalibru.

— Są przecież okoliczności, kiedy wkładamy przyjaciółom najbliższym broń do ręki. Nie czuję, abym jako człowiek krzywdę wyrządził Aleksandrowi Drugiemu — człowiekowi. Gdyby tak chciał, zabiłbym się sam wraz z nim.

— I po co?

— Aby stało się prawdą, że niezgodne jest z sumieniem człowieka istnienie rosyjskiego cara.

— Coś nowego — powiedział Kirsanow. — My, Rosjanie, ciągle uczymy Europę.

— Kromwell<sup>528</sup> — powiedział krótko Sołowjew — Orsini. Nie wolno znosić niewoli.

— Więc konstytucja *Magna charta*<sup>529</sup>. I swobodny rozwój rosyjskich lupigroszów — mówił Kirsanow — i dlatego my mamy zejść ze swej drogi.

Dyskusja zapowiadała się gorąca i namiętna. Kirsanow był blady. Zejdenman co chwila coś pisał na skrawku papieru, Michajłow był spokojny i zdecydowany, Sołowjew spoglądał z niepokojem na Kirsanowa, którego bardzo kochał. Ola była wzruszona tak, jakem jej nie widział od czasu sądu nad Wierą Zazulicz<sup>530</sup>. Atmosfera była ciężka. Pierwszy zaczął mówić Zejdenman; nie czekając odezwania się Sołowjewa, zaczął atakować nowy kierunek w działalności organizacji, ujawniający się w sposobie prowadzenia pisma.

— Odsuwamy się od naszego jedyne go zadania, od stworzenia szerokiego ruchu ludowego — rozpoczynamy zwykłą polityczną walkę na swój rachunek. Lud nie zrozumie jej, i słusznie. Wszelka bowiem walka polityczna, przeprowadzona przez taką lub inną oderwaną od masy grupę, może doprowadzić jedynie do zmiany formy wyzysku ludu. Do utworzenia na jego barkach i nad jego głową nowej, w stosunku do niego całkiem obcej, zewnętrznej organizacji przymusowej. Trzeba jasno zrozumieć, czy zakładamy podstawy dla socjalistycznego ustroju w Rosji, czy też tylko chcemy konstytucji, by zabezpieczyć i wyrównać teren dla działalności rosyjskiego kapitalizmu.

Zejdenman mówił logicznie i z wewnętrznym przejęciem, głos mu drżał, gdy wołał, że nasza idea nie przez nas została stworzona, że ona została wypracowana przez całe męczeńskie życie inteligencji rosyjskiej. Siłą naszą było i jest, że nie mieliśmy żadnych innych dążeń prócz tych, które samorodnie żyją w piersi ludu. Gdy staniemy się przedstawicielami tylko własnych praw, będziemy straceni.

Zejdenmanowi odpowiadał Siewierow. Mówił o tym, że nieprawdą jest, aby idea walki obca była ludowi. Bynajmniej. Nawet przy dzisiejszym strasznym biurokratycznym ustroju ludowi nie jest obca idea walki o prawo. Idea ta żyje, brak jej woli i głowy, która by jej samej ją samą uświadomiła. Rząd niszczył wszystkie naturalne związki i węzły pomiędzy grupami ludzkimi. Sieć policyjno-podatkowa stała się jedynym łącznikiem. Bierna masa nie jest naturalnym stanem: ona jest wytworem nieustannej morderczej działalności rządowej. Niezadowolenie żyje ciągle i wszędzie: wybucha tu i ówdzie drobnymi pożarami. Ale jeden wybuch nie wie o drugim. Każda wieś pozostawiona jest samej sobie. Gdy wybuchnie w niej konflikt, tworzy naokoło niej rząd pas martwy, poprzez który nie prześlizgnie się żadna wieś żywa. Telegrafy roznoszą tylko tę jedną wieść: przysłać żołnierzy, więcej żołnierzy. I potem: już idą, idą, idą. I dla każdej wsi, każdej gminy reszta kraju to

<sup>528</sup> *Kromwell*, właśc. *Cromwell, Oliver* (1599–1658) — polityk ang., główna postać angielskiej wojny domowej (1642–1651, zw. też rewolucją angielską), zyskał znaczenie jako zwycięski dowódca, który rozgromił siły rojalistów, stłumił powstanie w Szkocji oraz krwawo ujarzmił Irlandię; doprowadził do postawienia przed Najwyższym Trybunałem Sądowym króla Karola I Stuarta, który został publicznie ścięty 30 I 1649, co oznaczało obalenie monarchii i ustanowienie republiki w Anglii; od 1653 jako lord protektor sprawował dyktatorskie rządy. [przypis edytorski]

<sup>529</sup> *Magna Charta [Libertatum]* — Wielka Karta [Swobód], akt wydany w Anglii w 1215 przez króla Jana bez Ziemi, pod naciskiem możnowładztwa wzburzonego samowolą władcy, ograniczający władzę królewską i określający przywileje i swobody poddanych; w ustawodawstwie anglosaskim uznawana za fundament porządku konstytucyjnego i gwarantując wolności obywatelskich, a także za początek parlamentarnej demokracji brytyjskiej. [przypis edytorski]

<sup>530</sup> *Zasulicz, Wiera Iwanowna* (1849–1919) — rosyjska marksistka, pisarka i rewolucjonistka; w 1878 postrzeżona i ciężko zraniona gubernatora Sankt Petersburga, ponieważ wcześniej kazał wychłostać jednego z więźniów politycznych za brak szacunku; podczas głośnego procesu została uniewinniona. [przypis edytorski]

martwa pustynia, poprzez którą zdąży zawsze tylko wroga siła, gotowa więzić, bić, wiązać, zabijać i palić. Tak wytwarza się myśl o bierności. Kładzie się na duszę ludową ciężkim brzemieniem lodowców i śnieżnego stepu. Każda wieś jest sama. I te komórki pszczele, te zmartwiałe, skamieniałe wsie walą się na wsie żywe ciężarem więziennych kamieni. W każdej pojedynczo jest bunt, wszystkie razem są martwe i głuche.

— Więc? — zapytał Kirsanow.

— Trzeba stworzyć zbiorową falę buntu. Niechaj każda wieś wie, że na drodze ku niej iść mogą nie tylko kozacy, nie tylko gubernator z żołnierzami, ale i mściciele ich krzywd. Że w kraju już jest siła biorąca odwet, że siła ta rozlewać się zacznie po kraju, sączyć się strumieniami jak krew.

— Nie rozumiem — mówił Kirsanow, podnosząc brwi.

— To jest jasne — rzekł Siewierow. — Nie twórzmy tylko teorii usprawiedliwiających bezczynność. Lud już dawno powtarza: ziemia i wola, i my z nim. Nauczmy się sięgać i brać.

Michajłow podniósł głowę ze swojego kąta i zaczął mówić jasnym i silnym głosem:

— Oderwiemy się od masy, lud nas przestanie uważać za swoich — mówi Zejdenman. — Ja myślę, że to właśnie dzisiaj tak jest. My patrzymy, jak lud ginie, i stoimy bezczynnie. Co najwyżej wołamy: patrz, i my ginimy! Jesteśmy albo obojętni więc, albo słabi. Czy lud zrozumie teorię usprawiedliwiającą naszą bierność? Nie. I Pożalować was trzeba — powie — że wy tak jeden za drugim giniecie i coraz nowi wychodzą z was, i znowu giną. Żałośliwi wy, sieroty boże. I tyle. Jurodiwych<sup>531</sup> zna dużo już lud. Nie twórzmy mu nowych, którzy razem z nim idą pod pletnie.

Kirsanow zrazu mówił zwykle, teoretycznie znane rzeczy. Mówił o prawie rządzącym życiem społecznym, o nieustannym działaniu drobnych przyczyn, o istocie procesu społecznego, który sam wytwarza i wychowuje siły niezbędne do wykonania danego zadania. Historia to nie jest coś obcego człowiekowi, to jest on sam taki, jaki jest. Gdy może być dokonane jakies dzieło, są już gotowe środki. Bo jedno i to samo stawia zadanie i tworzy siły niezbędne do ich rozstrzygnięcia. Dopóki siły te narastają dopiero, nie pomoże to nic jednostkom, które rozumieją charakter najbliższej fazy, mającej nastąpić, że będą usiłowały przeskoczyć same siebie, swój czas. Powinny one czuć się tym, czym są: fermentem i organem masy, jej świadomością.

Sołowjew rzekł spokojnie:

— Czy chcesz wszczepić masie ludowej krew, o której wiesz, że jest zgniła?

— Masie nic się nie szczepi z zewnątrz. Masa myśli szczerze, tak jak musi.

— Tak jest, jak musi. Ale my musimy wiedzieć, kim my jesteśmy wobec mas. Ja czuję się widzem ich cierpień, współnikiem tych przerażających, wszelką miarę słowa przekraczających zbrodni, jakie dokonywają się na niej. Muszę wierzyć w siebie, abym śmiał myśleć za lud.

— Więc...

— Jeżeli nie dokonam tego, com postanowił, nie będę mógł szanować siebie.

— To jest twoja sprawa.

— Nie, nie usprawiedliwiam kłamstwa, ja nie mogę być jezuitą<sup>532</sup> rozwoju, kłamać duszy mojej w imię praw ewolucji.

Kirsanow zbladł.

— Istnieje — rzekł — epikureizm<sup>533</sup> zguby. Pieczoryn<sup>534</sup> w nas wszystkich żyje.

— Daj spokój, Jerzy — rzekł Sołowjew. — Ty wierzysz tak, a ja inaczej. Ty masz prawo, ciężkie prawo żyć. Myśl wydała ci ten wyrok surowy. I będziesz musiał przeczekać skrzyp szubienic, noc, w które bieleją włosy. Ciężką obmyśliła ci dolę twoja prawda.

<sup>531</sup>*jurodiwyyj* (ros.) — szaleniec Chrystusowy, jeden ze wzorców świętości dawnej Rosji: wędrowny asceta religijny pod pozorami głupoty i szaleństwa skrywający mądrość i świętość, mający zdolności prorocze. [przypis edytorski]

<sup>532</sup>*jezuici* — męski zakon katolicki, istniejący, aby bronić Kościoła katolickiego przed reformacją; w XVIII i XIX w. przypisywano im bezwzględność, stosowanie zasady, że cel uświęca środki. [przypis edytorski]

<sup>533</sup>*epikureizm* — stanowisko filozoficzne, według którego źródłem szczęścia jest przyjemność. [przypis edytorski]

<sup>534</sup>*Pieczoryn* — bohater powieści Lermontowa *Bohater naszych czasów* (1837–1840), rozczarowany bezsensownością swojego życia indywidualista, który potrafił tylko unieszczęśliwiać innych. [przypis edytorski]

Tobie nie wolno umrzeć. Bo ty tak wierzysz i czujesz. Czujesz, że w ten sposób jesteś potrzebny.

— Nie zależy od swoich upodobań.

— Jutro idę zabić Aleksandra — rzekł Sołowjew. — Niech sumienie wasze powie wam, co trzeba zrobić.

— Nikt nie ma prawa dla swojej myśli, dla swojego przekonania narażać sprawy ogólnej — powiedział Zejdenman.

— Sprawa ogólna — rzekł Sołowjew — trzyma się naszymi przekonaniem: jeżeli nie wierzymy w siebie, nie wierzymy sobie, nie ma pod nami żadnej ogólnej sprawy. Szacunek własny, wiara w prawdę własną jest podstawą, która wszystko trzyma. Gdy się załamie ta kolumna — wszystko runie.

— Co znaczy śmierć jednego człowieka? — pytał Zejdenman. — Pytam się was, czy wy się ludzicie, że on żyje tam w Zimowym Pałacu i że dosyć ugodzić go kulą w serce, aby on zginął. On żyje w milionach serc i myśli.

— Tak — rzekł Sołowjew — tak, on żyje, nietykalny pan dusz i losów. Strach pomyśleć, o obłęd przyprowadza myśl — miliony ludzi żyje, myśląc: jest taki człowiek, który ma prawo rozporządzać mną, moim życiem, moją krwią, całą moją dolą; myślą, gdy giną, nie zaznawszy w życiu nic: nie można inaczej, on tak chce. Tak. Ołtarz jego wznosi się po wszystkich ruskich chatach i tam go trzeba obalić. Trzeba, aby lud zrozumiał, że jego myśl może zabijać i sądzić, aby uwierzył w swoją myśl.

Siewierow postawił pytanie na ostrzu noża:

— Kwestia jest jasna. Sołowjew nam wyłożył swój zamiar. Zamiaru tego dopełni on niezależnie od naszego zapatrywania. Czy chcecie być tylko biernymi świadkami? Patrzyć, jak będzie on szedł, mówić: obłąkany, on nie rozumie naszej spokojnej mądrości, która pozwala nam w myśli, jak w balonie, wznosić się ponad nieustannym zabijaniem godności ludzkiej, wiary w swobodę własną w narodzie, czy tak? Będziemy patrzyli z naszego szczytu na jego szubienicę, śmierć jego wpisujemy na długą listę tych, którzy szlachetnie błędzili, którzy prostowali nasze ścieżki. Ale to już będzie niekonsekwencja. Nie dość jest być obojętnym, trzeba przeszkodzić.

— Tak jest — rzekł Zejdenman. — Nie powinniśmy być obojętnymi widzami. Siewierow ma słuszość. Stawiam wniosek potępiający, jako bezcelowe i szkodliwe, wszelkie zamachy na życie cara.

— Stawiam wniosek — rzekł Siewierow, trzęsąc się — aby nazwę naszej organizacji zmienić: niechaj zamiast Ziemia i Wola nazywa odtąd Bractwem imienia Komisarowa<sup>535</sup>.

— Takich rzeczy się nie zapomina — rzekł Kirsanow.

— Nie masz słuszości, Siewierow — rzekł Sołowjew. — Kto z nas może wybrać życie, wybiera cięższy los.

— Nie o to idzie — rzekł Siewierow. — Teraz mamy zasadniczą kwestię. Czy jesteśmy demoralizatorami ludu, czy jego wskrzesicielami.

— Lud nie patrzy na was — rzekł Kirsanow — nie rozumie was ani waszych szubienic. Lud chce pracy i sprawiedliwości.

— Kto jest rzeczą, nie ma prawa chcieć, my wszyscy jesteśmy własnością cara Aleksandra Drugiego. Myśląca własność — niewolnicy.

— Tylko zmiana form życia wytwarza nowe dusze.

— Niewola znoszona biernie jest trucizną i wytwarza sofistów<sup>536</sup> caratu.

— Zdaje się, że istotnie sprawa stoi zasadniczo — rzekł Kirsanow. — Razem nie możemy pozostać w organizacji.

— Głosujemy nad wnioskiem Zejdenmana — rzekł Michajłow.

Za wnioskiem podniosło się trzy ręce.

— Ziemia i Wola nie potępia zamachu.

Kirsanow chciał coś mówić. Michajłow podszedł do niego:

— Daj pokój, Jur. Pamiętaj, co sam mówisz, nie wolno podporządkowywać sprawy ogółu nawet najgłębszym przekonaniom osobistym.

<sup>535</sup> *Bractwem imienia Komisarowa* — Komisarow ocalał życie Aleksandrowi II podczas zamachu Karakozowa, którego schwycił on za rękę. [przypis autorski]

<sup>536</sup> *sofista* — tu: człowiek rozmyślnie używający nieuczciwej argumentacji w celu udowodnienia fałszywej tezy. [przypis edytorski]

— Musi zapanować jasność — rzekł Kirsanow.

Ola zażądała głosu. Mówiła ona rzadko na zebraniach, ale liczono się z nią.

— Mam wrażenie — mówiła — że jesteśmy ślepi. Jutro brat nasz idzie zginąć za sprawę. Tak czy inaczej zapatrujemy się na to — rezultat jest jeden i ten sam. Wszyscy już dawno rozstaliśmy się z osobistym życiem. Żyjemy już tylko jako momenty historii. Człowiek stwarza historię po ciemku, my chcielibyśmy żyć, widząc. I dlatego nie ma i nie może w nas być nic prócz tego nieustannego spalania się w świecie przyszłości. Jesteśmy razem, to jest jedyna ludzka strona naszego istnienia. My sobie zastępujemy wszystko; szczęście, życie i cały świat dla każdego z nas — to nasza gromadka. Tu każdy z nas żyje nie jak katorżnik jutra, lecz jak człowiek. Tu odpoczywa. Dzisiaj ginie i to ostatnie. Sołowjew idzie na śmierć, jakby był sam. Jakby sam szedł przez tłum ludzi nieznających go. My dzisiaj sądzimy go tylko. I on stoi tu przed nami nie jak brat wobec braci, lecz jak przed sędziami. Ważyliśmy jego serce...

— Daj spokój, Olga — rzekł cicho Sołowjew — ja widzę do głębi dusz. Ja rozumiem. Jutro ja pójdę w śmierć, a wy zostaniecie. Szczęśliwszy jestem od was. Jeżeli jest wśród was ktoś, co zażąda tego czynu, oddam mu go. Ale musi czuć się bardziej przekonany ode mnie. Rok cały myślałem o tym dniu: całą istotą żyłem się z nim. Nie zawaha się we mnie nic, nie będzie we mnie ani jednego drgnienia obcego czynowi.

— Losujmy — rzekł Goldenberg.

Sołowjew popatrzył na niego, podszedł i pocałował go dwa razy w usta.

— Bracie, nie — rzekł — ty sam wiesz, że nie.

Goldenberg pochylił głowę.

— Jeżeli tobie się nie powiedzie — rzekł — pójdę cię pomścić.

— Mnie — rzekł Sołowjew — mnie oni nic nie zrobią. Gdy szedł w dawnych wiekach rycerz w kraj nieprzyjaciół, ofiarowywał się śmierci. Sam całą duszą uczył się umierać w długie, samotne wieczory i ranki. A kiedy cały był już skąpany w czarnej rzece, szedł. Był nietykalny. Nie mógł go *zabić* nikt, nikt mu nie mógł odebrać swobody. Wszystkiego dokonał już przedtem on sam. I mógł stać wśród męki i urągowiska jakby duch czysty i spokojny.

Rycerz

Rozchodzono się już. Kirsanow podszedł do Sołowjewa i objął go. Odsunęliśmy się i słyszeliśmy łkanie. Kirsanow płakał.

— Ciężko mi — mówił. — Odchodzić tak będziecie wszyscy, wszyscy będziecie tak iść jeden za drugim, a ja zostanę tu na waszych grobach. Przekonaj mnie, że tak trzeba, przekonaj mnie, że mam prawo umrzeć.

— Nie — rzekł Sołowjew. — Ty żyć będziesz, boś wyszedł myślą poza nas. Musisz znieść swą własną myśl.

— Wolałbym iść z tobą.

— Wiem, Jerzy. Jesteś silny. Masz myśl mocną i zdrową. Przetrawasz. Trzeba, żebyś ty był. Żeby był ktoś prócz nocy nad trupami, aby myśl pozostała w głębi i kula, bez przerwy kula.

— A wasza krew będzie płynąć w podziemiach. Wołać będzie krew wasza: ryjesz, żyjesz, krecie.

— Umierając, będę myślał: kują myśl w podziemiu, naszą myśl. Jerzy, bądź kowalem żelaznej myśli rosyjskiego ludu. Tobie zostawiamy pamięć naszą jak młot. Stalową moc myśli wykuj w głębi dusz niewolniczych. Niepowstrzymaną jak te siły, które powołał człowiek, by mu służyły. Kuj myśl niezłomną, myśl rządzącą sobą, myśl nieblednącą.

— Pocałuj mnie jeszcze i wybac — rzekł Kirsanow.

— Mnie, Zejdenmanowi, wybac. Ciężką rzeczą jest żyć na mogile.

— To wy mnie wybac — rzekła Ola — piękni jesteście ludzie, piękni, piękni. Nie umiałam zrozumieć was.

Zmusiliśmy Siewierowa i Kirsanowa, aby się uściskali. Była chwila uroczysta.

— Starym zwyczajem — rzekł Sołowjew — usiądźmy.

Siedliśmy w milczeniu.

Sołowjew wstał i lekko potrząsając głową, rzekł:

— W ręce wasze oddaję Ziemię i Wolę, wszystko, co mam na świecie.

I szedł potem wkoło, całując każdego trzy razy.

Goldenberg szlochał na głos.

— Ja jestem mały człowiek, zły człowiek, ja o sobie ciągle tylko myślę, wyście nie powinni ze mną żyć.

— Będę jutro myślał o tobie — rzekł Sołowjew.

## IX. OBLUBIENIEC

W historii polskiej droga mi była zawsze postać Warneńczyka<sup>537</sup>. Dwa wieki polskich dziejów: XV i początek XVII, wydają mi się zawsze dziwnie tragiczne. Nie lubię XVI stulecia. Jest w nim jakaś niesumienność. Ludzie sprawiali tu istotnie Babińską Rzeczpospolitą<sup>538</sup> w ukryciu przed losem. W XV szli oni jeszcze z rycerską wiarą na spotkanie losu. Szli, nie bojąc się zgonu, lecz marząc o zwycięstwie. W XVII już Żółkiewski<sup>539</sup> na polach Cecory symbolizuje doskonale polskie dzieje. Polski dramaturg historyczny powinien stworzyć trylogię: *Warneńczyk* — *Batory* — *Żółkiewski*. A jeżeli już greckim obyczajem mamy do tragedii dodać dramat satyrowy<sup>540</sup>, niechaj weźmie pióro Arystofanesa<sup>541</sup>, a kreśli polskie Odrodzenie. Polskie Odrodzenie — kiermasz na pobojuwisku. Magnaci polscy — cudzołożący z myślą europejską i płodzący bękartów<sup>542</sup>: dumnych, ciemnych szlachetków XVII wieku. Polskie Odrodzenie było olbrzymią maskaradą, zapustami<sup>543</sup> weneckimi w Polsce. A zapusty te zaważyły na losach narodu jak prawda. Nie powinien zapomnieć dramaturg o satyrycznym dramacie, inaczej nie będzie w jego trylogii prawdy. Niech nie żałuje polskich zygmontowskich czasów i Babina: polskie szlacheckie głowy opily się myślą ludzką jak winem. Po pijanemu cięły szablami po niebie. Chrystusa i diabła wyzywały na rękę, ale już skradał się ojciec Possewin<sup>544</sup> i pijaną tłuszczę Iwanowi sprzedał. Później Skarga<sup>545</sup> płomiennym słowem pobudził pijących i gdy wytrzeźwieli, zapadła nad Polską noc żałobna po kiermaszu zapustnym. I do dziś dnia historia ciąży nad nami jak kłątwa. Ale te trzy postacie kocham w tych wiekach: Warneńczyk — Batory — Żółkiewski. Może się mylę i nie rozumiem ich. Ale Warneńczyk ma w sobie młodość, która ślubuje się śmierci i leci piękna, rozkochana na swoje wieczne zrękowiny<sup>546</sup> ze sławą.

O Warneńczyku myślę zawsze, kiedy przypominam sobie Aleksandra Sołowjewa. On wprowadził nas na te pola, gdzie już tylko śmierć rządzi, poprowadził nas na wielki bój duchów. Narodna Wola — olbrzym, w piersi którego było sto niezających trwogi serc, który patrzył w przyszłość setką płomiennych oczu, myślał stu głowami, w których nie było osobistej rachuby. Narodna Wola — bojująca przyszłość ludową — narodziła się w cieniu tej postaci.

Srebrnym rycerzem go widzę, jak stoi na straży mrocznego zamku, gdzie zamieszkała krzywda.

Tu go postawiła myśl.

<sup>537</sup>Władysław III Warneńczyk (1424–1444) — syn Jagielly, król Polski (od 1434), król Węgier (od 1440); zginął w bitwie z wojskami tureckimi pod Warną. [przypis edytorski]

<sup>538</sup>*Babińska Rzeczpospolita* — szlachecka grupa towarzyska, działająca w XVI–XVII w. we wsi Babin; jej członkowie zajmowali się zabawą w karykaturalne miniaturowe państwo i za udane opowiadki przyznawali sobie urzędy na wzór urzędów Rzeczpospolitej; z Rzeczpospolitą Babińską byli związani m.in. Jan Kochanowski, Mikołaj Rej i Jan Andrzej Morsztyn. [przypis edytorski]

<sup>539</sup>Żółkiewski, Stanisław (1547–1620) — magnat, hetman wielki i kanclerz wielki koronny; wódz wojsk polskich w wielu kampaniach przeciwko Rosji, Szwecji, Turkom i Tatarom, zginął w czasie bitwy pod Cecorą. [przypis edytorski]

<sup>540</sup>*dramat satyrowy* — staroż. grecki typ krótkiej sztuki teatralnej, w której chór składał się z satyrów, przedstawiający w sposób humorystyczny motywy i postacie mitologiczne; podczas ateńskich Dionizjów każdy z autorów zwyczajowo brał udział w konkursie, wystawiając cztery sztuki: trzy tragedie oraz dramat satyrowy, grany na końcu lub pomiędzy drugą a trzecią tragedią trylogii. [przypis edytorski]

<sup>541</sup>Arystofanes (ok. 445–ok. 385 p.n.e.) — grecki komediopisarz, najwybitniejszy z twórców komedii starożytnej. [przypis edytorski]

<sup>542</sup>bękart (pogard.) — dziecko pozamałżeńskie. [przypis edytorski]

<sup>543</sup>zapusty (daw.) — karnawał. [przypis edytorski]

<sup>544</sup>Possewin, właśc. *Possevino, Antonio* (1533–1611) — włoski jezuita, legat papieski w Polsce, wysłany przez papieża Grzegorza XIII na prośbę cara Iwana Groźnego z misją mediacji między Polską i Moskwą; miał także doprowadzić do zawarcia unii między Kościołem katolickim a prawosławnym oraz przymierza polsko-rosyjskiego przeciwko Turcji; w 1582 skłonił Stefana Batorego do pokoju z Rosją, po którego zawarciu car odrzucił propozycje papieskie. [przypis edytorski]

<sup>545</sup>Skarga, Piotr (1536–1612) — jezuita, kaznodzieja, czołowy przedstawiciel polskiej kontrreformacji; autor *Kazań sejmowych*. [przypis edytorski]

<sup>546</sup>zrękowiny (daw.) — zaręczyny. [przypis edytorski]



Srebrny rycerz stoi na straży przyszłości.

Tęgo uzna duch narodów, przed kim kopię pochyli. Kto śmie przejść pod kopię srebrnego rycerza?

Na straży stanął mrocznych dziejów, on — zbrojne sumienie.

Nie wyjdzie już nikt z czarnego zamku.

Nad tronem stoi, a pod nim siedzą, rządzą trupy.

Kto przemoże srebrnego rycerza?

On nie lęka się bagnatów żołnierskich; serca jego nie dosięgnie stal, broni go kamienna mogiła: mrok mogilny schłonał ciało, pamięć tylko wsparła się na mieczu.

Lecz w myśli ludowej stoi on w blasku, który świeci, gdy gasną słońce i gwiazdy i gdy już tylko trwa idąca poprzez pokolenia sława. W pamięci wykuła kształt ten wielkości.

Na dnie sumień stoi uśmiechnięty i niezwyknięty.

Gdy tu zajdzie myśl, zalka i wstanie orężna.

Taki pogodny, szczęśliwy był w ten ostatni wieczór. Chciał, aby mu kupiono kwiatów, dano poezje Niekrasowa<sup>547</sup>. Czytał na głos wiersz *Matka*, potem ten inny, bolesny, w którym skarży się poeta i błaga:

Za kroplę krwi, com wspólną miał z ludem,  
przebac, ojczyzno, mi, przebac mi winy.

Siedzieliśmy w pięcioro: Ola, Michajłow, ja, on, Goldenberg. Sołowjew nie wspominał o śmierci ani o dniu jutrzejszym. Był tylko pogodny tak, że nigdy nie wyobrażał sobie tak pięknej radości. Twarz jego świeciła i promieniała jakimś wewnętrznym, cichym, nieustannym, silnym światłem. Głos brzmiał szczęściem tak wielkim, że wydawał się śpiewem. On sam musiał czuć, że coś uskrzydla każdą jego myśl. Były chwile, kiedy przebiegało po jego twarzy jakby zdumienie, jakby podziw, że taka radość, takie szczęście istnieć mogą.

Ola siedziała przy nim. Wpatrzona w niego i zaszuchana, zdawała się ona sama z sobą prowadzić jakąś rozmowę. Sama mówiła później: „Wyprowadził mnie na śnieżny szczyt, gdzie była cisza, nad głową świeciły złote gwiazdy, u stóp jezioro przezroczyste jak myśl ludzka; stałam w tej ciszy. I na dnie serca marzyło mi się: to ty. Śniło mi się, że oko w oko spotkałam się na śnieżnym szczycie z duszą moją. I widziałam ją, jaka jest. Jaka jest sama przed sobą. Cieszyłam się jak dziecko, jak niebo o wschodzie, że znam siebie, mam siebie, że widziałam siebie przed godziną śmierci”.

— Do ostatniej chwili — mówił on — widzi się to, czym się jest i co się tworzy, i tak już się będzie istniało na wieki.

— Gdzie?

— W tym ostatnim widzeniu.

— A później — pytała Ola — czy nie może być coś później?

— Nie ma siły, która sprawić może, abym *ja* był nie *ja*. Więc nie wiem i już nie pytam, co jest później. Zresztą. Czy nie wszystko jedno, jak to długo trwa? Czy nie dość widzieć tak siebie, widzieć, jak się stoi w prawdzie, jak ona otacza nas gwiazdami i ciszą?...

— Co są gwiazdy, co jest morze?... — myślała Ola na głos. — Przestrzeń. Czy nie jest ona we mnie, w nas? Czy nie żył człowiek, który umiał gasić te myśli i stał bez niej, nad nią, w świetle czegoś, co jest, gdy ona zgaśnie? Czy nie żył i nie myślał Kant? Czy nie przyniósł nam wieści, że był na samotnym wierzchołku duszy? Tam, skąd ona w siebie samą patrzy, zna siebie.

— Nie wiem — mówił Sołowjew — nie jestem filozofem.

— Myślę — rzekł Michajłow — że otacza nas świat bez końca, że się człowiek nieustannie budzi: idzie znów w nowy bój i walkę.

— Tęgo, czym jestem, nie odejmie mi nikt. Idę w śmierć, jak wchodzę nocą w las. Księżyc srebrzy choiny. Drzewa szepcą, drżą liście.

Ktoś ty, ktoś ty!

<sup>547</sup>Niekrasow, *Nikołaj Aleksiejewicz* (1821–1878) — rosyjski poeta, początkowo romantyk, potem autor utworów o problematyce społecznej, ukazujących niedolę ludu i niesprawiedliwość ustroju pańszczyźnianego; przytoczony cytat pochodzi z wiersza \*\*\* [*Умру я скоро...*] (Niedługo umrę, 1867). [przypis edytorski]

Cienie mkną po pniach. Ja idę. Spada liść z drzew. Idę, idę w światło, które drży. Drzewa będą szeptać i pytać.

Duszy swojej kto się już nie boi, nie boi się niczego. Ten tylko drży, kto na dnie swoim widzi coś, co mu w oczy spogląda z szyderstwem: a mnie nie znasz... Ja jestem ty. Ja nie spotkam już szyderskiej<sup>548</sup> twarzy. Duszę całą mam w sobie: przede mną jest świat i będę szedł, póki się nie skończy moje *ja*.

Tu czy tam gasną gwiazdy — wszystko jedno. Do końca będę sobą, miał siebie, a jeżeli zaczniesz się wielki cień: las milczący przytuli rycerza, las milczący, ciszy wielki cień, słońce blaskiem o zbroję uderza, rycerz śpi, nie obudzi go dzień, nie obudzi dzień słoneczny rycerza, nie obudzi go cisza i noc, nikt nie dźwignie srebrnego puklerza<sup>549</sup>, własnej duszy wykuła go moc.

Kto tak ginie, jakby w jedno z duszą zrosnięty. Kto tak trwa sam ponad wszystkim, ten już nie wie, co jest śmierć i życie.

Hasło dasz ty, który idziesz.

Póki trwam, nie uchylę szyszaka. Świeci zbroja wśród ciszy jak szczyt górski, kiedy przegląda się w jeziorze. Gdzie jest rzeczywisty: tu czy tam. Tu i tam jest cisza. Nie rozumiem, jak można wierzyć w śmierć. Śmierci nie ma.

Jestem wiecznie *ja*.

Próżno cisza o puklerz uderza,  
Tarcz<sup>550</sup> nie dźwięknie,  
Nie obudzi rycerza  
Nawet śmierć.  
Wchodzi on w milczenie  
Wieczystego lasu,  
Liść się sypie z drzew,  
Nie obudzi go szmer,  
Nie obudzi śpiew  
Rannych ptaków

Ani ta cisza, co leży na dnie.  
Bóstwa leśne chodzą  
Senną stopą po mchach.  
Szumią rosy, o coś proszą,  
Obcą mi jest miłość i strach.

Wyrzecz słowo, by znała cię dusza,  
Tylko słowo jest mocą, co skrusza  
Tarcz wykowaną  
Przez myśl.

Śmierć była tu przy robocie,  
Kuła pancierz nie w srebrze, nie w złocie,  
Kuła młotem w ludzkim sumieniu,  
Gwiazdy ciche z nieba patrzyły,  
Górskie szczyty w ciszy się skrzyły.

Koło północy rozstaliśmy się. Solowjew musiał zająć swoje mieszkanie w hotelu, z którego miał wyjść jutro. Spotkać mieliśmy się z nim na placu, a raczej mieliśmy być obecni tylko w rezerwie na wszelki wypadek, gdyby możliwa była ucieczka. Ale o tym trudno było nawet myśleć. Car wychodził na swoją ranną przechadzkę otoczony przez całe stado szpiegów i przebranych policjantów.

Rozmawialiśmy z Olą długo w noc.

<sup>548</sup>szyderski (daw.) — dziś: szyderczy. [przypis edytorski]

<sup>549</sup>puklerz — rodzaj okrągłej tarczy. [przypis edytorski]

<sup>550</sup>tarcz — dziś popr.: tarcza. [przypis edytorski]

Na drugi dzień rano byłem na placu. Widziałem, jak car wyszedł w oficerskim szynelu. Był jasny ranek wiosenny. Zrazu nie widziałem nigdzie Sołowjewa. Nagle ujrzałem go: szedł naprzeciwko cara. Widziałem, jak Aleksander II przystanął. Sołowjew podniósł rękę, rozległ się strzał — car uciekał ku placowi po łamanej, zygzakowatej linii, chcąc utrudnić strzały. Sołowjew strzelił drugi i trzeci raz. Aleksander potknął się i pełzł na czworakach. Sołowjewa otoczyła cała chmara ludzi. Znikł nam z oczu, powalony na ziemię.

Gdy wróciłem do domu i opowiedziałem Oli — zbladła na myśl, że jest on w ich rękach.

Dlaczegoż on nie zabił tam sam siebie? To jest straszne, że oni go mają w swoich podłych, krwiożerczych szponach. I to było straszne istotnie. Trudno było oswoić się z myślą, że ta szlachetna dusza ostatnie dni swoje przeżyć musi w otoczeniu drapieżnej podłości.

Wydrukowaliśmy specjalną proklamację z oświadczeniem tej treści:

„Krażą pogłoski, że Karakozow był torturowany podczas śledztwa. Gdyby przysłała do głowy komuś podobna myśl w stosunku do Sołowjewa, niech pamięta, że potrafimy go dosięgnąć i osądzić, że podłością swoją sam siebie skaże na niezawodną śmierć”.

— To tylko możemy zrobić dla niego — powiedziałem Oli.

— A co stanie się z jego myślą? — zapytała Ola.

— Aleksander Drugi zginie — powiedział poważnie Michajłow.

## X. HEKATE

W jakie dziesięć dni po pojedynku Sołowjewa z Aleksandrem II zjawił się w naszym mieszkaniu Cyprianow. Ucieszyliśmy się ogromnie, zobaczywszy go. Siedział on w kijowskim więzieniu i sprawa jego przedstawiała się groźnie. Na południu przedstawiała się groźnie każda sprawa. Losy aresztowanych politycznych miał w swoim ręku Strelnikow — prokurator wojskowy.

— Gdy moja siostra była u niego z jakąś prośbą — opowiadał Cyprianow — pokazywał on jej, jak ja będę chrzypiał i wyciągał język na szubienicy. Mówię wam literalną, dosłowną prawdę: naśladował w sali do przyjęć w obecności dwudziestu osób, z których połowa miała synów lub braci w więzieniu aresztowanych za sprawy polityczne, rżenie konającego, kiedy dławi go stryczek, i wysuwanie się języka z ust zaduszonego.

Nie potrzebował zresztą nas specjalnie upewniać — Strelnikow był znany powszechnie. Każda czynność rodzi swoich poetów i artystów, którzy uprawiają ją z zamiłowaniem i z zapalem. Strelnikow był poetą katowskiego rzemiosła. Czuć swą władzę nad sercami, patrzeć w twarze blednące z bólu i rozpacz było jego sportem i jego przyjemnością. Nie był on żadnym potworem. W warunkach, w jakich żył, w warunkach, wśród których okrucieństwo systematyczne i bezwzględne względem tak zwanych przestępców politycznych uważane było za drogę do kariery, powstawanie takich ludzi jak Strelnikow jest koniecznością. Każdy człowiek musi w jakiś sposób zaspakajać potrzeby dumy i miłości własnej. Strelnikow — naśladowający przed siostrą więźnia rżenie i grę fizjognomii<sup>551</sup> tego więźnia, gdy będzie on konał — czuł się zapewne właśnie najbardziej człowiekiem. Upajał się całkowicie swą działalnością, już nie poprzestawał na spełnieniu suchych, przepisanych przez prawo czynności: tworzył. Strelnikow szalał, przechodził swój liryczny okres na południu. Wieształ ludzi, przeciwko którym nie posiadał żadnych poważniejszych i stwierdzonych motywów oskarżenia. Opowiadano, że założył się w klubie oficerskim z miejscowym generał-gubernatorem, że dostanie wyrok śmierci na Lizoguba<sup>552</sup> i że zaraz wyrok wykona.

— Jeżeli pan zdoła wyrok taki dostać, jeżeli pan znajdzie taki sąd, który go skarże, ja go nie ulaskawię — rzekł generał-gubernator.

— Słowo? — zapytał Strelnikow.

<sup>551</sup>*fizjognomia* (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

<sup>552</sup>*Lizogub, Dmitrij Andriejewicz* (1849–1879) — ukraiński rewolucjonista z bogatej rodziny ziemiańskiej; jeden z założycieli organizacji Ziemia i Wola, ze swojego majątku finansował działalność rewolucyjną; w sierpniu 1878 aresztowany, rok później osądzony i stracony. [przypis edytorski]

— Słowo.

Jedyną winą Lizoguba było, że cały znaczny majątek ofiarował na cele rewolucyjne. Nawet nie zdołał go przelać jeszcze, bo dopiero zaczynał go spieniężać. Własny administrator, Dryga, zadenuncjował go. Żadnych innych oskarżeń przeciwko Lizogubowi nie było oprócz jednego chyba.

Był to człowiek siły i czystości charakteru, które musiały wydać się przerażające władzom śledczym.

— On jest całkiem jak Chrystus — rzekł Strelnikow. — Rewolucja nie powinna mieć Chrystusów, to nazbyt niebezpieczne.

Lizogub został skazany na śmierć.

Michajłow bił pięścią w stół, płakał, kiedy słuchał tego opowiadania.

I istotnie generał-gubernator dotrzymał słowa: Lizogub był powieszony. Ale Strelnikow został zdystansowany, on powiesił wprawdzie Lizoguba, ale III Wydział powiesił Drygę. Dryga miał obiecaną nagrodę za denuncjację. W ten czy inny sposób był niebezpieczny dla policji i został skazany na śmierć za stosunki z rewolucjonistami.

— Lizogub! Lizogub! — powtarzał Michajłow. — Człowiek ten nie kupował sobie palta, nie palił w piecu, wyrzekł się tytoniu, marzył w jakimś lichym surducie, aby nie zużyć grosza na siebie. Nie brał udziału w ruchu, aby rząd nie miał pretekstu dla skonfiskowania jego majątku, aby cały ten majątek mógł pójść na sprawę. On myślał, że im potrzeba jakichś dowodów, że oni się będą w ceremonie prawne z nami bawić, on nie wiedział, że nas wolno zabić, jak się chce i gdy się chce.

— Nie trzeba nawet patentu, że się umie wieszać — mówił Cyprianow. — Kat, który wieszał Osińskiego<sup>553</sup>, czynił to po raz pierwszy i dwa razy źle zakładał stryczek. Osiński wił się jeszcze w kwadrans po powieszeniu. Żandarmski generał niepokoić się raczył, co to znaczy, że wróg ojczyzny ma tak twarde życie, i kata po buzi przejechał. Ale ten, poczciwa dusza, bez urazy rzekł: „I tak umrze, panie generale. I tak umrze”. Wszyscy my umrzemy i tak. To „i tak” pan Strelnikow powinien postawić sobie za motto pamiętników, jeżeli je pisze.

Osiński był naszym ulubieńcem.

Piękny, pełen zapału, przykuwał on do siebie serca i umysły. Był to jeden z tych ludzi, którzy samą swoją postacią, gestem, głosem, wywierają nieprzeciętne wrażenie.

Umysł jego nieustannie pracował, wola nigdy nie słabła. Osiński w tym czasie był jedną z najbardziej czynnych postaci ruchu. Podczas „procesu 193” dojrzał on ostatecznie i od tego czasu życie jego było systematyczną walką z caratem. On pierwszy może świadomie wkroczył na drogę nieubłaganej, systematycznej, celowej walki z uciskiem.

On pierwszy zaczął systematyzować objawy budzącego się bojowniczego nastroju, tworzył dla niego szersze i głębsze podstawy ideowe, a przede wszystkim nadał ruchowi temu charakter trwałej, celowej działalności, czyniąc z walki tej przedmiot własnej swojej, skupionej, nieznaającej znużenia woli. Taki stał przed naszymi oczami, wiecznie rześki, pełen pomysłów, niez mordowany. Mógł nie spać nawet siedem nocy z rzędu i nie można było w nim zauważyć zmęczenia. Wierzyć się nie chciało, że to młode życie zostało zgaszone.

Cyprianow opowiadał:

— Dopóki żyć będę, nie zapomnę tej nocy.

Było tak ciepło, jak w maju. Słowik gdzieś śpiewał bardzo blisko więzienia, przez okno wchodziło miękkie, ciepłe powietrze, wonne jak marzenie. Oddychało się z jakąś niezmierną rozkoszą i łatwością. Leżałem w swojej celi i chciałem zapomnieć, że tam na drugim końcu czterech ich czeka na śmierć, że to płyną ich ostatnie chwile, a potem obejmie ich noc.

Patrzyłem w gwiazdy i słuchałem śpiewu słowika, i myślałem, jakby dobrze było płynąć łódką po szerokim, wielkim Dnieprze.

I nagle w ciszę tę wpadł głos:

„Walerianie!”

<sup>553</sup> Osiński, Walerian Andriejewicz (1852–1879) — rosyjski rewolucjonista–narodnik, jeden z założycieli Ziemi i Woli; brał udział w zamachach na funkcjonariuszy carskich; aresztowany i stracony. [przypis edytorski]

To Zofia<sup>554</sup> wołała i po chwili odpowiedział jej głos jego:

„Sonia!”

Tak rozmawiali z sobą w tę ostatnią noc, całą noc nawoływały się te głosy; mówiły sobie: jeszcze żyjemy, żyjemy, jeszcze możemy mówić, jeszcze rozumiemy się.

„Walerianie!” — wołała ona i znaczyło to: umrzeć! Ty umrzesz, umrzesz. Ciebie mogą zabić!

A jego odpowiedź: „Sonia”, brzmiała jak: wytrwaj, bądź zdrowa, idę.

Nikt nie myślał o śnie w tę noc w całym więzieniu. A czas płynął z jakimś straszonym pośpiechem...

Głosy wołały wciąż.

„Walerianie!” — z straszliwą rozpaczą wołała ona.

I on odpowiadał łagodny, cichy.

„Sonia”.

Rozległy się kroki. Otworzono celę.

„Nie wychodzić z cel, stać u drzwi” — rozległa się komenda.

I ich prowadzono przez nasz korytarz pomiędzy dwoma szeregami żołnierzy.

Gdy stali przed celą Soni, ona wyszła i obcięła nożyczkami pasmo włosów. Z jednej, drugiej, trzeciej, czwartej głowy. Patrzyłem w twarz żołnierza, który stał przed nią. Płynęły po niej łzy. W celach rozlegało się szlochanie. Wyprowadzono ich, zapadły się z trzaskiem drzwi, Sonia zemdlą. W pół godziny przyszedł oficer, który komenderował strażą, i ofiarował się, że wyprowadzi z więzienia, kogo wskażemy. Ale żądał, byśmy przyrzekli, że nie pozostawimy tej świętej krwi bez zemsty.

Michajłow podniósł się.

— Nie popłynie już bezkarnie ani jedna kropla krwi. Nie myśmy chcieli tej walki. Krew wywołała z podziemi ciemne bóstwa kary, odwetu. Stworzymy siłę, przed którą będzie drzeć przemoc. Prawo i myśl będą i w Rosji miały miecz. Miecz, co będzie bił w najwyższe głowy.

Wtedy dał nam przeczytać Cyprianow list ostatni Osińskiego, w którym zaklinał on, aby nie marnować swych sił, aby plany obmyślać jak najtrzeźwiej, aby stworzyć zorganizowaną moc rewolucyjną.

Ola siedziała blada; gdyśmy zostali sami, podeszła ku mnie:

— Sołowjewa powalili na bruk, bili pięściami i nogami po głowie, po twarzy. Miszuk, tego nie można znieść. Nie można znieść podeptania człowieka. — Potem pochyliła się ku mojej piersi i rzekła: — Pamiętaj, że oni mnie nie wezmą żywą.

## XI. UMARLI I ŻYWI

Nie zapomnę tego dnia; żadnego szczegółu, który się wtedy zdarzył; utkwił mi w pamięci twardy i niezmienny jak stal — i wiem, jak wygląda sąd ostateczny, czym jest to walenie się życia, co stwardniało już w niezmienny kamień i teraz spada już na wieki stracone. Leci jak bryła i porywa za sobą myśl, wolę, serce całą siłą przekleństwa czasu. Stałem się, już mnie nie zmienisz: było poznać mnie, gdy szumiał w twoim sercu, teraz jesteś już jak ślepe ziarno piasku, sypiące się w próżnię z klepsydry.

Przenieśliśmy szczęśliwie naszą drukarenkę, przebrnęliśmy rzeczkę w bród, wesoło zaturkotał wóz, który ją unosił. Dzień się zaczynał. Lekko kołysały się zboża, szliśmy młodym gajem. Po raz pierwszy od wielu lat byłem w Polsce. Towarzyszył mi Tur, młody robotnik warszawski. Szedł i świergotał jak ptak, jak jastrząb stroszył się i kwilił, to znowu śmiał się jak dziecko i echo budził. Wesół był, że przed nosem straży drukarenkę śmignął.

— Aż furczy — mówił — aż w uszach z radości furczy. — I wykrzykiwał znów: — Hej ha!

To znowu śpiewał:

Bo ja pan, bo ja król  
Wśród zielonych łąk i pól.

<sup>554</sup>Löschern von Herzfeld, *Sofia* (1842–1898) — rosyjska rewolucjonistka-narodnica; w „procesie 193” skazana na zsyłkę, za wstawiennictwem krewnych wyrok anulowano; dołączyła do kółka terrorystów kijowskich; aresztowana jednocześnie z Osińskim w styczniu 1879, początkowo skazana na śmierć, ostatecznie zesłana na katorgę. [przypis edytorski]

Echo odpowiadało mu i on śmiał się:

— Moje; cała ta ruń się cieszy, tak raźnie przeleciał nasz ptak.

Oj, nie lada to ptaszyna,  
Jaja składa co godzina,  
A w tym jaju smok!

Ani na jedną chwilę nie mógł zamilknąć.

— Zatańczyłbym — mówił — gdyby z kim było.

Przyglądałem mu się z zaciekawieniem: ogłuszał mnie i oszałamiał jego gwarliwy humor. Odwykłem, a raczej nie znałem nigdy takiej kolorowej wesołości. I Tur przyglądał mi się od czasu do czasu zyzem<sup>555</sup>.

Doszliśmy do jakiejś karczemki. Grzał tu się przed ogniem człowiek stary, barczysty, skądś straszliwie mi znany. Jak jakieś ciemne, niemożliwe przypomnienie patrzyły oczy spod kosmatej czupryny. Wielki toból z towarami stał obok niego. Węgier to był, jak mówią u nas. Zostaliśmy przez jedną chwilę sami w izbie. Siedziałem odwrócony plecami, gdy podszedł on do mnie i rzekł:

— Spotykamy się więc raz jeszcze jednak.

Poznałem go. Był to *on*: stryj Alojzy.

Patrzył mi w oczy z gorzkim uśmiechem.

— Sieci, jak widzisz, snuję, pajęcze sieci: duszę wikłam, na wieki wiązę, węzeł splatam, sznur do kamienia przykuwam. Ten właśnie pajęczy sznur do tego piotrowego kamienia, który stoi: on jeden, który jest tak mocny, że nie drgnie, kiedy stanie na nim wieczny sędzia. Tam właśnie, słyszysz, tam właśnie zaniosę: patrz, spojrzysz! — Z kieszeni wyciągnął krwawą chustę. — Twój — rzekł — towarzysze, przyjaciele: tu oto o wiorst kilka, pójdź, zobacz, w żywej jeszcze zobacz skórze spisane te drogocenne litery rosyjskiej idei pracy, swobody pracującego człowieka. To właśnie na skórze polskich chłopów. Pójdź, zobacz: leży tam Bazyli Wisznia z nogami zjadanymi przez gangrenę — idź mu i powiedz: nie ma Polski, nie liczy twoich łez matka najśłodsza — pożałuj go, że tak głupio ginie za przesąd.

Widziałem, że dyszy ciężko i dusi się, chciałem coś mówić.

— Takie to nasze pasożytów i szamanów rozkosze — po jednej idziemy drodze, odkupiciele nędzy. Pamiętasz, mówiłeś: „Ze zdychającego chłopca ściągniecie koszulę i tę ostatnią jego nędzę wplaciecie, niby cudny kwiat, w watykańskie dywany, by po nich możliwych stopy chodzić mogły”. I oto któż był przy zgonie zasieczonych, zasiepanych pałkami? I cóż mi dać mogli: ostatnie westchnienie? To wziąłem, w głąb duszy wziąłem, postawię ciężar ten na stwierdzenie świata, odleję zeń posąg. Będzie świadczył. Wyciągną się umarłe ręce: jako świeczniki zapalę je.

— W papieskim Rzymie — przerwałem — w Rzymie, który własnemu ludowi chciał ojczyzny poskąpić<sup>556</sup>.

— Przemienie ten i inny przemienie. Widział już je Dante<sup>557</sup> na dnie piekieł, *slabe*, nadaremno miecz Chrystusa dzwigające dusze. Widziałem Grzegorza i Piusa<sup>558</sup>. Przemina. Mgła to i miraż: na dnie dusz stoi gmach w słońcu, tam postawię łzawy mój posąg; zmartwychpowstanie krew.

<sup>555</sup>zyzem — dziś popr.: zezem. [przypis edytorski]

<sup>556</sup>W papieskim Rzymie (...) który własnemu ludowi chciał ojczyzny poskąpić — od poł. VIII w. Rzym był stolicą obejmującego środkowe Włochy Państwa Kościelnego, rządzonego przez papieża jako świeckich monarchów. Podczas walk o zjednoczenie Włoch większość terytoriów Państwa Kościelnego przyłączono do proklamowanego w 1861 Królestwa Włoch. Kiedy w 1870 armia króla Wiktora Emanuela II zajęła również Lacjum i Rzym, które po plebiscycie włączono do Włoch, papież Pius IX odrzucił nadane mu w tzw. ustawie gwarancyjnej przywileje i uznał się za „więźnia Watykanu”. Do dyspozycji papieskiej pozostała Bazylika Św. Piotra, pałac i in. budynki na Watykanie. Dopiero w 1929 faszystowski rząd Mussoliniego podpisał tzw. traktaty laterańskie, w których papieństwo w zamian za rekompensatę finansową zrezygnowało z pretensji do terenów byłego Państwa Kościelnego, zaś rząd włoski uznał papieża za suwerennego władcę wydzielonej części Rzymu, Państwa Watykańskiego. [przypis edytorski]

<sup>557</sup>Dante Alighieri (1265–1321) — poeta włoski, autor *Boskiej komedii*, poematu opisującego podróż w zaświaty: poprzez kolejne kręgi piekła, czyściec do nieba; główny bohater w piekle spotyka m.in. kardynałów i papieża. [przypis edytorski]

<sup>558</sup>Grzegorza i Piusa — papieży Grzegorza XVI (1831–1846) i jego następcy Piusa IX (1846–1878); obaj nakazywali Polakom posłuszeństwo wobec zaborców jako legalnej władzy i potępiali powstania, co było przedmiotem licznych dyskusji wśród Polaków. [przypis edytorski]

Chylił się nade mną, jakby mnie chciał na wieki wzrokiem swym przygwoździć.  
— Pójdź i powiedz staremu Wiszni: na próżno zasieczono ci syna. Czary to, uludny sen. Nie stoi na tych gwiazdach nikt, nikt nie dźwiga twoich krwawych losów.

— Powiem mu: dam ci pewność odwetu, idzie już kara i grom.

— Trup on już, a wstanie i powie: nie chciwym krwi, nie pragnę — ty mu powiedz, że nie przeminie słowo, święte polskie słowo: O Jezu! Iluż pokoleń dusza je zrodziła, każdy uśmiech, każdą literę. I to dźwięk pusty!

Wstałem z wysiłkiem i wyprostowałem się:

— Mówił stryj Seweryn: „Póki kamienie, co na grobie legły, sercem się nie staną — nie wstanie jej trup”.

— Póki kamienie... — powtórzył. — Mój ty Boże. Pieczęć na wieki wyciśnij: nic tu nie było i nie ma. Szlachta, szlachta, kańczugów panowanie! To słyszysz: świst bicza i jęk; a ten pęd, a ten straszliwy pęd pod Wiedeń, poprzez *trupa* wielkiego olbrzyma jedności narodów. Tego husarza pęd, co się zarył aż pod Piotra kopułę i stoi kamienny: wierzę.

Uniosłem się:

— A te kielichy, którymi spełniano po rzezi Pragi zdrowie Katarzyny? A zresztą co mówić, co mówić długo. Szukałem, gdzie walczą o człowieka, o całego, nieskrępowanego człowieka, gorzki był mi chleb niewypracowany.

— A dusze pokoleń, co znikły wierząc: budujemy życie; a straszny, przedwieczny skarb zamierzchłych dusz, zwierzony sercu? Skądęś ty przyszedł — liść na prawiekowym drzewie? Tobie nie sądzić... Boże mój, Boże, te gasnące na wygnaniu oczy, smutki, spiekoty duchowe, serdeczne rany, myśli wbijane w duszę jak ćwieki: to wszystko płynęło przecież strumieniami, kto poprzecinał żyły?

Nagle obsunął mi się do kolan stary, drżący człowiek:

— Na wieki utracony, zgubiony, raz na zawsze zmarły, ty, który nie zmartwychpowstaniesz z matczynej piersi — wybacz, żeśmy cię nie uczynili Polakiem...

— Jestem... — wyszeptalem — przyjdzie dzień.

Nie widziałem w tej chwili nic, z serca szła kamienna ślepotą. Przeszła chwila, nim zdołałem go dźwignąć z ziemi w ramiona.

Plakał on teraz cichymi, trującymi łzami.

Rozstałem się z nim, niosąc w duszy jad tego przeświadczenia, ból jakby przypomnienia, że się kiedyś dawno przejechało, śpiesząc w jakąś drogę, sierotę; dziecko uniosło z sobą płacz, a teraz oto staje przed nami kaleka.

Wszedł Tur i rozstaliśmy się ze stryjem obojętnie. W Warszawie jeden tylko spędziłem wieczór.

Czekał tam już na mnie Żelabow. Miałem jechać do Moskwy i zawieźć transport dynamitu.

Byłem znużony.

Obojętnie, sucho powiedziałem:

— Jeżeli się uda, rozstaniemy się.

I Taras, jak nazywaliśmy go, zachnął się:

— Wtedy właśnie zaczniesz robotę.

— Moja będzie tu — powiedziałem.

Wzruszył ramionami.

— Gdy się zwycięży tam, tu pójdzie wszystko samo przez się.

Nie miałem ochoty do sporów: dławilo nieznośne poczucie, że nie potrafiłbym może już pracować. Leżałem, na wół drzemiać.

Tur rozmawiał z Żelabowem.

Mówiono o unitach<sup>559</sup>.

Żelabow skrzywił się i mówił niechętnie:

— Zawsze Królowa Polska, Matka Boska Częstochowska.

Rozległ się trzask — to Tur skruszył w rękę poręcz krzesła. Zerwałem się.

Polska, Polak, Krzywda

Matka Boska, Rosjanin,  
Polak

<sup>559</sup>*uniti* — katolicy obrządku wschodniego; wyznawcy prawosławia, którzy przyłączyli się do Kościoła katolickiego na podstawie unii brzeskiej (1596) i unii użhorodzkiej (1646), uznając papieża za głowę Kościoła i przyjmując dogmaty katolickie, zachowując jednak wschodnią liturgię; cesarze Rosji uważali unitów za odłączonych siłą i przymusowo ich „nawracali”, wcielając do Cerkwi prawosławnej; w 1875 Aleksander II zlikwidował ostatnią unitką diecezję w Rosji. [przypis edytorski]

Stał wyprostowany naprzeciwko Żelabowa, wpatrzony w niego płonącymi oczyma: nozdrza miał rozdęte, cały podany był naprzód, gotowy do skoku.

— Nie rusz, chamie — wycharczał.

Żelabow dźwignął się.

Już zdawało się, że rzucą się na siebie.

Po twarzy Żelabowa przemknął dziwny uśmiech, smutny i szyderski.

— Rozumiem — rzekł — wybaczyć trzeba.

Tur chwycił mnie za rękę:

— Ty jemu powiedz, twojemu Moskaluszce, niech mi on o wybaczeniu nie gada, on! Jeszcze w uszach mam skrzyp tych szubienic. Wara! Od tego mi wara! To moje! Słysz ty, moje. Ja się nie modłę, ale Ona moja. O, psiakrew! — i gruchnął w stół, aż zabrzączały szklanki.

Siedzieliśmy z nim pośród nocy, spleceni ramionami, zmagając się przez łzy...

— Ja cię nie wydam, was nie wydam — bełkotał Tur — na nas licicie, wy tam nasze zaprzepaszczone straże, gońce śmiertelni. Zmóc się musiała dusza... Nic się nie bój, ja to wszystko zachowam: cały twój zapamiętały ból. I ona wróci, słyszysz, ta krew wasza. Nic się nie bój: martwe słowa mówił ten ksiądz. Ja już podźwignę. Silnym<sup>560</sup>. My tu wesołą mamy duszę. Idź już, bracie, już ona jest między nami, prochowa nić, pobieży, pobieży śmiech-ogień. Już my tu staniemy jak dęby i ani jednego źdźbła nie uronim: żyć będą one wszystkie, święte prochy, wysiejemy je, wyniańcimy już duszę. Staną, jak o świcie, te zielone pióra.

## XII. STERNIKIEM ŚMIERĆ

Przyjechałem do Petersburga całkiem wyczerpany. Dwutygodniowa praca przy podkopi<sup>561</sup>, nieustanne nerwowe naprężenie, wreszcie ostatnie godziny oczekiwania, moment straszego wzruszenia, gdy ogłuszył nas huk, późniejsza ucieczka, wszystko to wprawilo mnie w stan oszolomienia. Niejednokrotnie doznawałem wrażenia, że we własnej duszy można zablądzić. Coś niedostrzegalnego, jakieś przelotne wrażenie, blask słońca, odbijający się w pewien szczególny sposób, zapach, jakaś nuta piosenki — wywołują wspomnienie dawno utraconego momentu, czynią go obecnym. Teraźniejszość znika sprzed oczu, a raczej tamto mgnienie staje się teraźniejszością.

Teraz doznawałem wrażenia, że idę znów poprzez pola z tego lasu, w którym leży na zer krukowi Adaś. Idę i zapukam znów do naszego okna. Otworzy mi je taka bliska i taka cudownie daleka dziewczyna. Usłyszę znów kroki, które bym poznał wśród tysiąca. Idą ku mnie te oczy stare, mądre, tęskniące, dumne oczy, które nie chcą płakać. Postanowiłem, że muszę tam pojechać, niech się ucieszy staruszek. Ola zobaczy grób matki. Myślałem, czy będzie mogła, czy zechce pojechać. Trzeba będzie jej jednak wyperswadować na jakiś czas drukarnię. Nie wychodziła już na powietrze chyba siódmy miesiąc.

Wyskoczyłem z tramwaju i kupiłem pęczek narcyzów i fiołków. Nie znałem się nigdy na kwiatach i myliłem się zawsze w ich nazwach. Jeszcze jedna, jeszcze druga ulica. Przypomniał mi się Michajłow i postanowiłem mu dogodzić. Przeszedłem na drugą stronę, aby zobaczyć, czy podniesiona jest firanka w trzecim oknie na znak: wszystko pomyślnie. Nagle poczułem, że nogi pode mną drżą: w oknach powybijane były szyby, patrzyły groźne, czarne, poszczerbione.

— Teraz nie trzeba wpaść — myślałem instynktownie. — Oli będę potrzebny. Nie trzeba wpaść.

Wyjąłem bukietek fiołków i zająłem się umieszczeniem go w butonierce. Serce wyło. Utknęło na mnie czyjeś spojrzenie. Obmierzłe spojrzenie szpiega. Widziałem, że patrzy na mnie jakby z niedowierzaniem. Przeszedłem koło niego niedbale uśmiechnięty. Musiałem

Szpieg, Ucieczka

<sup>560</sup>*silnym* — tu skrót od: silny jestem. [przypis edytorski]

<sup>561</sup>*Dwutygodniowa praca przy podkopi* — mowa o podkopi przygotowywanym w listopadzie 1879 przez członków Narodnej Woli pomiędzy wykupionym przez nich domem pod Moskwą a pobliską linią kolejową. Celem było podłożenie dynamitu pod torami, którymi miał jechać pociąg z carem Aleksandrem II. Zamachu dokonano 19 listopada (1 grudnia wg kalendarza gregoriańskiego), ładunek był jednak zbyt słaby: pociąg uległ wykolejeniu, ale bez ofiar w ludziach. Okazało się ponadto, że pociągiem jechała świta i służba carska, gdyż z powodu awarii lokomotywy zamieniono zwykłą kolejność dwu pociągów, którymi podróżował car z orszakiem, i car przejechał wcześniejszym. [przypis edytorski]



ujść jakieś pięćset kroków. Nagle usłyszałem za sobą kroki. Udałem, że poprawiam coś koło obuwia i nieznacznie obejrzałem się: szpieg szedł za mną, spoglądając ku drugiemu trotnarowi; z tamtej strony podążał nazbyt mi znany Aron Vogel. Była to już prawie oblawa.

— Nie dam się, nie dam się — zaciąłem się w decyzji obrony. — Oli będę teraz potrzebny.

Starąłem się iść, niezbyt przyspieszając kroku, nie spotykałem żadnej dorożki — wreszcie na przecznicy dostrzegłem tramwaj. Wskoczyłem, spostrzegłem jednak, że Aron wskoczył z drugiej strony, staliśmy na dwóch przeciwległych platformach. Czekałem sposobności. Nagle na trotnarze spostrzegłem Michajłowa. Byłem ocalony. Michajłow pomoże mi zgubić ślad. Zeskoczyłem, nie miałem czasu spostrzec, co się dzieje z Aronem. Dopędziłem Michajłowa i nie zatrzymując się, szepnąłem:

— Gonią mnie.

Michajłow jednym tchem rzekł:

— Wejdz pod numer siedemdziesiąt trzy — jest drugie wyjście. Wyjdiesz na Fontankę pod numer jedenaście. Tam też dwa wyjścia, w podwórzu cię spotkam.

W kilka minut wszystko było dokonane. Michajłow stał dziwnie blady. Kiedy spostrzegłem bladłość tę, nogi zdrząły pode mną, serce czołgało się, niechaj nic nie mówi.

— Chodź — rzekł Michajłow.

Nie mówiłem mu, że byłem tam, ale widziałem, że patrzy na mnie z jakąś trwogą.

— Ocalał — powiedziałem.

— To już ostatni raz — rzekł Michajłow.

Gdyśmy weszli, otworzyła nam Wołczok. Spostrzegłszy mnie, stanęła osłupiona. Nagle broda jej zaczęła drgać. Po chwili usłyszałem płacz — Wiera szlochała.

— Wołczok! — krzyknął Michajłow.

Oparłem głowę o ścianę — milczałem.

Michajłow położył mi rękę na ramieniu.

— Miszuk, bracie...

— Nie żyje? — zapytałem głucho.

Przeszła długa chwila, zanim usłyszałem:

— Nie.

Siadłem, zacząłem bębnić palcami po stole.

— Miszuk — mówił Michajłow — bracie mój drogi. Przecież lepiej, lepiej, niż długie lata męczyć się w więzieniu.

Drukarnię wzięto w nocy. Nasi stawili opór. Zaczęto strzelać do drzwi. Jedna z kul ugodziła Olę. Złożyli ją w ostatnim pokoju i bronili się dalej. Zginął Żemczużnikow, zginęła Luba Kochanowicz, u drzwi pokoju Oli zastrzelono Mitię. Bronił on wejścia, brocząc we krwi. Już śmiertelnie ranny, położył trupem oficera, wyrwał mu szablę i bronił się, póki nie rozstrzelano go wprost. Wzięto Olę całkiem nieprzytomną. Umarła w trzy dni w szpitalu więziennym.

Siedziałem bez ruchu, patrząc przed siebie i nie widząc nic. Serce zaszło na śnieżne, głuche pola. Myśli wiły się jak ptactwo i padały na śnieg z zamarzłymi skrzydłami. Nieobca przecież była mi chwila ta. Myśl znała ją i po wielekroć badała jej ciężar, chłodnym ostrzem bólu szukała bijącego serca. Walała się naokół głuchym kamieniem. Znałem przecież chwilę tę, kiedy usłyszę, że już przeminęło życie, skończyło się, wysnuło swoje nici. Starucha Parka<sup>562</sup> podaje do ręki kłębek: skończ sam. Śmierć kosi moje pola. Rozpościera się samotność i chłód. Pozostanę sam pod gwiazdami.

Popatrzyłem na Michajłowa i powiedziałem:

— Nic, stary przyjacielu, trzeba dożyć swoje.

Zaczął się czas, kiedy śmierć była nieustannie otaczającą mnie atmosferą. Patrzyłem w oczy żywym ludziom i widziałem, że polegą. Myślałem: przecież to wszystko zginie. Każdy człowiek, gdy myślą siebie obejmując, już leży w mogile, a upiór jego tylko chodzi po świecie.

<sup>562</sup> Parka (mit. rzym.) — prządka losu, jedna z trzech bogiń przeznaczenia, zajmujących się nicią ludzkiego życia; pierwsza przędła nić, druga nad nią czuwała, najstarsza z nich przecinała ją ostatecznie; w mit. gr. ich odpowiednikami były Mojry. [przypis edytorski]

Bywał u mnie często Zelman i przesiadywaliśmy nieraz, mówiąc lub milcząc i myśląc, obok siebie całe blade noce. Srebrna jasność wypełniała ulice. Zgiełk układał się. Nie licząc się z zakazami Michajłowa, szliśmy przez wymarłe miasto. I tak, idąc pośród tych domów milczących, pośród kamiennej ciszy, marzyliśmy, że idzie za nami śmierć i sprawa sądy. Zelmana trawiła śmiertelna choroba. Wiezorami przychodziła gorączka i wtedy zaczynał mówić, mówić bez końca, to znowu milczał wyczerpany. Był mi bliższy w tej chwili niż ktokolwiek inny, żył nocnymi myślami ciszy i śmierci. Chodziły za nim moje myśli, słuchając jego słów, jak w jakimś cichym, dającym zapomnienie cieniu. Miałem zawsze przekonanie, że w Zelmanie ginie poeta. Że to, co wyśpiewał on, jest tylko częścią jego duszy, tą, która oddzieliła się od niej jakby bez trudu, jak zapach kwiatu. Ale pod tą powierzchnią były inne światy.

— Orły lecące w śmierć — mówił o naszych towarzyszach — jacyście piękni, wy, którzy nie znacie trwogi.

Jego męką było to, że nie zdołał tego piękna wypowiedzieć.

— Oni powinni żyć, oni powinni zostać w słowie. Ballady i epepeje powinien śpiewać o nich lud, o swych bohaterach. Oni powinni zostać. To ich siła przecież największa. Powolne działanie, które zacznie się, kiedy czas przeminie i gdy zostanie pamięć o tych, co śmieli śmiercią swoją budować sprawiedliwość.

Michajłowa niepokoił stan duszy Zelmana.

— Nie rozmarzać się tylko, nie rozmarzać, nie myśleć, jak będzie o nas myślał świat po śmierci. Ani na jedną chwilę nie przestawać myśleć o życiu.

Michajłow nie znał już innego życia prócz Narodnej Woli. Na wszystko patrzył on tylko jej oczami.

— Jednostka sama przez się jest niczym, jest prawie bezsilna. Przemija szybko, jest zbyt krótkotrwała, aby mogła własną swą myśl urzeczywistnić. Człowiek żyje zbyt krótko, zbyt dorywczo dla własnego swego rozumu. Myśl nasza domaga się elementu trwalszego niż nasze własne życie. Stworzyć taki element, stworzyć całość zbiorową, w której nie ginie nic, każda myśl zostaje i działa nadal. Czy my nie żyjemy myślą tych, co pomarli, czy nie żyją w nas święte wspomnienia doświadczenia, cała zrealizowana przez nich wola, czy nie działa wraz z nami energia i myśl pogrzebanych za życia? Narodnaja Wola jest tym właśnie, tym zespoleniem całej energii rewolucyjnej, przeszłej, skrepowanej, żywej.

Bardziej niż kiedykolwiek przestrzegał on ostrożności.

— Nie wolno ginać bezpłodnie. Kto wie, jakich będziemy potrzebowali sił.

Rozprawiano czasami o tym, co stanie się, gdy:

Grom padnie.

I siądzie milczenie ze skrwawioną piersią

Na rosyjskim tronie,

Gdy pójdzie wieść po całej czarnej ziemi,

Że zginął car,

Że ziemski bóg runął porażony,

Że nad Opatrzność sięga, która rządzi:

Myśl, święta myśl,

Poddeptane prawo.

Michajłow nie lubił tych spraw.

— Prowadźmy pracę z całym natężeniem tu i tam. Będziemy słuchać, co stanie się w duszy ludowej na tę wieść, pójdziemy w pierwszym szeregu każdego wybuchu. Będzie trzeba i można, pójdziemy znów w lud ławą. Napotkamy nowy próg — złamiemy go znów, i tak będziemy żyć, tworząc swobodę i łamiąc przemoc.

W kółkach toczyły się spory, czy organizacja ma sięgnąć po władzę, czy wyzyskać ruch liberałów, czy oczekiwać powstania ludowego.

— Główną rzeczą jest — mówił Michajłow — pozostać siłą wierzącą w siebie. Zamknięto nam wszystkie drogi, ujrzelśmy, że w tych warunkach ginie zbyt szybko, aby coś zdziałać, musieliśmy sięgnąć po broń i stworzyć moc, którą byśmy sami czuli, że nas osłania. To było ważniejsze niż co innego. Pod osłoną tej mocy my sami, towarzysze nasi przestają się czuć osamotnionymi jednostkami, czują w sobie, nad sobą poważną siłę. Rewolucjoniści powinni umieć samych siebie wychowywać, powinni w sobie własną siłę tworzyć. Przede wszystkim chodziło o to, abyśmy czuli, widzieli moc. Serce zaczyna

inaczej bić, myśl inaczej działać. To nie jest zemsta, ani nawet samoobrona, to jest konieczność. Trzeba Rosji rewolucyjnej dać poczucie siły, trzeba, aby wiedziała, że miecz jej poraża, wtedy nauczy się myśleć, jak ten, co miecz trzyma. Rewolucyjna myśl i energia są zgubione, gdy przestają czuć w ręku broń, muszą widzieć swoją potęgę, inaczej przewagę, górę, bierze psychika protestujących w duchu — bezbronnych ludzi. Musimy czuć w ręku los.

— Rządzić przez śmierć — mówił Zelman.

— Dlaczego przez śmierć? Przez potęgę — mówił Michajłow.

Zelman nie sprzeczał się, snuł swoje marzenia:

— Przywołałeś śmierć i oto ona rozwarła swe bramy. Pustka i cisza: drzy wiotkie listowie. Stoją w świetle srebrnym gwiazd chłodne wrota śmierci. Zginęliśmy już, my i ty, potężny władco; ty, co ośmieliłeś się tchnieniem śmiertelnym tworzyć zakon życia — oto patrz. Otwarte ciche królestwo. Ona jedna myśli. Poznaj siłę. Ona była władzą, dzisiaj kładzie ci na ramieniu dłoń. Nie ma nic — śmierć, śmierć na tronie.

Pamiętam, jak trwożyły Michajłowa tego rodzaju symptomy psychiczne. Miał on w sobie do najwyższego stopnia rozwiniętą tę cechę tak rzadką i tak cenną w świecie rewolucyjnym: *poczucie* całości wszystkich momentów działania, ich zależności wzajemnej. Gdy którykolwiek z nich, oddzielając się od innych, wyrastając nadmiernie, stawał się wyłącznie panującym, odczuwał on to jako zmniejszenie siły rewolucyjnej, jej głębi. Każda jednostronność musi się mścić, bo zaniedbanie wyrasta jako wróg. Rozpoznawał on doskonale indywidualności i umiał je wzajemnie dopełniać, gdy jednak powstawała w czymś usposobieniu jakaś cecha wyłączna, zagrażająca samemu współistnieniu, odczuwał on to jako niebezpieczeństwo.

Michajłow był żywą myślą organizacji, czuł i myślał zawsze za całość. W tym czasie nie byłem w stanie tego zrozumieć. Nie byłem w stanie widzieć i pojmować tych ludzi, z którymi żyłem, inaczej niż z punktu widzenia mojego nastroju. Nastrojowi zaś temu odpowiadał doskonale punkt widzenia Zelmana, jego wizja pomazańców śmierci. Już nie myśl moja — serce żyło się z tym, że każdy z tych, kto mnie otaczał, ja sam, my wszyscy żyjemy nieustannie pod grozą zguby, że dnia każdego może zniknąć z naszego koła na zawsze ktoś z tych, kto dziś jeszcze jest pomiędzy nami. Serce nie buntowało się już przeciwko temu, dusza stała już w Charonowej<sup>563</sup> łodzi i patrzyła na wszystko chłodnym wzrokiem.

Pamiętam dokładnie, że w tym czasie nie przerażała mnie, nie wstrząsała mną śmierć niczyja. Oswoiłem się z nią tak, że nie mogłem zrozumieć, jak można przywiązywać do niej jakieś znaczenie. Piszę całkiem literalnie: nie mogłem zrozumieć, nie mogę zrozumieć i do dziś dnia, jak można śmierć uważać za nieszczęście. W niej ginie sama różnica, jest ona po tamtej stronie, poza światem rządzącej żywymi sercami doli.

Nie mogę powiedzieć też, abym w tym czasie mocno cierpiał. Zawładnęła mną absolutna obojętność względem wszystkich własnych uczuć. Ból gdzieś był pod zamarzłą powierzchnią, ale myśl świadoma żyła w świecie chłodnej pustki, było to jakieś zamrożenie wewnętrzne, skrzepnięcie osobistości<sup>564</sup>. Z wielką dokładnością wykonywałem teraz najniebezpieczniejsze nieraz zlecenia. Michajłow był zachwycony moją automatyczną konspiracyjnością. Tichonrawow, który w tym czasie zbliżył się do mnie na krótko, a zawsze opętany był obawą szpiegów, których pragnął zwieść obojętnie znużonym wyglądem, z zazdrością mówił:

— On teraz chodzi po Petersburgu jak lunatyk.

W tym czasie miałem sposobność zaimponować, jak mi to powiedział on sam, aresztując mnie później, Aronowi Voglowi. Wracałem z Moskwy. W torbie podróżnej miałem przy sobie kilkanaście funtów masy wybuchowej, przy sobie mnóstwo papierów. Gdy dojeżdżał, spostrzegłem z okna, że peron roi się od szpiegów. Aron Vogel komenderował, udając obojętnego widza, przechodząc od jednej grupy do drugiej. Widziałem, jak spojrzenie jego musnęło mą twarz i zatrzymało się. Byłem mocno zmieniony, zgoiliłem brodę, przysrzygłem krótko wąsy, miałem binokle<sup>565</sup> na nosie. Przy tym ubierał mnie

Przebranie

<sup>563</sup>Charon (mit. gr.) — przewoźnik przepławiający dusze zmarłych przez podziemną rzekę do krainy umarłych. [przypis edytorski]

<sup>564</sup>osobistość (daw.) — osobowość. [przypis edytorski]

<sup>565</sup>binokle — rodzaj okularów bez uchwytych, mocowanych na nosie z pomocą sprężynki. [przypis edytorski]

sam Michajłow, starając się dobierać strój do charakteru paszportu, który wydany był na imię jakiegoś kurlandzkiego barona. Michajłow przywiązywał szczególną wagę do jakiejś torebki na papierosy z żółtej palonej skóry, którą zawiesił mi przez ramię. Zdaniem jego była to rzecz, wobec której prysnąć muszą wszystkie podejrzenia agentów. Wsunął mi też do ręki jakąś laskę z herbem i koroną na rączce. Zelman przyglądał się temu i uśmiechał.

— Ja — mówił — już kilka razy zawdzięczam ocalenie śmiertelnej koszuli<sup>566</sup>. W drodze mam zawsze cały rytualny strój. Przyjeżdżam do hotelu, zaczynam się modlić. Szukano mnie kiedyś po całym miasteczku, wreszcie wpadli do mojego zajazdu. Przebiegli przez mój pokój, nie śniło im się nawet zaczepić mnie. Szukają studenta, a tu jakiś Żyd się modli. Czy może być nihilista w śmiertelnej koszuli? Śmiertelna koszula — dobra rzecz!

— A w tym już u ciebie pewno znowu jakaś alegoria — mruzczał podejrzliwie Michajłow, przymierzając mi jakiś „baronowski” krawat.

Teraz moja elegancja oszołomiła widocznie Vogla. Jego manią było nie robić pomyłek. Widziałem jednak, że nie spuszcza wzroku z mej twarzy. Byłem tak obojętny, że czułem, iż tę partię wygram. Szedłem w kierunku Aronka, nie patrząc na niego, o pięć kroków od niego sięgnąłem ręką do kieszeni i postawiłem torbę na ziemi.

— Ach, mój Boże — i podnosząc torbę, podszedłem do starszego żandarma. — Popilnuj tego — powiedziałem — ktoś mi wyciągnął portfel. Większy zostawił, mały wziął. Tam jest rodowód mojej klaczy, sfalszują mi teraz konia. No, kto tu jest od tego?

Pięć czy dziesięć minut zajmowałem żandarma, jakiegoś dygnitarza kolejowego portfelem, wyszedłem, obiecując sutą nagrodę. Żandarm wniósł torbę za mną do powozu, wspomniałem mu od niechcienia, że klacz ma właśnie kupić jego cesarska wysokość, wielki książę Aleksy Mikołajewicz. Żandarm stał wyprostowany, nie śmiał odetchnąć. Przechodziłem przed samym nosem Vogla, mówiąc do urzędnika:

— Kręci się tu tyle podejrzanych figur, o, uważa pan, na przykład ten — mówiłem, wskazując na Vogla — zaręczylbym, że to jest złodziej.

Urzędnik spojrzał i nachylił się ku mnie.

— Wręcz przeciwnie, jasnie panie, to — i szepnął mi do ucha: — tajny agent. Oni tu na kogoś polowali, ale nie udało się, widać, straszne czasy, panie baronie, straszne czasy. Brak zasad.

Siadłem w dorożkę i odjechałem. Vogel nie zajmował się mną już od dłuższej chwili. Gdy przyjechał, Michajłow nie posiadał się z radości.

— Myśleliśmy, żeś stracony. Był donos. Kletocznikow<sup>567</sup> za późno się dowiedział i po czasie już nas ostrzegł. Vogel wyruszył z oblawą.

W tym czasie przeciekałem istotnie policji, jak się to mówi, między palcami jak woda. Tichonrawow miał rzeczywiście słuszność, był to jakby lunatyczny sen. Michajłow obserwował mnie bacznie. Obchodził on się w tym czasie ze mną z kobietą dobrocią. Knuł całe spiski, aby sprawić mi jakąś przyjemność. Marzeniem jego było, abym wyjechał.

— Odpocząć musisz.

Sama myśl wyrwania się z tego środowiska przerażała mnie. Tu jedynie była zrozumiała, możliwa do zniesienia ta grobowa pustka. Tu, w tym powietrzu walki i zguby serce nie śmiało tęsknić. Powiedziałem to Michajłowowi. On rozumiał, odtąd nie nalegał więcej.

Wieczorami przychodził do mnie Tichonrawow. Był to niepospolity, przenikliwy umysł. Powinien był on zostać wyłącznie pisarzem, teoretykiem, myślicielem. W tym czasie był on znużony i szukał. Widziało się dokładnie, jak męczy się jego myśl, szukając argumentów. Jeszcze wola trzymała na uwieży myśli i uczucia, ale już rozpościerała się w nim błada niewiara. Myśl pracowała w kierunku wskazanym przez chwilę, ale nie był to

<sup>566</sup>Śmiertelna koszula — tu: kitel, długa, luźna, biała szata zakładana przez Żydów aszkenazyjskich w synagodze oraz podczas niektórych świąt, dawniej także podczas szabatów i in. uroczystości, niekiedy używana także jako okrycie zmarłego (całun). [przypis edytorski]

<sup>567</sup>Kletocznikow, Nikołaj Wasiljewicz (1847–1883) — rosyjski rewolucjonista, członek Narodnej Woli; za namową Michajłowa podjął pracę w tajnej policji, przekazywał mu informacje o prowadzonych śledztwach, listy osób podejrzewanych przez policję oraz policyjnych agentów i prowokatorów; aresztowany w 1881, sądzony w tzw. procesie 20, skazany na karę śmierci, zamienioną na katorgę, zmarł w Twierdzy Pietropawłowskiej. [przypis edytorski]

już jednolity zapal. Nie mógł on już zagać w żadnej myśli, czuć się nią. Była to zawsze jego myśl. A znużona dusza widziała jeno<sup>568</sup> przypadkowość argumentów, przekonań. Była poza tym wszystkim samotna i oziębła. Czytał on w tym czasie Hartmana<sup>569</sup>, zajmował się teorią poznania i coraz rozpaczliwsze, coraz węższe zataczał sam w sobie kręgi, jak zahipnotyzowany ptak.

Człowiek powinien wiedzieć, że filozofia, myśl, literatura *nie są* w stanie go zmienić, że wychodzi on z nich tym samym, czym jest. Zasadniczym jest stosunek człowieka do życia — tym, czym on jest w stosunku do żywych ludzi, do realnego, zmysłowego świata, do samego siebie. Michajłow wiedział to i dlatego właśnie czuł niebezpieczeństwo, ilekroć zaczynał ktoś sam siebie myślowo przeinaczać. Mnie on uważał za chorego i szanował za siłę, którą sam siebie trzymam na uwięzi. Na Tichonrawowa patrzył z niepokojem i współczuciem.

— Rzuć, Tigrycz — mówił — rzuć, odpocznij. Rzuć wszystko, zmęczyłeś się.

Ale Tichonrawow nie mógł rzucić. Nie mógł odejść na stronę, bo nie wiedział, czy wróci, nie wiedział w ogóle, dokąd się ma schronić. Bronił się przeciwko poczuciu bezcelowości, bronił się, jak mógł, i my patrzyliśmy na to, nie mogąc mu pomóc. Ze mną rozmawiał o śmierci. Nie godziliśmy się ze sobą. Ja żyłem tylko wiarą w śmierć, w jej nieuchronność. Tichonrawow szukał i kołatał myślą, czy nie otwiera się tam jakaś nowa droga, prowadząca do nieznanych źródeł. Śmierć była dla mnie tłem ogromnym, na którym mogłem jeszcze mieć myśli. Tu życie było utracone. Tam wyrastał świat myśli, tylko myśli, ale myśl w nim tylko mogła żyć.

Zelman filozofował:

— Człowiek umiera ciągle, umiera, choć nie wie. Lepiej jest umierać, wiedząc. Tworzyć samemu swój obraz taki, jaki będzie. Tworzyć to, co zostanie z nas: groźna, żelazna legenda mocy i zniszczenia.

— Obraz gdzie? — pytał Tichonrawow.

— W myśli pokoleń, żyć będziemy w nich jak bogowie. Trzeba żyć tak, aby nasze działanie pośmiertne było takie, jakiego chcemy.

— A dla nas — mówił Tichonrawow — a dla nas?

Zelman wzruszał ramionami, on nie pojmował samego pytania postawionego w ten sposób.

— Rozumiesz — mówił — my będziemy w myśli żyć, myśl pokoleń żyć będzie, patrząc w nas, i z nas czerpać wolę. Cóż jest śmierć nasza? Ten marmur, lodowiec, kryształ, z którego my wykuwamy własne swe posągi. W śmierci my wieczni. Tacy, jacy będziemy stać w jej świetle, będziemy żyli. Trzeba stworzyć celową, działającą śmierć. Trzeba, aby każdy nasz czyn był czynem poruszającym duszę, która będzie wspominać nas. Weszliśmy w kraj, gdzie się przyszłość stwarza. Weźmy młoty i kujmy poza czasem, poza nami, kujmy duszę narodu. Umarli rządzą myślami żywych. Trzeba, abyśmy umieli umrzeć tak, aby nasza śmierć rządziła, jak my zamierzemy.

— Dlaczego śmierć? — pytał Michajłow. — Mówisz dużo rzeczy słusznych, ale dlaczego przypisujesz to śmierci, co jest — życiem? Musieliśmy ukazać ludowi, że ma wolę, że ma prawo, mus, możliwość chcieć i śmieć. I oto wszystko.

Zelman uśmiechnął się łagodnie:

— Ja wiem — rzekł — że umieram, Aleksandrze, a zawsze miałem w sobie cichego wroga: marzenie. Ja nie mogę nic robić, nie marząc. Nie dość mi jest uczynić, muszę widzieć. Muszę widzieć każdą chwilę i powiedzieć jej: dobra jest. Muszę teraz widzieć śmierć waszą i własną i nauczyć się ją kochać.

— Wybacz — rzekł Michajłow.

— Nie zrobiłeś mi żadnej przykrości — mówił Zelman, nie wypuszczając jego ręki. — Umieram nie z woli własnej, lecz z woli tych ciemnych sił, które przędą życie, myśl i śmierć. Schodzę w noc i czuję nad sobą mus. Nie powinno się ulegać musowi, i ja muszę kochać śmierć, tak jak kochałem morze, miłość, śmiech, tak jak kochałem was przede wszystkim. Bo was kochałem najsilniej. Ja jestem Żyd. I to nie jest przypadek — kocham

Rewolucja, Śmierć

Żyd

<sup>568</sup> jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>569</sup> Hartmann, Eduard von (1842–1906) — niem. filozof, głosił teorię pesymizmu historyzoficznego, usiłował pogodzić filozofię Schopenhauera z koncepcjami Hegla i Schellinga. [przypis edytorski]

swoje żydostwo. Kocham nawet takie, jakim jest. Wy nie myślcie, że tam nie ma poezji; gdyby jej nie było — nie byłoby życia. Ona jest, tylko podeptana: jej nie widzi nikt. Ja, z wami żyjąc, mogłem czuć się Żydem i żyć jak człowiek. Zresztą nie za to was kocham. Kocham was za to, że jesteście wy. I gdy będę umierał, będę śpiewał śmierci pieśń o was.

Mówił w uniesieniu, ze łzami w oczach.

— Nie za to kocham śmierć, że dumę strąca mocarzów w proch, nie za to, że jest jak topór świecąca i że jak strzała jest niechybna, świszcząca, ciśnięta z łuku, a w serce godząca, gdzie żyje duszę pokoleń trująca — krzywda.

Lecz za to kocham ją, że duszami włada, jak księżyc falami morza, które szumią i posłuszne ku niemu biegną, tak teraz wasze dusze fal ludowych strzegą i nie dadzą im zasnąć. Wy rządźcie szumem ludowego morza, wy nad nim pozostaniecie, wy — polarna zorza, wy z ciszy śmierci, z milczenia rządźcie będziecie, spod kamieni powstaną wasze płomienne imiona i lyskać będą wśród wieczystej ciszy.

Odtąd drzeć będzie tyran; skończona jest władza, wy rządźcie ze śmierci wiecznego wzniesienia, stoicie z piorunami i śmierć wasza patrzy z gwiazd w ludowe morze, on nie zaśnie już, ten orkan krwawy. Jak piorun zawieszcie ponad ludem sławę.

O, pochowajcie mnie na wielkim stepie, by wiatr szemrał nade mną, by mi wołał nad głową waszą pieśń mścicieli, bo odtąd jak księżyc słuca nieśmiertelne morze, tak waszym jest ruch tajemny fal, które huczą w ludzie.

Słuchaliśmy w milczeniu.

Patrzyłem w zimne niebo i nie widziałem nic: na próżno, na próżno błagałem pamięci, by wskrzesiła mi uśmiech Oli. Ja sam w pierwszych chwilach przywaliłem pamięć bryłami ociężałego, ciemnego cierpienia. Michajłow spojrział na mnie: widziałem, że czyta moją myśl; miałem w tej chwili zamiar wyjść, wyjść na jakiś pusty plac. Ręka już ścisnęła rewolwer. Widziałem wznoszące się ramię. Chciałem wstać. Michajłow podszedł do mnie i rzekł:

— Chcę ci coś powiedzieć. Wolczok odnalazła fotografię Oli i jej notesik z jakimiś papierami, włosy, które kiedyś żartem kazała dla ciebie przechować, a jeszcze to jedno: Kletocznikowi przyniósł wieść, że umierając, mówiła pilnującej ją kobiecie: „Byłam bardzo szczęśliwa i chciałabym podziękować jemu”...

Czułem, że serce się ścisnęło.

— Więcej nic? — spytałem.

— Jest list Oli, teraz możesz słuchać, tylko kilka słów.

„Towarzysze, bracia!

Cieszę się, że żyłam, cieszę się, że miałam tyle, tyle szczęścia; umieram spokojnie, żem chyba nic nie wzięła nikomu. Biedny Mitia zginął. Nie dali mi go pożegnać. Ręka mi się trzęsie... Myśl wstała nagle z jakiejś długiej nocy i wie, że zgaśnie — nie ma sił. Dziękuję ci, Michale, dziękuję ci, Michale, za życie. Nie dajcie mu cierpieć, bracia, proszę was. Wszystkich ściskam was. Patrzę w twoje oczy, Michale, i chcę spać. Nie płacz... nie płacz... Mnie było tak dobrze. W oczy twoje patrzę i zasypiam. Mój Michale”.

Płakałem, biłem głową o ścianę, słuchając.

Michajłow ścisnął mnie.

— Płacz... płacz... teraz będziesz żył.

Czasami miało się wrażenie, że nas wszystkich Michajłow kochał jakimś uczuciem macierzyńskim. Byliśmy przecież wszyscy dziećmi jego Narodnej Woli.

W dwa dni po tym wieczorze przyszedł błąd i zmieniony. Aresztowano Kwiatkowskiego<sup>570</sup>, Preśniakowa<sup>571</sup>. Groziła im kara śmierci. Dowiedzieliśmy się bowiem, że Goldenberg zwariował czy też po prostu dał się oszukać. Wmówiono w niego, że rząd wstępuje z nim w układy. Goldenberg, chcąc dać poznać potęgę Narodnej Woli, w imieniu której

<sup>570</sup> Kwiatkowski, Aleksandr Aleksandrowicz (1852–1880) — rosyjski rewolucjonista pochodzenia polskiego; uczestnik „wędrowek w lud”, współzałożyciel Ziemi i Woli, członek Komitetu Wykonawczego Narodnej Woli; uczestniczył w przygotowaniach do nieudanego zamachu na Aleksandra II w Pałacu Zimowym, aresztowany w 1879, rok później skazany w tzw. „procesie szesnastki” i stracony. [przypis edytorski]

<sup>571</sup> Preśniakow, Andriej Korniejewicz (1856–1880) — ros. rewolucjonista, członek Narodnej Woli; uczestniczył w przygotowaniach zamachu na cara; w 1880 aresztowany, skazany w tzw. procesie 16 i stracony. [przypis edytorski]

Śmierć, Rewolucja, Sława,  
Lud

List

miał stawiać warunki, składał całkiem dokładne zeznania. Rząd znał nas teraz wszystkich i mógł policzyć. W papierach Kwiatkowskiego znaleziono plan Zimowego Pałacu. Sala jadalna oznaczona była czerwonym krzyżem. Wzbudziło to niepokój, który przedostał się do prasy. Żelabow w kilka dni jednak potem już, spotkawszy mnie, powiedział:

— Kret ostał się i ryje.

Zimowy Pałac wieczorami gorzał<sup>572</sup> od świateł. W podziemiach jego śmierć czaiła się, czekając swej chwili. Od dwóch już tygodni w mieszkaniu służby pałacowej w suterrenach kładł co wieczór swą znużoną i zbolaną głowę Chałturyn<sup>573</sup> na woreczku z dynamitem ukrytym pod poduszką.

### XIII. ŁUCZNIK

Chałturyn był robotnikiem. Poznałem go w tym czasie, gdy wykradał się z Pałacu i przychodził wieczorami po nowy transport dynamitu. Mógł przenosić dynamit w małych ilościach tylko, gdyż wzmożono ostrożność w Pałacu. Wieczorem spał, podkładając dynamit pod poduszkę: wydzielające się z worka trujące gazy wywoływały straszne bóle głowy. Chudł z dnia na dzień i bladł, oczy zapadały głębiej w czaszkę, stawały się coraz groźniejsze. Twarz jego miała wyraz uporczywej, zacieklej woli. Był to jeden z tych ludzi, których stanu duszy nie rozumie dotychczas przeciętny kulturalny Europejczyk. Z całą świadomością, jako jednostka, wiedząc o tym, że przeminie, zginie raz na zawsze, szedł on drogą śmierci wierząc, że buduje życie przyszłej ludzkości.

Mysł kulturalna posiadających warstw nie może się oswoić jeszcze z psychologią tych świadomych budowniczych dziejów. Nie może oswoić się wciąż jeszcze z niezmiennym faktem, że człowiek przestał być biernym materiałem, czymś, z czego wykuwa się państwa, narody, kultury. Jak śmieszny jest szczebiot „o zaniku poczucia indywidualności, o niwelującym technieniu mas” w czasie, którego rysem znamionym i charakterystycznym jest właśnie przebudzenie, spotężnienie niebywale indywidualności. Tam, gdzie była dotąd bierna, martwa materia historii, tam teraz żyje myśl ludzka. Rozumne oczy patrzą z tych tłumów, w których myśl rządząca przywykła widzieć tylko pył, tylko bezimienną głębę. Te żale na zanik indywidualności, to w gruncie rzeczy — skarga, że utracone zostało raz na zawsze przewodnictwo. Nie ma komu przewodzić. Tłum przestaje być żywiołem biernym i podatnym dla wszelkiego rodzaju wpływów. Myśl wstępuje w odrętwiałe ciało. Indywidualność przestaje być przywilejem.

Czy nie pośmiewiska godne są te narzekania na zanik osobistej inicjatywy ludzkości w momencie, kiedy Chałturynowie rodzą się tysiącami i setkami tysięcy? I jakaż różnica jeszcze. Ta nowa indywidualność nie wymaga jako tła niczyjej bierności. Sama siebie wprowadza w związek, w łączność z innymi, podobnymi sobie. Nie żąda od żadnej zręczenia się samodzielności, nie opiera się na niczym podziw, nie opiera się w ogóle na niczym prócz siebie. Nie lęka się, że gdy prysną stworzone przez przeszłość społeczne kształty, straci ona w nich swój grunt, swoje oparcie. Opiera się tylko na sobie wobec świata. Nie szuka żadnej nagrody. Nie rozdwa się i nie odsuwa od swego dzieła. Jest w nim i na tym poprzestaje, że świadomie żyła, że świadomie wprowadziła w organizm, w krew ludzkości to tylko, co chciała wprowadzić.

Chałturyn był człowiekiem z małym wykształceniem, ale jasnymi myślami. I myśli te były prawdziwe. Rozumiał on znaczenie walki, zwróconej przeciwko najwyższemu przedstawicielowi przemocy, jej najpełniejszemu wcieleniu, i pojmował znaczenie, jakie tkwi w fakcie, że jego to, robotnika, ramieniem porażony padnie car: ziemski bóg ludu. Życie w Pałacu, ukrywanie się, zjadliwe działanie gazów rozstrajało go i utrzymywało w stanie podniecenia.

Tymczasem na powierzchni trwały śmiertelne, nieustające łowy. Aresztowany był Kletocznikow — i trudniej było nam uprzedzać ciosy. Z przerażeniem myśleliśmy o położeniu, w jakim znalazł się ten mężny człowiek, w szponach wrogów, którzy musieli

Historia, Lud, Tłum,  
Władza

<sup>572</sup>gorzeć (daw.) — płonąć; tu: jaśnieć. [przypis edytorski]

<sup>573</sup>Chałturin, *Stiepan Nikolajewicz* (1857–1880) — rosyjski rewolucjonista, członek Narodnej Woli, organizator, razem z Żelabowem, nieudanego zamachu bombowego na Aleksandra II w Pałacu Zimowym (luty 1880); ujęty w marcu 1882 podczas zamachu na znanego z okrucieństwa prokuratora Strielnikowa, skazany i stracony; w trakcie śledztwa nie wykryto, że był również sprawcą ataku na Pałac Zimowy. [przypis edytorski]

znenawidzić go śmiertelnie za tyloletnie paraliżowanie zamachów. Przez kilka lat przebywał on w jaskini zdrady i wyrwał węzom jadowite kły.

Kletocznikow był jednym z tych społecznych zjawisk, które umiałby wyczuć jeden Balzak<sup>574</sup> tylko. Drobnym urzędnikiem, bez wielkiego wykształcenia, zastanawiając się nad otaczającym go życiem, nad historią ostatnich dziesiątków lat w Rosji, napotyka na *instytucję* tak zwanego Trzeciego Wydziału kancelarii jego cesarskiej mości. Tu jest siedlisko, skąd padają ciosy. Tu się krępuje myśli i powoli zabija życie w jego najszlachetniejszych objawach. Kletocznikow myśli o tym, w duszy mu wyrasta zamiar walki z bezdusznym, strasliwym potworem. Kto wie, czym jest policja w kraju jak Rosja, kto wie, jaka ją otacza groza, zrozumie heroizm tego postanowienia. Oddać się we władzę potwora i w jego własnej siedzibie knuć spisek przeciwko niemu, oszukiwać nieustannie jego wszechwładzące oczy. Kletocznikow wiedział, co go czeka. Wiedział, że zemsta będzie tu chłodna, bezlitosna i wyrafinowana. Sam siebie stawiał poza nawiasem tych sfer życia, jakimi rządzi jeszcze choć nikły cień prawa. Kto zbada domowe sprawy tajnej policji? A dla społeczeństwa będzie on przecież tajnym agentem<sup>575</sup>, kimś, czyj los nie obchodzi nikogo. Tajny agent dopuścił się jakiegoś przemianowstwa przeciwko swojej zwierzchności. Sprawa jest przesądzona. Należy ona do tych sfer bytu społecznego, w których robactwo ludzkie zagryza się wzajemnie bez światła i bez szmeru.

Kto zdoła ocenić to męstwo, jakie tkwiło w czynie Kletocznikowa, w jego życiu? Znałem go, był to człowiek ze świata Dostojewskiego<sup>576</sup>, człowiek, który nie cenił swojego istnienia, życia swojego, strasliwego bohaterstwa, i wykonywał je z dnia na dzień z poddaniem losowi. Myśmy żyli na powierzchni oświetlanej przez słońce, byliśmy zresztą jedną wielką, złączoną przez przyjaźń gromadą. On żył sam za swą potworną maską w świecie gadów. Teraz był on w ich władzy i można było przewidzieć, jakim cierpieniem moralnym, jeżeli nie cielesnym, poddadzą oni bezbronną ofiarę. To było istotnie rzuceniem się do węzowej jamy. I człowiek dobrowolnie wybrał ten los, z rozmysłem, z rozwagą. Człowiek, który wiedział, że nie ma nic prócz tego swego oddanego na stoczenie czerwom<sup>577</sup> życia, że gdy mu je wydrą gady, nie zostanie mu nawet wspomnień, w których może odpocząć dusza. Jedyne jego radości to były chwile, w których udało mu się ostrzec kogoś lub ocalić. Wtedy twarz jego rozjaśniała się i gdy przecierał okulary, widziało się radość w jego zamglonych, ciemnych oczach.

— Gdyby oni mogli zrozumieć ten symptomat — mówił Michajłow — przerazić by ich powinien Kletocznikow więcej niż wszystkie zamachy. Czy można walczyć przeciwko prądowi, który takie siły, takich ludzi stwarza?

Chałturyn był w stanie bliskim gorączki, liczył on godziny i minuty. Mówił tylko o chwili, gdy runie w gruzy samo utwierdzenie przemocy. Na razie miał dynamitu dość, teraz trzeba było czekać chwili, w której można by założyć minę. Czekaliśmy z Żelabowem w pobliżu pałacu. Podszedł ku nam zgnębiony:

— Jeszcze nie dziś.

I znowu przeszły dwa długie dni. Dwa dni czekaliśmy Chałturyna na próżno i już obawialiśmy się, czy nie został schwytany. Żelabow marszczył brwi.

— Trzeba będzie zakładać nowy pocisk.

To było siłą Żelabowa. Przyjmował on każde położenie i jego wola po każdej porażce na nowo zaczynała pracować w tym samym kierunku. Istotnie, był on z rasy ludzi chwytających gwiazdy za szprychy i zatrzymujących je w biegu. Gdyśmy już mieli wracać, otarł się o nas Chałturyn:

— Już — rzekł.

Szedł on do przygotowanego z góry schronienia. Był wyczerpany, trząsł się, głowa pałała, nie mógł czekać. Odprowadziliśmy go i wracaliśmy. Nagle straszny huk wstrząsnął nami. W Zimowym Pałacu światła w oknach zgasły. Niebo zapłonęło rdzawym ogniem

<sup>574</sup>Balzac, *Honoré de* (1799–1850) — francuski powieściopisarz zwany ojcem powieści realistycznej; zasłynął cyklem powieściowym *Komedia Ludzka*, pokazującym życie społeczne, polityczne i obyczajowe we Francji od czasów rewolucji francuskiej do rządów Ludwika Filipa. [przypis edytorski]

<sup>575</sup>agent (daw.) — agent. [przypis edytorski]

<sup>576</sup>Dostojewski, *Fiodor* (1821–1881) — wybitny powieściopisarz rosyjski, mistrz realistycznej prozy psychologicznej; autor m.in. *Zbrodni i kary* (1866), *Idioty* (1868), *Biesów* (1871–72), *Braci Karamazow* (1879–80). [przypis edytorski]

<sup>577</sup>czerw (daw.) — robak, larwa. [przypis edytorski]



i po chwili stało się czarnorude. Wszczął się straszny popłoch. Jedni uciekali, inni, ciękawsi, zbliżali się. Plac przed Pałacem był już otoczony wojskiem. Z hukiem pędziła straż ogniowa, oddziały konnicy. Czekaliśmy z bijącym sercem, nasłuchując głosów w tłumie. Już mówiono, że zginął car z całą rodziną, gdy nagle od placu zaczęły nadbiegać okrzyki:

— Hura!

— Ocalał znów — rzekł Żelabow.

I w tejże chwili zwrócił się ku mrocznemu budynkowi.

— A jednak zginiesz.

Chałturyn płakał z wściekłości, gdyśmy powiedzieli, że car zdrów, nietknięty.

Były poza nim sny dumy i nienawiści, długie dni tajonych myśli dni ściganego zwierza wśród psiarni, noce niepokoju i cierpienia. Teraz też wybuchło w nim to wszystko: nerwy rozprężyły się. Zamknięty w swej kryjówce, czynił wrażenie ranionego zwierzęcia leśnego, gotującego się do przedśmiertnej walki: oczekiwał najścia policji i nie spuszczał z oczu rewolweru i przygotowanej bomby. Za żadną cenę nie chciał się żywym dostać w ręce władzy. Mówił, jak mógł być zabić cesarza w pałacu we własnym gabinecie. Był zatrudniony jako stolarz i był właśnie w pokoju, gdzie wykończył jakąś pracę, gdy wszedł cesarz.

— Wydawał mi się rozmarzony — mówił — przez wino i jakby smutny. Poruszał się ciężko i patrzył na mnie zmęczonymi oczami, nie mogłem zabić go wtedy. Mógłbym mu wbić w serce ostrze dłuta lub głowę strzaskać ciężkim przyciskiem, ale nie przeszło mi to przez myśl, jakaś mgła mnie owionęła i wydawało mi się później, żeśmy spotkali z nim gdzieś na jakichś moczarach w szarugę. Sny miałem ciągle niejasne i splątane z bólu głowy, który mi czaszkę łamał nieustannie. Marzyło mi się, że szliśmy z nim przez moczary. I jego, i mnie wciąż moczary i wydawał mi się jakby pijany chłop, przebrany tylko w ten mundur i ordery. Nie mogłem go tak zabić, teraz, kiedy wiem, że on tam żyje wśród gruzów — zdaje mi się, biegłbym i własną ręką go udusił. Dziwna rzecz, wtedy mi było żal. Patrzył jak człowiek ogłuszony. I może teraz znów, gdyby mi stanął tu przed oczyma, nie tknąłbym, a myślą zabiłem go sto razy.

— Teraz już dość — rzekł Żelabow — więcej nie chybimy.

Żelabowa cechowało to, że szedł prosto do celu. Okres, który rozpoczął się teraz, miał w sobie jakieś zimne upojenie jedną myślą: nie chybić. Wola kilkudziesięciu ludzi zawisła nad jedną głową jak topór. I było coś strasznego w tym świadomym, jasnym, nieustanym ostrzeniu topora. Rysuje mi się zawsze Żelabow z tych czasów w pamięci jak łucznik naciągający cięciwę długo, powoli, stanowczo. Łucznik padł, ale w powietrzu strzała brzęczy, pruje przestwór, czuje się, że trafi.

W tym czasie życie nasze duchowe weszło w nowy okres. Stało się zimne, nieugięte — jak stal.

— Gdyby oni mieli uszy — rzekł Żelabow — słyszeliby, jak rośnie gilotyna.

Żelabow miał w sobie matematyczny chłód wodza. Był z tych, którzy gdy raz cel przed sobą postawią, muszą go dokonać i na świat cały patrzą z punktu widzenia tej swej niezmiennej woli. Aleksander Sołowjew szedł na straszliwy pojedynek z carem. Życie swoje już z góry składał w ofierze fatum i szedł, jak sama śmierć, ugodzić winę. Chałturyn był jak otchłań krzywdy ludzkiej, rozwierającej się pod nogami przemocy. Żelabow był spokojny i zimny, pewny siebie i swojej słuszności: łucznik Apollina<sup>578</sup>, mordujący smoki. Pomiędzy nim a Aleksandrem II nie było już żadnych wątpliwości moralnych, nie było żadnych kwestyj prawa. Przemoc była osądzona i skazana — musiała ulec. Żelabow miał w sobie tę zupełną jasność stanowczej, zdecydowanej woli. Szedł naprzód, nie potrzebując egzaltacji ani uniesienia. Szedł po swoją zdobycz jak los. Mimo woli rodziło się zabobonne przecucie: teraz nie ujdzie, nie może ując.

Nigdy Żelabow nie był tak bardzo sobą, jak w tym czasie. Wyprostował się i wyrósł. Był to czas jego miłości dla Perowskiej. Jak lwy wzrastali oni w siłę w tym związku. Spokój, jasna wesołość Soni Perowskiej stały się teraz dumą Pallady<sup>579</sup>, zbrojnej w spiż. Byli

<sup>578</sup> *Apollo* (mit. gr.) — bóg słońca, sztuki, wróżbiarstwa i gwałtownej śmierci, przewodnik dziewięciu muz; jego atrybutami były lira i łuk; zabił Pytona, olbrzymiego węża naslanego na jego matkę przez Herę. [przypis edytorski]

<sup>579</sup> *Pallada* a. *Pallas* (mit. gr.) — przydomek Ateny, bogini mądrości i sprawiedliwej wojny. [przypis edytorski]

obok siebie jak jakieś postacie z epopei. Obok nich gromadziły się dusze hartowne<sup>580</sup>, wypróbowane, dziś złączone tą jedną myślą. Jak daleki był czas, kiedy szli oni z wiarą, że istnieje gotowe królestwo prawdy i swobody i dość jest stać się jego myślą. Potem szły lata więzień, szubienic, męczeństw, rozłąki, nieustanny szczeł kajdan biegł spod ziemi, mroził straszny krzyk zamurowanych za życia w centralnym charkowskim więzieniu: dusze zbroiły się, wznosiły się ramiona przeciwko mrocznym mocom, rzucającym gromy w szlachetne, bezbronne głowy. Teraz już stali przed sobą twarz w twarz: car na chwiałym się, krwią zwałonym tronie, otoczony przez całe tłumy szpiegów i stróżów, i ta lwia gromadka. Wola zdeptanego, krzywdzonego ludu, która stała się ciałem. Było lwie tchnienie w tymi wszystkim. Poza spuszczone powiekami, bladą, jakby zmęczoną, woskową twarzą pracowała nieustannie myśl Kibalczyca<sup>581</sup>. Mierzył i obliczał. Pioruny miały tu mieć matematyczną pewność myśli. Był Zelman, zapatrzony duszą w olbrzymie dusze zapasników. Michajłow Aleksander, Michajłow Timofiej<sup>582</sup>, cichy, oddany prawdzie, łagodny, był Frolenko<sup>583</sup>, dusza bohatera, serce dziecka. Była Wiera Figner<sup>584</sup> — Antygona, o spiżowym sercu — była Olga Lubatowicz. Tichonrawow z sercem zastygłym i myślą wołającą zemsty. Był Mikołaj Siewierow, poeta, mędrzec, wieszcz. Sablin<sup>585</sup> — Hamlet, dusza miękka i serce spiżowe, była Hesia Helfman<sup>586</sup>, której nie można było nie pokochać. Był Łopatin<sup>587</sup>, przed którym chyliły się z uszanowaniem siwe głowy starców. Był w Szwajcarii, lecz duszą zawsze z nami, rycerz i bohater Stiepniaak. Były z nami wszystkie serca czyste, których tyle zginęło. Cienie Lizoguba, Malinki, Drobiazgina, bohaterska postać Osińskiego — cała przeszłość nasza, nasi święci konających w kajdanach, wszystko było z nami.

Czy można dziwić się, że nie drżało ramię Żelabowa? Czy nie miał prawa mówić on, że dzierży luk niechybny boga słońca? Naciągały mu cięciwę mroczne cierpienia, myśl ostrzyła niechybne strzały, błogosławiły im jasne, mądre oczy. Nie chybiecie strzały słoneczne: drogi wam znaczyła myśl serc mężnych, dusz niesamolubnych. Szukały one źródła krzywd i przeszkód i zdążyły poprzez wszystkie ścieżki tam, gdzie bije serce potwora.

Bohaterstwo, Car,  
Krzywdą, Serce, Potwór

<sup>580</sup>hartowny — zahartowany, twardy. [przypis edytorski]

<sup>581</sup>Kibalczyk, *Nikołaj Iwanowicz* (1853–1881) — rewolucjonista rosyjski, członek Narodnej Woli; był głównym ekspertem organizacji zajmującym się materiałami wybuchowymi, przygotował bomby, które wykorzystano w udanym ataku na Aleksandra II; stracony razem z innymi organizatorami zamachu. [przypis edytorski]

<sup>582</sup>Michajłow, *Timofiej Michajłowicz* (1859–1881) — ros. rewolucjonista, członek Narodnej Woli; w styczniu 1881 zgłosił się do grupy ochotników, którzy mieli rzucić bomby w karetę carską; po zamachu aresztowany i stracony. [przypis edytorski]

<sup>583</sup>Frolenko, *Michaił Fiodorowicz* (1848–1938) — ros. rewolucjonista, „uczestnik „wędrowek w lud”, członek Komitetu Wykonawczego Narodnej Woli; brał udział w przygotowaniach zamachu na Aleksandra II na linii kolejowej pod Odessą (sierpień 1878) oraz udanego zamachu w 1881; skazany początkowo śmierć, później na dożywotnie więzienie; w 1905 zwolniony. [przypis edytorski]

<sup>584</sup>Figner, *Wiera Nikołajewna* (1852–1952) — ros. rewolucjonistka, działaczka ruchu narodnickiego, autorka wspomnień; współuczestniczyła w organizacji zamachów na Aleksandra II pod Odessą i w Petersburgu; po zabójstwie cara jako jedyna uczestniczka przygotowań i jedyna osoba z Komitetu Wykonawczego Narodnej Woli zdołała zbiec policyjnym poszukiwaniom; w 1883 aresztowana na skutek donosu, skazana początkowo na śmierć, potem na dożywotnią katorgę; uwolniona w 1905 wyjechała za granicę i współpracowała z eserowcami; wróciła do Rosji w 1915, po rewolucji październikowej wybrana w demokratycznych wyborach do Konstytuanty z listy eserowców; po rozpędzeniu parlamentu przez bolszewików w styczniu 1918 wycofała się z działalności politycznej. [przypis edytorski]

<sup>585</sup>Sablin, *Nikołaj Aleksiejewicz* (1849–1881) — ros. rewolucjonista, członek Narodnej Woli, autor wierszy rewolucyjnych; brał udział w przygotowaniach zamachu na Aleksandra II pod Odessą oraz udanego zamachu w Petersburgu; popełnił samobójstwo, kiedy próbowano go aresztować. [przypis edytorski]

<sup>586</sup>Helfman, *Hesia Mejerouna* (1855–1852) — rosyjska rewolucjonistka pochodzenia żydowskiego, członkini Narodnej Woli, współorganizatorka zamachu na cara Aleksandra II w marcu 1881; aresztowana razem z Nikołajem Sablinem, swoim ówczesnym kochankiem, skazana na śmierć; ponieważ była w ciąży, wykonanie wyroku odroczone, osadzając ją w Twierdzy Pietropawłowskiej; niedługo po porodzie zmarła; jej pochodzenie podkreślano podczas pogromów, do których doszło po śmierci cara. [przypis edytorski]

<sup>587</sup>Łopatin, *Herman Aleksandrowicz* (1845–1918) — ros. rewolucjonista, dziennikarz i pisarz; uczestnik walk we Włoszech pod wodzą Garibaldiego, członek I Międzynarodówki, przeciwnik Bakunina; w 1870 bezskutecznie usiłował uwolnić Czernyszewskiego z Syberii; podczas jednego z wyjazdów do Rosji aresztowany (1887), skazany na dożywotnie uwięzienie w Twierdzy Szlisselburskiej; po uwolnieniu w 1905 zaprzestał działalności politycznej. [przypis edytorski]

I po cóż, jasny carze, zmęczony, biedny człowieku, w twojej ono żyje piersi? Po coś krwią ciężką, smutną zasilą cielska polipów i gadów, wplecione w ciało konającego ludu? Po cóżes głową zgodził się być, co żyje na ciele Hydry<sup>588</sup>?

Tę zetniesz, nową urodzę... — mówi Hydra. — Całe ciało mam wykarmione łzami, krwią, w węzowym jądzie skąpane.

Świszcze w powietrzu niechybiająca strzała. Błogosławi jej myśl czysta, myśl niepokonana. Dlaczego roześmiały się cierpiące oczy Gleba Uspińskiego, gdy zasłyszał, jak pręży się, jak śpiewa pod bohaterską dłonią cięciwa. Serce gołębie, serce dziecięce błogosławi ci — niechybna strzała. Chyli się głowa mędrca, Piotra Ławrowa, myśl zmierzyla drogi, utkwiała w sercu, które bije jak dzwon na niedolę ludzką. Lwia głowa Marksa przyszyła pozdrowienie Wielkiemu Komitetowi.

Nie zbledniesz, luczniku, nie zdrzy ci dłoń, z tobą Apollon, bóg jasny, i Dionizus<sup>589</sup> pijany cierpieniami, Zeus<sup>590</sup> gromowładny i mieczem walczący Apollo. Z tobą erynie<sup>591</sup> podziemne, z tobą płaczki, co łzy swe wyplakały, z tobą ból i jęk głuchej ziemi.

Dlaczegożes zechciał być, biedny, zmęczony człowieku, głową Hydry, dlaczegożes przyzwolił swemu sercu, by wrosło w piersi potwora? Czy cieszy cię krwi ciężkiej obieg, czy cieszy cię krwi brzemień? Strzała padnie i zwali. Czarna ziemia da spokój. Sameś wszedł na te krwawe moczary. Nie ocali cię nikt. Mierzymy prosto w serce potwora, co i twój los dzierży. Dlaczegożes oddał mu swe serce?

Myślę, że na dnie duszy sam Aleksander II czuł, że nie uchroni go nic. Był to czas potwornej i straszliwej walki w ciemnościach. Policja natężyła wszystkie swoje siły. Czują, że drży już w powietrzu cios ostateczny i raz po raz ludziła się, że padło pod jej uderzeniem wzniesione groźnie ramię. W całym nastroju społeczeństwa petersburskiego było to samo oczekiwanie. Ludzie wyczuwali, że naokoło nich wzmaga się groźna moc, słyszeli padające ciosy. Pomimo zapewnień policji opinia nie przestawała widzieć w Narodnej Woli groźnej, niedosiężnej, wiszącej jak miecz nad głową siły.

Zbudziła się *moc* ze śnieżnych pól Sybiru, z zapomnianych mogił, z lochów i katowni więziennych. Udręczona dusza ludu przywdziała spiż. Miedziana chmura ciążyła nad głową, na którą wszyscy patrzyli, czując, że padnie, paść musi. Był to czas, w którym groza stała się atmosferą naturalną. Walka była na śmierć i życie i śmierć przechodziła prawie niedostrzegana. Zginęli na szubienicy Preśniakow i Kwiatkowski. My już nawet nie obiecywaliśmy sobie, że śmierć tę pomścimy. Dusze i wole zajęte były tylko tym jednym: kuciem pocisku, natężaniem cięciwy.

Plan przygotowany był starannie, z rozmysłem i chłodem. Wybrana była ulica, po której jeździł Aleksander II, wynajęty był sklep, z którego piwnicy prowadzono podkop. Kibalczyk obliczał siłę wybuchu, w sklepie osadzono Bogdanowicza<sup>592</sup> i Lebidiewą. Żelabow przygotowywał jednocześnie inne plany.

Gdy myślę o tej epoce, zdaje mi się, że tym, co wytwarzało naokoło nas i w nas samych ten nastrój groźnego spokoju, niewahającej się mocy, było poczucie moralne. Społeczeństwo czekało z natężeniem, miało się przekonać, czy prawdą jest, że pod strasznym uciskiem, w uciemżeniu, wśród mroku zdołała jednak jego zdławiona, skrwawiona pierś porodzić *prawo*. Miało się przekonać, czy prawo to żyje i włada nad przemocą. Prawo deptane, unicestwiane, złane krwią. Milionami gasnących oczu patrzy lud rosyjski w niebo, własną duszę, niezmienny, ciemny los. Tysiącami strumieni płynie krew. Człowiek jest zabijany każdej godziny: azali<sup>593</sup> jestem niczym? Śmierć Aleksandra II oczekiwana była jak ten głos prawa, przywracający milionom zdeptanych istnień godność ludzką.

<sup>588</sup> *Hydra* (mit. gr.) — potwór z wieloma głowami, odrastającymi po ścięciu, zabity przez Heraklesa. [przypis edytorski]

<sup>589</sup> *Dionizos* (mit. gr.) — bóg wina i odradzającej się przyrody. [przypis edytorski]

<sup>590</sup> *Zeus* (mit. gr.) — najważniejszy spośród bogów olimpijskich; bóg nieba i ziemi, władał piorunami. [przypis edytorski]

<sup>591</sup> *Erynie* (mit. gr.) — boginie zemsty, karzące zwłaszcza przewiny wobec rodziny i rodu, przedstawiane ze skrzydłami i z węzami we włosach, doprowadzające do szalu i dręczące tych, których ścigają. [przypis edytorski]

<sup>592</sup> *Bogdanowicz, Jurij Nikołajewicz* (1849–1888) — rewolucjonista, uczestnik „wędrówki w lud”, członek Komitetu Wykonawczego Narodnej Woli; uczestnik przygotowań do zamachu na Aleksandra II; aresztowany w marcu 1882, skazany na karę śmierci zamienioną na dożywocie w Twierdzy Szlisselburskiej, gdzie zmarł. [przypis edytorski]

<sup>593</sup> *azali* (daw.) — czy. [przypis edytorski]

Gina, ale są. Myśl skrepowana, bezsilna, niewierząca w siebie, duma ludzka stratowana w pył, cały naród niewolników, wszystko to zastygło w milczeniu.

Już porodziłam moc, która piorunami godzi w siłę ciemieży — myślała dusza niedoli, dusza niewolnicza. — Azali jestem, azali jestem? Czy w moim ręku płonie miecz?

Rosja carska, zaprzeczenie człowieka, gwałt nad człowiekiem, przemoc szerząca błądą trwoję: Rosja, kraj mrocznego obłądu milionów, czuła, że żyje, oddycha w niej, czuwa siła nowa — myśl zbrojna.

Nie zadrzy, nie zadrzy łuk: w sercu twoim, carze Aleksandrze, żyje także ten głos — oto prawo. Zejdź w swoje serce i słuchaj; słuchaj, czy nie gardzi ono tobą samym? Czy nie czujesz w nim śmiertelnego znużenia, ciężkiej nudy? Krwawy obłok padł ci na serce, siebie nie widzisz, coś cuchnącego krwią i mordem lepi się naokoło twoich myśli, na próżno szuka ona i kołaczę, nie widzi drogi. W głębi duszy tyś sam siebie osądził, carze rosyjski, myśli odeszły, serce porzuciła radość. Dzień upływa za dniem, jak mętny, ołowiany sen płyną godziny. Gdzie spojrzysz — wszędzie krew. I nadaremnie mówisz: Jam miał prawo. Wielki Bóg posłał mnie pełnić krwawą służbę. — Patrzysz w siebie: nie przesłoni chmura ładanu nudy i zmęczenia. Z oszczepem na niedźwiedzie chodziłeś, biały carze. I dlaczego wije się teraz myśl jak zraniony zwierz? Weź strzałę, pchnij ją ostrzem w serce. I tobie się należy spokój, ofiaro krwawej mgły. Woła cię zgnięta mgła petersburska, otacza błady ranek. Nie ujdiesz, nie ujdiesz, ty to wiesz. Widziałeś, jak bielmo strachu mgławi ślepia zwierza, gdy zajrzał on w nieustraszone twoje oczy łowcy. Patrz, patrz: tam bóg słoneczny naciąga cięciwę. Leci strzała, dźwięczy, świszczę i twoja własna myśl szepcze cicho: niechaj już ugodzi. Zwolony<sup>594</sup> będziesz z mgły krwawej, zwolony będziesz z pustki. Nie z twojej, nie z twojego serca legnąć się będzie błąd, bezoki potwór, ssący krew, dławiący duszę. Ty sam wiesz, że serce twoje dzierży upiory. Bóg słoneczny trzyma już niechybny łuk.

Car, Bóg, Serce

#### XIV. W SMOCZYM GNIEŹDZIE

Zapał mi w pamięci wieczór listopadowy, w którym ostatni raz widziałem Michajłowa. Jak zawsze był on wszędzie, zdawało się, że umie się dwoić i troić. Dziś był jeszcze gdzieś poza Petersburgiem, jutro już organizował za roгатką Newską kółko robotnicze, wykonywał tysiączne zlecenia. Zawsze niez mordowany, jasno widzący. Policja polowała na niego z systematyczną zaciekłością. Wyśliznął on się jej prawie cudem, jadąc do Moskwy. Na próżno prosiliśmy go, aby się schronił do któregoś z bezpiecznych mieszkań na jakiś czas. Czuł on, że zbliża się stanowcza chwila, a może też widział, że powoli topnieją szeregi, że coś się zmienia w nich samych, w usposobieniach organizacji. Nowicjusze, którzy napływali, nie byli w stanie zastąpić tych, którzy ginęli. Nie mieli poza sobą przeszłości. Organizacja psychiczna narodowolca składała się powoli, narastało włóknem za włóknem, komórka za komórką. Każdy z nas miał w sobie, w całym ukształtowaniu duszy całą historię, cały straszliwy, kształcący, wyrabiający charakter bieg zdarzeń i okoliczności. Ludzie nowi przychodzili od razu do gotowych wniosków i rezultatów. Byli jednostronniejsi i bardziej powierzchowni, wydawali się zaś bardziej stanowczy.

Kirsanow, spotkawszy się z nami, z tryumfem i właściwą sobie ironią wskazywał na takie lub inne ryzykowne zadanie.

— Tak to więc, Aleksandrze Dymitrowiczu — mówił — z biegiem czasu będzie można i o zmianie dynastii pomyśleć. Na razie marzy się jeszcze Wszechrosyjski Komitet Ocalenia, a kto wie, może on już jest w waszych szeregach, ten rodzimy poszechoński<sup>595</sup> Bonaparte.

Michajłow rzadko tracił spokój. W polemice nie zapominał nigdy tego, co łączyło.

— Daj pokój już — rzekł — daj już pokój.

Ale Kirsanow tryumfował wciąż. Michajłow przystanął:

— Ot, posłuchałbyś, w samej rzeczy kłaniają ci się Kwiatkowski, Priesniakow, Sollowjew Aleksander Konstantynowicz: *Ave triumphator!*<sup>596</sup> Mądry jesteś, Jerzy. My przejdziemy wszyscy przed tobą, a ty zostaniesz, będziesz ludzi uczył, jakeś ty zawsze i we

<sup>594</sup>zwolony — tu zapewne: wyzwolony. [przypis edytorski]

<sup>595</sup>poszechoński — od tytułu utworu Sałtykowa-Szczerdina *Poszechońskie dawne dzieje* (1887–89), częściowo autobiograficznej powieści o Rosji pańszczyźnianej. [przypis edytorski]

<sup>596</sup>*Ave triumphator!* (łac.) — Witaj, triumfatorze. [przypis edytorski]

wszystkim rację miał. Tylko to sobie zapamiętaj, niewolnik nigdy w niczym nie może mieć racji. Trzeba było w duszy rosyjskiej stworzyć miecz, trzeba ją było w miecz uzbroić. Teraz myśl. A tak. Czy nie wszystko jedno, co myśli stado?

— Miecz, miecz — mówił Kirsanow. — Cóż jest miecz? I trupy towarzyszków niepotrzebnie mi wypominasz. Może kiedyś przypomni nam lud rosyjski je i zapyta: dlaczegoż oni zginęli, dlaczegoż oni chcieli zginąć?

Michajłow odwrócił się błady i zaczął mówić trzęsącymi się ustami:

— Słuchaj, przyjmuję odpowiedzialność. Za tamte głowy, za te, co padną, za własną. Przyjmuję. I mówię ci jeszcze raz, gdybyśmy zaczęli od początku — tak samo byłoby. Więc znaczy Komitet Ocalenia? Nie... Znaczy nowa struna, nowa myśl w duszy ludzkiej. Ta, która dźwięczy: walcz, porażaj, zwycięż, prawo twórz. Kto ci w drodze stoi — trup. I bądź tym ty sama — błyskawico.

— Naturalnie, naturalnie, my zawsze musimy lepiej wiedzieć, nie po europejsku — szydził Kirsanow. — Gdzieżby nam za Europą zdążać. My świat zdziwimy.

— Raz ci jeszcze powiadam *morituri te salutant — ave doctor*<sup>597</sup> — mówił błady Michajłow. — Będziesz miał czas, przekonasz cały świat, żeśmy za nasze błędy w mogile legli. Ale pozostanie jednak to, co ma być — miecz ludowy...

— Bakunin nieboszczyk cię pozdrawia — mówił Kirsanow.

— Żal mi cię, Jur — rzekł Michajłow — sam ty duszę swoją strawisz. Szlachetny ty jesteś człowiek, ja to wiem. Ale to jedno w tobie jest: niewdzięczny jesteś. Wspaniałomyślności żadnej w tobie nie ma, dlatego będziesz zawsze słusność miał, a każda twoja słusność będzie porażką. Im więcej wznosić się będziesz, tym będziesz biedniejszy, bo zawsze będziesz szedł przeciwko czemuś. Chłodno ci będzie, Jur, i samotnie. Szkoda mi ciebie.

Kirsanow w tym czasie już był trawiony przez swoją śmiertelną chorobę: ambicję umysłową. Gdy przystępował do jakiejś rzeczy, znikał sam przedmiot — na pierwszy plan występowało to, *co on* o nim powie, i że to musi być lepiej i głębiej pomyślane niż wszystko inne. Jego życie myślowe było nieustannym zachowywaniem własnej rangi we własnych oczach. Taki był w stosunku do myślicieli prądów, o których mówił, taki w stosunku do ludzi. Był czas, gdy był on zrośnięty ze sprawą. Z biegiem lat kładły się ławice ambicji zaspokojonej i niezaspokojonej na ten pierwotny uczuciowy grunt. Dusza wapniała, kamieniała. Kirsanow stawał się coraz niezdolniejszy do wyjścia poza siebie. Nie znał on rozkoszy poznawania, zespalał się z myślą — wszystko przybrało formę nieustannego ocalania własnej słusności. Każda nowa myśl i nowy człowiek to był wróg.

Michajłow rozumiał to i pamiętał dawnego Kirsanowa. Żelabow przejrzał go na wskroś swoim ostrym wzrokiem i osądził.

— Kirsanowowi — mówił — rosyjski chłop jest głównie na to potrzebny, aby mi dowieść, że ja go nie znam. Marks mu jest potrzebny, aby dowieść, że Michajłowski jest zacofaniec. Wszystko, co bierze do ręki, staje mu się tylko kamieniem do gromienia każdego, kto mu na odcisk ambicji nastąpi. Gdy on spotyka człowieka — pierwsza jego myśl: to jednak dziwne, że on śmie jak gdyby istnieć i myśleć. Trzeba by dowieść, że jemu tylko się zdaje. Jakże to w samej rzeczy? Ktoś coś myśli, czuje, o czym ja nie wiem. To muszą być jakieś pośledniejsze myśli. Kirsanow będzie całe życie chodził w ciasnych butach, aby dowieść komuś, że ma mniejszą nogę, całe życie będzie czytał Hegla, aby mnie tym zadziwić, będzie przymuszał się do robienia każdej rzeczy, która mu zaimponuje. Dowiedział się, że Marks czyta *Don Kichota*<sup>598</sup> w oryginale, on go czytał też, choć nic nie rozumie. Cytuje Tacyta<sup>599</sup>, Platona, Bóg wie kogo: on książki czyta po to, aby Michajłowskiemu dokuczyć.

— Przesadzasz, Taras — rzekł Michajłow. — Ty wiesz, że przesadzasz.

<sup>597</sup>*morituri te salutant, ave doctor* (łac.) — idący na śmierć pozdrawiają cię, witaj doktorze (parafraza słów skierowanych przez wchodzących na arenę gladiatorów do cesarza: *Ave, Caesar, morituri te salutant*: witaj Cezarze, idący na śmierć pozdrawiają cię). [przypis edytorski]

<sup>598</sup>*Don Kichot* — powieść hiszp. autora Miguela de Cervantesa (1547–1616) o losach szlachcica, który pod wpływem romansów o czynach rycerskich postanawia ruszyć w świat i wcielać w życie średniowieczny ideał rycerski. [przypis edytorski]

<sup>599</sup>*Tacyt*, właśc. *Publius Cornelius Tacitus* (ok. 55–120) — wybitny historyk rzym., autor m.in. *Roczników* oraz *Dziejów*, opisujących historię Rzymu w I w. n.e. [przypis edytorski]

— Nie — twardo odparł Żelabow — ja wiem nawet, że gdy mnie powiesz, Kirsanow mnie ułaskawi, będzie nawet krzesła łamał, aby wzbudzić zachwyty dla swojej wspaniałomyślności. Już go widzę, jak będzie pozował na Mefistofelesa i mówił: W tym czasie pojmowanie ekonomicznej ewolucji w Rosji mało było rozpowszechnione — to się tłumaczy niskim rozwojem i tal dalej. Czyli: jeżeli ja, Jerzy Kirsanow, jestem dziś szczytem myśli, to stało się to dzięki ewolucji ekonomicznej, i ja skromnie nie przypisuję sobie żadnej zasługi stąd, że dialektyczny rozwój doszedł we mnie do samopoznania. Bieliński mówił: „A cóż to ja za dureń, abym był u jakiegoś wszechświatowego ducha na posyłkach! Więc to nie ja myślę, tylko on!” A Jerzy Kirsanow i powiada: proszę uważać, bo to mówi kwintesencja dialektycznego rozwoju ludzkości. Dialektyka dziejowa mówi he, he, he... Całkiem jak jakiś Akakiusz Akakiewicz<sup>600</sup>, przepisując papier napisany przez jego ekscelencję ministra.

Żelabow nie był myślicielem w swoich uczuciach i stosunkach osobistych. U niego było wszystko zdecydowane, jednolite i stanowcze.

— Nie jestem większy ponad chwilę. W każdym momencie robię to, co mam robić, jak mogę najlepiej. Nie wiem, nie mogę wiedzieć, co wyrosnie z czynu. Jeżeli przeżyję, zobaczę i będę szedł dalej. Jeżeli nie — życie wyprowadzi wniosek. Moje ja ma *zrobić* to, co każe moja wiedza, i kiedy postanowię jak najsilniej robić. Kirsanow chce być tym duchem, który rośnie z ludzkich kości. Odpowiedział mu już w *Fauście* Goethe: *Es ist der Herren eigner Geist*<sup>601</sup>. Dziś zresztą nie warto mówić.

Było nas sześć czy siedem osób w ten wieczór w mieszkaniu Żelabowa i Soni Perowskiej. Z Michajłowem nadszedł Kibalczyk i Sablin. Później nadszedł Wołczok. Nie pamiętam, był, być może, jeszcze kto. Przed paroma dniami wyprawiliśmy na Krym Zelman, który już stamtąd nie wrócił. Był to piękny, pełen treści wieczór. I taki pozostał w mej pamięci. Była jedna z tych godzin, kiedy każde słowo staje się znaczące.

Łatwowierna opinia wyobraża sobie Narodną Wolę jako gromadkę naiwnych młodzieniaszków, którym śniło się, że wybuchem jednej bomby przerodzą świat i ściągną na ziemię panowanie wiecznej wiosny. Ludzie nie mogą jeszcze zrozumieć, że dziś świadomy, nowoczesny człowiek nie jest w stanie ludzić się w ten sposób. Narodna Wola wiedziała, że jest momentem w dziejach duszy ludu, że ma tylko tę duszę budować, kształtować. Do dziś dnia ludzie nie mogą oswoić się z tym, że ktoś swe życie traktuje jako świadome dzieło. Śmierć świadomie przyjęta i wybrana wydaje się nieprawdopodobna. Czy przestaje ona być istotna, gdy jest bezwiedna? Litość wzbudza tłum, umierający przeciw nieustannie, rozkładany przez czas i ginący również, jak my, na wieki, a ludzący się, że on uchodzi śmierci, bo jej nie patrzy w oczy. Życie — to znaczy wiedzieć, jak się zginie, to znaczy kształtować te chwile, w których się rozplywamy nieustannie, to znaczy budować świadomie to, co pozostaje. Dyrektor departamentu policji Plewe<sup>602</sup> wierzył, że my dążymy do ministerialnych tek; dla motłochu Narodna Wola to są obłąkani, bo przecież było jasne, że oni nie mogą zwyciężyć. Narodna Wola zwyciężyła. Została w krwi ludu tym, czym chciała: zarzewiem buntu, prometeistyczną skrą — i to jest jedyna forma zwycięstwa. Co zostanie z tryumfu Bismarcka? Każdy dzień, który mija i który przechodzi w zbudowanym przez niego państwie, jest urągowaniem dla jego duszy feudalnego raubrittera<sup>603</sup>. „On panował nad dziejami”. Nie, one posługiwały się nim, robiły z niego, co chciały. Na jego grobie wzniosą gmach, w którym z niego, z jego ja nic nie pozostanie. My nie chcieliśmy tak zwyciężyć i to trzeba pojąć, jeżeli się zrozumie wszystko inne.

Revolucja, Zwycięstwo

<sup>600</sup>Akakiusz Akakiewicz — bohater noweli Gogola pt. *Szyneł*, drobny urzędnik, którego jedyną pasją jest przepisywanie papierów w kancelarii. [przypis edytorski]

<sup>601</sup>*Es ist der Herren eigner Geist* (niem.) — To tylko jest duch tych ludzi (parafraza cytatu z tragedii *Faust. Część pierwsza* Goethego, rozmowa Wagnera z Faustem; jego pełny sens to: to, co nazywasz duchem czasów, jest tylko własnym duchem tych ludzi [tj. autorów, kronikarzy], którzy po swoim odzwierciedlają czas). [przypis edytorski]

<sup>602</sup>Plewe, *Wiaczesław Konstantynowicz von* (1846–1904) — rosyjski arystokrata pochodzenia niemieckiego, urzędnik państwowy, prokurator, następnie dyrektor Departamentu Policji (1881–84), sekretarz stanu Wielkiego Księstwa Finlandzkiego (1900), minister spraw wewnętrznych i szef żandarmerii (1902); rasyfikator; zginął w zamachu zorganizowanym przez eserowców. [przypis edytorski]

<sup>603</sup>*raubritter* (niem.) — rycerz rozbójnik, utrzymujący się z rabunku kupców i podróżnych; plagą raubritterów były dotknięte średniowieczne, rozdrobnione na niewielkie państewka Niemcy. [przypis edytorski]

Michajłow mówił słusznie: nic nie zmieni faktu, że odtąd będzie żył rosyjski lud na grobie porażonego własnym ramieniem cara. Prędzej czy później zrozumie on, że z tej mogiły rodzi się jego *własne* prawo. Prawo nieulegania nikomu, stwarzania sobie własną wolą całego życia.

Sablin był smutny. Pracował on nie mniej od innych, ale męczyła go nieubłagana zaciętość tej walki, zimne okrucieństwo przygotowań. I istotnie to było straszne. Długie miesiące żyło się myślą o śmierci innego człowieka, nieustannym przygotowaniem, obliczano się szanse, obmyślało się środki, aby wróg nie zdołał ujść. A jednocześnie śmierć i zguba wyrwały nieustannie kogoś z naszych szeregów. Odchodzili oni od nas z tym samym twardym wyrazem twarzy, z tą samą nieubłaganą, kamienną stanowczością, jaka żyła w naszych sercach. Gdy znikali teraz, nie pozostawiali bezpośrednich wspomnień o sobie. Życie stało się tak surowe, że marło na ustach każde bardziej miękkie słowo. Zresztą byliśmy tak osaczeni, że trudno było nawet zebrać się. Dzisiaj schodziliśmy się już nie jak przyjaciele, lecz raczej jak jakieś sądzące, nieubłagane upiory-mściciele. Była i w tym może jakaś surowa poezja. Ale wymagała ona, by być odczuta, druidycznej<sup>604</sup> surowości serca. Sablin nie miał w sobie nic ze skalda<sup>605</sup>. Pozostał on w głębi duszy niezmienny, taki, jaki wstąpił w szeregi wiosennego zastępu, niosącego miłość swoją w lud. Był wciąż tym samym, bezgranicznie kochającym sercem.

Pamiętam już późniejszy moment, kiedy pracowaliśmy razem w podkopie, w sklepie przy Sadowej. Praca była ciężka: trzeba było rozbijać zmarzniętą ziemię, stojąc godzinami całymi w pałąk zgiętym, pełzając na czworakach. Zmęczeni, wyciągnęliśmy się na jedną chwilę w czarnej szyi. Nad głowami naszymi tętniało<sup>606</sup> miasto. Wtedy to Sablin rzekł po chwili milczenia:

— W gruncie rzeczy żal mi go, Aleksandra Mikołajewicza, żal mi go jak osaczonego zwierza. Wydaje mi się, że patrzy on na nas teraz jak wilk zaszczuty, zapędzony w zasadzkę.

Należałem przez jakiś czas do oddziału, który śledził za poruszeniami<sup>607</sup> cesarza. Powiedziałem, że robi na mnie wrażenie człowieka śniącego jakiś ciężki, fatalistyczny sen. Zdawało mi się, że w jego rysach jest mimowolna, bezwiedna obojętność, niechęć, przekonanie o bezużyteczności wszystkiego.

— Wolalbym zginąć przedtem — mówił Sablin. — Jest to przesąd, ale nie chce mi się umierać ze wspomnieniem tych mętnych, przerażonych oczu. Szkoda, że go nie zabił Sołowjew — rzekł po chwili — byłoby piękniej i lepiej.

Sablin przypominał mi zawsze, nie wiem dlaczego, pewien laszek brzoźowy, w którym bywaliśmy z Olą podczas naszego pobytu w Topolówce. Jego głos, jego spojrzenia miały w sobie coś z tamtej, miękkiej, łagodnej, miłej świeżości. Był pieścizotliwy smutek w Sablinie, lecz pomimo wszystko nie odchodził on od nas i brał udział we wszystkim.

— Szkoda, że dzisiaj trzeba tak żyć. Szkoda — mówił w chwilach zwierzeń — że ja nie mogę jak strumień wiosenny płynąć przez łąki miękkie i pachnące, szkoda, że żyć nie mogę z braćmi i siostrami w czasie, gdy niebo będzie nad głowami wolnymi zwiśać. Tak chciałbym choć chwilę taką przeżyć, a może widziałem, i w serce padła, i serce zbudziła, i odtąd żyje w nim jak zapach wiosny. Zapłaty żąda za to, żem szczęśliwy błędził w gaju, gdzie przyszłość nie oddycha, żem jej powietrzem świętym się upoił, że żyła we mnie promienna i cicha. Życie weźmie czarna, krwawa ziemia, niechaj w krwi mojej odnajdzie tę cząstkę, którą w niej przyszłość swobodna zrodziła, niechaj z nasienia gaj wywiedzie młody. Cieniem mnie darzył, jeszcze niezrodzony; poeci chodzą w sadach, które posieją ręce niezrodzone, całują usta, co jeszcze jak ziarno czerwonych kwiatów śpią w tym ciemnym polu, które zasiewa śmierć i śmierć wyżena<sup>608</sup>. Ja w miłości żyłem z dziewczyną, która w oczach, myśli, ciała ruchach miała czar ten, jaki rodzi wolność. Mnie, niewolnika, w snów moich wiosnie do swego łona przycisnęła i ją pamiętam wciąż, i ku niej idę, jej głos mi śpiewa, gdy wchodzę w pustynie przez sępów tylko nawiedzane. Strumieniem chciałem biec, lecz krew ujrzałem i strumień zastygł, stoi jak kolumna. Jak

Natura, Szczęście, Krew

<sup>604</sup>*druidyczny* — właściwy druidom, staroż. kapłanom celtyckim, którzy przewodniczyli obrzędom religijnych, pełnili rolę wróżbitów, lekarzy i sędziów. [przypis edytorski]

<sup>605</sup>*skald* — średniowieczny skandynawski poeta i śpiewak. [przypis edytorski]

<sup>606</sup>*tętniało* — dziś popr.: tętniło. [przypis edytorski]

<sup>607</sup>*śledził za poruszeniami* — dziś popr.: śledził poruszenia. [przypis edytorski]

<sup>608</sup>*wyżenąć* (daw.) — wygnać. [przypis edytorski]

rzeka płynął, dzisiaj stał się głazem: wy głaz ten weźcie, moi przyjaciele, gdy ostrzyć miecze będzie wam potrzeba, aż wam zaśpiewa pieśń, co strumyk widział, w śpiewie powróci czas, gdy w jego wodach młodość się jeszcze widziała szczęśliwa.

Sablin w samej rzeczy tak odczuwał ten stosunek. Gdy mu żartem Perowska wspomniała, aby wyjechał za granicę i tam piórem służył sprawie, on jej odpowiedział na wpół żartobliwą, na wpół poważną improwizacją:

Ja z oczu zgasłych piłem tęczy blaski,  
Ja z umarłymi chodziłem przez gaje  
    Wiosenne, świeże.  
Róże mi kwitły, mirty i konwalie  
Pod mymi stopy wyrastały białe,  
    Daliście wiosną mi.  
Daliście mi szczęście na ziemię patrzeć  
    Sercem rozkochanym,  
Iżem swobodnie ku słońcu wzlatał,  
    Żem zieleń widział,  
    Róże, przyszłość, piękno;  
Żem czystość widział serc  
I święte cuda w człowieku spiące  
    Okrwawionym sercem,  
    To wam zawdzięczam.  
Z wami ja przez pola szedłem,  
    Gdy pachniała nam wiosna,  
    Gdy nas witała tysiącem promieni  
Zorza młodości zwycięska, radosna;  
Z wami przebyłem szczęście,  
    Śpiew słowika,  
Marzenie, miłość swobody bezkrwawej;  
    Dziś nie odejdę,  
Kiedy wasza droga iść rozkazuje  
    Przez skały i ciernie,  
Kiedy posucha wasze pali czoła,  
Ptactwo drapieżne nad głowami krzyczy;  
    Ja nie odejdę,  
    Ja z wami marzyłem,  
    Z wami szczęśliwy byłem  
    Jak bóg grecki.  
Z wami przeżyję dni gromu i burzy,  
Z wami spiekotę i samotność serca,  
    Za szczęście płacę,  
    Za bezmiar słodczy  
    Was nie opuszczę.  
Tylko wyznam szczerze,  
    Że już bym leżeć chciał  
    Tam, gdzie fala pluszcze,  
Która śpiewała nam o życia wiosnie.  
I tylko wyznam, że chciałbym,  
By sępy raz już wydarły myśl, oczy i życie,  
Abym umierał, a nie niósł już śmierci,  
Bo śmierć człowieka jest ciężar straszliwy.  
Ale gdy bije surowa godzina,  
Ramię nie zadrży,  
Nie ugnie się wola.  
Ja z wami noszę losów waszych brzemię.



Róże i mirty Sablina to były dwa czy trzy lata więzień śledczych, głodówki, znęcania się nad nim żołnierzy, pożegnanie towarzyszy na śmierć idących, wieczny pościg poza plecami, życie nędzy i wyrzeczenia, ale on tak czuł i wszyscy tak czuli. Nie jeden Michajłow mówił przecież, że danym mu było nad miarę wiele szczęścia. Ale szczęście było jeszcze i tu możliwe na nagim górskim szczycie. Tylko by je czuć, trzeba było mieć orle dusze w piersi.

Tu, na groźnej baszcie, skąd śmierć patrzyła w miasto, uwili sobie gniazdo miłości Żelabow i Sonia. Na ich barkach nie ciążył ten ciężar, oni nie gięli się pod nim i w rękę dzierżąc błyskawice, patrzyli ku sobie — para rozkochanych tytanów. Myślę, że tylko w tej atmosferze nieustannego, skondensowanego niebezpieczeństwa taka natura, jak Perowskiej, mogła pozwolić sobie na osobiste szczęście, przyjąć je. Niebezpieczeństwo, groza — wyodrębniły ją, wyosobniły w jej własnych oczach. Musiała opierać się na samej sobie, a więc i samej sobie, swojemu ja, przypisywać znaczenie, czuć je w sobie, czuć, że nie zamiera i nie blednie serce, gdy chmury miedziane, ciężkie, przechodzą tuż ponad głową, dławiąc niemal oddech w piersi.

Gdyśmy się dowiedzieli, że ona i Żelabow kochają się, wydało się to nam czymś naturalnym i koniecznym. Ci dwoje należeli do siebie. Byli z jednego i tego samego twardego rodu. O Perowskiej mówiono, że ona nienawidzi Aleksandra II za to, że zmusił ją iść tą drogą krwi. Była w tym słuszność, gdyż wszyscy my weszliśmy na drogę nieubłaganej, osobistej walki przeciw carowi, na skutek przeszkód nie do przewyżczenia, jakie piętrzyła pomiędzy nami a ludem jego władza. U Perowskiej występowało to silniej, gdyż w tej lwiej duszy wszystko potężniało. Tak, była w niej niebezpieczna wściekłość lwicy, której zabrano jej młode. Była w niej nienawiść za krew, nędzę, męczarnie, za wszystkie cierpienia, jakie napotkała myśl, jakimi broczyło serce. Żelabow szedł jak łowiec<sup>609</sup>, już nie zastanawiający się, co czuje: on wie tylko, że ma ugodzić, jego oczu nie przesłoni mgła nawet nienawiści i gniewu. Jasne, prują powietrze jak strzały, uderzają w pierś stalowymi ciosami. Sonia żyła tym, co on wykonywał. Jej serce wzięło w siebie całą namiętność chwili, stała się ona teraz jakby jakąś skandynawską boginią odwetu. Za to wielbiliśmy ją w tym czasie: ona naszemu chładowi, naszej rachującej pomście dawała wiecznie żywy żar i uniesienie. Tu czuliśmy ten święty ogień nienawiści i czuliśmy, że jest święty. Za to wielbiliśmy ją, że w jej piersi było serce człowieka, zdolne uświęcić nawet tę nieustraszoną, zimną nieubłaganość. Łowcami gotującymi zasadzkę byliśmy bez niej. Ona czyniła z nas znowu rycerzów i sędziów. I działo się to bez słów. Działo się to przez sam ton głosu, wyraz twarzy, spojrzenie. Sprawa niecofnionego wyroku stawała się w niej i przez nią wiecznie ludzką. Czuliśmy wszyscy ten magiczny wpływ i tym ciągnęła nas ku sobie Sonia. I było zrozumiałe, że ona i Żelabow są jedno, muszą być razem.

W ten wieczór mało mówiliśmy o sprawie. Z nas przekonywać nie było potrzeba nikogo.

Zartowaliśmy, że dla spokojnych obywateli, poddanych cara, my stanowiliśmy bandę opryszków, jakieś fantastyczne potwory wylęgłe z czarnej nocy, wykolysane przez noc i burzę smocze dzieci. I miejsce nasze powinno być nie tu, w petersburskim przeciętnym mieszkaniu, lecz na szerokiej Woldze, na zbójeckim statku. Żelabow śmiał się, oczy jego błyszczały, szeroka pierś wznosiła się.

— Pewnie, pewnie — mówił on — lepiej by było w lasach walczyć i na odsłoniętych polach. Bić ich jak orły i lwy, spadać jak piorun, ścierać się piersią w pierś, niż w noc wsiąkać, w nocy ginąć, wpadać pod ziemię, pod ziemią ryc się jak kret. Pewnie, że lepiej byłoby iść wśród brzęku kos, w łunie pożarów, z wiatrem, śpiewem, pożogą. Nie każdemu dane jest szczęście.

Michajłow był zazdrosny o Narodną Wolę: ona musiała jaśnieć ponad wszystko. Nie wolno było jej pomniejszać.

— Żle ci tu, Taras — rzekł z wyrzutem — źle ci tu, bracie. Siedzisz tu między nami, orzeł, i przy sobie masz ją, siwooką, niby ze starej ruskiej byliny<sup>610</sup>. Szkoda, byliny nie znają kobiet. Nie przewidziały, że nadejdzie czas i narodzą się wśród bohaterów orlice. Tobie źle! Nie widzi cię nikt, nawet noc, nie zna cię nikt, nawet wróg. Otaczają nas strach i dysząca

<sup>609</sup>łowiec — dziś: łowca, myśliwy. [przypis edytorski]

<sup>610</sup>byliny — średniowieczne ruskie poematy ludowe. [przypis edytorski]

trwoga. Nas nie ma nigdzie i jesteśmy wszędzie. Z czarnej ziemi, z morza krwi, z wielkiej nocy, w której płaczą stulecia, narodziła się myśl. Ty ją masz w sobie. Ty wiesz, że nie opuści cię ona. I tobie źle. Ty śmiesz się skarżyć, któryś narodził się w czasie, gdy człowiek ma sam w sobie pioruny, gdy już nie szuka nikąd pomocy, gdy sam woła o własne prawo, o rozum, o szczęście, o przyszłość. I ty się śmiesz skarżyć. Ty — Andrzej Żelabow. Ile wieków przeszło, zanim na świecie stali się możliwi tacy ludzie, jak my, ludzie nikomu prócz siebie niepoddani, a za całe społeczeństwo uzbrojeni wolą i myślą. Poezji chcesz szukać po lasach, wodach, a nie rozumiesz, że ona w tobie jest — w twojej myśli. Woda, las — to było, ale myśl, nasza myśl jasna, ludzka, widząca, po raz pierwszy jest dopiero. Nigdy nie było woli niepodległej nikomu, nieznającej nic nad człowieka, niemającej nic prócz niego, niespodziewającej się niczego, jak tylko tego, czym on będzie. Taras, ty nie rozumiesz, że my jesteśmy potężniejsi od Argonautów<sup>611</sup>, od Kolumba, od *Iliady*, Tassa<sup>612</sup>, Kamoensa<sup>613</sup>, bo w nas jest jasna świadomość stwarzająca własne przeznaczenie. Ludzie-bogowie razem. Ty wiesz, że Narodną Wolę myśmy stworzyli, że ona to my, ale zarazem ty wiesz, że ona już jest coś poza nami, z nami nie ginie, wiesz, że ona jest niedosiężna. Dzieło twoje, a żyje jak bóg ponad narodem i idzie w głąb dusz i z ludzi czyni bogów. Zelman miał słuszność — jak księżyc jest, co rządzić będzie fal ludowych szumem. A ty się skarżysz, Taras. Ech, powiem ci, jak w *Iliadzie* Nestor<sup>614</sup>: Bohater to ty jesteś może, ale mówić nie umiesz.

Było to tak nieoczekiwane, że roześmieliśmy się wszyscy i Michajłow sam się śmiał, pokazując swoje śliczne, białe zęby. Zdążył on już zapomnieć o spotkaniu i rozmowie z Kirsanowem, oddychał znów powietrzem przyjaźni i wiary i czuł się szczęśliwy. Siedziałem na boku, milcząc. Michajłow spostrzegł to i widziałem, jak podszedł do Perowskiej. Sonia podeszła ku mnie.

Kto jej nie znał, nie uwierzy, że ona taka być umiała: wesoła jak dziecko, pełna dobroci i słodyczy. Nikt nie umiał tak, jak ona, być przyjacielem, nikt nie miał tych szczęśliwych natchnień serdecznych, jakie daje tylko przyjaźń bardzo szczerą i bardzo żywą. Opowiada się całe legendy o jakiejś ginącej jakoby kobiecości. Ja po śmierci Oli czułem naokoło siebie nieustannie uprzedzającą, przewidującą dobroć siostrzaną. Sonia czuła, że są chwile, kiedy kobiecy, miękki głos, wyrozumiałe spojrzenie stają się konieczne potrzebne. Czują się zresztą bogata i szczęśliwa w tych czasach.

Siadła koło mnie i skierowała rozmowę, jak zawsze niezawodnym przecuciem wiedzona. W sposób nieznaczny, niedostrzegalny otoczyła mnie atmosferą wspomnień, które nie mówiły nic o Oli, lecz rozpuszczały tę twardą skorupę skrzepłego bólu, jaka pokrywała serce. Z niezrównanym taktem słowa jej pozostawały na tej granicy, poza którą pamięć przeobraża się w ból. Wytwarza się w duszy nastrój jednocześnie obejmujący umarłych i żywych. Byli oni jednakowo obecni, różnica między zaginionymi i nami, wspominającymi, zatarła się: wszyscy żyliśmy jak gdyby wśród jakiegoś krajobrazu, który nie był ani obecnością życia, ani śmierci, ani krajem pożądania, które wyrывa się precz, ani krajem tęsknoty, rozłąki. Opowiadała, jak ocalał Cyprianow podczas rewizji w prowincjonalnym miasteczku.

— Widzieliśmy — mówiła Sonia — jak otacza policja dom, w którym on był. Z zamartwym sercem patrzyliśmy na nieuchronną zgubę. Miał on wtedy przy sobie ważne papiery, szyfry, klucze. Ani myśleć o ratunku; wtem widzimy, od domu pędzi jakiś człowiek w czerwonej koszuli, na harmonijce gra, komaryńskiego<sup>615</sup> tańczy, o białym byczku śpiewa.

Oj, był, oj, poszeł,  
Oj, komaryński muzyk.

<sup>611</sup>*Argonauci* (mit. gr.) — uczestnicy wyprawy na statku Argo do Kolchidy po złote runo. [przypis edytorski]

<sup>612</sup>*Tasso, Torquato* (1544–1595) — włoski poeta renesansowy, zyskał sławę jako autor poematu epickiego z dziejów pierwszej krucjaty *Jerozolima wyzwolona*. [przypis edytorski]

<sup>613</sup>*Camões, Luís Vaz de* (a. z ang. *Camoens*, 1524–1580) — uważany za najwybitniejszego poetę portugalskiego; autor portugalskiego eposu narodowego pt. *Luzjady* (1572), opowiadającego o wyprawie Vasco da Gamy, która przyniosła odkrycie drogi morskiej do Indii. [przypis edytorski]

<sup>614</sup>*Nestor* (mit. gr.) — król Pylos, najstarszy uczestnik wojny trojańskiej, symbol wieku i związanego z nim doświadczenia. [przypis edytorski]

<sup>615</sup>*komaryński*, właśc. *kamarinskaja* — bardzo szybki rosyjski taniec ludowy. [przypis edytorski]

„Cyprianow” — powiada Michajłow.

Nie śmieliśmy wierzyć oczom, a on pośrodku ulicy hołubce<sup>616</sup> wywija z klasyczną ścisłością, wpada wreszcie pomiędzy nas i powiada:

„Muzyka nie spodobała się, powiedzieli: »Ruszaj won, przy rewizji przeszkadzasz«. Przy nich już nawet potaćować ani zagrać nie można”.

Widziało się, słuchając tego, uśmiechnięte oczy Cyprianowa, jego pogodną twarz. I znikła pamięć, że legł on w Moskwie, na ulicznym bruku, z czarną raną w głowie. Pamiętałem, jak znosił Oli bukiety w Odessie, jak pędził ulicą na swoim koniu naprzeciw prowadzącej ją straży w Twiery, bezpośrednio po ocaleniu z zanadru wydobyl pęczek świeżych konwalii. Marzyciel, który na trzy godziny przed śmiercią jeszcze *Republikę*<sup>617</sup> Platona czytał, marzył o tym, kto napisze nową, nie nad brzegami Ilyssu<sup>618</sup> wznoszącą się już, lecz obejmującą Atlantyk i Wielki Ocean. Trzy godziny jeszcze przed chwilą, gdy padł czaszką na twarde kamienie, świeciło w niej jeszcze złote słońce myśli.

Perowska z wolna, z wolna zbliżała się ku wspomnieniom coraz droższym, coraz bliższym, mówiła, jak poniósł z sobą do katorgi pierścien z włosów trzech sióstr spleciony Piotr Aleksiejew<sup>619</sup> — „mnie, Olę Lubatowicz i ją siostrami, nazywał” — mówiła.

I wydawało mi się, że ona jeszcze żyje tam, uśmiecha się, myśli teraz gdzieś we wspomnieniach Aleksiejewa, Myszkina.

Żelabow podszedł do nas.

— Dmochowski<sup>620</sup> umarł — powiedział — i Hipolit Myszkina wygłosił nad jego trumną mowę pogrzebową. On, skuty, ogolony katorżnik, wśród cerkwi, gdzie szczękały łańcuchy i broń, nad trumną nieznanego sobie, umęczonego brata, i mówił: „Nie wiercie, że on umarł, on nie śpi nawet — tamten, którego nie znam, lecz wiem, że cała jego wola, wszystkie jego myśli są tam i żyją w dziesiątkach, setkach piersi, w które on je przelał. Na próżno śpiewać mu tu pogrzebalne hymny: on żyje, nie przestaje żyć — z jego krwi, z krwi wszystkich nas wyrasta nowe życie, nowa przyszłość szczęścia i swobody”. Pijany pop mu odparł na to krótko: „Kłamiesz! Nie wyrośnie”, a Myszkina, wskazując popa, rzekł: „Z zgasłego raba bożego<sup>621</sup>, Eustafiusza, pomódlmy się, bracia, umarł bowiem i nie wstanie”. Pop zaklął, przeląkł się i zemknął, a Myszkina mowę dokończył. Czy jest co większego, bardziej podziwu godnego niż te egzekwie<sup>622</sup>, jakie sprawia nad trzymającym go w swych krwawych szponach caratem, w jakiejś zasypanej przez śnieg cerkiewce syberyjskiej katorżnik w gronie innych katorżników?

— Teraz masz słusność, Taras — mówił Michajłow. — Teraz czujesz, jak powinieneś czuć ty. Tak, tu jest nienarodzona nigdy dotąd moc. Międzynarodówka i Narodna Wola staną obok siebie kiedyś. Kirsanow mówi, że my oderwali się od podłoża masowego ruchu. Niech mi Kirsanow da masy, a stworzymy mu międzynarodówkę. Teraz my na własnych ramionach i głowach dźwigamy sklepienie, aby masy mogły pod nim żyć, nie zginając karku.

— A co z Nieczajewem będzie? — zapytała Perowska.

— Do Nieczajewa idzie Miszuk — rzekł Żelabow.

Skinąłem głową. Gdy otrzymaliśmy z Petropawłowskiej Twierdzy krwią spisaną karteczkę Nieczajewa, w której żądał on porozumienia z nami i wskazywał drogę, prosiłem, aby mnie powierzono tę funkcję. Nie potrzebuję mówić, jak podzielał na nas ten głos z mogiły: pogrzebany w niej od lat dziesięciu bojownik mówił tym samym tonem płomiennej, niewygasłej, nieubłaganej nienawiści.

<sup>616</sup>hołubiec — figura w tańcu polegająca na uderzeniu obcasem o obcas podczas podskoku. [przypis edytorski]

<sup>617</sup>Republika — dialog Platona znany dziś częściej pod polskim tytułem *Państwo*, opisujący idealnie urządzone państwo, oparte na ideach dobra i sprawiedliwości, rządzone przez filozofów. [przypis edytorski]

<sup>618</sup>Ilyssos — rzeka opływająca Ateny od południa. [przypis edytorski]

<sup>619</sup>Aleksiejew, Piotr Aleksiejewicz (1859–1891) — jeden z pierwszych rosyjskich robotników-rewolucjonistów; aresztowany w 1875, sądzony w tzw. procesie 50 (1877), wygłosił podczas rozprawy płomienne przemówienie, skazany na 10 lat katorgi. [przypis edytorski]

<sup>620</sup>Dmochowski, Leon (1850–1881) — polski rewolucjonista-narodnik; w 1873 aresztowany, skazany na 10 lat ciężkich robót; po 7 latach w więzieniu nowobielgorodzkiem wysłany nad rzekę Karę na Syberii, zmarł w drodze, w szpitalu więziennym w Irkucku. [przypis edytorski]

<sup>621</sup>rab boży (z ros.) — sługa boży. [przypis edytorski]

<sup>622</sup>egzekwie — nabożeństwo odprawiane przy trumnie zmarłego. [przypis edytorski]

Myślałem o czasach, które upłynęły od tych dni. Byłem jak starzec, tyle już przeżyłem drogich głów. Istotnie, miesza mi się żywi z umarłymi i w taki jak ten wieczór krążyła moja myśl nad cichą zatoką śmierci.

Michajłow miał kult umarłych, droga mu była każda pamiątka, każdy ślad pozostały po poległych towarzyszach. Teraz upominał on się od Wiery o jakąś fotografię Kwiatkowskiego.

— To jest szaleństwo — mówił Wołczok — jestem przekonana, że u fotografa byli szpiedzy, gdyśmy stali z Aleksandrem, czekając, fotograf czegoś w książce szukał, a nad jego głową żona jego czyniła nam taki znak — pokazała ręką na szyję. — I tam chcesz iść.

— Nie tam, ale do całkiem innego zakładu.

— To wszystko jedno — mówiła Wiera — mogli wydać rozporządzenie, aby aresztować każdego, kto przyjdzie z tymi fotografiami.

— Więc ma na próżno — z udanym spokojem mówił Michajłow — dopominać się pamięć o drogie rysy.

— Kto inny przynajmniej niech idzie — rzekła Perowska.

— Kogo innego wezmą, a mnie nie — powiedział Michajłow — zresztą pomyślę jeszcze.

Nie zwracaliśmy na przedmiot ten więcej uwagi. Kibalczyk zaczął jakiś długi spór z Sablinem i z wolna jego zamglone oczy rozjaśniły się.

— Jest kraj, w którym pomimo wszystko wszyscy jesteście solidarni i powiązani: myśl, tam jest ojczyzna człowieka. I przecież zrozumieć, że to jest właściwa ojczyzna — w ścisłym, dosłownym znaczeniu — myśl, poznając dziś, stwarza głębię dla przyszłych pokoleń, gdyż stwarza ich władzę nad światem. Każdy powinien mieć tam coś swego. Wszystko inne może być pomyłką. Cała Rosja może być pomyłką, Europa może być pomyłką, ale to, co tam jest, zostanie. Właściwie najpożyteczniejsze i najwydatniejsze jest to, co człowiek robi pośród gwiazd, to, co on tam wyorze, każda skiba, każda bruzda są wieczne.

— Tyś powinien wiersze pisać — rzekł Sablin.

Kibalczyk niezbyt dobrze rozumiał żarty i czuł się wobec nich skrępowany. I teraz obawiał się, czy nie ma w tym jakiejś ironii.

Sablin objął go:

— Ależ nie, ja szczerze. Tylko widziałem ciebie ze złotym pługiem wśród szafiru nieba i gwiazd, a to jest piękne.

— Michajłow, który dba o naszą mitologię, ma nową zdobycz:

I Kibalczyk w gwiazdy idzie ze swą sochą, złotem połyskującą i wśród gwiazd obrotów znaczącą swoje bruzdy, aby w nie swe ziarno rzuciła myśl, aby plon przetrwał niezliczone wieki, aż człowiek się wzniesie myślą znów w te strony i znajdzie ślad po niej — próbowała żartować i nagle spoważniała Perowska.

Michajłow mówił:

— Bylibyśmy biedniejsi o coś wielkiego, gdyby nie było pośród nas człowieka z myślą nadgwiezdną, cichą jak niebo. To jedno wspólne jest pomiędzy ludźmi, to daje niezachwiany grunt, czysta, niezwyknięta prawda dzisiaj i na wieki.

— Czy Aleksander Drugi patrzy kiedy w gwiazdy? — pytał Sablin półgłosem.

— Jeżeli tak — mówił Zelabow — to wyczyta w nich śmierć.

Kibalczyk przytwierdził poważnie:

— Ciężko żyć musi być człowiekowi pod grozą prawdy, ciężko żyć, kiedy nie zdoła on wejść nawet myślą w ciszę. — I ze spokojem rzekł: — Dla niego jest lepiej, iż umrze.

Dla Kibalczyca śmierć była znakiem matematycznym, czymś, co nie wstrzymywało jego myśli. Zakończywszy pracę rewolucyjną, każdego dnia oddawał się badaniom nad problemami kierownictwa balonów. I jedno nie przeszkadzało drugiemu, tylko gdy zaczynał mówić o życiu, stawał się zmęczony. Zauważyłem, że denerwują go, męczą wrażenia zbyt jaskrawe, niezharmonizowane. Nie lubił sporów i zamykał oczy, słuchając przeciwnika i myśląc o swoim. Kirsanow usiłował raz przytłoczyć go bogactwem swej erudycji<sup>623</sup>

<sup>623</sup>erudycja — rozległe, wszechstronne wykształcenie; odczytanie, wiedza książkowa. [przypis edytorski]

i zabić ironią, a gdy skończył, Kibalczyz siedział jeszcze nieruchomo przez długą chwilę... Wreszcie otworzył oczy i rzekł: „Wybacz mi, ale zapomniałem, o co chciałeś spytać”.

Teraz spojrzął na nas swoimi otwierającymi się nagle oczyma i rzekł:

— To jest jednak ciekawe, czym jest przestrzeń poza głową ludzką.

— Michajłow wierzy w Boga — powiedział Żelabow.

Aleksander uśmiechnął się:

— Tak, bo jest zboże, praca, poezja grecka, Międzynarodówka i wy.

— A Żelabow myśli z gniewem — żartował Sablin — jak ten Bóg może istnieć.

— Nie — powiedział spokojnie Żelabow — myślę tylko, że trzeba znaleźć inne słowo. To, co jest, jest i musi być zależne ode mnie. Nie może być wypowiedziane ostatnie słowo.

— Chciałbym raz spojrzeć na świat oczami Łobaczewskiego, jego wewnętrznym wzrokiem — marzył Kibalczyz — jest rzecz straszliwa, jak ta wielka, obca, wszechpotężna rzecz nieustannie poza nami żyje.

— Za mało się kocha Kibalczyca, panowie — wołała Sonia — stanowczo za mało się kocha Kibalczyca. On sam nie wie, ona nie wie, nasza kochana Katarzyna — było to żartobliwe przezwisko Kibalczyca — jaki jest piękny. — Mówiła to wesołym głosem, ale w oczach miała łzy. — Żebyście wiedzieli — skończyła, obejmując nas wszystkich spojrzaniem — jak ja was kocham — i oczy jej spoczęły wreszcie na postaci Żelabowa.

I on poczuł na sobie ten wzrok i po jego ostrej, pięknej twarzy wodza przebiegł rumieniec. Żegnaliśmy się w ten wieczór cisi i spokojni. Na drugi dzień po południu szedłem się przebrać, by iść na wskazaną przez Nieczajewa schadzka, gdy spotkała mnie Wiera, błada z sinymi wargami:

— Michajłowa w tej chwili wzięli u fotografa.

W tej chwili myślałem, że Ola stała się dla mnie jeszcze dalsza, jakby po raz drugi stracona; coś zimnego zatargało mi w sercu i szeptało: skończone prędeż, skończone raz i ty. A przed oczami przesunęła się twarz Aleksandra Michajłowa: jasna i poważna. Narodnaja Wola żyje przez was, dzieło ludzkie, a niedosiężna, nieprzemijająca, potężna jak bóg. Wytrwam, Dmitrycz — zaszeptało znużone, zziębłe serce. Wytrwają wszyscy. Narodnaja Wola — będzie żyła.

— Trzeba uprzedzić ludzi — powiedziałem do Wiery. — Ja na dziewiątą będę wolny.

Schadzka była naznaczona na szóstą — musiałem się spieszyć.

## XV. ORA ET SEMPRE<sup>624</sup>

Nieczajew nie utracił w lochach więziennego osamotnienia demonicznej siły, dającej mu władzę nad duszami. Podczas rozprawy sądowej sędziowie nie usłyszeli od niego nic prócz okrzyku:

— Niewolnikiem waszego tyrana już nie jestem. Nie uznaję was za sąd.

Skazano go na ciężkie roboty, rząd pogrzebał go w Petropawłowskiej Twierdzy, w Aleksiejewskim rawelinie<sup>625</sup>. Tu zjawił się u niego naczelnik Trzeciego Wydziału, generał Potapow, przyrzekając złagodzenie kary za zeznania i wskazówki co do ruchu rewolucyjnego. Nieczajew odpowiedział policzkiem. Przykuto go łańcuchem do ściany. Nie zdołało jednak i to złamać siły jego ducha i charakteru. Przykuty do muru w celi podobnej do grobu, odcięty od świata, przekonał on żołnierzy, że jest przedstawicielem jakiejś tajemnej potęgi, że boją się go nawet skrępowanego i unieruchomionego. Pozwolił zrećźnie, splatając urywane pół słowa, domyślać się, że jest on w porozumieniu z prawym<sup>626</sup> cesarzem Rosji, wielkim księciem Konstantym Mikołajewiczem<sup>627</sup>, że Aleksander II nie miał prawa do tronu, urodził się bowiem wtedy jeszcze, kiedy ojciec jego, Mikołaj I, był wielkim księciem — nie cesarzem. Umiał on uderzyć w więzieniu w żywą w duszy rosyjskiego chłopca strunę oczekiwania, w tkwiące w niej podejrzenia, że musi być nieprawdziwy, podstawiony, jeżeli życie jest takie, jakie jest.

Więzień

<sup>624</sup>*Ora et sempre* (wł.) — teraz i zawsze. [przypis edytorski]

<sup>625</sup>*rawelin* — element fortyfikacji w kształcie półksiężyca lub trójkąta wznoszony przed linią obronną twierdzy. [przypis edytorski]

<sup>626</sup>*prawy* — tu: prawowity. [przypis edytorski]

<sup>627</sup>*wielki książę Konstanty Mikołajewicz* (1827–1892) — drugi syn Mikołaja I, generał i namiestnik Królestwa Polskiego, prezes Rady Stanu Królestwa Kongresowego, admirał floty. [przypis edytorski]

Co do osoby Konstantego krążyły jakieś niejasne legendy. Wiadomość o jego liberalizmie, o jakichś pseudokonstytucyjnych projektach, rola jaką odgrywała jego żona przy oswobodzeniu włościan — wszystko to przedostawało się w formie głuchych pogłosek do ludu. Murawjew po zamachu Karakozowa dokładał starań, aby podejrzania skierować ku osobie księcia. A sam Konstanty? Konstanty Mikołajewicz był stylowym partnerem carskiego dramatu: liberal ten i Hamlet w ciągu tureckiej wojny<sup>628</sup> brał udział w różnych malwersacjach dostawowych. Rosyjski Hamlet spekulował na głodzie żołnierzy.

Straż Nieczajewa wierzyła, że pilniej od innych strzeżony więzień musi być istotnie kimś potężnym i groźnym. Podtrzymywało ją w tym mniemaniu wyzywająco śmiałe zachowanie się Nieczajewa i ten dziwny strach, który bezwiednie powstaje w duszach słabych i niskich w zetknięciu ze skrzepowaną chociażby siłą. Sam fakt, że on generałów po twarzy bił, był poważnym czynnikiem w ugruntowaniu i utrwalaniu się legendy.

W tym czasie Nieczajew tak już władał częścią garnizonu twierdzy, że szedłem oto na schadzkę z nim w towarzystwie żołnierza. Przeszliśmy zwodzony most. Wiatr zwił śnieg z rzeki i leżała ona teraz jak czarny, matowy kamień. Było mroczno na podwórzu fortecy. Żołnierz wymawiał jakieś hasła, coś porozumiewawczo szeptał i otwierały się przed nami jedne za drugimi ciężkie wrota, kraty. Szliśmy sklepionym, wijącym się korytarzem; miałem wrażenie, że idę przez katakumby<sup>629</sup> i myśl szukała już tej krypty, w której spoczne. Wreszcie otworzył mi żołnierz jakieś drzwi.

W celi paliła się zakopcona, licha lampka kuchenna. Łańcuchy zgrzytnęły, kiedy wszedłem. Pod ścianą spostrzegłem przede wszystkim parę oczu błyszczących jak węgle. Nie poznałem Nieczajewa. Przede mną siedział szkielet o płonącym spojrzeniu. Gdy zaczął mówić, zabrzmiał ten głos jak wspomnienie, chociaż mówił teraz ochrypłym, zdławionym szeptem. Nie poznał i on mnie zrazu. Z ciężkim i głębokim wzruszeniem zbliżałem się ku niemu. Gdy podszedłem, spostrzegłem niemal z przerażeniem, że twarz Nieczajewa kurczy się i drga, że wstrząsa nim wstrzymywane łkanie. Nie widziałem nigdy rzeczy tak strasznej, jak ten dławiony w tej płomiennej piersi płacz. Nogi zatrzęśły się pode mną i głos drżał. Przez ciężkie, duszące łyzy wyszeptalem:

— Przyjacielu, po tyłu, tyłu latach.

Nieczajew podniósł rękę ku mojej twarzy i zaczął gładzić nią skronie i czoło pieszczołliwie, przesunął dłoń po moich włosach, położył ręce na ramionach i trzymając je na nich, patrzył mi w oczy niemym, głębokim spojrzeniem. Nie mogłem mówić. Głowa gięła mi się do jego stóp i kolan. Nie przewidywałem, że tak strasznie zdoła jeszcze cokolwiek bądź mną wstrząsnąć. Nieczajew chwycił moje dłonie i uściśnął. Ręce miał rozpalone.

— Wytrwałeś, szlachcicu — rzekł. — Powiedziano mi twoje nazwisko, że ty przyjdiesz. Ucieszyłem się. Tyle lat, tyle lat nie widziałem człowieka.

Bezlądnie, gorączkowo mówiłem mu, co dzieje się u nas. Nieczajew słuchał i prostował się, rósł.

— A gdyby — mówił — tak. On przecież tu przychodzi na nabożeństwo, ja tu mam żołnierzy pięćdziesięciu, sześćdziesięciu. W imię cesarza Konstantego aresztować każe, w loch cisnę, ot, w ten sam loch, niechaj słucha, jak tu śpiewa Newa, a tam armaty na miasto, na Pałac Zimowy. A wy tam: niech żyje Republika!

Nie chciałem go drażnić, nie mówiłem mu nic o zasadniczych niemożliwościach planu; powiedziałem więc, że plan Komitetu Wykonawczego daje większe gwarancje powodzenia i że zresztą pragniemy, aby on stąd jak najprędzej wyszedł.

— Czy oni o mnie pamiętają, czy istotnie pamiętają? — mówił Nieczajew. — Czy tylko tak na kształt relikwii mieć mnie chcą?

Mówiłem mu, że dzisiaj się rozumie jego rozpacz, rozpacz człowieka, który zbudził się sam pod pokładem tonącego statku, skuty z ludźmi nierozumiejącymi jego mocy,

<sup>628</sup>wojna rosyjsko-turecka (1877–1878) — Rosja poparła słowiańskie powstania narodowowyzwoleńcze na Bałkanach i chcąc odzyskać tereny utracone w wyniku wojny krymskiej oraz wzmocnić swoją pozycję w regionie, wypowiedziała Turcji wojnę. Stojąc na czele koalicji Rumunii, Serbii i Czarnogóry oraz ochotniczych oddziałów bułgarskich, toczyła walki z Turcją na Bałkanach i na Kaukazie. Wojna zakończyła się zwycięstwem Rosji i pokojem w San Stefano, na mocy którego powstało księstwo Bułgarii, zaś Rosja, Rumunia, Serbia i Czarnogóra powiększyły swoje terytoria kosztem Turcji. [przypis edytorski]

<sup>629</sup>katakumby — system połączonych ze sobą podziemnych korytarzy z wnękami lub komorami grobowymi, pełniący funkcję cmentarza. [przypis edytorski]

lękającymi się kapitana i bicza nawet wtedy, gdy już szli na dno. Pytał o ludzi, charaktery, usposobienia. Żelabow był tu już u niego.

— To jest człowiek — mówił — orzeł. Żelabow może wszystko.

Czas mijał. Omawialiśmy jeszcze plan ucieczki. Nieczajew miał wyprowadzić wraz z sobą Szyrajewa i kogo da się jeszcze. Myślałem o Michajłowie.

— Nie mogę uwierzyć, że stąd wyjdę. Nie wiem nawet, czy potrafię tam, pod jasnym słońcem, myśleć — mówił Nieczajew. — Tu, w tych kamieniach, w długie noce skupiała się, hartowała dusza zrastała ze swymi kamieniami i łańcuchami. Wiosną i latem szumi tam za ścianą pod oknem czarna woda. Tu się myśli inaczej. Tu ja mam prawo do wszystkiego. W noce długie myślałem, że wyjdę stąd w jaki słoneczny dzień, miasto będzie płonąć, bić będą w dzwony, po ulicach będą grzmieć topory i kosy. Nową popłyną trupy carów i bojarów. A ja wyjdę, dzwoniąc łańcuchami i moją kamienną jak grób myślą. Wyprowadzą mnie, będę widział pożar, huk, tłum zbrojny, krwawą zemstę. I takem żył się już z tym, że ja tu żyję pod ziemią jak trup, który ma wstać w dniu sądu i skutą ręką strącić z tronu cara. Wiesz, jak nazywano w Grecji te bóstwa mściwe, te z węzami koło głowy i rąk, co wstawały i żądały zemsty i krwi.

— Erynie — przypomniałem.

— Tak — powiedział.

Biały carze, jasny carze, słysz, jak wicher dmie — czego marszczysz groźnie czoło, nie odstraszyś mnie: pod twym tronem zakopany, czekam mściciel trup — aż nastanie moja chwila — nie odstraszyś mnie. Biały carze, jasny carze, słysz, tryśnie ognia słup, słysz, płacze w sercu trwoga: carze, lękasz się. Podziemiami krew płynie, łańcuchy brzęczą w myśli twojej, skute szeregi trupów, noc się zrywa, my wstaniem, mściciele, łańcuchami ciebie przygnieciem.

Ty nie wiesz, Miszuk, co to jest chęć pomsty, ile razy ja tu siedzę: myśli się w sobie skupią, rozpalą. Siedzę i słyszę jęk.

I nagle z sąsiedniej celi rozległ się straszliwy jęk zwierzęcy, bolesny, pełen strachu.

— Wariat — rzekł Nieczajew — trzeci rok słucham go tu. Pisałem do cara krwią własną, jak do was. List nie doszedł. Pisałem, aby szalonego wzięli. Ach, zemsty! zemsty! Serce się ścina, marzy. Budzę się w nocy i czuję w ręku nóż. Słysz, jak miasto się burzy, płonie ogniami, w dzwony bije. Jak oni mogą tak żyć? Oni, ci i spokojni, syci niewolnicy. Żyć i śmiać się, jak mogą?... Żyją, kochają, płodzą, jasne myśli snują i żyją. A każda chwila płynie krwią. Siedzę tu i myślę: bij serce, bij serce, jak śmiertelny zegar znaczą godziny, niech nadejdzie chwila swobody i odwetu. Zdaje mi się zawsze, że ja muszę jeszcze czegoś dożyć, zobaczyć muszę coś. Niepodobieństwo, abym ja tu tak umarł z zemstą w sercu niezaspokojoną, ja bym jeszcze w grobie się wil i palce gryzł. Daj mi rękę — powiedział w końcu — daj mi słowo, że tak jest.

— Co? — spytałem.

— Że on nie ujdzie.

Ścisnąłem mu rękę:

— Żelabow obliczył wszelkie szanse. Zdaje się, że niepodobna, aby uszedł.

Nieczajew milczał i nagle ciężko podniósł rękę skutą, przycisnął mnie do piersi.

— Za wszystko, za wszystko to — niech wam nie zadrży ręka, niech ja już tu zginę — niech to wiem. Ten dzień mi tylko dajcie.

Wariat za ścianą lkał, ryczał na głos:

— *Hospody pomituj, hospody pomituj raba Aleksieja*<sup>630</sup>.

— Za cesarzewicza Aleksieja<sup>631</sup> się uważa — rzekł Nieczajew. — Tu kamienie wszystkie krwią płaczą. W tej celi siedział Rylejew<sup>632</sup>, potem Polak jakiś — to napis polski — przeczytasz może tu w kącie, koło okna, nade mną...

Wyryte były litery:

<sup>630</sup>*Hospody pomituj, hospody pomituj raba Aleksieja* (rus.) — Panie, zmiłuj się, panie zmiłuj się nad sługą Aleksiejem. [przypis edytorski]

<sup>631</sup>*cesarzewicz Aleksiej* — zapewne mowa o Aleksym Piotrowiczu Romanowie (1690–1718), pierworodnym synu Piotra I, który za bunt przeciw ojcu po krótkim pobycie za granicą, gdzie się schronił, został uwięziony, torturowany i zmarł w niejasnych okolicznościach w Twierdzy Pietropawłowskiej. [przypis edytorski]

<sup>632</sup>*Rylejew, Kondratij Fiodorowicz* (1795–1826) — poeta rosyjski, przyjaciel Mickiewicza, jeden z organizatorów i przywódców powstania dekabrystów, stracony w Twierdzy Pietropawłowskiej. [przypis edytorski]

„Umiera tu szlachcic polski, co oddał krew, życie, a w grobie dopiero poznał, że ojczyzna to nie może być krzywda milionów. Pokoleniom, które przejdą, przekazuje chłopą polskiego i zemstę. Odrodzenie ludowe przez swobodę. Umieram sam, szczenę na wieki, bo Bóg jest kłamstwem i na mogile prawdy chwałę swoją śpiewa. Krwawe ręce obalą ołtarze i trony. Polaku, jeśli będziesz tu, nie bądź szlachcicem. Nazwiska nie kładę, bo chcę umrzeć jako to, czym jestem: nagi nędzarz w obliczu śmierci i wieczystej krzywdy.

W roku 1865”.

Przeczytałem i przetłumaczyłem.

— Kości, kości, gdyby wstały — rzekł Nieczajew. — Jak bym umrzeć chciał w ten dzień, kiedy on padnie. Cicho patrząc w słońce, sam, gdziekolwiek bądź...

Trzeba było już iść. Jeszcze raz uściśnął mnie, poczułem, jak spływają łzy i po mojej twarzy. Przycisnąłem jego rękę do ust. Spojrzał na mnie dziwnym, niewypowiedzianym wzrokiem.

— Miszuk, co ty, Miszuk? — kończył szeptem: — Jeżeli możesz, wspominaj mnie czasem, ot, tak jak w tej chwili, z przyjaźnią... I ja byłem człowiekiem, Miszuk, nim stał się ze mnie upiór...

— Zobaczymy się — rzekłem — tu i tam.

Nieczajew wstrząsnął głową.

— O tym, coś przyrzekł, nie zapomnijcie. Wyście mi winni jego śmierć. Więcej nic.

Wyszedłem. Przez korytarze gnał mnie śmiech i krzyk wariata. Słyszałem głuche hała, chrzęst zawiasów. Znalazłem się na mieście jak człowiek, który wraca spoza życia.

## XVI. ORCIO

Czy rozumiecie, dlaczego Orcio<sup>633</sup>, jedyny czysty duch ginącego świata w *Nie-Boskiej* Krasieńskiego, jest ślepy? Bo w ginącym, przesilającym się świecie niewinnym się czuć można, tylko nie widzieć. Człowiek nie może być widzem, on czuje się twórcą i bierze udział swym sumieniem w rozgrywających się przed nim losach ludzkich. Ci, którzy stali na uboczu w tym czasie, dość jednak blisko, aby rozumieć i widzieć — straszne przeżywali próby.

Mefistofeliczna maska, poza którą ukrywały się męskie serce i promienny umysł Szełgunowa<sup>634</sup>, odbijała wiernie męki i nadzieje najlepszych członków społeczeństwa. Uspieński przechorowywał każde nowe aresztowanie. Cała głębia bólu, przebytego przez niego w milczeniu, wybuchła dopiero wtedy, gdy choroba stargała arkan<sup>635</sup> woli. O sobie Uspieński zaczął mówić, dopiero utraciwszy równowagę władz psychicznych. I choroba jego była piękna jak romantyczny poemat. Dusza jego rozszczępiła się na dwie walczące ze sobą jaźnie. Był on Gleb, jasny duch, sprzymierzeniec wszystkich świetlanych sił kierowanych przez rozum — i był Iwanycz, obcy i jednocześnie przez jakiś fatalizm skuty, zszczępiony razem z Glebem, niszczący wszelkie jego wysiłki, kalający same myśli jego, przedstawiciel „świńskiego pierwiastku”.

Myśl poety przez całe życie nie pozwalała sobie na zbytek zwrócenia się ku sobie, szukania siebie. Ona swoim rozranionym, zbolałym jestestwem mierzyła, wyczuwała grozę istnienia milionów. Któżes ty jest, jasna myśli, abys śmiała o sobie mówić? Oto zstępujemy tam, gdzie nie ma gwiazd ani słońca przyszłości, tam gdzie jest życie ciemne, codzienne: popróbuj czuć tu, poznawaj, rozumuj, zgłębiaj.

Uspieński całe życie niósł krwawą służbę. Poezja była dla niego istotnie widzeniem życia — życiem, które samo siebie widzi. Darowywał on siłę wzroku najmroczniejszym, myśl jego zstępowała w najbardziej skołatane, bezsilne głowy, wyrazić umiejące swą niedolę i niemoc zaledwie urywkowym bełkotaniem, pozbawionymi związku słowami. Nie oglądał się wcale na to, co sam on czuje przy tym, i miarę przebytych cierpień poznał dopiero w ostatecznym rozstroju.

<sup>633</sup>Orcio — bohater drugoplanowy z *Nie-Boskiej komedii* Zygmunta Krasieńskiego. [przypis edytorski]

<sup>634</sup>Szełgunow, *Nikolaj Wasiljewicz* (1824–1891) — ros. publicysta, demokrat; publikował w gazetach „Russkoje słowo”, „Sowriemiennik”, „Wiiek”; razem z Michajłowem napisał proklamację *Do młodego pokolenia*. [przypis edytorski]

<sup>635</sup>arkan — sznur zakończony pętlą, służący do chwytania zwierząt. [przypis edytorski]



Nie rozumiem, kiedy myślę o życiu dziś, jak może ono wytwarzać poetów, jak mogą oni znosić widok życia. To piekło może trwać jedynie w ciemności i głuszy. Kto zdoła znieść nieustanny trzask kości, śmiertelne jęki serc konających, krzyk myśli zalewanej przez czarne wody zguby? Pomyśleć, że mówił o sobie „ja” każdy z tych ginących, ożywić znowu myślą czyngis-chanową piramidę czaszek, zrozumieć, że zdrowie, spokój, szczęście są wyjątkiem i że my bierzemy udział w tym nieustannym mordowaniu ludzi, i znosić to wszystko jest niepodobieństwem. Ludzie mieszkający w młynach nie słyszą podobno wreszcie wcale — turkotu i huku jego kół. I my nie słyszymy druzgotania nieustannego istnieć, chlupotu krwi, przelewającej się poprzez szprychy i koła. Szalonym pędem mknie pojazd szczęśliwych, rozumnych, otaczają ich tumany kurzu, nie widzą, nie słyszą nic. Nie widzą krwawych bruzd, jakie zostawia za sobą ich pościg, nie słyszą krzyku rozpacz i straszniejszego niż wszystkie jęki — milczenia, które rozpościera się, gdy serce ludzkie oswoi się z beznadziejnością. Jęk niedoli nie może być tak straszny, jak milczenie ginących.

Widziałem wieś zamęczoną przez głód. Jechałem pomiędzy dwoma szeregami chat. Od czasu do czasu wychylała się jakaś szerniała głowa o szklistych oczach. Najczęściej nie wyciągano nawet ręki, nie żebrano. Trwało to już długo. Legło na duszach jakieś oschłe szaleństwo. Na rogu uliczki stał człowiek bosy, z gołą głową, choć ją paliło słońce, na szyi miał łańcuch, z końców którego zwisały dwa żelazne ciężary. Ubrany był w jakąś świtę<sup>636</sup>, otwartą na piersi, widać było, że spod kolczastego pasa, który ściśnięty miał na biodrach, ściekała krew. Podąłem mu jakiś pieniądz. Spojrzał na mnie, rzucił pieniądz na ziemię. Po chwili zaczął go zagrzebywać nogą i laską o żelaznym okuciu.

— Co robisz? — spytałem.

— Zaorać trzeba złe. Pieniądz złe, chleb złe. Co pozwala żyć, złe. Czeka tu drugi dzień i co wieczór idę przez wieś, i wołam wielkim głosem: Posłała mnie Najświętsza Trójca. Bóg wtedy zmarł na kamiennej górze. I człowiek nie powinien żyć. Trzeba wsie spalić, siebie spalić, ogień uderzy w niebo, spali gwiazdy.

Był wtedy ulgą dla mnie ten obłąkany po trupim milczeniu chat. Trupy w nich dopiero miały być jutro, pojutrze, a już można było zrozumieć, jak straszne jest, że taka olbrzymia, przytłaczająca większość przyjmuje życie i milczy. Jak może znieść to poeta? On, który widzi i słyszy sercem. Czy jest doprawdy rzeczą pewną, że istnieli kiedykolwiek poeci; myślę, że najwięksi z nich milkli, zanim zdołali wyrzec słowo. Człowiek jest jeszcze dziś zbyt nieszczęśliwą istotą, aby mógł być na wskroś myślą.

— Myśmy otworzyli wtedy przed wzrokiem społeczeństwa rosyjskiego piekło ziemi. Myśl musiała ujrzeć, jak ludzie giną, walcząc z krzywdą, w której każdy bierze udział.

Tolstoj<sup>637</sup> nie mógł znieść tego widoku i złamał się: nie należy walczyć ze złem. Narodowolcy nazbyt silnie ciążyli na ludzkim sumieniu: oni winni, dlatego piszą krwią własną płomienne oskarżenie, wezwania, wobec których drżą trwożliwe dusze. Nie walczyć ze złem, bo wy nie zmożecie potwora — a my nie możemy już dłużej patrzeć na waszą zgubę.

Europa do dziś dnia uważa Tolstoja za jakiś szczyt rosyjskiej myśli moralnej. Nie zna się Czernyszewskiego, milczy o Michajłowskim, milczy o Żelabowie, Perowskiej, Myszkynie, Łopatinie, o setkach i tysiącach innych. Tolstoj! Tolstoj! Tak się pisze historia.

W tym zaś czasie tak nieustannie wrywano kogoś z naszych szeregów, miasto tak było pełne strasznych wieści, że niepodobieństwem<sup>638</sup> było nie widzieć życia w całej jego grozie. Wszystkie pojęcia ludzkie zostały wystawione na próbę. W tym czasie trudno było przeprowadzić granice, gdzie kończy się bierność, a gdzie zaczyna się współnictwo z przelewającą najszlachetniejszą krew ludzką, depcząca myśl, sumienie i prawo — siłą. Trzeba było dużej naiwności, ślepoty lub obłądki, aby mówić o wartości moralnej, moralnych podstawach ładu, trzymającego się tylko szubienicami. Za co ginęli ci ludzie? Społeczeństwo знаło ich myśli, wiedziało, że nie zdoła ich odeprzeć, wiedziało, że nie

<sup>636</sup> *świta* a. *świtka* — ubranie wierzchnie chłopów; siermięga. [przypis edytorski]

<sup>637</sup> *Tolstoj, Lew* (1828–1910) — rosyjski prozaik i dramaturg, myśliciel, krytyk literacki i publicysta; przedstawiciel realizmu, łączył wnikliwą obserwację z własnymi poglądami na rzeczywistość, głosił doktrynę „niespreczewiania się złu przemocą”, potrzebę odnowienia moralnego i powrotu do natury; autor m.in. dzieł: *Wojna i pokój*, *Anna Karenina*, *Sonata Kreutzerowska*, *Żywy trup*; jego utwory wywarły duży wpływ na literaturę światową i rozwój myśli moralnej jego epoki. [przypis edytorski]

<sup>638</sup> *niepodobieństwo* — rzecz nieprawdopodobna, niemożliwa. [przypis edytorski]

może im przeciwstawić żadnych innych, czuło się ono samo zniewolone wewnętrznie widzieć, uznawać ich prawdę. Czuło, że głos, który rozlega się w milczeniu niewoli i trwogi, woła jak sumienie własne. I jednocześnie wiedziało, że nie może, nie zdoła nic innego dać tej uznawanej prawdzie prócz więzienia i szubienicy.

Nowoczesne społeczeństwa dlatego wytwarzają w sobie atmosferę tak przeraźliwie zgniłą, iż niepodobna w niej żyć, nie wątpiąc o człowieku, że są nieustannym judaszowym zaprzędaniem. Wiedzą ludzie dobrze, że niegodni są istnienia, wiedzą, że życie, jakie stwarzają, to ciężki koszmar bez godności i szczęścia, i jednocześnie nie są w stanie wyzwolić się spod jego władzy. Własna niemoc, o wzgardę dopominająca się nicość — ciążyą jako przeznaczenie. I jednocześnie coraz jawniejszą jest rzeczą, że ten świat, którego nikt nie szanuje, nikt nie czci, do którego nikt nie jest przywiązany, trzyma się tylko na sile i przemocy. Myśl jasna i sumienna czuła grożące tu niebezpieczeństwo, groźba — to nieprzyjaciel. A jednocześnie nie ma już wiary w ochraniających, utrzymywanych za cenę krwi porządek.

W inteligentnych domach petersburskich tego czasu widziało się wtedy śmierzącą obłudę. Ludzie jakby uniewinniali się przed sobą wzajemnie, wzajemnie usiłowali sobie dowieść, że mają rację, że trzyma ich w obrębie sytej niewoli nie tchórzostwo i słabość, lecz poczucie zasad. Chodzili, nadymając się przed sobą, ci Sieyèsowie<sup>639</sup> petersburscy, mający za jedyłą odpowiedź: *j'ai vecu*<sup>640</sup>. I dowieść usiłowali sobie, że mają prawo ochraniać, ocalać to swoje jedyne życie. Trzeba przecież było być po którejś stronie. Oni czekali. Czekali, chociaż wiedzieli, że to sumienie ich własne, dusza ich własna walczy, ginie za nich, chcąc wydrzeć ich hańbie i niewoli. Czekali, aż zwycięży. Tak zakłamał się nowoczesny człowiek, że swobodę nawet własną osiągnąć może jedynie kosztem zdrady.

Widzieliśmy to jasno, widzieliśmy, że liberalna opinia, która potajemnie usiłuje wmówić w siebie, że to ona tryumfuje, gdy przemoc drży pod naszymi ciosami, szcuć nas będzie, ujadać za nami jak sfora psów, że ciała nasze będzie szarpać mściwym zębem hańby, pozostawionej już na wieki z samą sobą. Lokaje własnego tchórzostwa przesłaniali swoją nędzę sami przed sobą całymi bastionami rozumowań. Moralność, nienawiść gwałtu, w jakiegokolwiek bądź formie występuje on — wszystko to służyć miało za usprawiedliwienie. Jak gdyby tu jeszcze mogło być coś do ocalenia.

Nowoczesna ludzkość kulturalna powinna pamiętać, że żyje na podstawie prawa, które jest nieustannym morderstwem, na olbrzymiej większości wykonywanym. Póki żyjemy w takich warunkach prawnych, że istnienie kulturalnej mniejszości możliwe jest tylko na podstawie nędzy, ciemnoty, śmierci i zguby mas, wszelkie frazesy etyczne, wszelkie deklaracje o współczuciu sphywać będą jak woda, która nie jest w stanie zmyć tej krwi, jaką pisane są kodeksy. Prawo istniejące jest naszym istotnym czynem, a prawo to jest mordem. Palcem nie ruszając, nic nie czyniąc, żyjąc tylko w obrębie istniejących stosunków, przelewamy nieustannie, nieustannie wdeptujemy w ziemię krew ludzką.

Było nam tak trudno spotykać się, że musiałem być w tym czasie na balu, prawdziwym świetnym balu, z frakami, balowymi kostiumami, aby zobaczyć się z Wierą Kochanowicz. Przyszedłem późno, chcąc zabawić tu jak najkrócej. Stałem oparty o jakąś kolumnę, doznawałem zawrotu głowy, usiłując objąć wszystkie cisnące się w myśli i sercu przeciwieństwa. Śmiech tu był i wesołość. Piękne, smukłe postacie kobiece omijały mnie w wirze tańca. Muzyka tylko tu rządziła. Nic prócz rozśpiewanej duszy. Ona wprawiała w ruch te piękne ramiona, jej rytmem pulsowały serca. Co chwila wzrok mój spotykał w tłumie czyjeś spojrzenie. Oczy były roziskrzone radością, szczęściem, nie chciało się wierzyć, że jest możliwe, że istnieje ten świat, który może i śmie się bawić, podczas gdy podziemiami płynie krew. Myślałem, jak patrzyłby Nieczajew ze swego podziemia na to święto szczęścia i radości.

Błądząc po sali, napotkałem parę oczu wpatrzonych w tańczących z takim wyrazem przerażenia i bólu, że mimo woli zatrzymałem na nich spojrzenie. Spojrzenia na-

<sup>639</sup>Sieyès, *Emmanuel Joseph* (1748–1836) — francuski ksiądz i polityk, rzecznik praw stanu trzeciego, którego był reprezentantem; jego broszura pt. *Czym jest stan trzeci?* stała się manifestem rewolucji francuskiej, przyczyniła się do przekształcenia Stanów Generalnych w Zgromadzenie Narodowe w czerwcu 1789; głosował za ścięciem króla, był członkiem Dyrektoriatu, po przewrocie Bonapartego 18 brumaire'a mianowany na marionetkowe stanowisko drugiego konsula, wkrótce zrezygnował; po 1800 odsunięty od władzy. [przypis edytorski]

<sup>640</sup>*j'ai vecu* (fr.) — przeżyłem. [przypis edytorski]

sze spotkały się, coś jakby pytanie przemknęło w bolesnych oczach, blada twarz nagle uśmiechnęła się — poznałem ją teraz. Był to poeta Wołzski, poznałem go gdzieś na jakiejś wieczorynce literackiej. Lubilem niezmiernie jego utwory: smutne jak muzyka słuchana przez umierającego i jak śmierć wśród kwiatów i słońca lub z pamięcią o nich w szpitalu. Czulo się w nim duszę znękaną i zbolaną, kaleczoną przez wszystko, spragnioną światła i szczęścia, których nie znała nigdy. Wołzski podszedł do mnie, spostrzegłem, że ma twarz bledszą niż zwykle, wargi spieczzone. Usiedliśmy w jakimś kątku.

— Co to jest? — pytał Wołzski, wskazując wzrokiem salę. — Zrozumieć trudno. Wiem, że to jest codzienne i powszednie, że dziwić się temu nie wypada, nie można — ale co to jest? Jak to zrozumieć i pojąć? Hamlet dziwił się matki weselu na dworze w Elsynorze<sup>641</sup>. My się nie dziwimy nawet z kielichem w ręku, w kwiatkach, przy dźwięku muzyki, brodzimy w krwi i nikt nie widzi, nikt nie czuje, że to, co się dzieje — jest straszne. Wie pan — mówił — wczoraj byłem u Loris-Melikowa<sup>642</sup>, właściwie dziś nad ranem, ale przechodziłem przed jego domem prawie całą noc. Myślałem, że znajdę słowa, że przecież znajdę jakiś ton, że on poczuje, zrozumie. Mirski<sup>643</sup> — skazany na śmierć. Myślałem, że mu powiem, co to jest śmierć człowieka. Chodziłem i myślałem, co to jest śmierć człowieka. To jest nieprawdopodobne. Wszystko gaśnie, ginie. Wszystko to słoneczne, barwne, pachnące, kwiaty, pocałunki, szczęście, morze, zieleń, ginie — nagle nic. Świat był, świat runął nagle w nicość. Co to jest, jak to może być? Jak może być to, aby człowiek obmyślił śmierć człowieka, ja nie rozumiem, nie rozumiem nic. Jakieś nieporozumienie jest we wszystkim. I ktoś przecie musi dać początek. Ktoś musi wskrziesić dobroć. Myślałem, że powiem mu coś niezwykłego, i czułem to. Nie powiedziałem nic. Był bardzo uprzejmy, chłodny i spokojny, jak gdyby rozumiał i nie dziwił się niczemu. Co może być tak silne, że zrywa wszystkie węzły pomiędzy ludźmi? I czy w nas, czy teraz istnieje jakiś związek, istnieje jaka wspólność? A najstraszniejsze, że tak się ludzie spychają wzajemnie w śmierć, nie widząc i nie wiedząc, jak gdyby nie rozumiejąc, że to na zawsze, że to naprawdę. Myślę, myślę i czasami wydaje mi się, że to ja tylko nie zrozumiałem czegoś — ot, zostałem z jakimiś dziecinnymi, sielankowymi mrzonkami, a życie — to właśnie to: zabijać, zabijać, zabijać. I czy nie? Czy my nie zabijamy i samych siebie? Cóż jest praca, gorączka twórcza, wszystko? Nieustanne samobójstwo. A więc tak trzeba. Coś dziwnego gna nas, my myślimy, że należymy do siebie, a nad nami świszcz bat, ktoś pędzi, gna przez śnieżne pola wśród nocy. Więc życie — to nigdy nie jest *moje* życie, zdaje mi się tylko, że ja jestem. A jest coś, co mi je odbiera, mnie i każdemu. I co to jest? Ja patrzyłem w oczy tamtego człowieka, który śmie wymówić słowo *śmierć*, i szukałem odpowiedzi. On ma *tylko* odwagę zabijać. Skąd ma ją on, skąd ma męstwo człowiek, aby zabijać innego, i tak chłodno, spokojnie, bez niebezpieczeństwa dla siebie zabijać?

Któż jest winien ostatecznie?

Wszyscy. My wszyscy, trzymający w ręku władzę, prawo, naukę, myśl ludzkości i nie umiejący wytworzyć z tego nic prócz nędzy. My wszyscy jesteśmy winni, dlatego nie mamy prawa się usuwać i wybierać dróg, które nam dogadzają. Trzeba iść, gdzie każe prawda i choćby przez ich i naszą śmierć.

A potem? — pytał Wołzski. — Powstaną nowe pokolenia, nowe walki. Ludzie będą ginęli w krwawym mroku, póki nie zdołają go przemoc. To trudno określić — a tak jest. Nie wolno się uchylać od spełnienia swojego czynu. Swojego właśnie. Będą szczęśliwe pokolenia, którym da historia czyny jaśniejsze, czyny szczęścia i światła, niezamroczone przez niczyją krew. Ale to będzie ich czyn. My tu stoimy i musimy przeżyć siebie, własną duszę, myśl. Jeżeli nie można przeżyć myśli swej, nie wołając, nie ściągając śmierci

<sup>641</sup>*Elsynor* — zamek królewski w Danii, w którym rozgrywa się akcja tragedii Szekspira *Hamlet*; *Hamlet dziwił się matki weselu*: zrozpaczony po śmierci ojca Hamlet był zgorzchniony zachowaniem matki, która wyszła za mąż za jego stryja niedługo po śmierci poprzedniego męża. [przypis edytorski]

<sup>642</sup>*Loris-Melikow*, *Michail Tarielowicz* (1824–1888) — rosyjski generał i polityk pochodzenia ormiańskiego; w lutym 1880 mianowany przewodniczącym Najwyższej Komisji Zarządzającej do Spraw Zachowania Ładu Państwowego, po jej zlikwidowaniu w sierpniu 1880 został ministrem spraw wewnętrznych (do 1881); zaproponował Aleksandrowi II projekt reform politycznych (konstytucja Loris-Melikowa), który nie został zrealizowany z powodu śmierci cara w zamachu. [przypis edytorski]

<sup>643</sup>*Mirski*, *Lew* (1859–1920) — terrorysta z polskiej rodziny szlacheckiej z Ukrainy, sprawca nieudanego zamachu na szefa żandarmerii, gen. Drentelna (13 III 1879), 17 listopada skazany na śmierć; 2 dni później w drodze łaski wyrok zamieniono na dożywotnie ciężkie roboty. [przypis edytorski]

na ziemię — takie jest już położenie historyczne. Historia nie ceni człowieka. Gubi go i w nicłość spycha dla niczego. Śmierć nie stanowi dla niej przerwy ani przeszkody. Nie dostrzega ona jej nawet. Większość ludzi ginie, nie wiedząc po co. Dla czego na przykład umierają i umierają w tej chwili ci wszyscy tańczący, weselący się ludzie. Przecież ona nie wróci, ta na wieki zatracona obecna chwila ich niepowracającego życia. I tak, jedną za drugą, tracą oni wszystkie chwile, godziny, dni, całe życie. Umierają i giną na wieki nie wiedząc, po co żyli. Świece płonęły na wicherze, świece wiatr strawił. Spłonęły i wiatr dmie te same puste, niezrozumiałe skargi, płacze, przekleństwa. Śmierć nie jest straszna; śmierć bezpłodna, śmierć nie tworząca nic prócz nowej warstwy, nowego pokładu martwego kamienia i mroku grzebiącego żywe społeczeństwo, to jest jedyna groza. My tu w tej chwili siedzimy i w ten lub inny sposób wpływamy na życie ludzi, których nie znamy, przyczyniamy się do tego, że ich życie przeminie marne, puste, bez treści, oni przezywani są przez nas i przezywają nas, i gdzie winowajca? Coś nieznanego trawi żywoty ludzkie i pozostaje wiecznie nieme jak wicher nad czarną, zwęgloną pustynią. I to coś, ten los, my wszyscy tworzymy, on nie jest niezależny od nas. Nieustannie każdy zabija siebie i jest zabijany. Nieustannie. I to przecież jest historia. Trzymamy miliony w ciemności, aby na ich nędzy, jak na mierzwie, wybudować myśl. Myśl dojrzała dopomina się o władzę, chce żyć, wskazują jej, że żyć nie może, bo miliony są ciemne. Ona zabiła ich życie, one teraz zabijają ją samą swym ciężarem.

Rozumiałem, o co chodzi Wołzskiemu. Szukał on tej samej odpowiedzi u mnie, jakiej nie znalazł u Loris-Melikowa. Przypomniał mi się stryj Seweryn i to, co mówił on o strasznym położeniu człowieka, który *nie jest w stanie* na swym stanowisku, jakie zajmuje, postępować po ludzku. Przypomniało mi się także to, co mówił on, że obecnie wszyscy dążą do zakreślenia takich granic, poza którymi wolno im już przestać liczyć się z człowiekiem i obowiązkiem. Dla jednych wolno nie być człowiekiem wobec zbrodniarza i w złodziejstwie lub w zabójstwie nie widzieć już człowieka, dla innych obowiązkiem się stało przestawać czuć po ludzku, gdy idzie o cesarza rosyjskiego. Gdzieś zawsze kończy się wspólnota w myśli i dążeniu. Rozum bankrutuje, pozostaje, jako ostatnia racja, chłodna, nieprzemierzalna logika topora. A jednocześnie czułem, że nie mógłbym się zatrzymać na żadnym stanowisku tego rodzaju, że pogardzałbym sobą wewnętrznie, gdybym *dziś* zeszedł z zajmowanego posterunku. Było więc we mnie jakieś prawo. Myśl usiłowała je ująć. Wymykało się jej zawsze coś ostatniego, jak światło księżycy na czarnej, drżącej powierzchni wody. Męczyło mnie to w tej chwili. Muzyka grała, otaczała nas wrzawa, ciężki, odurzający zapach tłumy, krzyżowały się ponad naszymi głowami uśmiechy i spojrzenia. Ja czułem na sobie rozpalony wzrok Wołzskiego i myślałem, że muszę przecież coś odpowiedzieć temu sercu uciskanemu przez świętą bojaźń o przyszłość, o czystość, o prawdę wewnętrzną człowieka. Mówiłem ciężko i z trudem:

— Są położenia, gdy wina jest wszędzie. Rozłożyła się na wszystkie głowy, ciąży na wszystkich ramionach, gdy żywi czują, że nie wydołają, że nie są w stanie zrozumieć, gdzie jest źródło krzywdy. Czują, że muszą dźwignąć, a nie mogą, że prawda wyszła już poza nich, że przeszkadzają jej zniszczeniu, że wymyka się im ona wtedy...

— Wtedy? — spytał Wołzski.

— Wtedy trzeba, aby zginęli wszyscy. Trzeba, aby nie lękali się zginąć. Nie wiem, wydaje mi się, że nie wolno usuwać się. Znika różnica między tym, kto daje i bierze śmierć. Znika różnica pomiędzy ręką, która uderza, i sercem, w które godzi kindżał<sup>644</sup>.

— Nie rozumiem — rzekł Wołzski — cóż może śmierć?

— Nie przez siebie samą. Ale jest tak. Woła straszliwym głosem krzywda, woła całą krwawiącą olbrzymią masą ludzka: ocal mnie. I czuje się to i widzi. I nie może się dźwignąć. Wciąż się jest przeszkodą. Nie wolno żyć, depcząc po krwi. Już nie wolno rozumować, a raczej — nie pomoże. Niepodobna myśleć o czystym, swobodnym, nieobryzganym krwią życiu. Orestes<sup>645</sup> nie wybierał losu. A to nawet nie to. Bo to nie zemsta. Biada tym, co żyją, a nie umieją stworzyć prawa. Muszą zginąć. Pod oknami tego do-

<sup>644</sup>kindżał — rodzaj długiego noża stosowanego jako broń: o obosiecznej głowni, z rękojeścią bez jelca (tj. części osłaniającej dłoń i oddzielającej głownię od rękojeści), często zakrzywiony; w armii rosyjskiej wchodził w skład uzbrojenia oddziałów kozackich. [przypis edytorski]

<sup>645</sup>Orestes (mit. gr.) — król mykeński, syn Agamemnona i Klitajmestry, który zgodnie z nakazem Apolla pomścił swojego ojca, zabijając jego morderców: własną matkę i jej kochanka. [przypis edytorski]

mu stoją karety i czekają stangreci, lokaje na mrozie. I przemija tak niepowrotnie ich życie. Czekają, aż tu się skończą bawić, i nieustannie zbliża się do nich śmierć, która ich strąci w nicość. Czas ich ginie na wieki i nic nie pozostanie: ot, spada po prostu mętna i zimna fala w pustkę. Tu muzyka i taniec. Przed czym uciekają ci ludzie, co gonią, czas ich ściga, widmo ślepe i wystygłe. Zdaje im się, że już uszli, wyrwali mu się. Własnego życia tylko kilka godzin znów samym sobie wydarli, stracili w jałową pustkę. Muzyka gra, a właściwie tu i tam to jedno, dmie śmierć, wieje wicher, porywa zmarzłe listowie.

— Czy pan wierzy — mówił powoli Wołzski — że ludzie zawładną losem, że uczynią celowym stwarzaniem to nieustanne umieranie, uczynią śmierć życiem, że będzie ona posłuszna ich woli i wywodzic będzie z mrącej piersi tylko ich myśl, ich duszę? Czy pan wierzy, że czas będzie miał serce i sumienie?

Z rozpaczliwą wiarą, która mnie przywalała jak kamień w pamiętną noc nad trupem Adasia, z wiarą, która stoi już jakby na mogile, na drżącym sercu, odpowiedziałem:

— Tak.

I padło to słowo tak dziwnie w tej chwili, jakby zawierało w sobie nieskończenie wiele myśli niedopowiedzianych.

— Ja nie mogę, nie mogę uwierzyć myślą — mówił Wołzski — muszę widzieć myśl. Muszę mieć tę chwilę w sercu. O Boże, czy nigdy, czy człowiek nigdy nie będzie swój własny? Dobrze pan powiedział, kradnie coś nieustannie człowiekowi człowieka. Mam wrażenie, że się zaplątałem w jakiś obcy sen, z którego się nie mogę przebudzić. Czuję, że się muszę przebudzić, muszę poznać prawdę jasnym, trzeźwym wzrokiem, ująć życie. A snują się obce, obmierzłe obrazy. I tak przeminę w tym cudzym, potwornym śnie. My nic nie znamy, same kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa. Myślę, że *ja* właśnie jeden winien, że powinienem krzyknąć z głębi serca i zbudzić wszystkich, bluznąć im wszystkim krwią w oczy, aby stanęli. Ach, ta muzyka.

Śmierć gra.

Kwiaty pachną, oczy się skrzą.

Nad miastem palą się gwiazdy. Tańczą piękne pary. Młodzi, rycerscy panowie szepcą słowa tajemne jak las.

Kwiaty pachną; jak gwiazdy skrzą się oczy. Błyszczą na umarłym niebie. I wy, i oni — umarli. Wstrzymał się, zastygł już czas. Czarna rzeka zacięła się w kamień. Cała ziemia leci w słońce jak gład.

Jak gład spadnie roztańczona ziemia; kiedy wstrzyma się, zastygnie już czas.

Muzyka gra, krążą piękne pary: na sali, na niebie jest śmierć.

Kwiaty, kwiaty się sypią, sypią się myśli i dnie. Ludzie wędną, zapachem się cieszą chwil, co się sypią jak płatki. Jak listki pachnące, tak dzwonią chwil otrząśniętych wspomnienia.

Lecz coś połyskuje na dnie,  
Co na dnie jest szczęścia pamięci?

Czarna rzeka świeci martwo, gwiazdy patrzą groźnie jak śmierć.

Krążą, krążą, życie nasze mierzą,  
Naszych serc piją życie — krew,  
Krążą, krążą obce i nieznane.  
Nasze życie tak krąży nad nami,  
Niedosiężne i obce jak śmierć.  
Jak księżyc, który się przegląda w rzece  
Czarnej, zamarzłej jak gład;  
Nasze życie patrzy na nas z dali,  
Patrzy, rychłoli<sup>646</sup> zagasi nas czas.

Śmierć gra.

Tańczcie, piękne panie!  
Zimne gwiazdy krążą nad nami —

<sup>646</sup>*rychłoli* (daw.) — czy prędko; połączenie słowa „rychło” (prędko, wkrótce) z partykułą -li, wyrażająca pytanie. [przypis edytorski]

Policzone są już nasze dni —  
 Los nasz leży jak zamarzła rzeka,  
 Śmierć się patrzy i na nic nie czeka:  
 — Nie powiemy jej, przechodząc, nic.  
 Ona stoi i czeka na hasło.  
 Czekaj, czyli<sup>647</sup> jej nie powie kto,  
 Że złamane jest wieczne milczenie,  
 Że nie rządzi gwiazd zmarłych krążenie  
 Żywych ludzi pulsującą krwią.  
     Stoi na stronie i czeka.  
 Życie ludzkie jak piasek przecieka,  
 Szumi los, jak jesienią rzeka,  
 Nim zamarznie.  
     Leży martwa jak szkło.  
 Szklane gwiazdy śmieją się w górze,  
 Nic nie zmieni się w życia naturze.  
 Wciąż jednak człowieka jest los.  
 Życie krąży nad nami jak gwiazda  
 Niedosiężna, obca, daleka.  
 Los przemija, zamarza jak rzeka,  
 Gwiazdy patrzą zimne i kamienne —  
 Wciąż jest obce, wciąż jest bezimienne  
 Gwiazd i losu nad nami krążenie —  
 Piękne panie, przeminiecie jak cienie.  
 Gwiazdy krążą i milczą nad zamkiem,  
 Biedny człowiek tam mieszka i rządzi —  
 Życie jego jak gwiazda umarła  
 Patrzy z dala:  
 Śmierć u wrót już czeka,  
 U wrót śmierć czeka na hasło,  
 Że gwiazd chłodnych krążenie zagasło,  
 Że zmieniło się wieczne milczenie,  
 Że brzmi głos  
     I słuchają kamienie  
 Własnej mowy żywego człowieka.  
 — Biedny człowiek pod gwiazdami rządzi,  
 Że wolę ma i czyn — śni,  
 Duszą się łamie, że błądzi,  
 Duszę ubroczył we krwi.  
     Śmierć na próżno czeka na hasło,  
     Gwiazdy milczą  
 Nad głową człowieka.  
 Jego życie jak fala przecieka,  
     Będzie leżeć martwa i kamienna,  
     Nad nią pustka  
     Wieczna i niezmienna.  
 Gwiazdy krążą nad nami jak strażę,  
 One tylko, one tylko mocarze,  
 Krew się leje, leje jak rzeka,  
 Gwiazdy krążą nad zamkiem człowieka.  
     Życia ludzkie płyną jak rzeka  
 — Próżno wstrzymać ją pragniesz, żeglarzu,  
 Pod wiosłami fala przecieka.  
 Słońce krąży obce jak kamień,  
 Jak kamienna, zamarznięta rzeka,

<sup>647</sup> czyli (daw.) — tu: czy. [przypis edytorski]

Obce życie —  
 Gwiazdy będą z niebiosów patrzyły  
     W czarny los —  
 Los zamarzył człowieka,  
 Który leży umarły jak kamień  
     — A że rządził —  
 Sny mu się śniły,  
     A że błdził —  
     To było marzenie.  
 Bezimienne jak gwiazd zmarzłych krążenie,  
 Bezimienne i wiecznie dalekie.  
 Życie nasze przepływa nad nami —  
 Śmierć otula zamek skrzydłami.  
     Gwiazdy krążą w oddali i szydzą,  
     Własnych losów tancerze nie widzą —  
     Z serc ich własnych płynie muzyka,  
     Życie chwilom się pustym wymyka —  
     Kwiat się sypie,  
     Opada wspomnienie.  
     Połyskuje los groźnie na dnie —  
     Będą lecieć umarłe kamienie  
     W ciszę słońc.  
     Szydzą z ludzi świecące milczenie —  
 Gwiazdy krążą chłodne i błyszczące —  
 Próżno bijesz, serce gorejące!  
 Życie ludzkie na zawsze zagasło,  
 Śmierć nie czeka już na żadne hasło —  
     Ona stoi niema i nieżywa,  
     Gwiazda gwiazd,  
     Świecąca, straszliwa.  
 Wkoło pustka, głuchota kamienna,  
 Czarna rzeka leży bezimienna  
     W głuchej nocy —  
     Cicho się szkli.  
 Nikt nie widzi zamarznętej krwi.  
 Myśl snujące serce już zagasło —  
 Już nie czeka, nie czeka na hasło  
     Czas.  
 Wszystko jest kamienne,  
 Wszystko jest jak czarny gmach z kryształu,  
 W którym szydzą gwiazd zimne krążenie —  
     Przeminęło na wieki marzenie —  
 Nędzarczowi śniły się sny.  
     Iż był carem i wolę miał,  
 I chcieć śmiał, i podnosił winy —  
     Sen to był,  
     Nie ty.  
 Przeminęło to wszystko,  
     Nie, ty.  
 Było losu i życia krążenie,  
     Krew się lała,  
 Milczały kamienie,  
 Żeś był carem — to było marzenie. —  
     Teraz leży  
 Zakończony już, milczący los,  
 A zimne kamienie gwiazd

Krążą ciche.  
Czarny zamek milczy —  
Przeminęło już nasze marzenie —  
Śmierć jest wszędzie —  
Gwiazdy i milczenie.  
Nie przepływa woda pod mostami.  
Zimne gwiazdy krążą nad trupami,  
Szklane gwiazdy śmieją się w górze —  
Nic nie zmieni się w życia naturze.  
Noc usiadła nad miastem  
Jak kruk.  
Jeszcze płyną czarne fale rzeki,  
Jeszcze światło się na falach skrzy,  
W salach jasno,  
Gra muzyka.  
Pachnie jak kwiat —  
Osypują się myśli jak liście,  
Ludzie gasną jak świece w przeciągu —  
Rzeka płynie — ciągle płynie rzeka —  
I tak obce jest życie człowieka,  
Jak milcząca gwiazd kamiennych straż.

Wolzski mówił zrazu na wpeł do siebie, zatrzymując się i urywając, później przejął się własnymi słowami, obrazami, jakie snuły mu się przed oczyma, nie zwracał się już do mnie, choć mówił dla mnie i wiedział, że go słucham. Słuchałem istotnie tych słów, jakby zapadając w sen. Myśli skupiały się na rzeczywistości stwarzanej przez słowo, otaczały się ich światem. Gdy spostrzegłem, że idzie ku mnie Wiera Kochanowicz z inną, piękną, wysoką kobietą, wydało mi się, że należą one do tego samego obrazu, że związane są z nim kontrastem. Sala teraz wydawała się pusta, muzyka grała w pauzie jakąś operową uwerturę<sup>648</sup>. Dwie kobiety szły ku nam, piękne, poważne, groźne. Zdawało się, że musi się stać coś przez nie. Szły jak zwiastunki.

Żeś był carem — to było marzenie...

— powtórzyłem.

Nie przepływa woda pod mostami —  
Zimne gwiazdy świecą nad trupami.

Wolzskiego Wiera i jej towarzyszka znały już. Mnie odprowadziła Wiera na stronę.

— Was czekają jutro na Sadowej — powiedziała. — Już postanowienie.

— Kiedy? — spytałem.

— W najbliższą niedzielę zapewne — rzekła Wiera.

Był wtorek.

Żeś był carem — to było marzenie...

Nie przepływa woda pod mostami,  
Śmierć otula człowieka skrzydłami.

Zamieniliśmy jeszcze kilka słów. Wolzski rozmawiał z drugą z pań.

Gdy podchodził, słyszałem, jak kobieta mówiła:

— Antygoną jest dla mnie zbyt słodka. Grzebała brata i nie spostrzegła, że miał u boku miecz. A zresztą ja nie sądzę, żeby nam wystarczyć mógł naprawdę ten stary, tak niezastosowany do naszych miar świat. Jasność myśli i czucia pozostaną.

<sup>648</sup>uwertura (muz.) — utwór orkiestrowy będący wstępem do opery, kantaty, oratorium itp. [przypis edytorski]



— Każde zjawisko jest tam w formie jakby ostatecznej — rzekł Wołzski.

— Same zjawiska są zbyt małe, powiedziałabym, nieme. I przeznaczenie ich jest dla nas inne. My wiemy już, że stworzymy sami swoje przeznaczenie, tylko stwarzamy je niby w śnie. Jestem przekonana, że nasz świat, ujrzany i uchwycony przez poetę z taką jasnością, z jaką widzieli greccy pisarze własną swoją, otaczającą ich rzeczywistość, stworzyłby dzieło wielokrotnie przerastające greckie arcydzieła znaczeniem i głębią.

— Nie widziała, że u boku ma miecz — mówił Wołzski — a może widziała pole zasiane trupami i nad nim milczenie śmierci i czuła bezpłodność miecza.

— Nastanie dzień, miecze przekują się w sochy<sup>649</sup>; jest dziś inny czas, gdy sochy trzeba i lemiesz<sup>650</sup> na miecze kuć. Dopóki kosi krzywda ludzkie żywoty, piękny jest miecz, błyskawica krwawa w ręku człowieka.

— Cóż śmierć? — jeszcze raz powtarzał Wołzski. — Zostaje to samo.

— Nie, zostaje cisza jak po burzy, gdy przejdzie z piorunami — wspomnienie, że istotnie istnieje przez człowieka stworzone prawo, co strąca w nicość przemoc. Śmierć stworzona, wywołana przez poczucie sprawiedliwości, to wielka siła. Miecz jest także pługiem i śmierć siewbą<sup>651</sup>.

Rozmawialiśmy jeszcze chwil kilka. Wołzski, przejęty wciąż swymi myślami, powtórzył całe strofy:

Biedny człowiek tam siedzi i rządzi,  
Że ma władzę i czyny — to sny —  
Marzy tylko, że działa i błądzi.  
Własną duszę, że broczy we krwi.  
Krwawe zjawy stoją nad zamkiem,  
Przepuściła je królewska straż —  
Krew się leje, leje jak rzeka,  
We krwi broczy ciało człowieka —  
Żeś był carem — to było marzenie...  
Wszędzie gwiazdy, pustka i milczenie.

Czoło przyjaciółki Wiery nachmurzyło się, oczy błysnęły.

— To nieprawda — powiedziała — to nieprawda. Ja widziałam z bliska ten świat, ich gwiazdy — to świecidełka i pieniądz. Tam przelewa się krew dla błahostki. Ludzkiem głodem tam się bawią złe dzieci. Los świata mają w ręku błazny i zbrodniarze. To nieprawda. Tam nawet nikt nie zasłużył na westchnienie ani pamięć. Poezja nie powinna im dać ani jednego słowa, gdy przytroczonych do wozu powlecze ich za sobą gniew ludowy. Tam nie zasługuje na ocalenie — nic. Tylko słabość, tchórzostwo nasze i brutalna siła ich osłania. Tam nie ma nikt prawa do naszej litości, współczucia. W jakimś uczonym dziele wyczytałam: „Winowajca ma prawo do śmierci jako przywrócenia sprawiedliwości, społeczeństwo winno mu śmierć”. — I powtórzyła: — Sprawiedliwość winna mu śmierć.

Rozstaliśmy się.

Od Wołzkiego dowiedziałem się, kim była ta przyjaciółka Wiery. My pomiędzy sobą tak często zmienialiśmy nazwiska, że nie zwracało się na nie uwagi.

Wołzski był cały pod wrażeniem. Siedzieliśmy z nim parę godzin jeszcze razem. Nie chciało mi się rozstać z nim.

On wpadł w jakiś miękki nastrój i oddawał się obrazom stwarzanym przez wzruszenie, gdy mówił:

— Huczą konie po zwodzonym moście, turkot słychać ciężkich, złotych kół, pędzi rydwan. U boków mścicielki straszny wzrokiem wszędzie niosą śmierć. Z mieczem stoi na szczycie rydwanu w złotym kasku Atene, mścicielka. Huczą koła złote, wykuwa-

Władza, Zbrodnia, Lud,  
Kara, Sprawiedliwość,  
Śmierć

<sup>649</sup>socha — prymitywny, drewniany pług. [przypis edytorski]

<sup>650</sup>lemiesz — metalowa część pługa, zagłębiająca się w ziemię podczas orki. [przypis edytorski]

<sup>651</sup>siewba — siew, obsiewanie pól. [przypis edytorski]

ne, tupot koni słycać już przed zamkiem. Porażona przez gorgony<sup>652</sup> straż. Sina trwoga wykrzywiła lica. Pozostał sam jeden na tronie władca. Błada głowa chyli się w koronie.

O mścicielko, czyliż śmierć mi dasz?  
Daj mi ciszę, wieczne zapomnienie —  
Głowę zgina śmiertelne zmęczenie,  
Daj mi śniegów i lodów milczenie  
Nad pamięcią.  
Daj mi głuchą noc —  
Pędzą konie po zamrzłym stepie,  
Kopytami biją o kryształy  
Ściętych wód —  
Pallada-mścicielka na wozie,  
W ręku trzyma zakrwawiony miecz —  
Błade ciało wlecze się za wozem —  
Patrzą w niebo skamieniałe oczy —  
Gorgony sprawiają straż,  
Patzą z woza, by nie wstał umarły.  
Kruki lecą,  
Będą ciało darty..  
Głucha noc —  
Gwiazdy ciche świecą,  
Pallas milczy —  
Konie lecą, lecą —  
Gorgony sprawiają straż...

## XVII. GROŹBY CZARNEJ NOCY

Nie dziwiłbym się, gdyby był w tym czasie otoczeniem carskim i policją owładnął zabobonny strach. Nieustannie składała policja raporty, że udało się jej ująć cały spisek, że niebezpieczeństwo jest zażegnane — i nie mijał dzień, a nadchodziły znaki, że Narodna Wola żyje i gotuje coś. Policja знаła nasz skład — wiedziała, ilu nas zostało. Wysiłała się, aby nas ująć. I ciągle z przerażeniem dostrzegała, że znaczne straty nie wstrzymują groźnej, nieustannej, niepohamowanej pracy. Miasto milczało. Policja wiedziała, że w tym milczącym, kamiennym lesie są gdzieś ukryte nieubłagane, nieustraszone serca i gotują zgubę. Znała imiona i twarze tych ludzi. Raporty agentów przynosiły jej o nich głuche wieści. Byli tu — znowu gdzie indziej. Taki to tam był widziany. Na jedną chwilę spoza czarnej ciszy wychylała się błada, groźna twarz, istic widziadło erylui, i znikala znowu. I wiedziało się tylko, że gdzieś na dnie nocy one są — mścicielki. Gdyby car znał grozę swego położenia, byłby w tej chwili tragiczną postacią. On mógł znać tajemnice nocy. Otaczała go zwartą ścianą, mroczna, nieprzenikniona, a nagle, spoza martwego mroku i ciszy dolatywał groźny głos, wysuwała się skrwawiona ręka, oczy iskrzące błyskawicami.

„...Białe carze, białe carze — mówił Nieczajew — nie odstraszysz mnie. Podziemiami płynie krew, płynie woda, szumi woda, ciemna jak śmierć. Gwiazdy gasną — ja, trup, rządę pod ziemią”.

Myśl nasza krążyła koło tej jednej postaci jak upiór. I wysiłki policji były rozpaczliwe jak walka z upiorami, walka, poza której determinacją i nieubłaganiem czuło się grozę. Byliśmy przecież istotnie dla ludzi tych tajemnicą. Znali nas oni z fantastycznych domysłów, stworzonych przez własną ograniczoność. I czuli, że milczenie nasze pośród kamiennego miasta groźniejsze jest i głębsze niż te bajki jaskrawe i krwiożercze, jakie na nasz temat roili..

Czy nie straszniejszy był od wszelkiego fantastycznego, krwiożerczego potwora Kibalczyc, który wydał wyrok bezosobisty, jak całe życie jego, i rozwiązywał zagadnienia

<sup>652</sup>Gorgony (mit. gr.) — trzy siostry-potwory: Steno, Euryale i Meduza, przedstawiane ze skrzydłami, ostrymi kłami i szponami oraz węzami zamiast włosów; ich spojrzenie obracało ludzi w kamień; na tarczy Ateny znajdowała się głowa Gorgony, ofiarowana jej przez Perseusza w podziękowaniu za pomoc przy pokonaniu potwora. [przypis edytorski]

śmierci jak zadanie astronomiczne? Czy nie straszny był Żelabow, czujący świętość swego prawa i czujący, że ta ochraniająca przez straż głowa należy do niego, że on wprost winien jest śmierć Aleksandrowi II? Straszne musi być życie, gdy jasna część duszy sprzymierza się z milczeniem nocy. Zimowy Pałac w tym czasie powinien natchnąć kiedyś poezję. Groźny jak zamek Makbeta<sup>653</sup>, jak zamek królewski, a banalny jak koszary, szary jak żołdacki szynel. Czy brakowało ostrzeżeń?

W dzień wiosenny szedł przez swój ogród car Aleksander z synem. Było to jeszcze w początku panowania, czasie iluzji i marzeń. Nagle usłyszał kroki, ktoś szedł za nim. Car przyspieszył kroku. Gdy zbliża się do cara ktoś, ten stara się uciec jak przed złym sumieniem. I sumienie to szło wtedy za carem, przez aleje parku. Sierno-Sołowjewicz<sup>654</sup> szedł, niosąc mu myśl wskazującą drogę sławy i szczęścia ludowego. Car kazał Sołowjewicza pocałować — tak samo uczynił Judasz. Przeszło parę lat. Sołowjewicz umarł na Sybirze. Nie brakowało, nie mogło brakować ostrzeżeń w Zimowym Pałacu. Czy nie dołatywał tu śmiech Katarzyny<sup>655</sup> gziącej się z kochankiem? Czy nie błąkał się po salach siny trup Pawła<sup>656</sup> z zaciśniętą szyją i zmiażdżoną głową? Czy nie rozlegało się tu westchnienie Aleksandra I, który marzył, że będzie człowiekiem, a został ojcobójcą, zdrajcą ludów, pogardzonym przez własną myśl lepszą? Czegóż szukał na dnie kieliszka Aleksander II? Tego samego zapomnienia, które dawała zesłanemu przez jego ojca w żołdacki pocie Poleżajewowi opiewana przez niego siwucha. Trzeba było roztopić w czymś ołowiany ciężar nudy.

Car nudził się. Czuł, że jest w nim pustka. A każda pusta godzina — ciężka i nudna jak jesienny opar — krwią była znaczone. Car nie widywał duchów. On myślał, że morduje zbrodniarzy. Lał krew najszlachetniejszą Rosji i nie widział, Polskę w krwi utopił i nie widział Na Litwę posłał Murawjewa, którego krwiożerczą duszą się brzydził. Krew i łzy płynęły pod zamkiem — car nie widział. On myślał, że to jest Bóg. Że to mu położył na czole rękę Bóg z ikon, że on odpowiada tylko przed nim. Ale ikony milczały, nic nie dawało zapomnienia bożemu pomazańcowi, z głębi Pałacu biegł cichy płacz kobiety i kładł się na duszy jak zasłużony wyrzut. W końcu umilkł. Car chłodnymi ustami dotknął czoła żony<sup>657</sup> i pojechał do tej, która ją do grobu strąciła. *Le roi s'amuse*<sup>658</sup>. Krew niech pada na tego, co z ikon spogląda. Otaczali go ludzie, których znał, czytał im do głębi ich zimnych, nędznych dusz. Wiedział, że śmiać się będą w dzień jego pogrzebu, że jest im niczym. Był sam, czuł, że cisza nocy dopomina się o odwet i grozi. Ręka sięgała po kieliszek jeden, drugi, trzeci, dusza piła zapomnienie, a ręce niewidzialne gotowały już topór, co miał spaść na oszczędzoną głowę. Car czuł, wiedział, że coś idzie, coś nieuniknionego, i szedł na spotkanie smutny, znudzony, bez jasnej myśli w głowie, z chłodem w sercu. Przeznaczenie było nad nim, za nim, gdy odwracał głowę; widział, czuł je i bał się przemówić. Nie umiał myśleć. Mroczyło się wszystko, kiedy zaczynał rozmyślać i zastanawiać się głębiej. Ziemia zbroczona krwią, on na katafalku w mundurze — woskowy, sztywny, śmieszny, niepotrzebny. Co to jest? Koniec? Koniec czyj? Na pytanie nie odpo-

Car, Nuda

<sup>653</sup>*Makbet* — tytułowy bohater tragedii Szekspira, waleczny wódz szkocki, który za sprawą wzbudzonych w nim przez przepowiednię ambicji i nakłoniony przez żonę zamordował prawowitego króla i zagarnął tron. Pocucie winy i paranoiczna podejrzliwość popychały go do kolejnych zbrodni, aż do fatalnego końca w zamku obleżonym przez zbuntowanych rycerzy. [przypis edytorski]

<sup>654</sup>*Sierno-Sołowjewicz, Nikołaj Aleksandrowicz* (1834–1866) — rosyjski publicysta i rewolucjonista, do 1860 w służbie państwowej, własnoręcznie wręczył carowi pismo wzywające do reform w imię chrześcijaństwa; jeden z organizatorów związku Ziemia i Wola; w 1862 aresztowany razem z Czernyszewskim, więziony w Twierdzy Pietropawłowskiej, w 1865 zesłany na Syberię. [przypis edytorski]

<sup>655</sup>*Śmiech Katarzyny gziącej się z kochankiem* — caryca Katarzyna II była znana z rozpustnego życia. [przypis edytorski]

<sup>656</sup>*Paweł I Romanow* (1754–1801) — cesarz Rosji (od 1796), syn Piotra III i Katarzyny II; ograniczył pańszczyznę, uwolnił jeńców polskich; zraził do siebie szlachtę, wojsko i duchowieństwo; za zgodą syna, Aleksandra (potem cara), został uduszony przez spiskowców w swojej sypialni w Zamku Michajłowskim. [przypis edytorski]

<sup>657</sup>*Car chłodnymi ustami dotknął czoła żony i pojechał do tej...* — żona Aleksandra II, księżniczka heska Maria Aleksandrowna (1824–1880), zmarła w czerwcu 1880 po długiej chorobie. Przez wiele lat małżeństwa musiała znosić trwający od 1865 związek cesarza z kochanką, Katarzyną Dołgorukową (1847–1922), z którą Aleksander miał czwórkę dzieci i która od 1876 zamieszkała z nimi w Pałacu Zimowym. Miesiąc po śmierci żony Aleksander poślubił Katarzynę. [przypis edytorski]

<sup>658</sup>*Le roi s'amuse* (fr.) — Król się bawi (tytuł dramatu Wiktora Hugo z 1832, w którym król Francji Franciszek I jest ukazany jako utracjusz i kobieciarz, stale poszukujący nowych przygód miłosnych). [przypis edytorski]

wiadało nic. Pozostawała musztra, dwór, kobiety, wino. Kobiety zdołały go już znudzić... Znał już je wszystkie. Wiedział, czym mogły być one dla niego. Wojsko i wódka. Goły szereg cyfr, zapach stęchłego papieru? — Nuda, nuda.

Las, las rozrastał się, ciemny, groźny, moczary naokoło. Jakies szelesty przelatują po gałęziach, liście drżą — las szepce. I nagle milknie, i wtedy wydaje się, że czeka on, czeka na coś wiadomego jemu tylko, coś, co wyhodował on w długie noce w czarnym, głębokim mroku. Liście wiedzą o tym i szepczą o poranku. Szepczą, że przyjdzie on i wychyli się z leśnego gąszczy to, co jest już tam, co wyrosło, dojrzało w długie noce i na co czekał los.

Z okien Pałacu widzieć można było miasto posępne jak zbudowana przez złe duchy twierdza. Udręka jakaś kładzie się na duszy. Powieki przymykają się; myśl widzi: trupy, trupy, trupy, te co były i przeszły, te, które przejdą dopiero. I nic. Myśl na próżno szuka odpowiedzi, po co. Po co umierają ludzie w tym kamiennym mieście. A z ulic pustych nad rankiem, z ulic wypełnionych przez ciszę siną, zdradliwą i czającą się, wysuwa się jakieś pytanie o twarzy wzgardliwej i szydycznej: Tyś powinien wiedzieć, ciebie posłał tutaj sam Bóg. Trudno wierzyć w Boga, sumienie, duszę, posłannictwo w tym mieście, w którym pogarda człowieka występuje twarda i oczywista jak granit. Spadał kamienny, żołdacki, ciężki, pijany sen.

...Życie ginie w jakiejś mglistej pustce, która nie wie, po co jest, i mija. Każda z tych równych ulic prowadzić się zdaje w nicość. I znudzonym krokiem urzędnika człowiek idzie, idzie i zachodzi w śmierć: umarły idzie dalej, taki sam znudzony i obojętny, niepotrzebny nikomu, ani sobie.

W Petersburgu wiara w pośmiertne życie staje się koszmarem. Wieczne trwanie ranków szarych i mglistych wieczorów, kiedy chłodny, lodowaty wiatr z Newy dmie ulicami. Żle się myśli w Zimowym Pałacu. Miasto szepce, tai się, czyha. Ziemia coś kamiennego na dnie duszy. Sam los, już nieżywy, jakby umarły przed dokonaniem, idzie przez chłodne, wiecznie te same ulice, ziewając.

W tych ostatnich dniach umysły nasze wpadły w dziwny stan. Nie wiem, być może, że widzę innych przez pryzmat własnego usposobienia. Ale we mnie pozostało wspomnienie tych dni, jak jakaś straszliwa, z niczym porównać się nie dająca legenda petersburska, o kolorycie tak odrębnym, jak ten, który prześwieca z opowiadań petersburskich Gogola, z powieści Dostojewskiego. Nie. Jest on inny. Dostojewski wnosił własną groźbę swych zbolałych nerwów. Wnosił niepokój. Tu zaś wszystko jest gorączkowo chłodne. To nie znaczy, abyśmy w tym czasie stracili zimną krew albo jasność myśli. Nie. Przeciwnie. Tylko z tego, co czyniliśmy, z walki, jaka trwała nieubłagana, z tego straszliwego pościgu rodziła się atmosfera trudna do określenia. Ludzie dzień za dniem, godzina za godziną budowali dzieło śmierci. A co chwila musieli sami bronić swego istnienia, znikać przed obławą, ratując się przed krwiożerczym wzrokiem w gęstwie nocy, i w swoim ukryciu snuć dalej śmiertelne dzieło, nieustannie, nieprzerwanie. We własnych swych oczach człowiek stawał się widmem. Noce nieprzespane, nieustanne zmiany mieszkań, nieustanny pościg poza nami, ciągle szerzące się wieści, że ten lub ów wpadł w ręce policji — wszystko to wyrastało w jakąś odmienną, śmierć i życie jednoczącą rzeczywistość.

Rankiem któregoś z tych dni szedłem jakąś mało uczęszczaną uliczką. Z przyzwyczajenia ogarnąłem wzrokiem całą ulicę, nie dostrzegłem nic podejrzanego. Przede mną po tym samym trotuarze wlokła się jakaś zgarbiona, dziwnie mała ludzka postać. Szła, trzymając się jakby jak najbliżej muru, miało się wrażenie, że ręką maca ona drogę... Ominąłem ją. Człowiek spojrzał na mnie. Była to dziwna twarz. Zielona skóra oblekała szkielet czaszki, ust nie widać było, tak były zaciśnięte. Kości przeświecały przez skórę. Zgąsłe oczy pełzały bez wyrazu i ruchu. Coś jakby wspomnienie jakieś przesunęło mi się przez głowę. Człowiek ten patrzył na mnie. Nagle poruszyły się usta i wyszedł z nich głos głuchy, z trudem formujący słowa. Wydawało się, że wymawianie sylab, wyrazów jest dla mówiącego trudem nadmiernym i niemiłym, że tam na dnie tej duszy przebywa coś obcego wszelkiej formie, wszelkiej treści. Ten cień ludzki mówił do mnie, nazywając mnie po imieniu...

Las

Miasto

Szaleniec

— Kaniowski, nie poznaje mnie pan? Tak to dawno... siedem, osiem lat... Nie pamięta mnie pan... Był pan u mnie w ten wieczór i dlatego pamiętam. Tak dawno. Jestem Schultz... Pamięta pan... Schultz.

Odmalować się musiało na mojej twarzy przerażenie. Schultz uśmiechnął się smutnie i rzekł:

— Zmieniłem się... tak. Siedem lat sam, ciągle sam. Ciągle sam. Co się z panem działo?...

Krzyknąłem... Ale Schultz położył już palec na ustach...

— Nic... nic... Niech pan idzie... nie wiem już nic... nie pamiętam. Nie znałem pana... nic nie wiem o niczym. Niech pan idzie, proszę, niech pan idzie.

Trząsał się całym ciałem, oparty plecami o mur. Z oczu bezbarwnych płynęły łzy. Ręce podnosiły się błagalnie, bezsilnie drżały.

— O, niech pan idzie, ja już nic nie wiem. Ojciec umarł, matka umarła. O Boże, niech pan idzie. Zobaczają, zobaczą, zobaczą.

Był chłodny dzień, wiatr przenikliwy i wilgotny wiał poprzez ulice. Po czole Schultza spływały wielkie krople potu. Drżały w nim wszystkie kosteczki.

— Niech pan odejdzie ode mnie, odejdzie, oni widzą, zobaczą. Siedem, siedem lat byłem sam jeden. Oni widzą, zobaczą, schwycą. Oni są potężni, są wszędzie.

Nie mogłem zdecydować się zostawić go tak drżącego, chorego na ulicy. Usiłowałem uspokoić go:

— Zawołam panu tylko dorożkę. Pan musi wrócić do domu.

On nie chciał słyszeć nic. Trząsał się, odpychał mnie dygocącymi rękoma i prosił jakimś przerywanym, skowyczącym głosem:

— Proszę, proszę odejść. Zobaczają, zobaczą.

Musiałem odejść. Gdy skręcałem w uliczkę, obejrzałem się: widziałem, jak pełził, ogładając się i trzęsąc. Głowa zdawała się giąć i chwiać na bezsilnym karku. Robił wrażenie człowieka, w którym cały szkielet był połamany. Nogi posuwały się, jakby tylko luźnie były szczipione z kadłubem, ręce zwisały. Osiem lat przesiedział w więzieniu. Tak na uboczu od wszystkiego stała jego sprawa, że zapominano o niej bezustannie, i tam za murem mijalo jego życie w kamiennym grobie, aż wreszcie wypuszczono na światło dzienne ten cień człowieka, zniszczony, zdarty strzęp ludzki. Strach pełza w tych czasach wszędzie naokoło nas. Szpiegów kręciły się całe roje. Chodziliśmy po Petersburgu jak po lesie. Cały system znaków umówionych, wypracowanych w znacznej części przez Michajłowa jeszcze, służył do porozumiewania się. Jakiś niedostrzegalny znaczek w umówionym kącie poczekalni tramwajowej, kawiarni, i sposób zawieszenia firanki w oknie to był nasz język. Czuliśmy poza sobą nieustanną obławę, a w myśli kuliśmy groźny, zawieszony nad skazaną głową topór. I tak płynęły dnie. Któregoś dnia dokonano rewizji w sklepie, z którego szedł podkop. Otwór prowadzący do podkopu był zakryty deską, całkiem podobną do tych, jakimi oszalowane były ściany sklepu. I tego samego jeszcze wieczora kończyliśmy ostatnie przygotowania.

My wiedzieliśmy, że nieuchronne się zbliża. Dla osaczonych byliśmy groźni i tajemniczy jak noc. Była tylko ta pewność, że jest nieustanne niebezpieczeństwo w tej nocy, że żyje, rośnie w niej coś groźnego. Opracowano i inny plan. Oddział ludzi, którzy mieli czekać cara z bombami w ręku, gdyby nie pojechał przez Sadową.

Bomby obmyślił i przygotował Kibalczyk. On był z nas najspokojniejszy. Na próżno szukałem w nim śladu jakiegoś wzruszenia. Był spokojny i chłodny jak te gwiazdziste przestrzenie, w których tonął myślą. Myśl jego nie przestawała pracować nadal w tym czasie nad ulubionymi zagadnieniami.

Spokojny i pogodny był jeden z tych, którzy mieli pójść w stanowczy dzień z bombą, Hryniewiecki<sup>659</sup>. Był on jak człowiek doskonale pewny, że stoi na słusznym posterunku i zrobi to, czego zadanie wymaga. Był nazbyt przekonany o sprawiedliwości dzieła, by potrzebować miał wzruszenia i entuzjazmu. Nie dlatego, by była to natura chłodna i czerstwa. Wręcz przeciwnie — ale entuzjazm jego i wzruszenie roztopiły się całkowicie

<sup>659</sup>Hryniewiecki, Ignacy (1856–1881) — polski konspirator i rewolucjonista, działacz organizacji Narodna Wola, zabójca cesarza Aleksandra II; 13 marca 1881 (wg kalendarza juliańskiego: 1 marca) w Sankt Petersburgu na Newskim Prospekcie rzucił bombę w powóz cara Aleksandra II, od której zginął zarówno on, jak i car. [przypis edytorski]

w wielkim, mocnym jak życie przejęciu się sprawą. Kochał on ją jakimś ciepłym, rodzinnym przywiązaniem. Inaczej nie mogłem określić sobie tego spokoju i siły... Należał do tych wyjątkowych natur, które zrastają się tak całkowicie z abstrakcyjnymi hasłami, że przestają one być czymś oderwanym dla nich. Szedł on na czyn jak młody kosiarz wczesnym rankiem na łąki, jak robotnik, który idzie karczować lasy. Wiekowe dęby żyły stulecia. Topór grzmi po ich pniach, nie budząc wyrzutów umienia: młoda głowa widzi już te złote niwy, które falować będą na wykarczowanym obszarze, widzi młody, przez własną wolę człowieka wyhodowany las. Takie wrażenie robił na mnie Hryniewiecki, spokojny i niemal wesoły szedł on na pracę tego dnia jak na każdą inną. Nie było w nim romantyzmu, dramatyzowania swej roli, afektu.

Pracowałem z nim któreś nocy w podkocie i wszystko, co mówił, było nacechowane tą samą jasną, pogodną siłą. On sam nie pojmował nawet, jak wielka była ta moc, tak doskonale zrósł się nią, tak całkiem stała się ona jego naturą. Wątpić — to było dla niego coś tak niemożliwego, jak nie oddychać. Nie rozumiał wprost tego podniecenia, w jakim ja się znajdowałem: nie rozumiał, że to, co ma nastąpić, wydaje mi się wyjątkowe. Dla niego to część drobna jednej wielkiej pracy. I chociaż ja to samo wiedziałem myślą, nie umiałem tak czuć. Prawie był przekonany, że zostawi w ten lub inny sposób życie, jeżeli mu wypadnie wykonać czyn, ale i na to patrzył on całkiem spokojnie. Lubił porównywać niebezpieczeństwo walki z niebezpieczeństwami wielu prac fabrycznych. Ryzyko nawet tam bywa większe.

Cechą charakterystyczną, zdumiewającą wprost, tak rozwiniętą w Hryniewieckim, było to, że absolutnie siebie nie podziwiał, nie uważał się za bohatera, nie widział niczego wyjątkowego ani w sobie, ani w całej sprawie. Powtarzam raz jeszcze: szedł na czyn jak kosiarz doskonały na żniwo. Kiedy atmosfera społeczna zaczyna wytwarzać ludzi tego typu, czyn, do którego ci ludzie dążą, musi być dokonany. Dążenie historyczne staje się niepowstrzymane, kiedy staje się *naturą* jednostek, prawem ich żywiołowego rozwoju.

Hryniewieckiego Żelabow wprowadził w nasze koło i niezmiernie cenił. Sam zaś Żelabow rósł w miarę, jak zbliżał się dzień. Na dni parę przed ową niedzielą byliśmy z nim razem raz jeszcze w twierdzy u Nieczajewa. Plan ucieczki należało zmienić. Musiała ona być odłożona aż do czasu, gdy zamach zostanie wykonany. Teraz należało unikać wszystkiego, co mogło wzmocnić czujność policji. I Postanowiliśmy jednak, że Nieczajew sam wyda ostateczną decyzję. Chodziło o jego życie. Żelabow ani na chwilę nie wątpił o wyborze Nieczajewa. Zastaliśmy go chorego, w gorączce. Wyglądał tak straszliwie, iż nie chciało się wierzyć, że się ma przed sobą żywego człowieka. Powieki zapadły na oczy bezwładnie, usta bezsilnie drżały, zanim wysiłkiem woli zmusił je, aby wypowiedziały to, co im powierzył. Był to trup okuty w łańcuchy. Ręce tylko były gorące, ale i one gasły, to znów żarzyły się. To były jedyne niemal znaki życia. Czasu mieliśmy mało. I tak nasi przyjęli z niezadowolaniem wiadomość, że Taras uparł się iść ze mną. Rozmawiać tak, jak rozmawiali ci dwaj, mogli tylko Żelabow z Nieczajewem. Były same proste słowa.

— Wybierajcie — rzekł Żelabow. — Razem tych dwóch rzeczy nie da się wykonać, wasza ucieczka albo on.

Nieczajew zerwał się. Nie miał sił siedzieć. Opadł znów. Łańcuchy brzęczały.

— Dajcie mi ręce — rzekł. Schwycił ręce Żelabowa. Przyciągnął go do siebie. Żelabow przylgnął do jego ramienia... — Niech ci nie zadrży ręka — skończył. — Niech ci nie zadrży ręka.

Rozstaliśmy się głęboko wzruszeni. Nieczajew był na wpół przytomny... mówił, że nie chce uciekać: *tu mu jest dobrze*. Niech mu tylko tu przynoszą wieści o swobodzie, on będzie żył.

— Ja już tutejszy — mówił — zżyłem się ze ścianami. Teraz będę mówił kamieniom, że on zginie. Nie uwierzą przeklęte kamienie i ja będę z nich sztydł. Warto było żyć, warto było żyć. Szczęśliwy jestem, nigdy nie wierzyłem, że można być szczęśliwym.

Na drugi dzień odprowadzałem Żelabowa na widzenie z jednym z towarzyszków. Pożegnałem się z nim i wróciłem. Nagle struchlałem: przeszył mnie strach jak w czasie, gdy żyła jeszcze Ola. U drzwi tego domu wyrosła straż, ze wszystkich zaułków sypali się szpiedzy. Byli tak przejęci, że otarł się o mnie agent Vogel i nie poznał: widziałem wypieki na jego żółtej, nędznej twarzy — pędził on ku tamtej bramie. Do dziś dnia nie pojmuję, dlaczego nas nie aresztowano na ulicy, dlaczego nie wzięto mnie w tej chwili, gdy

stał jak ogłuszony. Przeszła długa chwila, gdym spostrzegł, że na mnie spogląda podejrzliwie jakieś indywiduum. Widziałem, że czekać było niebezpiecznie, niebezpiecznie też było ujawnić pośpiech. Zresztą w tej chwili wydało mi się wszystko stracone. Żelabow wzięty. Czy nie jest to śmiertelny cios? Postanowiłem jednak walczyć. Myślałem właśnie, jak uwolnię się od szpiegowskich oczu, gdy przejeżdżający w dorożce oficer żandarmarii zatrzymał się tuż przy agencji i nie krępując się, wydawał jakieś rozporządzenia. Była to oblawa *en grand*<sup>660</sup>. Tak się przejmowano tym, co zastać miano w osaczonym domu, że nie miano oczu dla niczego innego. Wyśliznąłem się. Dopadłem wreszcie mieszkania Soni. Znalazłem ją samą. Gdym jej powiedział: „Teras wzięty”, usiłowałem nie patrzeć na nią. Sonia na chwilę siadła. Siedzieliśmy bez światła. Choć nie słyszałem płaczu, czułem, że łzy płyną po jej twarzy. Czułem chłód, pojmowałem wszystko. Umiemy niekiedy doskonale widzieć wnętrzem duszy. Zapadłem w jakiś kamienny spokój. Myślałem, że tak jest dobrze. Śmierć idzie. Zaraz zastukają do drzwi. Rewolwer mam w kieszeni. Więc już nic. Nareszcie cisza, cisza. Sonia wstała, przeszła koło mnie. Po chwili wróciła.

— Tu nic nie ma — powiedziała — mieszkanie czyste, możemy iść.

I dodała sucho:

— To już przecie pojutrze nasz dzień.

W tym czasie w departamencie policji poznano Żelabowa.

— Pan jesteś Żelabow! — tryumfowano.

— Do usług — odpowiedział — nie pomoże wam to jednak nic.

Cicha noc broczyła krwią, ale groziła wciąż. Teraz biło w jej piersi nieubłagane serce Perowskiej.

## XVIII. DIES ILLA<sup>661</sup>

Pamiętam tę ostatnią noc, kiedy trzeba było z pośpiechem przygotowywać bomby. Aresztowanie Żelabowa, konieczność nowych ostrożności, mnóstwo drobnych spraw, które trzeba było załatwić, pochłonęły nieskończenie wiele czasu. Była noc, kiedy usiedliśmy do swej śmiertelnej roboty. Trzeba było się spieszyć, nie tracono czasu na rozmowy. Siedzieliśmy pochyleni nad stołem. Nieostrożny ruch, pomyłka, mogły nas kosztować życie. Nie myśleliśmy o tym. Otaczała nas atmosfera śmierci. Od tak dawna już oddychaliśmy nią, nie dostrzegając, że nie jest to zwykle powietrze powszedniego życia. Codzienne życie pozostawało za nami gdzieś w dali. Przedzielała nas od niego długa droga poprzez mrok, krwawe mgły, poprzez gąszcz, który kaleczył, kamienne pustkowia. Myśli same stały się obce i ciężkie jak kamienie.

Nie spałem drugą już noc i chwilami twarze obecnych wplatały się w marzenie, jak dzieje się to we śnie. Była już pierwsza czy druga godzina, gdy wzrok mój padł na kawałek zadrukowanego papieru. Był to skrawek jakiejś polskiej gazety. Coś musiało być zawinięte w nią i leżała ona teraz na stole. Machinalnie oczy moje przebiegały po czarnym druku, aż nagle zatrzymały się. W rubryce nekrologii, jak śmierć zimny i szyderski, czekał, jak zasadzka, napis:

„Oktawian Kaniowski, przeżywszy lat 64...”

Na skrawku nie było daty, ale gazeta była stara, sprzed miesięcy. Siedziałem bez ruchu, gdy poczułem, że ktoś pociągnął mnie za rękę.

— Co wam, Miszuc? — powiedziała Perowska. — Nie odpowiadacie: prosiłam, podajcie mi formę.

Popatrzyłem na nią i podsunąłem jej skrawek. Przypomniałem sobie, że nie czyta przecież po polsku.

— Ze starej gazety dowiedziałem się — powiedziałem — o śmierci ojca. Musiało to już być dawno, ale dowiedziałem się w tej chwili dopiero.

— Mogę was zastąpić — rzekł Sablin. — I tak jesteście zmęczeni.

— To przecież już dawno stało się — odpowiedziałem. — Zresztą wolę pracować...

<sup>660</sup>*en grand* (fr.) — w wielkim stylu. [przypis edytorski]

<sup>661</sup>*Dies illa* (łac.) — dzień ów; druga połowa wersu: *Dies irae, dies illa* (Dzień gniewu, dzień ów), początkowych słów średniowiecznej sekwencji (uroczystej pieśni) o nadejściu kary bożej za grzechy w dniu Sądu Ostatecznego; w liturgii katolickiej *Dies irae* była śpiewana podczas mszy żałobnej w klasycznym rycie rzymskim. [przypis edytorski]

Od tej chwili wykonywałem wszystko ze zdumiewającą dokładnością. Zatarło się we mnie już tylko pojęcie czasu. Zdawało mi się, że już dawno przeszedł ten jutrzejszy dzień, że już on leży zabity, my wszyscy pomarliśmy — a wszystko się tylko już śni. To trwało tak długo, aż wreszcie zginął sen: zemdlałem. Ocucono mnie i położono na sofie. Zbudziłem się rankiem. Wykończano właśnie trzecią bombę. Twarze były blade w zimnym świetle wpadającym przez okno. Pracowano z pośpiechem. Usiadłem za stół. Perowska była spokojna i zimna jak posąg. Pomiedzy brwiami wyrosła jej w tych dniach groźna zmarszczka.

Była dziesiąta, kiedy wstała, bomby ułożyła w ręcznym koszyku:

— Pora.

Wyszedłem za nią. Miałem czekać na Sadowej, dać znać, kiedy powóz się będzie zbliżał.

Idąc, spotkałem Hryniewieckiego. Był spokojny i uśmiechnął się do mnie nieznacznie. Zaczęły się ostatnie straszne godziny i chwile. Nerwy były wyprężone do ostateczności.

Wreszcie, wreszcie dobiegło oczekiwane hasło:

— Car wraca.

Przeszła długa chwila.

Przyszedł nowy znak.

— Nie jedzie przez Sadową.

Biegłem w stronę Jekatierynieńskiego Kanału.

Straciłem poczucie niebezpieczeństwa.

Z oddala dostrzegłem przejeżdżający powóz. Przystanąłem. Karetą minęła mnie. Spojrzałem poza siebie i widziałem na rogu Perowską, bladą, z zapatrzonymi w tamtą ulicę oczami; widziałem, jak wyjęła z mufki chustkę.

Powóz skręcił. Perowska szła ku mnie. Szła, jakby nie chcąc obejrzeć się poza siebie.

Rozległ się głuchy huk.

Przeszła chwila.

Przejechał koło mnie jakiś oficer w pełnym pędzie, za nim drugi.

— Nic nie słyhać — powiedziała Perowska. — Pierwszy stał Rysakow<sup>662</sup>.

Nagle wstrząsnął nami nowy huk.

— Teraz rzuca Kotik — powiedziała.

Tak nazywano Hryniewieckiego.

Kosiarzowi nie zabrakło zimnej krwi. Zmierzył odległość i rzucił pocisk pomiędzy siebie a cara. Ze zdruzgotanej karety po bombie Rysakowa car wyszedł nietknięty. Hryniewiecki rozwarł wrota śmierci...

Szliśmy z Sonią obok siebie...

Ulicą pędził oficer bez czapki i wołał coś.

— Na śmierć — rzekła Sonia.

Z oczu jej płynęły łzy.

Doszliśmy do mieszkania, tu już były pewne wieści. Car zabity lub śmiertelnie ranny, Hryniewiecki zabity, Rysakow wzięty. Przeszło parę godzin, na zamku wywieszono chorągiew żałobną.

Cisza nocna przemówiła.

Ale stało się tylko właśnie to.

Ktoś potężny, groźny i nieznanany poraził przemoc. Miasto drżało w trwodze i bladło, że zrodziło z siebie tę odwagę, że dokonano w nim czynu. Nie było wprawdzie na ulicach tłumów, wołających „Niech żyje car!”, twarze wyrażały raczej jakieś ukryte zadowolenie, nie smutek, ale nad wszystkim przemagał strach. Miasto nie wierzyło w swój czyn. Dusza zbiorowa była zdeptana przez lęk i stratowana przez jego kopyta. Wiła się i skomlała u skrwawionych stóp trupa: nie ja. Nie ja zabiłam cię, wybacz, wybacz. Car zmarły dławił. Na tronie siedziało krwawe widmo, upiór mściwy i krwi żądny. Tak czuło miasto. Car zabity nie może przebaczyć: czy znajdzie się w żyłach ludu dość krwi, aby zaspokoić żądzę pomsty? Opinia skowyczała, pienila się, nawoływała o karę dla nas, aby tylko zagłuszyć swą trwożę, swój śmierdzący strach. Narodna Wola, gdyby miała władzę, miałyby

<sup>662</sup>Rysakow, *Nikołaj Iwanowicz* (1861–1881) — rosyjski rewolucjonista, członek Narodnej Woli; podczas zamachu na Aleksandra II rzucił bombę, która unieruchomiła carski powóz; aresztowany, załamał się podczas śledztwa, przekazując informacje o współuczestnikach, mimo to został stracony. [przypis edytorski]



opinię u nóg swoich. Teraz szła myśl rosyjska wyprosić przebaczenie. Kulila się jak pies u żołdackich butów cara Aleksandra III. Było to ohydne. W mieście rządziło rozpasanie podłości. Po ulicach biegła policja tropiąc, śledząc, niecąc trwogę. Jak ocalenie godności ludzkiej zabrzmiał wśród tego wycia szakali i hien, pośród naszczekiwania psiarczyków głos Żelabowa<sup>663</sup>. Z głębi swego kazamatu wołał on:

„Ja zabiłem, ja dokonałem czynu, z rozkazu Narodnej Woli przygotowałem śmierć cara”.

Wobec strupiałego społeczeństwa wyrósł nagle do nadludzkich rozmiarów ten posąg więźnia dopominającego się o śmierć własną jak o swoje prawo. A poza nim pozostawała wciąż siła nieuchwytna — Narodna Wola.

„Z rozkazu Narodnej Woli — mówił Żelabow — jako agent trzeciego stopnia Komitetu Wykonawczego”.

Dla nas było jasną rzeczą: Żelabow był stracony.

Perowska dowiedziała się o jego liście, przeczytawszy go na ulicy w gazecie, powiedziała tylko:

— Tak było trzeba.

Po chwili dodała:

— Powinna może to samo zrobić. Andrzej chce, aby sprawa wyglądała jak najpoważniej.

— Andrzej nie jest na swobodzie — mówiliśmy.

Perowska zaczęła układać plan ocalenia Żelabowa: projekt odbicia go z więzienia. Było to marzenie. Zresztą Rysakow zaczął mówić na śledztwie, zaczęły się areszty<sup>664</sup> w niesłychanych rozmiarach.

Na trzeci dzień rano przyszła wieść, że wzięto Hesię Helfman, w mieszkaniu jej zastrzelił się nasz drogi Sablin. Trudno było wprost przetrwać te dni, nie mówiąc już o przedsięwzięciu żadnych rozleglejszych planów.

Każda noc stawała się prawdziwym problemem do rozwiązania: gdzie ją spędzić? Trzeba było unikać wszelkich znanych mieszkań, zresztą mało kto był skłonny udzielić nam przytułku. Kto nie widział w tym czasie Petersburga i rosyjskich liberałów, ten nie wie, jak ohydne formy umie przybierać strach. Widziałem ludzi, którzy przed kilkoma dniami jeszcze wygłaszali rewolucyjne zdania, blednących ze strachu, gdy przekraczałem próg ich domu. Znałem adwokata, który wygłosił na dziesięć dni przed zamachem w ścisłym kółku przyjaciół odę na cześć Marata, przez siebie napisaną, po pierwszym marca człowiek ten przechodził takie męczarnie strachu, że nareszcie sam siebie zadenuncjował do wydziału policji, prosząc o łagodny wymiar kary.

Tego dnia, kiedy dowiedzieliśmy się o aresztowaniu Hesi, o śmierci Sablina, na próżno szukałem pewnego schroniska, musiałem wreszcie skorzystać z mieszkania jednej staruszki. Mieszkanie posiadało dość znaczne niedogodności, gdyż staruszka miała sublokatorów. Nie było jednak wyboru. Przyszedłem w umówionej porze, kiedy nie było służącej, staruszka pomieściła mnie w swoim saloniku, do którego nikt nie wchodził.

Po kilku nieprzespanych nocach zapadłem w ciężki, kamienny sen.

Obudziło mnie stukanie do drzwi: był wczesny ranek, godzina zapewne siódma.

„Policja” — pomyślałem i biorąc rewolwer do ręki, zapytałem: — Kto tam?

— To ja. — Poznałem głos gospodyni. — Otwórz pan i ubieraj się czym prędzej.

Wyszedłem po chwili. W mieszkaniu staruszki powiesił się jeden z jej sublokatorów. Posłano już po policję. Lepiej, aby mnie nie zastała tutaj.

Było to słuszne. Przechodząc, mijając otwarte drzwi jednego pokoju: w rogu wisiał tam jakiś dziwny, długi przedmiot. Światło padało na twarz. Poznałem nieszczęśliwego Schultza. Powiesił się w nocy ze strachu przed aresztowaniem. Nie był to pojedynczy przykład. Nie było nocy, by ktoś nie ginął, opierając się z bronią w ręku najściu policji.

<sup>663</sup>Jak ocalenie godności ludzkiej zabrzmiał (...) głos Żelabowa — dzień po zamachu Żelabow złożył pisemną deklarację, stwierdzając, że jeśli nowy car zamierza stracić Rysakowa, to w imię sprawiedliwego traktowania powinien jego samego ukarać tak samo, gdyż on także dokonywał zamachów na Aleksandra II. [przypis edytorski]

<sup>664</sup>areszty — tu: aresztowania. [przypis edytorski]

Wyszedłem na ulicę, znowu nie mając przytułku. Nie było bezpieczną rzeczą udawać się do jakiegokolwiek mieszkania. Policja wiedziała już teraz bardzo wiele. Nałogi konspiracyjnego zachowania działały w tym całkowitym rozstroju świadomej myśli, jak wola hipnotyzera działa w zahipnotyzowanym.

Udało mi się nareszcie dowiedzieć o bezpiecznym adresie — zastałem tam Kibalczyca.

Przywitaliśmy się z nim w milczeniu. Trudno było mówić o czymkolwiek. Kibalczyk był straszliwie zmieniony. Przywiązywał się on po swojemu cicho a mocno i niezmiennie do ludzi — i zguba tych najdroższych była dla niego straszliwym ciosem. Wiedziałem, że siedzi teraz i wspomina. Że wspomina sobie Sablina, Hryniewieckiego, Żelabowa, Michajłowa Timofieja, Michajłowa Aleksandra. Nie przeszkadzałem mu. Siedzieliśmy w milczeniu. Nie wchodził do nas nikt. Mieszkali tu odważni i szlachetni ludzie: zostawiono nas z naszą żalobą, o którą nikt nas nawet nie śmiał pytać. Pani domu w jakieś pół godziny po moim przybyciu siadła do fortepianu i zaczęła grać.

— Ona to dla mnie robi — rzekł Kibalczyk.

Słuchaliśmy muzyki. Harmonijne tony wplatały się w myśli, przepajały je, wydobywały na zewnątrz, dusza cała wibrowała, wypływała z piersi, łkając w głos, gdzieś na zewnątrz serca. Myśli moje zatrzymywały się na zdarzeniach dni ostatnich. Wiedziałem, że snują się one około najboleśniejszej rany, nie śmiejąc dotknąć. Ale bólu tam już nie było. Tchórzostwo tylko wewnętrzne błagało: nie wymawiaj tego imienia. Nie śmiałem, nie chciałem myśleć o śmierci ojca, o tym, jak umierał, co czuł, myślał, gdy wiedział już, że się wszystko dla niego kończy. Straszliwa rzecz — te ostatnie chwile: gdy kona już nadzieja, gdy przyszłość znika, gdy życie, już skończone, nie dopuszczając zmiany, pozostaje jak kamienny, ślepy posąg. Oto już taka twoja prawda. I kiedy wokoło rozpościera się milczenie i pustka, pozostawiając nas na wieki już tylko z samym sobą. Widzieć siebie jako całość zamkniętą, jako zakończone, dopełnione przeznaczenie, czuć, że się już takim tylko zostanie na zawsze, iż się takim będzie trwało w pamięci czy w pustce, a chociażby tylko w tym własnym, ostatnim widzeniu, to jest straszne. Wtedy mi ścisnął serce ból na myśl, jak rozstawał się ten ukochany starzec z jedynym swoim zmarnowanym życiem. Nic mu nie zostało. Myśli stwardniały. Nagrobek z nich tylko wyciosać można. Nie przyjęła się, nie wystrzeliła złotym kłosem żadna. Serce. Cóż znało jego serce? Myślałem, że on musiał tęsknić, że musiał spodziewać się do ostatka, do ostatniej chwili.

Kibalczyk wstał.

— Muszę iść zobaczyć się z Sonią — rzekł. — Jej ciężko. To trudno opisać. Przecie ona teraz musi czekać, tygodnie całe czekać na jego śmierć. Wie, że on już ma nałożoną na szyję pętlicę, że sznur się zaciska. Trzeba iść.

Chciałem iść z nim, ale mnie powstrzymał.

— Razem pokazywać się niepodobna. Im nas mniej jest przy spotkaniu, tym bezpieczniej.

Zostałem sam. Słyszałem, jak w przedpokoju szeptał ktoś, żegnając się z Kibalczycem.

— Proszę się strzec i oszczędzać na miłosierdzie boże.

Gdy drzwi się zamknęły, usłyszałem za drzwiami kobiecy płacz. Przeszło kilka godzin. Przetrawałem je w jakimś zapamiętaniu, w którym wszystko przeżyte zwarło się w jedno poczucie kamiennego osamotnienia. Nie doświadczałem nigdy jeszcze takiej tęsknoty: nieprzemiennej potrzeby zobaczenia tych właśnie, co zginęli na wieki. Rwało się coś w głębi duszy i buntowało przeciw potwornemu gwałtowi śmierci. Tak to więc jest, takie więc jest życie! Nie byłem w stanie ująć tego w słowa, nie mogłem myślał nawet ogarnąć treści uczucia. Był tępy, bezwzględny, nierozumujący ból.

Otóż cię mam, dostałem cię, wbiłem na pal — wij się i cierp.

Myślę, że pradziad mój, którego wbito na pal w Stambule, musiał doświadczać czegoś podobnego. To już nie była potrzeba szczęścia — nic prócz gniotącego poczucia, nieprzemienionego, głuchego cierpienia. To musi czuć człowiek żywcem pogrzebany, myśląc w ostatniej sekundzie o utraconym życiu.

Ja nie myślałem już nawet o tym.

Kto nie wie o tym, że może istnieć bezimienna męka duchowa, głucha i bezwzględna jak ból fizyczny, a wyzerająca sam rdzeń duszy, zbyt silna, aby mogła być związana z jakimś pragnieniem, męka, słowem, a nie pragnienie już, nie jakaś forma woli, lecz samo

rozdeptanie duszy, poczucie bezgranicznej klęski — ten nie wie jeszcze nic o naturze bólu.

Cierpienie określone jest zawsze optymistyczne, związane ono jest z tym lub innym przedmiotem. Jest ono zawsze czymś dopuszczającym choćby tylko myśl ulgi, polepszenia, zmiany. Tu nic podobnego.

Człowiek męczy się bezcelowo, jak bezcelowo świeci słońce.

To jest wszystko.

Drzwi otworzyły się cicho.

Stała w nich młoda dziewczyna, siostra pani domu. Zналиśmy się z nią nieco z widzenia.

— Można z panem posiedzieć? — zapytała Kitty; była bardzo blada.

— Boję się — rzekła, zwracając się do mnie — boję się strasznie o niego.

Kochała ona Kibalczyca.

Była to piękna i niezwykła miłość. Cała natura Kibalczyca, pogrzebana przez wolę rzewna jego dusza wypowiedziały się w tym stosunku.

Nie wiem i nikt nie wie, czy Kibalczyk kochał Kitty. On sam od razu sprawę swojej miłości postawił tak, że nie wchodziło to pytanie w grę. On nie chciał i nie mógł jej losów wiązać ze swoimi, które już były w zasadzie rozstrzygnięte. Patrzył na tę młodą i piękną dziewczynę jakby już spoza grobu, a raczej z tej swojej spokojnej, pięknej krainy, w której przebywała jego myśl. Przychodził do niej mówić z nią o wszystkim, co kochał. Dawał jej wszystko, co miał najdroższego. Nie mógł dać osoby swej, bo ona nie należała do niego. Było to tak, jakby czytała ona listy zmarłego narzeczonego. Tylko był on jeszcze przy niej, słyszała jeszcze jego głos, widziała uśmiech. Wiedzieć powinna była, że przyjdzie chwila, w której zostanie jej tylko pamięć, tylko wspomnienie ukradzionych losowi chwil. Wiedzieć powinna była, że on już gości tylko tu z nią — że w myśli już zamknął swoje osobiste rachunki.

— Mogę żyć bardzo, bardzo długo — mówił Kibalczyk — ale to nie zmieni rzeczy. Na mnie jako na osobie, na moim życiu nie mogę budować nic, gdyż już wiem, jak jest. Może się ludzić, kto nie widzi; świadomie ludzić siebie i innych — to słabość.

I tak trwał ten stosunek jesień i zimę. Smutny i głęboki jak romantyczna legenda. Tylko nie było tu żadnego rozkoszowania się smutkiem. Kibalczyk nie przychodził mówić o sobie, mówił jej o niej samej, o życiu, o prawdzie swojej. Tu Kibalczyk odpoczywał. Ten nieublagany rewolucjonista i matematyk miał w sobie zatoki wielkiej ciszy. W jego myśli zestrzajały się takie nawet sprzeczności, dla których nie widział on sam w życiu innego rozwiązania prócz krwi i śmierci. Gdy teraz, już w wiele lat, w pismach pewnego amerykańskiego filozofa napotkałem wyrażenie: „kosmiczny patriotyzm”<sup>665</sup>, stanęła mi żywo w pamięci ta godzina, kiedy opowiadała mi o myślach Kibalczyca kochająca go, piękna i czysta dziewczyna, kiedy z jej ust spływały te wypalone przez myśl zdania; miłość i młodość nadały im czar, jakiego nie ma zwykle mądrość. Były one świeże i szemrzące jak wiosenny strumień.

Ludzkość nieustannie i wszędzie, walczy o jedno — o poddanie myśli swej natury, o zamianę całej natury na myśl, na wewnętrzną własność człowieka. Gdy nie będzie już nic w przyrodzie, czego by nie znał człowiek, będzie on miał w myśli wszystko i będzie mógł tworzyć. Tworzyć swój świat. To jest zasadnicze dążenie ludzkości. Żyć — to znaczy brać udział w tej niezmiernie pracy. Pożalowania godni ci, którzy pozostają poza granicami tej jedynej ojczyzny człowieka. To są prawdziwi pariasi ludzkości. Prawdziwi beznadziejni, osamotnieni. Gdy się ocenia znaczenie moralne naszych uprzywilejowanych warstw, doznaje się wrażenia, że jakiś majątek, opuszczony przez towarzyszy na bezludnej wyspie oceanu, nie może być bardziej samotny niż ci ludzie żyjący pośród nas. Może opisać swą wyspę i cisnąć opis swój w morze w butelce, może zrobić cokolwiek bądź. Jeżeli to będzie praca, pozostanie, my zaś mamy pomiędzy sobą barbarzyńców, dzikich — ludzi absolutnie niezdolnych do związania w jakikolwiek bądź sposób swego istnienia z żywym duchem człowieczeństwa. Nasi bogacze, nasi władcy, nasze duchowieństwo —

<sup>665</sup>w pismach pewnego amerykańskiego filozofa napotkałem wyrażenie: „kosmiczny patriotyzm” — terminu tego użyła w swojej pracy *Newer Ideals of Peace* (1907) Jane Addams (1860–1935), amerykańska socjolog, dziennikarka, zwolenniczka równouprawnienia kobiet, bojowniczką o pokój i reformy społeczne, wieloletnia przewodnicząca Międzynarodowej Ligi Kobiet na rzecz Pokoju i Wolności, laureatka Pokojowej Nagrody Nobla (1931). [przypis edytorski]

to piaski pustyni bezpłodne i na zawsze opuszczone. Człowiek uprzywilejowany, posiadający dzięki danemu ustrojowi prawnemu możliwość żyć z cudzej pracy, skazany jest na zdziczenie. Majątek — to po większej części wygnanie z łona ludzkości. Człowiek, który coś ma, staje się o tyle właśnie, o ile rośnie to jego posiadanie, samotniejszy, bardziej opuszczony, mniej związany z życiem. W walce przeciwko przywilejowi widział Kibalczyk jedną z faz rozwoju moralnego, obejmującego i tych, przeciwko którym toczy się walka. Mniej okrutny względem danej jednostki jest człowiek, który ją zabija za to, że była tyranem, niż ten, który jej tyranię znosi. Pierwszy walczy z siłami upośledzającymi ludzkość, a więc i samego tyrana, drugi skazuje swego władcę na demoralizację przez to właśnie, że pozwala sobą władać.

Kibalczyk mówił skrótami, wyciosanymi w głębi myśli niby kamienie przydrożne, drogowskazy. Gdy ze swojego jasnego świata wracał do rzeczywistego, gdy rzucały mu się w oczy podeptanie, uciemnienie, deprawowanie człowieka, dusza jego rozplamięła się. Gwiazdy ciskały pioruny i harmonia sfer głosiła wyroki potępienia. I myśl Kibalczyca właśnie dzięki tej głębokiej bezinteresowności, dzięki rozległości przestworów przez nią obejmowanych, dzięki swej błękitnej szerokości i głębi nie знаła kompromisów ani wahań. Trzeba było to zrozumieć, aby pojąć, dlaczego uczony i filozof stał się terrorystą. Zresztą tłumaczyć to trzeba dzięki tym sofistom, którzy nauczyli nas, że rozum powinien ćwiczyć się i zaprawiać w wynajdywaniu usprawiedliwień dla nieustannego uciemnienia, podeptania, pohańbienia rozumu. Rozum nauki oficjalnej zamyka oczy na otaczające go panowanie gwałtu i bezmyślności. Zagadką stają się dla niego ludzie, dla których władza myśli nad światem, sumienia nad społeczeństwem i historią nie jest czczym słowem. W duszy Kibalczyca godność ludzka żyła jako zbrojne, urągające śmierci bóstwo.

Teraz, w opowiadaniu Kitty, wyrastała jego postać. Mimo woli doznawało się wrażenia, że składa ona wieńce na grobie. I wtedy właśnie przyszedł Wołczok. Stała w drzwiach bez ruchu i nie swoim, zmienionym głosem powiedziała:

— Wzięli ją przed chwilą na ulicy i jego w jej mieszkaniu.

Kitty opuściła głowę na splecione ręce. Płakała cicho, bez słowa skargi, bez jęku. Spleciony już był wieniec śmiertelny i tylko zapach wspomnień więdnących pozostał w jej dziwnej miłości. Wiera powtarzała raz po raz:

— Sonia, Sonia!

— Lepiej by było, gdybyśmy i my poszli z nimi — powiedziałem.

Czułem coś podobnego w tym czasie, jak wtedy w syberyjskim lesie po odjeździe Myszkina. Po kamiennej puszczy jeździła śmierć i zazierała<sup>666</sup> lodowatym wzrokiem w okna domostw. W martwocie tej cała istota była jakby przedmiotem zewnętrznym, przykrym, jakby jakimś obmierzłym widokiem, który trzeba zniszczyć; własne życie dogasało gdzieś jak śmierdząca głownia i czarny dym pełzał po kamieniach. Słyszysz się, widzisz wszystko i na próżno szuka w sobie samym wzruszeń, nienawiści, gniewu, chociażby rozpaczy. Rozpościera się zimny bezwład. Mrok wali się na myśli i serce.

Wiedzieliśmy, że zabiją naszych przyjaciół, wiedzieliśmy, że są oni we władzy okrutnego wroga, że już straceni są dla nas na zawsze, wiedzieliśmy, że taki sam koniec czeka nas, wiedzieliśmy, że my mamy słuszność, że nie mogliśmy, wróciwszy do początku tej drogi, która nas tu doprowadziła, wybierać inaczej. Ale teraz przyszedł kres, do któregośmy dążyli bezwiednie. Od tej chwili było dla mnie rzeczą jasną, że właściwie życie nasze zostało już zamknięte. Weszliśmy na nagi szczyt, z którego nie prowadziła żadna ścieżka. Siedzieliśmy na nim otoczeni przez drapieżne ptactwo: słyszeliśmy, jak kracze ono i jak zwołuje się tam na dnie przepaści, gdzie leżały ciała przyjaciół. Aleksander II, ginąc, i nas ciągnął za sobą. Nie chcieliśmy przecież dokonać aktu zemsty na jego osobie, biednej, opuszczonej przez myśl ludzkiej duszy. Nie. Chodziło o stworzenie prawa w piersi ludu. Teraz on już był w myśli ludu, ten czyn. I myśmy pozostali w niej jako to jedno poczucie dokonanego czynu: prawo, które zatargało skałami przemocy. Lud musiał dojrzeć do tej myśli. Wielomilionowa masa, oślepiąca, ogłuszona przez strach, wieczną nędzę, wszystko to bierne, rozpuszczone, musiało skupić się w tym twardym poczuciu, zahartować. Sam czyn był tylko fermentem męskości, wprowadzonym w duszę narodu.

<sup>666</sup>zazierać — zaglądać, patrzeć w głąb czegoś. [przypis edytorski]

A my? Cóż pozostało nam? My dokonaliśmy już całej drogi i czułem, że pomiędzy nami a życiem jest przepaść. Nie to martwe ciało nas przedziela, lecz ta cała droga, która nas doprowadziła do tego momentu, cały nasz przebyty, bolesny rozwój. Nie mogliśmy cofnąć się wstecz do złudzeń młodości. Wiedzieliśmy już, czym jest ta walka, i stoczyliśmy ją w najgroźniejszej postaci. Z wolna w ten wieczór zbierali się ci spośród naszych, którzy ocalili jeszcze i byli w Petersburgu. Wszyscy czuliśmy potrzebę skupiania się w sobie, zajrzenia w głąb serc własnych, zrozumienia, co w nich jeszcze pozostało.

Orlenko przyniósł nam wiadomość od Wiery. Pallada mścicielka nie straciła ani na jedną chwilę nawet królewskiej pewności myślenia. W tym czasie, gdy w węzowej pieczarze konali najdrożsi nasi, w tym czasie, gdy byliśmy jak załoga opuszczonego bastionu, która widzi, jak tryumfuje wróg po ulicach zdobytego miasta, jak włóczy poza swoimi zwycięskimi wozami ciepłe trupy, w tym czasie Wiera układała plan dalszych walk i zwycięstw. Nie umrze, nie zginie Narodna Wola aż do chwili przebudzenia ludu. Jest ciągle jak piorun zawieszony nad głową bezprawia, a jednocześnie hartuje, zestala myśl ludu. Na wyłomie opuszczonym przez najdzielniejszych, którzy legli, stawała i mocą męstwa obejmowała kierownictwo. Kwestie kierownictwa rozstrzygają się w takich razach przez samą siłę wewnętrzną. Kto ma odwagę, gdy słabość dławi serce najsilniejszych, ten przez to samo dźwiga i podnosi sprawę.

Cała historia Narodnej Woli jest szeregiem tego rodzaju samodoborów. Historia stwarza pozycję i pozycja szuka człowieka. Tak po godzinie Michajłowa przyszła godzina Perowskiej i Żelabowa. Tak nadszedł teraz dzień Wiery F.<sup>667</sup>, Antygony, która wiedziała, że u boków pomordowanych braci były miecze. Dla mnie z tego czasu pozostała przede wszystkim jej postać. Nie każdej zbiorowej akcji udaje się w momencie zgonu ocalić jeszcze duszę swą piękną. Pragnąłem, aby jeśli ginąć ma Narodna Wola, ginęła w szyszaku i zbroi. Aby nie przestawała budzić grozy i szacunku. Nad pobojobowiskiem, nad ciszą kazamatu, nad skrzypem szubienic panował w tym czasie jej głos, mocniejszy niż samo zwycięstwo. Zwycięstwo to nie jest przywidzenie. Takimi, jakimiśmy chcieli, pozostaliśmy w historii życia. Nie odebrano nam naszego celu, pozostał on na zawsze, wychowując dusze, tworząc mężne serca. To jest zwycięstwo jedyne: kształtować przyszłość. Że Narodna Wola nie zginęła wśród zgielku, że nie zgasła w więziennym mroku, jaki rozlał się po powierzchni życia, że pozostała stalowa i groźna, spiżowa i niecofniona, że czuli sędziowie prawdę w słowach Żelabowa: „Narodna Wola pozostaje nietknięta, niedosiężna”, to już przede wszystkim było zasługą Wiery F. Była ona jak ta wróżka z poematu Słowackiego, która rządzi ostatnim śmiertelnym bojem Wenedów<sup>668</sup>.

Dzisiaj łatwiej jest mi widzieć całe piękno i olbrzymią groźbę tych czasów. Wtedy przepływały koło mnie wypadki i ludzie na kształt cieniów. I być może tragizmem nie-najmniejszym tej naszej walki była ta jej, że tak powiem, nieplastyczność. Nasze pola walk nie miały nad sobą słońca, nasze odwroty nie dokonywały się w cieniu drzew, wśród szumu lasów, nad brzegami strumieni i rzek. Nasze klęski i zwycięstwa, nasze przeprawy i odwroty strategiczne — wszystko to odbywało się w głębi dusz. Prowadziliśmy życie ciemne i nerwowe. Głosy towarzyszków i przyjaciół dochodziły tłumione przez odległość. Witaliśmy się i rozstawali wśród mroku i w pośpiechu, zaledwie czas mając na uściskanie dłoni.

W tym czasie to właśnie rozegrał się olbrzymi dramat Żelabowa i Perowskiej, a wtedy ja nie miałem dla niego ani oczu, ani czasu, ani sił, by wnikać w jego treść, zrozumieć, odczuć jego surowe piękno. W Perowskiej też żyła potrzeba osobistego szczęścia i miłości, tak wielka, jak wszystko, co rodziło się w tej duszy. Ale to było jej szczęście i jej miłość. Błada i zmieniona, trup raczej niż człowiek, stała ona w tamten dzień na swoim posterunku. I gdy znalazła się znowu obok niego twarzą w twarz, oko w oko, było to po raz pierwszy w sali sądowej, po raz drugi na śmiertelnym wozie, który ich wiozł razem na szafot. Turkot tego wozu, stuk toporów wznoszących szubienice słyszeliśmy tego dnia i badaliśmy samych siebie, dusze własne — czy życie w nas jeszcze umarło, czy zdolają serca nasze umrzeć tak jak tamte? Wiedzieliśmy, że my sami musimy podnieść ciężar po-

<sup>667</sup>Wiera F. — wspomniana wcześniej Wiera Figner. [przypis edytorski]

<sup>668</sup>wrózka z poematu Słowackiego, która rządzi ostatnim śmiertelnym bojem Wenedów — Roza Weneda, bohaterka tragedii Słowackiego *Lilla Weneda*. [przypis edytorski]

zostawionej nam przez ginących sprawy, żyć tak, jak umierali Kibalczyk, Sonia, Żelabow, Michajłow, jak umarł Hryniewiecki, zaciskając zęby, w szpitalu.

## XIX. TRUPY

Zbliżał się dzień ich śmierci, nieustannie, nieubłagane mijały chwile, a każda z nich była już policzona. W tym czasie ja naprawdę pragnąłem, aby skończyło się to już jak najprędzej, aby przestali oni już czekać. Łzy wywołała mi wiadomość, że w swym kazamacie Kibalczyk zażądał papieru i pograżył się całkowicie w swych wyliczeniach. On był najszcześliwszy z nich wszystkich. On ani na jedną chwilę nie pozostawał bez żywego związku z prawdziwym życiem ludzkości. Ale myślę się, mówiąc tak. Bo pracowali w sposób niemniej płodny, urabiając swoją prawdę wewnętrzną w obliczu śmierci. Nie chodziło o godną postawę, chodziło o wydobywanie z samych siebie całej jasności, całkowitego zrozumienia, chodziło o wykucie w sobie myśli obejmującej całe znaczenie czynu. Trzeba było, aby każde słowo, każde z tych nielicznych słów, które mogły być wypowiedziane w sądowej sali, zawierały w sobie całą prawdę, całą głębię przeżytego życia. Mieli przejść ci skazańcy nad milczącą Rosją jak oskarżyciele i sędziowie. Zginąć miało w nich pojedyncze, przypadkowe — pozostać to jedno, co było prawdą. Nieosłonięta przemoc władza olbrzymim krajem, narodem, skarbem ludzkim, oddanym w ręce zbirów, szpiegów, katów, żołdaków... Trzeba było ukazać, że na szczycie tej piramidy jest tylko słabość drżąca o własne swe życie.

Naród stał się dla cara postrachem — car walczył grozą ze swym narodem. Nad krajem wśród śpiewów popich, bicia w dzwony w obłoku kadzidłowych dymów przeciągały nieludzkie, drapieżne, sępie myśli godne Bizancjum i Iwana Groźnego. Kraj, własność jednego człowieka: milionowe życie zależne od igraszki jego sumienia, że użyjemy już najważniejszego wyrazu. Car stoi sam przed obliczem Boga. To, co dzieje się pomiędzy nim a Bogiem, jest tajemnicą, od tej tajemnicy zależy los ludów. Byliśmy na tym szczycie rosyjskiego Synaj<sup>669</sup> i nie znaleźliśmy nic prócz śmiertelnie znużonego ciała, ubranego w rosyjski mundur. Tajemnicą było tylko: słabość i tchórzostwo z jednej strony, siła i okrucieństwo z drugiej. Car miał w ręku środki zabijania, niszczenia życia. To było jego jedyne prawo. Mógł zabijać. Dano mu w ręce tę władzę. Nie miał żadnej innej. I o nic innego nie walczył, tylko o życie własne. Tajemnica rosyjskiego caratu jest ta: że jego głowa — to nieszczęśliwy człowiek postawiony w warunki takie, że musi przelewać krew, a raczej brać na swoją odpowiedzialność krew przelaną przez innych. Otacza go zdrada wiecznie czujna. Po nocach szepcą mu kotary o losie Pawła, na twarzach swych bliźnich czyta zawsze myśl mordu. Musi być z nimi, musi zawsze służyć większości z nich. Wtedy ona jest z nim i posługuje się nim jako tym, który ma prawo wyrzec groźne słowo: śmierć. Od chwili, gdy dźwignęła się myśl ludowa w Rosji — odtąd rozstrzygnięte są losy jej władców. Otaczająca ich łupieżcza banda posługuje się nimi, musi posługiwać się nimi dla ochrony własnego życia. Nędznego życia pijanych, drapieżnych zwierząt. I biedny, osaczony zwierz w koronie walczy nieustannie o swoje życie; otacza go strach, podszeptują mu doradcy wieści coraz fantastyczniejsze. I walcząc o swoje życie, strąca w nicość myśl, przyszłość i szczęście swojego kraju. I to jest tajemnica Zimowego Pałacu, Gaczcyna i Carskiego Sioła<sup>670</sup>.

Za mało zastanawiamy się nad całymi stronami naszego istnienia. Sztuka, która powinna nas zmuszać do widzenia ich, ukazywać nam je z taką jasnością i siłą, byśmy nie mogli już ich nie widzieć, byśmy nie mogli o nich myśleć inaczej, jak w obrazach przez nią stworzonych, zaniedbuje wszystko, co jest zbyt groźne, zbyt surowe i drapieżne. Tworzy bajeczkę o istniejącej zasadniczej jedności moralnej społeczeństw i ludzkości. Jedności takiej nie ma. Jest potworna walka, mordowanie się wzajemne, walka o życie, światło, powietrze. Każdy walczący widzi świat takim, jakim czynią go w jego oczach jego warunki istnienia. Warunki istnienia naszej warstwy, naszej klasy, naszego typu to nasz świat, a że poza nim jest zguba innych, że ta zguba to właśnie podstawa, grunt, gleba tych naszych warunków, o tym nie chcemy, nie możemy myśleć. Oficer ma swój honor

<sup>669</sup> *Synaj* — góra w pld. części Płw. Synaj, utożsamiana z biblijną górą Horeb, określaną jako „góra Boga”, gdzie Bóg przekazał Mojżeszowi kamienne tablice z wrytymi dziesięcioma przykazaniami (Wj 3,1), a w późniejszych czasach ukazał się prorokowi Eliaszowi (1Krl 19,8–14). [przypis edytorski]

<sup>670</sup> *Zimowy Pałac, Gaczcyn i Carskie Sioło* — rezydencje carskie. [przypis edytorski]

Rosja, Car

Kondycja ludzka, Obraz świata, Sztuka

wojskowy, który każe mu i pozwala kroczyć po trupach. Te trupy to już nie ludzie, to już tylko dekoracja; oni muszą być, aby oficer spełnił swój obowiązek. Przemysławiec, kapitalista widzi zawsze jedynie tylko cyfry. Nowa maszyna wprowadzona do kraju — to jego tryumf i duma. Los mas robotniczych wyrzuconych na bruk nie wchodzi wcale w rachubę. O nich nie może tu być mowy. A przedsiębiorca może być nawet idealistą, który sam własne swoje życie spala na ołtarzu kapitału i maszyny.

Życie ludzkie znika wciąż i ginie w cieniu rzucanym przez fantastyczne postacie rządzące światem i ludźmi. Myśl ludzka nie należy sama do siebie, nie krąży ponad światem jak słońce. Rządzą nią i władają: baśń o złocie, o szpadzie, o pomazaniu bożym i koronie, o sztuce, o nauce. Jedną z nich jest pajęcza baśń o Zimowym Pałacu. Trudno uwierzyć w możliwość samą tych ukształtowań psychicznych, które tu powstawać muszą. Tu musi powstać, rozwinąć się dusza wierząca w swoje prawo życia i śmierci nad ludem. Otacza ją splot interesów i intryg, nie wypuszcza ani na chwilę ze swych sieci, aż wreszcie ukształtuje według swych potrzeb.

Po śmierci Aleksandra II dokonał się znów tu i rozegrał zwykły dramat. Człowiekowi o duszy i umyśle przeciętnego kapitana piechoty włożono na ramiona obowiązek zbrodni. Zapewniają nas, że Aleksander III w gruncie rzeczy był fatalistą, że się nie bał śmierci — mniejsza o to. To było straszniejsze nawet. Cóż straszniejszego nad człowieka, który wierzy w swoje prawo tamowania życia i światła, w swój obowiązek dławienia ich. Aleksander II na początku swego panowania przeżył coś w rodzaju dramatu osobistego. W jego życiu były rysy ludzkie. Aleksander III — to władza tępej, nie wahającej się ograniczoności. Może nawet uczciwszy był on od swojego ojca. Mniej rozumiał bowiem, co dzieje się w ludzkim życiu poza nim. Aleksander III był przekonany, że jego widnokrag — widnokrag mało wykształconego, zahukanego oficera — jest istotnie sensem i znaczeniem świata. Było to tak, jakby ironia wszechświatowa historii po śmierci Aleksandra II zatwierdziła werdykt Narodnej Woli. Ideę zabito. Pozostało ciało: i na tronie Wszechrosji posadzono dieńszczyka<sup>671</sup>. Musi przecie być ktoś, kto wstaje, rozkazuje, kto jest odpowiedzialnym sprawcą krwawych dziejów. Pozory ideowości muszą być zachowane. Nie można upadać na twarz przed niczym, ani przed samym sobą. Musi być więc ktoś carem Rosji, aby poza jego plecami 10 000 wielkich, 100 000 drobniejszych i 1 000 000 całkiem małych rabusiów mogły szarpać ciało ludu. I ironią jest to, że gdy mówią oni, ci prawdziwi władcy Rosji: wszystko jedno, w czym imieniu rządzymy, wszystko jedno, kim jest nasz koronowany sługa — nagle przekonywują się, że ten dieńszczyk historii może przecież strącać w błoto każdego z nich, o tchórzostwo wszystkich innych będzie z nim przeciwko upadłemu. Zasłona pęka i ukazuje się na szczycie podłości i hańby pijana postać z kieliszkiem siwuchy. *Ecce deus*<sup>672</sup> — oto pomazaniec pański. Lud pada na twarz, ponad bladym krajem grzmi z opatrnościowych wyżyn gniewny okrzyk pijanego dieńszczyka i znów zakrywa się wszystko, i już widzi się tylko europejskie wyfraczone postacie, krew lejące pachnącymi rękami.

Tajemnica Zimowego Pałacu to właśnie ta straszliwa baśń pajęcza, która jest ciągle prawdą dziejów rosyjskich. Nic wstrętniejszego niż to obłudne oburzenie, z jakim mówili ci zawodowi mordercy ludu o nas. My to byliśmy zabójcami. Tak, nieśliśmy śmierć. Śmierć własną i cudzą. Niech obraca się prędzej koło życia i niech narodzi się wreszcie myśl, która oświeci tę krwawą gehennę<sup>673</sup>. Śmierć, komu to mówić o śmierci? Co znaczy dla rządu, jakiegokolwiek bądź rządu, śmierć człowieka? Rządzący mają przywilej zabijania, gdy idzie o obronę ich stanowiska. Zabijania, ile razy się podoba znaleźć do tego powód. Nie oni mają prawo mówić nam o życiu człowieka, jego nietykalności. Życie ludzkie nie było nigdy święte dla żadnego rządu, a szczególnie tu! Tu w Rosji. Śmierć Aleksandra II to tylko epizod wielkiego dramatu. Wpiszcie go pomiędzy tych wszystkich, co zginęli w ciągu jego panowania, pomiędzy polskich powstańców, pomię-

Car, Władza, Przemoc

<sup>671</sup>dieńszczyk, częściej: *deńszczyk* (ros.) — w carskim wojsku: ordynans, żołnierz przydzielony do obsługi oficera. [przypis edytorski]

<sup>672</sup>*Ecce deus* (łac.) — oto bóg. [przypis edytorski]

<sup>673</sup>*gehenna* — męki, wielkie cierpienia, piekło. [przypis edytorski]

dzy chłopów zabitych po roku 61<sup>674</sup>, pomiędzy dziesiątki tysięcy żołnierzy. Nie, był on uprzywilejowany.

Śmierć Aleksandra II miała przynajmniej sens: umarł on, aby żyło prawo, aby żyła prawda. Na próżno biją dzwony. Nikt nie wierzy z was, krew lejących, w Boga z ikon. Chcielibyście jego uczynić sprawcą zbrodni, mordu, niedoli, łez i krwi. Na próżno. Nie zdołacie rozbudzić w sobie nawet tej wiary. Wy sami, wy sami krew lejecie, głodem morzycie wsie i prowincje całe. To wasz bóg. Przy zielonym stoliku<sup>675</sup>, przy którym zabijacie nudę, znajdujecie swoje jedyne bóstwo. Wasza wiara — to te malowane fetysze paru godzin, które wam zastępują los. Los tak nędzny jak życie wasze. Wyrzucicie ikony z cerkwi, z domu i na kolana przed kierowym królem.

Jest to nieprawdopodobne, a jednak teraz właśnie ja, towarzysz Żelabowa i Perowskiej, miałem sposobność zetknąć się z tym światem. Zaopatrzone mnie w doskonały paszport francuskiego arystokraty urodzonego w Rosji. To miało tłumaczyć moją znajomość języka i stosunków. Chodziło nam o to, aby zbadać, jakim jest usposobienie „sfer” i wyżej położonych kół towarzyskich, aby na tych podstawach oprzeć dalszą działalność. Przechodziłem więc przez petersburskie salony, do których udało mi się znaleźć drogę przez te stosunki, jakimi rozporządzały jeszcze blisko nas stojące osobistości. Oczywiście były to już salony drugorzędne, choć i tu można było sobie wyrobić podstawy dla sądu. Byłem przecież raz przez parę godzin w towarzystwie, w którym znajdował się sam Pobiedonoscew<sup>676</sup>. W Rosji tylko mógł rozwinąć się typ takiego człowieka. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że istniało w nim bardzo dużo dobrej wiary, szczerego i głębokiego przekonania. Był dla mnie nieskończenie bardziej podobny do człowieka niż przeciętny liberalizujący dygnitarz. Miałem sposobność obserwowania go w dość sprzyjających warunkach. Musiałem stworzyć dla siebie maskę, która by mnie nie krępowała zbyt w ruchach. Wybrałem rolę katolika, przekonanego o posłannictwie Kościoła, arystokraty nie oszczędzającego czarnych barw, gdy chodzi o scharakteryzowanie obecnego kapitalistycznego wyzysku, panowania burżuazji. Czyniło to prawdopodobnym mój szeroki sposób bycia i pozwalało dość swobodnie mówić o wielu rzeczach. Wspomnienie stryja ułatwiało poprawność zachowania się.

Były chwile, gdym wzywał się niemal szczerze w ten nowy i posępny światopogląd. Było to właśnie w czasie, kiedy kończył się proces naszych towarzyszków. Wiadomo było powszechnie, że sąd właściwie nie może wydać innego wyroku prócz tego, który był znany już z góry — śmierć. Wydawało się to ludziom, przyzwyczajonym do rosyjskiej atmosfery, całkiem zrozumiałym i naturalnym. Czy może być mowa o prawie, jego różnieniach i stopniowaniach, gdy chodzi o zabicie cara? Gdyby spalono ich żywcem na placu, opinia nie byłaby w gruncie rzeczy zaskoczona. Od paru dni jednak można było zauważyć szept, mówiono wszędzie z tajemniczymi minami o wykładzie filozofa Włodzimierza Worobjewa<sup>677</sup>. Cała elita petersburskiego świata wybierała się na ten odczyt. Półgłosem i półgębkiem komentowano i spierano się: odważy się czy nie. Odczyt zatytułowany był: „O bogocześniku<sup>678</sup>, czyli ideale życia” — czy coś podobnego. Trudno było zrozumieć, co wywołuje i usprawiedliwia to gorączkowe zainteresowanie i niezwykłą wagę, jaką zdawano się przywiązywać do odczytu. Sala była pełna, kiedy wszedłem przed samym początkiem wykładu. Zdążyłem zaledwie zająć miejsce, gdy na katedrze stanął już

<sup>674</sup>chłopów zabitych po roku 61 — w roku 1861 wprowadzono reformę uwłaszczeniową w Imperium Rosyjskim, na mocy której ponad 20 mln chłopów rosyjskich zyskało wolność osobistą: nie mogli już być sprzedawani, kupowani ani karani przez właścicieli ziemskich, choć z powodu obaw władz przed masowym porzuceniem pracy w rolnictwie przypisano chłopów do wspólnot wiejskich, których nie mogli opuszczać. [przypis edytorski]

<sup>675</sup>zielony stolik — hazard; gry hazardowe tradycyjnie rozgrywane są przy stole nakrytym zielonym sukniem. [przypis edytorski]

<sup>676</sup>Pobiedonoscew, Konstantin Pietrowicz (1827–1907) — rosyjski konserwatywny prawnik i polityk, wykładowca prawa cywilnego na Uniwersytecie Moskiewskim (1860–65), nauczyciel przyszłego cara Aleksandra III, wychowawca jego syna, Mikołaja I, senator (1868), członek Rady Państwa (1872), oberprokurator Świętobliwego Synodu (1880–1905); wywarł decydujący wpływ na politykę Aleksandra III oraz jego następcy. [przypis edytorski]

<sup>677</sup>Worobjew, Włodzimierz — powieściowy pseudonim Władimira Siergiejewicza Solowjowa (1853–1900), rosyjskiego filozofa prawosławnego, poety i publicysty, użyty niekonsekwentnie przez autora, gdyż nieco dalej pojawia się prawdziwe nazwisko. [przypis edytorski]

<sup>678</sup>bogocześnik (rel.) — w teologii chrześcijańskiej: Jezus Chrystus, który jest jednocześnie Bogiem i człowiekiem. [przypis edytorski]



mężczyzna o prześlicznej głowie marzyciela, wieszczka, artysty. Uduchowiona, błada twarz mówiła o długich, przebytych mękach. Była spokojna ta twarz, ale spokojem jakiejś nieustannej ekstazy. Worobjew wyglądał jak człowiek zatopiony w swoim własnym świetle, nieustannym wysiłkiem ducha zdobywający sobie ten spokój i ciszę wewnętrzną.

Był jak człowiek dźwigający ciągłym uniesieniem jakiś z trudem wzniesiony gmach wiary. Mówił o ideale życia, o całkowitym zlaniu się człowieka i prawdy, o tym, że wreszcie przestaje ona być czymś zewnętrznym, innym od człowieka, staje się *samą* jego istotą, prawem wewnętrznym jego życia, swobodą jego.

— Człowiek przeżywa siebie, tylko siebie, jest tylko sobą, wyszedł już poza wszelki przymus, nie zna go w niczym, nie może go sobie wyobrazić i jego natura bowiem stała się na wskroś wartością. Skrępowanie, to poczucie, że prawda nasza jest poza nami. Złączeni, zjednoczeni z nią, stajemy się na wskroś swobodą. I to jest prawda, której szuka ludzkość: nie oderwana wiedza, nie przekonanie tylko lub wiara, lecz życie samo. To jest wszechświatowe znaczenie postaci Chrystusa. Człowiek staje się na wskroś prawdą i jest ona w każdym jego odczuciu, upaja się on sam sobą. Dopełnia się cud Kany Galilejskiej<sup>679</sup>. Człowiek odzyskuje siebie, poznaje prawdziwą radość istnienia. I tego szuka, do tego dąży ludzkość w swych nieustannych pracach i mękach. Sztuka i religia, wszystkie rozterki wewnętrzne nowoczesnej ludzkości — to właśnie ta walka. Człowiek współczesny wie i rozumie, że on to sam właśnie, jego swoboda — to jest prawdziwa ojczyzna prawdy, jej istota żywa, że w nim musi się ona narodzić i z niego. Nie może on już czuć bezwzględnie niczego poza sobą, żadnego nakazu zewnętrznego, żadnej bezwzględnej zasady poza sobą. Stanowczo nie może on wyrzec się siebie, zaprzedać siebie, gdyż on sam, życie jego jest najwyższą i ostateczną świętością. Wszystko, co jest, musi być roztopione, odnalezione w życiu wewnętrznym człowieka. Wszystko, co ma znaczenie dla życia ludzkiego, musi być ustanowione jako stosunek człowieka do samego siebie. Przed żadną władzą oderwaną nie może skłonić się sumienie ludzkie. Prawda musi być żywa, musi być tak pełna i całkowita jak życie ludzkie. Człowiek prawdę swą może tylko uznać w człowieku. I dlatego sumienie nasze może uspokajać się tylko na takiej całkowitej, dopełnionej zrealizowanej prawdzie. Ideał nasz musi być żywym człowiekiem, musimy czuć, że żyje on tak, aby każdy jego czyn wywoływał w nas nieprzymuszone, całkowite uznanie: oto jest prawda żywa. Ludowi rosyjskiemu jest przede wszystkim właściwy ten stosunek. Lud ten wierzy zawsze w żywego człowieka prawdy. Taki jest jego stosunek do cara. Władza cara w Rosji — to jest władza dopełnionego ideału. Nie inaczej myśli lud. Cesarz — to pomazaniec Chrystusowy, człowiek, który w sobie ma prawdę i dlatego nie błądzi. Inaczej nie zniósłby, nie mógłby znieść lud nad sobą jego władzy. Dlatego też wierzy lud, że jego cesarz postępuje zawsze tak — jak ten dopełniony bogoczwłowiek, i to jest władza cesarza. Być świętością ludu, być nieustannie jego najwyższym ideałem, żyć tak, aby musiał czuć każdy: Oto jest bóg żywy. Inaczej ta władza byłaby siłą tylko. Zabijałaby życie, a nie zaś byłaby żywą duszą żywego organizmu. I dzisiaj — mówił Worobjew — kiedy otacza nas mrok, kiedy rozpadliśmy się na ślepe atomy w pomroce sumień, gdy nie wiemy, czy w tym strasznym obłoku, który nam zakrył słońce, który nas otoczył mgłą, istnieje jeszcze coś wspólnego, coś, co łączy nas w jedną wielką, nie umierającą duszę narodową, dzisiaj, kiedy czujemy się skazani na unicestwienie wewnętrzne, na skamienienie w tej pustce samotnych dusz, w których życie jest tylko dogasaniem myśli, dzisiaj car rosyjski musi dowieść, że żyje prawda, lud cały patrzy na cara i czeka, czy zdoła ocalić on prawdę moralną ludu. Lud nasz wie, że nie usprawiedliwia nic śmierci, że nie wolno zabijać życia, że każda dusza to rodzący się Chrystus; lud więc mówi: nie zabijaj. Zwyciężaj, władaj, rządz przez serca; carowi Rosji nie potrzeba miecza. Pośród nocy niech zajaśnieje słowo carskie jak prawda. Przez serce rządz, przez serce porywaj duszę ludu; lud cały woła: nie zabijaj.

Słońce zgasło: idziemy przez pustynię piaszczystą, nie prowadzi nas żaden słup ognisty<sup>680</sup>, nie prowadzi nas śpiew kapłanów, wiatr zwiewa ślady naszych stóp i nie wiemy, czy

Lud, Serce, Chrystus, Car

<sup>679</sup>cud Kany Galilejskiej — przemiana wody w wino dokonana wg Ewangelii Jana (J 2, 1–12) przez Jezusa w miejscowości Kana w Galilei. [przypis edytorski]

<sup>680</sup>nie prowadzi nas żaden słup ognisty — wg Biblii Izraelitów wędrujących z Egiptu przez pustynię do Ziemi Obiecanej prowadził sam Bóg w postaci słupa obłoku w dzień oraz słupa ognistego nocą (Wj 13, 21–22). [przypis edytorski]

krążymy w miejscu, czy idziemy naprzód. Potykamy się o martwe ciała braci i wołają ku nam trupy straszonym głosem śmierci, że samotne zstąpiły w śmierć, nie wiedząc nic. Nie wiedząc, czy prawdą jest człowiek, czy tylko igraszką, prochem unoszonym przez wiatr na bezsłonecznym stepie. Czy jest jeszcze prawda, która pozwoli nam widzieć się wzajemnie. Nie poznajemy siebie, bo każdy jest sam za siebie, z obłędem i nocą. Nie ma ludu — jest tłum zbłąkanych w krwawej pustce. Ozwij się, wielki carze, jeżeliś jest serce ludu. Ciebie woła lud. Jeżeli tam na Golgocie<sup>681</sup> zaczernieją widma szubienic, jeżeli usłyszy lud stuk siekier i młotów wznoszących rusztowanie zemsty — straci wiarę: uwierzy, że jest w pustce. Jeżeli nie Chrystus jest na tronie, jeżeli nie on nas wiedzie, nie prowadzi nas nikt i żyjemy wśród lotnych piasków pustyni, wiatry przysypią nas ławicami piasku. Rdzawa noc, noc grozy i krwi, będzie trwała wiecznie i słyszeć będziemy, konając i ginąc, tylko szczęk łamanych kości, tylko wycie przerażenia. Człowiek musi wierzyć w siebie, wierzyć w człowieka poza sobą. Musi wierzyć każdy pojedynczy w wielkie, zbiorowe, święte serca ludzkości. Władzę powierzył nad sobą lud rosyjski Chrystusowi tylko: władzę bez ograniczeń. Żywa prawda nie błądzi. I brnie on teraz przez śnieżne zamiecie, przez burzę, stepy, rzeki porywające wirami na dno. Wiatr mroźny go ślepi, śnieg przysypuje, grzebie całe pokolenia, a one idą. Chrystus sam wiedzie. Rzuć miecz... carze, bez miecza jesteś wszechwładny. Rządź przez świętość, rządź przez miłość ludu. To jest twoja władza. Nie zabijaj, nie zabijaj.

Na sali plakano, ludzie zrywali się z miejsc. Wystrojone, wytworne damy otoczyły katedrę. Ponad ich głowami na jedną chwilę widzieć było można czyjaś czerwoną twarz i ogromną pięść! Ochrypli głos wołał:

— Ciebie zabić trzeba! Ty jesteś morderca!

Ale fala ludzka uniosła napastnika.

— Prowadź nas! — wołał tłum. — Ciebie chcemy słuchać. Ty jesteś wodzem. Prowadź!

Worobjew stał blady. Nie mógł wymówić ani słowa.

Nagle z górnych ławek amfiteatralnie zbudowanej sali zabrzmiał młody, dźwięczny, bólem i oburzeniem brzmiały głos:

— Kłamstwo! To wszystko jest kłamstwo.

Oczy tłumy skierowały się w tę stronę. Tam stała Kitty, blada, z błyszczącymi oczami. Rękę wyciągała poprzez salę ku Worobjewowi.

— Nieprawdę pan powiedział. Pan powiedział nieprawdę. Nie Chrystus! Kat mieszka w Zimowym Pałacu. Wasi odkupiciele, przywódcy — to ci, których zabijają za to, że kochali lud sercem, a nie słowem, za to, że śmieli żyć, oni są tam, tam w Petropawłowskiej Twierdzy umierają za prawo.

Tłum przerażony usuwał się ku drzwiom, Worobjew stał jak przykuty. Kitty wołała:

— Koronę cierniową wkładasz na głowę kata. Piłat tylko umył ręce. Piotr wyparł się i zawstydził. Powiedz pan, że to nieprawda, odwołaj pan.

Jakaś pani w koronkach wdrapała się na katedrę i histerycznym, zdławionym głosem zaczęła wołać:

— Ona bluźni, bluźni, ty nasz święty, ty nasz wielki!

A Kitty mówiła:

— Pokłoń się ich świętym szubienicom, pokłoń się ich świętym głowom, duszy nie gub. Kłamstwa nie siej. To kłamstwo, kłamstwo. Kat jest na twoim ołtarzu, krew ludu leje.

— Jak ona śmie! — zawołał wreszcie jakiś tłusty, poważny pan.

— Aresztujcie mnie lub odbierzcie mi życie, wy czciciele rosyjskiego Chrystusa! — wołała Kitty, prostując się. — Jestem narzeczona Kibalczyca.

Zamęt był nie do opisania. Drzwi główne zatarasowane były przez stłoczoną falę głów, na katedrze stał Worobjew ze zgaszoną twarzą, zgarbiony, wpatrzony w ziemię. Jakiś panie zbliżyła się do Kitty płacząc. Coś mówiły, ścisnęły ją za ręce. — Ona wrywała im je.

— Ich krew na waszych rękach, na waszych duszach i wszędzie — wszędzie.

<sup>681</sup> *Golgota* — wzgórze nieopodal Jeruzolimy, miejsce kaźni, gdzie ukrzyżowano Jezusa. [przypis edytorski]

Chciałem podejść do Kitty i w jakiś sposób wyprowadzić ją stąd. Ale ujrzałem koło niej Wierę i parę młodzieńczych postaci: cała grupa znikła nagle w jakichś bocznych drzwiczkach.

Wieczorem tego dnia znalazłem się w jednym towarzystwie z Worobjewem. Było to w domu pewnej arystokratycznej staruszki, uczennicy Joseph de Maistre'a<sup>682</sup>, jak mówiono. Zbierał się tu petersburski mistyczny i interesujący się zagadnieniami religijnymi świat. W ten wieczór, gdy przyszedł, był tu Pobiedonoscew. Worobjew siedział w kącie milczący, złamany i nieszczęśliwy.

Pobiedonoscew rozmawiał z panią domu. Staruszce chodziło, jak się zdaje, o to, aby oddalić od głowy filozofa te gromy, jakie mogła na nią ściągnąć dzisiejsza prelekcja.

Pobiedonoscew słuchał uważnie, nie odpowiadając. Po chwili zaczął mówić suchym, nieprzyjemnym głosem. Mówił jakby pod przymusem. Robił wrażenie zaszuszonego trupa, który odbywa swe życie jak pokutę. Zdziwiłem się, zobaczywszy, jak w jego szarej, trupiej twarzy błyszczą i żarzą się oczy. Tam na dnie płonęła jakaś namiętność. Przyznam, że na mnie wywarł ten człowiek jedyne w swoim rodzaju wrażenie. Nigdy nie widziałem nikogo, o kim mógłbym użyć tego wyrazu z takim prawem: *straszny*. Wiał strach od niego, jak od czegoś obcego całkiem istnieniu ludzkiemu.

— Cesarz nie jest Chrystusem — mówił — on nie może iść za głosem swojej duszy — prawdy. Prawda jest wieczna, to jest tajemnica zasłonięta na wieki. Przed każdym i przed nim. Sługą jest jeszcze bardziej woli bożej niż ktokolwiek inny. Nie może być słaby. Nie wolno mu być sobą. Słuchać siebie. Nad nim jest prawda.

— Musi ją czuć przecież — mówiła pani domu — aby ją wykonać.

— Prawda jest posłuszeństwo ślepe. Człowiek nie może być prawdą. Na początku wszystkiego jest błąd. On jest to, w czym prawdy nie ma. Prawda jest zawsze poza człowiekiem. I oto jest Rosja. Rab boży, ślepy sługa Jego prawdy.

— Ale jakiej?

— Zna ją Bóg.

— Muszą przecież wiedzieć ludzie.

— Nikt jej nie pozna żywy. Świeci ona w oczy umarłemu. Żywi ugiąć się muszą, dźwigać. Wznosić muszą gmach, którego nie znają. Iść, kędy On sam jeden wie.

— A car?

— On jest tym, komu Bóg kazał strzec posłuszeństwa dusz. On niesie ciężką służbę. Prowadzi, a nie wie, nakazuje, a jest ślepy.

— A jeżeli tam nie ma nic potem? — mówił Sołowjew<sup>683</sup>.

— Jak to nic? Kto się pyta? Myśl czyja? Ludzka. Przypadkowa. Dla niej powinno być nic. Prawdą jest to, czego ona nie zna, o czym nie wie, co przed nią zakryte, jej obce, czego ona nigdy nie obejmie.

— A cóż — powtórzył raz jeszcze Sołowjew — jeżeli tam nic nie ma? Pozostaje coś potwornego, jakiś koszmar, obłąd. Jeżeli nie ma Chrystusa nad Rosją, to wszystko to jest jakimś szaleństwem.

— Rosja była pierwiej niż ja i pan. Ona przyjęła wiarę w Konstantynopolu<sup>684</sup>. Ona została sama. Gmach Rosji nie ludzki, nie na rozumie, na woli oparty. Tak pan dobrze powiedział. To jest obłąd. Dla człowieka tak. Dla człowieka Bóg musi być obłąkany. Bo nie myśli o człowieku. Rozum ludzki — to wieczne *ja i ja*. A wszystko jest właśnie nie my, wieczne nie my.

— Pan nie wierzy w Chrystusa — rzekł Worobjew.

— Pan nie wierzy w Rosję — rzekł Pobiedonoscew. — Chrystus pokazał drogę — legł w grób i powiedział: „wstanę”, czyli: musicie przejść przez grób. Prawda to jest śmierć.

<sup>682</sup>Maistre, Joseph Marie de (1753–1821) — francuski pisarz i filozof polityczny, jeden z przedstawicieli tradycyjnego konserwatywnego o charakterze teokratycznym, opowiadał się za monarchią oraz podporządkowaniem władzy państwowej zwierzchnictwu papieża; zwalczał filozofię oświecenia i idee rewolucji francuskiej; poseł sardyński w Petersburgu (1803–17). [przypis edytorski]

<sup>683</sup>mówił Sołowjew — przeoczenie autora: postać historycznego Sołowjowa występuje w powieści pod nazwiskiem Worobjewa; takie samo przeoczenie w komentarzu narracyjnym do następującej wypowiedzi tej postaci. [przypis edytorski]

<sup>684</sup>Ona [Rosja] przyjęła wiarę w Konstantynopolu — Rosja jest sukcesorką Rusi Kijowskiej, której książę, Włodzimierz I, w 988 roku przyjął chrzest i poślubił siostrę cesarza Bizancjum, po czym uczynił z chrześcijaństwa wschodniego rytu oficjalną religię państwową. [przypis edytorski]

Car, Rosja, Prawda

Rosja, Rozum

W młodości studiowałem Hegla. Bóg tworzy świat, aby siebie zrozumieć, ale przecież zna on siebie od początku. Więc milczące, wieczne szaleństwo. Bo i po co? I dla człowieka tak ma być. I jest szaleństwo, i trzeba słuchać. Wszyscy żyjemy pod władzą Boga. Kiedy już mój rozum zatrzymał się, kiedy woła: tu obłąd — wtedy wiem, Bóg mówi. I ja wierzę, że Rosję Bóg stworzył; nie człowiek, nie dla człowieka.

— Chrystus pojednał nas z Bogiem.

— Po śmierci — rzekł Pobiedonoscew.

— To wszystko mówi jednak pan tylko — rzekł Worobjew. — Pańskie zdanie.

— Nie — rzekł Pobiedonoscew — ja nic nie mówię. Ja słucham, Rosja mówi. I ona mówi: śmierć. W gruncie rzeczy oni to sami czują — Żelabow, Perowska — oni nawet, oni nie boją się śmierci.

— Tak — rzekł Worobjew — oni myślą to samo, co pan, tylko z innej strony.

— Gdybym nie wierzył w Boga — rzekł Pobiedonoscew — tak jak pan, byłbym z nimi.

— Ja wierzę w Boga — rzekł Worobjew słabym głosem.

— Pan wierzy tylko w siebie, nie w rozum, nie w człowieka, lecz w siebie, pan w gruncie rzeczy tylko siebie kocha.

Worobjew pochylił głowę:

— Nie rozumiemy się — rzekł.

— Tak — rzekł Pobiedonoscew. — Pan się bawi. Pan jest w gruncie rzeczy zbieg. Pan jest bardziej obcy Rosji niż Żelabow. Żelabow jest rosyjski zbrodniarz, pan jest całkiem sam. Pan chce sobie wybierać życie, choćby tylko w chmurach. Gdybym tam był dzisiaj, poszedłbym uściskać rękę narzeczonej Kibalczyca. Ona jedna była tam uczciwym człowiekiem. Tak...

— Pan nie ma prawa — rzekł Worobjew.

— Pan się obraża — rzekł Pobiedonoscew. — Ja pana nie chcę obrażać. Tylko trzeba stać na ziemi, na ziemi. Z ziemi prowadzi tylko ta jedna droga w gwiazdy, którą szedł Chrystus. Przez grób. A pan chce być świętym za życia, zmartwychwstańcem przed śmiercią.

Gospodyni usiłowała przerwać rozmowę.

— Czy sprawa już skończona?

— Cesarz już podpisał wyrok — rzekł Pobiedonoscew.

— To stało się za pańską sprawą — rzekł Worobjew. — Odpowie pan kiedyś przed Rosją.

Pobiedonoscew skinął głową:

— Oni to rozumieją: albo oni, albo ja. Ich szubienice albo moja.

I to jest jasne.

— Czy pan myśli, że się na tym skończy? — rzekł Worobjew. — Krew rodzi krew.

— To już na wasze głowy spadnie — mówił Pobiedonoscew jadowitym głosem. — Na was, co siejcie prawdy, powtarzacie papuzie słowa: rozum, wolność, miłość, nauka. Rosja musi mieć własną naukę, własny rozum, posłuszny Bogu, milczący. I tak będzie, będzie. Ja przyjmuję odpowiedzialność. Będą mnie nienawidzić. Ja wiem, czego chce Rosja. Kto posiał bunt w duszach rosyjskich? Bielińscy, Czernyszewscy, wy wszyscy. Rozum. Rozum ma być wykonawcą — ma służyć...

— Czemu?

— Wielkiej i potężnej Rosji.

— A Rosja?

— Nie wolno tak pytać. Nie śmieć pan! Rosja jest szaleństwo boże, ona jest. Jest. Świat powie: Rosja. Królestwo boże. Boże, nie człowieka. Tak.

Zaczął się żegnać.

Należałem do gości drobniejszego kalibru, na których można było nie zwracać uwagi. To zaoszczędziło mi pożegnania.

Ale pomiędzy Worobjewem i Pobiedonoscewem zaszła scena.

— Nie znam pana — rzekł Worobjew — nie znam pana... Pragnę zapomnieć o panu, pragnę zapomnieć, że pan był kiedykolwiek. Pan krwią zbrukany. Pan jest zbrodniarzem. Pan się wyrzekł Chrystusa... Pan jest duch dumy i wiecznego chłodu...

Rosja, Rozum, Wolność,  
Miłość, Nauka, Bunt

Pobiedonoscew zbladł...

— Ja — rzekł piszczącym głosem — nie jestem. Leżę w trumnie. Nic dla siebie nie chcę. Niech Rosja...

— Nie mów pan, bo wypoliczkuję! — krzyknął Worobjew.

Panie rzuciły się pomiędzy nich.

— Komediant — syczał Pobiedonoscew.

— Słuchaj pan — rzekł Worobjew — chodźmy tam, do drugiego pokoju. Ciągnijmy losy. Kto wyciągnie.

— Ja nie jestem z powieści Lermontowa<sup>685</sup> — rzekł Pobiedonoscew — mnie nie wolno...

— Cham — rzekł Worobjew; odwrócił się plecami.

— Niech pani pośle po lekarza — rzekł Pobiedonoscew i wyszedł.

Nagle wrócił i rzekł, stojąc w progu:

— Zrobił pan źle, bardzo źle. Pan wie, że ja nie mogę narażać się, że mnie nie wolno...

Uderzył pan trupa.

— Zejdź mi pan z oczu — szeptem powiedział Worobjew.

— On jest chory — szeptała pani domu Pobiedonoscewowi.

— Ja ofiaruję Bogu, Bogu — mówił Pobiedonoscew — ja już zamówiłem u mnichów na wieczyste czasy mszę za dusze tych, co chcą zabić Pobiedonoscewa. A modłę się za nich co dzień przed Przedwiecznym.

— Powiedział Chrystus: „Nie wódz nas na pokuszenie” — mówił Worobjew. — Panu nie będzie przebaczone. Pana nie można nie nienawidzić. I na pana spadnie ta cała nienawiść, i gdy przeleje ktoś pańską krew, to i to spadnie na pana. Pan odpowie za wszystko.

— Bogu wolno mnie potępić — rzekł poważnie Pobiedonoscew. — Jemu podobało się wyznaczyć mi służbę. — I podszedłszy do ikony, żegnać się zaczął: — Wybaczcie mi, skrytobójcy i mordercy, żem was na pokuszenie wiódł; Panie, odpuść mi winy, Panie, wybacz mi.

Któraś z pań dostała spazmów.

Czułem, że mnie wstręt zadławi między tymi epileptykami. Korzystając z zamętu, wyszedłem. Niebo było jasne. Wieczór chłodny i gwiazdzisty. Szedłem, usiłując myślą wnikać w to, co dzieje się z nimi. Czy pozwolono im być razem? Czy też są sami z myślami swymi? Kibalczyk ze swoim pługiem chodzi po gwiazdzistych polach. A Sonia, Żelabow? Wydawało mi się to takim dawnym. Nie byłem w stanie pojąć, odczuć, że to ja brałem udział w tym wszystkim, że to ja straciłem Olę... To był ktoś inny, silny i pełen zapału. Ten, co tu stał, był chłodny jak ta noc. „Každy sam za siebie” — mówił Worobjew. Teraz i ja tak czułem. Tamten, tamten rozplynął się już w jakimś wielkim życiu. Pozostał zimny, martwy cień i idzie po umarłym mieście. Nie żałowałem nikogo i niczego. Byłem sam. Tak oddalony, odcięty od wspomnień, jakby nie moje były, jakby z jakiejś obcej wyczytane książki.

— Za panem idzie szpieg — usłyszałem głos, jak gdyby dawniej kiedyś już słyszany. — Idzie już kilka minut... było ich dwóch. Oto jest dorożka. Rysak<sup>686</sup>. Siadaj pan. Pozwoli pan, pojedę razem, może się przydam panu.

Siadłem. Rysak ruszył. Trotuarem biegł Vogel i wołał:

— Stój, stój... Carobójca!

— Ruszaj! — wołał mój towarzysz — albo ci w łeb palnę...

Dorożkarz odwrócił się:

— Nie trzeba, panie, my sami zrozumieć możemy. Nie zgonisz, sobaka... — zwrócił się w stronę trotuaru i puścił konia w cwał.

Teraz poznałem mego wybawiciela. Był to Kuźniecowa. Trudno mi było poznać, tak się zestarzał.

— Nie poznaje pan — rzekłem. — Pamięta pan Wrońskiego, Michajłowa, Niemirow, nasze pożegnanie... Jestem Kaniowski.

<sup>685</sup>Lermontow, Michail Juriewicz (1814–1841) — wybitny rosyjski poeta, dramatopisarz i prozaik romantyczny, autor powieści *Bohater naszych czasów*. [przypis edytorski]

<sup>686</sup>rysak — koń zdolny do szybkiego biegu kłusem, kłusak. [przypis edytorski]

Twarz jego rozjaśniła się jakimś uśmiechem. Błądził on po niej jak blask światła, które przyszło z dala. Rysy były skostniałe.

— Dzieci pańskie? — pytałem.

— Umarły... rok temu ostatnie. Potem żona... nie mam nikogo, nic. Pojedzie pan do mnie.

— Nie — powiedziałem. — To mogłoby pana drogo kosztować.

— Czy to prawda, co krzyczał ten? — rzekł Kuźniecowa.

— Tak... — powiedziałem.

— Jeżeli pan ma dla mnie trochę litości — rzekł — pojedź pan do mnie... Będę panu wdzięczny, nieskończenie wdzięczny.

## XX. SREBNE NOCE

Trzy dni spędziłem w mieszkaniu Kuźniecowa. Było u niego niewypowiedziane smutno. I ten smutek, cisza, brak jakichkolwiek związków i węzłów ze światem żywych przyniosły mi ulgę. Kuźniecowa cały żył pamięcią. Człowiek nowoczesnego światopoglądu: nie oczekiwał on żadnego pośmiertnego spotkania. Skończyło się wszystko raz na zawsze. Nigdy już w nieskończonej przestrzeni tego, co jest, nie wytworzy się żaden z tych zgasłych kształtów. Jego pamięć o nich jest ich jedyną rzeczywistością. Z tym przekonaniem żył on, człowiek doskonale samotny.

— Mam sześćdziesiąt lat blisko — mówił on — i wiem, że nie zdołam zmienić już nic w moim życiu. Gdybym był zdolny do płodnej, twórczej pracy naukowej, byłoby się to już objawiło w ciągu przeżytego życia. Nie mogę więc się co do tego łudzić. Kocham matematykę tak, jak mógłby kochać królową swą młody paź. Jest to miłość beznadziejna, platoniczna. Gdy moja pani uśmiecha się do innych, widzę ten uśmiech jej, wystarcza mi to, musi mi wystarczyć za wszystko. Muszę czekać, aż ktoś szczęśliwy dobiedzie nowego wyrazu, nowego tonu — wtedy on i dla mnie istnieje.

— Czy zastanawialiście się kiedy — mówił do mnie jednego z tych wieczorów — nad religijną powagą, jaka jest w matematyce? Czy zastanawialiście się, że to, co człowiek w niej widzi, jest to tylko właściwie czysta forma działalności ludzkiej? Tu obcuje człowiek z własną swoją, pozbawioną jeszcze wszelkich ograniczeń energią. Widzi możliwość czynów. Matematyka — to jest czynna, działająca dusza ludzkości, unosząca się ponad wszystkim. To nagie formy, które życie wypełnia... Tak... Matematyką jest to wszystko, co jest i będzie w człowieku... Myślałem o tym długo, nim zrozumiałem wreszcie, że nie prowadzi ona nigdzie poza człowieka. Myśl tak się lubi łudzić. Tak lubi upojenie i szal. Nieraz chwytalem się na gorącym uczynku czegoś, co nie może być nazwane nadzieją nawet. Czy wy wiecie, jak szalone nadzieje może mieć człowiek? Tak dziwne bywają, że gdyby wydostały się na powierzchnię życia myślowego, wykoleiłyby je raz na zawsze... Myśl krąży po takich lodowych kresach, że jedno poślizgnięcie — i noc obłąkania. Człowiek w gruncie rzeczy pragnie tego. Czy wy wiecie, że ja, poważny człowiek, straciłem rok życia, wieczory całego roku na studia nad odwracalnością czasu? Pojmujecie. Znaleźć formułę odwracalności czasu. Czas jest szeregiem nieodwracalnym. Tak my to nazywamy. Gdy teraz widzę, że żona tu nie wejdzie, że nie usłyszę już nigdy śmiechu dzieci, że wszystko to przeminęło na zawsze i że czekać tylko trzeba, aż ja sam przeminę, to wszystko to znaczy tylko: czas jest szeregiem nieodwracalnym. Jak widzicie, nic w tym strasznego nie ma. Ot, prosta właściwość matematyczna, jak i tyle innych. Dlaczego tak jest? A gdyby znaleźć formułę matematyczną, redukującą nieodwracalne szeregi do innych postaci szeregowych, takich, które są odwracalne. Prawda. Znaleźć tylko formułę. Wzbogaci się słownictwo matematyczne o jeden mały znak i wszystko przedstawia się inaczej. Nie pojmujecie?

— Dziwne jest życie — dodał po chwili — ach, dziwne jest życie.

I było ono dziwne w tym mieszkaniu, w którym czas istotnie zdawał się nie płynąć.

Siedzieliśmy późno w noc, wspominając. Tu można było mówić o wszystkim. Kuźniecowa spragniony był słuchania o czymkolwiek, co by przysłonić mu mogło pustkę oczekiwania śmierci.

Czas

— Siedzę tu — mówił — i czekam, aż przyjdzie. I wiem, że nie będzie to żadne światło, żadna myśl: wiem, że ścieżka ta nie prowadzi nigdzie. Śmierć nie ma nawet matematycznych właściwości — rzekł z uśmiechem. — To zniechęciło mnie do matematyki.

Na co czekam — nie wiem. Nie wiem, dlaczego chcę, aby trwał ten srebrzysty przestwór ciszy i tęsknoty, ta błada pustka, w której nie świeci słońce. Pamięć — pamięć. Pustka, przez którą chodzą cienie. Czy pan wie, gdy jestem sam, otwieram drzwi na rozcież — wszystkie drzwi? Sam zapalam lampkę nocną w małym ostatnim pokoiku. Cienie chodzą, chodzą. I tak będę wspominał do końca. Gdy i nadejdzie czas, położę się tam, zapalę lampkę, drzwi każę pootwierać.

Skrzypi podłoga w sali, w stołowym, sypialnym pokoju.

Przeszedł ktoś koło fortepianu. Oddychają puste pokoje. Czy pan słyszał kiedy, jak cisza nocna wzdycha? Tak głęboko, głęboko, niezmiernie cicho i strasznie głęboko; przelatuje ponad twarzą tchnienie. Czuje się jego powiew.

— Czy nie doświadczacie czasem wrażenia — mówił po chwili — że ktoś wszedł do pokoju? Ktoś wszedł i jest tuż obok was.

— Złudzenie — powiedziałem.

Kuźnicow wzruszył ramionami:

— Nie wiem, czy można na pewno twierdzić, że tylko złudzenie. Najzwyklejsze nasze życie samo przez się jest tak dziwne. My bardzo mało wiemy o świecie. Bardzo mały skrawek jego przedostaje się do naszego życia i działa na nas. Co jest poza tym?

Podniósł franki i stanął w wielkim, weneckim oknie.

— Co to jest — to wszystko?

Siadł przy mnie i mówił:

— Jestem zwykłym człowiekiem, nic szczególnego nie było we mnie, nic szczególnego nie przeżyłem. Wszystko najzwyklejsze, przeciętne. Wczesną młodością myślałem zawsze, że czeka na mnie całkiem gotowe przeznaczenie. Nie. Nawet nie tak. Myślałem, gdy mi się co stało, co to może mieć za znaczenie. Po co to, dokąd to prowadzi? Usiłowałem odgadnąć tę całość, do której mogą należeć te fragmenty pojedynczych zdarzeń.

Spotkałem moją żonę. Nie będę mówił panu o miłości. Pan to zna. Tak. Myślałem — to — to. Urodziły się nam dzieci...

I tak, wie pan, gdy dzieci miały już pięć, sześć lat — powstał strach. I jeżeli to wszystko właśnie tak jest, jak to widzisz, ot, po prostu taki, jakiego się znasz, jesteś, nie ma poza tobą ani ponad tobą żadnych specjalnych przeznaczeń. Ot, po prostu — dwoje ludzi poznało się, pokochało, mają dzieci.

I nagle poznałem całą niedorzeczność, całą oczywistość tego. Zrozumiałem, że tak właśnie jest, tak, a nie inaczej, że inaczej wprost być nie może. A zarazem zrozumiałem całą prerażliwość mego położenia.

Ot, w bezmiarach czasu i przestrzeni mam tylko dwie jasne główki. Tylko.

My z żoną patrzyliśmy na siebie już tylko z tego punktu widzenia: dla nich żyjemy. A gdyby one znikły — myślałem — i nie śmiałem kończyć myśli. Wydawało mi się to zbyt potworne.

A jednak przyszło. Przyszło, jak każdy inny fakt.

Pochowałem i dzieci, i żonę: jestem sam. Nic nie mam, na nic nie czekam. Kiedy tu siedzę w oknie, doznaję tego samego wrażenia, jak kiedyś nad brzegiem morza. Tu faluje światło, tylko bez szumu. Nieustannie. I cóż ja jestem? Biedny, nagi, stary człowiek.

I to tyle razy było.

Czy wy, gwiazdy, także myślicie, że nadejdzie taka godzina, kiedy was strząśnie tak, jak strząsa listowie zeschnię las — to, co jest poza wami, ponad wami?

Czy wy myślicie, że wyrzucą was te fale jak żdźbła piasku?

Spadamy wszyscy w coś, co nas nie zna.

Najlepiej mi jest tu, w małym pokoiku.

Kładą mi pod głowę małe swe rączyny,

Patrzą w moje oczy jasnymi oczkami.

Mrugają oczęta,

Usteczka się śmieją,

Tatuniu, tatuniu,

Starość, Samotność, Morze

Rozstań się z nadzieją.

— Czy mógłbym się wam na co przydać? — zapytał po chwili. — Rozumie pan, może jeszcze mógłbym coś zrobić, mam sześćdziesiąt lat. Jeszcze kilka lat mógłbym popracować. Doczekałem się, że mnie dziś trumienki dzieci do snu kołyszają: czy przyda się wam na co stary, nieszczęśliwy człowiek?

Mówiłem mu tak, jak czułem. Nie byłem w stanie odpowiedzieć mu ogólnikami w rodzaju: wszystkie siły należą do sprawy. Sprawa! Każda sprawa musi być sprawą tego właśnie człowieka, który ją czyni. Nie dość jest rozpiąć ponad głowę człowieka chłodne i jasne sklepienie obowiązku. Trzeba, aby na sklepieniu weszło słońce, roztopiające lodową powłokę.

W tym czasie ja sam zanadto zbliżony byłem uczuciami swymi do tego stanu, w jakim był Kuźniecowa.

I ja, i on patrzyliśmy w gwiazdy i w milczenie wszechświata jak w olbrzymi grób. Byliśmy jakby pozostawieni przez odpływ fal życia. Piaszczysty brzeg, obce przestrzenie, gdzie sam płynie czas i jest życie. Jest. Świeci w górze, spada snopami światła i milczenia, ale serce nie wie o tym, nie widzi, nie czuje, kamienieje.

— Chce pan umrzeć? — pytałem. — Może stać się udziałem pańskim życie długie, chłodne, samotne, oddarte od wszelkich pamiątek.

— Pójdę mówić młodym, aby nie cenili życia, aby nie strzegli go. Ono nie da się zatrzymać i upływa. Posiada się jedynie życie stracone, w życie zaklęty raz na zawsze kształt.

W tym czasie rzadko zdobywaliśmy nowych przyjaciół i symboliczny wydaje mi się dzisiaj obraz tego starca, zajmującego miejsce wśród młodych na wyłomie. Ja sam czułem się nie mniej niż on stary.

W tym czasie oni zginęli.

Wczesnym rankiem powieszono ich. Nie chciałem widzieć ich śmierci, zresztą plac był pełen szpiegów.

Siedzieliśmy w wieczór tego dnia, nie zapalając światła, wpatrzeni w wielkie okno, w siny przestwór nad nami. Kuźniecowa siedział obok mnie.

— Milczy noc — rzekł. — Czy pan o tym myślał, że tę nieskończoność nad nami wyzłobiła jednak myśl ludzka? Grecy nie widzieli jej. Nie widział jej człowiek średnio-wieczny. Kopernik, Galileusz, Bruno<sup>687</sup>, Newton, Kant, Laplace<sup>688</sup> rozpostarli, rozwarli tę dławiącą nas otchłań, stworzyli oni ocean, w którym gwiazdy są jakby ziarnka piasku.

Teraz właśnie myślę o tym, jak nie ginie nic z człowieka i jak nie można zerwać więzów łączących nas z wielką zbiorowością duszy. Ona to, dusza pokoleń zmarłych, otacza nas.

Ocean nieskończoności. To przecież tylko myśl pokoleń, która jest widzialna poza nami. Nie ginie więc gnąca się dusza. Każda myśl, każde drgnienie duszy pozostaje, pozostaje w zbiorowości życia. Otacza następne pokolenia jak powietrze, niebo, ocean.

Nie jesteś mi obca, o nocy. Człowiek, brat mój, w niedoli i męstwie stworzył bezmiar. On krok za krokiem rozszerzał twoje królestwo, rozpościerał milczący przestwór nad głowami. Oto jest niezaprzeczalne duchów obcowanie.

Na srebrnym niebie rysował mi się przed oczyma czarny szkielet szubienicy.

— Ten tylko pozostał pomiędzy mną i wami łącznik: milczący przestwór dusz zmarłych nad duszami, co się jeszcze w noc nie wzniosło...

Spojrzałem w oczy Kuźniecowski.

— Zimno — powiedziałem. — Ja już także mam wszystkich moich w głębi tych przestworów, z których wyiskrzy się kiedyś nowe niebo, nowa ziemia ludzkości.

Niebo, Otchłań, Rozum

<sup>687</sup> Bruno, Giordano (1548–1600) — wł. filozof przyrody, panteista, humanista; wspierał heliocentryczne poglądy Kopernika o ruchomości Ziemi, które poszerzył, uważając, że gwiazdy są odległymi słońcami, a Słońce, tak jak inne gwiazdy, porusza się w nieskończonym i wiecznym Wszechświecie; głosił pogląd o wielości zamieszkałych światów (systemów planetarnych wokół gwiazd); w 1592 uwięziony przez inkwizycję za poglądy dotyczące budowy świata i kwestionowanie dogmatów katolickich; 17 lutego 1600 spalony na stosie na Campo de' Fiori, głównym rynku Rzymu; prochy Bruna wrzucono do Tybru, a wszystkie jego dzieła zostały wpisane na indeks ksiąg zakazanych (1603). [przypis edytorski]

<sup>688</sup> Kant, Immanuel (1724–1804) i astronom Pierre'a Simona Laplace'a (1749–1827), dowodzącej samoistnego (tj. nie przez akt stwórczy Boga) powstania Układu Słonecznego z wirującej mgławicy. [przypis edytorski]



## XXI. NA TORFOWISKU

Zła gorączka trawiła dusze.

Przechodziliśmy teraz jedni koło drugich, kryjąc przed sobą wzajemnie jadowite rany.

Każdy czuł, że na dzień duszy jest już śmiertelnie rażony, ale nikt nie chciał łamać szeregu idącego do boju.

Szliśmy naprzód — nawet z piosenką na ustach, ale mieszkaliśmy na dnie, w którym dusze więzną, wola się rozprężyć i serce przeciw sercu się rozjątrza.

Jak znużony śmiertelnie zwierz szukał każdy kryjówki. I tylko jakiś ostateczny wypadek zwiastował innym, jak ciężka była walka.

Coraz częściej przychodzić zaczęły wieści o samobójstwach.

Zabiła się Bardina, której odwagę i siłę woli podziwiali całe społeczeństwo podczas „procesu pięćdziesięciu”<sup>689</sup>. Listy Tichonrawowa nacechowane były jakimś głębokim zniechęceniem i smutkiem. Było to tym poważniejsze, że widać w nich było chęć ukrycia przed samym sobą prawdziwego stanu duszy, wmówienia w siebie wiary i zapału. Czuć było jakby bezustanną głuchą urazę do wszystkich, że mu tej wiary nie dają, że są chłodni.

Wieczorem któregoś dnia przyszła do mnie Wiera Kochanowicz. Była smutna i jakby śmiertelnie znużona.

— Co ci, Wołczok? — pytałem raz po raz, mimo woli czując jakąś obawę, żeby nie poszła w ślad Bardinej, której była wielką przyjaciółką.

— Nic — odpowiedziała.

A dopiero wychodząc, rzekła:

— Mieszkam teraz razem z Tichonowem, wiesz.

Zadrzałem. Było to rozwiązanie dramatu. Rozwiązanie dla Wiery straszliwe; myliłem się jednak. Był to dopiero początek.

Staliśmy w przedpokoju.

Było prawie całkiem ciemno. Wziąłem ją za rękę.

— Dlaczegoś to uczyniła, Wołczok?

— On się zanadto męczył — powiedziała.

— Ale ty?

Machnęła ręką:

— Cóż, nie wszystko jedno?

— Wołczok, biedny Wołczok, jak mogłaś to uczynić?

Tichonow był robotnikiem, samoukiem. Od paru już lat męczył swą miłością Wierę. Jak prawie zawsze w takich wypadkach sprawa komplikowała się i przybierała przykry, jadowity charakter wskutek tego, że do miłości przyłączała się chora ambicja.

Tichonow nie mógł się oprzeć myśli, że tu jest w grze nie tylko obojętność kobiety, lecz może przede wszystkim pogarda, wstręt fizyczny inteligentki dla niego — chłopca.

I tego nie można mu było wytłumaczyć.

Sam on nie przyznawał się otwarcie do tych myśli, lecz czuć można było ich gorycz w jego wyrzutach i skargach.

Trwało to dwa lata.

Teraz Wiera położyła kres jego męczarni kosztem swej osoby.

Zdawało mi się, że nie błędziłem w tym przypuszczeniu, że i tu widzieć należało symptomat ogólnego zmęczenia.

— Czy warto, aby cierpiał człowiek przeze mnie? Cóż jestem ja? Cóż jest życie? Czy warto jest cokolwiek takiej męki? Czy nie wszystko jedno, co się stanie?

Było naturalnie i co innego.

Wiera litowała się nad Tichonowem. Lubiała go ona dawniej bardzo. Dawniej, to jest przedtem, nim wybuchła w nim ta nieszczęśliwa miłość. Szanowała w nim zapał i wo-

<sup>689</sup> *proces pięćdziesięciu* (21 II–14 III 1877) — publiczny proces uczestników Wszechrosyjskiej Rewolucyjno-socjalnej Organizacji, odbywający się w Petersburgu przed specjalną komisją senacką; pierwszy proces polityczny w Rosji, w którym sądzono robotników (14 osób) i kobiety (16); większość oskarżonych była w wieku 18–23 lata; 10 osób skazano na katorgę, 26 na zesłanie na Syberię, 10 na więzienie i pracę przymusową. [przypis edytorski]

łę, dzięki którym wyrobił on sobie kosztem strasznej pracy nowoczesny światopogląd myślowy.

Były w nim oczywiście luki. Pojęcia odznaczały się surową prostotą. Sądy były twarde, prostolinijne. Ostateczne jak uderzenie obuchem. Nie było zrozumienia dlatego wszystkich potężnych i racjonalnych sił życia, które nie pozwoliły Wierze pomimo wszelkich wysiłków rozumu i woli go pokochać.

Nie omyłę się, jeżeli powiem, że po części sama Wiera patrzyła w ten sposób na sprawę, ona sama potępiała siebie za ten epikureizm i arystokratyzm duchowy.

Wmawiała w siebie, że tylko bezwiedne, ale mocno tkwiące w nerwach i naturze przesady przeszkadzają jej być bezstronną i ocenić wartość Tichonowa.

— Gdyby on był tym samym, czym jest, a tylko miał nieco inne formy zachowania się — mówiła ona — gdyby nie wyniósł z życia tej szorstkości w głosie, w tonie, tej nieumiejętności zachowania spokoju i równowagi w dyskusji, tej niepewności siebie, która każe mu być wyzywającym i bezpośrednio potem wpadać w pokorę — być może pokochałabym go. Czy on jest winien, że praca, praca ciężka, pod grozą pięści ojca, majstra dokonywana, wyrobiła w nim tę rażącą mnie postawę, że głowa jego wyrasta jakby prosto z ramion i jest osadzona tak sztywnie, jak gdyby stanowiła jedną całość z resztą kadłuba? Dlaczego, gdy widzę w nim ten drobny rys budowy, ciśnie mi się do myśli wyraz „chamstwo”? Dlaczego odrażający jest dla mnie kształt jego paznokci, kolor brody, sposób stawiania nóg? Czy wszystko to nie jest dowodem, że kieruję się w stosunku do niego uprzedzeniem, że nie jestem względem niego uczciwa i szczerą? Gdyby on nie miał tych cech, które są skutkiem jego pochodzenia i stosunków rodzinnych, skutkiem krzywdy, pod brzemieniem której wyrósł on — pokochałabym go i nie męczyłby się on, nie przechodziłby tych udęczeń, które zgięły jeszcze bardziej jego zgarbioną postać, odjęły resztę blasku jego oczom. On czuje się mniej człowiekiem przez to i wskutek tego, że ja jestem nazbyt panienką, że we mnie żyje dotąd lalczka salonowa. Jestem winna, że Tichonow stracił pewność siebie, czuje się wewnątrz pomniejszony, zachwiany w swej godności ludzkiej.

Zresztą miłość? Wiera była naturą zbyt głęboką i czystą. Byłem przekonany, że jej surowa i mężna dusza zachowała niewinność dziecka pod każdym względem.

Miałem wyjechać za granicę.

Rząd rosyjski zwrócił się do jednego z naszych uwięzionych towarzyszy z propozycją układów, z zapytaniem, na jakich warunkach Narodna Wola zgodziłaby się zawiesić swą działalność. W Paryżu delegat rządowy miał się spotkać z naszymi przedstawieniami. Towarzysze miejscowi chcieli, abym był obecny przy tym spotkaniu

Przed wyjazdem byłem w mieszkaniu Tichonowa i Wiery.

Gdym przyszedł, była ona sama.

W ciągu kilku dni postarzała się i wychudła, jakby zgarbiła się i zmalęła. Wydawała mi się chorym, pokrzywdzonym dzieckiem.

Myślałem, że gdyby Ola żyła, nie dopuściłaby nigdy do tego, co się stało.

— Jedź ze mną, Wolczok — proponowałem.

Po jej twarzy przebiegł jakiś uśmiech, skinęła smutnie głową:

— Tu zostanę.

I zmieniła szybko kierunek rozmowy.

Mówiła, jak w kołach robotniczych przed straceniem Perowskiej, Żelabowa i innych istniał projekt zbrojnego odbicia ich.

— Wasyli do ostatka spierał się ze mną, że to byłoby możliwe lub pożyteczne.

Wasyli — był to Tichonow.

Wszedł on w tej właśnie chwili.

Nigdy nie wydał on mi się tak strasznie mizerny i nieszczęśliwy, jak teraz.

— Przyszliście, Miszuk — rzekł — to dobrze... dziękuję...

— Dlaczego nie miałbym przyjść? Nie gniewacie się przecież na mnie. Bywałem przecież u was.

Tichonow spojrzął na Wierę i uśmiechnął się tak boleśnie, że mi serce przeszło żal i litość nad nim.

Podszedłem do niego, objąłem go i rzekłem:

— No... wszystkiego dobrego wam. Wasyli... wszystkiego dobrego.

Robotnik

— Jej życzie — rzekł głucho.

— Myśmy już sobie życzyli — powiedziała Wiera.

Rozmawialiśmy o sprawcach, o układach.

— Złękli się, psy — rzekł Tichonow. — Warunki? Żadnych warunków, Miszuc. Wy tam twardo stańcie. Za nas stójcie mocno... My nie chcemy żadnych warunków. Nam się nie śpieszy. Póki nie szczeną oni wszyscy, nie ma o czym mówić.

— Za niego i za nią — mówił o Żelabowie i Perowskiej — im śmierć. Oni nie mogą tak zginąć bez zemsty. Gdyby tak nie Wiera, nie wy wszyscy, poszłoby nas ze sto chłopów z siekierami. Niechby oni swoimi jasnymi oczami patrzyli z pomostu. Taras nasz i Sonia, orły nasze, jak my za nich giniemy.

A tak co?

Przywieźli ich na czarnym wozie.

Ludzie stali niemi. Strach pozaciskał gardziele. Ja czapkę zdjąłem, kłaniałem się ich drogim głowom. I co? Tacy ludzie ginęli i było cicho jakby nic. Psi naród, co to znosi. Rozradowałoby się Tarasowe serce, jakby widział, że my koło niego wałem legli.

Warunki, Miszuc. Powiedz im nasze warunki: oni wszyscy precz, precz z Rosji.

Powiedziałem mu, o co chodzi. Uda się może Czernyszewskiego wydostać z ich rąk.

— To my go przecież swoimi pazurami spod śniegu, z mogiły wykopiemy. Jedź, Miszuc, niech on wraca, niech podyszy powietrzem naszym, miłością naszą serdeczną.

Rozstawałem się z nimi z ciężkim sercem. Wiera długo, długo ścisłała mnie, gdy wychodził. Tichonow szedł za mną.

— Pora żegnać się — powiedziałem — razem niebezpiecznie iść dłużej.

— Należy mi się w twarz plunąć, Miszuc — powiedział Tichonow — zgubiłem ją. I nie ma na to innej rady. Prosiłem ją wczoraj: „Idź, Wiera. Dusza twoja mnie nie znosi”. Nie. Siedzi. Płacze. Siebie zgubiła... Zgubiłem ją ja — podły człowiek. W twarz mi napluj...

— Daj spokój, Wasyli — powiedziałem. — Nikt nie winien. Sam odejdziesz, jeżeli tak czujesz.

— Serce płacze — rzekł pośepnie Tichonow. — Serce z nią rozstać się nie może.

W Paryżu dostałem w dwa dni po przybyciu list Kuźniecowa. Wiera i Tichonow odebrali sobie życie nad ranem tej samej nocy, której rozstałem się z nimi.

Tichonow poczerwiał, usłyszawszy o tym. Jego trudno mi było poznać. Trawiła go wewnętrzna jakaś męka, przez krótki czas naszego rozstania postarzał się o dziesiątek lat chyba.

Podczas naszych spotkań z dygnitarzami reprezentującymi rząd imponował mi on swoim dyplomatycznym, ultraangielskim spokojem. Żadne mocarstwo nie mogło mieć bardziej dystyngowanego ambasadora.

We mnie hrabia S. wywoływał uczucie głębokiej odrazy. Piękna i wytworna jego postać mówiła o tym wyszukany szacunku, jakim otaczał on i z jakim pielęgnował swoją własną osobę. Ręka, paznokieć, broda, kolor skóry, wszystko to mówiło o nieustannym, drobiazgowym, pieczołowitym kulcie własnego ciała i zdrowia. Każde zdanie przez niego wypowiedziane było zaokrąglone, wyczelowane, wyszlifowane jak długie paznokcie jego rąk. Pachniał on wewnętrznie i zewnętrznie. Duszę musiał on przekładać saszetami<sup>690</sup>, jak bieliznę, od czasu do czasu wyjmował on złotą tabakierkę i żuł jakieś pastylki — dla dezynfekcji — jak mówił.

Nas traktował on z uprzedzającą grzecznością.

— Przed wszystkim jesteśmy dżentelmenami — mówił.

Było coś fantastycznego w tym spokoju, z jakim ten dworski dygnitarz omawiał z nami warunki bezpieczeństwa osobistego cara Aleksandra III.

Od razu było umówione, że Czernyszewski będzie przewieziony do europejskiej Rosji, że mu wolno będzie zamieszkać w rodzinnym mieście Saratowie.

— Za co skazany został Czernyszewski? — pytałem po skończonej rozmowie któregoś dnia.

<sup>690</sup>saszetka (z fr.) — torebka lub poduszczonekka napełniona wonnymi substancjami, wkładana dawniej między bieliznę dla nadania jej zapachu. [przypis edytorski]

— Trzeba było uspokoić szlachtę — powiedział hrabia S. i połknął dezynfekującą pastylkę. — Znałem — powiedział — jego pisma. Był to człowiek zadziwiająco inteligentny. I dystyngowany — dokończył. — Dystyngowany po swojemu, oczywiście. To już nie to, co Hercen, Bakunin. Jaka szkoda, że on nie wyjechał za granicę...

— Pan był członkiem senatu w tym czasie? — zapytałem.

— Tak... tak jest. Cesarz sobie absolutnie życzył, aby był tak skazany. Policja uprzedziła do niego cesarza. Chodziło o ofiarę dla uspokojenia szlachty. Pan wie. I zresztą on miał duży wpływ. Czernyszewski był prawie jedną z instytucji w tym czasie. To było właściwie trudne do zniesienia.

— Czy pan hrabia wie, w jakich warunkach żył Czernyszewski na Syberii? Ja widziałem tę śnieżną pustynię, wśród której stoi ogrodzony wysoką palisadą dom.

— *Mais comment donc*<sup>691</sup> — rzekł hrabia S. — Siedem lat się skończyło, on ma prawo mieszkać nawet w mieście. Musi sam życzyć sobie samotności.

— Doprawdy? — zapytałem.

— Ależ tak, przypominam sobie — rzekł hrabia S. — Tak. Była o tym mowa, specjalnie proszono o to cesarza, by dla niego stworzyć coś odrębnego, *position à part*<sup>692</sup>. Pamiętam, Potapow czytał cesarzowi wyjątki. *Vraiment, messieurs, c'était épouvantable*<sup>693</sup>. On wzywał otwarcie do rewolucji...

— Więc to się nazywa *position a part*. Czy to jest przewidziane przez prawo?

— *Que voulez-vous — c'est la Russie*<sup>694</sup> — rzekł hrabia S. — *Nous sommes bien arrières*<sup>695</sup> — powiem panom pomiędzy nami. Gdybyście panowie byli rozsądni w swych żądaniach. Nie rzeczy niemożliwe, całkiem niemożliwe, przewrót stosunków ekonomicznych to jest wbrew wszelkim zasadom zdrowej nauki państwowej. Ale rozsądne żądania. Na przykład pewien rodzaj konstytucji — liberalne ministerium. To kto wie. W każdym razie na dworze mielibyście panowie moralne poparcie w decydującej chwili. Tam są straszliwie zacofani. Trzeba ich zmusić, aby myśleli. *Ouoi donc. Il faut marcher avec son pays*<sup>696</sup>.

— Pan podpisywał wyrok na Żelabowa — powiedziałem.

— *Naturellement, monsieur*<sup>697</sup> — rzekł. — On był przestępca. Ja pojmuję, że przestępstwo polityczne stanowi, że tak powiem, moment konieczny w naszej konstytucji, ale pomimo to musi on mieć swoją przeciwwagę. To jest zrównoważenie się prądów. *Il faut qu'ils se contrebalancent*<sup>698</sup>. A osobiście ja z całą admiracją<sup>699</sup> oczywiście. I kiedyś za lat sto, dlaczego nie, pomniki można będzie im postawić. Jak powiada Hegel: „Kto rozszerza prawdę swego czasu, płaci życiem za prawo służenia swej ojczyźnie. Kto tworzy nowe prawo, gwałci stare i płaci za to głową”.

Pertraktacje skończyły się na niczym. Zdrada Degajewa<sup>700</sup> dodała odwagi rządowi. Nawet co do umówionego już punktu oszukano nas. Czernyszewskiemu pozwolono zamieszkać nie w Saratowie, lecz w Astrachaniu. Byłem szczęśliwy jednak i z tego. Myśl, że on nie umiera w tej straszliwej pustyni, była może jedynym źródłem zadowolenia w tym mrocznym okresie, w czasie gdy otaczał nas pejzaż jak gdyby zapomniany przez słońce, zwęglony i bezpłodny, gdy grunt zapadał się pod nogami.

Tichonrawow był całkiem zmiażdżony tymi ciosami, które spadały nieustannie. Wiadomość o aresztowaniu Wiery F., poczucie zdrady otaczającej nas z bliska: to wszystko

<sup>691</sup>*Mais comment donc* (fr.) — ależ skądże. [przypis edytorski]

<sup>692</sup>*position à part* (fr.) — osobna pozycja. [przypis edytorski]

<sup>693</sup>*Vraiment, messieurs, c'était épouvantable* (fr.) — doprawdy, panowie, to było straszne. [przypis edytorski]

<sup>694</sup>*Que voulez-vous, c'est la Russie* (fr.) — Cóż panowie chcecie, to Rosja. [przypis edytorski]

<sup>695</sup>*Nous sommes bien arrières* (fr.) — Jesteśmy mocno zacofani. [przypis edytorski]

<sup>696</sup>*Ouoi donc. Il faut marcher avec son pays* (fr.) — No cóż. Trzeba iść z narodem. [przypis edytorski]

<sup>697</sup>*Naturellement, monsieur* (fr.) — Oczywiście, proszę pana. [przypis edytorski]

<sup>698</sup>*Il faut qu'ils se contrebalancent* (fr.) — muszą się zrównoważyć. [przypis edytorski]

<sup>699</sup>*admiracja* — podziw, uwielbienie. [przypis edytorski]

<sup>700</sup>Diegajew, Siergiej Pietrowicz (1854–1920) — działacz Narodnej Woli, agent Ochrony; aresztowany w 1822, podjął współpracę z pułkownikiem Sudiejkinem i po zaaranżowanej fikcyjnej ucieczce z więzienia wydał Ochronie ok. 200 członków Narodnej Woli; w maju 1883 w uzgodnieniu z Sudiejkinem udał się za granicę, by inwigilować emigracyjnych rewolucjonistów; tam nawiązał kontakt z Lwem Tichomirowem i przyznał się do zdrady; obiecano mu darowanie życia pod warunkiem zabicia Sudiejkina; po dokonaniu udanego zamachu Diegajew wyjechał do USA, gdzie zmienił imię i nazwisko; jako Alexander Pell został profesorem matematyki na Uniwersytecie Stanowym Dakoty Południowej. [przypis edytorski]

działało na jego myśli i duszę powoli, lecz nieustannie, jak trawiąca organizm trucizna. Czynił on wrażenie człowieka, siłą woli utrzymującego samego siebie na zajmowanym posterunku.

Wieczorem ostatniego dnia chodziliśmy razem po bulwarach paryskich, weszliśmy do jakiejś kawiarni.

Tichonrawow był milczący cały czas; ja wspominałem głośno tych wszystkich, z którymi rozstaliśmy się na wieki. Tichonrawow rzekł wreszcie:

— Czy my nie płyniemy przeciw prądowi?

— Oczywiście — powiedziałem.

— Nie o tym mówię, nie o chwilowych trudnościach; myślę, czy nie płyniemy przeciw jakiemuś prądowi bardziej zasadniczemu, głębszemu?

— Nie rozumiem — odpowiedziałem.

— Czy nie zastanawiałeś się nad tym — mówił z wolna — jaka tu otwiera się przepaść? Na czym my się opieramy? Na myśli. Dobrze — co to jest myśl? Powiadamy: wytwór organizmu reagującego na działanie otoczenia i tak dalej. Dobrze. Ale czym jest to wszystko? Skąd ja wiem o tym wszystkim? Z myśli? Ciągłe błędne koło...

— Jakiż związek? — zapytałem.

— My — mówił Tichonrawow — chcemy rządzić światem, tak jak gdyby cała słuszność była w rozumie, myśli, a świat był tylko materią, czymś martwym. A jeżeli on ma swój własny rozum, jeżeli my jesteśmy tylko jego cząstkami, tego większego rozumu, zbuntowanymi przeciwko niemu?

— Coś podobnego mówił przy mnie Pobiedonoscew.

Tichonrawow uśmiechnął się.

— Coraz głębiej jestem przekonany — rzekł — że rozum indywidualny nie ogarnia prawdy, jest z nią niewspółmierny i opierając się na swojej własnej logice, na własnym przekonaniu, przesłania sobie oczy tylko.

A zresztą to może nie mieć w ogóle żadnego sensu — rzekł w końcu. — Kto nam powiedział, że życie ma jakiś sens, że jest w nim jakaś logika? Lub że ono jest rozumne. To wszystko złudzenie nasze.

Czy ty nie doznajesz wrażenia, że właściwie jest tak, jak jest napisane w starym, dzieciennym katechizmie, że tam jest Bóg?

— Nie — wzruszyłem ramionami — to mi się już nigdy nie wydaje.

— A zastanów się, że jest to także logiczne. Na przykład nic logiczniejszego niż nauka o grzechu pierworodnym. Co to jest grzech pierworodny? Indywidualność nasza. Gdy idziemy za jej popędem, wpadamy w błąd. Tak. Bo poza nami jest to wszystko, czym my nie jesteśmy. Rozumiesz? Wszystko. Więc musimy siebie w sobie zabić, aby stać się tym, co jest poza nami. I w Rosji, czy Rosja nie jest tym, czym musi być? Zaczynij wszystko od początku i znów wszystko powstanie takie samo. Każdy idzie tylko za głosem swojego ja. I chce nedorzeczności. Nedorzeczność wzajemnie się paraliżuje. Dusze muszą odrodzić się i wychować — czy ty nie rozumiesz, że tak jest, że w tym wszystkim jest i była straszliwa pomyłka?

Było mi go żal, powiedziałem więc tylko:

— To wszystko nadaje się do dłuższych badań naukowych.

— W jakich warunkach człowiek ma prawo sądzić świat? — pytał Tichonrawow. — Nie zastanawialiśmy się nad tym. Wierzmy, że my mamy rację, a poza nami jest błąd. Człowiek ma rację, kiedy poza nim nie ma już błędu.

Nie widziałem go już od tego czasu.

Wracałem do Rosji tak, jakbym odwoził czyjeś zwłoki.

Powiedziałem to Kirsanowowi, z którym spotkałem się w Szwajcarii. W tym czasie wydał mi się on bardzo silnym i bardzo głębokim człowiekiem. Nie zgadzałem się z nim w wielu zasadniczych kwestiach, ale to musiałem przyznać, że posiadał on w sobie, w myśli swojej wielką i wytrwałą siłę.

Być może łatwiej mi to ocenić było teraz, dlatego że był on cichy i pełen żalu po tych, co zginęli. Szczerze i głęboko nosił żalobę po tych, których za życia zwalczał.

Mówiłem mu o Tichonrawowie.

— To zrozumiałe — powiedział on. — On całkiem trafnie postawił kwestię. Trzeba nie odrzucać świat w imię ideału, lecz zrozumieć go. Tylko błędzi ten, kto przyznaje

Kondycja ludzka, Obraz  
świata

słuszność odrzuconemu światu. Nie można ani świata zabijać dla siebie i w imię swojego ja, w imię swojego choćby największego przekonania, ani też siebie zabijać dla świata. To on i tak uczyni, kiedy nas zakopią w ziemi. Idzie o to, aby myśl nasza wrosła w świat, w samo wnętrze życia, aby pracowała w głębi.

Studiował on w tym czasie Hegla, leczyl się nim, jak mówił.

— Jestem zdania — mówił — że każdy sumienny rewolucjonista powinien przestudiować przynajmniej *Filozofię prawa* Hegla. Gdy zgryzie on tę twardą książkę, przemocuje się z nią, wyjdzie on z tej walki jak rycerz skąpany w tej styksowej wodzie<sup>701</sup>, nietykalny i niezwyknięty.

Mnie teraz nazywają oportunistą<sup>702</sup>, zapewniam cię, krwawy to oportunizm nigdy nie iść za natchnieniem popędu, wmówienia, kaprysu, wiedzieć, że się nie przekroczy rzeczywistości własnej. Czy myślisz, łatwo jest myśleć, pracować, żyć w cieniu ich szubienic, w przeświadczeniu, że oni tam dziesiątkami giną po kazamatach Petropawłowskiej Fortecy, a trzeba, trzeba.

— Pamiętasz testament Sołowjewa? — zapytałem.

Skinął głową...

— Ciężko jest wykonywać testamety. Życie nie wraca, nie słucha naszej woli: ono dzisiaj nieustannie tworzy nowe formy, pracuje zawsze w kierunku własnym, nieustannie pracuje dla samego siebie.

W dwa dni potem jechałem dorożką po ulicy Petersburga. Nagle wskoczył ktoś do niej, schwycił mnie za rękę — był to szpieg Vogel. Siedział on, ciężko dysząc, nie było nigdzie policjanta. Mogłem go z łatwością strącić na bruk. Patrzył on na mnie błagalnymi oczami.

— Niech pan pozwoli, żebym ja pana złapał. Pana i tak wezmą, ale niech to ja — mnie chcą ze służby wypędzić. Ja mam astmę, dzieci mają skrofuly<sup>703</sup>. Niech pan pozwoli, żebym ja... Dzieci modlić się będą.

I podniósł moją rękę do ust.

— Zostaw! — krzyknąłem. — Bierz mnie i milcz.

Na rogu następnej ulicy stał policjant. Vogel dał mu znak. Wszystko było skończone.

## XXII. IN HAC TUMBA<sup>704</sup>

Gdy już po wszystkim, po wstrętnej komedii sądowej, po długich dniach niedorzecznego oczekiwania, po podróży w ciemnej kajucie statku wyniesiono mnie wreszcie na brzeg i wprowadzono do twierdzy, gdy zostawiono mnie samego w celi — coś na dzień duszy zapadło jak wieko — jak wieko, które czekało na tę chwilę, gdy zatrzśnie je wreszcie ktoś na zawsze.

Nareszcie.

Więzienie Szlisselburskie. Wymawiamy z całym spokojem ten wyraz: „więzienie”. Nie rozumiemy znaczenia, które tkwi w tym: na powierzchni życia pozostaną twoje czyny. To, czymś był, jest już tam. Tu zostaniesz sam, na wieki sam z niezmienną, wieczną tą samą, nagą pamięcią. Nagie ściany celi nie dadzą ci zapomnieć. Ty musisz być sam na sam z tym, czym byłeś, z pamięcią, której nic nie odświeży. Musisz patrzeć godzinę za godziną, dzień za dniem i nieustannie, jak kamienieje, wapnieje, rozpada się wszystko, czym byłeś.

Człowiek, który tego nie doświadczał, nie wie, co to znaczy wspominać, wspominać nieustannie.

<sup>701</sup> *jak rycerz skąpany w tej styksowej wodzie* — skąpanie się w wodzie Styksu, jednej z rzek Hadesu, świata umarłych, czyniło ciało ludzkie odpornym na wszelką broń; w ten sposób został zabezpieczony przez swą matkę Achilles: zanurzając go w Styksie, trzymała dziecko za piętę, która stała się jedynym miejscem na ciele Achillesa podatnym na zranienie. [przypis edytorski]

<sup>702</sup> *oportunista* — człowiek bez stałych zasad, dostosowujący się do okoliczności dla doraźnych, osobistych korzyści. [przypis edytorski]

<sup>703</sup> *skrofuly* (daw.) — skrofuloza, gruźlica węzłów chłonnych szyi; choroba objawiająca się obrzękiem i ropieniem węzłów chłonnych występujących na szyi, uaktywniająca się u osób żyjących w złych warunkach higienicznych; obecnie rzadko spotykana. [przypis edytorski]

<sup>704</sup> *In hac tumba* (łac.) — w tym grobie. [przypis edytorski]

Szpieg

Więzienie

Myśl rzuca się zrazu na bogactwo faktów, uczuć, wzruszeń przeminionych, wydaje jej się, że każdy pojedynczy fakt, każdy rys jest skarbem niewyczerpanym. Wszystko fosforyzuje, mieni się.

I z wolna, z wolna ginie to bogactwo, zastyga wszystko, co przed chwilą jeszcze płynęło przed naszym okiem, mieniając się i drżąc, wibrując. Nic nie można wydobyć ze wspomnień. Stają się one kupą obmierzłych kamieni, stają się jak żółty, wysoki płot, stojący tuż przed samym oknem. Widzi się je, widać w duszę, w myśl, natrętnie zazierają w oczy — nie można się od nich uwolnić.

— To nie więzienie, lecz grób — powiedział jakiś dygnitarz, który zwiedzał Szlisselburg w dwa dni po moim przybyciu.

Zamienić życie człowieka w bezbarwne upływanie chwil, w nieustanne, niepowstrzymane przeciekanie czasu. Na niczym nie można zatrzymać myśli. Dnie i godziny upływają bez wrażeń. Nocami przychodzą sny. To jest najstraszniejsze — sny więzienne w pierwszym szczególnie okresie.

Myśl długo, długo nie może się uspokoić i zamarzeć — jest ciągle czujna, obecna, chociaż niczym niezatrudniona, jest jak stęchły zapach, którego niepodobna rozproszyć. Wreszcie zapada się w sen.

Śni się sen.

Sen

Z Olą jedziemy przez topolowiecki las, młode brzoźki stoją, białe, uśmiechnięte, niebo błękitne pieszczotliwie obejmuje wszystko. Jedziemy niezmiernie szybko. Przejechaliśmy zakręt koło starego cmentarza. Na rogu stoi figura w cynamonowym płaszczu. Zmieniła się od tego czasu nie do poznania. Przyglądam się, wreszcie widzę. Przecież to stryj Florian został świętym przydrożnym, nie dziwi mnie to nic. Jedziemy, jedziemy ciągle dalej. Minęliśmy już wieś. Tu powinien być dwór, nie ma dworu. Jestem niespokojny, gdzie się podział — nasz wielki, biały dom? I naraz widzę, że przecież ja już jestem w amarantowym pokoju. Stary Tychon chodzi na palcach.

— Paniczku, nie można — mówi, pokazując na drzwi. — Pan Celestyn z panem Augustynem w karty grają.

Tychon stoi u drzwi — słyhać tasowanie kart.

— Głupstwo — mówię — stary, umarli po świecie nie chodzą.

— Zwykli umarli tylko — mówi Tychon. — Nasz pan też nie chciał umrzeć, pan dziedzic, pan Oktawian. A jednak zanieśliśmy go na cmentarz.

— Nie chciał? — pytam się i nagle czuję, że włosy mi stają na głowie.

Oto jestem na wiejskim cmentarzu naszym.

Tej mogiły tutaj nie było.

Jest noc, księżycowa jasna noc, słowik śpiewa.

— W taką noc powiesili Osińskiego — za moimi plecami mówi Cyprianow.

Cyprianow nie żyje przecież — przypominam sobie; nie chcę myśleć dłużej.

Widzę tylko mogiłę.

I nagle widzę, że ona drży i kamienie usuwają się, wysuwa się przez szczelinę ręka, chwyta kamienie, ziemię i ciska, ciska. Ręka co chwila chwyta nową garść ziemi i rzuca ją, wali się na nią mogiła.

Czuję, że krzyczę, i budzę się zły potem. Nie poznaję zrazu swojej celi: patrzę około siebie osłupiałym wzrokiem. Serce wali jak młot.

Długa chwila przechodzi, nareszcie rozumiem, że stukanie, które słyszę, pochodzi z sąsiedniej celi.

To stuka Myszkin.

Tu z nim spotkaliśmy się po tylu latach.

Wstaję i podchodzę do ściany.

Myszkin stuka:

— Co ci? Krzyczałeś.

Odpowiadam:

— Koszmar.

Myszkin stuknął krótko:

— Nic, nic, rozumiem.

Koszmar był czy koszmar trwa?

Więzień

Myśl nie chce zrozumieć:

Jak to, ja nie wyjdę nigdy stąd? Nigdy stąd już nie wyjdę: tu będę siedział do ostatka dni moich, w tym murowanym, wybielonym grobie. Sam z pamięcią tego, co nie wraca.

Siadam na posłaniu i mówię:

— Widzisz, staruszkule mój, że i mnie nie lepiej.

Tobie brzozy szumią nad głową.

Tobie pszczoły nad głową śpiewają. Kolyszą się kłosa złociste o miedzę. O miedzę od tego pola, gdzie ty leżysz, niwy się złocą, wiatr ciepły bieży nad grobem. Ty słyszysz, jak kłosa szeleszczą. Szczebiocą rankiem, o świcie, wieczorem, kiedy rosa opada. Głos każdy życia jest inny. O każdej porze dnia inaczej chyli się źdźbło trawy. Tobie chmury nad głową przechodzą, czujesz słońce i wietrzyk, znój i cień.

Tu to samo, wiecznie to samo.

Martwa, chłodna rzeka czasu płynie.

Czekaj, serce, aż czas twój przeminie.

Czekaj, serce, aż staniesz się kamień.

Serce, serce, w nicość się zamień.

W nicość głuchą, jak to życie, które tu przepływa, niosąc chwile puste, głuche i ślepe.

Myśli szydzą, szydzą.

Chodzą po świecie upiory.

Pod oknami myśli zawodzą.

Myśli chodzą na stare cmentarze.

Chodzą tam, gdzie palą się miasta.

Chodzą tam, kędy znały miłość.

Pod ścianę ze świata przychodzą.

Przychodzą tutaj i szydzą.

Ja nigdy nie zobaczę pól, nigdy nie usłyszę, jak brzęczy kosa, kiedy ostrzy ją na łące młody siłacz wioskowy, ociera pot z czoła, pochyla się nad dzbanem.

Nie zobaczę, nigdy nie zobaczę.

Nad polami słońce zachodzi.

Owce beczą, wracając z pól.

Dym wznosi się nad chatami.

I śni mi się znowu sen.

Idę z kosą w ręku przez ścieżynkę polną. Jest wieczór, idę bosi i czuję wilgotną, miękką trawę pod stopami i sprawia mi to rozkosz, idę i nie myślę o niczym.

Przypomnieć sobie tylko usiłuję, skąd wziąłem kosę.

I teraz widzę, że idę nie sam. Idzie koło mnie kobieta w chustce na głowie. Idzie i śpiewa coś.

Słyszę słowa piosenki, które wydają mi się nowe:

Usta moje płoną tak jak maki.

Marzenia błękitne jak len,

Koniec myśli zawsze jednaki —

Śmierć kosą zetnie jak sen.

— To przecież nie ona śpiewa — to jest wiersz Sablina.

— A Sablin gdzie? — pyta kobieta i nie podnosi twarzy.

Nie mogę sobie przypomnieć, gdzie jest Sablin. Nie wiem nawet, kto on jest. Na próżno usiłuję sobie przypomnieć go.

I nagle widzę, idzie naprzeciwko mnie ktoś: idzie i słońce zachodzące świeci mu prosto w twarz. Twarzy tej nie mogę poznać, bo płonie tak w świetle, że jej blask razi oczy.

— To jest Sablin — mówi kobieta.

Ale człowiek przechodzi koło mnie, uśmiecha się i kiwa głową.

— Przecież to jest Wroński — myślę.

A Wroński odwraca głowę i mówi:

— Kuźniecowa odwrócił czas.

— Ja tu czekam na Sablina — odpowiadam — mam mu oddać jego wiersz.

Sen



— Umarli nie potrzebują wierszy — mówi Wroński.  
 Przypominam sobie, że nie chciałem o tym wszystkim myśleć.  
 — Idźcie precz — wołam — ja chcę żyć z naturą, widziałeś przecie, że idę z kosą...  
 I znowu przypominam sobie, że to wszystko już było.  
 Gdzieś widziałem to wszystko.  
 — Głupiś — mówił Michajłow — to myśmy obiecali Oli, że spravimy jej dożynek  
 i że ona będzie królową. Pamiętasz...  
 I w tej chwili budzę się znów.  
 Znowu pali się to samo światło.  
 Ola nie żyje, ja trwam jeszcze na dnie nicości.  
 Myszkin znowu stuka.  
 — Co?  
 — Spać nie mogę. Trzeba skończyć to.  
 — Co? — pytam.  
 — Nasze życie. Oni nie śmią mnie więzić.  
 — Jak to?  
 — Jest przecież wyjście — puka.  
 Odpowiadam:  
 — Sam chcesz?  
 Myszkin krótko zastukał:  
 — Nie.  
 Zamilkł.  
 Po chwili podszedł znów:  
 — Muszę zabić.

Pamiętam, że nie zdziwiłem się ani na chwilę. Dopiero później refleksja przeraziła się, że coś podobnego wydaje mi się naturalne. Nerwami byłem oswojony ze wszystkim. Sama przez się natura nie obawiała się niczego, nie dziwiła się niczemu.

*In hac tumba.*

Teraz splątały mi się wszystkie wspomnienia tego okresu i zlały w jedno monotonne pasmo nudy, w którym nie było nadziei, ani nawet uczuć.

W kamiennym grobie męczyli się ludzie. Z góry spoglądała śmierć — i to wszystko.

Śmierć przepływa cicho nad nami.

Płynie cicha bez szmeru jak czas.

Płyną fale, które nas nie widzą. Fale czasu płyną i szydą. Sama śmierć nie wyzwoli was.

Zostaliśmy już istotnie poza czas wyrzuceni, w jakąś martwą pustkę, gdzie nic się nie dzieje.

Teraz nie mogę znaleźć żadnych słupów granicznych w tym czasie, który przebyłem, i wydaje mi się, że wszystko stało się w jakąś potwornie długą noc zimową, że spałem i budziłem się z koszmaru, znowu zasypiałem i znowu dławiała mnie zмора.

Trudno przecież wyobrazić sobie coś podobnego.

Ludzie nie powinni wymawiać bez drżenia tego wyrazu: „więzienie dożywotnie”. Nie znają jego treści. Mówią o czymś nieznanym sobie. Ci, co pisali prawa, nie wiedzieli, co ten wyraz oznacza, nie przeżywali bowiem samej rzeczy, nie mają prawa używać tego wyrazu.

Czyny nasze żyją na ziemi.

Gdzieś kielkują z naszych ziarn źdźbła. Ruń zielona rosą się mieni.

Słońce przyjdzie.

Kłosami złotymi falować będą pola. Dusza nasza faluje i złoci się. Dusza nasza tam żyje, słoneczna.

Ziarno pierwiej obumrzeć ma.

Ale to nie tu się dzieje — nie tu. Wszystko żywe jest poza nami.

Tu po prostu śmierć czeka, aż zaśnie myśl, aby mogła precz wyrzucić ciało.

Śmierć chodzi po korytarzach.

Chodzi szyldwach<sup>705</sup> w szarym szynelu. Przez okienko szyldwach zagłada.

<sup>705</sup>szyldwach (daw., z niem.) — żołnierz na warcie, strażnik. [przypis edytorski]

Jeszcze żyjesz, jeszcze oddychasz, o czym myślisz, tu już tylko *ja*.

Nikt nie usunie już śmierci-szyldwacha.

I to było przecież czystą prawdą.

Czekano tu wyłącznie na naszą śmierć. Cały ten gmach, wszystkie urzędnicy, ludzie otaczający nas mieli to jedno na celu: czekać, aż pomrzemy.

Później podobno zaprowadzono tu zmiany.

Przeprowadzono mnie któregoś dnia do innej celi. Moją rewidowano tymczasem. Teraz sąsiadowałem z Siewierowem.

Siewierow był pogrążony w wielkiej pracy myślowej. Tu ten umysł, skazany na skamienienie, tworzył wielką teorię filozoficzną: w myśli układał cały traktat o budowie materii, mający za zadanie stworzyć ogólne podstawy teoretyczne, na których dałoby się oprzeć jedność badań i pojęć chemicznych, astronomicznych i fizycznych.

Szczęśliwi są ludzie mający siłę myśli, pozwalającą im w każdej chwili zawsze i wszędzie wymknąć się władzy czasu.

Siewierow siedzący tu pod kluczem w aresztanckiej kurtce — to był pozór tylko, przypadek, coś powierzchownego. Siewierow istotny, rzeczywisty, był w swoim własnym, przez myśl stworzonym świecie.

Boska potęga nauki i myśli.

Odcięli go przecież od świata.

Miał tu zginąć i zgnieć jak niepotrzebna, szkodliwa narośl na ciele ludzkości. Oddzielały go od żywego świata mury więzienne, strażę, zakazy, niedorzeczne w swym okrucieństwie.

A przecież pracował.

Pracował i żył z ludzkością, która nie widziała go. Wszystko, co stworzy jego myśl, co zdoła ująć, da mu poczucie, że jest on w tej prawdzie zbratany z tymi wszystkimi, co ją poznają.

Zabijają myśl, nie dadzą jej wyjść poza ściany więzienne. Cóż z tego, on wie, że pracuje, pracuje do ostatniej chwili, w której jeszcze nadzieją, że wyjdzie i zdoła powiedzieć ludziom, co wykuła myśl.

Ciszy gwiazd słucham, nie straszego skrzyppu czasu, co między serca i istnienia.

Czas nie jest próżny.

Poza ludzką myślą, poza człowieka życiem trwa nieustanny, wielki proces rodzenia się i powstawania form coraz to nowych. Wsłuchuję się w ten szmer, w tę dziwną mowę martwej materii i uczę się pojmować wielkość i niezgłębioną głębię życia poza nami. Uczę się je pojmować w jego formach najbardziej od nas odległych i obcych. Krążenie tych świecących, olbrzymich światów ponad naszymi głowami, palący olbrzym — słońce, cichy księżyc, morza szumiące z oddali i nieskończoność przestrzeni w każdej drobince materii, prochu każdym: wszystko to ukazuje mi, jak nieskończenie wielkie jest życie poza nami. Martwym wydaje nam się życie niepojęte. Martwym nazywamy życie, którego nie widzimy. Cały świat jest jakąś gorączkową walką nieogarnionych form. Człowiek jest jedną z nich. Myślą swą usiłuje ogarnąć życie poza sobą. Żyje zawsze w tym samym świecie. Świecie już uporządkowanym przez myśl. Poza jego granicami też życie. Dobrze jest pamiętać o tym, aby zyskać wielki, mądry spokój.

— Powinno się mieć wiele ojczyzn w świecie — stuknął Siewierow. — Powinno się być w stanie zawsze myślą zmienić ojczyznę. Gwiazdy i mgławice, tworzenie się światów z wirów pierwotnych, świat nieprawdopodobny, z którego wyłonił się pierwszy okruh protoplazmy<sup>706</sup>. Nieogarnione życie przekształceń chemicznych — wszystko to są moje kryjówki i ucieczki. Tam jestem bezpieczny. Wracając z podmorskiego świata, gdzie całe miliony polipów<sup>707</sup> zginęły, dźwigając ze swych obumarłych ciał całe łądy, rafy i skały: jestem spokojny. Trzeba patrzeć na samego siebie ze strony wielkiego „nie ja”. Nawet chemia, nawet astronomia uczą moralności. Uczą nas wielkiej obojętności dla siebie.

Zastukałem:

— Nie można przyjmować życia, poddawać mu się.

Odpowiedział mi na to:

<sup>706</sup>protoplazma — materia, z której składają się komórki żywych organizmów. [przypis edytorski]

<sup>707</sup>polipy — osiadła forma życiowa parzydełkowców. Morskie, skalotwórcze polipy koralowe żyją zwykle kolonijnie, na niewielkich głębokościach, przytwierdzone do dna; wiele gatunków wytwarza wapienne szkielety, z których powstają rafy i wyspy koralowe. [przypis edytorski]

— Polip mrze, ale swoje robi, o jedną niedostrzegalną linię wznosi poziom.

I po chwili stukał znów:

— Trzeba połączyć w jedno te dwie myśli: naszą jedyność i powierzchowność. Trzeba przeżywać siebie i jednocześnie wiedzieć, czym to jest od strony wszystkiego. Gdyby dzisiaj powstał poeta jak Dante, jego wędrówki byłyby głębsze. Musiałby on stawać się atomem, polipem, rośliną, pierwotnym człowiekiem, uczonym, urzędnikiem, artystą, człowiekiem czynu. I wszystko to razem pogodzić i objąć.

Stukałem:

— Mów.

I mówił on dalej:

— Kocham świat olbrzymi, którego nie znam. Kocham fosforyzujące przestwory wodne, na które nie spoglądało jeszcze żadne oko, kocham to cudowne budzenie się życia na dnie. Czy ty nie tęsknisz, że nie poznasz nic więcej z tego życia, które kłębi się na dnie oceanów, tych wszystkich szumów morskich, które były cudowniejsze niż wszelkie poezje, muzyka, śpiew? Jak ubogie są lądy i my, lądowe stwory, w porównaniu z tym światem morskim, nad którym przemyka się, nie wiedząc, wątpi łądz człowieka, zajętego zawsze swoimi własnymi sprawami. To, co w nim żyje, jego tęsknota, pamięć, pożądanie — umiera, te zjawiska rodzone przez jego ludzką pierś przesłaniają mu zawsze świat rzeczywisty. Być bezinteresownym, nie myśleć o sobie, niczego nie chcieć. Zapomnieć nawet, że się jest człowiekiem. Tam spłaciłem już wszystko, co mogłem jako człowiek: teraz mogę nie wiedzieć, czym jest Rosja, ludzkość, zagadnienia naszego ludzkiego życia; mogę zatopić się myślą w tym świecie, który nas nie zna. Chcesz się spowiadać ze swych win i grzechów, myślisz, żeś czynami swymi zmaćcił sam rdzeń istnienia. Pójdź, powiedz o nas, naszych winach rafom koralowym, mięczakom, roślinom morskim. Przecież i to byt. I wszystko żyje poza nami. Tak samo żyje, jak i my. To uczy swobody i słonecznej bez troski.

Natura

Kocham ten bez troskliwy, olbrzymi świat. Kocham światła gwiazd na falach morskich, kocham wszystko, co obce, potężne, olbrzymie.

Ojczyzna moja jest wszędzie, gdzie jest myśl. Pyłkom słonecznym mówię z uśmiechem: pracujemy razem — one nie wiedzą o mnie, ja o nich, ale razem gdzieś zlewamy się, my i one, ja i życie protoplazmy bezkształtnej, formującej się w fantastyczne, wyśnione przez obłąd morza kształty.

Natura, Miłość

— Szczęśliwy jesteś — mówiłem. — Myśl twoja istotnie jak duch Dantego schodzi w głębinę, o jakich nie marzył Dante, jesteś u siebie, tam gdzie się sam kończysz, gdzie cię nie czekał nikt. Pośród gwiazd, pośród krążenia, wirowania atomów, tworzących wszystko, co się zмага.

Któż z nas wie, co jest tam w tych przestworzach olbrzymich, które rozkwierają się przed myślą w najdrobniejszych kruszynach materii? W tych obszarach międzyplanetarnych, które rozkwierają się, rozrastają w niedostrzegalnie małym, znikającym dla nas, można zapomnieć. Tam jesteśmy u siebie. Jest więzienie? Sokołów? Car i Rosja? Kościół? Ludzie? Tam taki chłodny spokój. Taki błogi, świeży dzień. Tam jest spokój wieczny.

— Szczęśliwy jesteś — powtórzyłem.

I tak też było. Tu mógł przebywać tylko ten, co miał tak wiele ojczyzn, jak Siewierow, kto nie był zrośnięty myślą z ludzkim kształtem, społecznym istnieniem. Kto nie nazbyt uwięził swą istotę w sprzecznościach i zwątpieniach wewnętrznych.

Dla mnie nie świeciły zorze polarne myśli, nie umiałem zablądzić w przestworach drobinowych przestworzeń i przekształceń.

Byłem sam ze swoim ludzkim losem.

Nie znam was, polipy i gwiazdy, nie znam was, którzy jesteście poza mną, tam jest nic. Sam jestem beznadziejnie, nieuchronnie. Nic nie wdrze się do mojej pustki. Same z sobą zamknięte, jak wszczępione w kamień, spala się serce.

Chciałem powiedzieć sobie: byłem. Nikt mi nie odejmie tego, czym byłem. Na zawsze żyje we mnie to wszystko. W pamięci mojej chodzą oni wszyscy — przyjaciele, towarzysze, ja sam z lat młodych.

To jest kłamstwo.

Czegóż potrzebuje człowiek? Czego pragnie?

Życia? Przecież wiem, że przeminie.

Miłości żywego człowieka?

I ty, co kochasz, i ty, co jesteś kochany, jesteście niczym wobec pustki, igraszkami jakiejś ciemnej ręki.

Czegóż więc chcesz?

Czy istotnie jest jaka różnica pomiędzy życiem żywych ludzi, a naszym dogasaniem w kamiennej mogile?

Zwęglone serce odpowiada: nie ma.

Słońce w pamięci mojej zmalowało i stało się chłodne. Widziałem wciąż jeden i ten sam krajobraz: czarny, zwęglony przestwór, nad nim słońce barwy miedzi, patrzące jakby wyrzut.

Coś, jakby wstyd, że się chce żyć, że jest jeszcze życie.

Czułem się, jak człowiek chory nieuleczalnie, męczący się, czekający na śmierć, gdyż niezdolny do życia.

Noc zapadła nad nim, zatkniętym na palu: on krwawymi oczami patrzy w gwiazdy. Teraz wstaje słońce i dziwi się: żyjesz, czerwiu.

Nad spaloną wsią, porąbanymi ciałami przyjaciół, nad pogorzela<sup>708</sup> wszystkiego wznosi się kamienna głowa.

Jest kamienna, bo nie czuje bólu, który szarpie na ćwierci całą istotę zatrutym żądłem; zębatym ostrzem utkwil w samej duszy.

Kamienna głowa patrzy się ciężkimi oczami.

Ciebie kochałem, smukła, ty w wieńcu zbożowym, która leży krwawą raną w piersi. Krew płynie na wieniec złotych kłosów.

Cóżem ci przyrzekł dać?

Szczęście! Szczęście człowieka...

Krwawa głowa podnosi się i mówi:

Dobre było życie.

Jasna moja, umierałaś o innej godzinie.

Nie chcę, nic nie chcę...

Śmierć-szyldwach chodzi po korytarzu, stoi u bram.

Na co czekasz, męczący się trupie?

Nóż się w piersi obraca, obraca. Każda chwila obraca go po trzykroć, patrzy w twarz białymi oczami.

Mam wrażenie, że cały czas byłem obłąkany.

Myśli miałem jasne. Ale to były myśli, z którymi nie można żyć.

Piekącymi oczami patrzyłem w okno, przez które wlewał się zgnięty dzień. I myślałem znowu.

Był ranek właśnie, kiedy usłyszałem śpiew:

Przeniosę chętnie śmierci mękę,  
Tęsknotę, ból i opuszczenie.  
Myśli spiekotę i zwątpienie —  
Przeniosę wszystko.  
Lecz gorycz z oczu matki starej —  
Wszystko przeniosę.  
Lecz ginąć jakby nadpróchniałe drzewo,  
Mieć w głowie myśl i z myślą ginąć,  
Jak ginie martwa, podeptana trawa;  
Patrzeć, jak niszczy noc i dzień  
Wszystko, czym życie mogło słynać,  
Gnić z duszą, myślą, bólem w sercu:  
To jest nad siły.

Wolę bój stoczyć w ciemności  
Głuchej i twardej,  
Wolę zejść w mrok,

<sup>708</sup> *pogorzela* (daw.) — pogorzeliśko, miejsce po pożarze, spalone szczątki. [przypis edytorski]

Gdzie syczą gady.  
Wolę z węzami stoczyć bój,  
Ich ślepia błyszczą chytre, blade;  
Wolę to wszystko  
Niż los mój.

— Minakow<sup>709</sup>! — usłyszałem głos Myszkina.

Po chwili usłyszałem stuk i krzyk. Minakow rzucił talerzem w głowę naczelnika więzienia Sokołowa.

Związano go i bronił się im.

— Dołguszyn<sup>710</sup>, co oni robią z tobą? — rozległ się czyjś głos.

Wszystkie drzwi zatrzęsły się i grzmiały pod ciosami pięści nóg.

Więzienie wrzało.

— Zabijcie nas, katy!

— Weźcie nasze życie!

— Zabijcie, zabijcie, zabijcie nas, psy!

Słyszałem, jak główny naczelnik więzienia podszedł do celi Myszkina.

— To nie ma żadnego sensu — mówił.

Słyszałem, jak Myszkin odpowiedział.

— Nie mieliście odwagi zabić nas otwarcie i trzymacie nas tu, byśmy zginęli powoli. Tu nie ma mowy o sensie, myśli i prawie. Nie mamy wspólnego języka. Kat nawet jest bliższy nam niż wy.

— Prawo — próbował mówić wojskowy, ale więzienie huczało gniewem i szyderstwem.

— Nie ma żadnego prawa, jesteście najpodlejsi z morderców.

Znowu płynął czas. Czas bezbarwny i pusty.

Siewierow błąkał się po przestworach niewidzialnych i niezmiernych, odpoczywał w doskonałym cieniu myśli.

Mnie męczyły zmory znów i straszniejsza od mar wysnionych rzeczywistość.

Były chwile, kiedy starałem się przypomnieć rysy Oli albo Katii, rysy przyjaciół — i nie mogłem.

Natomiast wyrysowały się bardzo dobitnie profile Arona Vogla, jakiegoś żandarma, obojętnego przechodnia, widzianego gdzieś w tramwaju lub na ulicy.

Innymi dniami stali mi przed oczyma wszyscy. Co więcej, nie miałem nad nimi władzy. Poruszały się te cienie w myśl jakiejś ukrytej przede mną logiki psychicznej i to ich życie stawało się subtelnym narzędziem udręczeń.

Ola zazierała mi w oczy i pytała się nagle:

— Czy oni bili Sołowjewa po twarzy, czy bili po twarzy szlachetnej i świętej swoimi potwornymi rękami?

I widziałem, jak podskakiwał, piniąc się i sapiąc, Aron Vogel, chcąc dostać swymi piegowatymi rękami, niezgrabnie zwisającymi z krótkich rękawów surduta i poplamionych mankietów — twarzy Sołowjewa. Odwracałem oczy i widziałem wciąż ten sam obraz.

Słyszałem godzinami trzask kości Katii pod kołami armaty, ohydny dźwięk kopyt końskich miażdżących ciała i pogrążających się w krwawej masie.

W oczach rozrastał się ten świat.

Starałem się nie myśleć o niczym.

Śniło mi się, że leżę w swojej celi, leżę bez ruchu z przymkniętymi oczami.

Nagle otwierają się drzwi i wchodzi, a raczej wsuwa się jakaś skulona figura.

Długi czas nie mogłem poznać i przypomnieć sobie, kto to jest.

Więzienie, Bunt

Sen

<sup>709</sup>Minakow, Jegor Iwanowicz (1854–1888) — rosyjski rewolucjonista-narodnik; za skazany na katorgę, po próbie ucieczki z Syberii osadzony w Twierdzy Pietropawłowskiej, następnie w Szlisselburskiej (1884), gdzie został rozstrzelany za obrazę lekarza więziennego. [przypis edytorski]

<sup>710</sup>Dołguszyn, Aleksandr Wasiljewicz (1848–1885) — ros. rewolucjonista-narodnik; aresztowany w 1873, skazany na katorgę, przeniesiony na Syberię, następnie do Twierdzy Pietropawłowskiej, potem do Szlisselburskiej, gdzie zmarł. [przypis edytorski]

Figura przysunęła się do samego mojego łóżka. Szła, jakby czołgając się. Staralem się jej nie widzieć. Wiedziałem, że musi być straszna.

Siadła ona koło łóżka w kącie, zaczęła węszyć, wciągając powietrze, i później położyła mi na piersi miękkie, mackowate ręce i opierając się na nich, wdrapała się na łóżko. Głowa jej opadła na ręce i sunęła dziwnie powoli ku mojej twarzy.

Teraz widziałem: był to Schultz.

Tylko dziwnie zmieniony, przeobrażony w coś groźnego. Odraza i obrzydzenie były w tej głowie, która węsząc, sunęła się po mojej piersi.

Wreszcie dopęłzła do szyi i czułem, że zapuszcza zęby w krtań.

— Sen — pomyślałem i zbudziłem się.

Na korytarzu wołał czyjś głos:

— Żegnajcie, towarzysze, prowadzą mnie zabijać.

Nie mogłem się poruszyć ani wymówić słowa.

Słyszałem, jak tylko Siewierow odpowiedział:

— Bądź zdrow, bracie.

Myszkin stukał gorączkowo do ściany:

— Podłość, że się z nas nikt nie odezwał. Pozwoliliśmy, że go tak wywleczono spośród nas. I że on tak przeszedł pomiędzy nami niepożegnany.

Chciałem mówić z nim, co zamierza czynić, ale przerwał mi, chciał, aby go zostawiono z własnymi myślami.

Przeszło parę godzin — doleciał nas stłumiony odgłos salwy: Minakow żyć przestał.

Słońce chodzi gdzieś po dalekim niebie.

Chodzi nad miastami, w których żyją ludzie ludzcy się, że posiadają jakieś prawa.

Prawo, sprawiedliwość, rozum, ludzkość — sypią się słowa.

Tu nie mają one żadnej wartości, żadnego obiegu.

Żyć będziecie w swych kamiennych klatkach jak dzikie zwierzęta — wy, coście śmieli wierzyć w słowa, które człowiek wymawia tylko ustami.

Sąd chcieliście czynić nad życiem w imię rozumu.

Rozum jest poza wami. Tu nie dochodzi żaden jego promień.

Cała prawda ludzkiego istnienia, jakim ono jest, występuje tu bez osłon: walka na śmierć i życie.

Czy moglibyśmy opłakiwać Minakowa?

Jemu słońce w oczy zaświeciło.

Jego zabiła świszcząca kula.

On stał i widział śmierć ludzkimi oczyma.

Patrzyła ona na niego z luf karabinów...

Mówiła do niego głosem człowieka.

Głos żywy zwiastował mu zgubę.

Nami rządzi to, czego nie ma.

Pusty czas kradnie nam życie.

Kradnie życie, konanie przewleka: nieustannie upływa i szydzi, każdą chwilę wydłuża, zabija nas to, czego niepodobna ująć. Bezoki, bezduszny los dławi żywych ludzi, ssie ich krew.

W tej umarłej ciszy rozległy się dla mnie raz jeszcze kroki Myszkina.

I jego prowadzili na śmierć.

Zostałem sam. Z obu stron miałem puste cele.

Dnie i noce teraz utraciły już resztkę ludzkiego sensu.

Miałem wrażenie, że rozwijają się one jak wstęga z jakiegoś obracającego się gdzieś poza moją głowę koła.

Koło obraca się i warczy wstęga.

Śmieje się pusta, bezbarwna potęga czasu.

Nie czekałem na nic, nie spodziewałem się niczego.

Wieczorem jednego z tych pustych dni powziąłem ostateczny zamiar.

Kiedy spostrzegłem wyjście i przekonałem się, że nie zawiedzie, siadłem i próbowałem myśleć, jak może to uczynić człowiek wolny. Za chwilę wyjdę stąd i szyldwach sprezentuje broń.

Wspomniałem po raz ostatni wszystko bez bólu i bez żalu.

Chciałem znaleźć sam dla siebie jakąś myśl o przyszłości: o tym, co będzie kiedyś — nadaremnie. Serce było zimne — uśmiechało się jeszcze do znanych postaci.

Patrzyłem teraz na nich wszystkich, którzy odeszli, jak jeden z nich.

Pamiętam dobrze, że myślałem o nich wszystkich z jakimś pobłażliwym uczuciem starego, doświadczonego brata.

— Tak to jest, widzicie, tak to jest — mówiłem, tłukąc lampkę z palącą się naftą, tak aby płomień objął siennik.

\*

Siedzę teraz pośród drzew, z których rodzą się młode liście. Jestem sam, sam, jak nie byłem nigdy w Szlisselburgu. Kaleka ze zwęgloną duszą, chodzę sam wśród ludzi, którzy dalej są ode mnie niż te drzewa.

Z drzewami tylko żyję w zgodzie i cieszę się, kiedy im się wiedzie dobrze.

Tu przede mną z czarnego, spróchniałego pnia wystrzeliły nowe gałązki. Rosną, wypuszczają świeże liście: tak jak myśli we mnie.

Siedzę otoczony kartkami, którym pisałem: biorę je do ręki i przrzucam.

Nie poznają ich, jak nie poznają drzewa liści swoich. Chciałbym, aby wiosna ta, która rozkwita naokoło mnie, była ostatnia. Myślę o śmierci cicho i spokojnie, jak o oddanym, dobrym towarzysz. Chciałbym, aby zastała mnie tu pośród drzew — nie w pokoju.

Łudzę się czasem, że dość jest tu się i czekać bez ruchu: ona przyjdzie grabową aleją.

Ale od strony życia nigdy nikt do mnie nie idzie. Nigdy nie idzie i nie przyjdzie do mnie nikt.

Pisma przychodzą co rano.

Co rano mówią mi to samo, co wiem. Z wolna, z wolna człowiek uczy się rozumieć, że nie ma nikogo i niczego prócz siebie, że własnymi tylko rozporządza siłami i uczy się je cenić. Z wolna wyrasta ponad wszystkie inne potęgi — ta jedyna rzeczywista: człowiek pracujący.

Lubię słuchać dźwięku młotów, kujących w naszej kuźni.

Coś wesołego, twardego jak życie, radosnego jak zwycięstwo, marzy mi się wtedy.

Sam siebie musi tak wykuć człowiek.

Lubię słuchać pieśni młotów.

I lubię słońce nad zoraną rolę. Idzie chłop, rzuca ziarno. Rzuca złoty siew i znowu wraca.

Odwracam się od niego i z wolna idę ku domowi.

Idę i myślę, kielkuje gdzieś niwa. Zamiera złote ziarno.

Ślepy siewca idzie poprzez pola... Dusza myśli — czy usłyszę jeszcze wielki szmer niw?

Nasłuchuję i wciągam powietrze. Płynie nad polami chmura, czy widziała plon?

Ale wrony kraczą często ponad głową. To wiem: nim nadejdzie pora zbierać plon, niemało krwi wyleją czyjeś mężne piersi.

Nie szcędząc kości, kosi nieublagana siła młode niwy.

Wrony kraczą ponad moją pustką.

Chmury lecą ponad ziemią. Siadają na drzewach, które dopiero porastają w liście.

Witam je — złowrózbnie ptaki, ptaki dobrej nadziei. Z pobjowisk lecą, z pól, na których śmierć kosi.

Nie przestawaj siał, straszliwy siewco.

Człowiek najbardziej trwa, gdy ginie.

Teraz jednak czasami widzę w pismach i książkach nowy głos, nową pieśń rządzącego sobą człowieka.

I myślę wtedy o mediolańskiej katedrze<sup>711</sup>: o wielkim pomniku dziejów, zbudowanym z serc, co pomarły.

I powtarzam słowa, które tyle razy słyszałem z drogich ust: zginąć tak, aby żyło z nas

<sup>711</sup>mediolańska katedra — gotycki kościół katedralny w Mediolanie, największy kościół we Włoszech, trzeci z największych w Europie; jego budowa zaczęła się w 1386, została zakończona w epoce Napoleona, ostatnie detale ukończono w 1965. [przypis edytorski]

Samotność, Drzewo

Samotność, Drzewo,  
Przemijanie

Samotność

Zwycięstwo

to, co chcemy — to jedyne zwycięstwo.

W podziemiach gdzieś rodzi się z bezlicznych ofiar przeszłość i dnia każdego i jutrem rządzić ma nasza wola.

Ona płynie podziemiami nurtem ukrytym.

I kiedy zamykam oczy, słucham, zdaje mi się, że to ja sam, przeszłość moja szumi i szemrze tam strumieniami pod ziemią.

Czarny pniak gałązkami swymi się do mnie uśmiecha: młoty kują.

Patrzę w świat przede mną i koło mnie i szukam, czy mam w nim jeszcze co swojego, coś, co by było moją, tylko moją własnością, co bym chciał zatrzymać dla siebie. Myślę o tym, co schłonęła mi ta ziemia, i patrzę na nią z przyjaźnią, na nią, która dzisiaj ma w sobie więcej mojej duszy niż to, co pozostało jeszcze we mnie.

Patrzę na nią z przyjaźnią: uczyni ze mną, co zechcesz, ty, która rośniesz i żyjesz przez człowieka. Uśmiecham się do wielkiego powietrznego morza i powtarzam: dusze ludzkie ciebie tak rozwarły, rozszerzyły naokoło mnie. Patrzę na starą kobietę, która koło mnie przechodzi, ze strachem szepcząc „pochwalony”, i powtarzam: pochwalone niech będą twoje zgięte barki. Stąpam ostrożnie, jakby niosły mnie ramiona i plecy pokoleń. Uśmiecham się do pól i lasów okolicznych i mówię im z głębi serca: dobrze, że jest życie. Dużo ziarna leży w czarnej ziemi. Bądź błogosławiona ty, którą zapładnia ludzka praca — bądź błogosławiona, rodzicielko i dziecko człowieka. Z ciebie powstał, na tobie krwią spływa i łzami. Czy on jest twój, czy ty jego?... Gdzie kończy się człowiek? Nigdzie — w tym, co jest dla mnie; cokolwiek widzę, myślę, czuję, przez was to czynię, niewidzialni bracia. I sam ja jestem bardziej w was niż w sobie. Ale wraca już Miszuk-Niewidimka, z długiej drogi wraca. Otwarte w saloniku okno. Przyjdź, przyjaciółko moja, i zastukaj. Pamiętasz... jak w ten dzień. Gałązki trącają o szyby, stukam i myślę: to będzie tak, za chwilę już. I tak mi dobrze. Wszystko moje jest poza mną. Chodzę teraz już po świecie, jak po pokojach tego domu: tak może chodziłem dzieckiem. Przychodzę i dziwię się... aaa... tak więc to jest, tak...

A zegar odpowiada cicho: tak... tak... tak... tak.

Błogosławię ci, stary zegarze, że mierzysz czas, w którym dojrzewa ziarno. —

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/brzozowski-plomienie>

Tekst opracowany na podstawie: Stanisław Brzozowski, *Plomienie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Małgorzata Nawrot, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-5700-1

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).